

Meryl Sawyer

Północ w Marrakeszu

W samo Południe

Wiemy, co drży na szali

I z czego musimy się okraść, aby stanąć naprzeciw.

Najodważniejsza godzina uderza w nasze zegary:

Niech odwaga nas nie opuszcza!

z „Odwagi” - Anny Achmatowej

1

Nowy Jork, 21 listopada, 10 wieczorem

- Nie można mnie kupić.

- Barzan nie zamierzał pani obrazić.

Wpatrujące się uważnie w Lauren Winthrop ciemnobrązowe oczy Taka zwięzły się nieco bardziej niż zwykle.

- Dlaczego więc proponuje mi taką dużą sumę, skoro mógłby zatrudnić kogoś bardziej wykwalifikowanego za dużo niższą stawkę? - Przesunęła dłonią po jasnych, zaczesanych do tyłu włosach splecionych we francuski warkocz. Srebrna bransoletka zamigotała w przyziemnym świetle mrocznego pokoju. - To niejasne.

- Zapewniam panią, że to uczciwa oferta. Barzan może pozwolić sobie na wszystko. Jest pani najlepsza i on o tym wie.

- Skąd Carlos Barzan mógłby wiedzieć o mnie? Lauren nie wierzyła w to, co mówił Tak, jednakże aby nie urazić swojego najlepszego klienta, nie powiedziała mu o tym otwarcie. Kiedy przed kilkoma laty Tak po raz pierwszy pojawił się w nocnym klubie, w którym pracowała, odkryli, że oboje interesują się sztuką współczesną. Odtąd przez kilka ostatnich lat Lauren była jego stałą towarzyszką w galeriach i na aukcjach, dyskretnie szepcząc mu do ucha swoje rady.

Wstała od stolika z kieliszkiem Taka w dłoni i podeszła do polakierowanego na czarno barku, wciśniętego w róg prywatnego pokoju, w którym się właśnie znajdowali.

Tak nie lubił spijać z kieliszka ostatnich kropli swoich drinków. Kiedy lód zaczynał się roztopiać, psuło mu to smak szkockiej. Lauren wrzuciła do środka trzy kostki lodu i dopełniła kieliszek alkoholem z butelki opatrzonej złotą etykietką z połyskującym na niej imieniem i nazwiskiem: Takgama Nakamura.

- Proszę - powiedziała podając Takowi świeży napój, pochyliła głowę w głębokim ukłonie, po czym ponownie usiadła.

- W jakiś nie znany mi sposób Barzan odkrył, że jest pani moją tajną bronią. Od czasu kiedy została pani moją doradczynią, moja kolekcja dzieł sztuki przerosła jego zbiory. Chce, aby wykorzystwała pani swoje zdolności do uratowania galerii Ravissant w Londynie.

- Chwileczkę. Czy to nie ta sama galeria, która była wplątana w ubiegłoroczny skandal fałszerski? Czy jej właścicielami nie są Leightonowie?

- Istotnie. Archer Leighton zmarł jednakże przed sześcioma miesiącami. Wdowa po nim, Vora, sprzedała połowę udziałów w galerii Carlosowi Barzanowi. Przecież może pani do niego zatelefonować. - Tak wręczył jej wizytówkę.

Ravissant nadal był galerią o dużym prestiżu, mimo że nastąpiły dla niej ciężkie czasy. Gdzie jest ukryty haczyk? Lauren celowo zmieniła temat:

- Jak się miewa pańska rodzina?

- Bardzo dobrze. A jak się miewa Paul? - zapytał Tak. Jak zwykle.

- Świetnie. - Była to zwyczajowa odpowiedź. Jednakże jej brat wcale nie miał się dobrze. Obawiała się, że już nigdy nie będzie się miał dobrze.

- Czy nadal chce przeprowadzić się do Santa Fe? Lauren skinęła głową. Brakowało im jednak pieniędzy.

Mieszkanie na Manhattanie i utrzymywanie Paula, w czasie gdy był pod opieką psychiatry, pochłaniało wszystko, co była w stanie zarobić. I tak miała szczęście, gdyż jej zarobki w Sake Sistahs, klubie nocnym nastawionym na obsługę japońskich biznesmenów, były stosunkowo wysokie.

Zostawiali napiwki przebijające nawet najbardziej ekskluzywne miejsca nocnej rozrywki Nowego Jorku.

- Barzan mógłby pomóc pani wyjść z kryzysu.

Tak sięgnął do marynarki po papierosy. Lauren natychmiast uniosła do góry jego złotą zapalniczkę firmy Cartier. Po zapaleniu papierosa zaciągnął się głęboko i wypuścił dym za siebie.

- Zadzwoń do niego - obiecała. - Nie dziwi to pana jednak, że Barzan oferuje tak dużo?

- Milion dolarów to nie jest dużo.

Takgama Nakamura, potomek rodziny będącej właścicielem największej prywatnej firmy w Japonii, należał do najbogatszych ludzi na świecie. Podczas gdy osoby dorównujące mu statusem społecznym były zwykłymi pracownikami wielkich firm państwowych, Tak nie czuł się ograniczony układami biurokratycznymi i zespołowym zarządzaniem. Z mentalnością samotnego wilka Takgama Nakamura używał swojego sprytu dla gromadzenia pakietów międzynarodowych akcji, co dawało mu przewagę w światowym wyścigu międzynarodowego biznesu, w którym główną rolę odgrywali Japończycy. Milion dolarów to może nie było dużo dla niego, lecz Lauren musiałaby żyć chyba dwukrotnie, aby zarobić taką sumę.

Tak podniósł się do wyjścia. Lauren zabrała z baru butelkę Chivas i - pamiętając, aby podążać za Takiem w dyskretnej odległości - zaniósła ją do pomieszczenia, w którym przechowywano alkohol. Podobnie jak w klubach tokijskiej dzielnicy Ginza, gdzie wytworni japońscy biznesmeni zazwyczaj spędzają wolny czas, o statusie amerykańskiego klubu nocnego nie stanowiły modne wnętrza czy piękne, mówiące po japońsku hostessy, ani obowiązkowo polakierowana i podświetlona wystawna szafka - barek. Liczyła się tylko jedna rzecz: etykieta na butelce z

alkoholem, określająca jej właściciela. Japońscy przedsiębiorcy w Ameryce z ochotą płacili dorównujące tokijskim, bająnskie sumy po to jedynie, aby właściciele klubów umieszczali na butelce z ich ulubionym trunkiem specjalną etykietkę z ich imieniem i nazwiskiem oraz nazwą firmy.

Podczas gdy inne bary zabiegały o średnią i wysoką klientelę różnorodnych korporacji, Sake Sistahs był dumny z tego, iż przyciągał elitę biznesu - najbardziej wpływowych ludzi w Japonii. Będąc w Nowym Jorku, odwiedzali Sake Sistahs i wydobywali z barku swoją prywatną własność. Trunki w nim stały obok siebie ciasniej niż pasażerowie w tokijskim metrze. Butelka Chivas Regal prezentowała się dumnie w centralnym punkcie barku, informując wszystkich przybyłych o szczycie powodzenia, jaki osiągnął Takgama Nakamura.

Kiedy Tak powiedział dobranoc właścicielce klubu, zwanej Mama - san, Lauren dokładnie wytarła ślady palców z butelki i umieściła ją na honorowym miejscu, pośrodku pierwszego rzędu w rzęsiście oświetlonej szafce.

Pochyliwszy głowę w pełnym czci ukłonie w kierunku odzianej w kimono Mama - san, Lauren otworzyła Takowi drzwi. Wesóły, rytmiczny śpiew, któremu towarzyszył dźwięk trzystrunowego shamisenu dochodzący z przemyślnie ukrytych głośników firmy Bose, zderzył się ze zgiełkiem ruchu ulicznego Manhattanu. Podążając za Takim dwa kroki z tyłu, Lauren odprowadziła go do czekającej przy krawężniku limuzyny.

Tak zatrzymał się i - jak zwykle po wyjściu z klubu - zwrócił się do niej już nie po japońsku, lecz bezbłędną angielszczyzną:

- Niech pani zadzwoni do Barzana. On może rozwiązać wszystkie pani problemy.

Lauren patrzyła, jak tył limuzyny znika w dole ulicy, zlewając się momentalnie z innymi samochodami. Pomimo chłodnego listopadowego wiatru stała przez chwilę w zamyśleniu. Tak był niezwykle przenikliwy. Nie pytając nawet, wiedział, jak źle jest z Paulem. Wykorzystał umiejętność odkrywania przez nią utalentowanych współczesnych artystów do powiększania swoich i tak niezwykle bogatych zbiorów, zachowując jednocześnie w tajemnicy jej tożsamość. Płacił bardzo przyzwoicie za jej starania. Odwiedzając Sake Sistahs, zostawiał dla niej wysokie napiwki. Jak zwykle miał rację: dla własnego dobra - a także dla Paula - powinna przemyśleć propozycję Barzana.

Żółto oświetlona taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Wsiadło z niej kilku japońskich biznesmenów. Lauren podążyła za nimi z powrotem do baru. Gwałtowne szepty świadczyły o tym, że ujrzeli butelkę Taka. Lauren przeszła obok, ignorując ich spojrzenia. Tłumiła w sobie obrzydzenie na myśl, że jest nikim więcej, jak tylko współczesną gejszą, której nie wolno witać stałych gości klubu poza wyznaczonymi do tego prywatnymi pokojami - o wielkości pudełka zapalek - przeznaczonymi do relaksu. Przystosowane do wrodzonego japońskiego upodobania do minimalnej przestrzeni i tradycyjnej obsługi przez posłuszne rozkazom dziewczęta, pomieszczenia te stały się prywatnymi enklawami, gdzie honne - wolna myśl - mogła wypowiedzieć się w sposób nieskrępowany.

Mama - san dała Lauren znak, że chce z nią porozmawiać. Zbliżając się do niej drobnym, majestatycznym krokiem, który nie marszczył jej jedwabnego, ceremonialnego kimona, odezwała się ściszym głosem:

- Twój brat został zabrany do szpitala.

Korpulentna pielęgniarka na oddziale nagłych wypadków nie musiała mówić Lauren, że Paul usiłował popełnić

samobójstwo. Tym razem nawet dr Mortimer West, jeden z najlepszych psychiatrów w mieście, nie był w stanie pomóc Paulowi. Lauren mając tę przygnębiającą świadomość, zdecydowała się do niego zadzwonić, tak czy inaczej.

Kiedy weszła po cichu do sali zatłoczonego oddziału i ujrzała śpiącego Paula, coś stanęło jej w gardle. Zlepione krwią jasne włosy Paula przywierały mu do skroni. Sina plama zniekształcała szlachetną linię jego ust. Cóż się stało? Lekarz powiedział, że Paul zażył tabletki nasenne. Musiał też upaść.

Ręce Paula ułożone były po obu jego bokach. Te same kochające dłonie, w których trzymał dłonie Lauren, gdy nakłaniał ją do powiedzenia mu prawdy tamtego dnia przed blisko dwudziestoma laty. Tymi samymi dłońmi próbował odebrać sobie życie. Dwukrotnie.

- Paul - wyszeptwała, gdy nieoczekiwanie podniósł na nią niebieskie oczy, lustrzane odbicie jej własnych. Miały teraz ten nieobecny, roztargniony wyraz, którego tak bardzo się obawiała.

- Co się stało?

Z trudem zwalczała napływające, piekące łzy. Wydawało się przecież, że ostatnio stan Paula bardzo się poprawił.

Przygnębienie wywołane śmiercią żony najwyraźniej ustępowało. Aż do teraz.

- Powiedz mi. Przecież nie ma takiej rzeczy, o której nie mógłbyś mi powiedzieć - wyszeptwała, powtarzając zdanie, które on wypowiedział tamtego dnia w medynie w Marrakeszu. Wpatrywała się w jego dłonie, przypominając sobie, jak mocny był ich uścisk. Nie puszczały jej rąk, aż wyrzuciła z siebie wszystko, co ją gnębiło. Gdyby jej wtedy nie pomógł, nie wiadomo, co mogłoby się z nią stać.

- Nie wiem, co się stało.



Głos jego wypełniała pustka, której nigdy wcześniej w nim nie było, dopóki nie dowiedział się, że Marcy jest śmiertelnie chora na raka.

- Wziąłem tabletkę nasenną. Po chwili poczułem zawroty głowy. Chyba upadłem.

- Ile tabletek wziąłeś?

- Jedną... tylko jedną.

Jedna tabletką nie wymagałaby pompowania żołądka czy innych zabiegów, aby uratować mu życie. Lauren zatoczyła palcami kręgi na jego dłoni.

- Zadzwońłam po dra Westa. Porozmawiaj z nim. Wzięła rękę Paula w obie dłonie. Czekaając na jego odpowiedź, przekreśliła srebrną bransoletę, którą kupił dla niej przed laty w Marrakeszu.

Gdy wyszła, Mortimer West czekał w korytarzu.

- Mówi, że wziął tylko jedną tabletkę - powiedziała. - Nie próbował odebrać sobie życia.

- Lekarz toksykolog twierdzi, że Paul miał w sobie tyle halcionu, że wystarczyłoby do uśmiercenia dziesięciu osób.

- To niemożliwe. Paul by mnie nie okłamał. Zmarszczone czoło lekarza wyrażało jego wątpliwości.

- Musi być coś, co mogłabym zrobić dla Paula.

Dr West oparł się ramieniem o ścianę, uważnie wpatrując się w Lauren.

- Proszę go zabrać z tego miasta - do Santa Fe. Potrzebuje miejsca, które nie przypominałoby mu stale o żonie.

Lauren skinęła głową. Pomyślała o Londynie i o propozycji Barzana.

Maroko, Marrakesz, 5 rano

Ryan Westcott podniósł się uwalniając się z objęć Amal i usiadł z dala od ciepła jej nagiego ciała. Ściągnąwszy prezerwatywę, rzucił ją w kierunku wiklinowego kosza, wypełnionego skorupami z orzeszków pistacjowych i

opakowaniem z czekolady Cadbury, którą jej przywiózł z Londynu.

- Idziesz już? - w jej głosie można było wyczuć lekką nutkę żalu.

Ryan przytaknął i wciągnął na siebie bawełniane spodnie, które wcześniej pośpiesznie rzucił obok łóżka. Odwrócił się nieco i uśmiechnął przez ramię do ciemnowłosej, leżącej na łóżku kobiety. Do diabła, gdyby była londyńską damą, oczekiwałaby pewnie wystawnej kolacji i wizyt w kilku klubach, zanim dałoby się ją zaciągnąć do łóżka. Ale nie Amal. Dla niej czas to pieniądz. Nigdy nie traciła nawet sekundy na bezsensowną gadaninę.

Wsunawszy stopy w babusze, Ryan nałożył długą do kostek tunikę i ściągnął ją pasem. Odziany w tradycyjne szaty i chodaki liczył na to, że ciemne włosy i opalenizna upodobnią go w tłumie do Marokańczyków.

Sięgnął do kieszeni, odliczył dwukrotność sumy, jaką przeciętny Marokańczyk zapłaciłby Amal za jej usługi, z których większość przeczyła zasadom islamu, i położył zwitek banknotów na obciążonym cienką skórą stole.

- Beslemeh - zawołała za nim, gdy powiedział „Do widzenia” i wyszedł na wąską uliczkę.

Przystanął na chwilę, oparty o ścianę. Pełny jesienny księżyc podświetlał meczet Koutoubia z minaretami, które jakby współzawodniczyły z wzniesionymi szczytami Atlasu o usypane gwiazdami niebo. Góry stykały się z pustynią nieopodal Marrakeszu, przez co powietrze było chłodne, ale suche. Aromat drzew pomarańczowych, zmieszany z delikatnym zapachem goździków i kurkumy, towarzyszył dużo bardziej intensywnemu zapachowi tajine, potrawy duszonej przez całą noc. Żadne z miejsc, które Ryan kiedykolwiek odwiedził, nie pachniało jak tutejsza medina - stare miasto.

Przecinając plac Jemma el Fna, szybko minął opuszczone już, zbudowane z trzciny stragany. Prawie cały cyrk ludzki - żonglerzy, akrobaci, połykacze ognia, zaklinacze węży i sprytni spekulanci - rozproszył się już po domach. Jedyne kilku ciemnych typów, nakrytych tylko burnusami, spało pod gołym niebem. Przemierzając labirynt wąskich uliczek, Ryan z przyzwyczajenia przyglądał się mrocznym drzwiom wejściowym, wypatrując poruszające się cienie.

Gdy wrócił do swojego jeepa, zaparkowanego tuż przy pękającym glinianym murze otaczającym medinę, bociany gnieźdzące się w załomach muru popatrzyły na niego podejrzliwie. Przed wejściem do staromodnego rovera Ryan przystanął na chwilę, aby zbadać podwozie. Nie znalazł żadnych podejrzanych wybrzuszeń; wiedział, że nie znajdzie. Wolał jednak mieć oczy otwarte na wszystko, mimo że nikt nie powinien się nawet domyślać, iż jest on w Marrakeszu.

Wrzucając gruchotowi kolejne biegi, zostawił za sobą medinę z błękitnymi drzwiami jej domów, wykutymi w żelazie arabeskami i oknami w kształcie dziurek od klucza. Po chwili pędził już Aleją Mohammeda V. Szeroki bulwar, z kafejkami na otwartym powietrzu i gajami drzew pomarańczowych po obu stronach, sprawiał wrażenie bardziej śródziemnomorskie niż medina ze swoim mauretańskim charakterem.

Na dwóch kołach wziął kolejny zakręt, zjeżdżając z piskiem opon z głównej ulicy i ignorując całkowicie znak arret - zresztą o tej porze i tak nie było dla kogo się zatrzymać - i skręcił pod górę na Rue de Bab Allen. Sznur samochodów, nadal zaparkowanych - pomimo późnej pory - przed willą Armstrongów, przyhamował go nieco. Z powodu nadchodzącej w Europie zimy bogaci „rezydenci na pół etatu” powracali do Marrakeszu.

Na wybrukowanym podejździe dostrzegł powóz będący własnością hotelu La Mamounia. Zapewne Choukrounowie - pomyślał. Stary, poczciwy Roger i jego żona Regina często korzystali z hotelowego pojazdu konnego. Zazwyczaj czekał na nich przed drzwiami nocnego klubu hotelowego, którym zarządzali, podobnie jak i rozległą siecią porozrzucanych po świecie innych nocnych lokali. Ryan obliczył, że odwiedził większość z nich przy różnych okazjach. Zbyt hałaśliwe. Zbyt wiele osób w poszukiwaniu mocnych wrażeń.

W centymetrowej odległości minął szminkowoczerwonego ferrari, o którym wszyscy we francuskiej dzielnicy wiedzieli że należy do Patricka Guerrand - Hermesa. Ryan rzucił okiem na lśniący pojazd. Z pewnością od cholery forsy można zarobić na szalikach i torebkach.

Przejechał obok mercedesa o klasycznej linii nadwozia. Yves Saint Laurent jest znowu w Marrakeszu. Nic dziwnego, że Caroline Armstrong rozpoczęła nieustającą zabawę, która uczyniła z niej królową elity towarzyskiej Marrakeszu na długie lata.

Ryan wrzucił niższy bieg, zwalniając swojego jeepa, i popatrzył na stojącą obok willę w greckim stylu. Oczami wyobraźni ujrzał T.J. tańczącego na werandzie walca ze słodką Caroline w ramionach. T.J. nigdy nie wyglądał na bardziej szczęśliwego. Dureń. Caroline Armstrong nigdy nikogo nie kochała, oprócz siebie.

Gwałtowne pulsowanie na przegubie przerwało Ryanowi te rozważania. Dwukrotnie nacisnął przycisk zegarka, dając znak, że otrzymał sygnał. Cholera! Cóż u diabła mogło się wydarzyć? Nacisnął na pedał gazu. Zwolnił dopiero, kiedy dotarł do obwarowanego domu poza miastem.

Strażnik rozpoznał go i otworzył zakończoną kolczastym drutem bramę, wokół której krążyła z obnażonymi kłami

trójka warczących rodezyjskich psów myśliwskich.. Ryan dał im ręką znak, wyskoczył z samochodu i wbiegł do willi.

- Jakież kłopoty? - zapytał Adiego, goryla sikhijskiego wynajętego przez T.J. przed trzema laty.

- Dzwonił Stirling - odpowiedział wysoki mężczyzna w białym turbanie, kontrastującym z jego ciemną cerą i czarnymi oczami.

Peter Stirling. Agent wywiadu. Główny pośrednik między nim a wydziałem MI - 5, z siedzibą w Londynie. Sikh wręczył Ryanowi zaszyfrowaną wiadomość: „Wykonuje ruch.”

- Barzan - powiedział Ryan i klepnął Adiego w ramię. Jego zielone oczy błyszczały, a serce biło z podwójną szybkością.

- Co zajęło mu tyle czasu? - zapytał sikh.

- Czy to ważne? Nareszcie trzy lata zasranego siedzenia na tyłkach za nami. Tym razem będziemy przygotowani.

Nowy Jork, 22 listopada, 10 wieczorem

David Marcus przeciągnął wzrokiem po wypolerowanym marmurowym stoliku do kawy i spojrzał w stronę, gdzie obok Carlosa Barzana siedziała Lauren Winthrop. Po powrocie z kolacji, którą zjedli w Aureoli, zaledwie o kilka przecznic od Trump Parc, na którego najwyższym piętrze Barzan miał apartament z widokiem na Central Park, Lauren wydawała się nie śpieszyć, nie wspominając słowem o niezwyklej propozycji. David - prawa ręka Barzana - podziwiał jej cierpliwość. Nieczęsto zdarzało mu się to widzieć. Zapach pieniędzy - łatwych pieniędzy - był zbyt kuszący dla większości.

- Czy Nakamura wyjaśnił moją ofertę? - zapytał Barzan.

Gdy potrząsnęła przecząco głową, David zauważył - nie po raz pierwszy - że jest niezwykle piękna. Wyglądała na kilka lat mniej niż swoje trzydzieści cztery.

- Chciałbym, żeby pokierowała pani galerią Ravissant - powiedział Barzan. - Po śmierci Archera Leightona jego żona Vora doprowadziła do jej upadku.

- Galeria jest w tarapatkach już od lat.

Barzan zaczerpnął niewielki łyk koniaku Ludwik XIII, udając, że przypatruje się wiszącemu na ścianie obrazowi Rothki. Mimo jego sześćdziesięciu kilku lat włosy Barzana były nadal czarne, a oliwkowa cera prawie bez zmarszczek. Jedynie ktoś znający go tak blisko jak David Marcus był w stanie zauważyć ogniki gniewu w jego czarnych oczach. Połechtanie zawodowych ambicji czy przynęta w postaci pieniędzy mogły nie złapać Lauren w sieć, dlatego też podjęli dodatkowo inne środki zabezpieczające. Niestety, jej brat przeżył tak silną dawkę halcionu. Gdyby jego obecność miała przeszkodzić w ich planach wobec Lauren, nie będzie miał tyle szczęścia następnym razem.

Barzan wyszczerzył się w gotowym do fotografii uśmiechu, emitującym udawaną szczerłość.

- Chciałbym, żeby pani w to weszła. Uratowała moje udziały. Daję pani wolną rękę. Proszę uczynić, cokolwiek uważa pani za konieczne, aby Ravissant stał się najlepszą galerią na świecie.

- A co na to Vora Leighton?

- Potrzebne jej są pieniądze. Kupiłem połowę udziałów w galerii, to znaczy zakupiło je jedno z moich towarzystw akcyjnych.

Lauren wpatrywała się w obraz Jacksona Pollocka na przeciwległej ścianie, podczas gdy obaj mężczyźni obserwowali ją uważnie. Wiedzieli, że Lauren pilnie potrzebuje pieniędzy, jednak David wyczuwał, iż może nie przyjąć tej propozycji. Z jakiego powodu? Czy to tylko taktyka, aby wyciągnąć więcej pieniędzy?

Lauren z uwagą badała wzrokiem jedno z najszlachetniejszych dzieł Rothki, białe płótno zdominowane przez jeden jedyny krąg w pomarańczowo - czerwonym kolorze. Nie chciała spędzić reszty życia, pracując w Sake Sistahs i usługując Azjatom; nie chciała też, aby Paul pozostał w Nowym Jorku. Pracując jako konsultant do spraw dzieł sztuki - bez dyplomu akademickiego czy doświadczenia muzealnego - musiała liczyć na hojność Taka. Mimo że otrzymywała od niego pokaźne wynagrodzenie, miała wątpliwości, czy inni kolekcjonerzy mogliby jej zaufać.

Barzan dawał Lauren szansę robienia tego, co kocha, a także - zbudowania sobie reputacji. Dlaczego się zastanawiasz, idiotko? Jej ojciec zmarł blisko dwadzieścia pięć lat temu, jednak jego słowa wróciły do niej w tej chwili: „Rzeczy, które wydają się zbyt piękne na to, aby być prawdziwymi, właśnie takie są - zbyt piękne.” Jest tu jakiś haczyk. Ale gdzie?

- Zapłacę pani milion dolarów, jeżeli w ciągu roku potrafi pani umieścić Ravissanta w bilansie zysków. Połowę tego, jeżeli pani nie zdoła - tylko za fatygę.

Głos Barzana był równie łagodny jak drogi koniak, którym koniecznie chciał uraczyć Lauren.

- Oczywiście dołożę do tego niemałą sumę na wydatki związane ze stajami, a także zapewnię pani luksusowe mieszkanie.

Nadal się wahała. Gdzie ten haczyk?

- Czy jest jakiś problem? - zapytał David. Lauren starała się nie patrzeć Davidowi Marcusowi prosto w oczy. Czowała się nieswojo, kiedy napotykała jego wzrok. Siwe włosy kontrastowały z najbardziej zagadkowymi oczami, jakie kiedykolwiek widziała. Miały trudny do wyobrażenia blady odcień błękitu: zbieleły błękit.

- Przyjmę tę pracę, ale chcę zabrać ze sobą brata. Może prowadzić księgi.

- To wykluczone - Barzan podszedł do baru, aby nalać sobie kolejnego drinka i ukryć zniecierpliwienie.

- Nie chcemy stwarzać sytuacji niewygodnej dla Vory Leighton - podjął David, jak zwykle, gdy temperament Barzana groził wybuchem.

- W takim razie Paul nie będzie pracował razem ze mną w galerii. Ale musi ze mną pojechać.

- Proszę posłuchać - wyjaśniał David - płacimy pani niewyobrażalnie wielką sumę za to, aby postawiła pani galerię na nogi. Większość wieczorów będzie pani musiała spędzać poza domem, aby wejść do towarzystwa. Żeby uratować Ravissanta w ciągu roku, będzie pani potrzebowała poznać tych, którzy trzęsą tym światem i wykonują najważniejsze posunięcia.

- Takich jak T.J. Griffith i jego asystent, Ryan Westcott. Czy kiedykolwiek spotkała ich pani?

- Nie, ale słyszałam o T.J. Grifficie. Czy to nie ten brytyjski kolekcjoner, którego okaleczyła bomba podłożona przez IRA w jego samochodzie?

- Tak - potwierdził David. - Nadal kolekcjonuje dzieła sztuki i pozostaje jedną z najważniejszych figur, decydujących o tym, których ze współczesnych artystów opłaca się kolekcjonować. Od kiedy Griffith został unieruchomiony przez ową bombę, zastępuje go jego utalentowany harcerz - Ryan Westcott.

- Współczuję panu Griffithowi. Najprawdopodobniej tylko sztuka utrzymuje go przy życiu.

- Proszę mu nie współczuć - wtrącił nachmurzony Barzan.

Lodowaty ton w jego głosie zdumiał Lauren. Bez wątplenia, jako liczącego się kolekcjonera współczesnej sztuki, Barzana drażniła przewaga Griffitha na samym starcie.



Gromadząc zbiory od trzydziestu lat, Griffith szczylił się kolekcją, którą przewyższały jedynie muzea. Czy Barzan żywił również urazę do Taka? Czy proponował jej pracę za takie pieniądze jedynie po to, aby przebić innych kolekcjonerów? Było coś zagadkowego w tym Boliwijczyku, który zdołał przekształcić opartą na cynie fortunę rodzinną w międzynarodowe imperium warte miliardy.

Barzan usiadł obok Lauren. Zmarszczone gniewnie brwi zastąpił wyraz troski.

- Jaką wartość miałyby dla pani to wszystko - zatoczył ręką po wiszących na ścianach pokoju aż do samych drzwi wejściowych dziełach Rothki, Pollocka i Miro - gdyby straciła pani brata?

Wspomnienie Paula osłabiło jej czujność - przez cały wieczór zaprzętał jej myśli. Nie było w jej życiu - oprócz niego - nikogo, kto by się liczył. Ale skąd Barzan wiedział o jej bracie? Niewątpliwie, odrobił zadanie domowe. Nie doszedł przecież do tak niezwykłej fortuny lekkomyślnie zawierając transakcje.

- Nic. Bez Paula pieniądze nie znaczyłyby absolutnie nic.

- Tak więc, rozumie pani dokładnie, jak ja to odczuwam. Jego głos ponownie napełnił się goryczą:

- Od śmierci mojego syna - wstał, podszedł do malowidła Rothki i gwałtownym ruchem wylał na nie zawartość kieliszka - to jest bez wartości.

Zaszokowana Lauren patrzyła, jak bursztynowa ciecz ścieka po pomarańczowym kręgu i białym tle, tworząc poniżej na drewnianym parkiecie małą kałużę. Przez cały wieczór obserwowała Barzana i doszła do wniosku, że jest on egocentrycznym miliarderem, który się podnieca paraniem się sztuką. Jednakże więź istniejąca pomiędzy Barzanem a jego zmarłym synem wydawała się być równie silna jak jej więź z Paulem.

Kiedy Barzan ponownie odwrócił się do niej, jego szeroki uśmiech zastąpił już zmarszczone brwi.

- W tym momencie mojego życia mam tyle pieniędzy, że mogę sobie pozwolić na wszystko. To, czego chcę... to, czego chciał mój syn Bobby, to najwyższej klasy galeria.

Lauren usiłowała sobie przypomnieć to, co przeczytała kiedyś na temat śmierci syna Barzana, nieco ponad trzy lata temu. Czy nie zabito go, gdy jakiś interes z diamentami poszedł niezgodnie z oczekiwaniami?

- Czy Robert przypadkiem nie importował diamentów? - zaryzykowała pytanie, zaskoczona dziwnym spojrzeniem Barzana.

- Tak. - Barzan skupił uwagę na płótnie Rothki. Ostatnie krople koniaku skapywały właśnie z ramy.

- Ale to zupełnie inna historia - wtrącił David, rzucając w stronę Barzana ostrzegawcze spojrzenie. - No i co pani na to?

Lauren doszła do wniosku, że Paul mógłby pojechać teraz do Santa Fe, a ona dołączyłaby do niego za rok. Byłoby mu tam lepiej niż w Londynie, zwłaszcza jeżeli miała udzielać się towarzysko przez cały czas.

- Podejmę się tego zadania.

- Jeszcze jedno. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że jestem współwłaścicielem galerii. Z wyjątkiem Nakamury nie wie o tym nikt. Nie chcę, żeby myślano, że manipuluję rynkiem.

- Spółka, która wykupiła pięćdziesiąt procent udziałów w galerii, zapewni pani pieniądze - dodał David. - Fundusze otrzyma pani przez nich. Chcemy jedynie mieć pani słowo, że nikt nigdy nie dowie się o zaangażowaniu Carlosa Barzana w tę sprawę.

Oczy Lauren zwięzły się. A więc tu jest haczyk. Cokolwiek Barzan mówi, zamierza manipulować rynkiem. Posługuje się nazwą galerii, mógłby promować autorów

kolekcjonowanych przez siebie dzieł sztuki, stwarzając złudne wrażenie, że zwróciła na nich uwagę sławna galeria. Wstała, mówiąc:

- Proszę mnie z tego wyłączyć. Dobranoc panom. David podskoczył i złapawszy ją za ramię, powstrzymał przed wyjściem.

- Chwileczkę! Co się stało? Myślałem, że osiągnęliśmy porozumienie.

- Odmawiam wyrażenia zgody na wykorzystywanie mojego nazwiska w celu manipulowania rynkiem - odrzekła łagodnym, lecz zdecydowanym głosem. - Jeżeli ja odpowiadam za galerię, ja będę wybierała artystów.

Barzan uśmiechnął się najszerzej, jak tylko mógł. Bez wątpienia, w ciągu dwudziestu lat pracy dla tego człowieka David nigdy nie widział u niego lepszej gry aktorskiej.

- W sprawach Ravissanta dostanie pani całkowicie wolną rękę - powiedział Barzan. - Proszę jedynie o to, aby trzymać moje nazwisko w tajemnicy, z przyczyn osobistych, których nie mogłaby pani zrozumieć.

A więc nie ma haczyka? Czyżby Tak miał rację? Czy Barzan jest ekstrawagancki dlatego, że ma więcej pieniędzy, niż zdołałby kiedykolwiek wydać?

- Jeżeli - w jakimkolwiek momencie - będę miała choć cień podejrzenia o to, że manipuluje pan rynkiem, odejdę.

Gdy Barzan skinął głową, dodała:

- Chcę mieć tę połowę miliona, o której mowa, już teraz na moim koncie w Chase Manhattan Bank.

- W porządku - zgodził się Barzan.

Po uzgodnieniu z Lauren szczegółów i po jej wyjściu David znalazł Barzana z karafką Remy Martin Baccarata w dłoni, przy oknie, wpatrującego się w Central Park.

- Czy nie powinieneś ostrzec jej przed Ryanem Westcottem? - zapytał. - Powinna wiedzieć o grożącym jej niebezpieczeństwie. Może trzeba było wysłać mężczyznę.

Barzan nie zadał sobie trudu, aby się odwrócić.

- Nigdy nie należy wysłać mężczyzny, aby wykonał zadanie przeznaczone dla kobiety.

2

Londyn, 13 lutego

- Czy twój detektyw dowiedział się czegoś nowego?

- Nie - odpowiedziała Vora.

W lustrze salonu piękności odbijało się spojrzenie ciemnych oczu Basila, który właśnie wpinał w jej naturalne włosy sztuczne kasztanowe pasemko, przyfarbowując obie części łączącym je roztworem. Włosy Vory wydłużyły się dwukrotnie.

- W obecnej chwili to po prostu strata pieniędzy. Minał prawie rok i nic.

Basil współczująco pokiwał głową, której odbicia w potrójnym lustrze tańczyły wśród zwisających paproci i różnokolorowych papug siedzących na żerdziach. Vora obserwowała, jak wpina kolejne dwa pasemka, nie dodając, że właśnie wczoraj zwolniła detektywa. Po skandalu związanym z fałszerstwem dzieł sztuki i po śmierci jej męża, która nastąpiła wkrótce potem, a także po opłaceniu związanych z tym podatków jej finanse i tak były wystarczająco mocno nadszarpnięte, aby mogła pozwolić sobie na marnotrawienie pieniędzy na śledztwo w sprawie, w której jakiegokolwiek podejrzenia były najwidoczniej bezpodstawne. W końcu - śmierć Archera to musiał być wypadek. Ten rozdział jest skończony: trzeba zamknąć drzwi i pogasić światła. Jego już nie ma.

- Lauren Winthrop ciągle sprawia kłopoty? Podwyższona przez kowbojskie buty na wysokim obcasie o co najmniej trzy cale delikatna sylwetka mistrza salonu piękności wydawała się ginać pod obszerną wzorzystą koszulą w tonacji lawendy, ostro kontrastującą z jego ciemnymi włosami postawionymi w sięgający prawie do nieba czub, podczas gdy skóra nad uszami była gładko wygolona.

- Dałam za wygraną. Nic więcej nie mogłam zrobić. Sukienka, którą ma zamiar założyć na dzisiejsze otwarcie, jest prosto od u Harrodsa - uśmiechnęła się Vora, kiedy Basil cmoknął z niesmakiem. - Czarny aksamit, wysoki kołnierz z kryzą, długie rękawy z dodatkowymi falbankami na mankietach.

Basil pokręcił głową. „Beznadziejna” - mówił wyraz jego twarzy.

Vora ciągnęła:

- Ja będę miała na sobie Ozbeka w tonacji kakaowej. Lustrzane odbicie Basila rozpromieniło się w wyrazie aprobaty, gdy usłyszał nazwisko urodzonego w Turcji znawcy mody, któremu kiedyś Margaret Thatcher nadała tytuł projektanta roku. Vora wiedziała, jak bardzo Basilowi Blackstoke'owi zależy na tym, aby jego klienci pokazywali się na wszystkich ekskluzywnych imprezach w najnowszych kreacjach. Podtrzymywało to wysoką markę jego salonu piękności.

- Chciałam ją tu sprowadzić, ale Lauren nie chce zmieniać swojego uczesania. Utrzymuje, że chce nosić ten staromodny kok.

Vora nie dodała, że włosy Lauren są piękne. Takie, jakie są. Oszalaniająca, niebieskooka blondynka. Lauren wyraziła uprzednio zgodę na to, aby Vora wyszukała i urządziła dla niej mieszkanie, a także zatrudniła pokojówkę. Lecz kiedy przyszło do jej wyglądu, Lauren uprzejmie, ale stanowczo przeciwstawiała się wszelkim próbom zmiany.

Lauren delikatnie dała Vorze do zrozumienia, że nie spodziewa się, aby dzisiejsza galowa wystawa akryli Clive'a Holcombe'a odniosła sukces. Zobaczymy. Przekonana o tym, że przeznaczeniem Clive'a jest stanie się nowym Davidem Hockneyem, Vora oczekiwała, że przywróci on Ravissanta do

jego poprzedniego stanu, kiedy był najbardziej liczącą się galerią współczesnej sztuki w Londynie.

Basil rozproszony dłonią jej włosy, przesuwając palcami po wydłużonych lokach.

- No jak, kaczuszeko, co o tym sądzisz?

Vora przyjrzała się bacznie wiśniowej grzywie. Kolor jej oczu harmonizował z lokami. Skręciwszy lekko głowę, uśmiechnęła się na myśl, jak dziwne to uczucie, kiedy włosy tańczą na ramionach.

- Wyglądają jak żywe - wymamrotała, zdumiona swoim odmiennym wyglądem.

- Bo są prawdziwe, ufarbowane na kolor twoich włosów. Założę się, że nikt nie odgadnie, w którym miejscu je wydłużyłem. - Basil zakręcił jedno z pasemek na suszarce. - Będą wyglądać jeszcze lepiej, kiedy je lekko podkręcimy, kaczuszeko.

Zahipnotyzowana, spoglądała na nową Vorę Leighton. Zazdrosna o wysmukłą figurę Lauren, Vora zastosowała drakońską dietę, jedząc jedynie to, co zielone lub białe - jarzyny, drób, ryby - aż straciła piętnaście funtów. Elastyczna opaska, którą w salonie „przemienienia” na końcu korytarza nakładała na swe naleśnikowe uda, wycisnęła z nich nadmiar tłuszczu, tak że stały się wystarczająco gładkie. Teraz ich wygląd można było zaakceptować w nowo zakupionych koronkowych majteczkach, które dzisiaj wieczorem miały mieć swoją premierę.

- Jesteś zupełnie inna, kaczuszeko, zupełnie inna - stwierdził Basil, kiedy ułożywszy włosy, przesłał jej dzikie, lubieżne spojrzenie.

Skinęła głowę, a gdy piękność w lustrze - jak z czasopisma „Elle” - również odpowiedziała skinieniem, wykrztusiła zdumiona:

- Clive umrze z zachwyty.

Basil, mistrz tych cudownych przemian, wzruszył obojętnie ramionami. W końcu kobiety po to odwiedzały jego lśniący nowoczesnością Salon Cudów, aby - po wielogodzinnych sesjach oklepywania i wyciskania z ich ciał zbędnego tłuszczu, po zrobieniu makijażu i nowej fruzury - wyjść stąd kompletnie zmienione.

Wyrażając zachwyt, Vora celowo podrażniła jego ambicję. To dziwne, że Basil został jej najlepszym przyjacielem. Urodził się przecież w pobliżu Marylebone, a ona kształciła się w przyklasztornej szkole za granicą. Przewyciężył jednak swoje pochodzenie, podobnie jak i tak charakterystyczny dla Londynu akcent cockney, przeprowadziwszy się do garsoniery w Soho i znalazłszy pracę jako chłopiec do mycia włosów w pierwszym salonie Vidala Sasoon. Dzięki skrzętnie gromadzonym napiwkom zapisał się do taniej szkoły fryzjerskiej, a po jej ukończeniu podjął pracę w jednym z modnych salonów w Knightsbridge. Tam właśnie znalazła go Vora.

Wróciwszy krótko przedtem do Londynu, Vora nie miała żadnych znajomych. Odwiedzała salon co dwa tygodnie i po pewnym czasie zaprzyjaźniła się z Basilem. Kiedy otworzył własny zakład, gdzie zastosował nowatorską technikę zakładania folii na wałki, została jego pierwszą klientką. Również na jej włosach wykonał eksperymentalną „naturalną” trwałą ondulację, pierwszą w Londynie.

- Czy ustaliliście już z Clive'em datę ślubu? - zapytał Basil.

- Jest jeszcze za wcześnie.

Vora potrząsnęła głową, aby przyzwycząić się do nowej długości włosów. Jej mąż zawsze nalegał na to, aby nosiła fryzurę stylową. I krótką. To przeszłość. Archer nie żyje.

- Rozumiem.



Basil zatańczył w swoich liliowych kowbojskich butach ze srebrnymi czubkami i zagruchał do jednej ze swoich papużek - laureatek ptasich konkursów. Jego umykający wzrok powiedział jej wszystko: Basil wie, że Clive usiłuje się wymigać.

- Jesteś jedyną osobą, która wie, że Clive i ja... widywaliśmy się na długo przed śmiercią Archera. Będzie lepiej, jeżeli jeszcze trochę poczekamy.

Vora powiedziała mu część prawdy. Clive przestał nalegać, aby za niego wyszła, natychmiast po tym, jak powiedziała mu o swoich kłopotach finansowych. Odkąd Lauren została jej współniczką, sytuacja zaczęła się poprawiać, ale Clive o tym się nie dowiedział. Duma Vory nie pozwalała, aby kochał nie ją, lecz jej pieniądze.

Wstając z krzesła, pocałowała Basila w policzek.

- Przyjdiesz dziś wieczorem?

- Nie mógłbym tego przegapić.

- Proszę mi przysłać rachunek - Vora rzuciła na odchodnym do recepcjonistki.

Była zadowolona, że nie musi już dłużej korzystać z karty kredytowej, obciążonej do granic wytrzymałości, co wprawiało ją w zażenowanie. Posiadanie współnika w galerii poprawiło nieco sytuację - przynajmniej na pewien czas. Przy jej stylu bycia nie będzie to trwało długo. Ravissant musi zacząć przynosić dochody - począwszy od dzisiejszego wieczoru.

Ledwie Vora dotarła do domu, który mieścił się przy Belgrave Square, nie opodal Wilton Crescent, nie mogła powstrzymać się od zadzwonienia do Clive'a. Przez dłuższą chwilę przysłuchiwała się sygnałowi, aż doszła do wniosku, że wykręciła zły numer. Spróbowała jeszcze raz. Nadal bez odpowiedzi. Pomyślała, że Clive na pewno bierze prysznic, i

już miała położyć słuchawkę, kiedy usłyszała jego zdławione:  
Halo?

- To ja. Brałeś prysznic?

- Nie... to znaczy... tak. Właśnie wyszedłem.

- Wszystko gotowe na wieczór?

- Na wieczór? Ach, tak, oczywiście... na wieczór. Jak to wszystko wygląda?

- Świetnie.

Vora sama nadzorowała rozwieszanie akryli Clive'a na ścianach, dbając o to, aby powieszono je w miejscach dokładnie przez nią wyznaczonych. Następnie zostawiła Lauren, która miała dopilnować ostatnich niezliczonych szczegółów, a sama udała się do Salonu Cudów, aby się upiększyć.

- Czy dałeś do uprasowania smoking?

- Ach... - przerwał na chwilę - zapomniałem ci powiedzieć, że kupiłem sobie Gianni Versace.

- Taaak? - Vora w ostatniej chwili ugryzła się w język, aby go nie złać. Nie mogło pomieścić się jej w głowie, że mógł wydać tyle pieniędzy, których przecież nie miał, na zakup Versace, zwłaszcza po tym, jak nie mogąc już dłużej znieść jego posępnej miny, zamówiła dla niego wieczorową marynarkę w salonie Gieves & Hawkes, gdzie uszyto mu ją po kilku przymiarkach. Czekala teraz, aż Clive wytłumaczy się ale na próżno. Zamiast wyjaśnień usłyszała stłumiony dźwięk, jak gdyby Clive zakrył dłonią słuchawkę. - Wpadnę po ciebie o wpół do ósmej.

- Nie. Spotkamy się w galerii - powiedział i odłożył słuchawkę.

W najniższej części budynku galerii Ravissant, gdzie mieściły się biura, pod pęczkiem zielonej pietruszki używanej do ozdoby półmisków z przystawkami Lauren odnalazła telefon. Nie zwracając uwagi na kucharzy i ich pomocników,

którzy w szaleńczym pośpiechu przygotowywali na godzinę ósmą część kulinarną uroczystego otwarcia szeroko rozreklamowanej wystawy prac Clive'a Holcombe'a, wykręciła numer do brata w Santa Fe. Po drugiej stronie cisza. Nie znosiła być tak daleko od Paula, kiedy nie wiedziała, czy wszystko u niego w porządku.

Ostatni raz widziała go w Boże Narodzenie. Spotkali się na lotnisku w Santa Fe, dokąd Paul wyjechał po nią samochodem. Przedzierali się przez śnieżną noc w górę Camino de Las Animas.

- Jak ci się podoba? - Paul zatrzymał samochód na wąskim podejździe, otoczonym po obu stronach, pokrytym śniegiem, ceglastym murem. Przez płatki śniegu, opadające powoli w tunel światła reflektorów, Lauren ujrzała ceglastą hacjendę z popękkanymi ścianami.

- Ładna - powiedziała.

Kiedy Paul wyszedł ze szpitala, wysłała go do Santa Fe, a sama tymczasem zajęła się ich sprawami w Nowym Jorku. Patrząc na walący się dom, który Paul kupił, uznała, że chyba się trochę pośpieszyła.

- Wymaga nieco pracy - przyznał Paul, otwierając ciężkie, rzeźbione hiszpańskie drzwi. Podłoga z płytek z terakoty zlewała się ze świeżo wybielonymi ścianami, „ozdobionymi” wystrzępionymi kilimami Navahów. Ręcznie malowane płytki meksykańskie - część z nich odłupana - tworzyły w rogu palenisko okrągłego, stylizowanego na indiański, kominka.

- Pracuję nad tym.

- Nie poświęcaj domowi całego wolnego czasu. Chcę, żebyś trochę pofotografował. Kiedy się tu sprowadzę, otworzę galerię z twoimi pracami.

- Po to kupiłem ten dom - powiedział, prowadząc ją do pracowni z olbrzymim oknem w suficie. - Kiedy wrócisz z Londynu, zaczniesz znów malować.

- Skąd wiesz, że nadal chcę malować? - wyrzuciła z siebie wzruszonym głosem.

Paul otoczył ją ramieniem.

- Tak jak ty, i ja potrafię dostrzec talent. Przestałaś, kiedy się okazało, że Marcy ma raka piersi. Nie sądzisz, że czas zacząć na nowo?

Nie miała odwagi powiedzieć mu, że właśnie przed tygodniem sprzedała swoje olejne obrazy. Kupił je po niskiej cenie jakiś agent zajmujący się kupnem i sprzedażą przedmiotów sztuki użytkowej dla dekoratorów wnętrz, którzy dobierali je nie według ich wartości, lecz ze względu na kolorystykę. Lauren zachowała dla siebie tylko jeden obraz. „Północ w Marrakeszu” zawsze miał dla niej szczególne znaczenie.

Wróciwszy do salonu, Paul rozpałił ogień w kominku, a Lauren tymczasem rozpakowywała swoje rzeczy w sypialni. Wkrótce ostry aromat drzewa piniowego wypełnił dom. Lauren wyszła ze swojego pokoju, trzymając w dłoni świąteczny prezent dla Paula, który siedział na przekrzywionej kanapie, przykrytej nadgryzioną przez mole narzutą Navahów. Położywszy nogi ubrane w sportowe buty Reeboka na prostym drewnianym stole, wpatrywał się w cienie rzucane przez ogień na podparty belkami sufit.

- Oto prezent dla ciebie - wręczyła mu pudełeczko.

- Sądziłem, że nie wymie...

- To ty powiedziałaś, że nie wymieniamy prezentów. Ja nie.

Kręcąc głową z udawanym niezadowoleniem, otworzył pudełko. Przez chwilę patrzył bez słowa na znajdujący się w środku aparat fotograficzny.

- Hasselblad?

- Jeśli masz być najlepszy, musisz mieć to, co najlepsze.

Wyciągnął do niej rękę i posadził ją obok siebie na kanapie.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie podziękowałem ci za opiekę nade mną po śmierci Marcy. A teraz jeszcze to - wskazał na dom, drugą rękę kładąc na aparacie.

- To wcale nie jest więcej, niż ty zrobiłeś dla mnie, pomagając mi wydostać się z Marrakeszu.

Przerwała, nie chcąc w tak szczęśliwej chwili wywoływać wspomnień z przeszłości.

- Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Mamy teraz szansę, aby rozpocząć nowe życie. Szansę na to, aby żyć tak, będziemy chcieli. Obiecuj mi, że nie... zrobisz niczego głupiego.

- To był wypadek, przysięgam. - Paul przejechał dłonią po swych jasnych włosach. - Wziąłem tylko jedną tabletkę.

Lauren doszła do wniosku, że Paulowi pomieszało się w głowie po lampce wina i zażył kilka tabletek. Gdyby dozorca nie wszedł na górę z tą przesyłką i nie znalazł go, Paul by już nie żył.

- Teraz to nie ma znaczenia. Mieliśmy szczęście - powiedziała, odwracając wzrok w obawie, aby nie zobaczył, że kłamie. Nie znosiła go oszukiwać; mieli niewiele tajemnic. Dała jednak Barzanowi słowo, że nikt, nawet jej brat, nie dowie się o ich układzie. Paul myślał, że majątek, którego nagle stali się właścicielami, pochodził z zainwestowania przez zmarłego męża Lauren w nieruchomości.

- Wszystko, co muszę zrobić, to sprawić, aby galeria Ravissant zaczęła przynosić pieniądze.

- Powinienem z tobą pojechać do Londynu. Nie jesteś przyzwyczajona do samotnego życia.

- Poradzę sobie sama. Najbardziej pomożesz mi, jeżeli będziesz tu wszystkiego doglądał.

Czas, który spędziła z Paulem przed wyjazdem do Londynu na początku stycznia, był niezapomniany. Rozpoczynali wszystko od nowa. Nareszcie.

Otrząsnąwszy się ze wspomnień, Lauren postanowiła skoncentrować się na tym, aby dzisiejsza wystawa w Ravissancie przyniosła sukces. Weszła na parter, aby sprawdzić, czy akryle Clive'a Holcombe'a wiszą tam, gdzie powinny. Białe ściany odpowiadały echem wybielonej drewnianej podłodze; gigantyczne płótna podświetlone szwadronem reflektorów ogniskowały na sobie światło, podczas gdy ich otoczenie pozostawało w delikatnym cieniu. Kiedy Lauren powtórnie sprawdzała ustawienie światła, Vora wpłynęła do galerii.

- Jak ci się podoba? - zapytała, równocześnie wręczając służbie zarzucone na ramiona długie futro z szynszyli. Znacząco dotknęła swych kasztanowych włosów.

- Bardzo mi się podoba - Lauren uśmiechnęła się z aprobatą. Pomyślała, że Vora jest do twarzy w długich włosach, ale że powinna mieć na sobie nieco mniej makijażu.

- Wydłużyłam sobie włosy. Będę je nosić, aż moje własne urosną. - Vora spojrzała na Lauren z uwagą. - Wiesz, twoje włosy wyglądałyby fantastycznie w ten sposób.

- Za dużo kłopotu.

Lauren była zadowolona, że Vora Leighton okazała się taka bezkonfliktowa. Jej główne problemy dawały się łatwo rozwiązać w pobliżu Sloane Square w Knightsbridge, gdzie królowały modne butikie znane pod nazwą Sloane Rangers. Vora spędzała w nich mnóstwo czasu. Choć Lauren nie znajdowała szczególnej przyjemności w robieniu zakupów, ona i Vora potrafiły zawrzeć ze sobą całkiem niezły układ. Miały wspólny cel: doprowadzenie Ravissanta na szczyt. Nawet jeżeli Vora nigdy o tym nie wspominała, Lauren

podejrzewała, że kierują nimi te same powody: potrzeba zdobycia pieniędzy.

Jeżeli Vora sądziła, że udaje się jej oszukać Lauren, była w błędzie. Nawet ślepy mógł zauważyć, że Vora kocha Clive'a. Patrząc na jego płótna, Lauren doszła do wniosku, że Clive musi być wspaniały w łóżku. Dla jakiegoż innego powodu Vora zdecydowałaby się wystawić prace tak wątpliwego talentu? Gdyby ogłoszenia o pokazie nie ukazały się w „Art World i Connoisseur”, podobnie jak i we wszystkich gazetach Londynu, Lauren nalegałaby na odwołanie całej imprezy.

Vora wydała z siebie jęk, kiedy do galerii wszedł nobliwie wyglądający mężczyzna o przyprószonych siwizną włosach i wręczył płaszcz szatniarzowi.

- Finley Tibbetts. Przyszedł za wcześnie. Gdzie jest Clive? - wyszeptała Vora i podeszła szybko do drzwi. - Drogi Finley, tak się cieszę, że zdołałeś przyjść.

- Miło cię widzieć, Voro. Nie mogę długo zostać. „Wystarczą dwie sekundy” - pomyślała Lauren. Dwie sekundy na to, aby Finley Tibbetts, krytyk sztuki z „Timesa”, spisał na straty Clive'a Holcombe'a, a wraz z nim Ravissanta. Trzeba to mieć na uwadze. Jej zadaniem jest rozładować sytuację i dać Tibbettsowi do zrozumienia, że następne wystawy w galerii będą na wyższym poziomie.

- Witam - wyciągnęła rękę do powitania - jestem Lauren Winthrop.

Szeroki uśmiech, jakim ją obdarzył, i przychyłne ogniki w niebieskich oczach przeczyły jego reputacji nieubłaganego krytyka sztuki.

- Lauren jest moją nową współniczką - wyjaśniła Vora.

- Byłam konsultantką Takgamy Nakamury.

Dzięki Bogu, że Tak wyraził zgodę na wymienianie swojego nazwiska. Biorąc pod uwagę poziom reprezentowany

przez dzisiejszą kolekcję, musiała być wiarygodna, jak to tylko możliwe.

- Proszę mnie oprowadzić - z dworskim gestem czasów dawno minionych Finley zaoferował Lauren swoje ramię. - Obejrzyjmy prace Holcombe'a.

- Nie miałby pan najpierw ochoty na kieliszek szampana? Zwlekaj tak długo, jak tylko możliwe. Daj Boże, że będzie musiał wyjść, zanim zdąży się dokładnie przypatrzeć.

- W ogóle nie mogę pojąć, w jaki sposób Takgama Nakamura zbudował swoją kolekcję. - Finley pokręcił głową z niedowierzaniem i uśmiechnął się kokieteryjnie. - W tak krótkim czasie.

Popijając szampana, Lauren opisała mu z detalami wszystkie dzieła z kolekcji Taka.

Vora przyglądała się im, stojąc w innej części sali. Lauren zauroczyła Finleya. Nawet nie spojrzał na obrazy Clive'a.

Niepoprawny bawidamek. Z radością będzie schlebiał Lauren aż do końca wieczoru.

Popatrz na to z drugiej strony. Przynajmniej go tu zatrzyma. Nie mogłoby być nic bardziej tragicznego dla jakiegokolwiek wystawy, gdyby nie pojawił się na niej krytyk z „Timesa”. Gdyby Finley Tibbetts wyszedł teraz, większość gości by go nie zauważyła i doszłaby do wniosku, że wystawa nie zasługiwała na jego obecność.

Witając gości, Vora gotowała się w środku. Gdzie, u licha, jest Clive? W końcu pojawił się, z przekrzywioną muszką i bez kaszmirowego płaszcza, który mu podarowała.

- Przepraszam za spóźnienie - przyglądał swoje rozczochrane włosy.

Vora zwróciła uwagę na wieczorową marynarkę włoskiej firmy Versace, o której wspomniał Clive. Podkreślała jego szczupłą sylwetkę. W brytyjskim kroju wyglądałby lepiej.



- Przejdź się po sali - zmusiła swój głos, aby nie zabrzmiał gniewnie, jednocześnie prostując jego muszkę. - Finley Tibbetts jest tutaj.

Clive pobiegł prosto w stronę baru, gdzie gawędzili Lauren i Finley. Vora zdała sobie sprawę, że Clive nie zwrócił uwagi na jej fryzurę.

- Kocham sztukę. Ona tak uszlachetnia - zabrzmiał nagle wysoki kobiecy głos. - Inspiruje.

Vora odwróciła się i wydała bezgłośny jęk. Mootzie McCallister. Kto ją zaprosił? Platynowa blondynka, dziedziczka olbrzymiej fortuny, obwieszona tyłoma diamentami, że można by nimi wykupić wszystkie długi Trzeciego Świata, wtoczyła się do galerii. Miała na sobie przetykaną złotem sukienkę w kolorze niedojrzałego jabłka, której krój nie starał się nawet ukryć jej tłustej talii i szerokich bioder. Według informacji, jakie posiadała Vora, Mootzie nigdy nie interesowała się sztuką. Mężczyznami - tak; sztuką - nie.

- Proszę się rozejrzeć - Vora zmusiła się do zdawkowego uśmiechu.

Witając innych gości zastanawiała się, skąd u Mootzie to nagłe zainteresowanie sztuką. No cóż, z pewnością może sobie na to pozwolić.

W czepku urodzona, Mootzie miała góry pieniędzy. Jej ojciec zrobił fortunę, sprzedając po niskich cenach praktyczne buty w niewielkich sklepikach na stacjach metra. Otwarcie pierwszego sklepu zbiegło się z narodzinami jego jedyne dziecko, Matyldy - „Mootzie”. Z radości dał swoim sklepom nazwę: Mootzie's Tootzies - Stóпки Mootzie. To było przed trzydziestu laty. Obecnie Mootzie miała stosy pieniędzy i nakładała na swoje stóпки wyłącznie buty firmy Maude Frizon. Numer dziesięć.

Ryan Westcott przedarł się przez tłum przy wejściu do Ravissanta. Galeria była wypełniona ludźmi do tego stopnia, że - stojąc w drzwiach - nie można było należycie przyjrzeć się eksponatom. Rozpychając się szerokimi ramionami, uTORował sobie drogę i wcisnął się do środka. Wyższy o głowę od pozostałych, bez trudu zlustrował to „światowe” towarzystwo, w którym dostrzegł paru mniej znanych posłów do Parlamentu. Oprócz nich kilku aktorów telewizyjnych, a także Arabów, pijących szampana.

Nie było tu nikogo z wielkich postaci świata współczesnej sztuki - jedynie ci, którzy chcieliby się w nim znaleźć. Ach, jeszcze Finley Tibbetts. Ten kutas. W końcu przestał gnoić artystów. Co gorsza, jeszcze mu za to zapłacono.

Tibbetts wyszczerzał się do odwróconej tyłem do Ryana blondynki. Włosy spięte w kok, szczupły tyłek, fantastyczne nogi. Twarz prawdopodobnie taka, że mogłaby straszyć.

- Ryan! - usłyszał kobiecy głos na wysokości swojego ramienia.

Spojrzał w dół, siląc się na uśmiech. Jakże, do cholery, ona się nazywa? Niech to diabli, nie pamiętał. Zawszona dziwka z długimi paznokciami, które zostawiły piekące jeszcze przez tydzień zadrapania na jego plecach.

- Jak się masz?

Ruda flądra zaczęła paplać o swoich ostatnich zakupach w Mediolanie i o nowej willi na Minorce. Ryan słuchał jej przez chwilę, po czym znacząco spojrzał na zegarek.

- Muszę być wkrótce w Crockfords - powiedział, chociaż wieczór w tym klubie gier hazardowych rozpoczynał się o wiele później.

Przecisnął się obok pedała w kowbojskich butach koloru lawendy i stanął przed kelnerem, podającym szampana w wysokich kryształowych kieliszkach.

- Gin - zamówił, lecz kelner milcząco potrząsnął głową. Kapitalnie, oczywiście należy podziękować Vorze Leighton za to, że nie można tu się napić niczego z wyjątkiem taniego soku. Wychylił kieliszek szampana, postawił go na tacy i sięgnął po następny.

Mniejsze pomieszczenie galerii było prawie całkowicie puste, kiedy Ryan przechadzał się wzdłuż ściany obwieszanej serią prac. Wypływały brąz i pożółkła zieleń poprzetykane szarymi plamami sprawiały wrażenie, jakby ktoś rozlał farbę na płótnie. Rany boskie, jeżeli sztuka ma naśladować życie, to życie jest chyba szambem. Nie było tu niczego odpowiedniego do kolekcji T.J. Griffitha.

Jednakże czuł, że ma wobec T.J. obowiązek sprawdzenia, co reprezentuje sobą Holcombe. Kiedy Sotheby wystawił na aukcji „Falstart” Jaspera Johnsa, wart początkowo zaledwie nieco ponad trzy tysiące dolarów, a później sprzedany za ponad siedemnaście milionów - rekord, jeśli chodzi o dzieła artystów żyjących - akcje kolekcji Griffitha gwałtownie wzrosły. W jego rezydencji przy Palace Green znajdowało się bowiem pięć malowideł Johnsa.

Nie ma wątpliwości, dzieła sztuki stały się niejako światową walutą, wypierając nawet złoto i diamenty. A w dodatku wartość ich wzrastała coraz gwałtowniej. Ryan przypomniał sobie historię fioletowych irysów van Gogha. Jak to, u licha, się nazywało? „Irysy”. Sprzedano je za blisko pięćdziesiąt cztery miliony dolarów. W zeszłym tygodniu jednakże inny van Gogh - „Portret Dr. Gacheta” - zdecydowanie przebił tę cenę, bo zapłacono za niego ponad osiemdziesiąt dwa miliony. Impresjoniści osiągnęli niebotyczne ceny. Idąc ich śladem, sztuka współczesna nabierała wartości w zdumiewającym tempie.

Ryan dopił szampana i uśmiechnął się do siebie. Biedny stary van Gogh. Facet najprawdopodobniej przewraca się teraz

w grobie. Za swojego życia sprzedał zaledwie jeden obraz, za kilka nędznych franków.

W porównaniu z van Gogiem to wszystko tutaj jest gównem - zdecydował Ryan po obejrzeniu eksponatów w obu pomieszczeniach. Przypomniawszy sobie, że T.J. odkrył Johnsa, Hockneya i wielu innych, zanim ich nazwiska stały się wielkie. Ryan miał to teraz kontynuować. Miał precyzyjne oko; wierzył w instynkt. Tak jak w ruletce: albo wygrasz, albo przegrasz. Im wyższa stawka, tym bardziej kusiło Ryana, aby ryzykować.

Vora stała przy wejściu do sąsiadującego z główną salą hallu, szukając wzrokiem Clive'a. Wyglądało na to, że gdzieś się zapodział. Wielkie nieba! A to kto? W przeciwległym rogu, odwrócony do niej tyłem, stał ciemnowłosa mężczyzna w sportowej marynarce. Widocznie nie był zaproszony, bo z pewnością miałby na sobie smoking. Przeszła przez pokój w jego stronę.

- Proszę mi wybaczyć, ale to prywatne... - przerwała w pół słowa, kiedy Ryan Westcott odwrócił się do niej twarzą.

Pojawił się na niej ten zuchwały uśmieszek, który obezwładnił już tyle kobiet. Ale nie ją. Pomimo uśmiechu, zniewalające, zielone oczy Ryana były znużone, przygasłe. Nieszczere. Było w nim coś, co napełniało ją lękiem.

- Ryan, to fantastyczne, że cię widzę. Kiedy nie odpowiedziałeś na zaproszenie, pomyślałam, że cię nie ma w kraju.

Nadal się uśmiechał; wiedział, że Vora kłamie. Nigdy nie odpowiadał na zaproszenia, które - nawiasem mówiąc - były faktycznie kierowane do T.J. Jeśli Ryan był w odpowiednim nastroju, po prostu przychodził.

- Masz Boodles? - potrząsnął odwróconym do góry dnem kieliszkiem przed oczami Vory. Był znudzony. Musiał coś

zrobić, aby zabić czas. W Crockfords o tej porze nikt jeszcze nie gra.

Vora odpowiedziała niewyraźnie, że chyba postara się coś zdobyć, i szybko się zmyła.

Ryan opuścił dłoń i przekręcił noszony na małym palcu złoty pierścień z wyrzeźbioną głową lamparta o wypukłych szmaragdowych oczach. Od lat pierścień ten przynosił mu szczęście. Zawiódł go tylko raz. Ten najważniejszy. Ryan nie wierzył w los. Już nie.

Vora precyzyjnie się przez tłum i stanęła przy barze. Louis Roderer Cristal, szampan, który kazała podać, miał markę najlepszego na świecie, a Ryan Westcott dopraszał się o gin. Oczywiście, brak gustu. No cóż, czego można spodziewać się po człowieku, którego ojciec był Amerykaninem i który spędził swoje młode lata w koloniach?

Podsunała barmanowi pusty kieliszek.

- Podaj mi Boodles. Spojrzał na nią pytająco.

- Na dole, w szafce z alkoholem.

Popatrzyła ponad głowami tłumu. Ryan Westcott czekał na swój gin, a Clive'a nadal nie było nigdzie widać. Recepcjonistka ściągnęła Vorę wzrokiem i uniosła do góry palec. Znak, że jeden obraz został sprzedany.

- Kto? - Vora poruszyła wyraźnie wargami i uważnie wpatrywała się w usta recepcjonistki, aby móc odczytać odpowiedź. Mootzie McCallister, a niech to! Ta właśnie osoba, znana z przerażająco złego gustu. Vora popatrzyła na wykładaną diamentami tarczę swojego Piageta. Została im niepełna godzina.

Od czasu gdy T.J. Griffith przestał pokazywać się publicznie, po tym jak podłożona w jego samochodzie bomba zeszpeciła jego wygląd, jego asystent, Ryan Westcott, często zabierał obrazy z wystawy, aby Griffith sam mógł je ocenić i zdecydować, które z nich zatrzymać, a które odesłać. Gdyby

Ryan zabrał z sobą jakiś obraz - nawet jeżeliby go później zwrócił - wystawa byłaby uratowana. Wszyscy doszliby do wniosku, że Griffith interesuje się Clive'em. Gdzie, do diabła, podział się kelner z ginem?

Vora przypomniała sobie, że zamknęła szafkę z alkoholem na klucz, aby uchronić ostatni Armagnac, rocznik 37, należący jeszcze do Archera, przed wyłopaniem go przez służbę. Litości! Kiedy coś się nie układa, to naprawdę na całego. Kropelki potu pojawiły się na jej szyi i poczuła, jakby wędły jej loki. Otarłszy niedbale pot brzegiem dłoni, nakazała sobie zachować spokój.

Dostrzegłszy Lauren, nadal rozmawiającą z Finleyem, przecisnęła się w ich kierunku przez zebrany tłum.

- Lauren, jesteś mi potrzebna - odezwała się nienaturalnie wysokim głosem.

Z podążającą za nią Lauren Vora ponownie przedarła się pomiędzy gośćmi i zatrzymała się przy wejściu do mniejszego pomieszczenia galerii.

- Ten w sportowej marynarce to Ryan Westcott - wyjaśniła, wskazując na odwróconego do nich tyłem mężczyznę. - Zabaw go przez chwilę swoimi opowieściami o Nakamura. Zaraz wracam.

- A niech to - wymamrotała Lauren. Ryan Westcott miał być nieobecny. Nie zdążyła się jeszcze przygotować na spotkanie z asystentem Griffitha. Aby przykuć jego uwagę, potrzebowała utalentowanego artysty. Tylko spokojnie. Mogłaby spróbować powymachiwać Westcottowi przed nosem wspaniałą kolekcją Taka i odwrócić jego uwagę od prezentowanej tego wieczoru wystawy, tak jak udało się jej z Finleyem Tibbettsem.

Próbowała przypomnieć sobie to, o czym mówiła jej Vora, kiedy dyskutowały o największych kolekcjonerach na artystycznej scenie Londynu. Vora niewiele wiedziała o

Ryane, z wyjątkiem tego, iż jest on nieco po czterdziestce i że pracuje dla Griffitha od około dwudziestu lat. Po wybuchu bomby Westcott przeprowadził się do posiadłości Griffitha przy Palace Green, skąd kierował jego interesami. Lauren potrzebowała poparcia Ryana, aby uczynić z Ravissanta galerię pierwszej kategorii.

Z rękami wspartymi na biodrach stał przed olbrzymim płótnem, ukrytym tu celowo, nawet Vora bowiem zdawała sobie sprawę, że jest to jedna z najsłabszych prac Clive'a, nie nadająca się do głównej sali wystawowej. Mimo że Westcott stał do niej tyłem, Lauren wyczuła pewną wrogość w sylwetce jego ramion i sposobie, w jaki lekko przekrzywił głowę z falującymi ciemnymi włosami, spływającymi mu na kołnierz.

Z wyciągniętą do powitania dłonią i z przyklepionym uśmiechem pani domu zbliżyła się do niego.

- Witam. Nazywam się Lauren Winthrop. Westcott szybko się odwrócił, aby na nią spojrzeć.

Zmierzył ją dokładnie wzrokiem, począwszy od gładkich jasnych włosów, aż do jedwabnych pantofli.

- Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś?

Powiedzenie stare jak świat. Lauren z trudem zwalczyła ochotę, aby mu o tym powiedzieć. Dostrzegła jednak wyraz autentycznego zakłopotania na jego twarzy. Albo naprawdę sądził, że się gdzieś wcześniej spotkali, albo był cholernie dobrym aktorem.

- Nie, nie spotkaliśmy się.

Jego przenikliwe oczy zlustrowały ją bez zwykłego blasku pożądania, jakiego często można było się dopatrzeć w wilczych spojrzeniach mężczyzn.

- Nigdy się nie myłę - nie przyjął jej wyciągniętej dłoni, lecz schował swoją do kieszeni spodni.

Nie wiedząc, jak powinna postąpić wobec takiego grubiaństwa, Lauren stała chwilę bez ruchu, przypatrując się Ryanowi. Nos miał zbyt zakrzywiony, aby można go było zaliczyć do przystojnych. Ostre rysy opalonej twarzy podkreślały intensywną zieleń oczu. Ciemne włosy, nieco dłuższe niż wymagała tego dzisiejsza moda, połyskiwały jak futerko norki.

- Co pan sądzi o dzisiejszej wystawie? - zapytała, aby wypełnić niezręczną ciszę.

- Nędzna.

Zmieszana jego obraźliwym stwierdzeniem, Lauren starała się jednakże zachować uśmiech. Spoglądał na nią wzrokiem pełnym niechęci, a może nawet gniewu, nie zwracając uwagi na jej uśmiech. Co za cham!

- Proszę, oto twój gin, Ryan - dobiegł z tyłu głos Vory. Stojący obok Vory Finley Tibbetts taksował wzrokiem figurę Lauren, wygłaszając jednocześnie wykład na temat najnowszych trendów we współczesnej sztuce. Lauren modliła się w duchu o to, aby Ryan Westcott nie podzielił się z Finleyem swoją opinią na temat twórczości Clive'a.



- Po prostu nie mogłam oprzeć się pokusie nabycia obrazu Holcombe'a - głos zbliżającej się Mootzie można było chyba usłyszeć po drugiej stronie Tamizy.

Gdy nieco wcześniej Finley przedstawił je sobie, Lauren pomyślała, że Mootzie nie wygląda na osobę kolekcjonującą prace współczesnych artystów, ale lata doświadczeń nauczyły ją, iż pozory często mylą.

- Kupiłam właśnie ten - Mootzie wskazała na olbrzymie płótno, przed którym stali Lauren i Ryan.

- Czy można się w nim nie zakochać? - Mootzie skierowała swoje pytanie do Finleya, widząc, jak promieniejący Clive zbliża się w ich kierunku.

Finley pociągnął niewielki łyk szampana i starannie zlustrował obraz.

- Interesujący. Wielce interesujący.

Kiedy Mootzie wybuchnęła uradowanym chichotem, a reszta towarzystwa wygłaszała uprzejme komentarze, Ryan pochylił się do ucha Lauren tak blisko, że jego usta delikatnie dotknęły jej małżowin:

- Dla Brytyjczyka oznacza to „gówno warte.”

- Proszę nam powiedzieć, co wyraża pana dzieło - zwrócił się Finley do Clive'a, z oczami nadal utkwionymi w Lauren.

Napis na ściennej tabliczce głosił: „Zejdźcie do czyścica”, ale Lauren miała wątpliwości, czy ktoś mógłby go odczytać. Już wcześniej powiedziała Vorze, że jej zdaniem tabliczki informacyjne są zbyt małe, a napisy zbyt wymyślnie stylizowane. Postanowiła, że następnym razem tablice będą większe, a litery proste i duże.

Wskazując na grudkę grubej na dwa cale farby w dolnym rogu płótna, Clive Holcombe rozpoczął:

- Oto Feniks powstający z popiołów duszy. A to - zwrócił uwagę na dwa nieregularne zgrupowania szarości i nakrapianej zieleni rozrzucone po przekątnej - reprezentuje

odwieczną wędrówkę człowieka w poszukiwaniu miłości i spełnienia.

- A ja myślałem, że ktoś rozrzucił gówno po płótnie - Ryan szepnął jej do ucha.

Udała, że go nie słyszy, mając nadzieję, iż nikt nie zauważył jego szyderczego uśmiechu. Oczami wyobraźni widziała już, jak Finley - w tej chwili z nosem na płótnie, jak niedowidzący krótkowidz - obsmarowuje Clive'a i całą galerię w jednej ze swoich nikczemnych recenzji.

- Rozumiem - powiedział po chwili. - To transcendentalne zmartwychwstanie duszy. Afirmacja życia samego w sobie.

Wszyscy z wyjątkiem Ryana i Lauren przytaknęli aprobująco.

- A to - Clive wskazał na jadowitozieloną plamę w szare kropki - to jest kulminacja: odrodzenie się ducha.

- W takim razie ciekawe, dlaczego nazwał to piekłem? - głos Ryana mogła usłyszeć tylko Lauren.

W obawie, aby nikt nie usłyszał komentarzy Ryana lub nie przeczytał tabliczki informacyjnej, Lauren próbowała odwrócić uwagę zgromadzonych od obrazu.

- Czy wszyscy wybierają się na przyjęcie?

Vora zaprosiła kilka wybranych osób na kolację po zamknięciu wystawy. Oprowadzenie ich po mieszkaniu Lauren wydało się jej utrzymanym w dobrym tonie sposobem, aby dać wszystkim do zrozumienia, że Lauren Winthrop ma pieniądze. Tu w Anglii cieszyła się opinią bogatej wdowy, która zaszczerpiła galerii trochę żywej gotówki.

- Nie sądziłem, że będę w stanie przyjąć zaproszenie, ale teraz poszedłbym z rozkoszą - Finley uśmiechnął się do Lauren. - Przepraszam za dodatkowy kłopot.

- To żaden kłopot - odpowiedziała, zastanawiając się, czy będą w stanie dostawić do stołu jeszcze jedno krzesło. - Będzie nam niewymownie miło pana gościć.

- A także Mootzie - dodał Clive.

- Oczywiście - Lauren odparła z przymusem. Uśmiechnęła się promiennie, chociaż nie miała pojęcia, w jaki sposób zdoła wszystkich umieścić przy stole. Vora poleciła przygotować uroczysty obiad z siedmiu dań i umieścić na stole wizytówki z nazwiskami zaproszonych. - Zapraszamy wszystkich. Dołączę do państwa, jak tylko zamknę galerię.

Całe towarzystwo oddaliło się. Pozostał tylko Ryan.

- Proszę mi powiedzieć, ale szczerze, jak się to pani podoba?

- Widzi pan - zaczęła wymijająco - Finley dostrzegł w tym wartość.

- Tibbetts nie potrafi odróżnić swojego fiuta od obrazu Salvadora Dali.

Lauren zmarszczyła brwi, słysząc tę dosadną, ale precyzyjną ocenę.

- Holcombe nie tylko nie zapamiętał tytułu. Ten obraz wisi do góry nogami.

- Jest pan niepoważny.

Ryan wskazał na lewy górny róg obrazu. Zmrużywszy oczy, Lauren dostrzegła ledwie widoczne H, z podążającym za nim niewyraźnym zawijaszem, który ginął gdzieś w zielono - brązowym bagnie.

- Jak mogłam to przeoczyć?

Vora stała przy krawężniku w towarzystwie odjeżdżających gości czekając na swego jaguara, kiedy prowadzony przez szofera, należący do Mootzie bentley turbo, z Clive'em w środku, przemknął obok niej w kierunku Berkeley Square. Na Mootzie można było polegać. Kupiła najgorszy obraz z całej wystawy.

Trzymający - jak zwykle - fason, Clive zdołał przedstawić Finleyowi prawdziwą interpretację swojej pracy. Szkoda tylko, że pomylił obrazy. Na szczęście nikt inny nie dostrzegł

tytułu. W przeciwnym razie Clive zrobiłby z siebie błazna. I ośmieszyłby Ravissanta.

Vora otuliła się szynszylami. Zaczynało lekko mżyć. Musiała szybko dotrzeć do mieszkania Lauren i dać znać Christianowi Delteil, szefowi kuchni z wielogwiazdkowego Arlekina, że będzie nieco więcej gości. Miała nadzieję, że dziesięcioprocentowa nadwyżka, jaką kuchnia zazwyczaj przygotowywała, pokryje dodatkowe zapotrzebowanie.

- Chodź - usłyszała za sobą głęboki głos. - Zanim doczekasz się na samochód, twoje futro będzie zniszczone. Podrzucę cię. Zaparkowałem po drugiej stronie.

Podniosła wzrok i napotkała zielone oczy Ryana Westcotta.

- Stokrotne dzięki.

Vora nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć. Ryan, bez wątpienia męski typ, patrzył z tak prowokującym wyrazem połyskujących oczu, że większość kobiet nie potrafiła mu się oprzeć. Ale Vora wydawał się zbyt szczery, zbyt nieobliczalny. Nieokiełznany.

- Podobają mi się twoje włosy. Lubię długie włosy - uśmiechnął się, i po raz pierwszy Vora poczuła namiastkę tego, co mogły widzieć w nim inne kobiety. Doleciał ją zapach Lorda z Penhaligona, wody po goleniu. Może, w końcu, miał w sobie coś z klasy.

- Mężczyznom podobają się długie włosy. Lubimy wyobrazać sobie, jak wyglądałyby rozpostarte na poduszkach. Nie lubimy krótkich włosów, które wymykają się nam z rąk.

Vora powstrzymała się od skomentowania tej erotycznej uwagi. Od lat to ona wybierała mężczyzn, takich jak Clive. Od początku, gdy poznała Clive'a na wystawie w galerii Clore - bocznym skrzydle Tate Gallery - to ona była stroną atakującą. Nie była pewna, czego chce Ryan, ale zdawała sobie sprawę z tego, że nie byłaby w stanie z nim sobie poradzić. Prawdę

mówiąc, nie mogła już dłużej poradzić sobie nawet z Clive'em.

- Czytałem w „Financial Times”, że czynsze za mieszkania wokół Berkeley Square dorównują już czynszom w City. Czy nie zaszkodzi to Ravissantowi? Na jak długo masz umowę? - zapytał Ryan.

- Radzimy sobie znakomicie - odrzekła lapidarnie, z ulgą przyjmując zmianę tematu. Skłamała oczywiście, a Ryan był wystarczająco bystry, żeby o tym wiedzieć.

Od czasu, gdy firma reklamowa Saatchi Saatchi przeprowadziła się na Berkeley Square, ceny w całym sąsiedztwie zaczęły dorównywać tym z dzielnicy finansowej City. Głosy bijące na alarm odbiły się echem na wszystkich uliczkach przylegających do Berkeley Square. Mający swą siedzibę przy Bruton Street, o krok zaledwie od Berkeley Square, Ravissant nie był w tym względzie wyjątkiem. Umowa o najem lokalu miała wygasnąć za rok, a wtedy właściciel budynku, Królewskie Przedsiębiorstwo Handlu Nieruchomościami, podniesie zapewne czynsz. Do tego czasu Ravissant musi zacząć zarabiać na sobie, w przeciwnym razie nie będzie można przedłużyć umowy.

- Oto jesteśmy - Ryan zatrzymał się przy samochodzie i sięgnął do kieszeni po klucze.

Wyjrząwszy spod parasola, Vora stłumiła okrzyk zdumienia. Nic dziwnego, że Ryan Westcott znalazł miejsce do parkowania. Podczas gdy lokaje zmuszeni byli ściągać samochody zaparkowane kilka ulic dalej, Ryan wjechał swoim czarnym jak noc astonem - martinem na chodnik tuż przed Barclayowskim salonem rolls - royce'a.

Ryan nie od razu włożył kluczyk do drzwi. Wydawał się wpatrywać w zielone światelko, mrugające ku nim wprost znad tablicy rozdzielczej. Zastukał w szybę i zawołał:

- Uciekaj do tyłu, Iggy.

W ciemnym wnętrzu samochodu mały, tłusty brązowy pies - niewątpliwie mieszaniec - skoczył znad konsoli na wąskie siedzenie tuż za przednim fotelem.

Ryan przytrzymał rozłożony parasol nad Vorą, która zniżyła głowę, aby wejść do nisko zawieszzonego sportowego auta. Nie mogła ukryć podziwu dla kunsztownie wykonanego modelu astona - martina volante, którego tablica rozdzielcza przypominała statek kosmiczny. Była ciekawa, czy należał do pracodawcy Ryana, T.J. Griffitha. Bo chyba nie do Ryana, biorąc pod uwagę cenę, przewyższającą nawet bentleya czy rolls - royce'a.

Poczuła wilgotny nos, obwąchujący jej opadające na ramiona loki, i odwróciła się, aby pogłaskać kundla. Zwierzę chrząknęło.

- To świnią!

Ryan otworzył drzwi kierowcy w momencie, gdy zwierzę właśnie wskakiwało Vorze na kolana, węsząc i chrząkając.

- Iggy! - osunąwszy się na siedzenie, Ryan dał śwince znak. - Nie narzucaj się.

Iggy powitała Ryana, wydając szereg tkliwych chrząknięć, gdy ten głaskał ją po uszach.

- Pigcasso, poznaj Vorę Leighton!

Świnka chrząknęła jeszcze raz, jakby na potwierdzenie, że zrozumiała każde słowo.

- Nie bój się. Pigcasso - wołam na nią Iggy - nic ci nie zrobi.

Ryan włączył światła samochodu.

- No, pogłaskaj ją.

Vora ostrożnie dotknęła łebka zwierzęcia. W świetle mogła zauważyć, że Pigcasso nie jest typową świnką hodowlaną. Jej ryjek był o wiele krótszy niż u zwykłej świni. Ogonek Iggy nie był zakręcony, lecz sterczał prosto. Widoczna pod sierścią skóra wcale nie była różowa, lecz

brązowa, a futerko miękkie jak u szynszyli. Była wielkości małego psa.

- Przecież to ciągle małe prosiątko.

- Nie, Iggy jest w pełni dorosła. Należy do miniaturowej odmiany świni wietnamskiej. Pochodzącej z Chin. Nigdy już nie będzie większa.

- Nie obawiasz się, że pogryzie ci obicie i zniszczy ... -  
zawahała się, zastanawiając ponownie nad tym, kto jest właścicielem tego drogiego auta - ... twój samochód.

- Nie. Iggy jest wytresowana. Załatwia swoje potrzeby w wyścielonym pudełku. Śpi w moim łóżku.

Strzelił palcami i wskazał na tylne siedzenie. Iggy wskoczyła tam natychmiast.

Przez chwilę Vora wyobraziła sobie jedną z tych boskich blondynek, które Ryan notorycznie uwodził, przyklejoną do niego - a obok Iggy. Ludzie mieli rację. Ryan Westcott to zbzikowany facet.

- Czy obwąchuje mnie z jakiegoś szczególnego powodu?  
- zapytała Vora, gdy Iggy pochyliła się do przodu, nieustannie węsząc i wymachując ogonem jak pies.

- Sprawdza twoje futro. Zastanawia się zapewne, czy to nie jakiś jej krewny.

Ryan przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zawarczał niecierpliwie.

Vora roześmiała się. Volante, znany z przyśpieszenia, zjechał gwałtownie z chodnika, zostawiając za sobą stateczne rolls - royce'y, wyglądające z zazdrością z salonu. Vora modliła się z zamkniętymi oczami, a Iggy kwiczała z zachwytu, kiedy Ryan pędził po zmytych deszczem ulicach Mayfair do domu Lauren. Volante nagle przystanął, potwierdzając, że zabezpieczone przed zablokowaniem hamulce są najwyższej klasy. Stali przy Grosvenor Square -

Vora jakoś zdołała podać mu adres pomiędzy kolejnymi zdrowaškami.

- Czy znajdzie się dla mnie miejsce? - zapytał, pieszcząc niedbale jedną ręką Iggy, która pochyliła się do przodu i oparła łeb na ramieniu Vory.

- Ależ oczywiście - Vora natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że zaproszenie Ryana Westcotta na kolację to mistrzowskie posunięcie. Rzadko pokazywał się publicznie po tym, jak Griffith omal nie zginął w zamachu bombowym.

- Wezmę Iggy na chwilę przed ambasadę amerykańską i pozwolę jej zanieczyścić tam chodnik. Zaraz wracam - zakomunikował Ryan, odprowadzając Vorę do wejścia.

Z uczuciem ulgi Vora weszła do budynku. Powitawszy dyżurującego na parterze portiera, pojechała windą na ostatnie piętro.

- Dobrze się spisałaś - Ryan pochwalił Iggy, która właśnie wskoczyła z powrotem na przednie siedzenie. Klepnął ją lekko w tył głowy. Zakwicziała cicho. Jej królicze, brązowe oczy wpatrzone były w Ryana, który właśnie włączał radio, nastawione na stację Capitol. Muzyka rockowa zespołu The Quire Boys rozbrzmiewała głośno, gdy sportowy samochód Ryana sunął powoli w dół ulicy, zatrzymując się dopiero przed betonowym bunkrem - ambasadą Stanów Zjednoczonych. Ryan zlustrował teren, wypatrując patrolujących otoczenie budynku funkcjonariuszy policji miejskiej. Najwidoczniej byli z tyłu budynku. Nachylił się ku Iggy i otworzył drzwi.

- Biegnij teraz. Tylko pośpiesz się. Zostaw Holcombe'a jankesom.

Kiedy Iggy podreptała w górę szarymi kamiennymi schodami, Ryan z szeroko otwartymi oczami czekał na pojawienie się policjantów. Myśli jego krążyły wokół Lauren Winthrop. Stworzone jakby ręką artysty jej klasyczne rysy



odznaczały się delikatnością. Jedyne usta były nieco pełniejsze, bardziej zmysłowe, prawie doskonałe. Marzenie każdego mężczyzny. Z pewnością jego. Mógłby się założyć - nawet o swoje życie - że ją już kiedyś spotkał. Ale gdzie?

Ryan spostrzegł dwóch strażników wychodzących zza rogu. Otworzył drzwi i zagwizdał. Prychając na wszystkie strony, Iggy wcisnęła się do samochodu. Ryan sięgnął po znajdujący się w tyle ręcznik. Nagle zadzwonił telefon. Ryan narzucił ręcznik na Iggy i ściszył radio.

- Słucham?

- Sądziłem, że będziesz w Crockfords - usłyszał głos Petera Stirlinga.

- Nie miałem ochoty grać dzisiaj - Ryan poprzestał na tym wyjaśnieniu. Czuł niechęć do wywiadu brytyjskiego, którego psy kontrolowały każdy jego krok na terenie całego miasta. - Coś nowego na temat Barzana?

- Jego specjalny wysłannik jest w Londynie. Zachowaj ostrożność. Może wykonać ruch przeciw Griffithowi o każdej porze.

Przytrzymując słuchawkę ramieniem, Ryan zabrał się do energicznego wycierania ręcznikiem sierści Iggy, używając do tego obu rąk.

- Macie jakieś dane? Nazwisko? Rysopis?

- Niestety nie - odpowiedź wyrażała zakłopotanie. - To wszystko, co wiemy.

- Co za kupa matolów. Wywiad izraelski miałby zdjęcia, sposób działania, najważniejsze akcje. Ale nie MI - 5. Czekaemy trzy pieprzone miesiące, rozglądając się na wszystkie strony, a teraz wszystko, co możesz mi powiedzieć, to to, że agent Barzana w końcu stąpa po brytyjskiej ziemi. Czego ode mnie oczekujesz? Mam zorganizować przyjęcie?

- Organizacja Barzana jest równie nieprzenikniona jak nasza. Mamy tam wtyczkę. Nie w punkcie strategicznym - tak

jak byśmy chcieli - ale lepsze to niż nic. Od tej chwili musisz zachować szczególną ostrożność. Barzan postara się dotrzeć do Griffitha przez ciebie. Nie ma innego sposobu.

- W porządku.

Cisnął rękami Iggy na tylne siedzenie. Cholernie nienawidził być przynętą. Pieprzenie o płaszczu i szpadzie można zostawić zawodowcom. Gdyby nie miał wobec Griffitha długu wdzięczności, wyjechałby od razu po zamachu. Każdy będący przy zdrowych zmysłach tak by uczynił.

- Chcę, żebyś był ze mną w stałym kontakcie. Dwa razy dziennie. Melduj o wszystkim niezwykłym. My to sprawdzimy. Najważniejsze jednak, żebyś zachowywał się normalnie. - Peter zawahał się, co miało znaczyć, że nie ma pojęcia, co dla Ryana Westcotta znaczy „normalnie”. - Nie pozwól im zorientować się, że cokolwiek podejrzewasz. Czy wydarzyło się już coś podejrzanego?

Ryan zawahał się, lecz postanowił nie ryzykować w najmniejszym nawet stopniu.

- Poznałem dziś wieczorem kobietę. Jestem pewien, że spotkałem ją już wcześniej, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie.

- Naprawdę? - Stirling zamilkł na chwilę. Ryan słyszał, jak wciąga dym z fajki, przeżuując tę informację. - Jak się nazywa? Zobaczmy, co na to nasz komputer.

- Lauren Winthrop.

Bawiąc się uchem Iggy, Ryan czekał na odpowiedź. Próbował przekonać samego siebie, że Lauren wcale go nie interesuje. Dlaczegoż więc wprosił się na kolację? Żeby posłuchać tych zarozumiałych zaszrańców, takich jak Tibbetts, wypluwających z siebie swoje uczone analizy? Nie. Przyznaj, chłopie, zaintrygowała cię.

- Nie ma tutaj zbyt wiele. Włosy blond, oczy niebieskie. Po prostu rysopis. Tak sugerował ton głosu Stirlinga.

- Mówi płynnie po japońsku i francusku. Jej ojciec był Amerykaninem w służbie dyplomatycznej. Zmarł przed dwudziestu dwoma laty. Matka - Brytyjka. Wyszła ponownie za mąż za Ruperta Armstronga.

- Tego sukinsyna! Właśnie. Byłem pewien, że ją znam.

Iggy, zaniepokojona triumfalnym śmiechem Ryana, usiłowała znaleźć schronienie pod jego marynarką, wpychając się tam ze swoim ryjkiem.

- Lauren to wykapana matka - Caroline Armstrong.

Młodsza wersja tej suki, podobieństwo jednak niewątpliwe. Zaczesane do tyłu i związane w surowy kok włosy Lauren zmyliły go tak bardzo, że jej nie rozpoznał.

Jej matka, Caroline Armstrong, czesała się na klasycznego pazia.

- Co ma z tym wspólnego Caroline Armstrong?

- T.J. miał bzika na jej punkcie.

Ryan nie dodał, że Caroline wykiwała Griffitha, przyznając dopiero pod naciskiem, że nie zostawi Ruperta Armstronga. Obecność w sporządzonym przez Debretta wykazie parów i ich żon, razem z galerią poskręcanych ze starości, kuśtykających alfonsów, znaczyła dla Caroline więcej niż mężczyzna taki jak T.J. Griffith, który sam doszedł do fortuny. Suka. T.J. nigdy w życiu nie kochał bardziej żadnej kobiety.

- Nikt oprócz mnie nie wiedział o tym, co zaszło między nimi.

- Jesteś tego pewien? - ton głosu Stirlinga wyrażał wątpliwość.

- Najzupełniej. Caroline nigdy nie powiedziała by nikomu. Panicznie bała się utracić Armstronga.

- Czy ty lub T.J. spotkaliście kiedyś Lauren w czasie waszych podróży do Marrakeszu?

- Nie. Caroline Armstrong rzadko wspominała o dzieciach. Myślałem, że sprawiają kłopoty. Narkotyki czy coś podobnego. Kiedy T.J. i ja poznaliśmy Armstrongów, ich dzieci nie mieszkały już w Marrakeszu.

- Interesujące - odparł Stirling, ssąc zapamiętałe fajkę.

- Coś jeszcze na temat Winthrop? - Ryan zaskoczył sam siebie tym pytaniem.

- Studiowała sztukę na Sorbonie. - Peter kilka razy zaciągnął się fajką. - Sprawdźmy dokładnie jej przeszłość.

Ryan czekał, zastanawiając się, czy MI - 5 współtworzy bank danych z Interpolem lub CIA, lecz nie zapytał o to. Mimo że w sprawie Barzana był związany z wywiadem brytyjskim, stał właściwie na uboczu. Mówili mu tak niewiele, jak tylko mogli. To go irytowało. Był przyzwyczajony do pełnej kontroli wydarzeń.

- Niewiele tu jest. Urodziła się w Londynie, ale mieszkała w Japonii aż do śmierci ojca, potem wróciła tutaj. Caroline powtórnie wyszła za mąż. Przeprowadzili się do Marrakeszu, gdzie Armstrong zajmuje się eksportem. Dziwne. Lauren nigdy nie była wysłana do szkoły w Anglii lub w Szwajcarii, tak jak czynią to zwykle z dziećmi rodziny zamożne. Uczęszczała do Ecole Francaise w Marrakeszu, aż... Nie rozumiem. Nigdy jej nie ukończyła.

- W jaki sposób, do cholery, dostała się na Sorbonę?

- Widocznie miała rewelacyjne oceny na egzaminie wstępnym. Świadectwo nie jest obowiązkowe, jeżeli dostanie się wystarczająco dużo punktów. Tak czy inaczej, wyszła za mąż za Osgooda Winthropa, kiedy miała dwadzieścia trzy lata, a on siedemdziesiąt jeden.

- Musiał być nadziany.

- Nie wygląda na to. Mieszkali skromnie w Paryżu, prowadząc galerię, która specjalizowała się w akwarelach. Osgood zmarł, zostawiając jej niewiele. Wtedy przeniosła się do Nowego Jorku. Mieszkała z bratem i jego żoną. Po śmierci żony brata na raka Lauren utrzymywała ich oboje, pracując w ekskluzywnym barze obsługującym japońskich biznesmenów.

- W takim razie skąd ma pieniądze?

- Najwidoczniej, tuż przed śmiercią, jej mąż zainwestował w nieruchomości w Miami. Ostatnio przyniosła zysk. Lauren wykorzystwała fundusze, aby się tutaj przeprowadzić i kupić udziały w galerii.

- Rozumiem - stwierdził Ryan, wpatrując się w zalaną deszczem noc.

Robiła teraz to, czym zajmuje się wiele innych kobiet. Bawiła się sztuką. Mogła obracać się w odpowiednich kręgach, ocierając się o plugawy wielki świat zamożnych. Świetny sposób, aby złowić bogatego faceta na męża. Jaka matka - taka córka.

Zanim Ryan zaparkował samochód i wszedł na górę do mieszkania Lauren, przyjęcie było w pełnym toku. Foyer z różowego marmuru, z połączanymi osiemnastowiecznymi krzesłami z okresu regencji, nadawało całemu szykownemu mieszkaniu charakterystyczny nastrój. Francuski styl. Ludwik, licho wie który. W końcu mieszkała we Francji tyle lat.

Odpowiadając na powitania krótkim skinieniem głowy, Ryan utorował sobie drogę do baru. Zamówiwszy podwójny Boodles z lodem, udał się powoli korytarzem, mijając wystawną jadalnię, gdzie zastęp ubranych w białe fartuszki pokojówek biegał na wszystkie strony, przygotowując bufet. Na ścianie ponad stołem, jak w zakrystii hiszpańskiego kościoła, wisiały dwa ośmiokątne lustra z wielościennymi kryształowymi motywami barokowymi. Lauren z pewnością wiedziała, jak szastać pieniędzmi. Tak jak mamusia.

Pociągając gin, wszedł niespiesznie do biblioteki, w której kilka innych pokojówek ustawiało krzesła obok irytująco precyzyjnie dopasowanej do całości brzoskwiniowej kanapy. Nad wyrzeźbionym marmurowym kominkiem z amorkami, przesyłającymi sobie na odległość pocałunki, wisiało zbyt wielkie, ukośne lustro.

Żadnego cholernego obrazu w całej tej norze! Dziwne. To przecież dama z galerią sztuki. Całe to pomieszczenie wywołało u niego uczucie zażenowania - graciarnia, która pozostała tu po epoce panowania kupy zgilotynowanych dyletantów.

Kierowany ciekawością, przeszedł w dół korytarza. Wystawa luster jak w Wersalu. Zza uchylonych drzwi jednej z sypialni dobiegł go - nie dający się pomylić z żadnym innym - głos Mootzie McCallister.

- Szybciej, szybciej! - jęczała.

Przez szparę Ryan złapał odbicie Mootzie. Jadowitozielona spódniczka podniesiona była aż do jej piersi, a rajstopy zwinięte wokół kostek. Ponad śnieżnobiałymi udami, o grubości jak u nosorożca, splot czarnych jak noc loków zakrywała częściowo dłoń Clive'a Holcombe'a. Tak jak w odniesieniu do sztuki, jego gust w stosunku do kobiet osiągnął już chyba dno.

Ryan ścisnął palcami nos i - licząc na przerwanie akcji - zapiszczał wysokim falsetem:

- Podano do stołu.

Następnie pomknął w dół korytarza i wpadł do pomieszczenia z dwojgiem drzwi. Musiało to być miejsce do wyłącznej dyspozycji Lauren.

Kryształowy żyrandol w środku oświetlał kilometrowe zwoje niebieskiego jedwabiu zakrywającego okna i baldachim ponad łóżem, które uniknęło okresu terroru. Jedyne lustro z

gracją dekorowało obite jedwabiem ściany. Widać lady Lauren lubi się przeglądać. Niech i tak będzie.

Alkowa prowadziła do lustrzanej łazienki z wanną z różowego marmuru i wrzosową kanapą obitą jedwabiem, na którą zarzucono artystycznie narzutę z gronostajów. Przyległa do niej część garderobiana miała długie na całą ścianę, ukośnie ścięte lustro z okalającymi je niewielkimi światełkami. Ryan wszedł tam i otworzył drzwi jednej z szaf. Na większości ułożonych według koloru ubrań nadal widniały etykiety z ceną. Jedyne fiołkowa koszula nocna z dumnym nadrukiem Yankees nosiła na sobie ślady użycia.

Wychodząc, Ryan omal nie wpadł na ledwie zauważalne, obite jedwabiem francuskie drzwi prowadzące do pracowni na poddaszu. Otworzył je i wszedł do ciemnego pokoju. Znalezienie włącznika światła zajęło mu pewną chwilę.

Lauren siedziała na kanapie kołysząc talerzem znajdującym się na jej kolanach i słuchała monologu Finleya Tibbettsa na temat wpływu prastarych motywów na współczesną sztukę. Opodal Mootzie wylewała z siebie głośny potok słów o tym, jak przystojnie Clive wygląda w swoim nowym smokingu. Lauren zauważyła, że oczy Vory rozmawiającej właśnie z dziennikarzem z „galleries” zwrócone są na Clive'a. W jej głośnym śmiechu można było wyczuć wymuszoną nutę. Pozornie wesoła twarz zdradzała jednak nieszczerłość.

- Idę sobie upudrować nos - zakomunikowała wszystkim obecnym Mootzie i podniosła się do wyjścia, ściskając w rękę złotą torebkę ze sklepu Judith Leiber.

A kogóż to obchodzi? Lauren patrzyła, jak Mootzie maszeruje, zamiatając podłogę. Zamiast upiększać twarz, Mootzie powinna poprawić połyskujące szwy na pończochach. Miały więcej zakrętów niż skrzyżowanie z ruchem okrężnym.

Tuż nad brzegiem kieliszka oczy Lauren napotkały wzrok Ryana Westcotta. Szybko spojrzała w inną stronę, ale wcześniej zdążyła zauważyć zachwycającą brunetkę zmierzającą w jego kierunku. Gdy Ryan opuścił pokój z brunetką uwieszoną u jego ramienia, Lauren wydała z siebie niedosłyszalne westchnienie ulgi. Przez cały wieczór obserwował ją z nie ukrywaną niechęcią, którą można było wyczytać w jego oczach. Dlaczego? Po prostu znowu miała to swoje typowe szczęście, że w jakiś sposób zniechęciła jednego z niewielu ludzi, od których dobrej woli zależało, czy uda się jej podźwignąć Ravissanta.

Chwilę później, kiedy udawała się do bufetu w przyległym pokoju, aby przynieść Finleyowi rożki i kawę, Ryan zagroził jej drogę.

- Myślę, że byłoby dobrze, gdyby zechciała pani zobaczyć, gdzie są teraz stópki Mootzie.



- Niby dlaczego miałyby mnie obchodzić, gdzie Mootzie trzyma swoje stopy? - Lauren starała się odpowiedzieć jak najłagodniej. Szorstkość i dosadny język Ryana powodowały, że żałowała, iż musi mieć z nim do czynienia, aby uczynić z Ravissanta galerię pierwszej wielkości.

- Widzi pani tamtego faceta przy oknie? - Ryan wyszczerzył zęby, jak gdyby wiedział o czymś, czego nie знаła Lauren.

- Widzę. Kto to?

- Nigel Dempster. Z pewnością słyszała pani o nim? Skinęła głową. Wszyscy znali tego plotkującego gryziopiórka.

- Była pani u Annabel?

- Bomba, która uczyniła Dempstera sławnym, wybuchła w momencie, kiedy obsmarował on Lady Annabel, żonę właściciela nocnego klubu. Dempster podał do publicznej wiadomości, że ojcem dziecka, którego spodziewała się Annabel, nie jest jej mąż, lecz jakiś międzynarodowy finansista.

- Nie lubię plotek - stwierdziła Lauren, zastanawiając się, co to ma wspólnego z Mootzie.

- Ja też nie, ale świat przepada za nimi. Dempster ma całą wolną kolumnę do wypełnienia, przez pięć dni w tygodniu - Ryan wykrzywił się ponownie w uśmiechu, ale Lauren dostrzegła, że ta sytuacja wcale go nie bawi. - Jestem przekonany, że z rozkoszą opowiedziałby swoim czytelnikom o stópkach Mootzie. W końcu dostarczyła już kiedyś niezłego materiału do gazet. A teraz jest w pani pracowni.

Lauren ruszyła korytarzem jak burza. Co Mootzie tam robi? To przecież jej azyl. Lauren dała się przekonać Vorze do wynajęcia tego pretensjonalnie urządzonego mieszkania jedynie z powodu pracowni. Światło wnikało przez kopulasty szklany sufit nawet w najchmurniejsze londyńskie dni.

Podczas gdy Vora i jakiś nie znany Lauren dekorator wnętrz urządzali jej mieszkanie, ona sama zapełniała pracownię meblami, czyniąc z niej miejsce działalności artystycznej. Do tej pory wykonała zaledwie kilka szkiców węglem, ale wkrótce zamierzała znowu zacząć malować.

Z depczącym jej po piętach Ryanem Lauren wbiegła do niewielkiego gabinetu, przez który prowadziło jedno z dwóch wejść do pracowni. Znalazłszy się w środku zatrzymała się tak gwałtownie, że Ryan wpadł na nią.

Oświetlona niczym scena w jednym z teatrów na West End, pracownia była widoczna dla każdego, kto wszedłby do gabinetu, w którym się teraz znajdowali, lub do sypialni Lauren po przeciwnej stronie. Odchyłona w wiklinowym fotelu, kompletnie naga od talii w dół i rozpostarta jak orzeł w locie, Mootzie opierała stopy o sztalugę Lauren. Klęczący Clive wtapiał głowę w przestrzeń pomiędzy jej mięsistymi białymi udami.

- Artysta przy pracy - wyszeptał Ryan. - Próbowałem powstrzymać ich już wcześniej...

- O Boże! - Lauren odwróciła głowę, aby nie patrzeć na rozgrywający się przed nimi spektakl. Jak Clive mógł zrobić to Vorse, która tyle dla niego uczyniła? - Proszę zamknąć te drzwi. Ja...

- Ty kanalio! Ty cholerna kanalio! - Vora wpadła przez drzwi prowadzące do pracowni przez sypialnię Lauren. Chlusnęła zawartością trzymanego w dłoni kieliszka na nieszczęsną głowę Clive'a. Szampan spłynął w sam środek rozpostartej Mootzie. Jej stopy, uderzając z hukiem o podłogę, pociągnęły za sobą sztalugę, która wylądowała na ich ciałach.

Ryan wciągnął Lauren za ramię do pracowni w momencie, kiedy Mootzie zaczęła wrzeszczeć: „Ty suko!” - głosem, który ze stuprocentową gwarancją można było usłyszeć na Trafalgar Square.

- Co wyprawiasz z tą zdziłą? - zapytała Vora głosem pełnym bóleści. - Nie pamiętasz tego zdjęcia w „The Sun”? Ona i gracz w rugby, aresztowani za łajdaczenie się na schodach muzeum Victorii i Alberta. Ona jest przypadkiem AIDS, który wkrótce się ujawni.

- Ty suko! - zapiszczała Mootzie. Vora nie zwracała na nią uwagi.

- Wynoś się, ty skunksie! - Z szyderczym uśmiechem wskazała głową na Mootzie. - Cała należy do ciebie.

Lauren podniosła z podłogi buty i torebkę firmy Leiber i podała je Mootzie.

- Wynoś się stąd! - zwróciła się do Clive'a. - Tylnymi schodami.

Mootzie sapnęła gniewnie:

- Nie potrafisz zatrzymać mężczyzny przy sobie.

- Nie zasługuje na to - Lauren zwróciła się do Vory.

- Wiem - Vora zdusiła szloch, lecz łzy popłynęły jej strumieniem po policzkach, zostawiając smugi tuszu z rzęs.

- Proszę wracać do gości, Lauren - powiedział Ryan. - Ja się nią zajmę.

Nie chcąc, aby ktoś znalazł Vorę w takim stanie, Lauren ruszyła pośpiesznie w kierunku zbliżających się głosów. Wybiegłszy na korytarz, natknęła się na Finleya Tibbettsa, spacerującego z nie znanym jej niezwykle przystojnym dżentelmenem.

- Czy coś się stało? - zapytał Finley. Lauren potrząsnęła przecząco głową.

- Nic? W ogóle?

Ponownie zaprzeczyła z wyćwiczonym półuśmiechem na twarzy.

- To dobrze. Chcę, żeby poznała pani Rossa Bensona z „Daily Express”. Właśnie wpadł na chwilę. Chcę, żeby mu pani wyjawiała wszystkie swoje plany co do Ravissanta.

Wkrótce po tym, jak najwytrwalsi goście wysączyli ostatnie krople najlepszego rocznika porto, a sprzątający przywrócili mieszkanie do stanu częściowo przypominającego pierwotny, Lauren weszła do opustoszałej pracowni. Szynszyle Vory ciągle wisiały w szafie dla gości, tuż obok należącego do Mootzie futra z rosyjskiego rysia, ufarbowanego na cytrynowozielony kolor z kępkami jaskrawego fioletu. Ryan i Vora gdzieś się zapodziali.

- Czy to wszystko, madame? - zapytała Selma, pokojówka, którą Vora zatrudniła dla Lauren.

- Tak, dziękuję, dobranoc - Lauren uśmiechnęła się do starszej kobiety, której włosy ufryzowane były w sposób nasuwający skojarzenia z drugą wojną światową.

Nagle Lauren poczuła się niezwykle samotna - bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat. W takich chwilach tylko jedna osoba mogła poprawić jej samopoczucie. Pospieszyła do sypialni, podniosła słuchawkę i wykręciła najpierw kierunkowy, a następnie domowy numer Paula. Proszę, bądź w domu. Potrzebuję cię. Bez odpowiedzi. Nie odkładała jednak słuchawki. Lekki trzask na linii zwrócił jej uwagę; słyszała go już wcześniej. Do mieszkania doprowadzone były dwie linie. Telefony wyposażone były w kontrolne światełka pokazujące, który aparat jest w użyciu w danej chwili. Czyżby Selma podsłuchiwała? W jakim celu?

Ociągając się, Lauren położyła słuchawkę. Rozebrała się powoli, starannie układając ubranie, chociaż wiedziała, że Selma uważa, iż należy to do niej. Włożywszy na siebie koszulę nocną z nadrukiem „Yankees”, rozpięła i uczesała włosy. Pomimo piętnastogodzinnego dnia pracy nie czuła się śpiąca. Naszła ją nieprzeparta chęć ucieczki z tego mieszkania. Z dała od kłopotów. Wyjść chociażby na spacer, zaczerpnąć świeżego powietrza. Pochwyciła futro z rosyjskich soboli, które kiedyś Vora wrzuciła wręcz na nią, mówiąc, że nikt nie

będzie jej traktował poważnie bez „poważnie” wyglądającego futra. Sięgając do torebki po klucz, postanowiła zabrać z sobą także kartę telefoniczną. Zadzwoń do Paula z budki. Może to nawet lepiej; przedyskutuje cały ten bałagan bez konieczności zastanawiania się, czy Selma przypadkiem nie podsłuchuje.

Podeszła na palcach do drzwi. Przeszła obok głośno chrapiącego portiera. Nie ma wątpliwości: właśnie zaliczył najbardziej pracowity wieczór w swoim życiu.

Zeszła w dół po schodach na ulicę. Z radością stwierdziła, że przestało padać. Pełny księżyc z dumą sunął po niebie ponad kłębiącymi się chmurami. Otuliwszy się szczelnie futrem, Lauren pomknęła ulicą w kierunku Grosvenor Square, gdzie Franklin Delano Roosevelt dokonywał z cokołu inspekcji terenu. Okrążyła park i zatrzymawszy się po północnej stronie ulicy, stanęła twarzą do budynku, w którym generał Eisenhower obmyślał szczegóły kampanii przeciw nazistom.

Zainspirowana wspomnieniem tych dwu wybitnych postaci, Lauren zwolniła kroku. W wielkim planie wszechrzeczy, jakie znaczenie miała jej osoba? A Vora? Barzan? Ryan Westcott?

Zniechęcona, skręciła na ulicę Audley, a stamtąd na Lees Place. Nieco z boku pojawiły się przed nią dwie budki telefoniczne. Postanowiła spróbować dodzwonić się do Paula. Weszła do jednej z nich, wsunęła kartę w otwór, a następnie wykręciła numer brata.

- Sie masz.

Sie masz? Z pewnością pomyłka.

- Och, przepraszam.

- Lauren, to ty?

- Paul! Próbowałam się z tobą połączyć. Gdzie byłeś?

- Naprawiałem dach.

- Nasz dach przecieka? - zapytała. Powinna była się tego domyślić, biorąc pod uwagę jego wołający o pomstę do nieba stan.

- Nie nasz, sąsiedni - odparł.

Mogła z niezachwianą pewnością stwierdzić, że satelita przesłał nie tylko słowa Paula, ale także jego uśmiech.

- Geety Hespeth.

- Tej Geety Hespeth? - Lauren ujrzała oczami wyobraźni jedną ze szklanych rzeźb Geety, dzięki którym w mgnieniu oka stała się sławna na całym świecie. - To ona jest naszą sąsiadką?

- Uhm. Jeździ kapryśną toyotą z naklejką na zderzaku, która głosi: „To się zdarza.”

Faktycznie się zdarza. Niemożliwe się zdarza.

- Geeta jest rozwiedziona. Ma dwoje dzieci. Wygrywały ze mną w Nintendo, ale teraz je mam. Kupiłem książkę „Jak wygrać w Nintendo”.

Zaśmiał się tak głośno i szczerze, jak nigdy od chwili, gdy usłyszał diagnozę w chorobie Marcy.

- Jak mają się sprawy w Ravissancie? Przygważdżasz ich?

- Świetnie.

Odważyła się zadać mu to pytanie:

- Czy Geeta... bardzo... ci się podoba? Kompletna cisza.

- Nie czyni sobie wyrzutów - wyszeptwała. Łzy napłynęły jej do oczu. - Marcy zrozumiałaby. Kiedy wiedziała, że zbliża się koniec, nakazała ci, żebyś był szczęśliwy. Ułożył sobie życie, czyż nie tak?

- Dobrze mi z Geetą. Jest całkowicie inna. W niczym nie przypomina Marcy. Nie mam pojęcia, co się wydarzy.

Uczucie ulgi ogarnęło Lauren. Stan Paula ulegał poprawie.

- Cieszę się - powiedziała. Łza spłynęła jej po policzku. Wytarła ją w rozpuszczone włosy.

- A z tobą w porządku, dziecinko?

- Świetnie - skłamała. Po co obciążać go swoimi problemami?

- Coś nie tak? Słyszę to w twoim głosie.

- Właściwie nie. Spotkałam mężczyznę. Mógłby mi pomóc z Ravissantem. Ale znienawidził mnie od pierwszego wejrzenia.

- To absurd. Nie ma na ziemi człowieka, który mógłby cię znienawidzić.

- Ryan Westcott może sprawić kłopot. Po prostu czuję to.

- Nie martw się. Oczarujesz go tak samo jak wszystkich facetów - Paul zaśmiał się, rozjaśniając ich transatlantyckie połączenie.

Lauren pożegnała się, obiecując zadzwonić jak zwykle za tydzień, po czym odłożyła słuchawkę. Pochyliła się i oparła czoło o szybę budki, czując ulgę, że Paul ma się lepiej.

Ryan zwolnił i bezszelestnie zatrzymał astona - martina. W oddali ujrzał szczupłą sylwetkę z jasnymi opadającymi na plecy włosami, stojącą przy budce telefonicznej. Lauren. Pokojówka powiedziała, że wyszła na spacer, a ona tymczasem poszła zadzwonić. O tej porze? Z budki?

Wysiadł z samochodu, rozejrzał się szybko dookoła i ruszył w górę wybrukowanej ulicy. Kiedy zbliżył się do niej, spostrzegł - mimo iż była odwrócona tyłem - że wcale nie telefonuje. Oparta o aparat łkała cicho i żałośnie. Przystanął tuż za nią.

- Co się stało?

Lauren odwróciła się i zaniemówiła, zaskoczona jego obecnością. Łzy spływały na jej wyrzeźbione kości policzkowe i opadały na futro. W świetle księżyca oczy jej połyskiwały krystalicznym błękitem, a włosy spadały w dół nieskrępowaną falą. Wyglądała młodo i niezwykle kobieco. Nie jak ta wyniosła księżniczka, która podpłynęła do niego dumnie w czasie wystawy, z góry zaliczając go do swoich

zdobyczy. Nieoczekiwanie zawładnęło nim uczucie współczucia.

- Nie płacz. Nie może być aż tak źle. Powiedz, co ci jest.

Łzy zatrzymały się na jej gęstych rzęsach. Wygrzebał z kieszeni chusteczkę i podał ją Lauren.

- Co się stało?

Otoczył ją ramieniem. Jej włosy, tak miękkie, tak doskonale, zagrały mu pod palcami.

Przyłożyła chusteczkę do nosa i próbowała odsunąć się od Ryana. Pochylił się ku niej i kciukiem otarł ostatnie ślady łez z jej policzków. Zdając sobie sprawę z tego, że ich usta dzielą zaledwie centymetry, zatrzymał się. Połyskujące jak diament jej niebieskie oczy napotkały jego źrenice. Odgarnął łagodnie włosy z jej twarzy i powoli przesuwiał po nich dłonią, nawet na moment nie odrywając od niej oczu.

Zastygli tak na chwilę. Nagle jednym szybkim ruchem objął ją za szyję i przeczesując palcami długie włosy, przytrzymał nieruchomo jej głowę i przycisnął wargi do jej ust. Ramiona Lauren powędrowały ku jego szyi - przesuwiała po niej delikatnie długimi, budzącymi podniecenie paznokciami.

Całował ją powoli, czując w ustach smak jej łez. Łagodnie wsunął język pomiędzy jej wargi. Język Lauren powitał go niecierpliwie. Stykały się ze sobą coraz śmieiej, atakowały zaciekle. Dłonie Ryana wędrowały w górę i w dół futrzanego okrycia, czując jedynie namiastkę jej ciała. Cholerne futro!

Przesunęła palcami po jego gęstych włosach. Jak wicher. Ryan poczuł wpijające się w jego skórę paznokcie. Rozpinając jej futro, wydał z siebie cichy dźwięk. Do cholery! Nie miała na sobie nic więcej oprócz nocnej koszuli z nadrukiem „Yankees”.

Zaczęła się wyrywać, lecz przycisnął ją do ścianki kabiny. Jego gorące, wilgotne usta odnalazły wrażliwe miejsce za



uchem. Przesunął po nim czubkiem języka. Doleciał go powiew egzotycznych perfum.

- Co ty wyprawiasz?

- Staram się, żebyś przestała płakać.

Znalazł ponownie jej usta i całował je chciwie. Wtargnął w nie językiem, jednocześnie przesuwał dłońmi w górę i w dół jej wiotkich żeber i muskając piersi.

Przylgnęli do siebie rozwartymi ustami. Ryan poczuł jej przerywany oddech. Położył dłoń na jej pełnej piersi, badając kciukiem uniesioną do góry, przęcając się brodawkę.

Zesztywniała i przekręciwszy się w jego ramionach, przerwała pocałunek.

- Nie.

Jednak nie przestał jej całować, trzymając mocno jednym ramieniem. Drugą dłonią nie przerywał pieszczoty jej ciepłej piersi. Większość kobiet mówi „nie” na początku, aby nie przylgnęła do nich opinia zbyt łatwych.

Lauren jednak nie udawała. Pozostawała sztywna w jego ramionach. Przytrzymał jej podbródek mocnymi palcami.

- Nie powiesz mi, że nie chciałaś, żebym cię pocałował. Odwróciła głowę. Jasne włosy opadły jej na twarz.

- Nie chciałam, żebyś mnie zmuszał.

Przymus? Ta kobieta nie ma pojęcia, co to znaczy. Oczywiście, wyszła za męża za starca. Widocznie musiała skakać, żeby zastartował. Daj sobie spokój. Jaka matka, taka córka. Intrygantki. Pogromczynie jaj. Kobieta - to ostatnia rzecz, jakiej potrzebował w swej podróży przez piekło.

Lauren pośpiesznie ruszyła w dół Lees Place ku Grosvenor Square. Dogonił ją.

- Pozwól, że odwiozę cię do domu. Zawahała się, lustrując go uważnie.

- Do cholery, przecież to tylko pocałunek - powiedział i wziął ją pod ramię.

Wyszarpnęła się z jego uścisku, ale nie próbowała już odejść.

- Co się stało? Dlaczego płakałaś?

- Płakałam, bo jestem bardzo szczęśliwa. Szczęśliwa? Boże! Czy on kiedykolwiek zrozumie kobietę?

- A to z jakiego powodu? - wymamrotał podchodząc do samochodu.

- Mojego brata. Poznał kobietę. Łzy z powodu życia miłosnego brata?

- Paul próbował popełnić samobójstwo - dwukrotnie. Desperacko kochał swoją żonę. Ona umarła. A teraz wydaje mi się, że znów jest zakochany.

Dziwne. Ryana uderzyło to, że córka Caroline Armstrong może być tak uczuciowa. Jej matka z pewnością taka nie była.

- Mój przyjaciel czeka na nas - powiedział Ryan, kiedy dotarli do samochodu.

Upewniwszy się, że lampka kontrolna na tablicy rozdzielczej pulsuje zielonym światłem, Ryan spojrzał za siebie. Jego badawcze oczy przeczesywały ciemności jak radar.

Lauren zajrzała do środka samochodu. Z przyklejonym do szyby ryjkiem, Iggy wpatrywała się w nią badawczo.

- Masz wietnamską świnkę! Znałam pewnego człowieka w Nowym Jorku, który czekał miesiącami, aby taką świnkę zdobyć. Kosztowała go tysiące dolarów.

Spojrzała na Ryana przez ramię i dodała:

- Wpuść mnie szybko do środka.

Otworzywszy drzwi i wpuściwszy Lauren do samochodu, Ryan przeszedł z drugiej strony, aby zająć miejsce za kierownicą. Kiedy znalazł się w środku, Iggy była już w ramionach Lauren, która całowała jej łebek.

- Dlaczego on mnie tak obwąchuje? - zapytała. Iggy właśnie rozchyliła ryjkiem futro Lauren, odsłaniając nocną koszulę z nadrukiem „Yankees”.

- Ona. Nazwałem ją Pigcasso. Zdrobniale Iggy. Ma węch pięciokrotnie bardziej czuły niż pies. Jej francuscy kuzyni węszą za truflami, więc Iggy najwidoczniej bada twoje trufle.

Lauren uśmiechnęła się. Tym razem był to uśmiech szczerzy - nie ten sztuczny grymas, którym obdarzyła go przy pierwszym spotkaniu.

- A tak poważnie, czego ona szuka? Cycków Franka Lloyda Wrighta.

- Niczego. Po prostu chce cię poznać.

Iggy zapiszczała i przytuliła się do litery Y w napisie Yankees. Świńskie niebo!

- Widocznie podobają jej się twoje perfumy. Lauren przycisnęła Iggy do siebie i pocałowała ją w ryjek. Ryan włożył klucz do stacyjki i już miał go przekręcić, gdy spostrzegł, że Lauren z uwagą wpatruje się w jego dłoń. Wydawała się zafascynowana pierścieniem z lampartem.

- Zameżna? - udał, że po raz pierwszy zauważył złotą obrączkę na jej palcu.

Lauren zawahała się i mocniej przycisnęła zadowoloną Iggy do siebie.

- Wdowa.

Ryan patrzył przed siebie na cytrynowe, blade światło, które lampa uliczna rzucała na mokry bruk. Całe wieki upłynęły od śmierci Osgooda Winthropa, a ona ciągle nosiła obrączkę. Dlaczego? Z miłości?

Włączył silnik i samochód potoczył się ulicą Audley w kierunku Grosvenor Square. Lauren zbyt była zajęta gruchaniem do Iggy, aby zwracać uwagę na prędkość, z jaką Ryan prowadził. Miłość? Do diabła! Szybki samochód i nie pytająca o nic kobieta - czegoż więcej trzeba?

Zaparkował obok stojących przy krawężniku samochodów, przed wejściem do domu Lauren. Przeszedł na drugą stronę i otworzył jej drzwi.

- Dobranoc, Iggy - powiedziała.

W milczeniu weszli do domu. Dopiero w jadącej na poddasze windzie Lauren zapytała:

- Dlaczego wróciłeś?

Do diabła, zupełnie zapomniał o Vorze.

- Poinformować cię, że Vora wyjechała do Paryża. Musiała się stąd wynieść choć na chwilę.

Kiedy dojechali na górę, Ryan wziął od Lauren klucz i otworzył drzwi. Wszedł za nią, mimo że nie zaprosiła go do środka. Wyraz troski, który zauważył już wcześniej, kiedy wspominała o Paulu, powrócił na jej oblicze.

- Vora dojdzie do siebie. Bez niego będzie jej lepiej - uśmiechnął się szeroko. - Musisz przyznać, że to zabawne - Mootzie i Clive. Dempster otrzymałby klejnot do swej dziennikarskiej kolekcji.

Wspomnienie zabawnej sceny, której byli świadkami, wywołało natychmiastową obopólną wesołość.

- Czy rzeczywiście aresztowano ją na schodach muzeum Victorii i Alberta?

- Tak. Mootzie upaja się wywoływanymi przez siebie skandalami.

- Dziękuję za pomoc. Nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby nie ty. Gdyby Ross Benson i Nigel Dempster, którzy kręcili się na zewnątrz, zobaczyli Mootzie i Clive'a...

Wzruszył ramionami i powiedział:

- Jeszcze jeden skandal doprowadziłby Ravissanta do ruiny. Powinnaś staranniej dobrać artystów.

- Nigdy nie wystawiłabym prac Clive'a, ale nie miałam wyboru. Vora już wcześniej wszystko zaplanowała.

Lauren popatrzyła w dal w zamyśleniu. Po chwili zwróciła twarz w stronę Ryana.

- Po zeszłorocznym skandalu, wywołanym przez pojawienie się na rynku podrobionych reprodukcji, czy nie obawiałbyś się polecić panu Griffithowi artyście, którego prace wystawiono w Ravissancie?

- Nie. Ale jeżeli znajdziesz kogoś naprawdę godnego uwagi i zdecydujesz się na reprodukcję jego prac, upewnij się, czy przedsięwzięte w drukarni środki ostrożności są wystarczające. Sama doglądaj wszystkiego jak najstaranniej. Jeszcze jeden taki numer sprowadzi Ravissanta na dno. A razem z nim artystę.

- Tak jak stało się ze sfałszowanymi reprodukcjami Salvadora Dali, które widziałam w Nowym Jorku. Dali wypuścił tony papieru ze swoim podpisem. Agenci bez skrupułów drukowali na nich cokolwiek, twierdząc, że to jego dzieła.

- Dlatego też, kiedy umarł, ceny jego oryginałów wcale nie podskoczyły tak gwałtownie, jak tego oczekiwano. Nadal przynosiły dochody liczone w milionach, ale na nie zmienionym poziomie. Gdyby zajął się dochodzeniem praw autorskich, za jego oryginały płacono by astronomiczne ceny. Niech to będzie dla ciebie przestroga.

- Usprawniliśmy system zabezpieczeń. Coś takiego już się nie powtórzy.

- To może nie być takie proste. Vora powiedziała mi dzisiaj, iż podejrzewa, że śmierć jej męża nie była wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Policja nadal bada kulisy afery z podrobionymi reprodukcjami. Vora uważa, że być może Archer gotów był poinformować władze, kto za tym wszystkim stoi, i dlatego zginął.

- Wierzysz w to? - Lauren zastanawiała się, dlaczego Vora nigdy jej o tym nie wspomniała.

- Wszystko jest możliwe. Fałszerstwa tego typu mogą przynieść miliard dolarów rocznie. Wysokie stawki przyciągają przestępców, którzy nie cofają się przed niczym.

- Dziękuję, że mnie ostrzegłeś. Będę ostrożna.

- Lauren - Ryan położył dłonie na jej ramionach, a następnie odgarnął na bok jej włosy. Poczował pod palcami delikatną linię jej policzka. Kryształowo błękitne oczy Lauren spojrzały na niego szeroko. - Wiesz, miałem rację. Wiedziałem, że mi kogoś przypominasz. Jesteś córką Caroline Armstrong.

Odskoczyła od niego z wyrazem zdumienia na twarzy.

- Skąd znasz moją matkę?

- Poznałem ją kiedyś w Marrakeszu - dawno temu.

Poprzestał na tym stwierdzeniu.

- Nie widziałam matki od ponad siedemnastu lat.

- Dlaczego?

- Nie twoja sprawa!

- Z Clive'em Holcombe'em proszę - powiedziała Lauren do służącego, który podniósł słuchawkę w domu Mootzie McCallister przy Rutland Gate.

- Pan Holcombe jeszcze nie wstał - poinformował ją przez nos.

- Proszę przekazać mu wiadomość. Jeżeli do godziny szóstej dziś wieczorem nie odbierze swoich obrazów, wówczas podaruję je Towarzystwu Na Rzecz Strapionych, Tymczasowo Bez Adresu.

Położyła słuchawkę i spojrzała na stos malowideł, które uprzednio ściągnęła ze ścian galerii i oparła o drzwi. Jeżeli ta gnida nie przyjdzie ich sobie zabrać, odda je towarzystwu na rzecz bezdomnych. Sprzedając ramy i płótno, będą mogli cokolwiek na tym zarobić.

Błąkając się po pustej galerii, wracała myślą do Ryana Westcotta. Wspomnienie delikatnych dłoni, którymi ocierał jej łzy z policzków, i migocącego w świetle księżyca pierścienia z wyrzeźbionym lampartem powróciło ze zdwojoną siłą. Pod wpływem nagłego, niezrozumiałego impulsu pozwoliła mu się pocałować. Z pewnością straciła panowanie nad sobą po rozmowie z Paulem. Z osobą pokroju Ryana czuła się nieswojo. On również z pewnością gustuje w innych kobietach. Jej typ to raczej Finley Tibbetts - wytworny mężczyzna z dworskimi manierami. Podobnie jak jej zmarły mąż.

Nie zawracaj sobie głowy Ryanem. Niewątpliwie pomyślał sobie, że jest pozbawiona uczuć, skoro od tylu lat nie odwiedzała matki. Wyszedł natychmiast po tym, jak mu oznajmiła, że to, co zaszło między nią a matką, nie powinno go obchodzić w najmniejszym nawet stopniu. Krok po kroku wydarzenia z Marrakeszu odchodziły w przeszłość. Miała

nadzieję, że odejdą tak daleko, aż staną się nierealne. I takimi pozostaną, na zawsze.

Postanowiwszy, że nie pozwoli mrocznym cieniom przeszłości zaćmić wszystkiego, co osiągnęła po długiej walce, Lauren sięgnęła po żyletkę i zabrała się do usuwania srebrnych napisów z okien galerii. Zdrapując z szyby imię i nazwisko Clive'a Holcombe'a, a także datę wystawy, nie zauważyła stojącego na chodniku mężczyzny, dopóki nie zapukał w okno. Podniosła wzrok i napotkała bladoniebieskie oczy Davida Marcusa. Niektóre kobiety uważały go za atrakcyjnego, Lauren jednak czuła się nieswojo w jego obecności.

Galeria w poniedziałki była zamknięta, Lauren miała więc na sobie strój roboczy, a włosy zebrane do góry i ściągnięte na bok w niestaranny kucyk. Nie zadbała również nawet o lekki makijaż.

- Dzień dobry! - David uśmiechnął się, gdy wpuściła go do środka. Przejechał wzrokiem po podkoszulku z nadrukiem „Jets” i wytartych džinsach. Wspaniałe piersi - ocenił. Wolał jednak młodsze kobiety - góra dwadzieścia lat.

- Jestem w mieście, aby się z kimś spotkać. Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, jak pani sobie radzi. Jak poszło z wystawą?

- Znakomicie - odpowiedziała, kiedy David zauważył stos ułożonych przy drzwiach obrazów. - Jeden z kolekcjonerów kupił wszystko.

- Doprawdy? Barzan będzie bardzo zadowolony. Kim jest nabywca?

- Mootzie McCallister. Z tych McCallisterów. - Ton Lauren świadczył o tym, że David powinien był o niej słyszeć.

- Nie wiem...



- Mootzie spełnia wszystkie warunki po temu, aby stać się prawdziwą siłą napędową w świecie sztuki. Często piszą tu o niej w gazetach.

- Świetnie pani zaczęła.

- Pojawił się przedstawiciel Griffitha - Ryan Westcott. Marcus rozparł się wygodnie w białym skórzanym fotelu, stojącym tuż przy recepcyjnej ladzie. Być może Barzan miał jednak rację. Użycie Lauren Winthrop jako przynęty na Griffitha może okazać się lepszym pomysłem niż inne rozważane, bardziej bezwzględne metody. Podłożenie bomby w samochodzie okazało się fiaskiem. Zamiast zabić Griffitha, wybuch bomby uczynił z niego inwalidę i zmusił go do zastosowania wymyślnych środków bezpieczeństwa, które teraz trzeba było obejść.

David uśmiechnął się znowu, nie słuchając, co Lauren do niego mówi. Przewidywał, że Barzan wkrótce się wycofa, zostawiając jemu prowadzenie kartelu. Wszyscy dookoła zdawali sobie sprawę z tego, że Robert - syn Barzana - odziedziczy ojcowskie imperium. Jego niespodziewana śmierć z rąk Griffitha zmieniła jednak wszystko.

David latami ukrywał głęboką niechęć do Roberta Barzana. W przeciwieństwie do ojca, Robert zawsze wystrzelił z czymś niespodziewanym, starając się usunąć Davida na dalszy plan poprzez wymyślanie nowych sposobów na pranie narkotykowych pieniędzy. W końcu przeliczył się z siłami, kiedy stanął na drodze T.J. Griffithowi.

Śmierć Roberta Barzana z rąk Griffitha była tym, na co zasłużył. David uważał, że właściwie powinien być wdzięczny Griffithowi za to, że nie próbował zabić także jego. Ale władzę można uzyskać jedynie za wysoką cenę i tę David gotów był zapłacić. Słowa Barzana ponownie zabrzmiały mu w uszach z niebywałą wyrazistością. Wszystko, co musisz dla

mnie zrobić, to pozbyć się Griffitha. Wtedy wycofam się. Ty będziesz szefem.

Nareszcie.

Kilka dni później Vora powróciła z Paryża do galerii.

- Co Finley napisał o wystawie? - zapytała, nie komentując widoku gołych ścian Ravissanta.

- No więc - Lauren postanowiła opuścić schlebującą jej samej wzmiankę o jej niezwykłym talencie do wyławiania artystów najwyższej klasy, kiedy mieszkała w Nowym Jorku - napisał, że kolekcja charakteryzuje się „progresywnym symbolizmem, który odzwierciedla nieodparte czynniki oddziałujące.” Podkreślił „bogate zastosowanie elementów scalających.”

- A co to wszystko oznacza?

- Sama chciałabym wiedzieć - odpowiedziała Lauren z uśmiechem, lecz Vora była wyraźnie zdegustowana. - Nie jest tak źle! Mógł nas przecież całkiem pograć.

- Nie ciebie - Vora potrząsnęła przecząco głową, rozrzucając wydłużone loki. - Ty masz znakomitą reputację. Mógł zniszczyć Clive'a... i Ravissanta.

- Jesteśmy w to obie zaangażowane - ty i ja. Wkrótce o Ravissancie będzie mowa w „Apollo”, i to na pierwszej stronie.

Łzy zabłyśły w oczach Vory, osiadając na jej rzęsach.

- Jesteśmy przyjaciółkami. W życiu dzieją się rzeczy dobre i złe.

Na twarzy Vory pojawił się półuśmiech. Lauren ciągnęła:

- Pozbyłam się obrazów Clive'a. Jeśli ktoś odpowiada niegodziwością na naszą dobroć, nie ma dla niego miejsca w naszej galerii, czyż nie tak?

- Nie... Nie ma prawa.

- Teraz ściany są puste. Gdzie będziemy szukać nowego artysty?

- Nie mam pojęcia. Archer zawsze wypatrzył jakiś ukryty talent.

- Uwierz w siebie. Zastanów się. Gdzie powinniśmy szukać?

- W Royal College. Wystawiają prace studentów. Zadzwoń do agentów. Ty natomiast rozejrzyj się w galeriach przy Kings Road i Portobello. Tamte galerie rzadko wystawiają na zasadach wyłączności. Gdybym zobaczyła kogoś, kto mi się spodoba, spróbowałabym się z nim skontaktować.

Lauren skinęła głową, jak gdyby rozwiązanie zaproponowane przez Vorę było znakomitym pomysłem. Lauren odwiedziła już Royal College, w pierwszej kolejności. Miała też za sobą wizyty we wszystkich londyńskich galeriach i kontakty z agentami.

- Mogłabym pojechać do Paryża - zaproponowała Vora.

- Nie, nie. Ozzie i ja mieliśmy tam galerię. Agenci są niewiarygodnie dobrze poinformowani. Jeżeli jest w Paryżu jakiś nie odkryty jeszcze artysta pierwszej klasy, to chyba tylko w łonie matki.

Lauren doszła do wniosku, że jest całkowicie możliwe, iż - korzystając ze swoich rozległych znajomości - Vora odkryje jakiś podrzędny talent. Lecz Vora nie wiedziała, że pod koniec roku Lauren zamierza wynieść się z Londynu. Aby do tego czasu Ravissant znalazł się na czele, potrzebna jest supergwiazda. Dlaczego Barzan musi się tak śpieszyć? Pomyślała, że potrzebna jej będzie pomoc z każdej strony. Przypomniała sobie pośpieszne wyjście Ryana Westcotta z jej mieszkania. Gdyby on był po jej stronie, byłoby jej o wiele łatwiej.

- Czy poznałaś kiedykolwiek T.J. Griffitha? - zapytała Lauren. Chciała wiedzieć, jakim człowiekiem jest pracodawca Ryana.

Kiedy Vora przytaknęła, Lauren dodała:

- Opowiedz mi o nim.
- Spotkałam go zaledwie kilka razy na wystawach. Miał opinię kobieciarza i hazardzisty grającego o wysokie stawki.
- Jak wygląda?
- Jest teraz po sześćdziesiątce, ale kiedy go poznałam przed blisko dwudziestu laty - właśnie wtedy zatrudnił Ryana - miał już siwiejące włosy. Griffith jest wysoki i niezwykle przystojny. Ma zielone oczy.

Vora wzruszyła ramionami i ciągnęła po chwili:

- Zastanawiam się, jak wygląda teraz. Niektórzy mówią, że jest niewidomy, ale kto wie? Nikt go nie widuje oprócz Ryana Westcotta.

Lauren rozsupłała ostatni z ponad dwudziestu wąskich warkoczyków, a następnie spięła klamrą poskręcane jak korkociąg loki. Obrysowała konturówką oczy i pomalowała tuszem rzęsy. Długie na kilka centymetrów kolczyki w kształcie ptasiego pióra i w kolorze nowojorskich taksówek dopełniały jej wyglądu. Nałożywszy ogromne słoneczne okulary od Biagiottiego, cicho wykradła się z budynku obok chrapiącego w hallu portiera, w przekonaniu, że nikt nie rozpozna jej w żółto - zielonych getrach i ledwie muskającej uda skórzanej spódnicy.

Przywołała taksówkę i w milczeniu udała się na Festiwal Sztuki w Bloomsbury. Żeby się tak udało. Pamiętając o „niewolnikach Nowego Jorku” - grupie artystycznej cyganerii, ubierającej się dziwnie w poszukiwaniu uznania wśród artystów - Lauren postanowiła zejść do podziemia. Walczący o przetrwanie artyści znali się nawzajem. Wystawiali w kafejkach i na drugorzędnych pokazach. W słoneczne soboty i niedziele wywieszali swoje prace na ogrodzeniach Green Parku i Hyde Parku, wyciągając kilka funtów z kieszeni przechodzących turystów.

Było to jak gra na loterii, jednakże Lauren łudziła się, że poprzez przyłączenie się do braci artystycznej, poprzez upodobnienie się do nich strojem, uda się jej odkryć jakiś nowy talent. Gdyby wiedzieli, że jest właścicielką galerii, zarzuciliby ją pracami do wycenienia. Nie potrafiłaby odrzucić nikogo. Sama miała jeszcze świeżo w pamięci bezlitosną krytykę, jakiej wysłuchała, kiedy pokazała swoje prace ludziom z galerii w Greenwich Village.

Kiedy przybyła na festiwal, zaskoczył ją tłum zwiedzających. Nie było wątpliwości: ludzie spragnieni byli sztuki. Nic dziwnego, że rynek z reprodukcjami tak dobrze prosperował. Na nic więcej przeciętny człowiek nie mógł sobie pozwolić. Albo musiał zadowolić się tym, co można było spotkać tutaj. Rozejrzała się po zaimprovizowanych kramach z obrazami, które wstyd byłoby sprzedawać nawet na wyprzedazach.

Zanim dotarła na koniec hali, gdzie powieszono jej jedyny obraz, rozumiała już, że pytanie tych amatorów, czy znają jakiegoś nie odkrytego jeszcze artystę, to fatalny pomysł. Nikt tutaj nie potrafił odróżnić własnego tyłka od Rembrandta.

- Bardzo zła buda - powiedział Thatcher Palumbo, artysta, któremu przydzielono miejsce obok Lauren. Krzaczasta kozia bródka związana była dwiema gumkami, z których jedna podchodziła pod podbródek, a druga opadała kilka centymetrów niżej. - Ludzie męczą się szybko; nigdy tu nie docierają.

- Niektórzy przyjdą - powiedziała Lauren wesoło, ale w duchu musiała przyznać mu rację. Miejsce, które jej wyznaczono, nie miało dla niej znaczenia; wcale nie zamierzała sprzedać swojego obrazu. Wyjęła go z szafy pracowni i przyniosła tutaj, ponieważ musiała coś wystawić. Przypięła do niego odstraszającą cenę, aby mieć pewność, że

nikt go nie kupi. - Są tacy, którzy zaczynają od tyłu i idą ku wyjściu.

Uśmiechnął się szeroko.

- Która z moich prac podoba ci się najbardziej? Przełknęła ślinę, przyglądając się badawczo nałożonemu na płótno papierowi karbowanemu z nakłutymi nań rybimi ościami, pomalowanymi na kolory: pomarańczowy, zielony i fioletowy.

- Wszystkie są... interesujące... bardzo interesujące. Wyprostowała ramę z „Północą w Marrakeszu”. Czy młoda dziewczyna z jej obrazu działała na oglądających w ten sam sposób, w jaki uderzyły ją prace Palumbo? Długie, luźno opadające jasne włosy okalały ledwie widoczny profil twarzy. Łzy spływały po policzku dziewczyny, kiedy pozbawione ciała dłonie - złowrogie dłonie - wyciągały się ku niej z ciemności. Nie miało dla Lauren znaczenia, czy ludziom podoba się jej obraz. Jej talent polegał na rozpoznawaniu wielkiej sztuki, a nie na tworzeniu. W obecnej chwili powinna skoncentrować się na wyszukiwaniu talentów.

- Rozejrzę się.

Cały dzień Lauren przemierzała przejścia pomiędzy straganami. Natrafiła na trop kilku artystów, ale żaden z nich nie był pewny. Wracając, aby pocieszyć Thatchera, dostrzegła młodą dziewczynę z bogatą kolekcją ceramicznych kolczyków. Bez wątpienia musiały być dziełem niezwykle utalentowanego ceramika.

- Przepraszam - Lauren zwróciła się do pulchnego rudzielca. Proste jak drut włosy, związane z tyłu w pojedynczy warkocz, podkreślały niezwykle piwne oczy i wysoko zakrzywiony nos. - Czy to twoja mama je wykonała?

- Ja je zrobiłam - odwarknęła, z pogardą obrzucając wzrokiem kolczyki Lauren.

- Śliczne.

Ile ona może mieć lat? Siedemnaście? Trudno stwierdzić przy takim makijażu.

- Robisz jeszcze coś innego?

- Nieee. Nie ma z tego pieniędzy.

- Ale mogą być - powiedziała Lauren z asekuracją w głosie. Ciekawe, dlaczego dziewczynie wydaje się zależeć tylko na pieniądzach? Chyba utrzymują ją rodzice? - Nie zechciałabyś zrobić dla mnie kilku rzeczy, po pięćdziesiąt funtów każda?

- Pewnie, że tak - rozpromieniła się. - Na przykład co?

- Cokolwiek z wyjątkiem biżuterii - Lauren zdawała sobie sprawę, że nic tak nie zabija pomysłowości, jak dokładne określenie, co ktoś powinien tworzyć. - Jak się nazywasz?

- Tabatha Foley - opadła ciężko na stojący za straganem rozkładany fotel.

- Jestem... Lucy Wallace - Lauren pamiętała, aby przedstawić się tym samym fałszywym imieniem i nazwiskiem, które podała przy wpisie do rejestru przed umieszczeniem jej pracy na wystawie. Zdecydowała się na nie, ponieważ odpowiadały inicjałom na obrazie. - Mieszkasz z rodzicami?

- Nie. Mamy mieszkanie w Bayswater, z sześcioma innymi dziewczynami.

Lauren postanowiła nie wyciągać z niej, dlaczego nie mieszka w rodzinnym domu. Przypomniała sobie pierwsze lata swojego pobytu w Paryżu. Wiele osób zadawało jej wścibskie pytania, dlaczego nie mieszka z rodzicami, lecz z bratem.

- Studiujesz sztukę?

Tabatha potrząsnęła przecząco głową.

- Pracuję w budzie z pamiątkami przy kawiarni Hard Rock. Pewnego dnia otworzę własny sklep i zacznę

sprzedawać drogą biżuterię - jak Cornelius na Beauchamp Place.

Lauren nie miała w poważaniu restauracji, gdzie przy wejściu serwowano podkoszulki. Nie potrafiła wyobrazić sobie osoby tak utalentowanej jak Tabatha stojącej w budce przy Hard Rock i sprzedającej upominki dla turystów. Nie mogła również zrozumieć, że Tabatha ogranicza się do wyrobu biżuterii. Stać ją było na wiele więcej. Jednakże Lauren nie wygłaszała głośno swoich opinii na temat aspiracji Tabathy. Być może, gdyby Lauren udało się sprzedać kilka wyrobów Tabathy, jej cele życiowe mogłyby ulec zmianie. Tabatha niewątpliwie ma twórczą wyobraźnię, lecz jej możliwości tworzenia czegoś innego niż biżuteria są w dalszym ciągu nie znane. Lauren potrzebowała kogoś, czyje prace będzie można wystawić natychmiast. Musi to być artysta wyjątkowy.

- A co ty pokazujesz? - zapytała Tabatha, lustrując Lauren z ciekawością malującą się w piwnych oczach.

- Obraz. Olejny. Jestem tam z tyłu, z Thatcherem Palumbo.

Tabatha parsknęła śmiechem.

- Z Kościstym? Nigdy tam niczego nie sprzedasz. Zawsze robią go w konia, dając mu najgorsze miejsce. Nikt z kupujących tak daleko nie chodzi.

- Kto wie, może ktoś dzisiaj kupi coś od niego. Nie wolno się poddawać - stwierdziła Lauren, chociaż sama właśnie tak zrobiła. Kiedy kilka galerii odrzuciło jej prace, zaprzestała poszukiwań takiej, która wystawiłaby jej obrazy. - Widziałas tu kogoś szczególnie utalentowanego?

Tabatha wymieniła kilka nazwisk artystów wystawiających aktualnie swoje prace w Royal College. Ci, o których wspomniała, zostali już porwani przez inne galerie.



- Miałam na myśli takich - Lauren zatoczyła ręką łuk, wskazując na otaczającą ich grupę - takich jak my. Myślałam o kimś, kto jeszcze nie został odkryty.

Podniósłszy oczy ku niebu, Tabatha zastanawiała się przez chwilę.

- Jest taki facet. Prawdziwy świr. Spotkałam go zeszłego lata. Powiesił dwa ze swoich obrazów na ogrodzeniu Hyde Parku w pobliżu mojego stoiska.

- Sprzedał je?

- Nieee. Były za duże. Musiał je przywozić w ciężarówce na mięso. Każdemu się podobały. Tłumy gromadziły się wokół niego przez cały dzień.

- Pamiętasz, jak się nazywa i gdzie mieszka? - Lauren starała się zachować obojętny ton. Do tej pory to najgorętszy ślad.

- Nie. Nie pytałam. Ale nie powinno być trudno go znaleźć, jeśli nadal pracuje w Smithfield. Swoje obrazy przywiózł jedną z tamtych ciężarówek.

- Smithfield?

- Tak. To rynek mięsny na północ od Holborn Viaduct, niedaleko St. Paul. Pytaj o Rosjanina. W końcu ilu ich może tam być?

- Rosjanina? - krzyknęła Lauren. Czyż mogła mieć większe szczęście? Odkrycie nieznanego Rosjanina byłoby niezwykłym wydarzeniem.

Chmara nastolatków otoczyła zwartą grupą kramik z kolczykami. Zapisawszy sobie numer telefonu Tabathy, Lauren powiedziała „do widzenia” i udała się w kierunku swojego stoiska. W duchu zaciskała kciuki. Bardziej otwarta na Zachód polityka Gorbaczowa spowodowała, że rosyjscy malarze, o których nikt nigdy wcześniej nie słyszał, znaleźli się w centrum zainteresowania artystycznego. Ludzie z Sotheby'ego wykonali śmiały ruch i udali się do Moskwy, aby

wystawić na aukcji dzieła sztuki rosyjskiej. Wyprzedaż, o której nadal mówi się w świecie artystycznym, przyniosła kapitalistyczne ceny za eksponaty sztuki okresu komunizmu - przewyższające dwu - , trzy - lub nawet czterokrotnie ceny przewidywane.

W ciągu jednej nocy popyt na artystów głośności wzrósł niebywale. Prace rosyjskich twórców mieszkających już na Zachodzie, jak na przykład Michaił Czemiakin, osiągnęły niebotyczne ceny. Artysta światowej klasy, zwłaszcza gdyby był Rosjaninem, podniósłby status Ravissanta na wyżyny dostępne jedynie dla czołowych galerii.

- To twój szczęśliwy dzień - poinformował ją Thatcher z nutką goryczy w wysokim głosie, kiedy powróciła na stoisko.

- Ktoś kupił twój obraz.

- Co? - podniosła oczy. „Północ w Marrakeszu” zniknęła. Nigdy nie przypuszczała, że ktoś zainteresuje się, a co dopiero zapłaci tak wygórowaną cenę na festiwalu, na którym sprzedawano prace za ułamek tej sumy. - Kiedy?

- Dwie, może dwie i pół godziny temu. Czyż nie jesteś podekscytowana?

Nie odpowiadając na pytanie, pobiegła w kierunku kasy, gdzie nabywcy płacili za zakupione prace.

- Laur... Lucy Wallace. Stoisko sto sześćdziesiąt siedem. Mój obraz - czy już za niego zapłacono?

Podczas gdy urzędnik przeglądał wykaz sprzedanych prac, Lauren czekała z nadzieją, że nabywca ciągle jeszcze rozgląda się po innych stoiskach i że będzie mogła wstrzymać transakcję. Jeżeli już poszedł, odnajdzie go i odkupi obraz. Pomimo wspomnień, jakie wywoływał, uważała go za swoją najlepszą pracę.

- Tak, teraz przypominam sobie - urzędnik uniósł do góry brew. - Zapłacono za niego gotówką.

- Kto go kupił?

- Nie mam pojęcia. Nie prowadzimy rejestru transakcji gotówkowych, chyba że na życzenie nabywcy. Zazwyczaj żądają oni potwierdzenia, ale cała ta transakcja była raczej dziwna. Który nastolatek ma przy sobie tyle szmalu?

Czekając w hallu wejściowym salonu Sotheby na Finleya, który właśnie udał się do szatni oddać płaszcz, Lauren patrzyła na tłum ludzi, wypełniający dom aukcyjny przy New Bond Street. Finley dołączył do niej i po chwili przedzierali się oboje w kierunku recepcji.

- Ci faceci są od Getty'ego - Lauren powiodła oczami po przedstawicielach Muzeum Getty'ego z Los Angeles.

Podczas gdy innym muzeom brakowało środków, aby móc uczestniczyć w finansowych szaleństwach, którymi wyróżniały się ostatnie aukcje, Muzeum Getty'ego było w posiadaniu trzypółmiliardowego spadku po zmarłym J. Paulu Gettym, co stwarzało prawie nieograniczone możliwości podczas licytacji.

- Impertynency jankesi - wzruszył obojętnie ramionami Finley i uśmiechnął się do Lauren. - Szkoda, że Vora nie może być z nami. Archer nigdy nie opuścił ani jednej aukcji.

- Nadal nie czuje się najlepiej.

Lauren i Vora uzgodniły, że będą wyjaśniać jej nieobecność atakiem grypy. Vora nie była jeszcze przygotowana na spojrzenie świata w oczy.

Lauren zmierzyła wzrokiem grupę eleganckich stałych bywalców salonu i pomyślała, że Vora znakomicie wtopiłaby się w to towarzystwo. Damy w nieskazitelnych fryzurach i obwieszone klejnotami miały na sobie najnowszą kolekcję ubiorów prosto z Paryża i Mediolanu. Również mężczyźni - pomimo różnic językowych - łączyła jedna wspólna cecha: ubrania na specjalne zamówienie.

Od czasu przejęcia salonu Sotheby w 1983 roku przez bogatego Amerykanina, A. Alfreda Taubmana, przebieg aukcji zmienił się dramatycznie. Kiedyś domena pośredników, którzy nabywali eksponaty, podbijali ich cenę i sprzedawali klientom - aukcje u Sotheby'ego służyły teraz nowej rasie:

prywatnym kolekcjonerom. Stwarzając przyjemną atmosferę, Sotheby przyciągał nową klientelę. Na początku kierownictwo koncentrowało się na wystawianiu prac o mniejszej wartości, ale w miarę jak prywatni kolekcjonerzy coraz bardziej przyzwyczajali się do bezpośredniego prowadzenia transakcji, pod młotek szły eksponaty coraz droższe. To, co kiedyś zarezerwowane było dla kliki siwiejących mężczyzn w przedwojennych smokingach, przeszło teraz w ręce prywatnych kolekcjonerów z całego świata. Wielu z nich traktowało aukcje z upodobaniem równym sprawowaniu wysokiej funkcji, którą społeczeństwo mogłoby ich obdarzyć. A ponadto ubierali się stosownie do okazji.

Posuwając się razem z tłumem, Lauren wyobraziła sobie, jak wspaniale byłoby mieć w Ravissancie artystę, dla którego obecni tu kolekcjonerzy gotowi byliby rozstać się z częścią swoich pieniędzy. Poszła za radą Tabathy i pojechała do Smithfield. Rosjanin właśnie wyjechał z kolejnym transportem boczków wołowych na rynki wzdłuż szkockiej granicy. Postara się odnaleźć go jutro.

- Pani nazwisko? - odezwała się recepcjonistka zza ekranu komputera, kiedy Lauren w końcu znalazła się na początku kolejki.

- Lauren Winthrop. Będę licytować w imieniu Takgamy Nakamury.

Zamiast rutynowego sprawdzenia wiarygodności z międzynarodowym komputerowym bankiem danych, recepcjonistka uśmiechnęła się i wręczyła Lauren tabliczkę do licytowania, kartę wejściową z numerem miejsca oraz katalog w twardej oprawie. Tak był mile widziany jako licytujący, nie tylko ze względu na swoją własną fortunę, lecz również dlatego, że japońskie banki chętnie udzielały nisko oprocentowanych bezterminowych pożyczek na zakup zachodnich dzieł sztuki. Wpływ wywierany przez

Japończyków na współczesny rynek powodował przesunięcie środka ciężkości z tradycyjnych ośrodków kolekcjonerskich z Ameryki i Europy na Daleki Wschód.

Czekając, aż Finley zostanie zarejestrowany w centrum prasowym, Lauren poprawiła pas okalający jej szary kostium z dzianiny, który kupiła u Alexona. Z wyjątkiem zakupu złotych kolczyków z kolekcji Chanel, nie wydawała nierozsądnie otrzymanych od Barzana pieniędzy na biżuterię. W obwieszonym karatami tłumie wyróżniała się profesjonalnym wyglądem. Kolejno przebadła wzrokiem oczekujących na rejestrację. Dostrzegła wśród nich Darryla Isleya, który rozbudował kolekcję Nortona Simona, a także Eugene'a Thaw, licytującego zazwyczaj w imieniu londyńskiej spółki Agnew. Obaj byli ekspertami od impresjonizmu, było więc mało prawdopodobne, że będą licytować przeciw niej, jako że ją interesowała sztuka współczesna. Nie rozpoznała w tłumie nikogo innego, lecz zdawała sobie sprawę, że konkurencja nie śpi.

- Nakamura chce zakupić Cocteau, nieprawdaż? - zapytał Finley, gdy przechodzili wzdłuż przyległych do głównego salonu pomieszczeń, gdzie ustawiono monitory firmy Sony, na których przedstawiano wystawione na aukcję prace mniej znanym kupującym. Kiedy weszli do głównej sali, przeznaczonej dla najważniejszych osobistości, oczom ich ukazał się widok ścian obwieszonych wystawionymi na aukcję eksponatami.

- Przecież wie pan, że nie mogę o tym mówić.

- Nie ma tu niczego innego, co pasowałoby do jego kolekcji.

Finley poprowadził ją do tej części pomieszczenia, gdzie rząd czarnych telefonów zapewniał połączenie pomiędzy licytującymi i kolekcjonerami w innych krajach.

- Z pewnością nie chciałby ryciny Salvadora Dali, zanim nie pojawi się ona w katalogu. To zbyt ryzykowne.

- Ummm.

Lauren usiadła. Z chwilą gdy pojawi się pełna lista autentyków i falsyfikatów Dalego, konkurencja będzie ogromna. Teraz była najdogodniejsza chwila do zakupu.

- Cocteau będzie znakomitą inwestycją. Jest ich pięćdziesiąt jeden. Większość z nich w Luwrze.

Pięćdziesiąt cztery - poprawiła w myśli. Zmarły Archer Leighton zostawił w komputerze szczegółowe dane, za co była mu wdzięczna.

- Sevin Wunderman jest właścicielem wielu z nich.

Już wcześniej rozejrzała się po zgromadzonych, daremnie szukając wśród nich Wundermana - producenta zegarków marki Gucci i Fila, a także głównego kolekcjonera płócien zmarłego Cocteau, do którego - nawiasem mówiąc - był uderzająco podobny. Być może przysłał z Kalifornii przedstawiciela - jednego z tych mężczyzn siedzących obok Lauren przy telefonach.

Nie tylko Wunderman mógł być zainteresowany kupnem. Dane będące w posiadaniu Ravissanta wskazywały na to, że kolekcja T.J. Griffitha pozbawiona była malowanych palcem obrazów Cocteau. Twórca nowej fali w kinie i autor Les Enfants terribles był jednym z niewielu artystów, których prac Griffith nie posiadał.

Kiedy Finley wyszedł do przyległego pomieszczenia, gdzie przedstawiciele prasy obserwowali przebieg wydarzeń na ekranach monitorów, Lauren podniosła słuchawkę i sprawdziła, czy ma połączenie z Tokio. Sekretarka Taka była na linii: połączy ją z Takiem, kiedy zajdzie potrzeba.

Czekając na rozpoczęcie aukcji, Lauren przeglądała katalog. Obok każdej kolorowej reprodukcji widniała cena, za jaką po raz pierwszy sprzedano dany obraz, wykaz

wydawnictw, w których była o nim mowa, oraz miejsc, gdzie był wystawiany. A także przewidywana cena, jaką osiągnie podczas obecnej aukcji. Zanim dzisiejsza kolekcja powróciła do głównej siedziby Sotheby'ego, odbyła podróż po galeriach Paryża, Nowego Jorku i Tokio. Po jej obejrzeniu Tak zdecydował, że przystąpi do licytacji za pośrednictwem Lauren, która z kolei sama dokładnie obejrzała wystawiane prace.

Punktualnie o godzinie ósmej Henning Reymont, prowadzący aukcje Sotheby'ego w ostatnich trzech dekadach, poprawiając klapy smokingu wkroczył na podium. Kiedy podawał wstępne informacje, wysoki mężczyzna przeszedł środkiem sali i zajął miejsce w pierwszym rzędzie kilka metrów od Lauren. Dostrzegła go kątem oka. Ktoś ważny. Wszystkie miejsca objęte były rezerwacją, a pierwszy rząd przeznaczony dla finansowych rekinów. Podniosła oczy znad katalogu i ujrzała charakterystyczny profil Ryana Westcotta.

Jego dwurzędowy smoking sprawiał, że wyglądał jeszcze potężniej, niż wydawało jej się do tej pory. Postanowiła jednak skupić się na tym, co miała w tej chwili do załatwienia. Gdyby udało się jej nabyć interesujący Taka eksponat, otrzymałaby niezłą sumę. Kiedy Henning Reymont - najpierw po angielsku, a następnie po francusku - wywołał pierwszy obraz do licytacji, Ryan przekreślił się nieznacznie w fotelu. Jego oczy utkwione były w Lauren. Nie potrafiła odwrócić wzroku. Przez chwilę wpatrywał się w nią tak, jak gdyby rozważał coś w myśli. W jego oczach pojawiły się wesołe ogniki. Po chwili uśmiechnął się i mrugnął do niej porozumiewawczo.

Ach, więc tak zamierza to rozegrać. Będzie z nią walczył o Cocteau.

Kiedy wystawiany tuż przed Cocteau obraz Dubuffeta znalazł się na pokrytej bordowym aksamitem sztaludze,



Lauren podniosła słuchawkę. Ściszym głosem poinformowała po japońsku Taka o zebranych na sali.

- Kto jest głównym przeciwnikiem?

- Jest tutaj przedstawiciel T.J. Griffitha - Ryan Westcott.

Oczami wyobraźni Lauren ujrzała uśmiech, jaki z pewnością pojawił się na nieodgadzionym obliczu Taka. Przepadał za walką. Upajał się nią. Jego głos nie zdradzał najmniejszego nawet zaniepokojenia, kiedy Lauren poinformowała go, że ceny sprzedanych do tej pory obrazów były dwukrotnie wyższe od przewidywanych. Tak był wystarczająco zorientowany w sytuacji panującej na rynku. Zwiększony popyt na sztukę impresjonizmu i dzieła starych mistrzów objął również i sztukę współczesną.

Kiedy Cocteau powędrował na sztalugę, po sali poniósł się szmer. Przez ponad dwadzieścia początkowych rund Lauren wstrzymywała się od licytowania, powtarzając Takowi jedynie liczby, które pojawiały się na tablicy cyfrowej, informując o stawkach w funtach brytyjskich, dolarach, frankach, markach oraz - rzecz jasna - w jenach.

Ryan siedział z założonymi rękami, zwrócony ku niej profilem. Podobnie jak i ona czekał, aż odpadną mniej liczący się konkurenci. Czekał w pogotowiu na „licytację z za świecznika”. Podstawieni faceci podbijali zwykle ceny, chociaż każdy dom aukcyjny stanowczo temu zaprzeczał. Jako że domy aukcyjne nie były zobligowane do ogłaszania cen minimalnych, to znaczy takich, które sprzedający mogłby zaakceptować, ani do podawania nazwisk nabywców do publicznej wiadomości, opłacało się zachować czujność.

Kiedy stawka przekroczyła poprzedni rekord dla dzieła Cocteau, Lauren uniosła tabliczkę.

- Oferta przy telefonach - oznajmił licytator.

W tej samej chwili tabliczka Ryana powędrowała do góry.

- Dwieście tysięcy funtów - licytator skinął w kierunku Ryana. - Oferta w pierwszym rzędzie. Czy ktoś da dwieście dwadzieścia pięć tysięcy?

Siedzący tuż przy przejściu jeden z przedstawicieli Getty'ego uniósł do góry tabliczkę z numerem jedenastym. Lauren widziała ją dziś w górze wiele razy. Do tej pory wydali chyba fortunę.

- Dwieście dwadzieścia pięć tysięcy. W środku sali. Czy ktoś da dwieście pięćdziesiąt?

Lauren podniosła tabliczkę do góry i powtórzyła stawkę Takowi.

Zanim licytator zdążył wygłosić formułkę o kolejnym podniesieniu stawki o dwieście pięć tysięcy funtów, Ryan Westcott już trzymał tabliczkę w górze.

- W pierwszym rzędzie. Czy ktoś da trzysta tysięcy?

Tabliczka z numerem jedenastym powędrowała do góry, wywołując w obojętnym na ogół towarzystwie głośny okrzyk zdziwienia. Lauren powtórzyła informację do słuchawki.

- Proszę kontynuować - nalegał Tak, chociaż oboje zdawali sobie sprawę z tego, że jest to licytacja bez precedensu.

Nie zdążyła zareagować, kiedy tabliczka Ryana ponownie znalazła się w górze.

- Czterysta tysięcy funtów. Oferta z pierwszego rzędu. Czy ktoś da czterysta dwadzieścia pięć tysięcy funtów?

Lauren nerwowo obróciła tabliczką w dłoni. Cieniutka strużka potu spłynęła pomiędzy jej piersiami; w sali było niesłychanie gorąco. Spojrzała na cylindryczny szklany sufit, przez który w ciągu dnia wnikało światło słoneczne, jakby tam chciała znaleźć potwierdzenie, że dalsze podbijanie stawki jest nieuzasadnione.

- Czterysta dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Oferta przy telefonie.

Tabliczka Ryana ponownie wystrzeliła w górę. Nie była w stanie dostrzec wyrazu jego twarzy, jedynie zdeterminowaną linię ust. Czekala, aż przedstawiciele Getty'ego podniosą stawkę.

Reymont popatrzył w stronę numeru jedenaście.

- Czy ktoś da więcej?

- Proszę kontynuować - zażądał Tak, kiedy nikt od Getty'ego nie zareagował.

Niechętnie uniosła tabliczkę. Zanim licytator zdążył powtórzyć ofertę, Ryan wyrzucił tabliczkę do góry.

- Pięćset dwadzieścia pięć tysięcy funtów - Henning Reymont chusteczką otarł pot z brwi. - Oferta w pierwszym rzędzie.

Lauren zalicytowała jeszcze raz. Szybko rzuciła do słuchawki:

- Nie chciałabym przelicytować. Ryan podwyższył stawkę.

- Kto da więcej? Pięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów po raz pierwszy. Pięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów po raz drugi. Kto da więcej?

W skierowanych na Lauren oczach licytatora pojawiło się pytanie.

Z uczuciem ulgi Lauren położyła tabliczkę na kolanach. Dzięki Bogu, Tak posłuchał jej rady i wycofał się.

- Pięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów po raz trzeci. Sprzedane.

Reymont skinął w stronę Ryana:

- Pański numer proszę.

Aukcja toczyła się swoim biegiem. Lauren usiłowała poprawić Takowi nastrój. Dopiero po chwili zdołała go przekonać, że podbijanie stawki naraża na szwank jego reputację kolekcjonera i narusza jej zawodową pozycję. Kiedy wystawiono Dalego, o którego Lauren zamierzała się ubiegać,

zaledwie dwa inne eksponaty pozostały na pokrytych czerwonym adamaszkim ścianach w oczekiwaniu na licytację. Więcej niż połowa licytujących opuściła już salę, nawet przedstawiciele Getty'ego gdzieś zniknęli. Jediną osobą, która pozostała przy telefonach, była Lauren.

Niedbale zarzuciwszy ramię na oparcie sąsiedniego, pustego już fotelu, Ryan nadal nie ruszał się ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie. Odwrócił się i spojrzał Lauren prosto w oczy. Obdarzyła go uprzejmym uśmiechem, mimo że straciła przez niego znaczną prowizję. Nie kryjąc rozbawienia, znów mrugnął do niej porozumiewawczo i uśmiechnął się szeroko. Nie chcąc, aby zorientował się, jak bardzo rozczarowana jest utratą Cocteau, Lauren starała się zachować pogodny wyraz twarzy.

Licytacja akwaforty Dalego rozpoczęła się w szaleńczy sposób, jednakże z oferentów szybko uszło powietrze. Podejrzliwi inwestorzy obawiali się, że obraz może okazać się falsyfikatem. Lauren była spokojna. Studiowała prace Dalego, kiedy mieszkała w Paryżu. Akwaforta była autentycznym, a za tę cenę prawie że podarunkiem losu. Lauren sądziła, że Ryan nie weźmie udziału w licytacji, jako że Griffith zgromadził do tej pory niezliczoną ilość prac Dalego. Uniosła tabliczkę po raz pierwszy.

- Oferta przy telefonie.

Ryan podniósł swoją tabliczkę. Dlaczego on licytuje? Akwaforta Dalego to ostatnia rzecz, jakiej Griffith mógłby potrzebować.

- Pięćdziesiąt tysięcy funtów. Oferta w pierwszym rzędzie. Kto da...

Lauren machnęła tabliczką w powietrzu. Ryan. Lauren. Ryan. Lauren. Zastanawiało ją, czy Ryan nie licytuje jedynie po to, aby ją rozjątrzyć. Popatrzył na nią z zuchwałym uśmiechem zielonych oczu, zdominowanych przez czarne jak

noc żrenice. Wyteżyła wszystkie siły, aby zapanować nad nerwami. W niestosownym uśmiechu Ryana zobaczyła całą prawdę. Oznajmiła utyskującemu Takowi, że nie będzie już więcej licytować.

- Dlaczego? Przecież stwierdziła pani autentyczność tej pracy. Kiedy katalog zostanie ukończony, jej wartość ulegnie podwojeniu.

- Nie zna pan Ryana Westcotta. On nigdy się nie podda. Nigdy z nim nie wygram.

Vora pośpieszyła w dół mrocznej ulicy w kierunku rzędu oświetlonych etnicznych barów i restauracji. Gdy mijiała grupę pijanych mężczyzn, usłyszała za sobą gwizdy i nawoływania. Wychodząc poza West End, można było zobaczyć inną twarz Londynu. Odartą z turystycznego blasku. Odsłaniającą ciemne strony każdego wielkiego miasta: biedę i występki.

Co tu robisz, ty kretynko? Zgwałcą cię albo zamordują. Czowała jednak, że jedynie noc dzikiej, nieokiełznanej, ekstatycznej miłości może przynieść tak potrzebne jej ukojenie. W ciągu kilku ostatnich lat - między kolejnymi kochankami - miała w zwyczaju dryfować po mniej reprezentacyjnych zaułkach Londynu w poszukiwaniu mężczyzn na jedną noc. Bezimiennych, których można było zostawić bez skrępowań. Dziś wieczorem zamierzała udać się do znanego sobie z poprzednich wizyt włoskiego klubu nocnego, jednakże wystraszyli ją ci z tyłu. Dała nura do pobliskiego kabaretu i rozejrzała się dookoła.

Z wyjątkiem stojącego przy barze mężczyzny, nikt nie zwrócił na nią uwagi. Jego czarne, lekko siwiejące na skroniach włosy połyskiwały w mrocznym świetle. Jak na jej gust był jednak zbyt niski i krępy. Woląta wysokich, delikatnie zbudowanych mężczyzn. Takich jak Clive.

Banda z ulicy weszła za nią do środka, potrącając ją i czyniąc niewybredne uwagi. Na stojącym przy drzwiach

wieszaku powiesiła kupiony na tę okazję od pokojówki znoszony płaszcz. Przychodząc do takich miejsc, Vora nigdy nie miała na sobie kosztownych ubiorów ani biżuterii.

- Cześć. Jak się masz? - powiedziała, podchodząc do baru.

Stała obok mężczyzny. Z bliska wydawał się starszy, niż myślała - chyba nieco przed pięćdziesiątką. Atrakcyjny Słowianin. Niskie czoło, gęste włosy podkreślające ożywione piwne oczy.

- Mogę zakupić drink? - zapytał chrapliwie, z obcym akcentem. Polak? Czech?

- Proszę szkocką.

Kiedy nieznajomy zamawiał dla niej drinka, Vora zlustrowała go dokładnie, zastanawiając się, jak szybko będzie go można spławić. Nie był w jej typie, ani trochę. Stojąc boso zderzyliby się nosami. Lecz dzisiaj Vora miała ochotę na kogokolwiek. Byle ją tylko wspaniale przeleciał. Rzuciła okiem na jego znoszone dzinsy. Na podniecające zgrubienie wielkości pięści pomiędzy udami. Niezwykle ponętne.

Uśmiechnął się niezręcznie wręczając jej drinka. Powiedział coś, czego nie mogła zrozumieć z powodu gwaru panującego przy barze. Doszła jednak do przekonania, że jego akcent wskazuje na Czecha. Bez wątpienia.

Uśmiechając się znowu, położył rękę na jej dłoni. Podwinięte do łokci rękawy wykonanego ręcznie rybackiego swetra odsłaniały pokryte pręgami umięśnione przedramiona. Ramiona, których gigantyczny rozmiar przypisywała początkowo grubemu swetrowi, nadawały jego postaci niezwykle wyraz. Ciało o ostrych konturach stwarzało wrażenie człowieka przyzwyczajonego do ciężkiej pracy. Niewątpliwie pracował w porcie albo innym podobnym miejscu.

Znowu obdarzył ją najszczerzym uśmiechem.

- Mówią, tu dobry występ.

Pogasły światła i umazana na czerwono blondynka wkroczyła dumnie na scenę. Przysunawszy się bliżej do Czecha, Vora poczuła duszący zapach mydła. Przypomniała sobie innych mężczyzn, których spotykała w takich miejscach; ten przynajmniej wziął kąpiel. Kiedy się odwrócił, jego twarz znalazła się tuż przy niej. Coś wymamrotała, a on zbliżył głowę do jej ust, starając się zrozumieć słowa wypowiedane przez nią przy akompaniamencie skowytu, który najprawdopodobniej miał uchodzić za śpiew.

Przesunęła czubkiem języka po zakręconej krawędzi ucha mężczyzny, jednocześnie wsuwając rękę pomiędzy jego uda. Co za rozkosz - pomyślała, wążąc w swej dłoni ciężar jąder i badając grubość jego członka.

Korzystając z ciemności przysunął się jeszcze bliżej, szepcząc słowa, których nie potrafiła odszyfrować z powodu jego akcentu i otaczającego ich zgiełku. Jednego była pewna. Jego członek stawał się coraz większy. I twardszy.

- Mieszkasz blisko stąd?

- Tak.

Wydawał się kompletnie zaskoczony. Czyżby nigdy wcześniej nie został poderwany przez kobietę? Zacisnęła na nim dłoń.

- Zabierz mnie do siebie.

Poprowadził ją za rękę tam, gdzie wisiał jej płaszcz. Kiedy pomagał jej się ubrać, poczuł jej kolejną pieśczętę. Nieokielznana siła jego ciała, szorstkość szerokich ramion i muskularna budowa nóg napełniały dreszczem jej rozgrzane uda.

- Jak ma imię? - zapytał, kiedy wyszli na zewnątrz. Jego akcent był mniej twardy, niż myślała. Musiała po prostu uważnie słuchać.

- Velma Lesterton.

Nie pytając go o imię, Vora zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła jego uda do swoich. Jego ciemne oczy połyskiwały z niedowierzaniem. Pocałowała go, głęboko zanurzając język w jego ustach.

- Poczekaj - powiedział, silnym ramieniem odciągając ją na bok i zmuszając, aby poszła z nim w górę ulicy.

Gwiżdżąc „Boże, chroń Królową”, poprowadził ją cztery ulice dalej. Niewątpliwie jego pojęcie bliskości było inne niż Vory. Jak znajdzie drogę z powrotem? Szli opustoszałym zaułkiem w kierunku opuszczonego magazynu sklepowego. Gdy znaleźli się w środku, Vora zatrzymała się. Czyżby wpadła w szpony mordercy? Chyba zwariowała już całkowicie. Jednakże mężczyzna, szepcząc jej coś słodko brzmiącego do ucha, objął ją mocniej i poprowadził schodami w górę do niewielkiego pokoju.

Pociągnął za wystrzępiony sznurek i dwudziestopięciowatowa żarówka rozświetliła pokój nad ich głowami. O dwadzieścia wat za dużo. Na podłodze leżał wklęsły materac, a na nim poduszka i starannie złożony koc. Brak było prześcieradła. Przybita gwoźdźmi do ściany flaga brytyjska stanowiła jedyny szczegół kolorystyczny.

- Płaszcz, proszę?

Vora spojrzała przez ramię na jego czerwoną twarz, kiedy zdejmował z niej płaszcz. Odsunął się nieco i powiesił go na ścianie obok pary dżinsowych spodni, dwu koszul z wystrzępionymi kołnierzykami i pary krótkich spodenek. Sądząc po tym, że nie było w pokoju żadnej szafki, była to prawdopodobnie cała jego garderoba.

- Zimno tu.

Żadnego grzejnika. Jak on to znosi? Nagle przypomniała sobie, jak Clive dąsał się na nią, zanim kupił mu kaszmirowy płaszcz.

- Chcesz, żeby zabrać cię z powrotem?



Coś ścisnęło ją w środku. On nie miał nic. Ona wszystko.

- Nie, oczywiście, że nie. Chcę, żebyś mnie rozgrzał. Słowa Vory wywołały u niego zachwycający uśmiech.

Zrzuciwszy buty, rozpięła dwie haftki zakładanej zawsze na takie okazje obszernej sukienki, która opadając na podłogę, odsłoniła jej nagie ciało. Usiłował pochwycić ją w ramiona, lecz ona szybko sięgnęła po pasek u jego spodni i rozpięła go jednym zręcznym ruchem, a następnie odpięła górny guzik dżinsowych spodni i pociągnęła je energicznie w dół.

Zrzuciwszy z siebie sweter, stanął naprzeciw niej zupełnie nagi. Tak jak i ona. Z niedowierzaniem wpatrywała się w jego muskularną sylwetkę i zgrubiały członek. Nie rozumiała w tej chwili, skąd u niej to upodobanie do mężczyzn wysokich i szczupłych. Skierowawszy dłoń ku dołowi, poprowadziła jego gładki trzonek w swoim kierunku.

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, leżała już pod nim na materacu, z trudem chwytając oddech. Próbowwała przekreślić się, aby zająć swoją ulubioną dominującą pozycję, ale trzymał ją mocno w ramionach i nie pozwalał jej na to. Jednym zdecydowanym ruchem rozchylił jej uda i wszedł w nią aż do głębi.

Lauren szła w milczeniu obok Finleya, kiedy podążali w górę New Bond Street. Po aukcji urządzano przyjęcie dla wydawcy z „Apolla”. Pomimo zapewnień ze strony Finleya o tym, że Ryan przepłacił, Lauren czuła, że zawiodła Taka. Czy jeszcze kiedyś skorzysta z jej porady?

Właściwie nie wierzyła w dobrą lub złą passę. Jednakże po tym, jak „Północ w Marrakeszu” została sprzedana i nie można było jej wytropić, wydawało się, że los jest przeciw niej. Nie mogła także odnaleźć Rosjanina, a teraz na dodatek Ryan Westcott ją przelicytował. A co jeszcze ją czeka?

Kiedy skręcili na Cork Street, Finley zatrzymał się przed galerią Bernarda Jacobsona. Popatrzył przez chwilę na akwafortę Lucien Freud.

- W ogóle mi się to nie podoba.

Lauren nie zgodziła się z nim w duchu. Niezliczone elitarne galerie przy Cork Street wyprzedzały Ravissanta o wiele lat świetlnych, ponieważ wystawiały prace utalentowanych artystów. Lauren doszła do wniosku, że zbyt wielką nadzieję pokłada w Rosjaninie. Szansa jedna na milion.

- To tutaj - Finley zatrzymał się na końcu Savile Row. Otworzył czarne drzwi, na których widniał kilkucentymetrowej wielkości napis: Albany.

- To wejście jest zwykle zamknięte. Bingham otworzył je specjalnie dla wielu z nas przybywających z tej strony.

Przez niewielki ogród weszli do sławnego domu.

- Jak stary jest the Albany? - spytała Lauren.

- Dwieście lat. Proszę nigdy nie używać the. Właścicielom to się nie podoba. Uważają, że nazwa brzmi wtedy jak hotel. O domu mówią po prostu: Albany - to najlepszy adres w Londynie.

- Ach tak.

Nic ją to nie obchodziło. Nie podzielała obsesji Brytyjczyków na punkcie przynależności klasowej. Nie robiła też na niej wrażenia lokalizacja Albany w samym środku Piccadilly, naprzeciw Hatchardsa. Niewątpliwie - pierwszorzędna okolica przed dwustu laty. Dziś jedynie hałaśliwe, zapchane przez samochody miejsce.

Portier - tak stary jak Albany - poprowadził ich marmurowym korytarzem do zaskakująco niewielkiego pomieszczenia, oświetlonego przez staromodny żyrandol Waterforda. Oddając służbie futro z soboli, Lauren podniosła wzrok i ujrzała przypatrującego się jej Ryana Westcotta.

To musi być mój szczęśliwy dzień. Szuja. Pozbawił ją niezłej prowizji i - całkiem prawdopodobnie - odebrał szacunek Taka. Pamiętając jednakże o tym, że Ravissant potrzebuje przychylności Ryana, zareagowała na znane jej już mrugnięcie wymuszonym uśmiechem.

Gdy popijali aromatyczne trunki, wśród nich porto - według informacji Finleya rocznik 1934 - uwaga niewielkiej grupki zebranych skupiła się na wydawcy „Apolla” - Chesterze Reynoldsie - Stephensie. Ekspert z twarzą łasiczki i podbródkiem przechodzącym prawie niezauważalnie w szyję dokonywał czegoś, co Lauren wydało się opartą na analizie całkowicie fałszywych danych prognozą dotyczącą sytuacji na rynku impresjonistycznych dzieł sztuki. Słuchano go z pełną czci uwagą.

Ryan stanął z boku i z wyrazem znudzonej wyższości bawił się kieliszkiem porto. Lauren czuła na sobie jego wzrok, ale nie podnosiła oczu. Utkwiła wzrok w Reynoldsie - Stephensie, czekając, aż ten zrobi sobie przerwę dla zaczerpnięcia oddechu.

- Co pan sądzi o artystach głośności? - zapytała, kiedy nareszcie przerwał, aby wypić łyk wina.

- Niektórzy mają talent - powiedział z emfazą. - Na przykład Siergiej Czepin i Iwan Babij. Ale reszta to spadające meteory. Nie radzę w nich inwestować.

- A ja tak.

Towarzystwo z uwagą zwróciło się ku Ryanowi, który wcześniej nic nie mówił.

- Poprzez sztukę mają do opowiedzenia o siedemdziesięciu latach historii i represjach - ciągnął Ryan nie zrażony ich nieprzychylnymi spojrzeniami. - A co najważniejsze, nie zostali jeszcze zarażeni przez szakali z zachodniego świata sztuki. Malują swoje życie, przedstawiają własne doświadczenia.

Nastąpiła ogłuszająca cisza. Lauren wbiła wzrok w Ryana. Właśnie tak! Rosjanie mają werwę, zaangażowanie i świeże spojrzenie, tak obecnie potrzebne będącej w zastoju światowej sztuce.

- Czy ja wiem? - wymamrotał Finley.

- Ja się z tym zgadzam - powiedziała Lauren. - Nic nie byłoby lepsze dla Ravissanta jak znalezienie utalentowanego rosyjskiego artysty.

Wyczerpana Lauren opadła na narzutę, zbyt zmęczona aukcją i przyjęciem, aby przygotować sobie łóżko do spania. Selma miała dzisiaj wolne. Łóżko nie było pościelone, a światła w foyer wygaszone, lecz Lauren nie przejmowała się tym wcale. Nie odpowiadał jej natrętny, wścibski charakter Selmy. Gdyby nie to, że potrzebowała kogoś, kto troszczyłby się o mieszkanie ... Chwileczkę. A Tabatha Foley? Może ona mogłaby zostać jej pokojówką? Tylko czy zechce porzucić pracę w Hard Rock? Oczywiście za odpowiednią sumę pieniędzy.

Lauren postanowiła, że zwolni Selmę, płacąc jej za trzy miesiące z góry, aby miała się z czego utrzymać, zanim nie znajdzie sobie czegoś innego. Wówczas Tabatha mogłaby wprowadzić się do pomieszczenia dla służby. Dobry pomysł. Przez cały tydzień Tabatha zaprzętała jej umysł. To zbyt młoda osoba na to, aby mieszkać i utrzymywać się sama. Nic dziwnego, że otoczyła się murem czegoś na pograniczu niechęci i wrogości. Z przygnębiającą ostrością Lauren ujrzała siebie w wieku siedemnastu lat. Zupełnie samą w otaczającym ją świecie - z wyjątkiem Paula.

W oddali usłyszała stukanie do drzwi. O tej porze to zapewne Jeeves z jakąś ważną wiadomością. Czyżby coś się stało z Paulem? Przebiegła korytarzem z lustrami w kierunku marmurowego wejścia i gwałtownym ruchem szeroko otworzyła drzwi.

- Spodziewałaś się mnie? - Ryan Westcott uśmiechnął się szeroko.

- Czego chcesz? - Otuliła się szlafrokiem, szukając wzrokiem Jeevesa, ale nigdzie go nie było. Czy on kiedykolwiek pamięta o swoich obowiązkach? Nikogo nie powinien wpuszczać do domu o tej porze.

- Porozmawiajmy - Ryan wszedł do środka i podążył w stronę salonu.

Co za niewiarygodny tupet! Celowo zniszczył ją na licytacji, a teraz zjawia się tutaj. Sapiąc z wściekłości, podążyła za nim.

- Czy to nie może poczekać do jutra?

- Nie.

Usiadł na wąskiej kanapie i poklepał miejsce tuż przy sobie.

Pamiętaj, Lauren, potrzebujesz go. Usiadła naprzeciw w adamaszkowym fotelu.

- Słucham?

- Znalazłaś rosyjskiego artystę.

- Nie. - Ścisnęła mocno srebrną bransoletkę, którą zawsze miała na ręku.

- Nie kłam. Zamierzasz urządzić wystawę jego prac.

- Dopiero go szukam - wyjaśniła, mimo że miała już gotową ostrą odpowiedź na końcu języka. Jeśli on będzie po twojej stronie, będzie ci dużo łatwiej. Pamiętaj o tym. - Jest taka możliwość. To wszystko. Nie widziałam nawet jego prac.

- Wchodzę w to.

- Mam już współnika.

- Ja mogę tego Rosjanina uczynić sławnym. A Vora? Lauren spojrzała w bok. Nie można było zaprzeczyć:

Vora pojmowała sztukę w sposób ograniczony. Znała się na artystycznych ubiorach. Ryan natomiast, jako reprezentant poważanego Griffitha, mógł działać cuda.

- Czyżby dzisiejsza lekcja niczego cię nie nauczyła? Właściwie jej groził. Lauren wysiliła się na jeszcze jeden uśmiech, mając nadzieję, że sprawi tym wrażenie obojętności, w końcu jednak niechętnie opowiedziała mu o wszystkim, co wiedziała w tej sprawie. A wiedziała niewiele.

- Wchodzę w to. Od tej chwili jesteśmy wspólnikami, rozumiesz?

- Ale dlaczego? Czego ty chcesz?

- Być pierwszym przy zakupie jego prac. Widzę wszystko dokładnie, zanim inny potencjalny nabywca to dostrzeże. Kupuję to, czego życzy sobie T.J., a po pewnym czasie rzucam to na rynek, reklamując jako przebój dekady i okazję do inwestycji.

- Dobrze - zgodziła się.

- Kiedy go mogę poznać... wspólniku?

- Zjedz śniadanie - Ryan popatrzył na zegarek marki Concord. - Rosjanin wróci, jak skończy dostawy. To jeszcze pół godziny.

- Wiem - odparła Lauren, odsuwając kielbaski na brzeg talerza.

Kuchnia w Mustards Smithfield Brassiere nie bardzo jej odpowiadała. Zresztą wszystkie jej myśli krążyły obsesyjnie wokół Rosjanina.

Kiedy Ryan nalegał na zostanie jej współnikiem, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ważny był dla niej ten artysta. Gdyby rzeczywiście chciała wykorzystać swoją pozycję w galerii, aby złowić bogatego kolekcjonera na męża, to po co ten cały pośpiech? Po co to zaangażowanie?

Pomyślał o tym patrząc, jak niewielkimi łykami popija herbatę. Nadal było w niej coś, co zawładnęło nim tamtej nocy, kiedy znalazł ją skąpaną we łzach. Coś, przed czym trudno mu było się obronić. Pomimo łez dostrzegł w niej godną podziwu odwagę. Trzeba było być niezwykle silnym, aby móc odwrócić się plecami do Caroline Armstrong. Co się wtedy wydarzyło? Do diabła, w tamtym czasie Lauren miała... ile? Szesnaście... siedemnaście lat? Sposób, w jaki warknęła na niego, oznajmiając, że ma swoje prywatne powody, dał mu do zrozumienia, że nadal jest to dla niej sprawa drażliwa. Postanowił dowiedzieć się dlaczego.

Kończąc kawę, Ryan przypomniał sobie o tym, jak Lauren starła się dosłownie z wydawcą „Apolla” o podwójnym nazwisku. Do tego trzeba mieć charakter. Większość właścicieli galerii całowała krytyków po tyłkach. Ale nie Lauren.

Trzeba działać z pozycji siły - powiedział sobie obserwując ją. Podczas licytacji dał jej do zrozumienia, że liczy się interes. Lauren знаła tylko część prawdy. Podziwiał

ją. Jej oddanie, energię, sex appeal. Ale gdyby próbowała go zwodzić, rozszarpałby ją na części - tak jak T.J. powinien kiedyś postąpić z Caroline.

Kiedy spostrzegł, że Lauren zamierza spędzić resztę czasu na przekładaniu jedzenia z jednej strony talerza na drugą, rzucił kilka funtowych banknotów na stół.

- Chodźmy.

Przeszli w milczeniu w górę Long Lane w kierunku Smithfield. Podczas gdy rynek warzywno - rybny już dawno wyniósł się z centralnej części Londynu, opuszczając Covent Garden i Billingsgate, w Smithfield nadal handlowano mięsem. Kiedy wczesnym rankiem pojawili się tutaj, pytając o Rosjanina, powiedziano im, że już wyjechał ciężarówką z poranną dostawą.

Ryan wziął Lauren pod ramię i poprowadził ją obok zaparkowanej ciężarówki dostawczej. Ramię Lauren zeszywniało; jego najłżejszy dotyk przejmował ją niechęcią. Wiedział, że go nie lubi. Chciała go wykorzystać, a on to akceptował. To jego specjalność.

Kiedy weszli do hurtowni, oczom ich ukazały się gotowe do podzielenia na kotlety tony mięsa, zwisające z zaczepionych u sufitu haków. Wkrótce znaleźli się przy stanowisku, przy którym pracował Rosjanin, kiedy nie rozwoził towaru.

- Spójrz - wyszeptała Lauren, wskazując na krępego, ciemnowłosego mężczyznę, który właśnie zarzucił sobie potężny kawał wołowego mięsa na plecy, cisnął nim na drewniany stół i rozpołowił jednym uderzeniem topora.

- Irek! - zawołał Ryan. - Irek Makarow!

Niski mężczyzna odwrócił się do nich pytająco marszcząc czoło:

- Taak?

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać.



Kątem oka Ryan spojrzał na Lauren. Wpatrywała się w ręce Rosjanina. Krew kapłała z ogromnych muskularnych palców. Ryan wziął jej dłoń i lekko ścisnął.

Makarow spojrzał przez ramię z wyrazem nie skrywanego zmartwienia, że traci czas, a może stracić i pracę.

- Słyszeliśmy, że jest pan artystą - powiedział Ryan, czując coraz mocniejszy uścisk dłoni Lauren w momencie, kiedy Rosjanin wycierał ociekające krwią ręce w zbyt obszerny fartuch.

- Kim jesteście? - w głosie Makarowa słychać było ostrożność.

- Nazywam się Lauren Winthrop, a to mój współpracownik - Ryan Westcott. Jestem właścicielką galerii sztuki.

Oczy Makarowa zwężyły się. Potrząsnął przecząco głową zbierając się do odejścia.

- Studiował pan z Bieliutinem? - Ryan zaryzykował przypuszczenie, zanim Rosjanin zdążył się oddalić.

Makarow przystanął.

- Pan wie?

- W zeszłym roku jego uczniom pozwolono po raz pierwszy wystawić swoje prace. Czy wiedział pan o tym?

Ryan odczytał ostrożne przytaknięcie Rosjanina jako sygnał, że zaczyna połykać haczyk.

- Bułhakow, Filipowa i cała reszta.

- Dobrze - powiedział Makarow, choć zabrzmiało to niewyraźnie. - Oliwa... jak mówią?

- Oliwa w końcu na wierzch wypływa - odezwała się Lauren.

Ryan spostrzegł uśmiech Makarowa. Jeszcze jeden cholerny pies na piękne kobiety.

- Oliwa na wierzch wypływa - powtórzył Rosjanin.

- Czy możemy zobaczyć pańskie prace? - zapytał Ryan.

- Wam nie spodoba - zawahał się. - Pokazywał galeriom.  
Nie spodobało.

- Kiedy to było? - Ryan poczuł, jak Lauren ściska jego dłoń.

- Dziewięć lat. Kiedy ja przyjechał do Anglii.

Tak jak Ryan przypuszczał, było to, zanim nastąpiła moda na Rosjan. Ci zasmakujący w galeriach pedałują jedynie za tym, co już jest popularne.

- Czasy się zmieniają.

- Oliwa na wierzch wypływa - dodała promieniejąca Lauren.

To załatwiło sprawę. Makarow dał im adres, mówiąc:

- Słuchajcie! Przyjdźcie, jak chcecie!

Kiedy wyszli z budynku, Lauren podskakiwała idąc obok Ryana. Jej oczy błyszczały z podniecenia. Chociaż raz nie próbowała mu się wyrywać.

- Co o tym sądzisz?

- Nie podniecaj się za wcześnie.

- Studiował z Eli Bieliutinem.

- Ale w zeszłym roku w Moskwie jego prac nie wystawiono.

- Chyba źle zrozumiałam. Myślałam, że pokazano jego wcześniejsze prace. - Zachmurzyła się. - Może on nie jest nic wart.

Ścisnął mocniej jej dłoń, aby ją uspokoić.

- Przekonajmy się sami.

Byli już w samochodzie, kiedy Lauren - drapiąc po uchu siedzącą na jej kolanach Iggy - zapytała:

- Czy to nie dziwne, że Irek dał nam klucze?

- Tam, gdzie mieszka, wszystko, co warto by ukraść, zostało już skradzione.

Ryan mknął astone - martinem przez dzielnicę walących się domów, z których część - nigdy nie odbudowana -

pamiętała czasy bombardowań Londynu przez hitlerowskich faszystów. Skręcając w ponury zaułek, Ryan wystraszył stado plądrujących w rynsztoku szczurów, które rozpiezchły się na wszystkie strony. Zatrzymał się przed budynkiem, który stał w tym miejscu jeszcze przed pierwszą wojną światową.

- Jak on może tu mieszkać? - Lauren wskazała palcem na dwa okna bez szyb, powybijanych przez ulicznych twardzieli rzucających kamieniami. - To napawa grozą.

- Niewielu jest takich, którzy chcieliby z nim zadrzeć. Ryan zaparkował samochód na popękanym chodniku i powiedział:

- Weźmy z sobą Iggy, bo inaczej, kiedy wrócimy, będzie się już dusiła w czyimś garnku.

Rozejrzawszy się dookoła i nie zauważywszy nikogo, Ryan zamknął samochód. Chłopcy z MI - 5 wykonali niezłą robotę, instalując w nim skomplikowany system alarmowy. Gdyby ktoś tylko spróbował dotknąć samochodu, odpowiedni czujnik natychmiast uruchomiłby system alarmowy.

Ryan poprowadził Lauren i Iggy drewnianymi schodami na trzecie piętro, gdzie - jak im powiedział Makarow - mieściła się jego pracownia. Przez staroświecki sufit, pokryty niewielkimi szklanymi kafelkami, smugi dziennego światła wlewały się do pokoju, na którego wszystkich ścianach wisiały ukończone obrazy olejne. Inne stały oparte o ściany.

Przez chwilę żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

- O Boże - wyszeptała Lauren. - To geniusz.

- Jezu! - Ryan objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Nie zwracając uwagi na jego czułości, uśmiechnęła się podekscytowana widokiem malowideł. - Nie da się zaprzeczyć, że facet ma talent.

- Co byś powiedział o jego technice? - spytała Lauren.

- To impresjonista. Współczesny impresjonista. Kolory żywe jak u van Gogha, w połączeniu z delikatnymi odcieniami jak u Moneta.

- Ale jest w nim coś typowo rosyjskiego. Z kształtu budynków można wywnioskować, że nie jest to artysta z Zachodu. - Nie myśląc o tym, co robi, oparła się o Ryana. - Jak według ciebie osiąga on delikatność tych linii?

Pośród niewyraźnych, rozmazanych motywów, często kojarzonych z impresjonizmem, cienkie jak nitka linie nadawały obrazom formę, a zarazem niezwykłość.

- Wygląda na to, że używa cienkiego pędzla.

- Nie o to mi chodzi. Czy zwróciłeś uwagę na ręce Irka? Wielkie jak haki na mięso.

- Najlepsi chirurdzy to często ogromni faceci z grubymi palcami. Artyści nie muszą być gorsi.

- Masz rację. Nie mogłam jednak nie dostrzec jego rąk. Spojrzała na spoczywającą na jej ramieniu dłoń Ryana. Już wcześniej zauważył, że Lauren wpatruje się w jego ręce, i doszedł do wniosku, że zafascynował ją pierścień z lampartem. Tak jak większość kobiet. Jej komentarz sprawił jednak, że nie był już tego pewien. A może chodzi jej o ręce na płótnach, Westcott?

Podeszli do sztalugi, na której widniała rozpoczęta dopiero praca Makarowa - najprawdopodobniej portret.

- Dziwne - stwierdził Ryan. - Inne prace to pejzaże lub sceny wiejskie.

- Może wkracza w nową fazę.

- Być może - Ryan obserwował, jak Lauren przygląda się nie dokończonemu płótnu. - Przypomina mi obraz, który ostatnio nabyłem dla T.J.

- Naprawdę? Czyj?

- To tajemnica do chwili, kiedy T.J. podejmie decyzję, czy chce go zatrzymać, czy też nie.

Bawiło Ryana, że Lauren nie zdaje sobie sprawy z tego, iż wspomniany obraz został namalowany właśnie przez nią. Musiał kontynuować tę grę. Chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej, a obraz był do tego kluczem. Poczł to w tej samej chwili, kiedy otworzywszy drzwi szafy w pracowni Lauren, ujrzał go przed sobą.

- Skoro mowa o tajemnicach, kto jeszcze wie o tym, że jesteś na tropie Rosjanina? Chyba nie Tibbetts?

Ten sukinsyn sobie przypisałby odkrycie Makarowa.

- Nie mówiłam o tym Finleyowi. Nie sędę nawet, żeby cokolwiek podejrzewał.

Ryan natychmiast odczytał to stwierdzenie jako wątpliwy komplement.

- Napomknęłam o tym Vorze.

- Do diabła! Ona powie Basilowi Blackstoke'owi - temu pedałowi z salonu fryzjerskiego - i jutro cały Londyn będzie o tym wiedział.

- Powiedziałam jej tylko, że jesteśmy na tropie. Zapominasz chyba, że pół Ravissanta należy do Vory.

Znowu miała na twarzy ten sam nieprzyjemny grymas, tak jak poprzedniego dnia, kiedy zmusił ją do współpracy.

- Nie, ale chcesz, żebyśmy to zawalili?

- Masz rację. Powinniśmy wrócić i zabrać Irka do prawnika. Niech jeszcze dzisiaj podpisze z nami umowę, że będzie wystawiał w Ravissancie na zasadzie wyłączności. Później kupimy mu ubranie, znajdziemy przyzwoite mieszkanie i kogoś od reklamy...

- Przystopuj nieco. Musimy go najpierw dobrze poznać. Dowiedzieć się, co zamierza. Popatrz na jego sztukę. Irek ma dokładnie określony pogląd na życie. Nie możemy go wystroić i rzucić na pożarcie rekinom artystycznego świata. On nie ma pojęcia, co to za towarzystwo. Gułag wyda mu się przy tym bezpiecznym schronieniem.

Przytaknęła i pochyliła się, aby pogłaskać Iggy.

- On potrzebuje przyjaciół, a nie tylko kontraktu. Zaprośmy go dziś wieczorem na kolację. I to nie do bistra, w którym panuje atmosfera pretensjonalności, bo to go będzie krępować. Pizza, żeberka albo coś w tym rodzaju. Wtedy dowiemy się o nim czegoś więcej.

- Powinniśmy zabrać z sobą Vorę. Ma prawo brać w tym udział.

- Dopilnuj, żeby trzymała język za zębami - przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. - Ubierzmy się nieformalnie. Powiedz Leighton, żeby odłożyła dziś na bok wszelką biżuterię. Niewątpliwie Makarow uważa się za kogoś z proletariatu. Bogate dziewczynki mogą go onieśmielać.

Lauren wyraziła zgodę, po czym zabrała się do dokładnego oglądania najnowszej pracy Makarowa.

- Rozpuść sobie włosy. W tym koku wyglądasz jak belferka. Makarow prawdopodobnie miał kłopoty w szkole.

Odpowiedzią było obrażone spojrzenie. Nie dbał o to ani trochę. Nienawidził jej uczesania. Podobały mu się włosy rozpuszczone, opadające na ramiona. Cholernie seksowne. Obeszli pokój w milczeniu, ponownie przyglądając się obrazom Makarowa.

- Wydaje mi się, że jego wcześniejsze prace są w Rosji i nie ma nadziei na to, żeby je stamtąd wydostać. Tamtejsze muzea rzuciły się teraz na obrazy, których nie chciały wystawiać, zanim nastąpiła głośność. Zwłaszcza Galeria Trietiakowska w Moskwie.

- Nie. Tutaj jest wszystko - odparł Ryan.

- Skąd wiesz?

- Nawet Finley Tibbetts nie mógłby nie zauważyć takiego talentu jak Makarow. Gdyby Rosjanie mieli jakieś jego obrazy, wystawiliby je razem z resztą prac ze szkoły Bieliutina w Abramcewie.

- Irek z pewnością był jego najlepszym uczniem. Przypuszczam, że Bieliutin pokazałby którąś z jego prac, kiedy władze w końcu zezwoliły mu na wystawianie obrazów swoich studentów.

- Z pewnością by tak zrobił, gdyby prace Makarowa nie zostały wcześniej zniszczone, a on sam nie powędrował do więzienia.

Ryan zaparkował astona - martina na opustoszałym parkingu dla klientów restauracji „The Serpentine”. Wysiadł i zapiął pod szyją płaszcz. Nadciągał lodowaty wiatr znad Morza Północnego.

W połowie mostu prowadzącego przez sztuczny staw Serpentine czekał na niego Peter Stirling, jego kontakt z MI - 5. Peter, łysy mężczyzna po sześćdziesiątce, rzucał okruchy chleba pływającym po stawie kaczkom. Stirling przetrwał długi czas w zawodzie, gdzie jedna pomyłka była zazwyczaj ostatnią. Po latach pracy w terenie artretyzm zmusił go do powrotu do Londynu. Trzydzieści lat w służbie Jej Królewskiej Mości i nieskończona ilość spraw wywalczyły mu prawo do wygodnej posady w biurze. Odmawiał jednak przyjmowania awansów. Od przesuwania papierów wolał tajne operacje. Nauczenie się obsługi nowo wprowadzonego systemu komputerowego zabrało mu ponad miesiąc. Kiedy potrzebowano kogoś doświadczonego - i cierpliwego - do prowadzenia sprawy Barzana, zgłosił się na ochotnika.

Ryan miał duże uznanie dla fachowości Stirlinga. Stirling szkolił go osobiście, nadając ostateczny szlif tym wszystkim umiejętnościom, które Ryan rozwinął już wcześniej, kiedy zajmował się poszukiwaniem diamentów w Afryce. I kiedy musiał mieć do czynienia z różnego typu mętami. Szkolenie odbywało się w ekspresowym tempie i obejmowało główne aspekty działalności kontrwywiadowczej, ze szczególnym naciskiem na podejmowanie i zachowanie środków

bezpieczeństwa w oparciu o najnowszą technologię. Musieli być przecież obaj przygotowani na atak Barzana. Uczyniło to z nich niezły team. Ryan i Peter szanowali się nawzajem.

- W jakiej sprawie chciałeś się ze mną zobaczyć? - zapytał Ryan.

- Lauren Winthrop.

- Każesz za mną chodzić?

Do cholery, musi być z nim źle, skoro nie zauważył łążącego za nim ogona.

Stirling położył palec na usta i rozejrzał się.

- Nie ma tu nikogo. Kto byłby tak głupi, żeby przychodzić do Hyde Parku, aby odmrozić sobie tyłek?

Wielki sekret, rzeczywiście.

- Nikt za tobą nie chodzi. W Scotland Yardzie powiedzieli nam, że chodzą za tą Winthrop. Ma to związek ze sprawą fałszerstwa reprodukcji, w którą wplątany był Ravissant. Poprosiliśmy ich, żeby przysłali nam trochę danych o niej. Stąd wiemy, że się z nią widzisz.

Dziwne - pomyślał Ryan. Nie zauważył nikogo, kto by ją obserwował.

- Po co? Mówiłeś, że jest czysta.

- Sprawą fałszerstwa Scotland Yard zajmuje się na marginesie. Jest natomiast coś podejrzanego w sprawie tej nieruchomości w Miami, która przyniosła Lauren Winthrop tyle pieniędzy. FBI na Florydzie bada akta tej sprawy. Jest w nią wplątanych kilka międzynarodowych spółek holdingowych, dlatego też również CIA zainteresowała się nią.

- Cholera! Sądziłem, że wyłącznie MI - 5 zajmuje się tą operacją. CIA zawsze spieprzy każdą robotę. Dzięki nim mogę przedostać się na tamten świat.



Ryana irytowało to, że nie ma nad sprawą kontroli; że jest jedynie wykonawcą. Przez całe życie nigdy nie był od nikogo uzależniony. A teraz nie miał wyboru.

- Nie masz się czego obawiać. Nic o tobie nie wiedzą. Osłaniając się przed wiatrem, Stirling wyciągnął i zapalił fajkę, po czym wrzucił zapałkę do wody i dodał:

- Jeżeli będziesz częściej pokazywał się publicznie, człowiek Barzana może ujawnić się wcześniej. Możesz go sprowokować do tego, żeby odkrył karty. Ale musisz zachować niebywałą ostrożność. Będziemy potrzebowali nazwisk wszystkich, z którymi się zetkniesz - nawet na krótko.

- Zaczynicie od Irka Makarowa.

Stirling pośpiesznie zanotował nazwisko w niewielkim notatniku.

- Od tej chwili będziemy cię ubezpieczać. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Dajcie znać ambasadzie ZSRR i Izraela. Jeżeli zobaczą samochód zaparkowany w ich pobliżu przez więcej niż dwie minuty, będą biegać jak z kijem w tyłku. A co dopiero przez całą noc.

Ryan uważał, że nie ma na świecie bardziej bezpiecznej ulicy niż Palace Green, przy której znajdował się dom T.J. Griffitha, chociaż nienawidził mieszkać w tym więzieniu. Lady Di i Karol mieszkali na wschód od niego. Ich królewskie tyłki były pod ciągłą ochroną. W górę i w dół ulicy, po obu jej stronach, znajdowały się budynki ambasad przeróżnych krajów - wszystkie pod znakomitym nadzorem. Ale to, co czynili Rosjanie i Izraelczycy, świadczyło, że mają niezłego świra na punkcie bezpieczeństwa. Podejrzewali wszystkich i wszystko, nieustępliwie broniąc dostępu do swoich twierdz. Kupno Greyburne Manor przy Palace Green pochłonęło majątek, jednakże mieszkanie tam obniżało koszty zachowania bezpieczeństwa.

Przytakując, Stirling wytrząsnął o barierkę popiół z fajki wprost na przepływające kaczki.

- Uważaj na siebie, Westcott.

Vora starała się nie wyglądać na zaszokowaną, kiedy pokojówka wprowadziła Lauren. Czarne zamszowe spodnie opinały ją jak rajstopy. Wsunęła je w wysokie do kolan wypolerowane czarne skórzane buty. Pas ze srebrną klamrą wielkości i kształtu muszli podkreślał jej wąską talię i okrągłe piersi pod czarnym swetrem z golfem. Najbardziej jednak zdumiały Vorę włosy Lauren. Rozpuszczone, spadały jej na ramiona lśniącymi falami.

- Twoje włosy wyglądają fantastycznie!

- Cieszę się, że ci się podobają. Pomyślałam, że spróbuję dzisiaj czegoś odmiennego.

Lauren uśmiechnęła się. Nigdy dotąd Vora nie widziała jej w lepszym nastroju. Zapytała:

- Gdzie się z nimi spotykamy?

Kiedy Lauren zadzwoniła wcześniej z wiadomością, że odnaleźli poszukiwanego przez nich rosyjskiego artystę, Vora była zdumiona, że trop prowadził jednak do celu.

- W Pomodoro w Knightsbridge. Irek przepada za pizzą. Vora miała nadzieję, że nie zajmie im to dużo czasu.

Chciała wrócić do kabaretu, w którym spotkała Czecha. To już dwa dni. Walczyła ze sobą wystarczająco długo. Dziś wieczorem musi się z nim ponownie spotkać. Nikt - ale to nikt - nie robił tego lepiej.

- Chodźmy - Vora zarzuciła na siebie kurtkę z czerwonego lisa.

Zanim przedarły się przez Brompton Place i skrzyły w dół Beauchamp, było już późno. Posiadanie samochodu w Londynie to głupota. W głębi ducha Vora pochwaliła decyzję Lauren o niekupowaniu auta.

- Ryan i Irek są już tutaj - stwierdziła Lauren, ujrawszy czarnego astona - martina zaparkowanego na Wilton Street. Skręciły w uliczkę za rogiem.

Od kiedy Lauren i Ryan są w tak dobrych stosunkach? Mimo że niewiele od niej starsza, Vora czuła potrzebę matkowania Lauren. Ostatnio bardzo zbliżyły się do siebie. Vora nie chciała, żeby Lauren zaangażowała się uczuciowo. Ryan prześpi się z nią, a później zostawi. Niespodziewanie ujrzała przed sobą twarz tego łajdaka Clive'a.

Następnych dziesięć minut zajęło im znalezienie wolnego miejsca na Beauchamp Place i przejście w dół ulicy pod zwisającymi balkonami z kutego żelaza w stylu króla Jerzego, w kierunku restauracji. Krótka ulica, bardziej znana z szykownych butików, miała też kilka wciśniętych pomiędzy sklepiki restauracji.

- Którędy? - spytała Lauren, zatrzymując się. Spojrzała na trzy wejścia prowadzące z altanki do środka.

- Tędy.

Vora pośpieszyła w dół wąskimi schodami do znajdującej się poniżej poziomu ulicy restauracji. Załatwmy to szybko. Dobry wieczór, dobranoc i spływam.

Mrok panujący w środku zmusił Vorę do wyteżenia wzroku. Powoli przyzwyczajała się do ciemności. W niewielkim pomieszczeniu nie było żadnego wolnego stolika. Przy ustawionym w rogu pianinie siedział mężczyzna, grając i głośno śpiewając po włosku. Amator z pewnością. Tłum śpiewał razem z nim, śmiejąc się hałaśliwie i żłopiąc chianti.

- Tam są. - Lauren pomachała ręką.

Wysokiej sylwetki Ryana Westcotta, który właśnie podniósł się od stojącego w rogu stołu, aby dać im znak ręką, nie można było z nikim pomylić. Vora posuwała się za Lauren, która z wdziękiem przemykała między stolikami. Rozmowy ucichły w pół słowa, kiedy Lauren przechodziła

obok, w nie zamierzony sposób poruszając uwodząco biodrami. Obcisłe spodnie i cienki sweter ukazywały jej figurę w całej okazałości. Najbardziej jednak przykuwała uwagę mężczyzn jej twarz o klasycznych rysach, podkreślanych przez zamasyście poruszone włosy.

- Spóźniłyście się - powiedział Ryan z fascynacją w głosie i oczami utkwionymi w Lauren.

- To moja wina - zaczęła Vora, ale słowa utknęły jej w gardle. Nagle - w połączeniu z hałasem - wszystko przed jej oczyma uległo zamazaniu.

- Vora Leighton. A to Irek Makarow. Ukrywając zmieszanie, Vora próbowała się uśmiechnąć.

Boże! To on. Czech.

Opanowało ją nagłe uczucie jakby dziecięcego wstydu. Niech to się nie dzieje - wyszeptało jej serce. - Dopóki mu wszystkiego nie wyjaśnię.

Napotkała jego zdumione piwne oczy. W tej niespodziewanej chwili w ich głębi pojawił się ból. A następnie gniew. Albo nienawiść.

Lauren precyzyjnie się koło stolika i usiadła obok Ryana. Sweter z wielbłądziej wełny podkreślał jego opaleniznę i czynił zieleń jego oczu jeszcze bardziej intensywną. Przedstawiając Irka Vorze, wziął od Lauren płaszcz, który miała na rękę, i powiesił go obok swojej zniszczonej skórzanej kurtki lotniczej na wieszaku stojącym obok stolika.

- Co się stało Vorze? - wyszeptał.

Lauren wzruszyła ramionami; nie spuszczała z Ryana oczu. Vora i Irek z uwagą wpatrywali się w piosenkarza, najwyraźniej zaszuchani we włoską przyśpiewkę, którą właśnie wykonywał ryczącym głosem.

- Czy to, co ma na sobie Leighton, można nazwać strojem nieformalnym? - wyszeptał Ryan do ucha Lauren. Jego oddech rozwał jej włosy.

- To jej „nieformalne” futro.

- Jezu! - Ryan przysunął się do niej, dotykając jej ud. Nie zwróciła na to uwagi - tak jak nie reagowała przez cały dzień, kiedy brał ją za rękę lub obejmował ramieniem. Obdarzył ją atrakcyjnym, pierwszym szczerym uśmiechem, jaki u niego widziała. Najwidoczniej zrezygnował ze swojego zwykłego, zaczepnego wyrazu twarzy.

- Widziałam twój samochód. Czy Iggy jest z tobą?

- Oczywiście. Jak będziemy wychodzić, możesz się z nią przywitać.

Piosenkarz zrobił sobie przerwę. Lauren ściągnęła Irka wzrokiem i uśmiechnęła się. Odpowiedział grymasem pełnym wahania. Zauważyła jego sportowy płaszcz z podniesionymi wydłużonymi klapami, jakich nie nosiło się od lat. Oni ubrali się w byle co, on założył to, co miał najlepszego.

- Jaką chcesz pizzę? - zapytała.

- Pepperoni ze szprotami. Dużo, dużo szprotów.

- Już zamówiliśmy - powiedział Ryan. - Pepperoni z mnóstwem szprotów. Ulubione danie Irka.

Vora siedziała w milczeniu ze skrzywionym wyrazem twarzy. Lauren wiedziała, że Vora nienawidzi szprotów. Ale z pewnością nie o to chodziło.

- Chciałbym, żeby Irek odwiedził jutro Ravissanta - zakomunikował Ryan, nalewając Lauren i Vorze do kieliszków chianti ze stojącej na stole karafki. - Porzucił pracę i będzie mógł skupić się na tworzeniu.

- Wspaniale. - Lauren uśmiechnęła się do Irka, który z zarumienioną twarzą szarpał wystrzępiony kołnierzyk koszuli.

Lauren musiała kopnąć Vorę pod stołem, aby ta dodała:

- Będzie nam bardzo miło, jeżeli zechce pan odwiedzić naszą galerię.

Co się z nią stało? Pomimo wrodzonego snobizmu, typowego dla wysoko urodzonych Brytyjczyków, Vora zazwyczaj potrafiła - dzięki miłemu sposobowi bycia - wytworzyć swobodną atmosferę. Była zbyt dobrze wychowana, zbyt życzliwa, aby móc kogoś zranić. Dlaczego więc zachowuje się w ten sposób?

- Za Irka - Ryan wznosił toast.

Lauren i Vora natychmiast podniosły kieliszki do góry, jednakże kieliszek Irka pozostał na stole w jego zaciśniętej mamuciej pięści. Lauren zmusiła się, aby nie patrzeć na jego rękę. Spojrzała pytająco na Ryana, który wpatrywał się w Irka.

- Za Anatolija Marczenkę - Irek wyrzucił z siebie zduszonym głosem. - Niech odpoczywa w pokoju.

Jednym haustem wychylił kieliszek z winem.

- To twój były przyjaciel? - spytała Lauren. Kiedy skinął głową, uśmiechnęła się współczująco. - Kiedy leciałam tutaj z Nowego Jorku, przeczytałam w samolocie Życ jak wszyscy.

- Pierestrojka późno... bardzo późno dla Anatolija.

- Marczenko zmarł w więzieniu, nieprawdaż? - Ryan podał Irkowi kolejny kieliszek wina.

- Osiem grudzień, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt sześć - odpowiedział Irek.

Lauren napotkała pytający wzrok Vory; dyskusje intelektualne nie były jej najsilniejszą stroną.

- Przez trzydzieści lat Marczenko był ciągle zamykany i wypuszczany z więzienia - wyjaśniła Vorse. - Napisał: „Cierpienie rozpoczyna się dopiero po wyjściu z obozu.” Przebywanie przez ponad trzy tygodnie w mieście bez zameldowania jest niezgodne z prawem. Trzy wykroczenia, następny proces i z powrotem więzienie.

- Prawo mówi, że trzeba się zameldować, ale władze wojskowe odmawiają wydania zezwolenia dawnym więźniom - dodał Ryan. - Sowiecki paragraf 22.

- Czy to właśnie tam w gułagu poznałeś Anatolija? - zapytała Lauren.

Kiedy powoli skinął głową, zebrała w sobie odwagę, aby zapytać:

- Dlaczego cię tam wysłano?

- Podpisał imię na obraz.

- Zamknęli pana w więzieniu za umieszczenie nazwiska na swojej własnej pracy? - wypaliła Vora.

- Tak. - Irek usztywnił się i odpowiadając, odsunął się od niej. - Zbrodnia postawić się przed państwem.

- W pierwszych latach po rewolucji poczucie wspólnoty było na pierwszym miejscu. Wielu artystów nie chciało podpisywać własnych prac - Ryan skierował swój komentarz do Vory. - Mieli satysfakcję, że mogą tworzyć w imieniu Związku Radzieckiego. Jednak z upływem lat coraz więcej artystów chciało podpisywać prace nazwą grupy artystycznej, w której tworzyli. Jeszcze później zaczęli domagać się możliwości umieszczania własnych nazwisk.

- Rozumiem - cicho powiedziała Vora ze spuszczoneymi oczami.

Lauren zauważyła, że Irek w dalszym ciągu nie patrzy na Vorę. Siedział z twarzą zwróconą ku niej i Ryanowi, unikając wzroku Vory. Czyżby z powodu futra? Lauren popatrzyła na zwisające z wieszaka drogie futro z czerwonego lisa. A może z powodu jej precyzyjnego stylu wysławiania się, z dokładnie akcentowaną każdą sylabą, zdradzającego wysokie pochodzenie za każdym razem, kiedy się odezwała? Ryan nabył pewnych cech brytyjskiego akcentu, bez wątpienia dzięki wieloletniemu pobytowi w Anglii. Jednakże poprzez używanie slangu i słów na cztery litery brzmiał bardziej po amerykańsku. Lauren zdawała sobie sprawę z tego, że jej głos nie zdradzał brytyjskiego akcentu. Mimo że matka jej była Angielką, Lauren wychowała się za granicą i mówiła z trudną do określenia intonacją.

- Wypuszczono cię, a później z powrotem zamknięto w więzieniu. - Ryan ponownie napełnił kieliszki. - Nie dostałeś pozwolenia na pobyt w mieście, tak?

- Dostał propisku - zezwolenie. Wysłali z powrotem za pokazanie - zaczerpnął łyk wina - pokazanie obrazów u innych.

Starając się pokonać coś, co stanęło jej w gardle, kiedy słuchała relacji Irka, Lauren poszukała pod stołem dłoni Ryana. Kiedy uściskał ją lekko dla dodania otuchy, przysunęła się do niego bliżej. Już wcześniej czytała o sowieckich artystach zamykanych w więzieniach za wystawianie swoich prac, ale wydawało się to nierealne. Aż do teraz.

- Kiedy przyłączyłeś się do Eli Bieliutina? - zapytał Ryan.

- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt jeden... przed Maneżem i Chruszczowem.

- Kim jest Maneż? - spytała Vora.



Irek ponownie pociągnął łyk wina, nie mając widocznie zamiaru oświecać Vory.

- Wystawa w Maneżu miała miejsce pod koniec 1962 roku - wyjaśniła Lauren - w Centralnej Sali Wystawowej w Moskwie. Bieliutin zorganizował ją jako pierwszy od początku lat dwudziestych pokaz sztuki awangardowej. Ilu artystów wystawiało, Irek?

- Sześćdziesiąt. Ponad dwieście pięćdziesiąt obrazów.

- Ile było twoich? - zapytał Ryan.

Z uśmiechem Irek uniósł do góry trzy grube palce.

- Nikita Chruszczow odwiedził wystawę i natychmiast kazał ją zamknąć, zabraniając jednocześnie uczniom Bieliutina wystawiać swoje prace w jakimkolwiek miejscu. - Lauren uśmiechnęła się do Irka. - Rząd domagał się prac odzwierciedlających sowiecką ideologię. Czy mam rację?

- Chciał socrealizm w sztuce.

- Bieliutin wydobył potencjał twórczy z każdego artysty, niezależnie od teorii państwowych. - Ryan dał kelnerowi znak, aby przyniósł następną karafkę z chianti. - On i jego uczniowie pozbawieni zostali wszelkich praw do tworzenia. Wynieśli się z Moskwy do Abramcewa, aby tam przeczekać burzę.

- Minęło następnych dwadzieścia pięć lat, zanim pozwolono im znowu wystawiać. Ale ty nie zostałeś z nimi w Abramcewie, czyż nie tak? - zapytała Lauren, patrząc na niego.

- Młody - Irek uśmiechnął się z zakłopotaniem. Przerwał, bo kelner właśnie przyniósł zamówioną pizzę. - Głowa gorąca.

- Gorąca głowa?

Irek odpowiedział skinieniem na pytanie Lauren. Czekwała, aż powie coś więcej, ale zamilkł. Wydawało się, że patrzy z uwagą na kelnera, jak ten serwuje każdemu z nich porcję pizzy.

Lauren wysunęła dłoń z ręki Ryana i - wzięwszy kawałek do ust - starała się nie skrzywić. Szef kuchni najprawdopodobniej opanował rynek handlu szprotami, ponieważ aromatyczne pepperoni i ser, z których służył Pomodoro, pokryte były nieprzeniknącą warstwą szprotów. Irek szybko schrupał swoją porcję. Wyrażając zachwyt nad potrawą, Vora, która pogardzała przecież szprotami, zjadła wszystko do ostatniego kęsa.

- Ja też miałem gorącą głowę - wyznał Ryan - kiedy bez niczyjej kontroli dorastałem w Los Angeles.

Lauren powinna była odgadnąć, że Ryan jest z Kalifornii. Miał w sobie typowy dla ludzi z zachodniego wybrzeża lekceważący stosunek do świata oraz pogardę dla autorytetów i konwenansów - postawę niesubordynacji.

- Gorąca głowa, tak - ciągnął Irek. - Pokazał obrazy. Wystawił na stacji pociągów. Wszyscy widzieli.

- Wtedy zamknęli cię z powrotem? - Ryan podał Irkowi ostatnie dwa kawałki pizzy.

- Nie - Irek pokazał palcem na głowę. - Jak mówią?

- Dom wariatów? Zakład dla obłąkanych? - pytał Ryan. Irek przytaknął obojętnie, chrupiąc nowy kawałek pizzy.

Lauren ponownie pochwyciła dłoń Ryana i wbiła paznokcie w jej wewnętrzną część. Wyraz trudnej do wytłumaczenia nieobecności zasnuł twarz Vory.

- Pigułki, zastrzyki - podskoczył na krześle, jak gdyby trafiony piorunem - jak mówią?

- Elektrowstrząsy - głos Ryana był ledwie słyszalny. - Terapia narkotykowa. Rehabilitacja gwarantowana.

Lauren popatrzyła na Ryana z uwagą. Jego zwykła wyniosłość zniknęła bez śladu. Przeniósł wzrok na Vorę. Łzy zastygły na jej policzkach; szybko odwróciła wzrok.

- Spotkał Anatolija - kontynuował Irek, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, jak głęboko są poruszeni. - Miał

przyjaciela. Potem wyszedł razem z Anatolijem. Pracował. Wypalanie cegieł. Nocami spał na piecu - ciepło było. - Łapczywie pociągnął wina. - Bez zezwolenia. My biezdomnyje. Złapali nas i odesłali z powrotem.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała Lauren.

- Przyszła wiza. Wyjazd nazajutrz. Żadnych telefonów do domu. Żadnych pożegnań z Anatolijem - w głosie Irka pojawiła się melancholia. - Nic.

Pianista zaintonował „La Dolce Vita” i biesiadnicy przyłączyli się do chóru. Lauren starała się coś powiedzieć, ale nic nie mogła wymyślić. Vora wpatrywała się nieobecny wzrokiem w swój kieliszek wina, a Ryan siedział nieruchomy. Wszyscy byli poruszeni sposobem relacji Irka - bez jakiegokolwiek goryczy. W końcu Ryan przerwał ciszę, przywołując kelnera i zamawiając kawę.

- Wszystko się teraz zmieni. Świat ujrzy twoją sztukę - Lauren zwróciła się do Irka. Wiedziała, że nie oczekiwał wiele. Czy coś w tym dziwnego? Do tej pory niewiele miał z życia.

Kiedy popijali kawę, Ryan starał się ożywić Irka rozmową na lżejsze tematy. Jako że Irek miał teraz dużo czasu w ciągu dnia, postanowił w pierwszym rzędzie zająć się nauką angielskiego. Prywatnie, a nie na kursach wieczorowych. Okazało się, że Irek ma całkiem kapitalistyczne aspiracje. Wysoko na liście jego życzeń - gdyby tylko miał pieniądze - były: porsche i kondominium nad Tamizą. W czasie dyskusji Vora nie odezwała się ani słowem, jedynie obserwowała Irka, który nie popatrzył na nią ani razu.

- Kiedy kelner przyniósł rachunek, zarówno Irek, jak i Ryan wyciągnęli po niego dłonie.

- Ja płacę - Irek położył na rachunku swoją olbrzymią pięść.

- Nie... - Ryan zawahał się - ... w porządku. Dzięki. Bardzo nam smakowało. - Podniósł się i pociągnął Lauren do wyjścia. - Poczekajcie na nas przed wyjściem. Sprowadzimy tylko samochód.

- Poczekaj... - Lauren chciała zaprotestować, ale Ryan mocno ścisnął ją za ramię. Kiedy pomagał jej nałożyć płaszcz, wyczytała w jego oczach: „Nie dyskutuj”. Lauren odezwała się dopiero, kiedy była pewna, że Irek i Vora ich nie usłyszą.

- Jak mogłeś pozwolić na to, żeby Irek płacił? Czy nie widzisz, co on ma na sobie? Stara marynarka z czyjegoś strychu. Na pewno nie ma żadnych pieniędzy.

- On nie jest osobą, która pozwoli prowadzić się na sznurku. Jedynym sposobem na przekonanie go, aby porzucił dotychczasową pracę, było kupienie jednego z jego obrazów.

- Złupiłeś jego kolekcję. To chyba nie fair. Mieliśmy być współnikami.

- Kupiłem jeden obraz. Co chciałabyś, żebym zrobił? Nie zostawiłby pracy, nie mając finansowego zabezpieczenia. Czy miał coś innego do sprzedania?

Kiedy niechętnie przyznała mu rację, dodał:

- Dzisiaj pozwoliłem, aby za kolację zapłacił Irek. Następnym razem zapłacę ja i nie będzie to pizza.

- To dobry pomysł - przyznała. Ceny w niezwykle eleganckich restauracjach mogłyby Irka zaszokować. Byłoby lepiej, gdyby takimi rachunkami zajmował się Ryan.

- Zrobiłeś dużo dobrego w sprawie Irka. - Lauren ruszyła prowadzącymi do wyjścia schodami. - Może zabrałbyś go do swojego krawca?

- Irek ma teraz pieniądze. Jeżeli będzie chciał kupić sobie nowe ubranie, może to zrobić sam. To, co ma na sobie, kupił dzisiaj po południu. Udzielam mu rady tylko wtedy, kiedy o nią prosi.

- Masz rację. - Lauren wyszła na ulicę, zasnutą wilgotną, ograniczającą pole widzenia mgłą. - Mówię tak, bo jestem z nim całym sercem. Przeszedł tak wiele. Dlatego chcę, żeby miał wszystko, co najlepsze.

Ryan otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Wiem. Było mu gorzej, o wiele gorzej, niż przypuszczałem. - Jak to jest, że on przyjmuje wszystko z takim spokojem, z taką afirmacją? Czyżby narkotyki i elektrowstrząsy zmieniły jego sposób myślenia? Czy jest całkowicie normalny?

- Z Irkiem jest wszystko w porządku. Jest na tyle rozsądny, że akceptuje to, czego nie może zmienić.

Popatrzywszy na Ryana dostrzegła, że kropelki z mgły osiadły mu na włosach. Przywarły do postawionego kołnierza marynarki i zakotływały się na jego brwiach, nadając mu chłopięcy wygląd. Jak też wyglądały jego młode lata? Nie śmiała o to pytać, bo obawiała się, że zacznie wypytywać o jej młodość.

Kiedy skręcili w uliczkę za rogiem, Ryan zapytał:

- O czym myślisz?

- To był szczególny dzień. Marzyłam o odkryciu artysty, lecz Irek i jego historia po prostu mną wstrząsnęła.

Mimo że nie myślała o tym w tej właśnie chwili, była to prawda. Nie była w ogóle przygotowana na wysłuchanie pełnego tragizmu opowiadania Irka. Ryan był bardziej przewidujący. Co by bez niego zrobiła? Dobrze wiedział, w jaki sposób pomóc Irkowi, podczas gdy ona nie miała o tym pojęcia. Pod zewnętrzną warstwą gruboskórności krył się zdumiewająco wrażliwy Ryan Westcott. Zagadkowy człowiek. Jednakże jego pewność siebie graniczyła z arogancją. Trudno było go nie podziwiać za niezwykle zdecydowanie, działał na nią onieśmielająco. Od lat z

założenia unikała dominujących mężczyzn. Takich jak jej ojczym Rupert Armstrong.

- Irek to ktoś szczególny. Powiedz Leighton, aby się z nim dobrze obchodziła. Jeśli pójdzie z nią do łóżka, to prędko o tym nie zapomni.

- Nie obawiaj się. Irek nie jest w typie Vory.

- Irek o tym nie wie. I coś do niej czuje.

- Nie żartuj. Nie zwracał na nią uwagi przez cały wieczór. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że sklasyfikował ją jako zamożną snobkę.

- Kiedy kobieta spodoba się mężczyźnie, to albo nie spuszcza z niej oczu, albo ją ignoruje. - Objął ją mocniej wokół talii. - Ja nie mogę oderwać od ciebie oczu, ani trzymać rąk z daleka.

Ciarki przebiegły jej po plecach. Był nią zafascynowany? Mimo że myśl ta podniecała ją, jednocześnie napawała lękiem. Ciemna fala wspomnień z przeszłości nakazywała jej zachowanie ostrożności.

Zatrzymali się przy samochodzie Ryana. Krople wody pokrywały jego wypolerowaną powierzchnię, nadając mu wygląd jak po burzy, a nie w czasie gęstej mgły. Ryan zszedł z chodnika na jezdnię, aby otworzyć Lauren drzwi. Z oparów mgły wyłoniły się ledwie widoczne aureole reflektorów zbliżającego się samochodu.

- Ostrożnie - ostrzegł ją Ryan. Zaczekał, aż samochód znajdzie się w dole ulicy, i dopiero wtedy otworzył drzwi. Kiedy Lauren wśliznęła się do środka, Iggy wskoczyła z tylnego siedzenia wprost na jej kolana, lądując niezdarnie na wykrzywionych nogach. Węsząc, oczywiście.

Iggy wydała z siebie dwa wysokie dźwięki. Lauren obejrzała dokładnie jej racice, aby upewnić się, czy ta niezdara nie zaczepiła nimi o telefon. Nie. Iggy znowu zakwiczała dwa razy. Tym razem głośniej.

- Co się z nią dzieje? - zapytała Ryana, który właśnie opadł na siedzenie za kierownicą.

Świnka pisnęła jeszcze dwa razy, znowu głośniej. Ryan strzelił trzykrotnie palcami i Iggy uciszyła się.

- Oddaj czekoladę, Lauren.

- Jaką czekoladę?

- Iggy potrafi wywęszyć czekoladę na kilometr. Ma oko na twoją torebkę. Musisz jej dać kawałek. - Włożył kluczyk do stacyjki, ale nie zapalał jeszcze silnika. - Nie za duży. Natychmiast wchodzi jej w biodra i uda, nie mówiąc o brzuchu.

- Nie mam żadnych słodyczy - Lauren otworzyła znoszoną torebkę firmy Bottega Veneta, którą kiedyś kupiła w sklepie z używanymi rzeczami w Nowym Jorku, lecz której nie nosiła od chwili przyjazdu do Londynu. Wzięła ją dziś wieczorem, bo ta jedynie pasowała do jej wysłużonych zamszowych spodni. Zajrzała do środka.

- Słowo honoru. Nie ma żadnej czekolady.

Podstawiła otwartą torebkę pod nos Iggy. Kręcąc ogonkiem, Iggy wciągnęła powietrze, chyba aż do samych spiłowanych i wypolerowanych racic, po czym zakwiczała jeszcze dwa razy, nie dając wiary temu, co powiedziała Lauren.

Ryan wyszczerzył zęby w uśmiechu i włączył światło kabiny samochodu.

- Iggy nigdy się nie myli. Sprawdź jeszcze raz. Lauren rozsunęła zamek przy bocznej kieszonce i znalazła torebkę z drażetkami MM.

- Nie wierzę. To właśnie wywachałaś?

Kręcąc łbem na wszystkie strony, Iggy wystawiła zwinięty w rulonik język w oczekiwaniu na poczęstunek.

- Są bardzo stare. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam tę torebkę przy sobie. Mogą być niedobre.

Ryan wziął torebkę i wysypał na dłoń kilka drażetek, po czym wsadził je do ust.

- Stare, ale i tak lepsze w smaku od tych szprotów. - Dał Iggy dwie drażetki. - Wystarczy. Mówię serio. Nie chcesz chyba upaść się jak świnia.

Iggy chrząknęła i wycofała się powoli na tylne siedzenie, z zadowoleniem ssąc drażetki.

- Chcesz kilka? - Ryan podał Lauren torebkę. Włożyła drażetkę do ust i schrupała ją natychmiast. Nie zabiło to smaku szprotów, ale trochę pomogło.

- Nie mogę uwierzyć, że Iggy je wytropiła.

- Wietnamskie świnki mają niezwykle wyczulony węch. Nie można przed nimi nic ukryć.

Spojrzała przez ramię. Iggy patrzyła na nią z nadzieją.

- Skończyły się. Słowo honoru.

- Lauren - głos Ryana stał się bardziej intymny. Zwróciła ku niemu twarz. Zielone oczy z miniaturowymi ognikami przyglądały się jej uważnie.

- Twoje włosy wyglądają bosko. - Wyciągnął dłoń, aby ich dotknąć. Przesunął palcami po delikatnych kosmykach. - Dlaczego nigdy nie nosisz ich w ten sposób?

- Zawsze upinam je do góry, w przeciwnym razie mężczyźni nie traktują mnie poważnie - uniknęła powiedzenia mu prawdy.

- Skąd wiesz, jeżeli nigdy ich nie rozpuszczasz? Lauren wzruszyła ramionami. Ryana trudno było wprowadzić w błąd.

- Ja traktuję cię poważnie.

Przechylił się ku niej, jedną rękę trzymając na kierownicy, drugą na oparciu jej siedzenia, jak gdyby walczył z pokusą, aby dotknąć jej ciała. Pocałował ją szybko. Jeden niezadowolający pocałunek.

Boże, pomóż mi. Opanowujące ją podniecenie musiało uwidocznić się na jej twarzy. Ryan uśmiechnął się. Chciała się



odsunąć. Nawet tak uczyniła, ale jego usta pożądliwie wtopiły się w nią. Z przekrzywioną głową oczekiwał odpowiedzi.

Powiedziała sobie, że musi się powstrzymać, lecz wypełnił ją narastający ogień, kiedy jego język - zwinnie i natarczywy - wędrował pomiędzy jej wargami. Zakreśliło się jej w głowie, kiedy poczuła, jak szybko bije jej serce. Zanim zdążyła powiedzieć sobie „nie”, jej palce przeczesywały już jego wilgotne, falujące włosy. Oplótłszy drugim ramieniem jego szyję, pocałowała go długo i namiętnie.

Odsunął na chwilę twarz.

- Nie zmuszam cię, prawda?

- Nnnie - wyjąkała zahipnotyzowana jego wzrokiem i zaskoczona budzącą się w niej groźną namiętnością, odbierającą jej zdolność do obrony.

- Nie chciałam, żeby to wtedy tak zabrzmiało. Nie znałam cię. Bałam się ciebie.

- Nadal się boisz? - pochylił głowę; z pewnością zamierzał pocałować ją znowu.

- Nie - odpowiedziała szczerze, chociaż w pewnym stopniu nadal napawał ją niepokojem. Mimo dobroci, jaką okazał Irkowi, Ryana otaczała intrygująca aura tajemniczości. Jego upór podczas licytacji i naleganie na to, aby zostali współnikami, były dla niej ostrzeżeniem. Nieustępliwy człowiek, zawsze będzie dążył do postawienia na swoim.

Szybkim ruchem ramiona Ryana okręciły się wokół Lauren. Przycisnął ją aż do utraty tchu, a wargi ich zwały się w gorącym pocałunku. Wtargnęła w jego usta, szukając języka. Z trudem łapiąc oddech czuła, jak krew szaleńczo pulsuje jej w skroniach. Przeszył ją dreszcz emocji, kiedy jego dłoń dotknęła jej nagiego ciała. Nie miała pojęcia, kiedy i w jaki sposób dostał się pod jej ściągnięty pasem sweter. Doświadczenie. Bez wątplenia Ryan był ekspertem w stosunkach z kobietami.

Chciała powiedzieć mu, aby przestał, lecz słowa nie nadchodziły. Czując podświadomie niecierpliwość swoich pocałunków i rosnący pomiędzy udami żar, z radością powitała dotyk jego dłoni.

Zsunąwszy koronki z jej piersi, poczuł pod dłonią preżącą się brodawkę. Przesunął po niej miękką poduszką kciuka. Chociaż powiedziała sobie, że ma tego nie robić, wydała z siebie głośne westchnienie.

- Wiesz co... wspólniku?

Nie mogąc zawierzyć swojemu głosowi, potrząsnęła przecząco głową.

- Jestem dokładnie w twoim typie.

Z podążającym za nią Irkiem, Vora wyszła z restauracji na ulicę prowadzącymi w górę schodami. Po wyjściu Ryana i Lauren musieli jeszcze chwilę poczekać, aż obsługujący ich kelner przyjmie zapłatę, był bowiem właśnie zajęty dyrygowaniem odurzonym winem towarzystwem, które usiłowało wraz z nim sprawić wrażenie, że znają melodię przeboju „That's Amore”. Bez powodzenia.

Vora odrzuciła pokusę, aby zaproponować Irkowi zapłacenie rachunku. Mogło to jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Przesiedziała cały wieczór przy stoliku z sercem bijącym tak, że wydawało się, iż za chwilę wyskoczy jej z piersi. Opanowało ją przygnębiające, nieomal powalające z nóg uczucie. Cóż najlepszego uczyniła? Dałaby wszystko, gdyby tylko można było cofnąć czas. Jak zdoła mu wytłumaczyć?

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, powitała ich niewyobrażalnie mlecznobiała mgła. Jak u Sherlocka Holmesa. Z pewnością trochę to potrwa, zanim Lauren i Ryan zjawią się tutaj. Jego samochód stał zaparkowany w znacznej odległości.

- Irek - Vora dotknęła jego ramienia. Bez wątpienia Irek oczekiwał, że samochód Ryana będzie stał przy krawężniku, gotowy, aby go wybawić. - Chciałabym wyjaśnić ci, że tamtej nocy ja...

- Skłamałaś!

Zmroziło ją lodowate spojrzenie oczu, które zapamiętała jako gorące i kochające.

- Nie powiedziałam ci, jak się naprawdę nazywam, bo dama nie chodzi... nie może... nie powinna pojawiać się w takich miejscach. Myślałam... - głos Vory ucichł zupełnie. W porównaniu z miejscami, w których bywał Irek, i okropnościami, których doświadczył, ryzyko odwiedzenia kabaretu było niczym.

- Wyszłaś - żadnego pożegnania. Odwróciwszy się, Irek patrzył w górę ulicy, mimo że mgła sprawiała, iż mogli dostrzec jedynie własne nosy.

Irek nienawidził jej. Nie mogła go za to winić. Jak ty byś się czuła, gdyby ktoś zataił swoje prawdziwe imię, wykorzystał twoje ciało i wyszedł bez słowa przed nastaniem świtu?

- Irek, spójrz na mnie... proszę cię.

Kiedy niechętnie odwrócił się do niej, powiedziała:

- „Przepraszam” nawet w najmniejszym stopniu nie wyjaśnia, jak głęboko żałuję, że cię okłamałam i opuściłam bez pożegnania. Dzisiaj wieczorem miałam zamiar przyjść i powiedzieć ci prawdę. - Vora przysunęła się do niego. - Rozumiesz?

- Tak. - Wyraz jego twarzy powiedział jej, że jest już za późno. O wiele za późno. - Ty nie lubisz - uderzył się w piersi. - Ja niedobry.

- Mylisz się. Bardzo cię lubię.

Cóż mogła znaczyć opinia jakiejś samotnej kobiety dla kogoś, kto przeszedł przez piekło? Z pewnością spędzona

przez nich wspólnie noc miała dla niego duże znaczenie. Gdyby mu teraz powiedziała prawdę o sobie, pogardziłby nią na pewno. Nie dążyła do niczego innego, jak tylko do zaspokojenia swoich egoistycznych interesów. Irek - wcielenie moralności - był dla niej sumieniem ludzkości. Człowiekiem w każdym calu.

- Irek...

Żal ścisnął jej gardło. Z trudem łapiąc oddech, wykrztusiła po chwili:

- Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty. Kiedy opowiedziałeś nam dziś o swoim życiu, zrozumiałam, że nigdy nie będę cię warta. Człowiek taki jak ty, z odwagą i talentem, pojawia się tylko raz w życiu. Kobiety takie jak ja można spotkać wszędzie. Zaslugujesz na lepszy los.

Irek zmroził ją spojrzeniem. Sięgnąwszy do kieszeni spodni, które zapewne kupił na wyprzedazy rzeczy używanych, wydobył stamtąd garść jednofuntowych banknotów i cisnął nimi w Vorę.

- Nie kupisz Irka.

Zamknęła na chwilę oczy, starając się opanować napływające gorącym strumieniem łzy.

- Nie chciałam cię kupić ani cię rozgniewać. Kiedy wychodziłam, pomyślałam sobie, że potrzebujesz pieniędzy, dlatego je zostawiłam. Chciałam ci pomóc, a nie obrazić.

Spoza ściany mgły wypłynął samochód. Irek wykonał ruch do przodu chcąc się jej pozbyć, lecz Vora przytrzymała go za ramię.

- Wiedz o tym, że wiele dla mnie znaczysz. I nie myśl, że jesteś mnie niegodny. To ja jestem niegodna ciebie.

David Marcus zadzwonił do drzwi mieszkania na ostatnim piętrze. Wiedział, że nie zastanie tu właścicielki - Lauren Winthrop. Zadzwonił już wcześniej do galerii, gdzie powiedziano mu, że Lauren umówiona jest na kolację, a

następnie ma spotkać się z Finleyem Tibbettsem w klubie Groucho. Nie szkodzi. Przyszedł zobaczyć się z Selmą.

David, któremu Barzan zlecił przeprowadzenie tej operacji, chciał mieć to jak najszybciej za sobą i stanąć na czele kartelu. Nigdy wcześniej nie brał udziału w tajnych przedsięwzięciach, lecz Barzan obdarzał go zaufaniem. David zdawał sobie sprawę z tego, że powoli zaczyna mu zastępować Roberta - zmarłego syna Barzana. I nie zamierzał sprawiać staremu zawodu.

Ponownie nacisnął dzwonek. Korzystając z okazji, że Lauren poznała już Ryana Westcotta, gotowi byli przyspieszyć rozwój wypadków. David przyniósł ze sobą kilka nowych wymyślnych pluskiew, którymi Selma miała zastąpić dotychczasowe. Będzie ich teraz mniej, a i tak wyłapią najcichszą nawet rozmowę, i to przez zamknięte drzwi.

Gdzie ta stara wiedźma? Zadzwoił trzy razy, z krótkimi przerwami między niecierpliwymi naciśnięciami dzwonka.

- Zaraz, do cholery! - dobiegł go głos z drugiej strony. Podwójne drzwi otworzyły się i oczom Davida ukazała się nastolatka w sięgającej jej do stóp wyblakłej flanelowej koszuli nocnej. Kraciasty szlafrok w łaty zwisał z jej ramion.

- Z kim mam przyjemność? - David oszacował dziewczynę jednym spojrzeniem: rozczochrane rude włosy, przymknięte piwne oczy, nos jak rozbieg skoczni narciarskiej. Biust wielkości Dolly Parton. Maksimum - piętnaście lat.

- Tabatha Foley. Jestem pokojówką pani Winthrop.

- A gdzie Selma?

- Wylana. Dziś rano.

A niech to! To zupełnie zmienia stan rzeczy. Podłuch to jedno. Potrzebna jest jeszcze na miejscu osoba gotowa do działania, kiedy przyjdzie na to czas.

- A ty kto?

- David Marcus, stary znajomy pani Winthrop.
- Nie sędzę, żeby wróciła przed północą.
- Mogę wejść? Chciałbym skorzystać z telefonu.
- Myślę... że tak - zrobiwszy krok do tyłu, Tabatha pośpiesznie wsunęła ramiona w rękawy szlafroka i związała go paskiem, co uwydatniło jej wąską talię i biodra.

Członek Davida poruszył się. Piersi z Galerii Sław kojarzyły się zazwyczaj z grubymi taliami i tłustymi tyłkami. Ale nie w przypadku Tabathy Foley. Szkoda, że jest tak makabrycznie brzydka. Ale młoda. Taka młoda.

- Telefon jest w tamtym pokoju. Zaraz wracam. Założę tylko służbowe ubranie.

- Tabatha pobiegła w kierunku kuchni, przez którą prowadziła droga do pomieszczeń dla służby.

Okiem znawcy David patrzył na jej podskakujące piersi. Taka młoda. Biznes przede wszystkim.

Wpadłszy do biblioteki, zdjął słuchawkę z telefonu i zastąpił stare urządzenie podsłuchowe nowym. Przeszedł przez główny pokój, sprawnie wymieniając dwie pluskwy na jeden nowszy model, po czym skierował się do kuchni. Ostatni podsłuch ukrył pod lodówką. Znawcy wiedzą doskonale, że najważniejsze rozmowy mają miejsce w kuchni, a nie w sypialni. Deser lodowy rozwiązuje więcej języków niż atlasowe prześcieradła.

- Co tam wyprawiasz? - dobiegł go z tyłu głos Tabathy.

Podniósł się z uśmiechem.

- Upuściłem pióro.

Tabatha właśnie przebrała się w czarny strój pokojówki, zostawiony z pewnością przez Selmę. Zbyt obszerna spódnica zwisała jej do kostek, a biały fartuszek z przypominającą motyla kokardą w niewielkim stopniu zakrywał źle skrojony stan. Podczas gdy spódnica była o kilka numerów za duża, bluzka z naprężonymi guzikami wydawała się być tamą

powstrzymującą od powodzi jej piersi. David w milczeniu zlustrował ją ponownie. Nie miała na sobie biustonosza.

- Czy chciałbyś coś zjeść? - Tabatha popatrzyła pytająco wielkimi oczami, które wyglądały na jeszcze większe po tym, jak odgarnęła do tyłu włosy i przymocowała je mocno spinką.

- Ser z krakersami bardzo by mi odpowiadał.

- Nie jestem pewna, czy pani Winthrop to ma. Dziś jest mój pierwszy dzień - powiedziała grzebiąc w lodówce. - O, jest trochę.

- Ile masz lat?

Odwróciła się, trzymając w dłoni kawałek Stiltona.

- Siedemnaście.

Kłamaczucha - pomyślał, podziwiając jednocześnie jej tupet. Mówiąc to, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Jesteś niezwykle młoda do takiej pracy.

- Jestem samodzielna od ponad roku. - Otworzyła i zamknęła drzwi szafek kuchennych, najwidoczniej w poszukiwaniu krakersów. - Jakie chciałbyś herbatniki? Carrs? Fortt?

- Którekolwiek. - Nie potrafił spuścić oczu z jej piersi. Tańczyły przy każdym jej ruchu. - Zatrzymałaś się u znajomych po przyjeździe do Londynu?

- Nieee. - Znalazła talerz i rzuciła na niego ser. - Sama przyjechałam i znalazłam pracę.

Był przekonany, że uciekła z domu. Ostry ton jej głosu wskazywał, iż nie było to takie proste, jak chciałaby to przedstawić. Z pewnością mieszkała na ulicy i wycięła kilka niezłych numerów. Wspaniale. Lubił młode, ale nie dziewczęce - z tymi zbyt wiele kłopotu.

- Jak poznałaś Lauren?

- Na targach sztuki.

- Co malujesz? - zakiełkował w nim pewien pomysł.

- Robię kolczyki - uśmiechnęła się z dumą w oczach. - Zamierzam otworzyć sklep.

- Opowiedz mi o tym - powiedział David, prowadząc ją korytarzem do gabinetu.

Kiedy znaleźli się w środku, Tabatha stanęła z zakłopotaniem. Trzymała w dłoni talerz, a pod pachą opakowanie krakersów.

- Siadaj - skinął w kierunku wąskiej kanapy w kolorze brzoskwiowym. - Przygotuję nam drinka.

- Nie wiem, czy mi wolno.

- Nonsens. Lauren nie miałaby nic przeciw temu. Usiądź.

Otworzył barek i wyciągnąwszy stamtąd Ludwika XIII, napełnił do połowy dwie koniakówki. Sto dolców w większości restauracji - oszacował. A któż o to dba? Wyssał miliony z kartelu, umieszczając je w szwajcarskim banku. Teraz pieniądze nic nie znaczą - liczy się władza. Gdyby panna Tabatha Foley zdecydowała się na współpracę, wkrótce posiadłby władzę.

- Wiesz, podziwiam twoją odwagę. Zauważywszy podejrzliwość w jej oczach, wręczył jej kieliszek i usiadł przy niej, starając się zanadto nie przysuwać.

- Kiedy byłem w twoim wieku, opuściłem dom rodzinny i pojechałem do Nowego Jorku. Nie miałem żadnych pieniędzy. Spałem na ulicy, zanim nie dostałem pracy jako chłopiec na posyłki.

Było to kłamstwo. „Książę” z żydowskiej dzielnicy, wychował się w Scarsdale jako jedyne dziecko właściciela szeregu domów dla ludzi starych.

- Opowiedz mi o swojej biżuterii.

- Używam plastycyny. Wygląda jak glina ceramiczna, ale wypieka się ją w piekarniku, a nie w piecu do wypalania wyrobów ceramicznych - paplała jak najęta, podając wiele nudnych szczegółów swojej pracy.



David zasypywał ją pytaniami. Zdobyć zaufania młodej dziewczyny to zawsze pierwszy krok.

- Czy chcesz zobaczyć moje kolczyki?

- Oczywiście. - David podążył za nią, zabrawszy z pokoju kieliszki z koniakiem. Ostatnią rzeczą, jaką pragnął zobaczyć, były jej domowe wypieki. Nie dopieczona biżuteria. Chciał, aby dokończyła swojego drinka. Nic nie rozchyła ud tak szybko jak trunek. Do tej pory przełknęła zaledwie połowę, wykrzywając się przy każdym łyku. Korzystając z okazji, że stoi odwrócona do niego tyłem - prowokująco kołysząc biodrami - przelał większą część swojego koniaku do jej kieliszka. Asekuracja.

Tabatha zaświeciła światło w pracowni.

- Namalowałam to dzisiaj wieczorem.

- Naprawdę masz talent. Większy niż Paloma Picasso. Wiedziałem, że Lauren ma znakomite oko do artystów.

- Naprawdę tak uważasz?

Wzniósł kieliszek w toaście i powiedział:

- Za Tabathę Foley, następczynię Picassa.

Wypił koniak jednym haustem - profanacja - ale chciał, żeby i ona szybko skończyła. Podczas gdy Tabatha piła swój koniak, David zauważył szkice Lauren. Wyglądało na to, że pracowała obok Tabathy. Może zostaną dobrymi przyjaciółkami. Lauren ma w sobie coś matczynego, zajmowała się przecież bratem. A teraz wzięła Tabathę pod swoje skrzydełka. Pomysł dojrzewał w jego umyśle, podsycany wizją bliskiego już wycofania się Barzana z interesów. Nie mógł doczekać się tej chwili. Ani widoku odkrytych piersi Tabathy.

- Powiedz mi raz jeszcze. Gdzie chciałabyś mieć sklep?

Mówiąc do niej ojcowskim, pełnym zaufania głosem, wziął ją mimochodem za ramię i wyprowadził z pokoju.

- Beauchamp Place.

- Ulica artystów! Masz dobry gust!

Z oczami utkwionymi w jej bluzce, której jeden z guzików nie wytrzymał, prowokacyjnie odsłaniając kawałek nagiego ciała, David prawie jej nie słuchał. Analizował istotne fakty. Tabatha szybko chciała dojść do dużych pieniędzy. Dostrzegł w niej chciwość i pośpiech. Odpowiadało mu to. Być może zwolnienie Selmy okaże się niespodziewanie dodatkową korzyścią.

David poprowadził Tabathę z powrotem na kanapę. Tym razem usiadł przy niej nieco bliżej. Jej oczy, choć pełne entuzjazmu, miały już lekko zamglony wyraz. Koniak zaczął działać.

- Odkładasz pieniądze, które Lauren ci płaci?

- Za dwa lata powinnam mieć...

- Twój talent nie może czekać tak długo. - Odpowiedział mu szeroki uśmiech. - Chciałbym ci pomóc.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się znowu. Wydała mu się prawie piękna.

Wyjął portfel od Gucciego nabity banknotami funtowymi. Powoli przerzucił plik banknotów, dając jej do zrozumienia, że ma przy sobie tysiące. Świat ogarnęła kokainowa gorączka, a pieniądze płynęły jak rzeka.

Z szeroko otwartymi oczami Tabatha przypatrywała się, jak David składa w prostokąt cztery banknoty pięćdziesięciofuntowe. Zdjęła z nich wzrok i obdarzyła go chciwym uśmiechem - takim samym, jakie wielokrotnie widywał na wszystkich kontynentach.

- Wiesz - powiedział, wsuwając zwitek w znajdującą się na jej piersi kieszonkę bluzki, poza wystającą chusteczkę, dopasowaną kolorystycznie z drażniącą precyzją.

- Jestem w mieście kilka razy w miesiącu. Chciałbym sprawdzać, czy robisz postępy.

Przesunął zwiniętymi banknotami w górę i w dół, drażniąc znajdującą się pod muślinem brodawkę jej piersi. Stała na baczność. Pocierając banknotami na wszystkie strony, oszacował jej wielkość. Boże! Jego członek stanął w pełnej gotowości bojowej.

Tabatha zrozumiała. „Dziękuję.” Z uśmiechem odchyliła do tyłu ciało, umożliwiając mu pełny dostęp do swoich piersi.

- Wpadnij, kiedy będziesz mógł.

- Pomogę ci. Ale będzie to nasza słodka tajemnica. Nawet Lauren nie może o tym wiedzieć. Ludzie mogliby powiedzieć, że jestem dla ciebie za stary - wyszeptał, dotykając wilgotnym czubkiem języka małżowin jej uszu. - Nie masz pojęcia, jaka jesteś dojrzała, samodzielna i w ogóle.

- Ile ty masz lat?

- Trzydzieści pięć - odjął sobie dziesięć lat. - Nie jestem taki stary. To nasz sekret, zgoda?

- Nasz sekret - zgodziła się i pocałowała go. Szybko rozpiął jej bluzkę. Dwie duże półkule osiadły na jego wyczekujących dłoniach. Boże! To, co odkrył pod kieszonką bluzki, nie było złudzeniem. Pochyliły się ku niemu jędrne brodawki wielkości czereśni. Przeleciał wiele młodych dziewcząt na całym świecie, kosztując ich piersi. Żadne tym nie dorównywały. Żadne.

Członek jego naprężył się, błagając o uwolnienie. Zanurzył twarz w gorące piersi Tabathy, chłonąc ustami jedną z dwu zachwycających brodawek, podczas gdy jego ręce przesuwały się po jej gładkiej skórze.

Prawie nie słyszał wydawanych przez Tabathę westchnień zadowolenia. Jego myśli powędrowały w przeszłość - tak jak zawsze, kiedy obcałowywał piersi młodych, słodkich stworzeń. Zamknawszy oczy, przypominał sobie... pierwszy raz, który zawsze potem starał się powtórzyć. Piękny czas. Najpiękniejszy.

Było to po północy, kiedy usłyszał pukanie do drzwi sypialni. Gdy je otworzył, stała w nich Babs, jego młodsza siostra w przykrótkiej koszuli nocnej. Zobaczył łzy w jej oczach.

- Teddy Segal powiedział, że mam wielkie cycki i ptasi mózg.

Babs weszła do środka i rzuciła się na jego łóżko.

- To matoł. - Prawdę mówiąc, David zgadzał się z opinią Segala. Wyniki pomiarów biustu Babs przewyższały jej iloraz inteligencji. Całe szczęście, że on odziedziczył zdolności po ojcu, a Babs wymiary po matce. - Nie myśl o nim.

- Poszliśmy na całość. To dlatego mnie nienawidzi, tak?

David poczuł, jak go zatyka. Od czterech lat był w Princeton. Jak dawno jego siostra sypia z facetami? Na Boga, przecież dopiero niedawno skończyła piętnaście lat. Był w domu od dwóch tygodni i chodził z ojcem do klubu, aby odpocząć przed rozpoczęciem ostatniego roku studiów. Zauważył przy grze w golfa, jak Babs paradowała w bikini wokół basenu, wystawiając na pokaz piersi pierwszej klasy. Sama się napraszała. Prowokowała męskie członki.

- Ty też mną pogardzasz. - Była bliska łez. David usiadł przy niej na łóżku, powtarzając w duchu, że nie może być dla niej zbyt surowy. Wyrosła w Scarsdale: matka na diecie, ojciec na polu golfowym. Przecież to jeszcze dziecko. Objął ją ramieniem.

- Zapomnij o Segalu.

Wtulila się w jego nagą pierś i włożywszy dłoń między uda, końcem języka sięgnęła w głąb jego otwartych ze zdumienia ust.

- Chyba powinniśmy pójść do mojego pokoju?

David pokręcił przecząco głową, kiedy zdał sobie sprawę z tego, gdzie się teraz znajduje. I kto wypowiedział te słowa.

Nie był we własnym domu, z siostrą w łóżku. Znajdował się w Londynie, po latach - z Tabathą Foley.

- Oczywiście. - Niechętnie wrócił do rzeczywistości. Centymetr po centymetrze przesuwał dłonią w górę nogi

Tabathy, odchylając jej obszerną spódnicę. Poczował wilgoć jej nóg. Żadnej spodniej bielizny. Przejechał dłonią po jej delikatnej skórze. Wydała z siebie jęk zachwytu. Tak jak Babs przed laty, Tabatha bardzo tego chciała. Bardzo.

- Ile masz lat, dziecinko?

- Siedem...

Pociągnął ją za gęste loki.

- Powiedz prawdę.

- Piętnaście. Ale nie mów Lauren. Odesłałaby mnie z powrotem do domu.

Zabójcze piersi. Piętnaście lat. Przepadał za tym.

Gdy Lauren i Vora dotarły do mieszczącego się przy Dean Street klubu Groucho, portier przy wejściu poinformował je, że Finley trochę się spóźni. Kiedy szatniarz odbierał od nich płaszcze, Lauren zastanawiała się, czy Ryan i Irek dobrze się bawią. Pożegnawszy się z nimi przed wejściem do Pomodoro, udali się do pubu Pod Ubraną Kaczką, gdzie Irek zasłynął jako mistrz gry w strzałki. Ryan wyzwał go dziś na pojedynek.

Twoje szczęście, że aston - martin jest taki mały. Na myśl o tym, jak ochoczo zareagowała na pieśczoły Ryana, Lauren ścierpła skóra. Chciała, żeby ją pokochał - nie ma co tego ukrywać. Dlaczego Ryan Westcott? Opanowany żądzą obdarzania cielesną miłością jak największej liczby kobiet, miał czelność powiedzieć, że jest w jej typie. Ha! Nie kochała się z nikim od ponad roku. To chyba było przyczyną jej nieodpowiedniego zachowania się.

A jednak była zaskoczona. Podobali się jej mężczyźni uprzejmi i łagodni - tacy jak Ozzie i ten, z którym spotykała się przed chorobą Marcy. Grant Fraser. Ale żaden z nich nie zapierał jej tchu w piersiach.

- Czekając na Finleya równie dobrze możemy się napić - stwierdziła Vora, prowadząc Lauren do baru.

W wypełnionym przyjemnym gwarem pomieszczeniu znajdowały się wygodne sofy i fotele. Na ścianach wisiały eksponaty sztuki współczesnej, jasno oświetlone przez umieszczone nad nimi reflektory. Muzyk przy pianinie wygrywał wesołą melodię jakiegoś klasycznego kompozytora, ledwie słyszalną ponad głosami zgromadzonych. Vora wybrała burgundzki fotel z wysokim oparciem i ciężko na niego opadła.

Lauren zajęła miejsce na sofie naprzeciw Vory. Zastanawiała się, co też Vorę gryzie. Przez cały wieczór nie odezwała się prawie ani jednym słowem. Dziwne. Czyżby

nadal opłakiwała Clive'a? Lauren nie chciała jej nagabywać. Jednakże Vora była jej teraz potrzebna. Jeżeli wykreowanie nowego artysty miało zakończyć się powodzeniem, także Irek potrzebował jej pomocy.

- Wiesz, nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby mnie przyjęto do Groucho - zaczęła Lauren po tym, jak zamówiły coś do picia.

- Klub jest w komplecie i ma długą listę oczekujących.

- Szkoda. Podoba mi się, ponieważ zachęca kobiety do ubiegania się o członkostwo. Mierzi mnie to, że nadal istnieją kluby „tylko dla mężczyzn.” Zwłaszcza te tradycyjne. Takie jak White czy Carlton. Większość ich członków ma tyle lat, że mogliby już być w wielkim klubie w niebie. Albo w piekle.

Vora przytaknęła z aprobatą.

- Wiesz, co najbardziej mi się nie podoba? Klubowe krawaty. Kiedy wychodzę z domu i wpadam na faceta paradującego dumnie w klubowym krawacie z królewskim węzłem, ogarnia mnie śmiech.

Lauren zachichotała razem z Vorą, ciesząc się, iż ta w końcu rozluźniła się nieco. Wyobraziła sobie Ryana Westcotta w klubowym krawacie. Nigdy.

- Przynajmniej w Groucho nikt nie nalega na mężczyzn, żeby nałożyli krawat, jeśli chcą być przyjęci.

- Klub wziął imię od Groucho Marxa. Czy to nie on powiedział, że nigdy nie chciałby wstąpić do klubu, w którym członkowie byłiby do niego podobni? Takie podejście do sprawy nie przyciągnie osoby, która zawsze nosi krawat.

Kiedy kelner przyniósł im Harveys Bristol Cream, Vora powiedziała:

- Mark Birley, ten który założył Anabelles, otworzył właśnie Mark's Club. Może tam mogłabyś być przyjęta.

- Nie podoba mi się miejsce, w którym ciągle się tańczy i panuje taki zgiełk. Lubię Groucho, bo można na górze zjeść

uroczystą kolację albo przekąsić coś przy barze, a później przyjść tutaj i pogawędzić z przyjaciółmi.

Lauren rozejrzała się po sali. Gdyby zamierzała zamieszkać w Londynie dłużej niż rok, z całą pewnością zwróciłaby się do zarządu Groucho z prośbą o przyjęcie jej do klubu. W przeciwieństwie do innych klubów, gdzie głównym zajęciem było utrzymywanie kontaktów towarzyskich, oraz takich, które obsesyjnie przyjmowały jedynie członków z arystokratycznym rodowodem, lista członków Groucho była eklektyczną mieszanką interesujących ludzi, z których większość stanowili artyści.

Rozglądając się wokół, rozpoznała Kena Folletta z towarzyszącą mu atrakcyjną kobietą. Żona? Chyba tak. Szkoda. W pobliżu usiadła gwiazda rocka - Eric Clapton w dżinsowych spodniach i luźnym swetrze. Miejsce w rogu zajęli Harold Pinter i jego żona Lady Antonia Fraser. Wielu innych siedzących w małych grupkach z pewnością należało też do brytyjskiej inteligencji.

Zwróciła twarz ku Vorze.

- Co się z tobą dzieje? Przez cały wieczór nie jesteś sobą. Przestańmy rozmawiać o Groucho czy innych nieistotnych sprawach. Porozmawiajmy o tym, co cię gryzie.

- Nie wiem, jak zacząć - powiedziała Vora z ponurą twarzą. - I tak tego nie zrozumiesz.

- Przecież jestem twoją przyjaciółką.

Ton głosu Lauren świadczył o tym, że czuje się ona dotknięta. Sądziła, że powstała między nią a Vorą więź. Pracowały przecież razem. Razem pozbyły się Clive'a Holcombe'a. Myliła się jednak.

- Ty jesteś doskonała: piękna i godna zaufania. Jesteś tym wszystkim, czym nie jestem ja.

- To absurd. Jesteś niezwykle atrakcyjna. - Lauren postawiła kieliszek na stole. - Daleko mi do doskonałości.



- Znasz się na sztuce. Ja wiem jedynie, jak się ubrać.

- To, iż odniosłam pewne sukcesy na tym polu, zawdzięczam temu, że sztuka jest ze mną przez całe życie. Nie zapominaj, że studiowałam na Sorbonie, a później wyszłam za właściciela galerii.

- Archer nie chciał, żebym się angażowała w sprawy Ravissanta. W jego pojęciu wspólnik powinien być pięknie ubraną panią domu, gotową na każde zawołanie do organizowania wystawnych przyjęć z okazji otwarcia wystawy lub też przygotowywania kolacji na kilka osób.

Lauren spostrzegła żal w oczach Vory. Mając w pamięci przedwczesną śmierć Archera Leightona w tajemniczych okolicznościach i trudności jej brata z dojściem do siebie po śmierci żony, zapytała:

- Nie możesz pogodzić się ze śmiercią Archera, czyż nie tak?

Vora pociągnęła z kieliszka niewielki łyk, po czym spojrzała Lauren prosto w oczy.

- Do pewnego stopnia... tak. Archer ciągle mnie oszukiwał. Kiedy się raz od niego wyprowadziłam, odkryłam, że wszyscy nasi znajomi są jego znajomymi. Byłam rozpaczliwie sama. Kiedy poprosił mnie, żebym do niego wróciła, zrobiłam to. - Przerwała na chwilę, uśmiechając się z przekąsem. - Pomimo trudnych chwil, przez jakie przeszliśmy, brakuje mi go. On był całą moją rodziną.

Rozważając to, co odkryła przed nią Vora, Lauren pomyślała, że ona sama czułaby się okropnie samotna bez Paula. W okresie depresji Paula najtrudniej było jej znosić poczucie narastającego między nimi oddalenia, które nie pozwalało im już nawet na mówienie o sprawach mało ważnych. Pochyliwszy się ponad rozdzielającym je stolikiem, Lauren dotknęła dłoni Vory i powiedziała:

- Jestem twoją przyjaciółką. Nigdy nie wolno ci o tym zapomnieć. Doprowadzimy Ravissanta do świetnej formy. I to już niedługo. Arch zostawił wspaniałe archiwa. Skorzystasz z jego źródeł, aby ...

- Irek nie będzie chciał, abym się do tego mieszała. On mnie nienawidzi.

- Posłuchaj. Zdaję sobie sprawę, że nie zaczęliście najlepiej, ale...

- Ja się z nim przespałam...

Minęło kilka sekund, zanim to, co powiedziała Vora, dotarło do Lauren. Nie potrafiła wyobrazić sobie żadnego scenariusza, w którym Vora Leighton mogłaby natknąć się na Irka Makarowa. Nigdy nie wychodziła poza West End. Wyjątek stanowiły imprezy o charakterze charytatywnym w ratuszu miejskim i wyjazdy do jej wiejskiego domu.

- Jakim cudem go poznałaś?

- Przed trzema dniami poderwałam go w nocnym klubie w pobliżu jego domu - odrzekła Vora posepnym głosem. - Czasami chodzę do podrzędnych klubów w podejrzanych dzielnicach i wybieram sobie mężczyzn. Irek to moja ostatnia zdobycz.

Lauren starała się nie wyglądać na zaskoczoną, ale nie mogło pomieścić się jej w głowie, że taka dama jak Vora Leighton może robić coś podobnego.

- Ale dlaczego?

- Odpowiadają mi mężczyźni, którzy pozwalają mi czuć nad sobą przewagę... być może dlatego, że Arch zawsze dawał mi do zrozumienia, jaka jestem tępa. Odkryłam, że obcowanie z tajemniczym, potencjalnie niebezpiecznym mężczyzną jest bardzo ekscytujące.

Tajemniczy? Niebezpieczny? Lauren wstrząsnęła znajdującą się w utrzymanym kieliszku bursztynową ciecżą. Przez wiele lat celowo wybierała tradycyjnych mężczyzn,

którzy przypominali jej ojca. Czyżby się zmieniła? Czy to dlatego Ryan Westcott wydaje się jej tak atrakcyjny?

- Ale Irek był inny. Zupełnie inny. Kiedy już pokochaliśmy się... pierwszy raz, zapytał - z tym swoim oryginalnym akcentem - czy uważam, że Maggie Thatcher będzie musiała wyprowadzić się na wieś po fiasku, jakie poniósł jej plan wprowadzenia pogłównego. Wyobraź sobie, śpisz z facetem, który chce z tobą rozmawiać o konieczności zwołania wyborów przez premiera. Dyskusja polityczna w łóżku!

Obraz Ryana Westcotta przemknął jej przed oczami. Czy on coś mówił po stosunku? Wątpliwe. Najprawdopodobniej był w drzwiach już po dziesięciu sekundach.

Vora uśmiechnęła się.

- Irek nazwał Partię Pracy kupą bolszewików w apartamentach przy Savile Row.

- Jestem przekonana, że Neilowi Kinnockowi ten komentarz nie przypadłby do gustu - stwierdziła Lauren, pomyślawszy o przywódcy labourzystów.

Ryan nie mylił się. Umysł Irka pracował jak należy. Wyłapywał niuanse brytyjskiej polityki. Anglia przeszła przez okres bezkrwawej rewolucji, która wycisnęła na kraju piętno socjalizmu. Lata władzy Thatcher w poważnym stopniu odwróciły ten trend, jednakże ciągle zagrażał swoją nieustanną obecnością w gabinecie cieni, czekając na potknięcie się premiera.

- Coś mi tutaj nie gra. Dlaczego miałby cię nienawidzić?

- Obudziłam się o świcie w ramionach Irka. Uległam pokusie. Zaczęłam się zastanawiać, co ja tutaj robię. Nigdy wcześniej nie zostałam z żadnym z tych mężczyzn przez całą noc. Wymykając się stamtąd, zostawiłam mu wszystkie pieniądze, jakie miałam przy sobie - około stu funtów. Wiedziałam, że ich potrzebuje.

- Masz rację. Ryan i ja doszliśmy do wniosku, że Irek powinien przeznaczyć wszystkie posiadane przez siebie pieniądze na zakup artykułów potrzebnych mu do malowania.

- Nie wiem, co go obraziło bardziej. Czy to, że podałam mu fałszywe imię, czy też to, że zostawiłam mu pieniądze. Dziś wieczorem rzucił mi pieniędzmi w twarz. Błagałam go, żeby mi przebaczył, lecz tego nie uczynił. Nie mogę go za to winić.

- Nie obwiniaj siebie. Próbowалаś mu pomóc, a nie dotknąć go.

- Oszalałam na jego punkcie, a teraz on mnie nienawidzi. Co mam zrobić? Nie chcę przysparzać kłopotu ani tobie, ani Ravissantowi.

Lauren pomyślała przez chwilę, po czym stwierdziła:

- Irek Makarow marzył o wystawieniu swoich prac. Cokolwiek o tobie myśli, nie zaprzepaści takiej szansy.

- Czy naprawdę uważasz...

- Cicho! Nadchodzi Finley. Pamiętaj, ani słowa o Irku. Finley zatrzymał się w połowie drogi, aby przywitać się z brunetką o żywych niebieskich oczach i z jej dwoma towarzyszami.

- To Elaine Paige, aktorka, i Richard Branson - wyjaśniła Vora. - Ten trzeci to Wielki Mac. Finley zna tu wszystkich.

- Wielki Mac? Ten facet jest właścicielem londyńskiej filii McDonalda?

Vora wybuchnęła śmiechem.

- Nie. To Cameron Mackintosh - producent kilku musicali. Najbardziej podobali mi się Les Miserables. Mam bilety na najnowszy - Miss Saigon. Chcesz wybrać się ze mną?

- Oczywiście, z przyjemnością - odrzekła Lauren. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, dlaczego nazwisko Bransona wydało się jej znane. To ten głośny przedsiębiorca,

właściciel wydawnictwa muzycznego. W zeszłym tygodniu Fujisankei, tokijska spółka zajmująca się środkami masowego przekazu, wykupiła część udziałów w Virgin Music Group. Nie w pełni usatysfakcjonowani połykaniem amerykańskich przedsiębiorstw, Tak i jego towarzysze z niszczycielską siłą zalewali Anglię.

Lauren nie miała od Taka wiadomości od czasu aukcji w Sotheby. Zamierzała go zaprosić na otwarcie wystawy Irka. Było dla niej ważne, aby przekonał się, że jej szczęśliwa ręka jeszcze jej całkowicie nie zawiodła.

Kiedy Finley krążył po sali, przystając przy każdym stole, aby się przywitać, Lauren zorientowała się, że ma on znakomite układy. Na swój sposób mógłby przyczynić się do sukcesu Ravissanta w równym stopniu co Ryan Westcott. Mógłby jej udostępnić listę członków Groucho. Mogłaby wysłać do nich zaproszenia na otwarcie wystawy.

- Przepraszam za spóźnienie. - Finley usiadł obok Lauren.  
- Od lat nie mieliśmy takiej gęstej mgły.

Dał znak kelnerowi, który skinieniem głowy dał mu do zrozumienia, że bez pytania wie, co ma podać.

- Byłem na bajecznej kolacji w Dyplomacie. A panie gdzie jadły?

- W Pomodoro. Z Ryanem Westcottem - odrzekła Vora.

- Och? - Finley uniósł w górę jedną ze swoich jasnych brwi. - Westcott ostatnio nie pokazywał się publicznie zbyt często. Aż do niedawna.

Lauren żałowała, że Vora wspomniała o Ryaniu. Finley go nie lubił, chociaż był zbyt uprzejmy, aby to powiedzieć. Kiedy Finley i Ryan byli razem, Lauren wyczuła pomiędzy nimi subtelne napięcie. Gdyby Finley dowiedział się, że Ryan jest wmieszany w sprawę, mógłby nie zechcieć okazać Irkowi pomocy.

- Rozmawialiśmy o możliwości wypożyczenia na wystawę w Ravissancie kolekcji wczesnych obrazów Picassa, będących w posiadaniu Griffitha.

- Doprawdy? - zdziwił się Finley. - Wydawało mi się, że Griffith sprzedał je przed wielu laty. Nie pamiętasz, Voro? Griffith musiał zdobyć gotówkę, aby wyciągnąć Westcotta z więzienia.

Pod wpływem tych słów serce Lauren podskoczyło do gardła. Wyostrzony od dzieciństwa, wyczuwający zagrożenie instynkt tym razem ją zawiódł. Czy Ryan Westcott był człowiekiem niebezpiecznym? I czy pozwoliła mu na to, gdyż uspił jej czujność, tak że uwierzyła, iż jest inaczej?

- Nic o tym nie wiem - powiedziała Vora.

- Sądziłam, że Archer powiedział ci o tym.

Finley popatrzył na sufit i ciągnął:

- Około dwunastu lat temu Griffith zaprosił Archera i Simona Guthrie z Halford Shead, aby obejrzeni i wycenili należące do niego obrazy Picassa. Zamierzał je sprzedać za gotówkę.

Musi w tym być część prawdy - stwierdziła Lauren z rosnącym niepokojem. Halford Shead było głównym przedstawicielstwem maklerskim Lloyda, specjalizującym się w handlu dziełami sztuki. Ale jeżeli obrazy te zostały sprzedane, to dlaczego Ryan chciał się nimi zasłonić? zaproponował, aby właśnie w ten sposób wyjaśnić jego wizyty w galerii. W ten sposób nikt nie miał dowiedzieć się o Irku.

- Czy Griffith próbował przekupić władze? - spytała Vora. - Sądziłam, że nawet próba przekupstwa zaprowadziłaby go do Old Bailey.

- Z pewnością - zgodził się Finley - ale to nie wydarzyło się tutaj. Westcott był w więzieniu w Zairze.

- Z jakiego powodu znalazł się w więzieniu? - zapytała Lauren. Wcale nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

- Morderstwo. Zamordował człowieka. Z zimną krwią. Oczywiście próbowano wyciszyć sprawę. Dowiedziałem się o tym nieoficjalnymi kanałami od jednego z wysłanników „Timesa” w Zairze. Wkrótce potem Archer potwierdził, że dokonał wyceny prac Picassa.

- W jakich to nastąpiło okolicznościach? - spytała Lauren. Finley wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że tamtejsze władze dysponowały niezbitymi dowodami, ponieważ jedynym sposobem na wydostanie stamtąd Westcotta było wyłożenie przez Griffitha kilku milionów funtów.

Czując mdłości, Lauren zadawała sobie pytanie, dlaczego związała się z tym człowiekiem. Dziś wieczorem Ryan słuchał relacji Irka o jego pobycie w gułagu, nie wspominając ani słowem o tym, że on sam był kiedyś w więzieniu.

- Archer nigdy nie darzył Ryana sympatią - powiedziała Vora. - Uważał, że Westcott ma nad Griffithem jakąś niewytłumaczalną władzę. Griffith nigdy nie był na tyle rozrzutny. Inwestował jedynie w dzieła sztuki. Przed pojawieniem się Ryana nie kupował samochodów ani domów.

- Nawet jeżeli wtedy Ryan nie miał władzy nad Griffithem, to teraz z pewnością ją ma - dodał Finley. - Od czasu tej bomby Westcott prowadzi wszystkie interesy Griffitha. Być może Westcott dokonuje malwersacji, a Griffith utracił wszelką zdolność percepcji, aby się w tym zorientować. Trudno to stwierdzić z całą pewnością, ponieważ Westcott nie zezwala nikomu na odwiedzanie Griffitha.

- Tak, Ryan ciągle grywa w Crockfords, ryzykując co wieczór tysiące funtów. I jeździ niezwykle drogim samochodem - przyłączyła się Vora. - Jakie mogą być jego legalne dochody?

- Samochód może być własnością Griffitha, który pozwala Ryanowi na korzystanie z niego - zasugerowała Lauren, nadal przywiązana do swojego dotychczasowego wyobrażenia o Ryaniu.

- To on jest właścicielem, nie Griffith - stwierdził Finley.  
- Colin Simpson umieścił w „Timesie” ogłoszenie o sprzedaży należącego do niego astona - martina o numerze rejestracyjnym ART ZZZ. Naturalnie, chciałem go kupić, ale Westcott mnie przelicytował. Simpson powiedział mi, że samochód został zarejestrowany na Westcotta. Zobaczył to w papierach, kiedy sprzedawał mu tablice.

- Nie wiedziałam, że ludzie sprzedają tablice rejestracyjne - odezwała się Lauren. Jej myśli jednak nadal krążyły wokół Ryana i tego, czego się właśnie dowiedziała.

- Sprzedają - wyjaśniła Vora - za niewiarygodne sumy pieniędzy. Archer poświęcił fortunę, aby nabyć do swego jaguara tablice ART 111.

Podczas gdy Finley i Vora zaangażowali się w dyskusję nad rosnącymi kosztami tablic rejestracyjnych, Lauren rozważała możliwości postępowania. Nie będzie łatwo pozbyć się Ryana, ale niewątpliwie istnieje jakieś wyjście.

- Lauren, pani w ogóle nie słucha.

- Proszę mi wybaczyć. Zastanawiałam się nad zestawem kolorowych reprodukcji, które wydawnictwo Ravissant wypuszcza w tym miesiącu na rynek.

Lauren celowo zmieniła temat. To, co usłyszała dzisiaj o Ryaniu Westcotcie, powinno wystarczyć jej na całe życie.

- Czy to nie niezwykle dla wydawnictwa Ravissant? - zapytał Finley. - Nabywanie praw wydawniczych do impresjonistów, podczas gdy specjalizujecie się w sztuce współczesnej?

Lauren nie mogła powiedzieć mu prawdy. Galeria Ravissant ugrzęzła w kłopotach tak głęboko, iż obawiała się



ona, że rok to zbyt mało, aby ją podźwignąć. Postanowiła zaskoczyć Barzana powiększeniem dochodów poprzez wpływy z wydawnictwa.

- Mary Cassatt zawsze mnie fascynowała. W jej czasach większość kobiet uważała dom za swoje miejsce, jednak ona zdecydowała się na opuszczenie Stanów, aby podążać za swoim marzeniem.

Lauren dodała, iż niezwykle głęboko identyfikuje się z Mary Cassatt. Podobnie jak ona udała się do Paryża, aby studiować sztukę. Cassatt jednakże została jednym z najbardziej popularnych na świecie twórców impresjonizmu, podczas gdy sukces artystyczny nie stał się udziałem Lauren.

- Jak pan wie, jej kolorowe reprodukcje ukazują się rzadko, lecz udało mi się nabyć prawa do ich wydrukowania dzięki pewnemu Francuzowi, którego Ozzie i ja poznaliśmy przed laty.

Finley uśmiechnął się szeroko, a Lauren z rozmysłem kokieteryjnie spuściła wzrok. Miało to jednocześnie świadczyć o szczerości jej słów. Z pewnością nie zaszkodziłoby nikomu, gdyby „Times” bezpłatnie nadał reprodukcjom Cassatt lekki rozgłos.

- Reprodukcje powinny przywrócić Ravissantowi dawną reputację - głos Finleya wyrażał jednak wątpliwość.

- Będą najwyższej jakości - dodała Vora. - Już nigdy więcej fałszywe reprodukcje nie wyjdą z naszego wydawnictwa. Wzmogliśmy środki bezpieczeństwa.

- To dobrze - Finley skinął współczująco w jej stronę. - Przypominam sobie, jak bardzo Archer był zdruzgotany, kiedy tamte tandetne reprodukcje zalały rynek.

Zawahał się, lecz po chwili ciągnął dalej:

- Czy Scotland Yard ukończył już dochodzenie w sprawie śmierci Archera?

Słyszając te słowa, Vora z widocznym bólem odwróciła wzrok.

- Bardzo przepraszam - odezwał się ponownie Finley. - Nie powinienem był o to pytać.

Lauren otworzyła usta, aby zmienić temat, którego Vora nigdy nie poruszała w jej obecności, lecz Vora ją uprzedziła:

- W noc przed swoją śmiercią Archer przyszedł do mojej sypialni... - przerwała i rozejrzała się wokół, najwidoczniej, aby nie stracić panowania nad sobą. - Był blady i cały się trząsł. Przyznał, że nie powiedział mi prawdy, kiedy twierdził, że nic nie wie w sprawie fałszywych reprodukcji, w jaką kilka miesięcy wcześniej wplątany był dział wydawniczy Ravissanta. Wydaje się, że galeria była na równi pochyłej już od kilku lat. Archer wykorzystał już cały fundusz kredytowy i był zdesperowany. Zezwolił kilku wierzycielom na korzystanie z usług wydawnictwa. Sądził, że zajmują się drukiem katalogów wysyłkowych. Oni jednakże tanim kosztem wykonali reprodukcje prac wystawianego przez nas artysty. Były tak niskiej jakości, że zostało to odkryte, zanim większość z nich została sprzedana. Zniszczyło to jednak Ravissantowi reputację. A teraz te same osoby usiłowały wykorzystać wydawnictwo do nielegalnej reprodukcji prac Dalego.

- To chyba mniej więcej w tym samym czasie francuska straż graniczna przechwyciła stosy papierów podpisanych przez Dalego - Finley z niedowierzaniem pokręcił głową. - Biedny Salvador. Stracił już kontrolę w swoich ostatnich latach. Kiedy zwolnił prowadzącego mu interesy Pete'a Moore'a, pośrednicy wykorzystali go bez skrupułów. Powiedziałbym, że ponad połowa będących w obiegu reprodukcji Dalego to falsyfikaty.

- Czy Archer wymienił nazwiska osób, które chciały wykorzystać wydawnictwo dla swoich interesów? - zapytała Lauren.

- Nie, ale powiedział mi, że stanowczo temu się sprzeciwił. Archer obawiał się o własne życie; ostrzegł też i mnie, nakazując mi ostrożność. Zginął tej samej nocy, kiedy jego samochód stoczył się ze skały. Wiem - i nikt mnie nie przekona, że było inaczej - iż Archer został zamordowany.

- Policja nic nie znalazła... nic, w ogóle?

- Nie. Wynajęłam prywatnego detektywa, ale i on niczego nie odkrył. Niczego nie znaleźliśmy. Nawet dowodu pożyczki. Wyglądało na to, że Archer wymyślił tę całą historię. Ale ja mu wierzę. I zawsze będę mu wierzyła.

Wyrazy na komputerowym ekranie zlewały się Vorze w jedną całość. Nie potrafiła skupić się, kiedy Irek siedział u jej boku, czytając roboczą wersję przygotowywanej przez nią jego biografii, która miała pojawić się w poświęconym mu katalogu.

Niepewną angielszczyzną wprowadzał poprawki, które ona następnie wpisywała do komputera.

- Co jest specjalista kulinarny?

Popatrzyła na niego. Jak to się dzieje, że mężczyzna mający na sobie ubranie, którego inni chcieliby pozbyć się jak najszybciej, może wydawać się tak atrakcyjny?

- To uprzejmy sposób na wyrażenie tego, że byłeś rzeźnikiem.

Oczy Irka zwęziły się.

- Nie bądź miła. Napisz rzeźnik. To nie hańba być rzeźnikiem.

Naniosiła poprawkę. Pracowali nad jego biografią od tygodnia. Rano Irek brał prywatne lekcje angielskiego. Następnie pojawiał się w galerii, gdzie Lauren czyniła przygotowania do wystawy jego prac. Vora była

odpowiedzialna za przygotowanie katalogu w twardej oprawie. Celowo przeciągała te sesje, podczas których zadawała Irkowi liczne pytania dotyczące jego młodości i lat spędzonych w gułagu. Miała nadzieję, że te spotkania złagodzą jego stosunek do niej. Nic takiego jednak się nie stało. Zachowywał nadal postawę zimnej obojętności.

Jak mogłaby go przekonać, aby dał jej jeszcze jedną szansę? To beznadziejne. Masz to, na co zasłużyłaś. Skoncentruj się na tym, aby była to najlepsza wystawa w historii.

- Mieszkasz i malujesz obecnie w opuszczonym magazynie. Czy to brzmi, jak należy?

- Nie. Mieszkam w kondominium w Docklands. Widzę Dog's Island.

- Przeprowadziłeś się? - spojrzała z niedowierzaniem w jego szczerze piwne oczy.

Trudno było wyobrazić sobie Irka w kondominium nad Tamizą. Pomimo że wydawnictwa z Fleet Street opuściły już swoją sławną siedzibę, przenosząc się na Isle of Dogs, Vora nigdy tam nie zawitała. Przebudowa nadbrzeża Tamizy nigdy wcześniej jej nie obchodziła. Aż do chwili obecnej.

- Mam mieszkanie przy Pelican Wharf. Dużo miejsca, aby malować.

- A ogrzewanie? - wymknęło się Vorze, zanim zdążyła o tym pomyśleć.

Irek skoczył na równe nogi, z rękami opartymi na biodrach.

- Ma, ale nie potrzebuję. Anglia gorąca, bardzo gorąca. Syberia zimna. Potrzebne ogrzewanie w gułagu.

Skierowała wzrok z powrotem na ekran komputera. Łzy stanęły w jej oczach. Czy kiedykolwiek potrafi go zrozumieć? Pochodzą z dwóch różnych światów. Są ludzie, którzy nie

potrafią sobie wyobrazić mieszkania bez ogrzewania. I tacy, którzy go nie potrzebują.

- Wyśmienita - orzekła Lauren, oceniwszy wykonaną przez Tabathę wazę. Mimo że Tabatha miała za sobą jedynie podstawowy kurs z zakresu ceramiki, była niechętnie nastawiona do uczęszczania na kursy w St. Martin's, gdzie miała do swojej dyspozycji koła i piec do wypalania porcelany. W ciągu dwóch tygodni, jakie spędziła z Lauren, Tabatha wymagała ciągłego ponaglenia do wykonywania czegokolwiek oprócz biżuterii.

- Dam ją na wystawę w Ravissancie. Kiedy ktoś ją kupi, ja wezmę tylko prowizję. Reszta należy do ciebie.

- Naprawdę? - Wielkie oczy Tabathy powiększyły się jeszcze.

- Tak. - Lauren ponownie zauważyła, że ta dziewczyna ma nad nią przewagę. Skąpa do nieprzyzwoitości, zgarniała wszystkie zarobione pieniądze, kupując jedynie artykuły potrzebne do malowania. Przypominało to Lauren jej pierwsze lata w Paryżu. - Muszę już lecieć.

- Czy będziesz mnie potrzebowała dziś wieczorem?

- Nie. - Lauren wołała sama przygotowywać sobie posiłki.

- Masz lekcję?

- Nie. - Tabatha odwróciła wzrok. - Mam randkę.

- Świetnie.

Lauren nie było nic wiadomo o tym, że Tabatha ma przyjaciół, a co dopiero chłopaka. Była jednak zadowolona, że Tabatha poznała jakiegoś młodego człowieka.

- Gdzie się wybieracie? Do Hippodrome?

Mimo że nastolatki ciągnęły stadami do tego największego klubu w Londynie, Lauren nie potrafiła wyobrazić sobie w nim Tabathy. Tabatha ubierała się tylko w poważne stroje; nie miała w swojej garderobie niczego, co kwalifikowałoby ją do środowisk subkulturowych. Nie dla niej były też fryzury punkowskie.

- Nie. Idziemy do Odeonu... tak mi się wydaje.

Do kina. W takim razie nie będzie musiała zakładać niczego szczególnego. Lauren nie miała jeszcze okazji ujrzeć jej w czymś twarzowym. Z tak ogromnym biustem Tabatha wyglądała ciężko we wszystkim, co miała na sobie. Jak gdyby trudno jej było utrzymać równowagę.

- Weź moją kartę od Harrodsa. Wpadnij tam i kup sobie nową sukienkę. Oddasz mi później, jak zaczniesz zarabiać.

- Nie potrzebuję...

- Wyszukaj sobie coś nowego, ładnego. - Lauren skierowała się ku wyjściu. - Czy on wpadnie dziś wieczorem? Czy go poznam?

Tabatha wyglądała na zmieszaną.

- Spotkam się z nim... tam.

- Baw się dobrze - rzuciła Lauren wychodząc. Przestań się o nią martwić. Nie jesteś jej matką. Mimo to nie mogła nic poradzić na swoją opiekuńczość. W końcu Tabatha miała dopiero siedemnaście lat.

Idąc w deszczu, zbyt drobnym na to, aby kłopotać się rozkładaniem zwisającego jej z ramienia parasola, Lauren zeszła w dół Carlos Place ku Berkeley Square. Pomyślawszy o Ryaniu, zwolniła kroku. Po tym, jak usłyszała o nim od Finleya, postanowiła oznajmić mu, że nie chce już dłużej być jego współpracowniczką. Lecz kiedy następnego dnia Irek przyszedł obejrzeć Ravissanta, od samego wejścia było oczywiste, że Ryan i Irek bardzo się zaprzyjaźnili. Gdyby zirytowała Ryana, mogłoby to zaszkodzić układowi z Irkiem.

Czy ci się to podoba, czy też nie, będziesz musiała znosić Ryana aż do zamknięcia wystawy. Nie lubiła, jak kręcił się po galerii przez cały dzień, i robiła, co mogła, aby go unikać. Jeżeli musiała z nim rozmawiać, robiła to z zawodową rezerwą. Do tej pory widziała się z nim zaledwie kilka razy.

Dzwonił do niej, lecz zgodnie z poleceniem Tabatha mówiła, że nie ma jej w domu. Nigdy nie zostawiał swojego numeru.

Przecinając Berkeley Square, Lauren spostrzegła czarnego astona - martina, własność Ryana, rozkraczonego przednimi kołami na chodniku w pobliżu Ravissanta. W strefie zabronionej. Opanowała ją pokusa, aby przejść bokiem i nie wchodzić do środka, musiała jednak ją odrzucić. Na jej biurku leżał stos rachunków, a także próbne reprodukcje Cassatt do zaopiniowania.

Mijając astona - martina, zerknęła do środka: Iggy tam nie było. Przez okno galerii widać było Ryana, rozmawiającego z Vorą i Irkiem. Lauren okrążyła metalowe ogrodzenie, okalające schody, które prowadziło do znajdującego się na wysokości chodnika jej prywatnego biura. Usytuowanie wielu pomieszczeń biurowych w tych częściach budynków, które do niedawna stanowiły wjazd dla ciężarówek dostawczych, nawiązywało tradycją do tych lat, kiedy dzielnica Mayfair była enklawą ekskluzywnych domów. Zeszła pośpiesznie po schodach, aby nikt z osób znajdujących się w środku nie zdążył jej zauważyć. Wystukała szyfr i otworzyła drzwi biura.

Na stojącym pośrodku niewielkiego pomieszczenia biurku zobaczyła zostawioną dla niej wiadomość. Zadzwoiła do brata w Santa Fe.

- Cześć. Czy stało się coś złego?

- Czy nie wolno mi do ciebie zadzwonić, żeby po prostu zapytać, jak się masz? - zabrzmiał wesoły głos Paula.

- Oczywiście, że wolno. Sama usiłowałam skontaktować się z tobą. Nie ma cię nigdy w domu.

- Zapisz sobie numer Geety.

Ach, więc tak sprawy wyglądają. Uśmiechnęła się, zapisując pośpiesznie numer.

- Jak ci leci w galerii?



Powiedziawszy mu o Irku, zaprosiła jego i Geetę na otwarcie, którego datę ustalono na początek maja. Barzan z pewnością nie będzie miał nic przeciw wizycie jej brata. Paul przyjął zaproszenie i dodał, że oprócz Geety zabierze także z sobą dwójkę jej dzieci.

- A co się stało z tym... jak on się nazywa... z tym facetem, który ci tak dawał w kość?

Nadal to robi. Postanowiła, że pozwoli mu skoncentrować się na jego własnym życiu, nie martwiąc go swoimi sprawami.

- Wszystko ułożyło się dobrze. Pomaga mi w sprawie Irka.

- A nie mówiłem, dziecinko? Spojrzał w twoje błękitne oczęta i padł z wrażenia.

- Raczej nie. Ale pracujemy razem.

Paul zakończył rozmowę. Lauren siedziała przez chwilę w milczeniu, nadal trzymając słuchawkę w dłoni. Dziwne. Nie brakowało jej Paula tak, jak się tego spodziewała. Być może dlatego, że spędzała teraz dużo czasu w towarzystwie Vory. Początkowo Lauren wmawiała sobie, że Vora jej potrzebuje. Prawda była jednak taka, że Lauren bardzo chciała mieć przyjaciółkę. A do tej pory nigdy nie była w tak bliskich stosunkach z żadną kobietą.

- Tato czeka na ciebie.

Lauren odwróciła się pośpiesznie. Stał przed nią Ryan Westcott, oparty ramieniem o framugę drzwi, z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie spodni. Brązowa, sportowa marynarka z tweedu, zakupiona w sklepie Harrisa, okalała elegancką białą koszulę - bez krawata.

- Mój ojciec nie żyje - odparła Lauren szorstko, nie reagując na jego głupi półuśmiech. Skąd wiedział, że ona tu jest? Czy ten człowiek nigdy niczego nie przeoczy?

- Niech ci się wydaje, że zmartwychwstał. Ten stary dziwak twierdzi, że nazywa się Grant Fraser. Czeka na górze.

- Grant?

Fala zdumiewających doznań przebiegła przez jej ciało. Przecisnąwszy się w pośpiechu obok stojącego w drzwiach Ryana, ruszyła w górę głównymi schodami do galerii. Zatrzymała się na półpiętrze poniżej pomieszczenia z wpuszczającą światło kopułą. Oparła dłoń o mosiężną poręcz. Nie widziała Granta od ponad roku. Co go tu dzisiaj sprowadza?

Spotykali się z sobą regularnie przez ponad rok. Grant w niezwykle mglisty sposób wspominał o chęci poślubienia Lauren. Śmierć Marcy i w konsekwencji postępująca depresja u Paula, a także jego próba samobójstwa, osłabiły ich znajomość. Kiedy już nie była gotowa na każde jego skinienie, ten zamożny prawnik stopniowo przestawał ją zapraszać. Ostatni raz spotkała go, kiedy oglądała z Takiem jedną z prac Hockneya w galerii Andre Emmericha przy 57 Ulicy. Towarzyszyła mu wtedy rudowłosa piękność.

Usłyszawszy, że Ryan podąża za nią po schodach, Lauren przyspieszyła kroku, aby jak najszybciej znaleźć się w galerii.

- Grant! - Wyciągnęła ku niemu dłoń.

Wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i uścisnął serdecznie.

- Stęskniłem się za tobą. Wyglądasz wspaniale.

- Ty też.

Niewinne kłamstwo. Starszy od niej o dwadzieścia lat Grant, ze srebrnosiwymi włosami, które kiedyś jej zdaniem dodawały atrakcyjności jego wyrefinowanej powierzchowności, miał teraz twarz pooraną zmarszczkami, które rozchodziły się wachlarzami wokół oczu i zwały mu usta, zamazując szlachetność jego rysów.

- Bardzo, ale to bardzo stęskniłem się za tobą. - Wypuściwszy Lauren z objęć, Grant wyglądał na zakłopotanego, widząc głębokie zaskoczenie malujące się na

jej twarzy. - Gniewasz się na mnie, ponieważ nie pożegnałem się z tobą.

- Ależ nie.

Bardzo się wtedy śpieszyła, aby jak najszybciej znaleźć się w Santa Fe i sprawdzić, co się dzieje z Paulem. Kiedy zadzwoniła, aby pożegnać się z Grantem, a on nie odpowiedział na jej telefon, nie dzwoniła już po raz drugi.

- Po prostu jestem zaskoczona, że cię widzę. To wszystko. Co porabiasz w Londynie?

- Będę jakiś czas zatrudniony tutaj w przedstawicielstwie Lloyda. Co powiedziałybyś na wspólną kolację w Rules dziś wieczorem?

Początkowo chciała odmówić, jednakże po chwili zmieniła zamiar. Sposób, w jaki rzuciła się na Ryana tamtej nocy, uświadomił jej, jak bardzo brakuje jej mężczyzny. Któż mógłby być lepszy niż Grant? Znała go i mogła mu ufać.

- Świetnie.

Po umówieniu się Grant wyszedł, a Lauren wróciła do biura. Kiedy przeszukiwała szafkę z aktami, usłyszała, jak ktoś wchodzi do pokoju. Ryan. Któż inny wszedłby bez pukania? Udawała, że go nie słyszy, do chwili kiedy drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem. Odwróciła się, przygotowana do starcia.

- Czego chcesz?

Zbliżył się do niej z wrogością w zielonych oczach. Serce stanęło jej w gardle.

- Unikasz mnie. Dlaczego?

- Wcale nie - odpowiedziała, słusznie dumna ze spokoju w swoim głosie.

Zrobił jeszcze jeden krok w jej kierunku. I jeszcze jeden. Cofnęła się, podświadomie przekręcając dłonią swoją srebrną bransoletę. Zbliżał się nadal, pozostawiając między nimi coraz

mniejszą przestrzeń. Dwa kroki do tyłu. Lauren wpadła na szafkę.

- Gówno prawda! - Ryan oparł dłonie o szafkę po obu stronach jej głowy.

Uwięziona pomiędzy szafką i jego ramionami, Lauren nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Rzuciła okiem najpierw w jedną, potem w drugą stronę, lekko spoglądając na pierścień z ukazującym kły lampartem. Jak mogło się jej kiedykolwiek wydawać, że dłonie Ryana są delikatne? Przeszył ją strach. Nagle opanowały ją siły usuwane w niepamięć wspomnienia z przeszłości.

- Chcę znać odpowiedź!

Tłumiąc spazmatyczne drżenie, które wypełniło jej piersi, Lauren powiedziała sobie raz jeszcze, że wydarzenia przeszłości już nigdy jej nie zranią. Nigdy więcej.

- Muszę jak najwięcej pracować sama - odrzekła, mówiąc tylko część prawdy. - Ty zajmij się Irkiem, a ja będę wykonywać prace biurowe. Powinieneś wszystko omawiać z Vorą. Jej zadaniem jest promowanie Irka.

- Znowu gówno prawda. Może teraz dla odmiany powiesz mi, o co naprawdę chodzi.

Dotychczas nie знаła Ryana od tej strony. Przypomniała sobie, co na jego temat mówił Finley.

- Nnnie... wiem, o czym mówisz - powiedziała załamującym się głosem.

- Kłamiesz!

Stali tak twarzą w twarz, na długość wyciągniętej dłoni, i patrzyli sobie w oczy. Dźwięcząca w uszach cisza wypełniła pokój.

W końcu Lauren zebrała się na odwagę. Powiedziawszy „przepraszam” zanurkowała pod jego ramieniem, próbując się wydostać. Zastąpił jej drogę.

- Nigdzie stąd nie pójdziesz, dopóki nie dowiem się prawdy.

Spojrzała najpierw w bok, a następnie z powrotem popatrzyła śmiało w jego pytające oczy.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że siedziałeś w więzieniu za morderstwo?

Wpakował zaciśnięte pięści do kieszeni spodni.

- Kto u diabła powiedział ci o tym?

- Czy to prawda? Odwrócił wzrok.

- Tak, to prawda.

Nie! Wydała z siebie głośny jęk, przerażona tym, o czym myślała z nadzieją, iż okaże się nieprawdą.

- Nie było innego wyboru. On albo ja - odezwał się z nie ukrywanym żalem w głosie. - Miałem ułamek sekundy na podjęcie decyzji, która uratowała mi życie. To był wypadek.

- Dlaczego chciał cię zabić?

- Miałem to, co on chciał mieć. Trzynastoipółkaratowy diament używany do celów przemysłowych.

Ogarnęło ją uczucie ulgi. Okoliczności łagodzące. Przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza i nie dać się ponieść emocjom.

- Pieniądze potrafią przemawiać na całym świecie, ale szczególnie w krajach Trzeciego Świata. T.J. przekupił kogo trzeba i wypuścili mnie... po siedmiu miesiącach.

Prawie niewyczuwalna nutka żalu w ostatnich słowach świadczyła o tym, że nie było to takie proste, jak mogłoby się wydawać.

- Czy nie straciłeś w którymś momencie nadziei, że T.J. cię z tego wyciągnie? Dlaczego to trwało tak długo?

- Nigdy. T.J. zrobiłby dla mnie wszystko.

Lauren zastanawiała się, czy Vora nie miała czasem racji.

Czyżby Ryan rzeczywiście miał nad T.J. Griffithem władzę? Jeżeli nie, to skąd ta pewność, że T.J. by go nie opuścił? Nie śmiała pytać.

- Czy T.J. sprzedał obrazy Picassa, aby cię wyciągnąć?

- Nie. Po co miałyby to zrobić, skoro mógł je dać w zastaw?

- Racja - odparła. Miało to sens. Griffith - taki zapalony kolekcjoner, nigdy by ich nie sprzedał, chyba żeby został do tego zmuszony. Finley błędnie przypuszczał, że wyceny obrazów dokonano ze względu na mającą nastąpić sprzedaż, a nie danie ich w zastaw. - Czy przebywanie w więzieniu w takim kraju było straszne?

- Liczyły się tylko dwie rzeczy: siła i pieniądze. - Głos Ryana stał się nagle głosem człowieka znużonego życiem. - Mógłbym powiedzieć ci o wiele więcej, ale mogłabyś tego nie wytrzymać.

Sposób, w jaki o tym mówił, był tak rozbijająco bezpośredni, że nie mogła mu nie wierzyć. Rozważała to przez chwilę, po czym zapytała:

- Co stało się z diamentem, przez który omal nie straciłeś życia?

- Rząd Stanów Zjednoczonych kupił go i wykorzystał w misji sondy kosmicznej Pionier - 2 wysłanej w kierunku Wenus. Użyto go w urządzeniach optycznych do pomiaru podczerwieni. Jedynie diamenty przepuszczają promienie podczerwone i są jednocześnie w stanie wytrzymać ogromnie wysoką temperaturę i ciśnienie panujące w atmosferze Wenus.

- Uśmiechnął się z przekąsem. - Diamenty przemysłowe niekoniecznie muszą być olśniewającym biznesem, lecz są niezbędne. Pomimo całego postępu technicznego nadal są najtwardszym materiałem na ziemi.

Lauren nie miała pojęcia, co powiedzieć. Jego opowiadanie było tak nierealne, że wydawało się wręcz niemożliwe, aby to była nieprawda.

Ryan wsunął dłoń pod jej podbródek i podniósł do góry jej twarz, zmuszając do popatrzenia mu prosto w oczy.

- Czy jest jeszcze coś, o czym chciałabyś wiedzieć? Jeżeli tak, to pytaj. A nie chodź wpięprzona na cały świat.

Lauren milczała. Nigdy do tej pory nie spotkała nikogo, kto by zabił drugiego człowieka - niezależnie od okoliczności. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

- Teraz moja kolej? - Zarozumiały uśmiech Ryana był dla niej ostrzeżeniem. - Czy ten stary przyk potrafi jeszcze go podnieść?

Dopiero po chwili Lauren zorientowała się, że Ryan ma na myśli Granta.

- On nie jest taki stary. Ponownie ujął w ręce jej głowę.

- W porównaniu ze mną - jest.

Bała się spojrzeć na jego dłonie. Zamiast tego popatrzyła mu prosto w oczy.

- Miałam prawo zadać ci te wszystkie pytania. Twoja przeszłość ma wpływ na nasze układy zawodowe. Natomiast nasze sprawy prywatne powinny pozostać właśnie takimi.

- Gówno prawda. Bądź szczerą. Umierasz z pragnienia, żeby iść ze mną do łóżka. Przyznaj to.

- Ty gnido! - Uderzyła go w pierś obiema rękami, próbując odepchnąć. Ani drgnął. Wykręciła się na bok, starając się uciec. - Puść mnie, nie mam ci nic do powiedzenia.

- Przestań się okłamywać. Tamtej nocy aż wrzałaś z ochoty. Gdybym cię wtedy zabrał do domu...

- W porządku. Przyłapałeś mnie na chwili słabości. To wszystko. Nie znaczy to...

- Zamknij się.

Jego usta pochyliły się nad nią z dziką namiętnością. Myśli jej rozsypały się, kiedy przywarł wargami do jej ust, a ramiona zacisnęły się wokół niej. Uderzyła go pięścią w pierś. Raz. Drugi raz. Nie przestawał jej całować, rozchylając zaciśnięte usta natarczywymi ruchami języka. Resztkami sił usiłowała mu się oprzeć. Jej serce biło jak szalone. Zalała ją fala pożądania, kiedy jego język wsunął się głębiej w jej usta. Ulegała jego magnetyzmowi w sposób, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Napełniało ją coraz bardziej niecierpliwe oczekiwanie. Wzrastające przy każdym kolejnym kontakcie.

Bądź ze sobą szczerą. Pragniesz go. A właściwie - dlaczego nie? Przez tyle lat byłaś ostrożna. Teraz nadszedł czas na prawdziwego mężczyznę. Jesteś gotowa.

Odpowiedziała na jego pocałunek i przycisnęła się mocno do niego. Delikatny powiew wody kolońskiej unosił się w powietrzu, budząc w niej pamięć tamtych pocałunków w samochodzie. Pragnęła go już wtedy, a teraz pragnęła go jeszcze bardziej.

Rozluźniwszy nieco uścisk, dłonie Ryana powędrowały w kierunku pośladków Lauren. Opanował ją żar pożądania. Stanąwszy na palcach, wyczuła ciałem wzwód jego członka. Łapczywie łapała powietrze. Otaczając go drobnymi udami, przesuwała się w górę i w dół. Nie tutaj. Chyba nie powinna. A jednak?

Nieoczekiwanie Ryan odsunął się, przerywając pocałunek. Popatrzył na zegarek, jak gdyby go użądlił przed chwilą.

- Muszę iść. To ważne.

Brakło jej słów. Patrzyła, jak Ryan manipuluje przy zegarku, kierując się ku drzwiom.

- Przyjdę po ciebie o ósmej.



Zalała ją fala wstydu. W chwili kiedy uległa mu całkowicie, on miał coś ważniejszego do załatwienia. Ale z ciebie kretynka.

- Jestem już umówiona - odezwała się najspokojniej, jak tylko mogła.

- Odwołaj.

Nie powiedziawszy już nic więcej, podążył schodami w górę.

Zasrane szczęście. Miał już Lauren na widelcu. Cóż takiego mogło się wydarzyć, że Adi wysłała sygnał?

Jak tylko tarcza zegarka zaczęła się obracać, Ryan dwukrotnie pociągnął za nakrętkę Concorda, dając Adiemu znać, że odebrał wezwanie. Musiał teraz znaleźć publiczny telefon. Ostrzeżono go, aby wszelkimi sposobami strzegł dwóch numerów: Stirlinga w MI - 5 i posiadłości przy Palace Green. Telefonowanie z galerii mogłoby je zdradzić. Nikt nie powinien nawet przypuszczać, że MI - 5 jest w to wplątane.

- Irek - zawołał, kiedy znalazł się na górze.

- Tu jestem - gruby głos Rosjanina dobiegł go z przedpokoju.

- Zaszło coś nieoczekiwanego. Czy możesz dostać się do domu na własną rękę?

Kiedy Irek przytaknął, Ryan ciągnął dalej:

- Wpadnę po ciebie dziś wieczorem. Lauren wybiera się z nami.

Spojrzał z wahaniem w kierunku Vory.

- Wybieramy się dzisiaj na koncert. Idziesz z nami? Vora popatrzyła na Irka, jak gdyby potrzebowała jego zgody.

- Chodź. - Irek powiedział to tak, jakby miał na myśli zupełnie coś przeciwnego.

Czyżby Vora była aż tak napuszoną kwoką, że całkowicie zraziła Irka do siebie? Ryan nie miał czasu, aby się tym zamartwiać. Wybiegłszy z galerii, przedostał się na drugą

stronę ulicy i wszedł do znajdującego się obok kwiaciarni Moysesza Stevensa pubu o nazwie Coach Horses. Na wprost drewniany budynek z okresu elżbietańskiego nie był dostosowany wyglądem do otaczających go budynków z cegły, w których mieściły się teraz szykowne sklepy i biura.

Będąc w środku, wykręcił utrzymywany w tajemnicy numer przy Palace Green. Adi natychmiast podniósł słuchawkę.

- Zadzwoń do Stirlinga.

Peter Stirling czekał widocznie przy telefonie, bo odezwał się od razu:

- Gdzie teraz jesteś?

Kiedy Ryan poinformował go, Stirling podał mu nazwę pubu, w którym ma na niego czekać. Jeszcze jedna opowieść z gatunku płaszcz i szpady - pomyślał Ryan, kiedy opuszczał Coach Horses. Stirling zawsze nalegał, aby ich spotkania odbywały się na otwartej przestrzeni, gdzie można zauważyć każdego, kto chciałby coś usłyszeć, lub w zatłoczonych miejscach, gdzie nawet najczulsze urządzenia podsłuchowe nie zdołałyby wyłapać z otaczającego ich gwaru treści rozmów.

Podjechawszy pod budynek pubu o nazwie Duke of Albemarle, Ryan zdołał wcisnąć samochód w prawie nie istniejącą przestrzeń pomiędzy dwoma innymi pojazdami. Wszedł do środka, rozejrzał się dookoła. Powoli jego oczy przyzwyczajały się do panującego w pubie mroku. Stirling jeszcze nie przybył. Ryan precyzyjnie przeszedł do baru i usiadł w pobliżu dwóch mężczyzn dyskutujących o rozgrywkach w krykieta, po czym zamówił kufel piwa.

Popijając piwo, zwrócił uwagę na obite atłasem dębowe drzwi z mosiężnymi klamkami. Kiedyś pub ten był spelunką dla pracujących w Mayfair posłańców, biegających z wiadomościami pomiędzy eleganckimi domami. Obecnie

gościł bogatych biznesmenów, którzy mieli w pobliżu swoje biura.

Uśmiechając się do swoich myśli, Ryan przypomniał sobie opowiadanie o tym, jak Winston Churchill otrzymał telegram z gratulacjami po wygranej nareszcie przez Anglików bitwie. Wiadomość pochodziła od zgromadzonego w pubie pijanego towarzystwa. Widniał pod nią nonszalancki podpis: Duke of Albemarle. Oczywiście nikogo takiego nigdy nie było. Tytuł ten dawno został skreślony z rejestru. Poczuwając się jednakże do obowiązku złożenia podziękowań, personel Winnie'ego spędził wiele godzin na wertowaniu ksiąg tytułów szlacheckich, zaskoczony brakiem księcia w wykazie.

Co za banda matołów! Powinni raczej zająć się Hitlerem, a nie odpowiadaniem na telegramy. To cud, że wygrali tę wojnę. Jednak nie - przyznał po chwili. T.J. był w RAF - ie. Także doradca Margaret Thatcher - Airey Neave - był bohaterem wojennym. Obaj zostali ofiarami zamachów bombowych. Dorobek całego życia wraz z marzeniami zniszczony za jednym zamachem. Ryan mógłby się założyć, że Margaret Thatcher nadal brakowało Neave'a. Pomógł ukształtować jej poglądy polityczne, tak samo jak Griffith zmienił życie Ryana.

- Kufel Guinnessa. - Stirling przysiadł się z boku. Udając, że się do tej pory nie znali, wymienili między sobą kilka grzeczności. Po chwili kufel piwa stał już przed Stirlingiem.

- Jak się ma prosię?

Wpieprzało go to, że Stirling ciągle nazywa Iggy prosięciem. Kiedy Ryan upierał się przy zakupie Iggy, Stirling gapił się na niego tak, jakby cała ziemia zarezerwowana była tylko dla niego.

- Iggy ma się świetnie.

- A rottweilery?

- Adi codziennie wypuszcza je na wybieg. Co się stało?

Wyciągnąłeś mnie z ważnego spotkania.

- David Marcus - prawa ręka Barzana - jest w Londynie...  
ponownie.

- To nie może być ten sam facet, którego Barzan wysłał, aby dostać T.J. w swoje ręce. Powiedziałeś, że jego agent już tu mieszka.

- Takie mamy informacje. Człowiek Barzana mieszka w Londynie i ma rok czasu na to, aby dobrać się do T.J. - Stirling pociągnął łyk piwa. - Jestem ostrożny, bo to już trzecia wizyta Marcusa w ciągu ostatnich sześciu tygodni.

- Nie chodźcie za nim?

- Mów ciszej. - Stirling rozejrzał się wokół z udawanym uśmiechem na twarzy. - Nie możemy chodzić za wszystkimi ludźmi Barzana. Nie wysyłałby swojej prawej ręki po to, żeby ten wykonał robotę. Dane z paszportu Marcusa wskazują na liczne wypadki na Kajmany i do innych bankierskich krajów, takich jak śródlądowa Szwajcaria, a nie do Londynu. Chcemy dowiedzieć się, z jakiego powodu zaczął nagle tu przyjeżdżać.

- Nie macie żadnego pojęcia? Do cholery!

- Pracujemy nad tym. Daliśmy mu ogon ostatnim razem, kiedy tu przyjechał. Tego wieczoru, kiedy byłeś z Rosjaninem w Pomodoro. Nasz człowiek zgubił go we mgle, ale zobaczył jeszcze, że Marcus wszedł do jakiegoś budynku przy Grosvenor Square. Nie wiemy, do którego. Pojawił się w St. James Club dopiero następnego dnia rano.

- Przespał się z jakąś kobietą, która tam mieszka. Wielkie wydarzenie.

- To ta sama okolica, w której mieszka Lauren Winthrop.

- No więc? Są tam dziesiątki budynków mieszkalnych.

- Córka Caroline Armstrong - lustrzane odbicie swojej matki - pojawia się w galerii, gdzie - prędzej czy później - musi zwrócić na siebie uwagę Griffitha. Następnie prawa ręka

Barzana zaczyna przyjeżdżać do Londynu i odwiedza kogoś, kto mieszka w tej samej okolicy, co Lauren Winthrop.

Stirling zaczekał, aż barman przejdzie na drugą stronę baru, po czym dodał:

- Zbyt wiele zbiegów okoliczności.

- Powiedziałaś wczoraj, że sprawa z nieruchomością na Florydzie jest czysta.

- Istotnie, lecz międzynarodowe transakcje są bardzo trudne do dokładnego prześledzenia. David Marcus dba o takie rzeczy. W taki właśnie sposób zdobył dla Barzana miliony i uniknął jakichkolwiek konsekwencji. Trudno tu cokolwiek udowodnić...

- Lauren na pewno nie jest w to wmieszana - odrzekł Ryan, mając w pamięci strach, jaki ją ogarnął, kiedy przyparł ją do muru w biurze, zmuszając do odkrycia tego, co ją gryzie. Kobiety, które tak łatwo dają się przestraszyć, nie mają powołania do tego, aby stać się Matą Hari.

- Nadszedł czas, aby ją sprawdzić. Niech spotka się z T.J., ale nie pozwól, żeby mogła się do tego wcześniej przygotować. Założę się, że trzyma asa w rękawie, a jest nim fakt, że jest córką Caroline Armstrong. Będzie próbowała wkraść się w łaski T.J., aby otrzymać ponowne zaproszenie do Palace Green. Wtedy powiadomimy ją o tym o wiele wcześniej i pozwolimy jej na odkrycie kart. Przyjdzie przygotowana do tego, aby go zabić.

- Wiesz, to bije na głowę wszystkie kretyńskie pomysły, o jakich kiedykolwiek słyszałem. Daję głowę, że Lauren nie jest w to wplątana.

Sięgnąwszy do kieszeni spodni, Stirling wyciągnął stamtąd fajkę, a następnie począł obmacywać pozostałe kieszenie w poszukiwaniu zapalek. Studiował Ryana uważnymi oczami.

- Nie zaangażowałaś się zbyt w tę kobietę, prawda?

- Nie - skłamał.

Po raz pierwszy od lat nie spojrzął do tyłu, lecz patrzył przed siebie. Nie zamierzał do końca życia oglądać się za siebie. Niechże, do cholery, Barzan wreszcie wykona swój ruch. Wtedy Ryan będzie mógł zacząć żyć własnym życiem.

- To dobrze. Jeżeli będzie próbowała zabić T.J., będziesz musiał...

Stirling znalazł zapalki i - pocierając o paznokieć kciuka - zapalił jedną z nich. Spojrzął Ryanowi prosto w oczy.

- Nie chcę, żebyś się zawahał, rozumiesz?

- To niepodobne do Lauren. Umawiać się i nie dotrzymać słowa - Vora zwróciła się do Irka, kiedy czekali w hallu na Ryana, który właśnie poszedł zamówić drinki na przerwę.

Irek popatrzył na swój nowy zegarek z podobizną Myszki Miki. Koncert miał się rozpocząć za trzy minuty. Vora wiedziała, że Irek myśli, iż Lauren celowo wyszła z galerii bez słowa. Dlaczego tak zrobiła, skoro miała czekać na Ryana?

- Zamówione - powiedział Ryan. - Dwa razy gin i jedna wódka.

Vora szła obok Irka, zastanawiając się, jak zdoła przeżyć ten wieczór. Ryan, wściekły na Lauren za to, że ośmieliła mu się sprzeciwić, niewiele się odzywał w czasie drogi do teatru. Z każdą chwilą zamykał się w sobie coraz bardziej, a na dodatek Irek patrzył na nią tak, jakby to ona właśnie była wszystkim winna.

Kiedy bileter zaprowadził ich na miejsca, Vora usiadła w środku, z Ryanem i Irkiem po bokach. Popatrzywszy na program, zwróciła się do Irka:

- Czy znałeś Borisa Grebienszczikowa, kiedy mieszkałeś w Rosji?

Potrząsnął głową.

- Rosja to wielki kraj. Grebienszczikow mieszkał w Moskwie. Ja w Kijowie i... w gułagu.

Vora zauważyła, że jego angielski stanowczo się poprawił. Wymawiał słowa czysto, musiał jednak jeszcze popracować nad składnią.

- Czy on gra na gitarze?

- Pisze też słowa i śpiewa.

- Po rosyjsku?

Zanosilo się na długi koncert.

- Nagrał płytę po angielsku, w Ameryce. Nazywa Radio Silence.

- Ach tak.

Vora przerzuciła program. Wyczytała, że Grebienszczikowa wyrzucono z uczelni za to, że zagrał na koncercie rockowym. Dopiero ostatnio uznano go oficjalnie.

- Wszystkie jego rosyjskie nagrania pochodzą z podziemia.

- Nie może śpiewać niektórych utworów albo śpiewać w sposób rząd nie lubi. Grebienszczikow miał szczęście, że nie idzie do gułagu. Bardzo szczęśliwy.

Kiedy przygasły światła i podniosła się kurtyna, Vora spojrzała ukradkiem na Ryana. Z założonymi na piersi rękami patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, jakby był na innej planecie.

Na scenę wkroczyła majestatyczna postać z gitarą w dłoni, na której każdym palcu migotał pierścień. Ubrany w obcisłe skórzane spodnie, Borys Grebienszczikow miał także na sobie odpiętą do połowy czarną koszulę, pod którą widniał szereg złotych łańcuszków ozdobionych medalionami ze znakami zodiaku i wisiorkami z górskiego kryształu. Jego ciemnoblonde włosy związane były w kucyk, a przy jednym uchu połyskiwał wielki złoty kolczyk. Płaski podbródek i męski profil Grebienszczikowa nadawały mu zapierającego dech w piersiach wyrazu pełnej męskości.

Zerknęła w prawo i napotkała uśmiechniętą twarz Irka.

- Rosyjscy ludzie - powiedział unosząc brwi. Śpiewający płynnie po angielsku gitarzysta wykonywał pełne głębokich treści utwory, uderzając w struny w rytmie łagodnego rocka. Ostatni utwór przed przerwą zadedykował swojej ulubionej brytyjskiej grupie muzycznej The Cocteau Twins.

- Kim oni są? - spytała Vora, kiedy światła zapaliły się na przerwę.



- Muzycy awangardowi - odrzekł Ryan, wstając z miejsca. - Szkoda, że Grebienszczikow musi wracać do domu po tym tournee.

- Nadal mieszka w ZSRR, wyglądając w ten sposób? Styl Borysa był tak bardzo zachodni, iż Vora mogłaby przysiąc, że nie pochodzi on z Rosji, lecz z Camden Lock - dzielnicy, która zastąpiła King's Road wyznaczającą do niedawna trendy w młodzieżowej kulturze Londynu.

- Tak. Wielu ubiera się teraz jak Borys.

- Przynajmniej teraz mogą komponować i śpiewać to, co im się podoba - zawyrokowała Vora, udając się w kierunku przejścia, aby odebrać zamówione wcześniej drinki. Po raz pierwszy w życiu doceniła wartość określenia „swoboda artystyczna”. Do tej pory wydawało się ono być wymówką, z której korzystali tancerze baletowi, aby uciec na Zachód i otworzyć konta w szwajcarskich bankach.

- Czy poradzicie sobie beze mnie? - zapytał Ryan. Wyszedł, kiedy oboje przytaknęli. Vorę ogarnęło uczucie niepewności. Otrzymała teraz swoją wielką szansę. Cóż jednak powinna uczynić? Kiedy rozmawiała o tym z Basilem, oznajmił jej, że większość kobiet nie potrafi słuchać. Uwielbiają słuchać jedynie siebie samych. Poradził jej, aby spróbowała sprowokować Irka do rozmowy.

Ale o czym? O balecie! Czyż balet nie jest we krwi wszystkich Rosjan, tak jak muzyka Czajkowskiego i innych wielkich kompozytorów? Jak twórczość tych wszystkich rosyjskich pisarzy o długich skomplikowanych nazwiskach, którzy pisali jeszcze dłuższe i bardziej skomplikowane powieści?

- Bolszoi z Muchamedowem przyjeżdża w maju z La Bayadere na występy do Covent Garden - zaczęła, lecz Irek popatrzył na nią, jakby była obłąkana. Czyżby nie chciał zobaczyć najwspanialszego tancerza świata? Już dawno

wyprzedano bilety na jego występy. Można je było kupić jedynie u koników za dziesięciokrotnie wyższą cenę.

- Nie lubię balet. - Wziął drinki z lady i podał Vore kieliszek. - Motyle w plisowanych spódniczkach.

Kiedy dzwonek oznajmił koniec przerwy, wrócili na swoje miejsca. Przez pozostałą część programu muzyka docierała do Vory jak przez mgłę. Być może to, czego doświadczyła tamtej nocy w mieszkaniu Irka, wcale nie było niczym magicznym. Być może zwiódło ją wrażenie, jakie pozostało w niej po tamtej nocy nieskrępowanej miłości. Sądziła bowiem, że zawiązała się pomiędzy nimi cieniutka nić porozumienia. Teraz wydawało jej się, że nie mogą się porozumieć na żadnej częstotliwości fali.

Kiedy opadła kurtyna, Irek podskoczył do góry głośno krzycząc:

- Brawo! Brawo!

- Pójdziemy za kulisy porozmawiać z nim? - zapytała Vora.

- Niet. - Irek chwycił ją za ramię - po raz pierwszy od tamtej nocy - i poprowadził do wyjścia. - Grebienszczikow przyjeżdża na Zachód, ale musi wracać. - Pokazał palcem na siebie. - Dużo czasu w gułagu. Złe nazwisko. Dziś głośno. Jutro... kto wie?

- Masz rację - odrzekła, biorąc go delikatnie pod rękę. - Mur berliński upadł, ale Wschodnia Europa jest w dalszym ciągu w przebudowie. Niebezpieczeństwa pieriestrojki. Kto wie, co przyniesie jutro? Popatrz na to, co się stało w Chinach.

Kiedy przywołana przez nich w końcu taksówka toczyła się w górę Piccadilly w kierunku jej domu, Vora zastanawiała się, jak ma postąpić. Normalnie towarzyszący jej mężczyzna zabrałby ją po przedstawieniu do swojego klubu. Albo po przyjeździe pod jej dom wypadałoby zaprosić go na drinka.

Jednakże czy Irek nie pomyślałby, że Vora usiłuje go uwieść? Nie chciała uczynić niczego, co mogłoby pogorszyć sytuację.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed jej domem, Vora ociągała się przez chwilę.

- Chciałbyś zobaczyć moje Sorolle? - Pamiętała, że Irek wspominał kiedyś, iż Sorolla jest jego ulubionym impresjonistą.

- Trzymasz Joaquina Sorollę w domu?

- Tak. Wejdz i zobacz.

Będzie z pewnością zaskoczony, kiedy zobaczy dwadzieścia trzy obrazy olejne tego hiszpańskiego malarza.

Ogrodzenie z prętów żelaznych zakończonych połączanymi ostrzami w kształcie liścia okalało dom przy Belgrave Square 11 z wypielegnowanym trawnikiem, na którym rósł angielski dąb, zasadzony w czasie panowania Cromwella. Front budynku o długości pięćdziesięciu stóp był czymś niezwykłym nawet w bogatej Belgravii, jednakże sam dom z trójkątnymi portykami podtrzymywanymi przez kolumny doryckie świadczył o bogactwie osiągniętym w tradycyjny sposób - dziedziczonym przez kolejne pokolenia.

Zapłaciwszy taksówkarzowi, Irek wziął Vorę pod rękę. Powiódł ją w górę po schodach otoczonych z obu stron przez pełne liliowych tulipanów kamienne grządki. Jak zwykle, służba zostawiła zapalone wszystkie światła w posiadłości, mimo że Vory nie było w domu. Światło sączące się z kryształowych żyrandoli przenikało przez palladynskie okna, ukazując olbrzymi salon skąpany w jedwabiu i wypełniony bezcennymi francuskimi antykami. Kiedy podeszli pod podwójne drzwi wejściowe, Vora zastukała w nie mosiężną kołatką.

- Nie masz klucza?

Potrząsnęła przecząco głową. Nigdy nie miała klucza przy sobie. Ktoś ze służby zawsze był w domu. W chwilę później

Chiswick otworzył drzwi. Wzrok jego osiadł na Irku i jego wyciągniętym skądś specjalnie na koncert staromodnym ubraniu.

- Madame? - odezwał się pytająco, wpatrując się w Irka ze źle ukrywaną pogardą.

Vora postąpiła do przodu.

- Chiswick, proszę odebrać od pana Makarowa... - zawiesiła na chwilę głos, aby nie powiedzieć „płaszcz”, którego Irek przecież nie posiadał - ... parasol. I niech Millicent przyniesie nam kawę do... - zawahała się. Gdzie byłoby najlepiej? - ... do gabinetu. I proszę jej powiedzieć, żeby przyniosła też tort.

Wstrzymując oddech, Chiswick odebrał od Irka jego sponiewierany parasol i włożył go do znajdującego się przy drzwiach stojaka, po czym zdjął z Vory Burberry z tą samą gracją, z jaką odniósł się do jej szynszyli. Odwrócił się na pięcie i odmaszerował w kierunku kuchni.

Robiąc powolne koło, Irek przypatrywał się uważnie wszystkiemu, co znajdowało się w owalnym foyer, począwszy od marmurowej posadzki ułożonej wzorzyście na przemian w białe i czarne romby, aż po Rubensa zawieszzonego nad komódką, będącą kiedyś własnością Ludwika XIV - Króla - Słońce.

- O kurwa!

Nie od razu zdała sobie sprawę z tego, co powiedział. Stanowczo zbyt wiele czasu spędza w towarzystwie Ryana Westcotta. Chwytając Irka za ramię, powiodła go wypolerowanymi, mahoniowymi schodami na drugie piętro, gdzie powieszono były obrazy Sorolli. Szli w milczeniu długim korytarzem, wpatrując się w paradujące przed ich oczami, jasno podświetlone specjalnymi reflektorami obrazy olejne.

- To jak muzeum - stwierdził Irek, zatrzymując się przed obrazem przedstawiającym scenę z dziećmi na plaży, jeden z ulubionych tematów Sorolli.

Nagle Vora poczuła wstyd, że ma tak wiele wspaniałych malowideł. Przechodziła obok nich każdego dnia, nawet na nie nie spoglądając.

- Sorolla mój ulubiony impresjonist.

- Mój też - dodała szczerze.

Archer nigdy za nim nie przepadał. Jego obrazy polecił umieścić na górze, podczas gdy dzieła innych impresjonistów zgromadzone przez jego ojca znajdowały się na dole.

Irek obejrzał kolekcję dwukrotnie, zatrzymując się przed każdą pracą i cofając o kilka kroków dla uzyskania lepszego efektu, po czym oboje udali się do gabinetu Vory. Pokój ten zawsze był kryjówką Archera, lecz po jego śmierci ogromny dom wydawał się tak pusty, że Vora postanowiła przenieść się do tego przytulnego pomieszczenia. Gabinet przypominał jej kiedyś Archera. Zbyt mocno. Może to wynik długotrwałego przyzwyczajenia.

Któregoś dnia Vora natknęła się na Daviesa na Great Newport Street i od pierwszego wejrzenia zakochała się w propagowanym przez niego tradycyjnym angielskim stylu. Zaangażowała go do dekoracji gabinetu sofami z bogatą tapicerką i kilometrami angielskiego perkalu. Davies wypędził stamtąd ducha Archera, jednakże pozostali jego nieśmiertelni przodkowie, spoglądający na nią ze srebrnych ram ustawionych na jednym ze stołów. Archer otaczał swoją rodzinę czcią równą swemu oddaniu sztuce. Gdyby on i Vora mogli mieć dzieci, ich małżeństwo byłoby bardziej szczęśliwe.

Irek wszedł do gabinetu i podszedł do stołu z fotografiami.

- Twoja rodzina?

- Nie. To krewni mojego odeszłego męża.

- Odeszłego? On wraca do domu wkrótce?

- Odeszłego to znaczy - zmarłego. To brzmi lepiej.

- Tak jak inżynier kulinarny?

Jego ton wskazywał na to, że się z nią przekomarza i że nie powinna traktować tego poważnie. Uśmiechnęła się z uczuciem ulgi.

Millicent przyniosła srebrną tacę z dzbankiem kawy i tortem czekoladowym udekorowanym na wierzchu kilkunastocentymetrową warstwą kremu z białej czekolady. Usta Irka otworzyły się szeroko.

- Czekoladowy Tort Rozkosznej Śmierci - wyjaśniła Vora, odsyłając jednocześnie Millicent, pragnęła bowiem obsłużyć Irka sama.

- Jeść i umrzeć?

Otworzyła już usta, aby mu wyjaśnić, że to tylko nazwa, kiedy spostrzegła, że sobie z niej żartuje. Nareszcie jakiś postęp.

Prowadząc lekką rozmowę na temat galerii i jego wystawy, Vora podała Irkowi kawę i podwójną porcję tortu.

Pomiędzy kolejnymi kawałkami Irek wskazał widelcem na zestaw fotografii:

- Gdzie twoi ludzie?

- Nie mam rodzeństwa. A moi rodzice nie żyją.

- Żadnych fotografii?

- Kilka.

Oczywiście, Archer nie życzyłby sobie ich podobizn pośród swojej rodziny. Kiedy żył, nigdy nie poruszała tego tematu. Nie miała teraz pojęcia, dlaczego nie poleciła później Daviesowi, aby zastąpił te fotografie zdjęciami jej rodziny.

Przecież Archer nie powinien kierować jej życiem z rodzinnej krypty Leightonów.

Irek patrzył na nią z zaciekawieniem.

- Nie lubisz swojej rodziny?

- Ledwie ją pamiętam.

Wyjaśniła mu, że jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej na Malcie. Nie było nikogo, kto mógłby zaopiekować się nią, z wyjątkiem wujka - starego zgrzybiałego kawalera.

- Zgrzybiałego?

- To znaczy starego i sklerotycznego. Pamięć wujka Nigela zawodziła we wszystkim, z wyjątkiem tego, co dotyczyło jego ogrodu. Potrafił dokładnie zapamiętać terminy użyźniania i podlewania, a także fachowe nazwy wszystkich roślin.

Odetchnęła głęboko. Przed oczami pojawił się jej obraz wujka Nigela, nabożnie obchodzącego się z każdą wypieszczoną sadzonką, nie zwracającego najmniejszej uwagi na uwieszoną u jego boku małą dziewczynkę, która czekała z niecierpliwością, aby coś do niej powiedział. Cokolwiek.

- Co się stało? - zapytał Irek, dostrzegając ból, jaki wywołały u Vory gorzkie wspomnienia.

- Kiedy miałam osiem lat, sąsiadka podarowała mi kociątko w kolorze mandarynki. Tangie stała się moją jedyną przyjaciółką. Widzisz, mieszkaliśmy w dużej posiadłości, daleko poza miastem. Nie miałam nikogo, z kim mogłabym się bawić, ubierałam więc moją kotkę w ubranka dla lalek i wozila ją wózkami po całym Blyforth Hall. Któregoś dnia, kiedy jechałam wózkami z Tangie przez ogród, potknęłam się i wpadłam prosto w tulipany, przygniatając wiele z nich. Wujek Nigel wrzucił kotkę do studni.

Nie zwracała uwagi na łamiący się głos. Nawet teraz, po tylu latach, nadal dźwięczały jej w uszach przeraźliwe piski Tangie. I cisza, jaka po nich nastawała.

- Wydał polecenie służbie, aby zamknięto mnie na klucz w pokoju. Musiałam tam przebywać do chwili, aż znalazł dla mnie szkołę przyklasztorną we Włoszech. Mieszkałam tam przez cały rok z wyjątkiem wakacji. Kiedy przyjeżdżałam do

domu, zamykał mnie w moim pokoju, nadal traktując jak małą dziewczynkę, chociaż byłam już o wiele starsza.

Irek próbował ją pocieszyć mocnym uściskiem dłoni, po czym zapytał:

- Wujek... odeszły?

- Tak. Miał siedemdziesiąt siedem lat, kiedy mnie wziął pod opiekę. Ja miałam cztery. Zmarł na atak serca, kiedy podlewał grządki piwem.

- Strata piwa!

- Zawsze tak robił. Usłyszał kiedyś w programie radiowym dla ogrodników nadawanym przez BBC, że piwo przyciąga ślimaki. Przypęłzały do podstawek pod kwiatki i tonęły - szczęśliwe.

- Nie słucham radia BBC.

Irek ścisnął palcami nos i powiedział:

- Zbyt dużo pogadanek o uprawianiu ogródka prowadzonych przez facetów o współzawodniczących ze sobą głosach.

Vora zachichotała. Trafił w sedno. Czy BBC - zarówno radio, jak i telewizja - wytrzyma konkurencję programów przystosowanych do zmieniających się czasów i nowej fali imigrantów o zupełnie innym tle kulturowym?

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosiła.

W czasie sesji poświęconych jego biografii przygotowywanej do umieszczenia w katalogu Irek nie odkrył niczego, z wyjątkiem najogólniejszych informacji. Twierdził, że jeżeli jest dobrze zorientowany, jego rodzice, dwóch braci i siostra żyją nadal i mieszkają w Kijowie.

- Wyrósł w mieszkaniu. Wielkość taka jak to - wskazał ręką na gabinet, w którym się znajdowali. - Jeden pokój do spania. Kuchnia ze stołem, ale nie wszyscy mogli jeść w tym samym czasie. Ojciec i synowie jedli. Matka i siostra na końcu. - Wzruszył ramionami. - Byliśmy bogaci. Mieli



maszynę, która prała w łazience. Wypuszczali wodę do wanny, wtedy my się kąpali. Matka szczęśliwa, zadowolona.

- W jaki sposób otrzymaliście pralkę?

- Mój ojciec w partii. Dobra praca.

- Miałeś od nich jakieś wiadomości po tym, jak wyjechałeś? - spytała. Głusność otworzyła wiele drzwi. Pierwszymi, szeroko otwartymi, wydostawały się nie cenzurowane już dłużej listy. Z pewnością rodzina Irka musiała pisać.

Popatrzył na szereg arystokratycznych przodków Archera.

- Pisał dużo razy. Bez odpowiedzi. - Ponownie zwrócił wzrok na Vorę, smutek wypełnił mu oczy. - Są źli. Nadal. Ja narobił dużo kłopotu. Milicja kazała ojcu, żeby mnie przekonał. Żebym się dobrze zachowywał. On starał się. Ja uciekł i skończył w więzieniu. Kiedy wyszedł, ojciec powiedział, nie wracaj do domu. Irek już nie jego syn.

Vora chciała wyciągnąć ku niemu ramiona, aby go przytulić. Lata ciągłych tortur w więzieniu nie bolały go tak bardzo, jak odrzucenie przez rodzinę. Przynajmniej w tym aspekcie potrafiła go zrozumieć. Wstrząsnęło ją uczucie nie zaznanej nigdy miłości i stabilności rodzinnej.

- Nie martw się. Wszystko teraz wspaniale. Podniósł się do wyjścia. Chciała coś powiedzieć, aby go zatrzymać, ale nie mogła niczego wymyślić, podążyła więc za nim schodami w dół. Poleciała Chiswickowi zadzwonić po taksówkę. Pojawiła się natychmiast, skuszona wizją niezłego zarobku od pasażera z Belgravii. Niech lepiej poczeka, aż usłyszy adres w Wapping. Mimo że nadbrzeże Tamizy było po restauracji, otaczających je dzielnic należało raczej unikać po zapadnięciu zmroku.

- Duszeńka - odezwał się Irek. - Ja smutny, że wujek Nigel dla ciebie niedobry.

Przylgnęła do jego ramienia. Jak to możliwe, żeby było mu jej żal? Jak to możliwe?

- Dobranoc, duszeńka - delikatnie dotknął ustami jej policzka.

Vora wróciła do opustoszałego domu i odszukała notatnik z adresami i telefonami. Odnalazłszy właściwy numer, zadzwoniła do Carletona Amestoya. Kiedy lokaj połączył ją z dawnym przyjacielem Archa, odezwała się:

- Carleton, mówi Vora Leighton.

Zapanowała znacząca cisza. Vora popatrzyła na zegarek firmy Piaget. Minęła północ. Dobre wychowanie nie pozwalało na dzwonienie do kogoś o tej porze, chyba że w nagłych wypadkach.

- Tak? - odezwał się Carleton z niepokojem w głosie.

- Zastanawiam się - powiedziała, wiedząc, że Carleton sprowadzał kiedyś przez długie lata sobole z Rosji - czy wiesz, co oznacza duszeńka.

- Co?

- Duszeńka ... duszeńka. Co to znaczy?

- Trudno to przetłumaczyć jednoznacznie. Rosyjski pod niektórymi względami jest podobny do francuskiego. Każde słowo ma nieskończenie wiele odcieni. Jak wiesz, angielski jest bardzo nieprecyzyjny.

- Podaj mi najbardziej zbliżony odpowiednik.

- Oznacza to: kochanie.

- Czy na pewno nie chcesz deseru?

- Zjadłam całą porcję bażanta. Nie mam już na nic innego miejsca - odrzekła Lauren, uśmiechając się przez stół do Granta Frasera.

Nostalgiczny nastrój panujący w tej najstarszej londyńskiej restauracji spowodował, że zapomniała na chwilę o swojej talii. Przezorny Grant Fraser wiedział, że Lauren niezwykle spodoba się pomysł zjedzenia kolacji w Rules,

gdzie jadały takie osobistości jak H.G. Wells, Thackeray, Galsworthy i wielu innych. Ściany obwieszane były tysiącem karykatur i prastarych programów z Queen's Theatre. Nastrój romansu Edwarda VII i Lillie Langtry udzielił się Lauren. Mogła ich prawie dostrzec, wpatrując się w ich ulubiony stolik przy zasłoniętym koronkowymi firankami oknie. Zakazana miłość. Złamane serce Lillie.

Zakazana. Zuchwały uśmiech Ryana Westcotta pojawił się przed jej oczami. Sposób, w jaki się na niego rzuciła, świadczył o tym, że nie była w stanie kontrolować swoich rozregulowanych hormonów. Jej szczęście wyparowało. Będzie wściekły widząc, że mu się postawiła. A czegoż on oczekiwał? Nie odwoływała spotkań na czyjeś żądanie.

- Lauren - Grant położył dłoń na jej dłoni, przerywając zabawę łyżeczką. - Mam coś dla ciebie.

Wręczył jej maleńkie pudełeczko z brunatnoczerwonego aksamitu, tak małe, że mogło zawierać jedynie jedną sztukę biżuterii. Z pytającym wyrazem niebieskich oczu otworzyła je powoli. W pudełeczku z inicjałami HW - Harry Winston - wytłoczonymi złotymi literami na wewnętrznej stronie wieczka, widniał dziewięciokaratowy diament, tak doskonały, iż odbijał bladoniebieskie światło.

- Chciałbym, żebyś została moją żoną.

Kiedyś wydawało się jej, że chce wyjść za Granta. Teraz nie była już pewna, co może przynieść jej szczęście.

- Wiem, że powinienem był cię o to poprosić dawno temu, lecz... cóż... nie byłem pewien, czy chcę się wiązać...

- Małżeństwo to poświęcenie się dwojga ludzi, którzy się kochają. - Zatrzasnęła wieczko, zakrywając lodowaty klejnot.

- Żadna z osób nie powinna czuć się związana.

- Wiem o tym... teraz. - Wziął ją ponownie za rękę, łagodnie ściskając. - Chcę spędzić resztę życia z tobą. Kocham cię.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie powiedział, kiedy się spotykali przez cały rok?

- Wkrótce po Bożym Narodzeniu zapadłem na poważną chorobę wieńcową. Trzykrotnie usuwano mi zatory. Leżąc na szpitalnym łóżku, rozmyślałem o swoim życiu. Jesteś uczuciowa, kochająca - nic lepszego w życiu nigdy mnie nie spotkało. Wtedy o tym nie wiedziałem. Teraz cię potrzebuję.

A co ze mną? Czego ja potrzebuję? Grant jej potrzebował; nie kochał jej. W każdym razie nie tak, jak by ona tego chciała. Miała już za sobą dziesięć lat opieki nad starzejącym się mężczyzną. Nie oponowała, ponieważ potrzebowała Ozziego tak samo jak on jej. Był wcieleniem jej ojca, człowiekiem dającym poczucie bezpieczeństwa. Człowiekiem, który pomógł jej pozbyć się przerażających wspomnień z przeszłości. Lecz teraz jej życie wyglądało inaczej. Pragnęła mężczyzny, na którym mogłaby się oprzeć, gdyby zaszła potrzeba.

Oddała Grantowi aksamitne pudełeczko.

- Bardzo cię lubię, ale cię nie kocham. Nie mogę wyjść za ciebie.

Szczyście zgasło na jego twarzy.

- Jest ktoś inny, czyż nie tak? Ten Westcott? Zawahała się, zastanawiając, skąd Grantowi przyszło to do głowy. On i Ryan zdążyli zaledwie wymienić słowa powitania, kiedy przedstawiła ich sobie w galerii tego popołudnia.

- Nie jestem w nim zakochana - powiedziała zgodnie z prawdą. Raczej pożądam go - pomyślała, przypominając sobie gorącą odpowiedź na jego pocałunki. - Staram się teraz uporządkować swoje sprawy. Muszę się skoncentrować na sprawach Ravissanta, a nie na życiu osobistym.

- Obiecuj mi, że się nad tym zastanowisz. - Grant schował pudełko do kieszeni. - Nie przyjmuję odmowy. Będę tu

pracował. Spotykajmy się tak często, jak to tylko możliwe. Założę się, że dawny ogień jeszcze się tli.

W drodze do domu Lauren starała się nie dawać Grantowi nadziei. Potrzebowała całkowicie odizolować się od mężczyzn do chwili, aż jej życie obierze zdecydowany kierunek. Gdy przeprowadzi się do Santa Fe, wtedy będzie odpowiedni czas, aby rozważyć trwały związek. Kiedy znaleźli się na wprost ambasady amerykańskiej, Lauren wydało się, że zauważyła należącego do Ryana astona - martina. Czyżby jeszcze na nią czekał? Nie obawiała się go jednak. Z pewnością będzie się wściekał jak prawdziwy macho, ponieważ miała czelność mu się postawić.

- Dobranoc - Lauren zwróciła się do Granta, kiedy ten odprowadził ją do drzwi windy na parterze.

- Żadnego drinka na pożegnanie?

Jego uwodzicielski uśmiech świadczył o tym, że oczekuje o wiele więcej niż kieliszka Le Paradis czy koniaku Ludwik XIII.

- Kiedy indziej, czuję się zmęczona. Dziękuję za uroczy wieczór.

Weszła do windy zamykając za sobą staromodne zakratowane drzwi.

- Zadzwoń do ciebie jutro - zawołał za nią Grant.

Wyszędłszy z windy na właściwym piętrze, zatrzymała się na chwilę, aby popatrzeć na zegarek. Północ. Czy Ryan czekał przez cały ten czas? Potrząsnęła portierem Jeevesem, zsuniętym na krawędź znajdującego się przy windzie krzesła i wydającym z siebie chrapnięcia tak głośne, jak syrena na statku. Budził się tylko na herbatę, przed południem i po południu.

- Jak długo Ryan Westcott tu czeka?

- Kto? - staruszek popatrzył na nią zaspanymi niebieskimi oczami.

- Mniejsza o to.

Ten człowiek do niczego się nie nadaje. Podeszła do drzwi i otworzyła je z ostrzegającym trzaskiem. Jedyne delikatne światło w foyer zapalone było nad lustrem w stylu Jerzego III. Salon i gabinet tonęły w ciemności. Najwidoczniej była w błędzie. To nie był aston - martin. Powiesiwszy w szafie u wejścia futro z soboli, przeszła długim nie oświetlonym korytarzem do sypialni. Tabatha nie zaświeciła lampki nocnej, tak jak jej przykazała. Przeszła pośpiesznie po pluszowym dywanie i włączyła światło. Rozpięła kaszmirową sukienkę i przeszła do garderoby. Zrzuciwszy z nóg buty na wysokim obcasie, wysunęła się z sukienki i rzuciła ją do kosza z ubraniami przeznaczonymi do pralni.

Miała właśnie zdejmować halkę, kiedy coś w ciemnej łazience przylegającej do garderoby zwróciło jej uwagę. Będąc pewna, że wyobraźnia płata jej figle, przycisnęła włącznik w łazience. Na wąskiej kanapie, z opróżnionym do połowy kieliszkiem w ręce, leżał Ryan Westcott.

- Chyba nie zamierzasz teraz przerwać, no nie? Zdejmij wszystko.

- Co ty tu robisz?

- Oglądam strip-tease, popijając gin - wskazał ręką na wypełniony lodem bidet, w którym chłodziła się butelka Boodles.

Pochwyciła aksamitny szlafrok wiszący zawsze po wewnętrznej stronie drzwi.

- Wyjdź... natychmiast!

Opróżnił kieliszek jednym haustem i uśmiechnął się, po czym zwinął na kształt poduszki szal z gronostajów i podłożył sobie pod stopy.

Lauren rozważała możliwość zawiadomienia policji, lecz zastanowiwszy się powtórnie doszła do wniosku, że przy

całym jej szczęściu cały ten incydent mógłby wylądować w kolumnie Nigela Dempstera. Albo Rossa Bensona.

- Po co tu przyszedłeś? - zapytała najspokojniej jak tylko umiała.

- Twoja speluna jest tak wypełniona tym wpieprzającym francuskim gównem, iż pomyślałem, że wrócę i poczekam tu, gdzie to gówno ma swoje miejsce.

Nie miała pojęcia, jak zareagować na takie ordynarne stwierdzenie.

Ryan skoczył na równe nogi i zatrzasnął drzwi od łazienki. Odskoczyła na bok patrząc, jak odkręca kurek prysznic na pełny regulator. Zbyt zaskoczona, aby go powstrzymać, obserwowała, jak odkręca kurki od wanny i obu umywalek, a następnie spuszcza wodę w sedesie.

- Co ty wyprawiasz? - wykrzyknęła, kiedy gorąca chmura pary zaczęła wypełniać pomieszczenie.

Ryan zbliżył się do niej i pochwycił ją za ramiona. Wyszeptał do jej ucha tak cicho, że z trudnością zrozumiała znaczenie jego słów zagłuszanych przez spływającą strumieniami wodę:

- Griffith ma twój obraz. Chce się z tobą zobaczyć.

- Naprawdę? - zapytała, nie będąc w stanie ukryć podniecenia zmieszanego ze zdziwieniem, że T.J. Griffith, ten sławny kolekcjoner, jest w posiadaniu jej obrazu. - Ale jak...

- Nie mów nic więcej; po prostu załóż coś na siebie i chodź ze mną.

Przy towarzyszącym wyciu wiatru aston - martin popędził w górę Kensington Road, po czym skręcił w prawo. Ryan zwolnił nieznacznie wjeżdżając na Palace Green i pomachał ręką w kierunku strażnika w budce.

Znana od dawna jako „Zaułek Milionerów”, prywatna, wysadzana po obu stronach drzewami ulica z rezydencjami, z których wiele zamieniono na ambasady lub rezydencje ambasadorów, była majątkiem należącym do Korony. Oddana w dzierżawę niewielka enklawa cieszyła się bliskością Kensington Gardens i Holland Park. Śmietanka dzielnicy imponujących rezydencji mieściła się w pobliskim Kensington Palace, w którym zamieszkiwali książę i księżna Walii, księżniczka Małgorzata, książę Kentu, Michael z małżonką, każde z nich zajmujące osobną część posiadłości.

Obok prestiżowego sąsiedztwa posiadłości królewskiej, ulica szczyciła się także tym, że zlokalizowano przy niej ambasady dwóch najbardziej potężnych - i najbardziej strzeżonych - nacji. Na dwóch przeciwległych końcach Palace Green znajdowały się ambasady: radziecka i izraelska. Cały teren korzystał z dodatkowego przywileju patroli Policji Dyplomatycznej, które z przyzwyczajenia traktowano jako niezbywalne prawo. Ponadto liczne prywatne oddziały służb zajmujących się sprawami bezpieczeństwa wspierały wysiłki policjantów. O tej późnej godzinie okna posiadłości były ciemne, jednakże niezwykle jasne reflektory oświetlały, a obiektywy kamer niestrudzenie nadzorowały ich otoczenie.

Wiatr smagał stykające się nad ulicą konary drzew, usiłując je połamać i powalić na ziemię. Jesienny księżyc w pełni, jeszcze niedawno jasno świecący, schował się teraz za niesionymi silnym wiatrem gęstymi deszczowymi chmurami, zwiastunami zbliżającej się burzy znad Morza Północnego.



Lauren otuliła się szczerzej sobolami, rozważając w myśli wyjaśnienia Ryana o tym, w jaki sposób dowiedział się, że namalowała „Północ w Marrakeszu”. Utrzymał, że zobaczył obraz, kiedy szukał w pracowni marynarki dla Vory. Kiedy ujrzał go ponownie na targu, zapłacił jakiemuś nastolatkowi, aby go dla niego kupił. W ten sposób nikt nie podejrzewał, że T.J. Griffith interesuje się artystą.

Proszę, spraw, żeby spodobał się Griffithowi i żeby zatrzymał go w swojej kolekcji. W ciągu kilku ostatnich tygodni wykonała kilka szkiców. Od czasu przyjazdu do Londynu coś odblokowało się w jej umyśle. Tworzyła bez wysiłku, bez tortury i mozołu, które towarzyszyły powstawaniu jej wcześniejszych prac. W wyniku tego powstało kilka portretów naszkicowanych węglem. Gdyby Griffithowi wydało się, że jest obiecująca, porzuciłaby zamiar otwarcia galerii w Santa Fe. Zamiast tego zajęłaby się na serio karierą artystyczną.

Samochód zatrzymał się przed wysoką żelazną bramą, stanowiącą jedyną przerwę w wysokim na dziesięć stóp murze przypominającym średniowieczne wały obronne we wszystkim z wyjątkiem drutów kolczastych pod napięciem. Kamery ustawione na zakończonych groteskowymi twarzami, wypluwającymi wodę kolumnach otaczających bramę wejściową dokonywały dokładnej lustracji pasażerów samochodu.

- Spójrz prosto do kamery - rozkazał Ryan. Odwróciła głowę w żądanym kierunku i spojrzała na migocące czerwone światelko. Obiektów kamery skierowany był na jej twarz przez pełną minutę, po czym przesunął się nieco w bok, aby zbadać wnętrze samochodu. Brama rozsunęła się powoli i sfera rottweilerów w obrożach z nastroszonymi kolcami ze stali wprowadziła samochód na dziedziniec.

- Niezbyt przyjazne, nieprawdaż?

- Cała trzynastka jest tak tresowana, aby najpierw uśmiercić ofiarę, a czekać dopiero później.

Bez ostrzeżenia, błyskawica zalała dziedziniec jasnofioletową poświatą, podświetlając pozbawione liści drzewa stojące obok Greyburne Manor - spowitej bluszczem trzypiętrowej fortecy - w pozie przypominającej straż nad umarłym. Po chwili potężny grzmot wstrząsnął samochodem. Lauren chwyciła Ryana za ramię ubraną w rękawiczkę dłonią, obserwując psy, które szalały jakby wychłostane przejawem niezwykłego gniewu natury. Z obnażonymi kłami, warcząc złowrogo, otoczyły astone - martina. Widać było ich napięte muskularne ciała pod połyskującą czarną sierścią. W oczach pojawiły się ognie nienawiści.

Cał za całem samochód posuwał się do przodu i zatrzymał się dopiero przed szerokimi podwójnymi drzwiami garażu, częściowo zasłoniętymi przez łuk utworzony z przyciętych gałęzi drzewa cisowego. Przywitała ich kamera przymocowana do ruchomego ramienia badającego zewnętrzną część samochodu i jego podwozie.

Drzwi garażu otworzyły się i oczom ich ukazało się pomieszczenie oświetlone tak jasno jak dzień w środku lata. Na jego końcu stał ciemnoskóry mężczyzna w białym turbanie i zwiewnej białej szacie falującej u stóp jego długich nóg. Szeroka szkarłatna szarfa podtrzymywała nabitą złotymi główkami gwoździ pochwę skrywającą śmiertelny sztylet. W ramionach trzymał energicznie przebierającą w powietrzu przednimi kończynami Iggy.

- Kto to?

- Ochrona T.J. - Ryan pomachał w kierunku Iggy. - Adi jest sikhiem; najlepszy w swoim fachu, szkolony od małego do walki. Lojalny.

- Powiedz to Indirze Gandhi - powiedziała Lauren, mając w pamięci fakt, kiedy stuprocentowo pewna obstawa sikhijska zwróciła się przeciw niej.

- To był szczególny przypadek. Są najbardziej pożądanymi goryłami. Spytaj każdego, kogo życie jest w niebezpieczeństwie.

Ryan wysiadłszy skinął głową w kierunku sikha.

Strażnik postawił Iggy na ziemi i otworzył drzwi od strony Lauren. Wyszła z samochodu, patrząc z uśmiechem w najbardziej bezlitosne oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

Ogarnął ją lekki strach; spojrzała w bok. Iggy pochrząkiwała, obwąchując jej sobole, jakby to był jakiś dawno zapomniany krewny. Lauren pochyliła się, aby ją podnieść.

- Nie dotykać! - głos sikha odbił się od ściany. Lauren wykonała nagły ruch do tyłu, szukając wzrokiem

Ryana. Musiał wejść do środka - nigdzie nie było go widać. Drzwi garażu zamknęły się za jej plecami z głośnym hukiem, odgradzając ich od ziejących nienawiścią, atakujących psów. A także od świata zewnętrznego.

Iggy wydała z siebie trzy długie, chwytające za serce piski. Stanąwszy na tylnych kończynach, przednimi drapała powietrze, błagając Lauren, aby ją podnieść.

- Ona przyzwyczała się do tego, że ją noszę.

Sikh skinął krótko głową i Lauren wzięła Iggy na rękę. Świnka przystawiła ryjek do ucha Lauren, wachając jej perfumy.

- Stań tam! - rozkazał sikh.

- Jeszcze jedna kamera?

To już naprawdę zbyt wiele. Podeszła jednak do wskazanego przez niego miejsca.

- Nie ruszać się.

Lauren czekała posłusznie, podczas gdy obiektyw kamery zbliżył się do jej oczu. Jakim człowiekiem musi być T.J. Griffith, skoro utrzymuje takie środki bezpieczeństwa? Czy naprawdę sądzi, że IRA znowu spróbuje pozbawić go życia? Przede wszystkim, po co zrobili to po raz pierwszy? Nie mścili się przecież na osobach prywatnych, z wyjątkiem takich jak Mountbatten czy Ian Gow, ludzi ściśle współpracujących z rządem. Cała ta sprawa nie miała żadnego sensu.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie i Lauren postąpiła kilka kroków do przodu. Zorientowała się, że jest sama, z Iggy na rękę, w ciemnej sali oświetlonej jedynie przez kinkiet rzucający światło na sufit, podczas gdy reszta pomieszczenia tonęła w głębokiej ciemności. Trzymając mocno Iggy, Lauren stopniowo przyzwyczajała wzrok do ciemności.

Ogarnął ją narastający niepokój. Gdzie jest Ryan? Przechodząc pod niezwykle łukiem wejściowym, a następnie idąc opustoszałym korytarzem, mocniej objęła Iggy. Jej szpilki stuknęły przeraźliwie na marmurowej posadzce, niosąc dźwięk aż po sklepienie sufitu. Doszła do przedsionka, który musiał stanowić wejście. Kolejny dziwaczny łuk obramowywał drzwi wejściowe. Pokój był pusty, nie licząc ścian upstrzonych bezcennymi malowidłami, zwisającymi bez jakiegokolwiek porządku od sufitu aż do dolnej listwy.

- Ryan? - Imię odbiło się echem nienaturalnie potęgowanym przez wypełniającą salę pustkę, kamienne ściany i marmurową posadzkę. Można by tu krzyczeć bez końca, a i tak żaden dźwięk nie wydostałby się poza te ściany.

Upiorne światło błyskawicy przeszło salę; grube mury przytłumiły grzmot szalejącej tuż nad głowami burzy. Iggy zakwiczała przeraźliwie i zasyłała się pod rozpiętym futrem Lauren, szukając schronienia na jej piersi.

- Ryan! - krzyknęła przeraźliwie.

Z oczami utkwionymi w drzwiach tłumiła w sobie chęć ucieczki - w obawie przed psami.

Jakby z podziemi wyrósł przed nią sikh.

- Pan Griffith oczekuje pani.

Podążyła za nim w dół długiego, obwieszzonego obrazami korytarza, aż stanęli naprzeciw potężnych jak forteca drzwi. Sikh odebrał od niej Iggy, a następnie pomógł jej zdjąć futro. Bez słowa otworzył drzwi i skierował ją do środka.

Wewnątrz czarnego jak noc pomieszczenia jaśniało pojedyncze światło, oślepiające jak słońce na Saharze. Skupiało się na przenośnym stole, o który oparta była sztaluga z ustawioną na niej „Północą w Marrakeszu”. Było tak intensywne, że nie mogła patrzeć. Osłaniając oczy dłonią, oparta o drzwi czekała, aż przyzwyczai się do silnego blasku.

W końcu Lauren dostrzegła kontury siedzącego w fotelu mężczyzny. Umiejscowionego za oślepiającym ją światłem, okrytego płaszczem cieni, nie sposób go było w dokładny sposób określić poza stwierdzeniem, że był to człowiek o wyjątkowo potężnej sylwetce.

- Siadaj. - Głos jego był zniekształcony, jakby w wyniku zastosowania mechanicznego urządzenia, używanego niekiedy przez osoby dotknięte rakiem krtani.

Mrużąc oczy, Lauren podeszła do pustego krzesła przy stole i usiadła naprzeciw mężczyzny, tuż obok obrazu. Przypomniała sobie, że T.J. Griffith został okaleczony w wyniku wybuchu bomby. Nie chciał, żeby ktokolwiek go widział, stąd zapewne to maskujące go światło, skierowane w przeciwną od niego stronę. Mimo to nie potrafiła wyzbyć się lęku. Całe to spotkanie było po prostu zbyt dziwaczne.

- Opowiedz mi o swoim obrazie - odezwał się chrapliwy głos. - Dlaczego nazwałaś go „Północ w Marrakeszu”?

- Mieszkałam tam.

- To nie dlatego. Wyjaw prawdziwy powód.

Nie był to prawdziwy powód, lecz Griffith nie mógł o tym wiedzieć. Szarpana lękiem, przekreśliła srebrną bransoletkę, modląc się w duchu, aby spodobała się mu jej praca.

- Zadałem ci pytanie.

- Odpowiedziałam już.

Sama nie mogła znieść niezdecydowanego tonu w swoim głosie. Zdenerwowanie jej jeszcze się wzmogło, kiedy popatrzyła na zamgloną poświatę rzucaną przez lampę. Griffith miał na sobie panterkę w kolorze khaki i kaptur na głowie, a może maskę, jakiej używają narciarze. Albo terroryści.

- To dziecko na płótnie, czy to ty?

- Nie - skłamała. - To nikt określony. Jest wytworem mojej wyobraźni, to wszystko.

Griffith poruszył się w fotelu. Nie wierzyła, że zdołała go oszukać. Nigdy nie umiała skutecznie kłamać.

- A ręce - zniekształcony głos domagał się odpowiedzi - dlaczego sięgają po dziewczynkę? Co to ma oznaczać?

Lauren przywołała na twarz uśmiech pani domu; rozpaczliwie potrzebowała przychylniej oceny swojej pracy. Jeżeli mu się spodoba, będzie to oznaczać, że jest utalentowana, a nie tylko ambitna.

- Ręce symbolizują siły panującego w świecie zła. Wyciągają się ku niej, aby ją skusić.

Jego cień poruszył się; przekrzywił głowę na jedną stronę. Nie mogła stwierdzić, czy wpatruje się w nią, czy w coś na swoich kolanach.

- Dlaczego opuściłaś Marrakesz... i matkę?

Najmniejsze włókienko naprężyło się w jej ciele. Matka.

Skąd w ogóle Griffithowi przyszło do głowy, aby wspomnieć o jej matce?

- Aby studiować na Sorbonie.

Była to tylko jedna z przyczyn, lecz wystarczająco wiarygodna, aby głos Lauren nie brzmiał już fałszywie.

- Dlaczego jesteś w Londynie?

- Aby przywrócić Ravissanta do dawnej świetności. Jestem pewna, że Ryan wspominał już o tym, iż znaleźliśmy wyjątkowo utalentowanego artystę.

Nienaturalna cisza wypełniła pomieszczenie, jak zwodniczy spokój po uderzeniu gromu. Czekał na reakcję Griffitha, Lauren popatrzyła w przestrzeń poza nim, gdzie dostrzegła wysokie na całą ścianę okno, w którym powiewały ciężkie zasłony, najprawdopodobniej z aksamitu, lecz - ze światłem skierowanym prosto w jej oczy - nie potrafiła określić ani rodzaju tkaniny, ani jej koloru. Stół, na którym oparła zaciśnięte dłonie, drżał od kolejnego grzmotu wstrząsającego kamiennymi murami.

- Dlaczego kłamiesz? - głos zabrzmiał prawie normalnie.

Poczuła, jak włosy stają jej dęba. Dopędził ją jej najgroźniejszy wróg. Przeszłość.

- Sądzisz, że możesz bezkarnie kłamać, dlatego że jesteś piękna, czyż nie tak?

- Nie...

- Mam przy sobie modulator głosu, który śledzi twoje odpowiedzi. Można na nim polegać bardziej niż na wykrywaczu kłamstw.

Serce Lauren biło jak opętane nierównym rytmem. Oblał ją pot od emitowanego przez gorącą lampę światła. Nie znośiła kłamać. Równocześnie nie zamierzała wyjawiać prawdy nikomu - z pewnością nie obcej jej osobie.

- Dlaczego kłamiesz? - nalegał diabolicznym głosem. Miał czelność poprzez zadawanie takich pytań odgrzebywać przeszłość. To nie jego sprawa.

- Nie chcę dyskutować na temat treści mojego obrazu - odrzekła tak uprzejmie, jak tylko potrafiła. Aprobata ze strony

Griffitha miała dla niej większe znaczenie, niż gotowa była przyznać przed tym spotkaniem. - Interpretacja prac artysty zależy od odbiorcy. Każdą z nich powinno się oceniać indywidualnie. Powinna wywołać u odbiorcy przeżycie estetyczne.

- Bzdura! Kłamiesz! Chcę wiedzieć dlaczego.

Tłący się w niej gniew zapalił się nagle pełnym płomieniem.

- To, co przedstawia mój obraz, jest sprawą osobistą. I to nie pański interes. Albo się panu podoba, albo nie. Jeżeli nie życzy pan sobie go zatrzymać - podniosła się z krzesła - jestem gotowa zwrócić panu pieniądze. Żegnam pana.

Odpowiedział jej przerywanym rechotem, co przyjęła za śmiech. Była zbyt wzburzona, aby cokolwiek powiedzieć. Całe to spotkanie było dla niego zabawą. A Ryan Westcott był najprawdopodobniej w nią wciągnięty. Bawili się jej kosztem. Nikt nigdy nie dostrzegł żadnej artystycznej wartości w „Północy w Marrakeszu”. I nikt nigdy nie dostrzeże.

Wyciągnęła rękę po obraz, kiedy grom uderzył w budynek, wstrząsając nim jak fala po trzęsieniu ziemi. Światło zamigotało, pociemniało i przybrało barwę bursztynu. Patrząc w okno, Lauren zdała sobie sprawę, że powinna najpierw zobaczyć błyskawicę, a dopiero później usłyszeć huk. Albo okno było tylko atrapą, albo uszczelniono je jak w więziennej celi. Cienka warstwa potu na jej skórze zamieniła się w lodowatą powłokę.

W pokoju zapadły całkowite ciemności. Dygocząc ze strachu, Lauren powtarzała w myśli słowa otuchy. To tylko przerwa w dopływie energii elektrycznej. Poczwała nagle, że Griffith znajduje się tuż przy niej; jego ciało emitowało ciepło. Ubrana w cienkie rękawiczki chirurgiczne ręka dotknęła jej policzka. Przeszłość i terażniejszość zlały się w jedną całość. Tłumiąc w sobie krzyk, Lauren odsunęła się od jego dłoni.



- Mamy zapasowy generator - powiedział dziwnie łagodnym głosem, przysuwając się do niej. - Zaraz zacznie działać.

Opanowało ją obłąkańcze przekonanie, że Griffith zaraz pochwyci ją w ramiona i zacznie całować. Odwróciła się i ruszyła biegiem ku drzwiom. Wpadłszy na nie, spróbowała odnaleźć klamkę, po czym pociągnęła za nią, starając się nie wpaść w panikę. Zamknięte na klucz.

- Można je otworzyć jedynie z zewnątrz.

- Proszę mnie natychmiast wypuścić. Chcę iść do domu. Nie ma pan prawa przetrzymywać mnie tutaj.

- Wyjdiesz... kiedy ja zadecyduję.

Uderzała pięściami o drzwi, starając się przywołać Ryana - przecież nie zostawiłby jej samej - kiedy nagle dotknęła dłonią ściany. Wyścielana. Znalazła się w dźwiękoszczelnej pułapce bez okna. Griffith był obłąkany; była o tym przekonana. Kopiąc w drzwi tak mocno, jak tylko potrafiła, i wołając Ryana, aby ją wypuścił, zdała sobie sprawę, że nikt nie wie, gdzie się w tej chwili znajduje. Ryan w tajemnicy wyprowadził ją z mieszkania. Nie zdążyła nawet zostawić wiadomości dla Tabathy.

Światła znów się zapaliły. Lauren odwróciła się, aby stawić Griffithowi czoło, ale gdzieś zniknął, a z nim jej obraz. Oparta plecami o drzwi, ciężko dysząca, czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Nagle drzwi otworzyły się i Lauren omal nie przewróciła się do tyłu.

- W porządku? - Ryan pochwycił ją i odwrócił do siebie.

Nadal ciężko oddychając, przytuliła się do niego na dłuższą chwilę. Po pewnym czasie gniew jej powrócił z pełną siłą.

- Gdzie jest Griffith? On ma mój obraz. Chcę go mieć z powrotem. Żądam, żebyś mnie zawiózł do domu. Natychmiast.

- Spokojnie, spokojnie. - Trzymał ją nadal w silnych ramionach, uspokajająco przesuwając dłonią po jej plecach. - Przestraszył cię, współniku?

- Nie... trochę. Wydostań mnie z tego grobowca. - Okręciwszy się na pięcie, wyrwała mu się z ramion. - Co to za pomieszczenie? Sala tortur?

Ryan zdusił w sobie cyniczny śmiech.

- Co za wyobraźnia.

Kiedy zabłyśły górne światła, oczom Lauren ukazał się prawie pusty pokój. Stały w nim jedynie: stół z dwoma krzesłami oraz niewielkie posłanie z boku. To, co miało być oknem, okazało się wysoką na całą ścianę awangardową płaskorzeźbą.

- Dlaczego ściany są obite? - spytała czując, że zrobiła z siebie idiotkę.

- T.J. czasami nie może spać. Przychodzi więc tutaj. Powiesił ten kicz w jedynym oknie, aby być w całkowitej ciemności, kiedy tego potrzebuje. Wykładzina tłumi hałas. - Wskazał na orzechową ścianę. - Tam są ukryte drzwi.

Poczuła wstyd, lecz postanowiła tego nie okazywać.

- Chcę z powrotem swój obraz... potem zawieź mnie do domu.

- Nie ma rady. T.J. chce go zatrzymać.

- Doprawdy? - nie chciała w to uwierzyć. - Ma dziwny sposób okazywania swoich upodobań.

- Czy był dla ciebie trochę niedelikatny? Kiedy skinęła głową, ciągnął:

- Wcale nie zamierzał. Po prostu przypominasz mi Caroline Armstrong.

- On znał moją matkę? Jak to się stało?

- Poznał ją w Marrakeszu kilka lat po twoim wyjeździe. To długa historia. Chodź do mnie na górę, to ci o tym opowiem. Poza tym, mam tam coś dla ciebie.

Niechętnie pozwoliła mu poprowadzić się na górę po schodach.

- Griffith kupił mój obraz nie z powodu mojej matki, nieprawdaż?

Ryan pokręcił przecząco głową, ale nie była pewna, czy powinna mu wierzyć. Wokół jej matki zawsze gromadzili się podbici przez nią mężczyźni, gotowi do nadskakiwania jej z każdej strony. Zdołała nawet wyjść za Ruperta Armstronga, którego szlacheckie pochodzenie powinno wynieść go ponad związek ze zubożałą wdową, w dodatku bez jakichkolwiek powiązań towarzyskich.

- Sądziłam, że zamierzasz coś wyjaśnić - odezwała się, kiedy wchodzili po ostatnich stopniach prowadzących na trzecie piętro.

- Kiedy już będziemy u mnie w pokoju - powiedział cicho Ryan oglądając się za siebie.

Na samym dole, przed wejściem na schody, stał sikh z mocno ściągniętymi w wyrazie zdumienia brwiami.

Na trzecim piętrze znajdowało się wiele podwójnych drzwi. Ryan stanął dokładnie naprzeciw otworu w kształcie rybiego oka, takiego samego jak na dole.

- Co to? - zażądała odpowiedzi.

- To skaner optyczny. Dokonuje komputerowego badania tęczówki i zapisuje to w pamięci. Adi zbadał twoją tęczówkę, kiedy tu weszłaś. Teraz nikt już nie może podszyć się pod ciebie i wejść do Greyburne Manor.

Słyszała już o skanerach biometrycznych, w których należy umieścić palec lub dłoń na specjalnym receptorze, aby zostać wpuszczonym na ściśle strzeżony teren, lecz to przechodziło jej najśmielsze wyobrażenia. Czy Griffith jest naprawdę w takim zagrożeniu, żeby aż tak się zabezpieczać?

Wewnątrz pokoju o wyłożonych drewnem orzechowym ścianach, wypełnionego od góry do dołu półkami pełnymi

książek, znajdowała się kanapa z tapicerką w kolorach brunatnej czerwieni i brytyjskiej zieleni wyścigów konnych. W znajdującym się naprzeciw kominku tliła się niskim płomieniem kłoda drewna dębowego, rzucając na podłogę smugi światła i cienia. Z drugiej strony stało krzesło obite ciemnoczerwonym pluszem, na którym leżały ułożone w stos dziesiątki egzemplarzy „Scientific American”. Na oparciu wisiała kurtka lotnicza pilota myśliwców, którą Ryan miał na sobie tego wieczoru, kiedy poszli z Irkiem na pizzę.

Ryan zagwizdał i z przyległego pokoju przybiegła powłócząc nogami Iggy. Przebiegając przez ułożony na drewnianej podłodze perski dywan, potknęła się i niezdarnie klapnęła lądując na zadzie tuż przed Lauren. Lauren wzięła świnkę na ręce. Iggy głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Podobają się jej moje perfumy. Bluebells firmy Penhaligon. Następnym razem przyniosę dla niej buteleczkę.

- T.J. zaprosił cię ponownie? - Promyk zdziwienia zamigotał w oczach Ryana.

- Nie. Mam na myśli, kiedy następnym razem zobaczę się z tobą, podaruję jej opakowanie Bluebells. Nie ściągniesz mnie już tutaj za żadną cenę.

Usiadła na kanapie i położyła Iggy obok siebie.

- Nie oceniaj T.J. zbyt surowo. Ostatnie lata nie były łatwe.

- Wiem, ale zachowuje się dziwnie i ubiera...

- Nic nie zostało z T.J. Utracił większą część twarzy i szyi. Na szczęście nadal widzi na jedno oko. Obie ręce są sztuczne.

Słyszając to, Lauren natychmiast pożałowała, że dała ponieść się nerwom i okazała Griffithowi nieczułość. Przełknęła ślinę. Griffith przeszedł przez piekło tortur, a ona pozwoliła, aby ciemna otchłań przeszłości opanowała ją całkowicie i spowodowała przesadną reakcję.

- Czy Griffith używa wykrywacza kłamstw czy czegoś w tym rodzaju odnotowującego zmiany w głosie?

- Tak. T.J. dysponuje wszystkimi dostępnymi środkami bezpieczeństwa. Uważa, że ktoś czyha na jego życie.

- Ale kto? IRA? Dlaczego?

Jej myśli nadal krążyły wokół Griffitha. Nie powiedziała mu prawdy, a on o tym wiedział. Mimo to nadal chciał zatrzymać jej obraz. Uważał, że ma talent?

- Nie IRA, mimo że gazety właśnie ją obciążły odpowiedzialnością za wybuch bombowy, który nieomal kosztował T.J. życie. Najprawdopodobniej zaszła tu prasowa pomyłka. Od tego czasu żyjemy w ciągłej gotowości. T.J. nie chce przyjąć prawdy - jest już martwy.

- Co masz na myśli? - wyszeptała poruszona.

- Całe swoje życie był hazardzistą. - Ryan wziął z krzesła znoszoną kurtkę lotniczą i rzucił nią w kierunku Lauren. - Należała do T.J. Sześćdziesiąt siedem lotów bojowych w RAF - ie. Trzy razy zestrzelony. Popatrz na podszewkę.

Lauren rozłożyła kurtkę. Poczowała dolatujący ze skórzanego kołnierza lekki zapach używanej przez Ryana wody kolońskiej. Wewnątrz wyrysowana była prowizoryczna mapa Francji i kanału La Manche.

- Nigdy nie oczekiwał, że ktoś przyjdzie mu z pomocą. Liczył tylko na siebie, na to, że przeżyje, jeżeli sam potrafi odnaleźć drogę do domu. Podobnie było, kiedy tłukliśmy się po Afryce w poszukiwaniu diamentów. T.J. żył pełnią życia, porywając się na przedsięwzięcia o niewielkich szansach powodzenia. Teraz nie wychodzi już nawet na dziedziniec. Równie dobrze mógłby być martwy.

- Ro... zumiem - głos jej się załamał, kiedy zdała sobie sprawę, jak żalosne stało się życie Griffitha. Położyła kurtkę obok drzemiącej Iggy, która wyciągnąwszy się jak długa, zajęła pół kanapy.

- Nie wspominaj nikomu o tym, że widziałaś się dziś z T.J. On nie chce, aby świat dowiedział się, jak jest z nim źle. Oprócz Adiego i mnie jesteś jedyną osobą, która go widziała.

- Nie powiem nikomu.

Biedny, samotny, cierpiący człowiek. Postawił ją wyżej od wszystkich innych artystów, których mógł wezwać do siebie, a ona sprawiła mu zawód, nie mówiąc prawdy.

Ryan patrzył na nią długo uważnym wzrokiem, po czym podszedł do niewielkiego kredensu z drzewa cyprysowego. Najwidoczniej uważając temat za zamknięty, zapytał:

- Napijesz się czegoś?

W pierwszej chwili Lauren chciała odmówić, jednakże po krótkim zastanowieniu się doszła do wniosku, że pomimo bijącego z kominka ciepła czuje się nieco zmrożona po spotkaniu z Griffithem.

- Harveys, jeśli masz.

Ryan wręczył jej drinka i usiadł tuż przy niej, niedbale zarzucając rękę na tylne oparcie kanapy. Kiedy spojrzała w jego zamyślane oczy, przeszła ją ostrzegawcza myśl. Wiedziała, co oznacza to spojrzenie: typowe męskie pożądanie. Dostrzegając je, zazwyczaj wycofywała się w porę. Ale nie dziś. Od początku coś w jej wnętrzu odpowiadało na zew tego mężczyzny. Pomimo wszystkich uprzedzeń i zastrzeżeń.

Tłumiąc opanowujące ją uczucie, przypomniała sobie, dlaczego znalazła się w tym pokoju.

- Miałaś powiedzieć mi o T.J. i mojej matce.

- W lipcu minie piętnaście lat od ich pierwszego spotkania. T.J. i ja przebywaliśmy w Marrakeszu, finalizując pewną transakcję z Rupertem Armstrongiem. Właśnie wtedy T.J. zakochał się w twojej matce.

Ciągle ta sama historia.

- Złapała go na haczyk, a potem odrzuciła na bok, zarzucając wędkę po kolejną zdobycz.

- Wcale nie. Romans ten trwał ponad rok. Spotykali się codziennie w utrzymywanym w tajemnicy miejscu w medynie. Caroline twierdziła, że zamierza porzucić Armstronga.

- Matka kochała pieniądze i tytuł Ruperta. Nigdy nie zaryzykowałaby utraty tego wszystkiego, oszukując go.

- Moja droga, nigdy nie widziałas T.J. w akcji. Mógł mieć każdą kobietę, lecz kochał twoją matkę. Ona też go kochała, na swój sposób. - Ryan patrzył teraz na nią w zamyśleniu. Pożądanie znikło z jego twarzy. - Jednak masz rację. Nie miała zamiaru zostawić Armstronga. T.J. nigdy się z tego nie wyleczył.

- To lepiej, że się tak stało. Tutaj, w tym więzieniu, matka nigdy by z nim nie została.

- A moja matka by została.

Zdumiała ją niezaprzeczalna czułość w głosie Ryana. Nigdy go takim nie słyszała. Ale już w następnym zdaniu ton jego głosu ponownie uległ zmianie, stając się gorzki, wręcz nie do zniesienia.

- Mój ojciec był leniwym pijaczkiem, który bił matkę, kiedy tylko nadarzała się okazja, a ona i tak ciągle go usprawiedliwiała.

Zażenowana tym emocjonalnym wyznaniem, Lauren zrozumiała, że jest oto świadkiem powstania chwilowej szczeliny w twardej skorupie Ryana. Nie wiedząc, co ma powiedzieć, celowo zmieniła temat.

- Jak to się stało, że zacząłeś pracować dla T.J.?

- Po spełnieniu obowiązku w Wietnamie przyjechałem do Londynu... - Ryan zawahał się przez ułamek sekundy - aby spotkać się z krewnym. Zacząłem pracować dla T.J. i od tamtego czasu jestem z nim. Mamy z sobą wiele wspólnego. Przede wszystkim uwielbiamy hazard. - Pociągnął łyk z

kieliszka. - Nie tylko grę w karty, ale i inne rzeczy - na przykład sztukę. Właśnie w ten sposób T.J. zaczął kolekcjonować obrazy. Jak mogłaś się zorientować po sposobie, w jaki wystawia swoje obrazy, nie robi tego z miłości do sztuki. Traktuje ją jako hazard. Chce zobaczyć, kto będzie zwycięzcą.

- Osiągnął zdumiewające rezultaty w czymś, czemu większość kolekcjonerów poświęca całe życie.

Popatrzyła na Ryana i zapytała:

- Czy to, co robicie, stawiając na mnie, to właśnie hazard?

- To nie jest hazard. Masz talent, tylko o tym nie wiesz.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie.

- Przepraszam, że cię dziś zostawiłem. Ale odpłaciłaś mi wcześniej, nie przychodząc na koncert.

Lauren zastanawiała się, czy o tym wspomni. Mimo spokoju, z jakim to powiedział, czuła, że jest zły.

- Powiedziałam, że mam inne plany. Nie odwołuję spotkań.

- Cieszę się, że z nim nie spałaś.

- Skąd...

Nie dokończyła. Ryan pocałunkiem zgasił jej odpowiedź.

Wyjdź teraz, dopóki nie jest za późno - podpowiadał zdrowy rozsądek. Nie bądź szalona - protestowało mocno bijące serce - przecież sama tego chcesz.

Oplotła ramionami jego szyję. Jej ciało instynktownie przycisnęło się do niego. Jak we śnie pocałunek ich nabrał charakteru błogiej intymności. Rozpiął jej bluzkę, którą w pośpiechu narzuciła na siebie wychodząc z domu, po czym zsuwał ją centymetr po centymetrze w dół, odsłaniając nagie ramiona. Następnie zsunął z nich ramiączka biustonosza.

Przerwał na chwilę i popatrzył na nią z sugestywnym uśmiechem. Serce zabiło jej jeszcze mocniej.

- Prawie doskonale.



Szybko usunął spinki z jej włosów, rozplatając wysoko upięty kok, po czym upuścił je na dywan.

- Doskonale.

Przesunął palcami po jej włosach, zbliżając je do skóry, po czym zacisnął luźne kosmyki w silnych dłoniach. Nie rozluźniając uchwytu, przyciągnął jej twarz do siebie, powstrzymując się od pocałunku. Przez chwilę przeszył ją strach, kiedy poczuła jego dłonie we włosach. Jednak łagodne spojrzenie ciemnozielonych oczu dało jej do zrozumienia, że nie ma się czego obawiać.

Patrzył na nią długo, a Lauren miała dziwne przeświadczenie, że stara się zapamiętać rysy jej twarzy, bo widzi ją po raz ostatni. Cóż, znany był z licznych przelotnych kontaktów z kobietami. To dobrze. Tak czy inaczej nie mogłabyś z nim wytrzymać dłużej niż przez jedną noc. Nie jest w twoim typie.

Nadal trzymał ją w ramionach, spoglądając na nią zielonymi oczami, w których odbijały się migocące złote płomyki ognia.

- Ryan - odezwała się, aby przerwać rzucony na nią czar.

- Powiedziałaś na dole, że masz coś dla mnie. Co to jest?

Uśmiechnął się zrozumiście, z czego mogła wnioskować, że za chwilę nastąpi jedno z jego lubieżnych powiedzeń. Wypuściwszy z dłoni jej włosy i rozprowadziwszy je po obnażonych ramionach, wziął ją za rękę i pocałował w wewnętrzną stronę dłoni. Następny zrozumiście uśmiech.

- Tak, mam tu coś dla ciebie.

Poprowadził jej dłoń w dół ku złączeniu swoich ud i otoczył nią wyprostowany dowód swojej męskości.

- Ryan - Lauren odsunęła usta od jego ust. Rozejrzała się po ciemnym pokoju, do którego ją zaprowadził.

- Mmmm? - schował twarz w jej szyi.

Wahała się, jak ma wyrazić swoje podejrzenia. Przecież już poprzednio zareagowała histerycznie. Być może teraz też zadziałała jej wyobraźnia. Próbowwała skoncentrować się na tym, że jest w łóżku z Ryanem, rozkoszować się jego sztuką kochania, lecz nie potrafiła. Uczucie niepokoju nie opuszczało jej.

- Proszę - sięgnęła po jego dłoń, którą przemierzał wierzchołki jej piersi - posłuchaj.

Przestał ją całować, lecz jego dłoń wędrowała po jej ciele w nieustającej pieśczoce.

- Słucham... współniku.

Podniosła głowę z poduszki, unosząc się na łokciach.

- Wiem, że to głupie, ale... - rozejrzała się po sypialni, oświetlonej jedynie coraz słabiej żarzącymi się węgielkami z kominka w sąsiednim pokoju.

- O co chodzi?

- Czy to jest możliwe, nawet w najmniejszym stopniu, że ktoś nas obserwuje?

Mięsień zatańczył w twarzy Ryana; starał się powstrzymać przed wybuchem głośnego śmiechu.

- Przyrzekam, że T.J. na nas nie patrzy. Przyciągnął ją do siebie, przywarł wargami do jej ust, jego język wkradł się pomiędzy jej rozchylone wargi. Chciała odwzajemnić jego pocałunki, poczuć tę gorącą namiętność, jaka nią zawładnęła w tamtym pokoju, kiedy powoli pozbawiał ją okrycia, obdarzając pieśczoctami z taką wprawą, że zaczęła błagać, aby przeszli już do sypialni. Lecz teraz nie potrafiła się skoncentrować. To nie jej wyobraźnia. Ktoś ich obserwował.

Ryan zaprzestał pocałunków i rozpostarł jej włosy na poduszce.

- T.J. porządnie cię wystraszył, tak?

- Tak, chyba tak. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że ktoś na nas patrzy. To widocznie wszystkie te urządzenia zabezpieczające. Czy są tu jakieś ukryte kamery?

Chciała, żeby zabrzmiało to żartobliwie, ale nie potrafiła.

Ryan wsparł się na łokciu i rozejrzał po pokoju. Po chwili opuścił głowę na poduszkę i wyszeptał jej do ucha:

- To nie była twoja wyobraźnia. Popatrz na prawo. Szybko zapalił nocną lampkę. Ujrzała Iggy, ukrywającą się w fotelu obok łóżka. Spoglądała ukradkiem w ich stronę, wychylając łeb ponad poręcz; widać było jedynie jej sterczące uszy i brązowe oczy. Iggy zauważyła, że jest obserwowana, i dała nura pod spodnie, które Ryan rzucił na fotel, kiedy udawali się do łóżka.

- Bije na głowę wszystko, co dotychczas widziała. - Ryan wyłączył światło. - Czy możemy wrócić do interesów?

Połączyli się w powolnej, delikatnej pieśczoście splecionych bioder i muskających się języków. Wszystkie wątpliwości Lauren uleciały w niepamięć, a wypełniła ją niepoohamowana namiętność.

Ryana zdumiał ogrom pożądania, jakie nim zawładnęło. Wcześniej uwodził ją powoli, z rozmysłem rozpalając w niej ogień, aby uczynić z tego niepowtarzalne dla niej przeżycie. Lecz zanim jeszcze zrzucił z niej okrycie i zaniósł do łóżka, zrozumiał, że nie może dłużej czekać. Kiedy powstrzymywała go, sądząc, że ktoś ich obserwuje, przeżył chwilę niepewności.

Teraz ponownie kontrolował sytuację. Żar pocałunków i całkowite oddanie Lauren przywróciły mu pewność. Powędrował dłonią w dół, poprzez wąskie biodra i dalej, pomiędzy miękkość rozchylnych ud. Odurzający żar wprowadził go w zmysłowy ruch.

Zawisnąwszy nad nią na krótką chwilę, połączył ich ciała jednym precyzyjnym ruchem. Zadrżała, wczepiając paznokcie w jego ramiona. Przekroczywszy granicę, za którą nie ma już odwrotu, wplątał dłonie w jej włosy, przyciskając wargi do jej ust. Jego ciało poruszało się w nieustającym ataku.

Chciał zwolnić, aby i ją obdarować ogarniającym go uniesieniem, ale nie potrafił już się powstrzymać. Uderzył mocniej... głębiej. Aż do potężnej, gorącej, ekstatycznej eksplozji.

Wyczerpany, opadł obok Lauren na poduszkę. Cóż, u licha, się stało? Nigdy tak nie wytrysnął od czasu, gdy miał trzynaście lat. Kochanek!

Lauren leżała ze wzrokiem utkwionym w sufit. Żaden mężczyzna nie kochał jej tak delikatnie, a jednocześnie tak namiętnie. Wszystko, co robił, każdy jego dotyk wywoływał przyjemny dreszcz, tak że pragnęła tego jeszcze bardziej. Zanim jej oddech się uspokoił, zdała sobie sprawę z tego, że Ryan nie poruszył się, ani też nic nie powiedział. Czyżby zrobiła coś nie tak, jak należy? Być może nie miała potrzebnego doświadczenia. Czekwała, nasłuchując. Burza była już tylko wspomnieniem, oddalającym się pomrukiem, który pozostawił po sobie krople ospale spadające z okapu.

Odwróciwszy się na bok, spojrzała w kierunku fotela. Ogień już wygasł, lecz i tak wyczuwała obecność Iggy. Pragnęła dokądś pobiec i ukryć się, lecz nie mogła. To miejsce było więzieniem. Nie mogła pojechać do domu; musiała czekać, aż Ryan ją tam zawiezie. Aby ukryć opanowujące ją zmieszanie, strzeliła jeden raz palcami, przywołując Iggy.

Iggy wystartowała z głośnym piskiem, szybując po chwili w powietrzu. Lądując na brzuchu Lauren, zaczepiła tylną kończyną o prześcieradło i usiłując się uwolnić, wpadła ryjkiem wprost pomiędzy piersi Lauren. Kiedy Lauren ją uwolniła, Iggy niecierpliwie podrapała w materac.

- Nie mam dzisiaj czekolady, przysięgam.

- Leżysz na poduszce Iggy.

Bez słowa Lauren oddała Iggy poduszkę. Iggy chwyciła ją w pysk i zaciągnęła w nogi łóżka. Spłaszczyła przy pomocy kilku ugniatających ruchów, po czym opadła na nią, ciężko sapiąc.

- Trzymaj, możemy podzielić się moją.

Zbyt zmieszana, aby na niego popatrzeć, Lauren wpełzła na poduszkę Ryana. Czy powinna powiedzieć mu, że chce iść do domu, czy też ma czekać, aż Ryan uczyni pierwszy krok?

- Stać mnie na coś lepszego - powiedział cicho.

Dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi. Widocznie żartował, drażniąc ją swym specyficznym poczuciem humoru. Albo domagał się pochwały. Chyba właśnie to. Męskie ego mogłoby pochłonąć cały Londyn. Nie zamierzała dostarczać mu satysfakcji, mówiąc, że nikt nigdy wcześniej tak bardzo jej nie... nie pobudził.

Odwróciwszy się na bok, musnął spoczywający na jej policzku wilgotny kosmyk włosów. Ledwie wystarczało światła, aby Lauren mogła zobaczyć jego oczy. Mówił poważnie. Zupełnie poważnie. Uważał, że nie przeżyła tego w pełni, i winił za to siebie. Co zazwyczaj czynił, aby zaprezentować się jeszcze lepiej? To prawda, miała bardzo ograniczone doświadczenie - nigdy nie angażowała się w przypadkowe związki - lecz jednak...

- To twoja wina, wiesz o tym.

- Co? - zapało jej dech, kiedy jego usta musnęły brodawkę jej piersi.

Przez kilka sekund nie zadawał sobie trudu, aby wyjaśnić, co miał na myśli. Zamiast tego wprawił język w ruch okrężny, przesyłając zmysłową wiadomość. Podniósłszy głowę, wyszeptał:

- Prowokowałaś mnie. Przyznaj to. Od samego początku, kiedy pocałowałem cię po południu w biurze, prowokowałaś mnie. Czy to dziwne, że nie wytrzymałem?

- Naprawdę wcale tego nie zamierzałam. Naprawdę.

Nie słuchał. Patrzyła na czubek jego głowy, kiedy z pełnym oddaniem pieścił jej piersi. Przesunęła palcami po jego rozwichrzonych włosach, po czym wsunęła się pod niego, rozchylając uda w niemym zaproszeniu.

- Powoli. Nie przyśpieszaj. Tym razem będzie dla ciebie.

- Było wspaniale za pierwszym razem, słowo honoru. Przerwał na chwilę, przekręcając się na bok, i spojrzał na nią poważnie.

- Wyjašnjmy sobie jedną rzecz. Dokładnie. Chcę, żebyś była szczerą. Nie miałaś orgazmu. Nie udawaj, że było inaczej.

Nie zaprzeczała. Oczywiście, że nie miała orgazmu. Rzadko kiedy go doznawała. Przed pojawieniem się Ryana seks był częścią nigdy nie wyartykułowanej umowy, jaką w duchu zawarła najpierw z Ozzie'em, a następnie z Grantem. W zamian za ich towarzystwo - a może i miłość - pozwalała im kochać się z nią. Właściwie nigdy nie sprawiało jej to przyjemności. Aż do dzisiaj.

- Nie udawaj, że cię zadowolilem, kiedy tak się nie stało. - Pocałował ją delikatnie. - Powiedz, co ci sprawia przyjemność.

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Co jej sprawiało przyjemność? Wszystko, co robił.

Przesunął dłonią w dół na odsłonięty wzgórek pokryty falą włosów.

- Nie bądź pruderyjna, Lauren - powiedział, pieszcząc ją wprawną ręką. - Wiem, że to lubisz. Powiedz to.

- Lubię.

Uniosła biodra, pokazując, jak bardzo.

Ryan przerwał na chwilę, rozkoszując się jej niepohamowanym już oddaniem. Wilgotny żar jej pobudzonego ciała i falujące uda napełniły go dreszczem emocji. Pragnęła go. Dawała to do zrozumienia przy każdym kolejnym pocałunku. Była więc niedoświadczona i nie potrafiła o tym mówić. No i cóż z tego? Większość kobiet zagadałaby taką chwilę na śmierć.

W odbierającym zmysły pocałunku język Ryana naśladował ruchy dłoni. Przeszyła ją erotyczna błyskawica. Serce trzepotało jak szalone. Żar zawładnął jej ciałem, wprawiając w ruch omdlewające biodra. Nastąpiła seria krótkich wstrząsów.

- Lepiej?

Uśmiechnęła się i wtuliła w jego ramiona. Całkowicie wyczerpana, pragnęła jedynie zasnąć.

Odezwał się cichym głosem. Obietnica i groźba zarazem:

- Jeszcze z tobą nie skończyłem... współniku.

- Halo? - głęboki baryton Carlosa Barzana rozległ się w słuchawce telefonu w pokoju hotelowym zajmowanym przez Davida.

- Tutaj wszystko jest już gotowe.

- Westcott połknął przynętę?

- Całkowicie - zapewnił go David. - Właśnie zabrał Winthrop na spotkanie z T.J. Griffithem. Starał się zagłuszyć swój głos, odkręcając wodę, lecz bez powodzenia. Te nowe pluskwy działają bez zarzutu. Wyłapaliśmy każde słowo.

David nie mógł opanować uśmiechu. To był właśnie jego pomysł, aby zakupić ten precyzyjny wytwór najnowszej technologii od agentów CIA, usiłujących zarobić na boku kilka dodatkowych dolarów.

- Właśnie w tej chwili Lauren Winthrop rozmawia w cztery oczy z T.J. Griffithem.

Nie dodał, że za dziesięć minut Tabatha Foley ma przybyć do zajmowanego przez niego apartamentu. Barzan nie o wszystkim musiał wiedzieć. Wyniki, jakie David osiągnął pracując dla Barzana, przeszły najśmielsze oczekiwania. Przed laty Barzan poszukiwał kompetentnego człowieka w wyłaniającej się dziedzinie technologii komputerowej. David postarał się, aby Barzan nigdy nie żałował, że go zatrudnił. Wykorzystując komputery i zagraniczne banki, David potrafił ukryć źródło dochodów Barzana, umiejętnie piorąc fundusze poprzez szereg ekwilibrystycznych operacji finansowych. W końcu Wuj Sam zupełnie już nie miał pojęcia, że imperium Carlosa Barzana opiera się nie na wielości międzynarodowych inwestycji, lecz na kokainie. Przy okazji David odsączył nieco milionów dla siebie, upychając je na koncie w szwajcarskim banku.

- Czy masz już numer telefonu Griffitha?

- Nie - przyznał niechętnie David - lecz wkrótce będę miał.

- Dobrze. Zadzwoń, kiedy będziesz gotowy do uderzenia. Chcę tam być. Muszę to zrobić osobiście, rozumiesz?

- Tak, tak - odrzekł David.

Ile razy ten stary bałwan mu o tym przypominał? Barzan upierał się przy osobistym wysłaniu Griffitha na tamten świat. Opanowany był niezrównaną żądzą zemsty. Przez całe lata Barzan osobiście uśmiercał każdego, kto stanął mu na drodze. Jednakże jego obsesja na punkcie Griffitha przewyższała jego poprzednie knowania.

- Upewnij się, czy nie jesteś śledzony, kiedy przebywasz w Londynie.

- Griffith nie zajmuje się kontrwywiadem. W najlepszym wypadku wystawia tylną straż. Dbą o własne bezpieczeństwo. To wszystko.

David usłyszał pukanie Tabathy do drzwi. Nareszcie.



- Nie martw się. Mam wszystko pod kontrolą.

- Coś jeszcze?

- Reprodukcje Cassatt przygotowane przez Winthrop sprzedają się znakomicie, a ona sama znalazła jakiegoś przebojowego artystę na wystawę. Ravissant najprawdopodobniej będzie na plusie jeszcze przed końcem roku.

Barzan nagrodził go wybuchem szczerego śmiechu, pierwszym, jaki Davidowi zdarzyło się usłyszeć od czasu, kiedy Griffith zabił Roberta Barzana.

- Właśnie tego potrzebujemy. Więcej pieniędzy.

- Jesteśmy gotowi na następny numer z drukami. Zalałbym rynek podrobionymi Cassattami, ale nie dowiedziałem się o nich na czas. Z całą pewnością wypuszczą serię reprodukcji po wystawie. Wtedy my przemycimy nasze.

Barzan chrząknął z zadowoleniem.

- Bądź ze mną w kontakcie. Pamiętaj, jestem gotów się wycofać. Jeżeli dostaniesz Griffitha.

David położył słuchawkę. Wycofać się? Nie mogłoby to wydarzyć się w bardziej odpowiednim momencie. Podczas gdy rząd Stanów Zjednoczonych coraz bardziej naciskał na kartel w Medellin, nieco mniejsza boliwijska organizacja Barzana nieoczekiwanie natrafiła na przysłowiową żyłę złota. Interesy, o jakich nawet nie śnili przed kilku laty, teraz same wpadały im w ręce. Wkrótce trzeba będzie zatrudnić armię finansowych czarnoksiężników i falangę komputerów do prania pieniędzy.

David rozkoszował się wyzwaniem obecnych czasów. W odróżnieniu od kolumbijskich lordów narkotykowych, wprowadzających systemy feudalne, opływających w luksus i naigrawających się z rządu, David zamierzał wziąć przykład z Barzana. Zamieszka w Nowym Jorku, ukryje źródło swoich wpływów i będzie umacniał swoją reputację bogatego

filantropa. Wówczas będzie mógł robić dokładnie to, na co będzie miał ochotę. Za zamkniętymi drzwiami.

Kolejne głośnie pukanie do drzwi zakłóciło tok jego myśli. Przed dwoma tygodniami David spędził swą ostatnią noc w Londynie z Tabathą. Od czasu, kiedy mu go postawiła, z niecierpliwością czekał na kolejne z nią spotkanie. Po krótkim badaniu wiedziała instynktownie, jak sprawić mu przyjemność. Nieoczekiwaną premią było to, że Tabatha bez najmniejszego zażenowania dała się łatwo przekonać, aby donosić o posunięciach Lauren Winthrop. Pieniądze rozchylają uda i rozluźniają języki. Pomagają pozbyć się wyrzutów sumienia.

Otworzywszy drzwi, ujrzał Tabathę w peruce koloru blond.

- Cześć - rzuciła niedbale, jak gdyby pożegnała się z nim przed dwiema minutami, a nie dwa tygodnie temu. Odrzuciła na bok płaszcz, odsłaniając młodzieżową sukienkę. Sugestywna, ale niczego nie odsłaniająca.

Podszedł do łóżka i położył się, opierając głowę o poduszkę.

- Chodź tutaj - powiedział. Rozkaz, nie zaproszenie.

Rozprowadzając ręką jasne loki, podeszła do niego powoli z udawaną niewinnością. Zupełnie jak jego siostra - niewinny agresor. Coraz bardziej stanowczy, natarczywy, apodyktyczny, wymagający.

- Jak ci było? - zapytał łagodnie, chociaż zdradzał go wyprostowany jak drut członek.

- Świetnie.

- Jak leci z biżuterią? - zapytał ponownie i uśmiechnął się.

- Czy Lauren maluje?

- Każdej nocy.

Fantastycznie. Wszystko dokładnie według planu.

Zrzuciła tanią perukę, którą zgodnie z jego zaleceniem zakładała, kiedy miała go odwiedzić, i stanęła obok łóżka. Musiał zachować ostrożność. Nie chciał, aby Barzan dowiedział się o jego skłonności do młodych dziewcząt. Barzan domagał się, aby każda osoba w jego organizacji cieszyła się powszechnym poważaniem.

Tabatha powoli rozpinęła kolejne guziki sukienki, która rozchyłała się powoli odsłaniając coraz więcej nagiego ciała.

Podciągnęła dolną jej część, ukazując bogactwo ciemnych włosów, po czym usiadła na nim, zbliżając do twarzy Davida piersi pierwszej klasy.

- Całuj.

Niewygodnie stwardniały, David wykonał polecenie.

Kiedy Lauren zorientowała się, że rytmiczny puls, który wyczuwała nieco poniżej głowy, nie jest biciem jej własnego serca, ocknęła się zupełnie. Nieporuszona wsłuchiwała się w bicie serca Ryana. Hipnotyzujące. Uwodzicielskie. Powoli otworzyła oczy. Szare, przymglone światło budzącego się świtu ukazywało burzę jej pofalowanych włosów rozpostartych na jego piersi i zaplątanych w ciemnobrązowe kępkę włosów znikających w podłużnym szeregu pod prześcieradłem przykrywającym mu biodra. Popatrzyła na męskie zgrubienie, zakryte, lecz doskonale widoczne, i przypomniał sobie... zarumieniła się.

Tak naprawdę to... przecież... nie ... naprawdę? Przyznaj to. Było wspaniale. Przez cały czas. Spojrzała na dłoń Ryana. Lampart ze złotego pierścienia uśmiechał się do niej. Któż by uwierzył, że dłonie Ryana Westcotta mogą być tak delikatne? Poczowała, jak pieką ją policzki na myśl o tym, dokąd te ręce zawędrowały. A i tak pragnęła jeszcze więcej.

Uwolniła się z jego uścisku i wysunęła z łóżka. Uśmiechnęła się, widząc zwiniętą jak kot Iggy nadal śpiącą na

poduszce. Zdołała w jakiś sposób przespać tę noc pełną miłosnych igraszek.

Wyjrząwszy przez okno, ujrzała ciemne chmury gromadzące się nad ponurym horyzontem. Przeszła przez pokój na palcach, podążając śladem rozrzuconej garderoby. Pozbierawszy jej części, zorientowała się, że brakuje biustonosza. Koronkowe dzieło w brzoskwiniowym kolorze z ekskluzywnego sklepu Janet Reger, prowadzącego sprzedaż damskiej bielizny, odpowiadało kolorystycznie jej majteczkom. Nie przeżyłaby takiej straty. Czy Ryan nie rzucił go na podłogę obok kanapy? Mogłaby przysiąc, że tak właśnie było.

Weszła do łazienki, cicho zamknęła za sobą drzwi i odkręciła kurek prysznic. Znalazła w szafce kostkę mydła szarego koloru o zapachu końskiej skóry. Kiedy woda zaczęła ściekać po jej ciele, ogarnęło ją zdumienie na myśl o tym, co zrobiła.

Dlaczego właśnie Ryan Westcott - spośród tylu mężczyzn? Nie był typem, jakiego potrzebowała. Wspaniała noc nie musi być wprowadzeniem do dobrego małżeństwa. A to właśnie, czego pragnęła - to szczęśliwe małżeństwo. I dzieci. Dźwięk weselnych dzwonów z Ryanem Westcottom u boku? Z pewnością nie. Nawet gdyby był domatorem - a niewątpliwie nim nie jest - nie byłby dobrym ojcem. Chyba że przepadałby za dziećmi ze słownictwem na cztery litery.

Myjąc się, zastanawiała się nad wzrastającym w niej pociąganiem seksualnym. Amerykańskie czasopismo „Cosmo” pełne było takich historyjek. Śmieszyły ją, ponieważ uważała, że to tylko chwyt mający na celu zwiększenie liczby sprzedanych egzemplarzy. Teraz nie była już tego taka pewna. Przydarzyło się to przecież Vorze. Jeżeli nie pozbędzie się Ryana Westcotta, może to przydarzyć się także jej.

Skończ z tym natychmiast. Powiedz Ryanowi, że się już nigdy z nim nie spotkasz. Umocniła się w tym postanowieniu, przypominając sobie słynne historie o jasnowłosych kociakach z wielkimi piersiami, które Ryan kochał, a następnie zostawiał. Nie powiększaj tej kolekcji.

Kiedy wycierała się ręcznikiem, usłyszała dzwonek telefonu i zaspane „halo” Ryana. Opanowało ją przelotne uczucie tęsknoty. Cóż się z tobą dzieje? On nie jest w twoim typie. Pamiętaj o tym.

Gdy przeszukiwała szuflady w szafkach, zaskoczyło ją to, że Ryan nie miał suszarki ani nawet szczotki do włosów, jedynie grzebień z kilkoma wyłamanymi zębami. Właśnie osuszała włosy ręcznikiem, kiedy Ryan wpadł do łazienki. Bez pukania. Pyszniąc się swoją golizną, powiedział:

- Czwarta runda!

Najwidoczniej odliczał. Tak jak rewolwerowiec robiący nacięcia na futerale.

- To tylko żart, współniku.

Powolnym krokiem przeszedł w stronę sedesu i uniósł pokrywę. Lauren poczuła się upokorzona; odwróciła się i wskakując pośpiesznie w ubranie, z rumieńcem zmieszania na twarzy próbowała zignorować hałas dochodzący z przeciwległej strony łazienki. Człowiek, którego poślubi, nie będzie naruszał jej prywatności. Kiedy była żoną Ozzie'ego, miała osobną sypialnię. Grant Fraser nigdy nie pozwolił, żeby ujrzała go nagim. Być może z powodu wydatnego brzucha, ale nie miało to znaczenia. Ryan Westcott pozbawiony był wszelkich manier. Z pewnością to nie jej typ.

- Muszę na jakiś czas wyjechać z miasta - powiedział Ryan, myjąc ręce. Pochwycił jej spojrzenie w lustrze. - O co chodzi? Nie bądź smutna. Wrócę szybko.

Czy jego ciało musi być tak doskonałe? Jego męska sylwetka, ozdobiona mięśniami i długimi silnymi nogami,

budziła w niej instynktowny zew, uczucie tęsknoty, którego nie potrafiła opanować.

Popatrzył na nią z promiennym uśmiechem. Najgorętszym, najbardziej oddanym uśmiechem, jakim ją kiedykolwiek obdarował. Takim jak wtedy, kiedy wspomniął o swojej matce. Już miała mu odpowiedzieć w podobny sposób, jednak przypomniawszy sobie o swym mocnym postanowieniu, powstrzymała budzący się uśmiech. Każda kobieta ma prawo do jednej nocy zapomnienia. Jedynej.

Wsadziwszy nędzny grzebień Ryana we włosy, odezwała się z udawaną beztroską w głosie:

- Było świetnie, ale już po wszystkim. Ryan odpowiedział zuchwałym uśmiechem.

- Mówię poważnie. Ostatniej nocy zaszła pomyłka. Ograniczmy nasze kontakty do sfery zawodowej. Ruszyła do drzwi, lecz Ryan pochwycił ją za ramię i obrócił, aby popatrzeć jej prosto w oczy.

- Tyle w tobie gówna, że aż zbrązowiały ci oczy. Chciałaś tego tak samo jak ja. Nie możemy udawać, że nic się nie stało.

- Zachowujmy się jak dorośli. Będę się z tobą widywać tylko na płaszczyźnie zawodowej.

- Nie mam czasu na takie zaszrane pogawędki. Mam poważny problem z firmą T.J. Muszę zaraz wyjechać na kontynent. Bądź szczerą. Dlaczego nie chcesz się ze mną spotykać?

Bo się w tobie zakocham.

- Ponieważ jesteś zbyt niedelikatny. Nie można prowadzić z tobą przyzwoitej rozmowy. Bez przerwy przeklinasz.

- To, co mówisz, to kupa gnoju i sama o tym wiesz. Co jest prawdziwą przyczyną?

Popatrzyła na jego łagodne, oparte na biodrach ręce. Lustrował ją wzrokiem.

- Za bardzo przypominasz mi Ruperta Armstronga.

PÓŁNOC

Jeżeli naprawdę pragniesz miłości  
Napotkasz ją - będzie na Ciebie czekała  
Oscar Wilde

Słońce jeszcze nie wstało nad górami Atlasu, zdominowanymi przez Djebel Toubkal, kiedy zadzwonił budzik. Ryan budził się powoli, nadal wyczerpany trzydniową podróżą incognito z Londynu do Marrakeszu. Czekająca go dziesięciogodzinna jazda samochodem wymagała, aby wyruszył niezwłocznie. Założywszy tradycyjny strój, pochwycił wełniany burnus i pośpieszył do stojącego na dole rovera. Sprawdził poziom paliwa w zbiorniku i dwukrotnie upewnił się co do zawartości umocowanych z boku pojemników z benzyną. Ugrzęźnięcie na drodze do Ouarzazate nie należało do przyjemności.

Dał strażnikowi znak, aby ten otworzył bramę, znajdującą się w wysokim na dziesięć stóp murze otaczającym posiadłość. Rodezyjskie psy myśliwskie w pozycji na baczność obserwowały, jak rover, zakrztusiwszy się nieco przy starcie, stacza się w dół ulicy, opuszczając należący do nich obszar. Tumany czerwonego pyłu uniosły się spod kół, kiedy samochód popędził drogą.

Suche, przezrocyste powietrze dodawało wyrazistości pierwszym porannym promieniom bladego świtu muskającym dachy budynków i przechodzącym w fiołkoworóżowy odcień w pobliżu podświetlanego przez nie meczetu Koutoubia. Orkiestra ptaków strojąca instrumenty do powitania porannego słońca wybuchnęła po chwili z bambusowych zarośli i kaskad tropikalnych pnączy. Za chwilę muezzin oficjalnie ogłosi nadejście świtu, intonując monotony śpiew wzywający wszystkich wyznawców Allaha do porannych modłów.

Pozostawiwszy z tyłu szepczące gaje palm daktylowych z powiewającymi na wietrze liśćmi, Ryan pomknął na południe drogą P31, wytyczoną w poprzek otaczającego Marrakesz ze wszystkich stron płaskowyżu o ceglastym kolorze błedu -



żyźnych gleb aluwialnych. Prowadziła ona w górę wzdłuż pagórków, które wkrótce przeistoczyły się w góry Atlas, gdzie czekał już nieskończony łańcuch wijących się aż na sam szczyt serpentyn.

Prowadząc samochód, Ryan próbował skupić myśli na pokonywaniu morderczych zakrętów, lecz mu się to nie udało. Oblicze Lauren Winthrop zamazywało mu obraz. Jej bliska paniki reakcja na spotkanie z T.J. Griffithem przekonała nawet sceptycznego Petera Stirlinga, że Lauren nie miała żadnych konszachtów z Barzanem. Mimo to sposób, w jaki go potraktowała, świadczył, że jest głupią suką. Tak jak jej matka.

Czyżby wpadł z Lauren podobnie jak T.J. z Caroline Armstrong? Nie, chłopie, to nie to samo. Zupełnie nie. Caroline nabiła T.J. w butelkę, obiecując, że porzuci męża. Ciągnęłaby tę znajomość do końca świata, gdyby T.J. nie zmusił jej do dokonania wyboru. Lauren wystarczyła jedna noc, aby z satysfakcją go odrzucić. I wcale nie zadała sobie trudu, aby pozbawić go złudzeń delikatnie. Nie. Musiała mu powiedzieć, że przypomina jej Ruperta Armstronga.

Boże! Trafiła go tym w czułe miejsce. Armstrong to z pewnością największy kutas, jakiego kiedykolwiek spotkał. Przewyższał nawet Bucka Westcotta. Rupert był nie tylko nędznym sukinsynem. Był gorszy nawet od pospolitego przestępcy. Niewiele osób znało całą prawdę. Dla większości był to zamożny eksporter, który miał słabość do wytwornego sposobu życia i żonę, o której piękności krążyły legendy. Tę właśnie Caroline Armstrong.

Cóż u diabła sprowokowało Lauren do stwierdzenia, że jest - chociażby w najmniejszym stopniu - podobny do Armstronga? Nie złapał tego. I chyba nigdy nie zrozumie. Po tym, jak Lauren zmroziła go tym oświadczeniem, wybiegł z łazienki jak oparzony i poleciał Adiemu zawieźć ją do domu.

Do diabła z nią. W łóżku jest nieszczególna - to pewne. Cholernie niedoświadczona. Z pewnością nie w jego typie. Dlaczego więc nie może o niej zapomnieć? Czy tak samo było z T.J.?

Ryan patrzył nieobecny wzrokiem na purpurową kulę wypływającą z Sahary, zalewającą nowy dzień światłem i żarem, i zdawał się jej nie dostrzegać. Ani wijącej się drogi, ani marokańskiego słońca. Zamiast tego ujrzał siebie w ten wczesny poranek przed laty, kiedy wrócił z Wietnamu do domu w Los Angeles.

Po wyjściu z samolotu Ryan szedł korytarzem prowadzącym ku zgromadzonemu przy wejściu tłumowi antywojennych demonstrantów z rozpostartymi hasłami:

WYNOŚCIE SIĘ Z WIETNAMU  
KONIEC Z BOMBARDOWANIAM  
NIGDY WIĘCEJ NAPALMU

- „Zabójcy! Mordercy!” - skandował tłum. Niektórzy z żołnierzy szli razem, zacieśniając szyki przed zetknięciem się z innym światem. Ale nie Ryan. Kroczył daleko przed nimi, niecierpliwie wypatrując w tłumie matki. Czyżby nie otrzymała telegramu? Czy nie wiedziała, jak bardzo mu jej brakowało?

Kiedy przepychał się przez drwiący tłum, podeszła do niego dziewczyna w rozszerzanych od bioder ku dołowi spodniach i z naszyjnikiem z paciorków w kształcie serduszek. Strąki brudnych, prostych jak drut włosów zwisały jej aż do talii.

- Morderca! - splunęła mu prosto w twarz, a jej zaciśnięta pięść wylądowała na jego policzku.

Podniósł już rękę, gotowy do uderzenia, po którym zapewne znalazłaby się pod ścianą o kilkanaście metrów dalej, jednakże zatrzymał się w pół drogi, kierując zewnętrzną stronę podniesionej dłoni na opluty policzek, aby go obetrzeć. „Nie

bądź głupcem. Właśnie na to tylko czekają." Jezu! Do czego ten świat zmierza?

Czy te tępe pały myślą, że żołnierze mają jakikolwiek wpływ na to, co się dzieje w Wietnamie? Ojczyzna wezwała - trzeba było iść. Nie było wyboru. Chyba że było się z bogatego domu, a w dodatku studentem. Dostawało się wtedy odroczenie i można było spokojnie zostać w domu i protestować, kiedy ktoś inny za ciebie przedzierał się przez piekło. Cóż stało się z Ojczyzną Odważnych? Sfora cudaków bez kutasów przekazała ją - razem z jajami - stadu rozhisteryzowanych bab, które na znak protestu popaliły biustonosze.

Nie zwracając uwagi na docinki, Ryan rozglądał się po hallu dworca lotniczego w poszukiwaniu niskiej kobiety z kręconymi ciemnymi włosami i oczami pełnymi miłości. „Pokaż się, mamó. Gdzie jesteś?”

Przedarł się po odbiór bagażu i czekając na swój służbowy worek, starał się nie patrzeć na szczęśliwych żołnierzy z uwieszonymi u szyi dziewczynami i rozpromienionymi rodzicami po bokach. Odebrawszy worek, wszedł do autobusu, który wyrzucił go w miejscu, skąd było już widać ocean.

Zarzucił worek na ramię i pomaszerował ulicami Wenecji - przedmieścia położonego tuż obok plaży, gdzie spędził całe swoje dotychczasowe życie. Nazwa pochodziła od jakiegoś eleganckiego miejsca we Włoszech. Brzmiała wspaniale. Wymyślił to jakiś kretyn. Jedyłą porą, kiedy woda wypełniała kanały, był okres po deszczu, co miało miejsce dwa albo trzy razy w roku. Przez pozostały czas mieszkańcy wykorzystywali kanały w charakterze gigantycznych pojemników na śmieci.

Mijał kolejne szeregi niskich drewnianych domów z ogródkami wielkości jego worka; z samochodami zaparkowanymi na zachwaszczonych trawnikach. Kiedy wszedł na Sycomore Street, nie popatrzył w dół, aby

sprawdzić, czy dom Sherry Brinley nadal tam stoi. Suka. Kiedy przyjechał do domu na krótki urlop, poszedł odwiedzić swoją dziewczynę. Jąkając się i rumieniąc, przerzucając jasne włosy z jednej strony na drugą, przepraszała za to, że nie odpowiedziała na żaden z jego listów. Czyżby nie wiedział, że jest teraz w college'u? Była okropnie zajęta.

Później powiedziała mu, że zakochała się w SAE. Ryan udawał, że nie dostrzega znaczącego uśmiechu na twarzy jej matki przysłuchującej się z kuchni ich rozmowie. Kim, do diabła, jest SAE? Wyteżył umysł, przebiegając w pamięci wszystkie znane mu - aż nadto dobrze - osoby. DMZ, VC, NLF, GI. Najgorszy z nich to MIA. Najlepszy - RR. SAE to żaden z nich.

Okazało się, że jest nim ktoś ze studenckiej braci. Spryciarz, który uniknął poboru. Ryan zapytał Sherry, czy SAE nie przeszkadzało, że straciła cnotę z żołnierzem. Matka Sherry z krzykiem wypadła z kuchni, dzierżąc w dłoni chochlę. Opuścił ich dom żegnany krzykiem i stwierdzeniami, że jest nicponiem i że do niczego nie dojdzie.

Skrećiwszy za rogiem w prowadzącą do rodzinnego domu uliczkę, zastanowił się, czy nie jest to prawda. Czy Srebrna Gwiazda nic już nie znaczyła? Chyba nie. Dawniej myślał, że jest orłem. Było to w szkole średniej, kiedy był faworytem drużyny futbolowej, a wszystkie siksy, włączając w to panią SAE, czołgały się u jego stóp. Kiedy Stanford University zaproponował mu sportowe stypendium, wydawało się, że złapał Pana Boga za nogi.

Wietnam nie stanowił przedmiotu jego rozważań. Kiedy w lecie przed rozpoczęciem roku szkolnego przyszło powołanie, sądził, że uda mu się od tego wykręcić. Bogatym młodzieńcom z Beverly Hills i Brentwood zawsze się to udawało. Zezowate szczęście. Otrzymał przez niego numer obejmował elegancką dzielnicę w zachodniej części Los

Angeles, gdzie napuszeni prawnicy załatwili już zbyt wiele odroczeń dla zamożnych bękartów. Twardodupki mieli wypełnić normę. Zanim zdążył się zorientować, był już w obozie dla rekrutów.

W porządku, chłopie - powiedział sobie. Udało ci się z Wietnamu wydostać, nie? Zaoszczędziłeś trochę pieniędzy. Nadal możesz iść do college'u. Jednakże po zetknięciu się z demonstrantami na lotnisku i po wspomnieniach o pani SAE nie był pewien, czy nadal ma na to ochotę.

Ujrawszy w oddali żółty, zdobiony sztukaterią dom, w którym mieszkał, przyśpieszył kroku. Farba odpadała od ścian. Co jeszcze się zmieniło? Buck Westcott, kiedy nie pracował przy taśmie produkcyjnej w zakładach McDonnell Douglas, spędzał czas pijąc i gładząc z kumplami w tawernie Joe Mama's. Jego ojciec był nie tylko leniwym ścierwem, ale także nędznym pijaczkiem.

Upijał się często i bił żonę gdzie popadło. Raz wysłał ją do szpitala. Jak tylko Ryan sięgał pamięcią wstecz, Buck okładał go pięściami, kiedy był pijany, a kiedy był trzeźwy, dokładał mu jadowitym językiem. Tego dnia, kiedy Ryan skończył czternaście lat, położył kres dalszemu znęcaniu się. Zawsze był duży jak na swój wiek, ale właśnie wtedy zaczął nabierać ciała. Każdego dnia trenował z drużyną przygotowując się do sezonu futbolowego. Kiedy Buck uderzył matkę za to, że nie domyśliła się, kiedy wróci z Joe Mama's, i nie przygotowała na czas obiadu, Ryan rzucił się na niego. Zdążył wymierzyć kilka soczystych ciosów, zanim Buck sprął go na kwaśne jabłko. Jednakże Buck zrozumiał: Ryan dorastał i nieuchronnie zbliżał się dzień, w którym ojciec nie będzie już w stanie go złamać. Od tej pory Buck nigdy już żadnego z nich nie uderzył. Wymyślał jednak inne sposoby, aby ich dręczyć.

Z chwilą kiedy Ryan podjął pracę po szkole, aby zaoszczędzić na studia w college'u, Buck zaprzestał dawania Mary pieniędzy na prowadzenie domu, twierdząc, że teraz jest to obowiązek Ryana. Wydatki na dom pochłaniały wszystko, co zarabiał. Zostawała jedynie niewielka suma na ubranie. Kiedy Ryan umawiał się z dziewczyną, oznaczało to, że przez kolejny tydzień matka i on będą jedli ser z makaronem. Ponadto czuł się ciągle upokorzony, ponieważ ojciec nigdy nie pozwalał mu korzystać z samochodu.

Ryan wszedł po schodach i energicznie otworzył drzwi. Zamknęły się za nim z głośnym skrzypnięciem. Tak jak zawsze. Lecz wewnątrz wszystko wyglądało inaczej. Mama poprzestawiała meble i kupiła nowe zasłony. Popatrzył jeszcze raz. Metry nakrapianego sukna zasłonowego w kolorze intensywnego różu pokrywały okna. Z pewnością nie był to ulubiony styl jego matki. Stojące na telewizorze zdjęcie, przedstawiające Ryana ubranego w bilet i togę z okazji wręczenia mu świadectwa maturalnego z wyróżnieniem, gdzieś zniknęło.

Szósty zmysł Ryana ostrzegał go. Tak jak podczas wielu misji. Niejednokrotnie pomógł mu uratować tyłek. I zasłużyć na Srebrną Gwiazdę. Przeszedł bezszelestnie przez niewielki pokój gościnny, niby przez dżunglę pełną żołnierzy Viet - Kongu, i wszedł do kuchni, skąd dobiegał dźwięk piosenki „You're So Vain” z ryczącego radia. Wysunąwszy głowę za framugę drzwi, ujrzał kobietę w średnim wieku. Miała na sobie niezwykle krótkie szorty. Opierając nogi o matczyne stół kuchenny, malowała paznokcie u nóg na jaskraworóżowy kolor.

- A ty kto, do cholery?

Krzyknęła przeraźliwie i skoczyła na równe nogi. Butelec z lakierem Cutex upadła na podłogę i potoczyła się po pośliskłym linoleum, zostawiając za sobą jaskraworóżową

smugę. Kobieta patrzyła na niego, zastygła z ręką na ustach pomalowanych na ten sam różowy odcień.

Żadna ze znajomych mamy. Żadna z nich nie miała na sobie jaskraworóżowych szortów, spod których wystawałyby obwisłe udziska, czy też upręży nałożonej na olbrzymich rozmiarów piersi zwisające jej do talii. Włosy w kolorze flaminga zagrabione były do góry na kształt stogu siana i zakonserwowane na wieczność za pomocą lakieru w rozpylaczu.

- Gdzie jest moja matka?

- Ach, złotko, to pewnie Ryan - zatrzepotała zabalsamowanymi w tuszu rzęsami.

- Kto ty jesteś?

- Lulu. Widzę, że Buck nic ci nie powiedział.

Coś ścisnęło go w gardle. Poczł ten sam przeszywający strach, jakiego doznawał, kiedy wiedział, że niewidoczni żołnierze Viet - Kongu trzymają go na muszce.

- Nie powiedział... czego?

Odsunęła krzesło od stołu i powiedziała:

- Usiądź, mój drogi. Pochwyć kobietę za chude gardło.

- Mów!

- N... najpierw puść - wycharczała ze łzami w oczach.

Puścił ją. Miała niewypowiedzianego stracha. Niech to szlag.

- Twoja matka nie żyje.

- Kłamiesz! Właśnie dostałem od niej list... Kiedy to było?

- Posłuchaj, mój drogi. Jest mi przykro.

Różowym paznokciem drżącej dłoni wygrzebała z oka łzę i zręcznie ją usunęła, nie naruszając kilkucentymetrowej warstwy makijażu.

Ryan opadł na krzesło. Żadna siła na ziemi nie powstrzymałaby mamy od przyjścia na lotnisko.

- Kiedy? Jak?

Lulu odsunęła drugie krzesło i spojrzała na niego z prawdziwym współczuciem.

- W tę sobotę będzie siedem tygodni. - Wyciągnęła rękę w kierunku Ryana i położyła ją na jego dłoni. Przebiegła paznokciami po wystających kostkach. - Naczynie krwionośne pękło jej w mózgu. Odeszła szybko. Nigdy nie dowiedziała się, czym została trafiona.

Poczuł w sobie pustkę. Był jakby bez życia, jakby wypłynęły z niego wszystkie soki. Dzięki Bogu - pomyślał. Dzięki Bogu, zdążył jeszcze matce powiedzieć, że ją kocha. Przez całe lata to ona powtarzała mu, że go kocha. Lecz on nigdy tego nie mówił. Uważał, że gdyby go naprawdę kochała, zostawiłaby tego sukinsyna, który był jego ojcem. Kiedy żegnała się z nim przed jego powrotem do Wietnamu po zakończonym urlopie, powiedział jej w końcu, jak bardzo ją kocha. Powiedział to nie dlatego, że zasługiwała na te słowa - zawsze na nie zasługiwała - lecz dlatego, iż obawiał się, że to on może zginąć. Nie ona.

- Gdzie? Gdzie to się stało?

- Odeszła we śnie, mój drogi. Jedna z sąsiadek znalazła ją rankiem następnego dnia.

- A nie Buck? Gdzie on był? W Joe Mama's?

Dolna warga Lulu wygięła się na kształt różowego ryjka. Uderzył pięścią w stół.

- Gdzie on był?

- Ze mną. W moim mieszkaniu. Buck wystąpił o rozwód.

- Kłamiesz! Moja matka napisałaby...

Nie, nie napisałaby. Za nic nie chciałaby, żeby Ryan martwił się o nią, kiedy jego życie było w niebezpieczeństwie.

- Wprowadziliśmy się tutaj po tym, jak ona odeszła po swoją wielką nagrodę. W końcu Bucky jest właścicielem tego domu.



„Bucky?” Ryan popatrzył na tę kobietę. Była przeciwieństwem jego matki. Mary Bailey Westcott była prawdziwą angielską damą. Nosiła kapelusz i rękawiczki. Piła nawet herbatę. Była typem kobiety, z której dumny byłby każdy mężczyzna. Ale nie stary „pocziwy Bucky”. Po wielu latach uprzykrzania jej życia i zmuszania do niewolniczej pracy przy maszynie do szycia i łątania ubrań obcych ludzi, podczas gdy on lumpił się w barze, stary „pocziwy Bucky” w końcu ją zostawił.

Czy była w stanie wiązać koniec z końcem w ciągu tych ostatnich miesięcy? Na pewno nie było to łatwe. Nigdy wiele nie zarabiała dokonując poprawek. Mama chciała otworzyć swój własny sklep, lecz Buck nie chciał o tym słyszeć. Jego żona nie będzie pracowała poza domem.

- Gdzie ją pochowano?

- Gdzieś... w Heaven's Gate.

Lulu uśmiechnęła się, ukazując koszmar swojego uzębienia, i dodała:

- Jej rzeczy oddałam organizacji charytatywnej. Z wyjątkiem tego starego pudełka na kapelusze, gdzie trzymała listy. Oczywiście twoje rzeczy są nadal w twoim pokoju. Bucky nie chciał się ich pozbywać, dopóki z tobą nie porozmawia.

Ryan podniósł się.

- Dokąd się wybierasz, mój drogi? Odpocznij, napij się piwa.

Pokręcił przecząco głową.

- Idę na cmentarz.

Dotarcie do Heaven's Gate zajęło mu kilka godzin. W LA bez kółek jest się zgubionym. Odnalazł grób matki pośród tanich kwater z widokiem na autostradę i nieustanny sznur warczących pojazdów. Popatrzył na trawnik z ledwie dostrzegalnym prostokątnym obramowaniem, oznaczającym

miejsce, z którego usunięto ziemię, aby zakopać trumnę. Skąpy sukinsyn. Buck zapłacił jedynie za zwykłą płytę. Mamę prawdopodobnie pochowano w tekturowym pudle. Zasługiwała na coś lepszego.

Ciężkim krokiem Ryan zszedł ze wzgórza i zapukał do biura zakładu pogrzebowego. Zamówił marmurowy nagrobek z wyrytym na nim staroangielskim pismem epitafium: Na zawsze w moim sercu.

Następnie nazbierał podobnych kwiatów - jej ulubionych - i zaniósłszy je na grób, położył na ziemi. Usiadł obok i powiedział:

- Udało mi się, mamó. Przeżyłem. Byłabyś ze mnie dumna. - Przeczesał trawę palcami, zdał sobie sprawę z tego, że matka już nie żyła, kiedy prowadził atak na Wzgórze 666 - Diabelskie Wzgórze. Walczył jak sukinsyn, odbijając siedmiu kumpli i zielonego porucznika uwięzionych przez żołnierzy Viet - Kongu. Zdobył za to Srebrną Gwiazdę. Kiedy on walczył o utrzymanie swoich ludzi przy życiu i o to, aby przy okazji nie dać się samemu zabić, nie było na tej ziemi nikogo, kogo obchodziłoby to, czy przeżyje, czy też zginie. Nikogo.

Ostrożnie usunąwszy niewielki kwadrat trawnika, wygrzebał palcami mały otwór, po czym złożył w ziemi Srebrną Gwiazdę i przykrył ponownie warstwą trawy.

Pozostał tam do chwili, kiedy zachodzące słońce chowało się do zatoki Santa Monica, a strażnik cmentarny przyszedł poinformować go, że za dziesięć minut zamyka bramy wejściowe. Znużony długim lotem, Ryan wrócił do domu, aby zabrać swoje rzeczy. W żadnym wypadku nie zamierzał spędzić nocy pod tym samym dachem, co ta wypindrzona dziwka. Żadną miarą.

Kiedy w końcu złapał autobus jadący w kierunku zachodnim i powrócił do Venice, zastał ciemny i pusty dom.

Przebrawszy się w znoszone tenisówki Converse i wytarte levisy, przeszukał swoje rzeczy, decydując, co powinien zachować. Na górnej półce szafy Lulu w Kusych Majtkach umieściła należące do jego matki stare pudełko z kapeluszem od Harrodsa. Zawierało zielony kapelusz, przypominający wyglądem coś, co przyniesiono przed chwilą z kapuścianej grządki. Nigdy nie widział matki w tej zwariowanej rzeczy na głowie. Ale zawsze była tam, na górnej półce jej szafy, w pudełku, w którym znajdowały się jeszcze starannie przechowywane listy przysyłane co roku z okazji Bożego Narodzenia przez bliską przyjaciółkę z Londynu.

Wziął kapelusz w ręce. Staromodna woalka z lat czterdziestych. W jakim celu trzymała ten kapelusz? Otaczała go czią, lecz nigdy nie nosiła. Pod podszewką wyczuł coś sztywnego. Kiedy ją rozpruł, znalazł tam czarno - białą fotografię. W jednej z dwu kobiet na fotografii natychmiast rozpoznał swoją matkę, bardziej szczęśliwą, niż kiedykolwiek mógł to sam zobaczyć. Uśmiechała się do uderzająco przystojnego mężczyzny w kurtce pilota samolotów myśliwskich RAF - u.

Uwagę Ryana przykuł drugi mężczyzna stojący obok matki. Obejmował ramieniem tę drugą kobietę. Jego nieżyjący sobowtór. Wuj Garth! Mama zawsze powtarzała mu, że jest lustrzanym odbiciem jej brata, który zginął, kiedy hitlerowcy zestrzelili jego samolot nad kanałem La Manche. Dlaczego nigdy nie pokazała mu tego zdjęcia?

Wpatrywał się w swojego wuja przez dobrą chwilę, zanim zrozumiał, dlaczego matka ukrywała to zdjęcie. Buck wpadłby w szal, gdyby zobaczył ją z innym mężczyzną. Oddanie malowało się otwarcie na jej promieniejącej ze szczęścia twarzy, kiedy patrzyła na tego wysokiego mężczyznę. Tak więc mama kochała kiedyś kogoś innego. To dobrze. Dlaczego więc wyszła za Bucka? Stacjonował w Anglii po

wojnie i wtedy musiała go poznać. Człowiek, którego kochała, z pewnością zginął na wojnie.

Pijany rechot i towarzyszący mu chichot zwiastowały powrót Bucka Westcotta. Ryan wszedł do pokoju gościnnego.

- Lulu powiedziała mi, że wróciłeś.

Buck Westcott nie zmienił się ani trochę: niski, łysy, z brzuchem opadającym pod sprzączką paska od spodni. Dokładnie w typie Lulu w Kusych Majtkach.

- Wiedz o tym, że jesteś skąpym sukinsynem. Kupiłem ma...

- Nie zaczynaj ze mną, chłopcze - jego słowa zlewały się w bełkot. - Zapłaciłem za pogrzeb. A nie musiałem nic robić.

- Ty... - Ryan ruszył w stronę Bucka.

- Nie! - zapiszczała Lulu. - Nie rób mu nic złego.

- Nie waż się mnie dotknąć, chłopcze. Wiele mi zawdzięczasz.

- Zawdzięczam ci? Dobry dowcip.

Buck spojrzał na Lulu, po chwili na Ryana i ponownie na Lulu.

- Powiedz mu, Bucky, powiedz. Pozbądź się go. Budzi we mnie cholerny strach.

- Powiedzieć mi... co? Ryan zrobił krok naprzód.

- Przestań! - zawołała Lulu - albo zadzwonię na policję.

- Odsuń się ode mnie. - Pot wystąpił na czoło Bucka. Otarł go zewnętrzną stroną dłoni przedramienia. - Ulitowałem się nad tobą, chłopcze. Dałem ci nazwisko.

- Co to ma znaczyć?

- Obiecałem Mary, że ci nie powiem. Ale teraz, kiedy odeszła, nie zamierzam już dłużej znosić takiego śmierdziela jak ty. Nie jesteś moim synem. Twoja matka była już napompowana, kiedy się z nią ożeniłem. Obiecała mi mojego syna. A cóż dostałem, chłopcze? Nic prócz ciebie.

Ryan stał jak sparaliżowany. Tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy popatrzył przez lufę trzymanego w ręku M16 i zdał sobie sprawę z tego, że jeśli pociągnie za spust, zginie jeden człowiek. Teraz już rozumiał. Buck zawsze go nienawidził, nigdy nie chodził na jego mecze, nigdy nie cieszył się z jego doskonałych ocen w szkole. Ryan udawał, że go to nie obchodzi. Powtarzał sobie, że matka go kocha. Jednak to bolało - tak bardzo, jak uderzenia pięści Bucka Westcotta - kiedy inni chłopcy pytali, gdzie jest jego ojciec, a on wymyślał usprawiedliwienia.

W końcu Ryan zdobył się na pytanie:

- Kto jest moim ojcem?
- Tego nie chciała mi powiedzieć.

Kiedy Ryan przyleciał z Los Angeles, w Londynie mżył lekki deszcz. Ryan przywołał taksówkę i podał kierowcy adres we wschodniej części Londynu. Od dwudziestu lat Tillie Clary pisała do mamy kartki świąteczne, ciągle podając ten sam adres. Ale biorąc pod uwagę jego szczęście, zapewne się w tym roku przeprowadziła.

Taksówka zatrzymała się przed rozpadającym się budynkiem z cegły. Okna na parterze zabite były deskami, jednakże grupka dzieci bawiących się wbieganiem i zbieganiem ze schodów świadczyła o tym, że miejsce to nadal było zamieszkane.

Ryan zapłacił taksówkarzowi i zapytał:

- Czy ktoś z was orientuje się, gdzie jest mieszkanie Tillie Clary?

- Tędy.

Mały chłopiec wprowadził Ryana do nie oświetlonego budynku.

Kapusta. Boże, w Anglii jednak to jedzą. Próbował wstrzymać oddech, idąc w górę schodami na spotkanie z wdową, która była najbliższą przyjaciółką jego matki. Z pewnością wiedziała o jego ojcu.

Kiedy byli już na górze, chłopiec zatrzymał się przed drzwiami w końcu korytarza.

- To tutaj. - Wyciągnął rękę.

Ryan sięgnął do kieszeni i wydobył stamtąd banknot jednodolarowy.

- Nie ma pan żadnych prawdziwych pieniędzy? Podarował chłopcu pięć pensów.

- O rety! Stokrotne dzięki.

- Kto tam? - zapytał przytłumiony głos w odpowiedzi na pukanie Ryana.

- Ryan Westcott, syn Mary Bailey.

- Chłopiec Mary?

W otwartych szeroko drzwiach pojawiła się tęga kobieta z kasztanowymi oczami i włosami ciemniejszymi o kilka odcieni. Miała na sobie sukienkę w wyblakłe wzory oraz ciężkie chodaki z wywiniętą na wierzch nylonową wkładką, okalającą jej kostki na kształt miniaturowych dętek. Nie mogła mieć więcej niż czterdzieści pięć lat, ale wyglądała na sześćdziesiąt.

Tillie Clary rzuciła na niego jedno spojrzenie i z oczami otwartymi ze zdziwienia powiedziała:

- Nie. To niemożliwe.

Ryan sięgnął do kieszeni kurtki i wydobyl stamtąd fotografię. Kiedy miał ją wręczać, spostrzegł, że całym wielkim ciałem kobiety wstrząsa ciche łkanie.

- Wielkie nieba - powiedziała przez łzy. - Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Spomiędzy piersi wyciągnęła podniszczoną chusteczkę, wytarła w nią nos i dodała:

- Wyglądasz dokładnie jak on.

- Wiem. Mama mówiła, że wyglądam dokładnie jak jej brat.

Podprowadził Tillie do kanapy przykrytej zrobioną szydełkiem narzutą, częściowo jedynie zakrywającą podniszczoną tapicerkę. Posadziwszy ją delikatnie, usiadł koło niej. Miał nadzieję, że kanapa wytrzyma ich ciężar.

Tillie obdarzyła go uśmiechem pełnym czułości. Takim, jaki często widywał na twarzy matki.

- Wyglądasz nawet lepiej niż sam Garth. A to był ktoś. Jesteś niezwykle podobny do swojego wuja, z wyjątkiem oczu. - Zmięła chusteczkę na kształt wilgotnej kuli. - Czy matka opowiadała ci o tym, że Garth i ja zamierzaliśmy się pobrać?

- Tak, wspominała o tym.

- Jak ona się teraz miewa?

Wziął ją za rękę.

- Mama umarła prawie dwa miesiące temu. Wylew do mózgu. Umarła natychmiast.

- Och, nie. Taka młoda.

Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Wyciekły z ich kącików i spłynęły po policzkach.

Pokazał ciotce fotografię, aby choć trochę odwrócić jej uwagę. Nie znosił płaczu kobiet, nigdy nie wiedział, co ma wtedy powiedzieć.

- Oto fotografia mojej matki i wuja Gartha. Wpatrywała się w nią przez chwilę, ciągle ze łzami w oczach.

- Wielkie nieba, patrzcie, jak ja wyglądam. To przechodzi wszelkie pojęcie!

Ryan jeszcze raz przyjrzał się fotografii w milczeniu. Tak, niewątpliwie przechodziło to wszelkie pojęcie. Nigdy nie rozpoznałby Tillie Clary. Była wtedy szczupłą blondynką.

- Popatrz, czy twoja matka nie jest piękna? Spójrz na ten kapelusz. Pamiętam, jak poszłam z nią po niego do Harrodsa. Przymierzała każdy kapelusz - bez względu na cenę - aby wybrać taki, który spodoba się...

Czekał z niecierpliwością na to, co dalej powie Tillie, która wpatrywała się w fotografię nostalgicznym wzrokiem.

- Który spodoba się komu?

Tillie wskazała palcem na mężczyznę w kurtce RAF - u.

- Twojemu ojcu, Throckmortonowi Jaymesowi Griffithowi.

Popatrzyła na Ryana, niewątpliwie zaskoczona wyrazem jego twarzy.

- Wielkie nieba, to matka ci nie powiedziała?

- Nigdy mi nie powiedziała, kto jest moim prawdziwym ojcem. Dlatego tutaj jestem. Chcę odszukać swoją rodzinę, dziadków... krewnych.



- Nie został nikt, o kim bym wiedziała. T.J. - tak wszyscy nazywali twojego ojca - wychował się w sierocińcu.

Uśmiechnęła się z zadumą i dodała:

- Garth i T.J. byli razem w RAF - ie. Dzięki temu właśnie Mary go poznała. Byli prawdziwymi bohaterami, nie tylko dla nas, ale dla całego kraju.

Gorzka дума wypełniła serce Ryana. A więc stąd brała się jego odwaga - odziedziczył ją po ojcu i po wuju, a nie po tym sukinsynie Bucku Westcocie. Gdyby tylko mógł im o tym powiedzieć, zrozumieliby, przez co przeszedł w Wietnamie.

- Za każdym razem, kiedy Garth i T.J. wyruszali na akcję, Mary i ja modliłyśmy się o to, żebyśmy znowu mogły ich zobaczyć. Któregoś dnia nasze modlitwy nie zostały wysłuchane.

- Obaj zginęli w tej samej akcji?

- Garth zginął. Twój ojciec został zestrzelony - nie pamiętam już, który to raz z kolei - ale jak zwykle zdołał powrócić. T.J. był zbyt przebiegły, aby dać się pochwycić faszystom. Zresztą żyje nadal, jak król, tutaj w Londynie.

- Nie chciał ożenić się z matką?

Zdumiało go to. Jego matka była piękna. I do tego była damą. Czegóż więcej mógł oczekiwać mężczyzna?

- Nie. Zdecydowanie odmówił. Mary nie miała wyboru. Musiała wyjść za Bucka Westcotta albo pozbyć się ciebie.

- Gdyby miała jeszcze raz dokonać wyboru, pewnie zdecydowałaby się na aborcję. Buck uczynił jej życie piekłem.

- Nie wolno ci tak mówić. - Tillie podniosła się na równe nogi. - Mary napisała do mnie list na ostatnie święta Bożego Narodzenia. Był cały o tobie; o tym, jaką jesteś dla niej radością.

Grzebiąc w szufladzie, ciągnęła:

- Był to bardzo dziwny list. Po tylu latach po raz pierwszy wspomniała o T.J.

Tillie podała list Ryanowi.

Czytał powoli, dowiadując się, jak bardzo była z niego dumna i jaki jest odważny, kiedy walczy dla swojego kraju. Bardzo się bała, że mogą go zabić. Ostatni fragment poświęcony był Tillie, która po śmierci swojego męża najwidoczniej napisała do jego matki list, mówiący o tym, że chociaż jej mąż był dobrym człowiekiem, nigdy nie przestała kochać Gartha.

Wiem, co masz na myśli, droga Tillie. Byłabyś szczęśliwa z Garthem, gdyby Bóg nie zabrał go do siebie. I potrafię zrozumieć, jak bardzo - po tylu latach z innym mężczyzną - nadal tęsknisz za Garthem. Wyznam ci, że nigdy nie przestałam kochać T.J. Czasami, kiedy jestem sama, płaczę za tym, co mogłoby się urzeczywistnić, gdyby nie odrzucił mojej miłości. Przebaczyłam mu. Nadal go Kocham. I tak już będzie zawsze. Obdarzył mnie największym szczęściem mojego życia. Dał mi syna. Niech Bóg mu to wynagrodzi.

Ryan odnalazł dom Griffitha w Hampstead Heath. Nie było łajdaka w domu.

- Kto, mam powiedzieć, chciał się z nim zobaczyć? Człowiek, który otworzył mu drzwi, spojrzał na niego, jak gdyby rozwiązał właśnie worek z ludzkimi szczątkami w Wietnamie i wciągnął w nozdrza nieprzyjemny zapach.

- Dawno zapomniany krewny.

- Nie wiedziałem, że pan Griffith ma... - popatrzył na wytarte dzinsy i zniszczoną wiatrówkę Ryana - ... krewnych. Może zechce pan ponownie przyjść jutro. Pan Griffith z pewnością do późna w nocy będzie grał w Crockfords.

Słynna kiedyś z trawiastych terenów, gdzie urządzano sprośne jarmarki i handlowano bydłem, dzielnica Mayfair szczyła się teraz posiadaniem najbardziej olśniewających kasyn na świecie. Za murami, w pałacowych wnętrzach

klubów takich jak Aspinall, Ritz, Clemont i Crockfords, grano w kości o tak wysokie stawki, jak nigdzie indziej na świecie.

W centrum zainteresowania tych królewskich kasyn znajdował się Crockfords, spuścizna po Williamie Crockfordzie. Urodzony w rodzinie sprzedawcy ryb, rozwinął w dziewiętnastym wieku hazard na nowoczesną skalę. Założone przez niego rozliczne kluby stały się tak popularne, że postanowił oddzielić wiele osób ze środowiska arystokracji od znacznej liczby ich spadkobierców i bajecznie bogatych emerytów.

Przez następnych sto lat kluby gier hazardowych pojawiały się i znikwały w wielu miejscach, do chwili, kiedy po drugiej wojnie światowej większość ekskluzywnych klubów osiadła na powierzchni mili kwadratowej w dzielnicy Mayfair.

Morton Fields był odzwierciedleniem w Crockfords od czasu powrotu z wojny. Żaden inny klub nie mógł poszczycić się lepszym odzwierciedleniem i Morton o tym wiedział. Stał na straży przy wejściu, witając gości z szacunkiem należnym ich bogactwu. Większość z tych, którzy przechodzili przez drzwi w stylu króla Jerzego z klasycznym półkolistym okienkiem u góry, była stałymi członkami klubu. Niewielu innych miało przywilej odwiedzania klubu nie będąc jego członkami.

Zgodnie z brytyjskim prawem grający po raz pierwszy musieli wypełnić formalny wniosek o przyjęcie do klubu i odczekać czterdzieści osiem godzin na pozytywną decyzję. Miało to przypuszczalnie zniechęcić tych gości, którzy mogliby później żałować podjętych pod wpływem impulsu działań. Podczas gdy kluby o mniejszym prestiżu miały do czynienia z nieustannym napływem wniosków, Morton nieczęsto widywał w ciągu miesiąca więcej niż kilka ubiegających się o członkostwo osób. Niewyobrażalnie wysokie wpisowe i astronomiczne stawki przy stołach trzymały niepożądanych gości w bezpiecznej odległości. Tych

niewielu graczy, którzy decydowali się na złożenie wniosku, towarzyszyło zazwyczaj stałym członkom klubu. Ewentualnie były to osoby polecane przez kasyna w Monte Carlo lub na Bahamach.

Stojąc pod portykiem podtrzymywanym przez połyskujące białą kolumny doryckie, Morton nie przypuszczał nawet w najśmielszych snach, że ociężały młodzieniec podążający zuchwale w górę Curzon Street zmierza do jego klubu. Morton poprawił cylinder na głowie i rozpostarł nie istniejącą fałdę na swoim surducie. Ogarnęło go uczucie trwogi, kiedy młody chuligan zatrzymał się i popatrzył w górę na umieszczoną na kolumnie połączoną tablicę z nazwą klubu.

Za czasów urzędowania Mortona nie było w Crockfords żadnych afer, z wyjątkiem incydentu z dwoma Włochami - a czegoż można się po takich spodziewać? - którzy wdali się w wymianę ciosów o źle postawiony zakład. Cofnął się o trzy kroki i zacisnął z tyłu dłonie w białych rękawiczkach, mając nadzieję, że ten nie pasujący do otoczenia człowiek oddali się.

Ryan obejrzał spelunę z zewnątrz. Nie wyglądała na kasyno. Zresztą, skąd mógłby się na tym znać, a kimże on był, żeby to osądzać? Jego wiedza o Anglii pochodziła z opowieści matki o wojnie i z lektur szkolnych, takich jak Opowieść wigilijna lub Tom Jones. Do tej pory zdążył zorientować się, że Londyn jest bardziej zielony, bardziej deszczowy i starszy, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Ale ci sami hippisi, których widywał w kraju, i tutaj zalewali ulice. Nosili proste długie włosy i słuchali piosenek Beatlesów dobywających się z tranzystorowych odbiorników. W Londynie można było też zobaczyć dużo więcej - niż się spodziewał - starych facetów ubranych jak za czasów Dickensa, takich jak ten w domu Griffitha. Albo ten stojący na straży przed drzwiami klubu. Patrzył na niego spode łba.

Ryan ruszył w górę, biorąc po dwa schody za jednym razem. Zatrzymawszy się obok odźwiernego, powiedział:

- Szukam T.J. Griffitha.

- Regulamin klubu nie zezwala na zakłócanie spokoju jego członkom - odrzekł Morton, lecz młody człowiek wepchał się już do środka. - Słuchaj no, nie możesz tam wejść.

W środku było tak cicho, iż Ryan miał wrażenie, że wszedł do domu pogrzebowego. Lecz kiedy znalazł się w głównej sali, ujrzał tłum tłoczący się wokół ruletki i stołów do gier hazardowych. Większość grających, ubranych jakby na przyjęcie weselne, miała na sobie smokingi. Kilku Arabów krążących wokół jednego ze stołów nosiło długie białe szaty.

Wzrok Ryana przeskakiwał ze ścian obwieszonych scenami z polowania, poprzez dwa usadowione nad jednym z okien złote orły amerykańskie, na podniecające ciała żeńskiej części obsługi kasyna i bezimienne - głównie męskie - twarze grających, aż w końcu natrafił na sylwetkę mężczyzny, która odpowiadała opisowi podanemu mu przez Tillie na podstawie niedawnej fotografii, jaką zobaczyła w „Timesie”.

W końcu nastrojowo oświetlonej głównej sali pod sklepieniem znajdowało się wejście do mniejszego pomieszczenia. Właśnie tam spostrzegł wysokiego mężczyznę o srebrnosiwych włosach. Wyminął grających rzucających dwuznaczne spojrzenia na jego levisy. W pomieszczeniu, w którym grał Griffith, stopy żetonów na ruletkowym stole były o wiele wyższe. Gra szła o wysoką stawkę. Griffitha właśnie opuściło szczęście.

Ryan zatrzymał się w sklepionym przejściu, wpatrując się w odwróconego do niego tyłem mężczyznę. Układ ramion i przekrzywiona na jedną stronę głowa, kiedy obserwował obracające się koło ruletki i kulkę z kości słoniowej przeskakującą z czerwonego na czarne, to znów na czerwone, świadczyły o pewności siebie.

- Griffith! - głos Ryana przeszył powietrze w wyciszonym pomieszczeniu jak seria z M - 16.

Griffith odwrócił się.

- Garth? To niemożliwe!

Ryan ruszył pokonując z impetem niewielką dzielącą go od ojca odległość i stanął z nim twarzą w twarz. Oczy patrzące na niego z przystojnej twarzy były tymi samymi oczami, które Ryan widział w lustrze przez całe swoje dotychczasowe życie. Z całej siły uderzył Griffitha pięścią w żołądek, po czym krótkim brutalnym ciosem trafił od dołu w jego podbródek. Griffith zawisnął przez chwilę na stole, dając Ryanowi czas na wyprowadzenie kolejnego uderzenia. Potężny cios trafił Griffitha z niezwykłą siłą w nos. Krew trysnęła na pokryty zielonym suknem stół.

W odpowiedzi dwa zadziwiająco silne uderzenia Griffitha dosięgły Ryana. Jednakże konieczność przetrwania w warunkach ciągłej walki uodporniła go i ciosy nie wyrządziły mu wielkiej krzywdy, lecz jedynie rozdrażniły. Powaliwszy Griffitha na ziemię, usiadł na nim okrakiem, rozkoszując się strachem, jaki dostrzegł w jego oczach. Pochwycił łajdaka za gardło i ścisnął.

- Kto ty jesteś? - zapytał Griffith z trudem chwytając powietrze. Dwie strugi krwi wytrysnęły mu z nosa na policzek, a stamtąd spłynęły się na ręce Ryana.

Nie był zobowiązany do wyjaśniania czegokolwiek temu kutasowi, nie przestawał więc go dusić, zamierzając przerwać dopiero wówczas, gdyby tamten miał wyzionąć ducha. Lecz Griffith o tym nie wiedział.

Uderzenie w plecy wstrząsnęło Ryanem. Spojrzał za siebie. Stał za nim policjant wymachując w powietrzu gumową pałką.

- Bardzo przepraszam. Czy nie moglibyśmy wyjaśnić tej nieprzyjemnej sytuacji na zewnątrz?

Jako że policjant wspomagany był przez tuzin oficerów, Ryan nie wdawał się w dyskusję. Nie wypuszczając gardła Griffitha z rąk, ścisnął je jeszcze raz na pożegnanie. Kiedy Ryan podniósł się, odzwierny pośpieszył w kierunku Griffitha z chusteczką, aby zatamować krew. Gdy Griffith przycisnął lniany czworobok do nosa, złoty pierścień z wyżłobioną lamparcią głową zamigotał na jego szerokim najmniejszym palcu.

- Niech cię szlag trafi - Ryan pożegnał go podniesionym w górę środkowym palcem i powolnym krokiem opuścił kasyno, ignorując zaskoczone spojrzenia. Mijając przepyszną krupierkę o blond włosach, której wcześniej nie zauważył, puścił do niej oko.

Pod czujnym wzrokiem policjantów Ryan myślał już, że zapuści korzenie, kiedy wreszcie Griffith pojawił się w przedsiönku. Nos mu już nie krwawił.

- Sir - zwrócił się do niego policjant, który przerwał walkę - będzie pan musiał udać się z nami, aby wnieść oskarżenie.

Griffith spojrział na Ryana i powiedział:

- Nie będzie to konieczne, jeżeli ten pan obieca, że nie będzie się do mnie zbliżał.

Szwadron w hełmach ozdobionych herbem przedstawiającym srebrne tarcze przybliżył się do Ryana. Uważne oczy studiowały każdy jego ruch.

Ryan nie miał zamiaru pozbawiać Griffitha życia. Miał już dość zabijania w Wietnamie. Kiedy przyłożył już Griffithowi, jego gniew gdzieś uleciał. A teraz bolesna pustka uświadomiła Ryanowi, że cała ta wyprawa była niczym innym, jak tylko pogonią za uciekającym pociągami. Lecąc do Londynu wyobrażał sobie, że odnajdzie tu swoją rodzinę, która powita go z otwartymi ramionami. Bajki.

- Obiecuję, że już go więcej nie uderzę. Policjanci zbiegli na dół i wtoczyli się do białych samochodów patrolowych z poprzecznymi niebieskimi pasami. Ryan podążył po schodach.

- Zaczekaj - Griffith pozostawał za nim w bezpiecznej odległości. - Jesteś synem Mary Bailey, tak?

Ryan nie odpowiadał.

- Dlaczego jesteś na mnie zły? Byłem najlepszym przyjacielem twojego wuja Gartha. A Mary... - przerwał - ...gdzie jest teraz Mary?

- Nie żyje. Wylew do mózgu.

Na przystojnym czole Griffitha pojawiły się zmarszczki; jego oczy nie były już ożywione, lecz smutne.

- To okropne. Jest mi bardzo przykro. - Griffith dotknął ramienia Ryana; ich uderzająco podobne oczy spotkały się. - Jesteś moim synem, nieprawdaż?

Ryan odwrócił się. Nie miał Griffithowi nic więcej do powiedzenia. Jednakże ten podążył za nim, z łatwością dotrzymując mu kroku. Ryan spostrzegł, że odziedziczył po Grifficie coś więcej niż tylko zielony kolor oczu. Każdy z nich miał ponad sześć stóp wzrostu, długie nogi i mocną sylwetkę. Lecz na tym podobieństwo się kończyło. T.J. był uderzająco przystojny, podczas gdy Ryan był odzwierciedleniem swojego wuja - dzięki Bogu.

- Mary nigdy nie powiedziała mi, że miała dziecko. Kiedy Ryan nie zareagował, Griffith ciągnął dalej:

- Posłuchaj, synu... Ryan stanął jak wryty.

- Nie ośmielaj się nazywać mnie synem. Jestem synem Mary, nie twoim.

Podciągnął do góry rękaw kurtki i pokazał Griffithowi odsłonięte przedramię, na którym widniała brązowa blizna po oparzeniu.

- Miałem cztery lata. Za mało, żeby wiedzieć, że opiekaczem można się oparzyć. Buck znalazł mnie bawiącego



się opiekaczem. Gdzie byłeś wtedy, kiedy Buck zamknął mnie w szopie z narzędziami i trzymał tam przez dwa dni za to, że podarłem spodnie grając w baseball? Kiedy potrzebowałem, żeby ktoś pomógł mi powstrzymać Bucka od znęcania się nad matką? - Ruszył znowu. - Powiem ci, gdzie byłeś. Tutaj. Przegrywając pieniądze z kupą słodkich dup. Nie jestem twoim synem i nigdy nie będę.

Griffith zatrzymał się obok lśniącego czerwonego ferrari.

- Powiedziałeś już, o co ci chodzi. A teraz posłuchaj. Ryan stanął z oczami wlepionymi w samochód. Marzenie każdego mężczyzny. A z pewnością jego.

- Masz jedną sekundę. Gadaj.

- Czy masz jakieś rodzeństwo?

Kiedy Ryan pokręcił przecząco głową, Griffith ciągnął:

- W takim razie, czy ci się to podoba czy nie, ja - to cała twoja rodzina.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- A co by na to powiedziała twoja matka? Czy chciałaby, żebyś przebył taki kawał drogi i nawet ze mną nie porozmawiał?

Ryan doszedł do wniosku, że rozmowa nie zaszkodzi. A później już nigdy nie spotka się z tym łajdakiem. Griffith rzucił mu pęk kluczy.

- Ty prowadzisz.

Ryan zaniemówił na chwilę. Wpatrywał się w klucze z wygrawerowanym wizerunkiem gotowego do skoku konia. Ferrari. To pieprzone czerwone ferrari to własność Griffitha. Ryan wsunął się do nisko zawieszzonego sportowego samochodu i pochwycił kierownicę, jak gdyby prowadził ferrari każdego dnia. Nic nie było bardziej odległe od prawdy. W szkole średniej jeździł czasem starymi gratami należącymi do jego kolegów. W Wietnamie prowadził kompanijnego jeepa, kiedy tylko nadarzała się okazja.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Ryan, włączając silnik, na co ferrari odpowiedział cichym pomrukiem.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- Nigdzie. Moje rzeczy są w przechowalni na Heathrow.

- W takim razie jedziemy do mnie. Skręć w prawo na Audley.

Zanim Ryan przejechał przez skrzyżowanie, już zdążył zakochać się w ferrari. Kiedy zarobi trochę prawdziwych pieniędzy, w nagrodę kupi sobie wspaniały samochód. Postanowił, że ferrari nie zdoła odwrócić jego uwagi od Griffitha. Spojrzał w jego kierunku i zauważył, że Griffith uważnie mu się przygląda.

- Podobno chciałeś porozmawiać?

- Czy nie sądzisz, że powinienesz powiedzieć mi, jak się nazywasz?

- Ryan Bailey Westcott.

- Ryan - powtórzył, jak gdyby zastanawiając się, czy to imię pasuje do niego. - Musiałeś dopiero niedawno odkryć, że jestem twoim ojcem.

- Taaak. Kiedy mama umarła, Buck powiedział mi.

- Nigdy nie wiedziałem, że istniejesz. Gdybym tylko wiedział...

- To co byś zrobił? - Ryan przytrzymał kierownicę obiema rękami, nie dowierzając sobie, że zdoła powstrzymać się od uderzenia Griffitha. - Nie chciałeś się z nią ożenić.

- Szczerze mówiąc, nigdy nie kochałem twojej matki, ale ożeniłbym się z nią, gdybym wiedział, że nosi w sobie moje dziecko.

- Jeżeli jej nie kochałeś, to dlaczego ją napompowałeś?

- To był przypadek.

- Gówno prawda. Mogłeś się zabezpieczyć. Nawet wtedy, kiedy byłem w Wietnamie i zabawiałem się z dziewczynkami, zawsze dbałem o to, żeby używać gumy. Teraz mogę

spokojnie spać, nie martwiąc się, że moje dziecko idzie głodne spać albo płacze.

- Byłeś w Wietnamie? - gestem dał Ryanowi do zrozumienia, że powinien skrócić w prawo. - Zostałeś odznaczony?

- Tak, lecz nie próbuj zmieniać tematu. Byłeś zbyt tępy czy zbyt leniwy na to, żeby założyć gumę?

- Zawsze ich używam. Nie można na nich w pełni polegać.

Ryan wcisnął pedał gazu i ferrari wystrzeliło jak z procy w górę opustoszałej dzielnicy. Tak więc, był wypadkiem przy pracy. Idiotyczny przypadek, który zrujnował życie Mary Bailey. Znalazłszy się na rondzie, objechał je trzykrotnie z piskiem opon. Nic to nie pomogło na jego stan ducha.

- Skreć tutaj - powiedział spokojnie Griffith. - Później będzie krótki zakręt w lewo, a potem w prawo.

Nadal jadąc szybciej niż kiedykolwiek do tej pory, Ryan prowadził ferrari po wyboistych zakrętach. Przepadał za szybką jazdą - na pograniczu ryzyka. Słyszał z tego w Wietnamie. Dowódcy zawsze domagali się, aby zabierał rekrutów na przejażdżkę w kompanijnym jeepie. Ten, który stchórzył, otrzymywał najbardziej zaszrane rozkazy do wykonania.

- W lewo - głos Griffitha był opanowany.

Ryan popędził w lewo. Jezu! Ferrari sunął gładko, kiedy każdy inny samochód leżałby już na dwóch kołach. Zaryzykował ukradkowe spojrzenie w kierunku Griffitha, myśląc, że tamten robi w gacie ze strachu. Griffith uśmiechał się. Ryan nacisnął gaz do dechy. Griffith począł głośno się śmiać. Ryan zdjął nogę z pedału. Samochód zwolnił.

- Co cię tak cholernie śmieszy?

Pytanie to wywołało wybuch śmiechu Griffitha. Ryan zjechał na bok i nacisnął z całej siły na hamulce. Samochód zatrzymał się z piskiem opon.

- Z czego się śmiejesz?

Griffith dla żartu podniósł obie ręce do góry na znak, że się poddaje.

- Masz twarz Gartha, ale nawet gdybyś nie miał moich zielonych oczu, wiedziałbym, że jesteś moim synem. Garth nigdy nie byłby na tyle zuchwały, żeby posuwistym krokiem wejść do Crockfords i przetrzepać komukolwiek skórę. A poza tym, nigdy nie jechał szybciej niż pięć mil na godzinę. Nie ma w Londynie policjanta, który musiałby pytać mnie o nazwisko, wypisując mandat za przekroczenie prędkości.

- Wuj Garth był bohaterem.

- Nie mówię o Garcie niczego złego. Nadal mi go brakuje. Lecz Garth nie miał w sobie nic z brawury. Posiadał ten szczególny typ ukrytej odwagi, która uzewnętrznia się w sytuacjach kryzysowych - na wojnie.

- A wtedy, kiedy wuj Garth wdrapał się na ten wysoki słup ze stojącym na górze posągiem tego... jak mu tam?

- Ach, kolumna Nelsona. Kto ci o tym powiedział?

- Mama. Powiedziała, że wuj Garth wdrapał się na nią i zawiesił na kapeluszu Nelsona wielką płachtę z napisem: „Niech szlag trafi Hitlera”.

- Ja się na nią wdrapałem. Garth czekał na dole.

- Taaak? - Ryan był najwyraźniej zmieszany. - A wtedy, kiedy wuj Garth wziął na siebie w powietrzu cztery samoloty niemieckie?

- To ja nie miałem wyboru. Dobierały się do skóry jednemu z naszych uszkodzonych samolotów. Nie dotarłby do bazy, gdybym nie odwrócił uwagi faszystów. Wymagało to charakteru, nie tylko z mojej strony, ale całej załogi, a

zwłaszcza tylnego działowego. Mieliśmy cholerne szczęście, że przeżyliśmy.

Nie można było wątpić w szczerść słów Griffitha. Czy te wszystkie niewiarygodne opowieści relacjonowane przez mamę z nie ukrywaną miłością w głosie to był sposób na to, aby opowiedzieć mu o ojcu tak, aby Buck się nie zorientował? Czy kiedykolwiek odkryłaby przed Ryanem prawdę?

- Czy będziemy tu siedzieć przez całą noc?

Nie mówiąc już nic więcej, Ryan zgodnie ze wskazówkami Griffitha pędził do jego domu w Hampstead Heath. Wysiadając, Ryan uścisnął skórzaną kierownicę ferrari na pożegnanie.

- Wejdz na chwilę. Mam kilka fotografii twojego wuja i dziadków.

Ryan zawahał się. Nieoczekiwanie obraz klanu Westcottów pojawił mu się przed oczami. Niechlujów i głupców. Zawsze się ich wstydził. Jak wyglądała jego prawdziwa rodzina? Właśnie dlatego przyjechał do Anglii, aby się o tym dowiedzieć.

Kiedy Ryan wszedł do środka, jego wzrok zatrzymał się na wytwornym wyposażeniu. Siedząc nieustannie przed telewizorem w czasach, kiedy kształtowała się jego świadomość, nabrał wyobrażenia o tym, jak żyją bogaci, z The Beverly Hillbillies. To, co tam zobaczył - boazeria w spokojnych kolorach i bezcenne antyki - musiało być tym, co jego matka nazywała „klasą”. Ale teraz zastanawiał się, czy wszyscy bogaci ludzie, ci z wyższych sfer, obwieszają ściany obrazami z góry na dół.

Kiedy znaleźli się wewnątrz niewielkiego pokoju, pełnego półek z przypadkowo poupychanymi książkami, Griffith wyciągnął skądś podniszczony album z fotografiami. Ryan powoli przejrzał kilkadziesiąt początkowych stron, na których widniały wyłącznie fotografie przedstawiające wuja Gartha i

Griffitha w ich samolotach: leżących na skrzydłach; błaznujących w kabinie pilota; stojących na ogonie; zwisających ze śmigieł. Nawet największy głupiec musiał dostrzec, że byli najlepszymi kumplami na świecie i przepadali za lataniem.

- To - Griffith pokazał mu parę starszych ludzi na sąsiedniej stronie - Louise i Tom Bailey, rodzice twojej matki.

Ryan popatrzył uważnie. Odziedziczył po dziadku płaską szczękę i spiczasty nos.

- Zginęli w blitzkriegu?

Griffith z nie ukrywanym smutkiem skinął głową.

- Zrobiłem te zdjęcia - przewrócił stronę - na przyjęciu rodzinnym wydanym na moją cześć. Kilka dni później Niemcy trafili dokładnie w ich budynek. Na szczęście Mary i Gartha nie było w domu.

Ryan z uwagą patrzył na każdą czarno - białą fotografię. Jego matka, ramię w ramię z Tillie, w kapeluszu z kapuścianej grządki. Matka i wuj Garth w uścisku pozujący do fotografii. Matka prezentująca upieczone - z pewnością na tę okazję - ciasto. Matka w kurtce - pilotce Griffitha.

- A to co? - zapytał wskazując na fotografię, na której matka trzyma kurtkę podszewką do obiektywu.

- To mapa, jaką wyrysowałem na podszewce. Nigdy nie wiedziałem, kiedy zostanę zestrzelony, albo gdzie. Chciałem być w stanie sam odnaleźć drogę powrotną.

Włosy zjeżyły się na głowie Ryana. W Wietnamie nigdy nie wyruszał na akcję bez najnowszej mapy uzupełnionej własnoręcznie po ostatniej misji zwiadowczej.

Kręcąc głową, jakby z niedowierzaniem, Griffith uśmiechnął się.

- Okazywało się to pomocne. Świątowaliśmy właśnie z tego powodu. Zostałem zestrzelony i na dwa tygodnie wszelki śluch o mnie zaginął. Ukrywałem się w wiosce rybackiej we

Francji, czekając na łódź, która popłynie przez kanał. Nie było to łatwe, gdyż jedynym francuskim zwrotem, jaki znałem, był ten, którego nauczyła mnie twoja matka. *Vrai amour ne change.* - Griffith zarechotał. - Nie można zejść daleko, mówiąc, że prawdziwa miłość nigdy się nie zmienia. Ten sukinsyn przyjmował jej miłość jako coś normalnego. Była prawdopodobnie jedną z wielu kobiet, jakie pojawiły się w życiu Griffitha. Był cholernie przystojny, o doskonałych rysach i nieodpartym spojrzeniu zielonych oczu. Powinno się wytatuować mu na czole ulotkę przestrzegającą przed niebezpieczeństwem.

- Koniak? - zapytał Griffith, podchodząc do wytwornej tacy ze stojącą na niej karafką i kilkoma maleńkimi kieliszkami.

Ryan nonszalancko skinął głową, jak gdyby pił koniak każdego dnia. Griffith wręczył mu kieliszek nie napełniony nawet do połowy. Skąpy łajdak. Ryan wychylił trunek jednym haustem. Poczul idący od dna żołądka do samego gardła ogień zapalający się jak napalm. Odchrząknął dwukrotnie i popatrzył, jak Griffith przez dłuższą chwilę pieści kieliszek w obu dłoniach przed pociągnięciem niewielkiego łyku.

- Kiedy poznałem Gartha, natychmiast zostaliśmy kumplami. Wiesz, co mam na myśli?

Ryan skinął głową. Przeżył coś podobnego z porucznikiem Bradem Samuelsem, który został dowódcą jego oddziału, kiedy Ryan był w połowie pierwszego okresu służby. Natychmiast stali się prawie nierozłączni. Aż do Wzgórza 666. Z wszystkich odbitych przez Ryana żołnierzy jedynie Brad był zbyt ciężko ranny, aby móc iść. Ryan wyniósł go stamtąd na plecach, czołgając się przez większą część drogi. Kiedy w końcu dotarli do sanitariusza, Brad już nie żył.

- Rodzina Baileyów zapraszała mnie na wszystkie uroczystości rodzinne. Byłem szczęśliwy, po raz pierwszy w życiu. Wiem, że brzmi to jak herezja, ponieważ byliśmy właśnie w środku wojny. Lecz wtedy miałem wszystko, czego chciałem, i czego nie mam dzisiaj. Rodzinę. Oddanego przyjaciela. Poczucie wspólnoty i tego, że jestem komuś potrzebny. A latanie ze świadomością, że mogę zginąć, dostarczało mi dreszczu emocji, jakiego nie zaznałem od tamtej pory.

- A moja matka?

- Dokładnie wiedziała, jaki jestem. Przez całą wojnę zmieniałem kobiety jedna za drugą. Lubiłem Mary jako koleżankę. Nigdy do niczego jej nie zachęcałem, nie tylko dlatego, że była siostrą Gartha, a on nie chciałby, żeby stała się jej krzywdą, ale dlatego że Mary - spojrzał w bok - nie była w moim typie.

- Była uczciwa i oddana. Najlepsza matka na świecie - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Dokładnie taka, jak kobieta, którą poślubię.

- Czuję się odpowiedzialny za Mary. Spędzałem z nią tak wiele czasu, ile tylko mogłem - po tym, jak zginął Garth i jej rodzice. Nie miała żadnych innych krewnych. Ale nigdy jej nie tknąłem, dopiero kilka lat po wojnie. Nie wiedziałem wtedy, co ze sobą zrobić. Nie miałem żadnego zajęcia. W Anglii trwało wielkie kopanie, odbudowa, pracowałem więc jako strugacz - stolarz. Miałem pomysł na nowy biznes i potrzebowałem zaoszczędzić, ile się tylko dało, aby go kręcić. Mary wiedziała o wszystkim. Widywałem ją kilka razy w miesiącu, aby się upewnić, czy wszystko u niej w porządku. Garth kiedyś prosił mnie o to, abym zaopiekował się Tillie i jego siostrą. Byłem mu to winien.

- Jeżeli chodzi o Tillie, to zrobiłeś kawał dobrej roboty. Mieszka w dzielnicy slumsów.



- Nie miałem o tym pojęcia. Kiedy Mary wyjechała do Ameryki, nigdy już nie spotkałem Tillie. Była wściekła za to, że nie ożeniłem się z twoją matką. Zobaczę, czy teraz Tillie pozwoli mi sobie pomóc.

- Za późno. Już się tym zająłem. Chce się przeprowadzić do Stow - on - the - Wold. Dałem jej pieniądze; zwróci mi, kiedy będzie mogła.

Zwężone oczy Griffitha starannie lustrowały Ryana.

- Co do twojej matki, nie wiem dokładnie, jak to się stało, lecz którejś nocy doszło między nami do zbliżenia. Jak dla większości kobiet, seks dla Mary był równoznaczny z miłością. Przeprosiłem ją za to, co zrobiłem, lecz ona płacząc przywarła do mnie i powiedziała, że zawsze mnie kochała. Przestałem ją widywać.

- Nie powiesz chyba, że zaszła w ciążę po jednym razie. Nie uwierzę w to.

- Guma pękła. Kiedy przyszła do mnie, aby mi powiedzieć, że będzie miała dziecko, nie mogłem uwierzyć w swojego pecha. Dałem jej pieniądze, aby pozbyła się... - wciągnął głęboko powietrze i zamknął na chwilę oczy. - Przypuszczałem, że tak zrobiła. Następnym razem usłyszałem o niej po tym, jak wyszła za męża za Westcotta, szeregowca stacjonującej tutaj armii amerykańskiej. Przykro mi, że ich małżeństwo było nieudane. No i że Westcott nieźle dał ci w kość.

- Jakoś sobie radziłem. - Ryan nie zamierzał wypłakiwać się Griffithowi w rękaw.

- Posłuchaj mnie przez chwilę. I nie przerywaj, zanim nie skończę. Mam do zaoferowania pracę, która cię może zainteresować. Jest niebezpieczna, dlatego tak dobrze płatna - dwadzieścia pięć tysięcy funtów rocznie.

Ryan starał się nie okazać szoku, jakiego doznał. Bez wykształcenia, u siebie nie mógłby tyle zarobić. Ale czy chce pracować dla człowieka, który uciekł od jego matki?

- Twoja baza będzie tutaj. Ale praca wymaga częstych podróży do Afryki. Potrzebuję kogoś z charakterem, zdolnego do szybkiego podejmowania decyzji. Nie wymagam odpowiedzi już teraz. Przemyśl to.

Mamrocząc oschle „dobranoc”, Ryan wstał i skierował się do drzwi. Kiedy był w połowie drogi, Griffith zawołał do niego. Zdołał odwrócić się w samą porę, aby pochwycić klucze od ferrari.

- Weź samochód, o tej porze nie znajdziesz nigdzie taksówki.

- Skąd wiesz, że jeszcze kiedyś ujrzysz swoje ferrari? Uśmiechnął się powoli, odsłaniając białe zęby. Nos, co prawda, miał nieco zapuchnięty, ale i tak nie zeszpeciło to przystojnej ciągle twarzy.

- Nie mam się czego obawiać. Jesteś synem Mary.

- Twoja waza została kupiona - powiedziała Lauren wchodząc do kuchni, gdzie Tabatha pochylała się właśnie nad piekarnikiem, aby wyjąć stamtąd blachę wypełnioną po brzegi świeżo upieczonymi kolczykami.

- Naprawdę? Tak szybko?

Na jej twarzy pojawił się pierwszy szczery uśmiech, jaki Lauren u niej spostrzegła.

Lauren położyła pieniądze na stole.

- Pytano mnie o nią, jak tylko ją wystawiłam. Masz następną?

- Nie. Ja n - nigdy nie myślałam... - Tabatha porwała pieniądze ze stołu.

- Natychmiast wiem, kiedy mam do czynienia z talentem. Nie ograniczaj się do biżuterii. - Lauren pomaszerowała w kierunku wahadłowych drzwi prowadzących z kuchni na zewnątrz. - Nie przygotuj dziś dla mnie kolacji. Po pracy Vora i ja wybieramy się na Miss Saigon.

Zjechawszy windą na parter, przystanąła i wyjrzała na ulicę poprzez zamazującą widok ścianę deszczu. Dwukrotny dźwięk klaksonu z brunatnoczerwonego jaguara zaanonsował przybycie Vory. Osłaniając się parasolem, Lauren rzuciła się w kierunku samochodu.

- Wszystko gotowe do spotkania z Finleyem i pozostałymi krytykami? - zapytała Vora.

- Tak sędzę, ale nie jestem zachwycona tym spotkaniem. Ze wszystkich sił postaram się ich oczarować. Chcę, żeby Irek otrzymał dobre recenzje.

Vora ruszyła w kierunku Ravissanta, mówiąc:

- Obawiam się trochę tego, że to my dwie lansujemy Irka. Społeczeństwo angielskie jest bardzo szowinistyczne. Nawet jeżeli mamy królową i kobietę premierem, to popatrz nieco

niżej. I cóż widzisz? Kobiety na wysokich stanowiskach w biznesie czy przemyśle to jednostki - nie tak jak w Stanach.

- Prawdę mówiąc, to i tam wcale nie jest inaczej. Wątpię, czy kobieta - nieważne, o jak wysokich kwalifikacjach - mogłaby zostać prezydentem. Chciałabym sądzić odwrotnie, lecz mam duże wątpliwości.

- Miałam na myśli to, że w Ameryce jest tak wiele kobiet na kierowniczych stanowiskach, iż mężczyźni nie odnoszą się do nich z niechęcią - odrzekła Vora, przejeżdżając ostrożnie samochodem przez głęboką kałużę przy sklepie Brook Davies.

- Nie powiedziałabym. Zostali zmuszeni do tego, aby nas zaakceptować.

- Brytyjczycy nie akceptują kobiet; być może nigdy tego nie zrobią. Nie zapominaj, że tradycja izolowania kobiet rozpoczęła się właśnie tutaj, w klubach „tylko dla mężczyzn”.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Martwię się o to, jak potraktują nas krytycy. Chcę, żeby Irek odniósł sukces. Myślę, że krytycy potraktowaliby nas poważniej, gdyby jedna z nas była mężczyzną.

- Nie trać wiary w siebie. Zobaczysz, że nam się uda. Vora zatrzymała się na parkingu. Wysiadając, obie energicznie rozpostarły nad sobą parasole.

- Proszę, nie martw się. Poradzę sobie z Finleyem.

- Strasznie cię przepraszam, ale nie mogę przestać martwić się o Irka. Wiesz, jak mi na nim zależy.

Skręciły za rogiem. Szły przez ulewę szybkim krokiem. W oddali Lauren ujrzała astona - martina. A więc Ryan jest tutaj! Tym razem nie zaparkował jak zwykle przednimi kołami na krawężniku, ale wjechał całym samochodem na chodnik na wprost drzwi wejściowych do galerii. Co za tupet! Jak to możliwe, że nigdy nie unieruchomiono mu samochodu za niewłaściwe parkowanie - poprzez zamocowanie na kole

ściskającej klamry, nie do usunięcia przez niesforenego właściciela pojazdu?

Lauren poczuła przyśpieszone bicie serca na myśl, że będzie zmuszona stanąć z Ryanem twarzą w twarz po raz pierwszy od czasu, kiedy się z nim przespała. Trzy długie dni temu i trzy jeszcze dłuższe, bardziej samotne noce. Pomimo jego karygodnych stwierdzeń - „Mam coś dla ciebie” - i liczenia rund, tęskniła za nim. On nie jest w twoim typie - powtarzała z uporem jej prawa półkula mózgowa. A właśnie, że jest - odpowiadała lewa.

Dlaczego była tak niezdecydowana? Zrobiła to, co musiała zrobić. A teraz powinna o nim zapomnieć. Chyba nie będzie musiała martwić się o swoje niesforene hormony po tym, jak powiedziała Ryanowi, że przypomina jej Ruperta. Sparaliżował ją wówczas wzrokiem, po czym wyszedł bez słowa.

Dlaczego akurat to imię wymknęło się jej z ust? Rupert w niczym nie przypominał Ryana. W niczym. Niewiele osób ujrzało jego prawdziwe oblicze ukryte pod fasadą słodkości. Dosadny aż do granic wulgarności, Ryan mówił to, co miał na myśli. Nie byli do siebie podobni w niczym poza tym, że zgodnie z własnymi przyzwyczajeniami niepowstrzymanie dążyli do tego, co chcieli osiągnąć, chociaż różnymi drogami. Właśnie tak. Jej podświadomość wyodrębniła właśnie to jedyne podobieństwo. Było ono dla niej ostrzeżeniem.

- Irek korzysta z samochodu Ryana - powiedziała Vora, wyraźnie zmartwiona.

- Co się stało? - zapytała Lauren, zadowolona, że nie musi jeszcze stawiać Ryanowi czoła.

- Wspomniałam Irkowi o menu na otwarciu wystawy i on chce to z nami omówić.

Wszedłszy do środka, oparły ociekające wodą parasole o mosiężny stojak, tuż obok postrzępionego parasola Irka.

- Jak się macie? - przywitał je Irek zbliżając się. - Leje z cebra.

Jak zwykle miał na sobie sweter, który oglądał już lepsze dni, i koszulę z wystającym spod swetra niemodnym od dawna kołnierzykiem. Dumnie prezentował nowy zegarek, który najwidoczniej zastąpił ten z Supermanem, w jakim Lauren widziała go poprzednim razem. Pomarańczowy pasek gryzł się z tarczą w kolorze rozmytej zieleni i fioletowymi wskazówkami.

- Rozumiem, że chcesz omówić potrawy, jakie podamy podczas otwarcia. Będą tylko przekąski. Po pokazie zaprosimy gości do bufetu w nowym domu Basila Blackstoke'a. Oczywiście to, co poda, będzie zależało...

- Irek nie chce, żeby podano kawior podczas otwarcia - wtrąciła Vora.

- Obślizły, cuchnący, słony - powiedział Irek zatykając nos.

- Zapewniam cię, że nie podamy ikry łososia. Ani nawet ze złotej osetry. Na twoją cześć szef specjalnie zamówił królewską biehugę, która przyleci tu wprost z Morza Kaspijskiego.

- Żaden kawior.

- Ale to typowo rosyjskie - powiedziała Lauren, zanim zdążyła pochwycić ostrzegawcze spojrzenie Vory.

Irek pokręcił głową, jak gdyby się zaparł.

- Tylko naczałstwo je w Rosji kawior.

- Przywódcy partyjni - wytłumaczyła Vora Lauren.

- Tylko naczałstwo pozwala sobie na kawior. Zapytaj ludzi, którzy czeka godziny w kolejce po jeden tłusty ochłap, czy oni kiedy ma kawior.

- Ale tutaj jest inaczej - upierała się Lauren. - Nie stoimy w kolejkach. Kupujemy, na co nas stać. Nasi goście będą

oczekiwać czegoś specjalnego. Dlatego podamy w srebrnych naczyniach królewską białogę z lodem oraz szampana Cristal.

- Szampan to siuski.

- Siuski? - powtórzyła pytająco Lauren, na co Irek zatrzepotał ramionami, jak ptak przygotowujący się do opuszczenia gniazda. Popatrzyła na Vorę.

- Irek chce przez to powiedzieć, że prawdziwi mężczyźni nie piją szampana.

- Oczywiście, że piją - odpowiedziała i natychmiast pomyślała o Ryanie. Nie znosił szampana i zaszczepił tę niechęć Irkowi. Wspaniale. Mógłby odlecieć Bóg wie dokąd, a i tak potrafiłby narobić stamtąd kłopotów. - Będziemy mieli pełny zestaw trunków. Nikt nie musi pić szampana, jeśli nie zechce.

Uśmiechnęła się, uważając temat za wyczerpany.

- Żaden szampan. Żaden kawior. Ser i angielska wódka - upierał się Irek. - Burrough's.

Vora oparła dłoń na ramieniu Irka.

- Burrough's jest niezły, ale chyba nie najlepszy w Anglii. Tanqueray wytwarza teraz pierwszorzędną wódkę o nazwie Tanqueray Silver. Podajmy ją.

- Burrough's jest odpowiedni - Irek obstawał przy swoim. - Nie siwucha, zalatuje.

- Tanqueray będzie bardziej odpowiedni do takich serów jak Stilton, angielski Cheddar i Single Gloucester - próbowała łagodnie perswadować Vora - a także Dorset Blue.

Lauren ze zdumieniem wpatrywała się w przyjaciółkę. Chyba Vora nie zamierzała podać tylko serów i wódki. Połowa z ich gości będzie piła Cristal, a pozostali będą oczekiwać napojów pierwszej klasy, najchętniej zapewne dwudziestopięcioletniego Glenfiddicha. I kawioru.

- Jestem brytyjskim poddanym, urodzonym w Rosji - powiedział z dumą Irek. - Na moim pokazie chcę najlepszą angielską wódkę i najlepsze angielskie sery. Nic więcej.

Mrugnął w kierunku Vory i dodał:

- Dikij zapad je dużo; dużo przed posiłkiem - psują kolację. Nie ma potrzeby na takie marnotrawstwo.

- Dikij zapad? - zapytała Lauren.

- Dziki Zachód - wyjaśniła Vora.

- Telefon do pani Winthrop - zawołała recepcjonistka. - Z Ameryki.

To na pewno od Paula. Za każdym razem, kiedy z nim rozmawiała, wydawał się mieć coraz lepiej. Poprawa jego samopoczucia znaczyła dla niej wszystko. Szła już w kierunku telefonu, lecz zatrzymała się i zwróciła do Irka i Vory.

- Wiecie, w ogólnym aspekcie liczy się nie to, co podamy do jedzenia, ale sztuka, którą zaprezentujemy. Voro, zadzwoń do restauracji i powiedz im, żeby wymyślili coś specjalnego. Z serem.

- Paul? - odezwała się, podnosząc w końcu słuchawkę.

- Nie. To David Marcus. Przeczytałem właśnie pani sprawozdanie o postępie, jaki poczynił Ravissant. Robi niezwykle wrażenie. Ryzyko, które pani podjęła z Cassattami, opłaciło się. Nie dostrzegam jednakże w sprawozdaniu umowy z Irkiem Makarowem. Zapewne zapomniała pani mi ją przysłać do zatwierdzenia.

- Nie zawieraliśmy pisemnej umowy, jest tylko ustna. Od kiedy to potrzebowała jego zgody?

- Chyba nie mówi pani poważnie, że zamierza promować Makarowa na zasadzie wyłączności i drukować reprodukcje jego obrazów bez zawarcia pisemnej umowy? A co stanie się, jeżeli utopi pani wszystkie pieniądze w jego promocję - wydała już pani tysiące na zorganizowanie wystawy - a on po prostu sobie pójdzie?



- Wie pan, ja...

Jak miała wytłumaczyć komuś takiemu jak Marcus, że Irek jest uczciwym człowiekiem z zasadami. Rozmawiali o umowie, lecz Irek był nieugięty. Nie mógł zrozumieć, po co miałyby mu być potrzebna. Prawnicy się tylko na tym bogacą.

- Chcę to mieć na piśmie. Tak się załatwia interesy. Kiedy będzie już podpisana, proszę przesłać kopie faxem.

Lauren przystała na to niechętnie i położyła słuchawkę.

- Wspaniałe wiadomości, wspaniałe - Vora promieniała ze szczęścia. - Właśnie zadzwoniłam do Tanqueraya. Dają wódkę za darmo. Chcą wprowadzić swój produkt na najbardziej zamożny rynek świata.

Lauren z podziwem pokiwała głową. Nie z powodu nieoczekiwanego daru, lecz inicjatywy Vory. Naprawdę dobrze wykonywała swoją część pracy i z dnia na dzień z coraz większą pewnością siebie.

- Czy mógłbyś podrzucić mnie do La Tante Claire? - Lauren zwróciła się do Irka. - To niedaleko. Zdasz w sam raz na spotkanie z drem Digsbym.

Kiedy - w nawiązaniu do pobytu Irka w więzieniu - Lauren i Vora wyraziły zaniepokojenie tym, iż media mogą niedokładnie zrozumieć, że Irek był więźniem politycznym, Ryan zaproponował wizytę u dra Digsby'ego, który doradzał wielu osobom, jak wykorzystać zainteresowanie przejawiane przez środki masowego przekazu.

- Irek - odezwała się Lauren, kiedy byli już w samochodzie pędzącym przez Berkeley Square. - Sądzę, że powinniśmy zawrzeć umowę. Będzie chroniła twoje interesy.

- Nie martw się o mnie. Ja się nie boję. Jesteście moimi przyjaciółmi.

- Ale posłuchaj, Irek - starała się utrzymać ton perswazji, wyczuwając jego upór. - Przecież może stać się coś złego.

- Ja się nie boję. Ryan mówi, że kontrakty są do niczego. Świetny druk to zła wiadomość.

Znowu Ryan. Mimo że pochodzili z dwóch odmiennych światów, myśleli tak samo. Starali się eliminować z życia bezsensowne - powinna raczej powiedzieć gówniane - posunięcia. Lauren dała za wygraną; nie miała uzasadnionego powodu, aby nalegać na podpisanie kontraktu. Będzie musiała po prostu zwodzić Marcusa tak długo, aż będzie już zbyt późno na to, aby mógł on odwołać wystawę.

Irek zwolnił przed skrzyżowaniem przy Hyde Park Corner, gdzie gigantyczny zwykle korek powiększył się jeszcze z powodu deszczu.

- Dlaczego nie przyszedłeś z Ryanem, kiedy my oglądaliśmy Borisa Grebienszczikowa?

No nie, znowu Ryan.

- Mówiłam mu, że mam inne plany.

- Ważniejsze niż Ryan?

Wyczuła niedowierzanie w jego słowach.

- Nie - odparła ostrożnie - ale już wcześniej obiecałam pewnemu dżentelmenowi, że zjem z nim kolację. Byłoby nieuprzejmie z mojej strony, gdybym odwołała to spotkanie, czyż nie tak?

Irek wzruszył ramionami bez przekonania i powoli ruszył astonek - martinem w górę ulicy.

- To znaczy dużo dużo dla Ryana. Od trzech lat nie zaprosił nigdzie żadnej damy.

- Od trzech lat? To niemożliwe. Ma reputację playboya spotykającego się z mnóstwem różnych kobiet. Musiałeś czegoś nie zrozumieć.

- Mówi mi, że po tej bombie został innym człowiekiem. Wie, co jest ważne. Jak ja po gułagu.

Lauren patrzyła na wycieraczki poruszające się nieustannie w górę i w dół, lecz usuwające deszcz z szyby

jedynie na ułamek sekundy. Czy to, co mówił Irek, mogło być prawdą? Właściwie, cóż ona wiedziała o Ryanie? Tylko tyle, ile usłyszała od Vory i Finleya. Dla niej Ryan wydawał się być playboyem - macho w każdym calu. Czyżby jego szorstkość była kamuflażem?

A jego ręce. Delikatność ich dotyku zdumiewała Lauren. Ryan wydawał się wiedzieć, uprzedzać to, czego domagało się jej ciało. Gdyby tylko... gdyby tylko był człowiekiem innego rodzaju. Kulturalnym, uprzejmym, dorównującym swoim magicznym dłoniom. Ale takim nie jest i jeżeli Lauren nie przestanie o nim myśleć, to oszaleje. Powinna raczej myśleć o codziennie telefonującym Grancie albo o Finleyu, który zaprosił ją na weekend do swojego domu poza miastem. Myśl, o czym chcesz, byle nie o Ryanie Westcotcie.

Irek zatrzymał samochód przed restauracją. Odźwierny z parasolem wielkości małego namiotu rzucił się do drzwiczek, aby je otworzyć.

Zanim zdążyła wysiąść, Irek pochwycił ją za ramię.

- Nie bądź niedobra dla mojego przyjaciela. On lubi cię... bardzo. Liubow nawet.

- Liubow?

- Jak mówią? - położył dłoń na sercu i uderzył dwukrotnie, naśladując jego bicie. - To, co czujemy głęboko, głęboko w nas do tych, których lubimy, bardzo.

- Miłość?

- Tak. To właśnie to słowo.

Pożegnawszy go, Lauren wydostała się na zewnątrz, wprost na gnany wiatrem deszcz. Wbiegłszy do La Tante Claire i zrzuciwszy z siebie płaszcz przeciwdeszczowy, przebiegła w myśli chwile spędzone z Ryanem. Biła z niego wyniosłość, dająca Lauren do zrozumienia, że nie przedstawia sobą niczego szczególnego. Czyżby coś przeoczyła? Nie. Oprócz determinacji, z jaką chciał wywołać u niej orgazm - co

jedynie miało potwierdzić jego niezwykłą sprawność seksualną - nigdy nie okazał jej najmniejszym chociaż gestem, że mu odrobinę na niej zależy. Irek się mylił. A jeżeli nie?

- Nareszcie pani jest. - Finley zbliżył się do niej i zaoferował jej swoje ramię.

Uśmiechnęła się, pamiętając, jak ważni są ci krytycy. Przestań myśleć o Ryanie Westcotcie.

Finley przeprowadził ją przez zatłoczoną La Tante Claire. Rezerwacji trzeba było tutaj dokonać kilka tygodni wcześniej, albo też szkoda było zawracać sobie głowę dzwonieniem i rezerwowaniem stolika. Jako że Finley jadał tutaj codziennie, zawsze siedział przy najlepszym stoliku.

- Lauren, zapewne pamięta pani Chestera Reynoldsa - Stephensa z „Apollo”.

Z wytwornym uśmiechem Lauren wyciągnęła dłoń w kierunku krytyka, którego spotkała po raz pierwszy po aukcji w Sothebym.

- To duża przyjemność ponownie pana spotkać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, ściskając jej rękę dłonią gładką jak puch i równie delikatną.

- A to - Finley wskazał na niskiego drobnego mężczyznę o twarzy chochlika, stojącego z wyciągniętą do powitania dłonią - mój stary przyjaciel, Rutherford Ames.

- Dzień dobry - Lauren uściśnęła mu dłoń.

Zauważyła, że kiedy patrzył na nią, prawie niedostrzegalnie zmarszczył mu się nos, a oczy zamigotały gwałtownie. Mimo iż się uśmiechał, było jasne, że poczuł do niej niechęć od pierwszego wejrzenia.

Nieco speszona tą myślą usiadła, starając się zachować uśmiech. Pozwoliła Finleyowi, aby i dla niej zamówił danie. Opiekana siewką. Po prostu specjalność La Tante Claire. Nic jej nie pobije.

Lauren sączyła z kieliszka Malvern Water z cytryną, przysłuchując się z uprzejmą uwagą dyskusji o zbliżającej się wystawie w Tate Gallery.

- Czy będziecie panowie w stanie zaszczyścić swoją obecnością wystawę prac Irka Makarowa?

- Jakże moglibyśmy przegapić taką okazję - zapewnił ją Rutherford, podczas gdy dwaj pozostali mężczyźni wyartykułowali swoje potwierdzenie pomiędzy kolejnymi kęsami.

- Czy któryś z panów miał okazję zapoznać się z materiałami informacyjnymi?

- Korzysta pani z usług nowej firmy reklamowej? - zapytał Finley.

- Tak - odrzekła Lauren zachęcona jego uśmiechem. - Vora zajmuje się sprawą promocji.

Rutherford psotnie uniósł do góry brew, lecz nic nie powiedział. Lauren nie rozwijała tematu. Projekt i sposób realizacji kampanii reklamowej pochodził całkowicie od Vory. Całą pracę wykonywała w tajemnicy, aby nikt nie dowiedział się o Irku możliwie aż do ostatniej chwili.

- Pozwolę sobie zaproponować - odezwał się Chester z typową dla siebie rozwlekłością - aby następnym razem, kiedy będziecie państwo promowali nowego artystę, przesyłane prasie materiały informacyjne były mniej... mniej ogólnikowe.

- Jestem tego samego zdania - wtrącił Rutherford. - To, co napisano w nich o Rosjaninie, przywodzi mi na myśl tego faceta z Ameryki - Jeffa Koonsa.

Gdyby Lauren nie włożyła właśnie do ust kawałka mięsa, wyrzuciłaby z siebie jedno z czteroliterowych słów Ryana. Irek i Koons. Co za absurdalne porównanie. Koons - niedawny publicysta na usługach Nowojorskiego Muzeum Sztuki Współczesnej - spędził kilka lat na Wall Street, zanim zdecydował się na zostanie artystą. Podczas gdy większość

artystów używała wysoce dyskretnych metod reklamy, kampanie Koonsa były wydarzeniami publicznymi, w których olbrzymią rolę pełniły mass - media. Spowodowało to niezwykle wzrost zainteresowania Koonsem na całym świecie i podbiło ceny jego prac do poziomu kosmicznego.

W niczym nie przypominało to tego, co czyniła Vora w celu promocji Irka. Materiały, które przygotowała dla prasy, były utrzymane w tonacji granatowej, a napisy wytłoczono w kolorze gołębim. Niewątpliwie nie było w nich nic krzykliwego. Ani w utrzymanym w identycznej tonacji katalogu w twardej oprawie. Dla najbardziej Uczących się tytułów prasy codziennej, a także dla magazynów sztuki, przygotowywano jeden z pejzaży Irka. W przeciwieństwie do Koonsa, Irek nie pozował - jak model - do fotografii obok swoich prac.

- Staramy się zwrócić uwagę kolekcjonerów na nowy, niezwykle talent bez uciekania się do bezwstydnego, krzykliwej reklamy.

- Krytycy powinni zachować ostrożność - powiedział Finley. - Wielu Rosjan usiłuje teraz pośpiesznie pochwycić swoją szansę.

- Kiedy Sotheby zorganizował aukcję prac rosyjskich awangardzistów, eksperci stwierdzili, że dwa z obrazów olejnych Popowej są falsyfikatami - dodał Chester. - Jednakże Sotheby temu zaprzeczył i wystawił je na licytację tak czy inaczej.

- Śmierdząca raczej sprawa. W ogóle nie do pomyślenia w przeszłości.

Lauren w milczeniu przetykała delikatne ptasie mięso, powstrzymując się od ostrej riposty. Zrozumiała jednak aluzję. Kiedy Taubman zabiegał o kupno Sotheby'ego, zmuszony był stanąć przed brytyjską komisją do spraw monopoli i spółek. Wydawało się wówczas, że charakter Sotheby'ego pozostanie

taki sam jak od połowy osiemnastego wieku. Lecz kiedy Taubman został już właścicielem, większość znaczących interesów przeniósł do przedstawicielstwa Sotheby'ego w Nowym Jorku. Brytyjczycy nie przyjęli tego z zadowoleniem; wręcz przeciwnie, wyraźnie okazywali swoją niechęć. Lauren doszła do wniosku, że być może ma urojenia, ale wydawało się jej nieodparcie, że panowie, w których towarzystwie właśnie się znajdowała, żywili do niej niechęć, nie tylko dlatego że jest kobietą, ale jeszcze na dodatek Amerykanką, tak jak Taubman. Chciała zaprotestować, mówiąc, że jej matka była Brytyjką, a i ona sama legitymuje się brytyjskim paszportem, ale duma nie pozwalała jej na to.

- Mierne widowisko - odezwał się Chester. - Ceny dzieł sztuki współczesnej sprawiają, że są one praktycznie poza zasięgiem. „Przeobrażenie” Willema de Kooninga zostało właśnie sprzedane za...

- Dwadzieścia jeden milionów - wtrąciła Lauren. - To nowy rekord za pracę żyjącego artysty.

- A teraz jeszcze ta sprawa z Saatchim - powiedział Finley.

Wypowiedział to tonem tak sensacyjnie ściszym, iż można by przypuszczać, że nawiązuje do jakiegoś skandalu miłosnego, a nie kłopotów w interesach grubej ryby londyńskiego świata reklamy - Charlesa Saatchiego. Na początku lat osiemdziesiątych Saatchi nabył dzieła współczesnych twórców. Jako że miało to miejsce jeszcze przed gwałtownym ożywieniem na rynku, artyści zezwolili Saatchiemu na gromadzenie ich prac, w nadziei, że zamierza on zorganizować wystawy w wielu muzeach świata, tak jak kiedyś uczynił to Armand Hammer ze swoją kolekcją. Niestety, przyciśnięty przez kłopoty finansowe Saatchi został zmuszony do sprzedaży prac niektórych artystów.

Nowi handlarze dziełami sztuki rzucili się na taką okazję, kupując hurtowo dzieła takich twórców jak Eric Fischl czy Anselm Kiefer, za które płacono ponad milion dolarów. Kiedy jednak wypuścili co dopiero nabyte od Saatchiego prace na rynek razem z nowymi dziełami tych samych artystów, gwałtownie obniżyło to popyt. Nie znalazła się bowiem wystarczająca liczba nabywców gotowych do płacenia sum przekraczających milion dolarów za jeden obraz. Okazało się, że wielu artystów nie było w stanie sprzedać swoich ostatnich prac. Saatchi się obłowił. Podobnie jak i handlarze. Zahamowało to jednak rozwój kariery wielu twórców.

Lauren sądziła, że się to wyrówna, kiedy rynek zostanie już nasycony. Przytakując Finleyowi i jego znajomym, zachowywała na ustach ostrożny uśmiech. Vora miała rację. Z wielu różnych powodów podjęli już decyzję o tym, że obrazy Irka nie spodobają im się.

Kiedy przy zamówionej butelce Tiramisu dyskutowali nad zaletami innych restauracji serwujących podobne do tutejszych potrawy i desery, Lauren próbowała pocieszyć się myślą o tym, że Ryan kupił już dwa obrazy do kolekcji Griffitha. Mimo to dręczyły ją wątpliwości. Ile to już razy była świadkiem tego, jak nieprzychylna krytyka potrafi zniszczyć największą nadzieję artystyczną? W oczach krytyków ożywione sceny stawały się frywolnymi. Poważne tematy - pretensjonalne. Żywe kolory - krzykliwe.

- A niech to! - odezwał się nagle Rutherford. - Muszę zmykać.

Kiedy wyszedł, Lauren zwróciła się do Finleya: - Muszę wkrótce wrócić do galerii. Dziękuję za lunch. Chciałabym, żeby dziś wieczorem był pan moim gościem. Mam bilety na Miss Saigon.

Umówiony na godzinę pierwszą Irek Makarow spóźnił się. Dr Denton Digsby, konsultant do spraw mass - mediów,



czekał ukryty w alkwie za dwustronnym lustrem z widokiem na recepcję. Kiedy Digsby miał spotkać się z klientem po raz pierwszy, obserwował go najpierw z ukrycia. Sposób, w jaki delikwent traktował recepcjonistkę, mógł powiedzieć mu tyle samo, ile najdłuższa nawet rozmowa.

Jako młody chłopiec, Digsby wszedł przypadkiem do pokoju, w którym jego matka oglądała w telewizji wielebnego Malcolma Oggstone. Właśnie zakończył on swój cotygodniowy program, zwracając się do swoich braci z prośbą o przysłanie jednego funta na jego adres, za co on odmówi modlitwę w ich intencji. Zdumiewające, ale matka właśnie tak uczyniła, ignorując to, że jej syn ma na nogach przechodzone buty, a spiżarnia jest pusta.

Digsby natychmiast dostrzegł możliwość poprawienia swojej sytuacji materialnej poprzez religię. Od tamtej pory nie zbaczał z drogi prowadzącej do celu, którym było kapłaństwo za pośrednictwem telewizji, gdzie mógłby modlić się za pieniądze. Pochłonięty ideą zawładnięcia falami radiowo - telewizyjnymi, Digsby zapisał się na korespondencyjny kurs religii.

Chwalcie Pana. Otrzymał tytuł doktora teologii, lecz był zbyt inteligentny na to, aby wierzyć, że kawałek papieru zapewni mu wejście do świata telewizji. Przez dwa lata oszczędzał zarobione pieniądze, po czym zapisał się na kurs telewizyjny. Kiedy w końcu przyszła jego kolej, stanął przed kamerą, aby przeciwiczyć pierwszą z wielu intratnych nauk. Zanim Digsby skończył pierwsze zdanie, składająca się z uczestników kursu widownia wybuchnęła śmiechem. Zrozumiał dlaczego, kiedy później oglądał taśmę z nagraniem swojego wystąpienia. Zaciśnięte oczy otoczone ciemnymi obwódkami ponad zarozumiale zadartym nosem - wszystko to czyniło go podobnym do szopa. Nikomu nie przypominał wyglądem apostoła. I nigdy nie będzie.

Rok 1958 był dla Digsby'ego rokiem rozczerowań, porównywalnym rozmiarem z boską inspiracją, jakiej doznał w roku następnym. Telewizja po raz pierwszy zaprezentowała relację z wyborów powszechnych do angielskiego parlamentu. BBC ponadto relacjonowała przebieg debaty pomiędzy Nixonem a Kennedym. Zhipnotyzowany Digsby wpatrywał się w ekran, kontemplując wszechwładną moc kamery telewizyjnej. Jedyne, prawdziwego boga.

Zaoferował swoje usługi - bezpłatnie, ponieważ brak mu jeszcze było doświadczenia - Wilberowi McCallisterowi, właścicielowi sieci sklepów znanych pod nazwą „Stópki Mootzie”, znajdujących się na stacjach kolei podziemnej. Wilber pojawił się na ekranach telewizyjnych, zachwalając swoje najnowsze przedsięwzięcie - Sox Trot. Zlokalizowane również na stacjach metra, w pomieszczeniach wielkości dziupli, sklepy te sprzedawały wyroby z nylonu, w tym męskie skarpetki - po niskich cenach.

Z wypiekami na twarzy, McCallister stanął przed kamerą w przyciasnym fraku i w duszącej szyję białej koszuli. Jego afektowany akcent wychowanka szkoły w Eton nie oszukał nikogo. Odzew był nikły. Nikt nie chciał niczego kupować od sprzedawcy skarpetek o twarzy w kształcie buta. Digsby spędził z McCallisterem wiele godzin, ćwicząc z nim w jednym z wielu studiów BBC, z którego mógł korzystać dzięki wstawiennictwu znajomego. Ubrał McCallistera w zwykłe ubranie robocze - takie, jakie mogli nosić jego klienci - i polecił mu zrezygnować z naśladowania akcentu wyższych sfer. „Frontem do klienta” - stało się dewizą Digsby'ego. McCallister nie sprzedawał przecież swoich tandetnych butów i skarpetek rodzinie królewskiej. Po cóż więc miałby udawać, że tak jest?

Kiedy poprawione reklamy zaatakowały ponownie ekrany telewizyjne, sprzedaż gwałtownie wzrosła. Kariera Digsby'ego

wystartowała do wysokiego lotu razem z butami i skarpetkami. Od tej pory udzielał rad zdruzgotanym w wyborach politykom, a także przebiegłym członkom parlamentu, którzy oglądając Kennedy'ego odkryli nowe słowo: charyzmat.

Z upływem lat jedynie prawdziwy bóg był obdarzany ciągle wzrastającym zastępem wyznawców. Możliwości filmowego przekazu z wydarzeń na skalę masową, a także trzydziestosekundowe ochłapy informacyjne zastąpiły tradycyjną sztukę dziennikarską. Digsby rozszerzył zakres swoich konsultacji poprzez zatrudnienie ekspertów do pisania przemówień, znawców garderoby i makijażu, a także osób do badania opinii publicznej.

Digsby spoglądał właśnie na otwierające się drzwi do recepcji. Pojawiła się w nich piękna brunetka, za którą ciągnął się krepły mężczyzna z wystrzepionym, ociekającym deszczem parasolem. Mężczyzna rzucił spojrzenie w kierunku zawieszzonego nad biurkiem recepcjonistki obrazu Chagalla.

- Nazywam się Vora Leighton, a to jest Irek Makarow. Jesteśmy umówieni z drem Digsbym na godzinę pierwszą.

- Na dzisiaj? - zapytała z udawanym zdziwieniem recepcjonistka.

- Tak. Przepraszam, że się spóźniliśmy. Deszcz... Recepcjonistka przerzuciła wykaz umówionych wizyt, jak gdyby nie miała zielonego pojęcia, z kim ma do czynienia. Vora spojrzała przez ramię i przepaszająco uśmiechnęła się do Irka. A więc to tak - pomyślał Digsby z rozbawieniem.

Recepcjonistka opuściła pokój sprawiając wrażenie, że zamierza wyjaśnić powstałe zamieszanie.

- Aha! Nie zapomnij zadzwonić do mnie, jak tylko ukończysz ten portret, na który wszyscy czekamy - odezwała się Vora, w oczywisty sposób starając się odciągnąć uwagę

niezadowolonego Irka od zamieszania powstałego wokół ich wizyty.

Jego nachmurzona mina złagodniała, kiedy popatrzył na nią i powiedział:

- Zadzwoń w tej samej minucie, kiedy skończę. Już prawie skończyłem.

- Świetnie. Chcemy to umieścić w katalogu i przygotować miejsce na wystawie - obdarzyła go jeszcze jednym szczerym uśmiechem, po czym zaniepokojona spojrzała na drzwi prowadzące do pomieszczeń biurowych.

Recepcjonistka powróciła mamrocząc słowa przeprosin. Odpowiedzialny za przygotowanie wizyty urzędnik czegoś nie dopilnował. Trudno teraz o przyzwoity personel.

- Panie Makarow, proszę wejść do gabinetu. Dr Digsby zaraz pana przyjmie.

Zwróciła się do brunetki:

- Dzwoniła pani Winthrop. Chce z panią natychmiast porozmawiać.

Pozostając w ukryciu za lustrem, dr Digsby przypatrywał się rozmawiającej przez telefon Vory.

- Lauren? Czy coś się stało?

Głos Vory podniósł się o jedną oktawę. Przez chwilę słuchała w milczeniu.

- Nie mam nic przeciwko temu. Jeżeli ma to pomóc Irkowi, jestem cała za tym. W porządku, weź z sobą Finleya. Już raz widziałam to przedstawienie... Właśnie przed chwilą rozmawiałam o tym z Irkiem. Obiecał, że da mi znać, jak tylko skończy obraz.

Digsby poczekał, aż Vora zostanie odprowadzona do jego prywatnego gabinetu na wstępną rozmowę. Wchodząc tam po chwili zauważył na twarzy Vory Leighton nieco zbyt promienny uśmiech i podejrzliwe spojrzenie Rosjanina, który wcale nie próbował tego ukrywać. Przedstawiając się, Digsby

nie wyciągnął ręki na powitanie. Unikał dotykania kogokolwiek - w dzisiejszych czasach ostrożność nie zawadzi - z wyjątkiem własnej żony, która pracowała w recepcji od chwili, kiedy otworzył swoje pierwsze biuro.

- Panie Makarow, proszę mi powiedzieć, co pan zrobi z tymi wszystkimi pieniędzmi, które pan zarobi na wystawie?

- Kupię porsche - odpowiedział bez wahania. Digsby całkowicie to rozumiał. Człowiek potrzebuje w życiu pewnych materialnych rekompensat.

- Co, pana zdaniem, będzie pana najpoważniejszym kłopotem, zakładając, że się panu powiedzie?

Z kieszeni poważnie znoszonej marynarki Irek wyciągnął zegarek i podał go Digsby'emu. Na zbyt dużej tarczy widniała tandetna miniatura olejnego obrazu Marca Chagalla „Józef Pasterz”, tego samego, który Digsby zakupił do recepcji w swoim biurze.

- Komercjalizacja to wróg każdego artysty. Wiele wiele za dużo dla syna Rosji. Nie przyzwyczajony do kapitalistycznych igrzysk. Uderza do... - pokazał palcem na głowę.

- Wierzę, że pan pokaże mi sposób, w jaki panu pomóc, panie Makarow. Ale musi pan postępować dokładnie tak, jak panu powiem.

Rosjanin ściągnął brwi tuż nad nosem. Znamionowało to przezorność, ostrożność.

- Zrobi dokładnie tak, jak pan powie - wtrąciła Vora. Irek rzucił na nią spojrzenie spod oka. Odpowiedziała mu jeszcze jednym pełnym zachęty, gorącym uśmiechem.

- Ryan uważa, że to dobry pomysł.

- Zrobię, jak pan mówi - zwrócił się Irek do Digsby'ego.

- Znakomicie. A więc, co pan robi ze swoim akcentem?

- Chodzę codziennie do nauczyciela. Ćwiczę wieczorami łamańce językowe: The city sheriff shoots silver six - shooters. Powtarzam bez końca - tak szybko, jak mogę.

Biło to na głowę wszystkie inne powiedzenia, jakie Digsby zazwyczaj słyszał.

- Proszę zaprzestać brania lekcji. Proszę ćwiczyć rozmawiając z możliwie jak największą liczbą różnorodnych osób. Częściową przyczyną tego, że pana angielski nie jest poprawny, jest to, że pracował pan w miejscu, gdzie nie było okazji do rozmowy.

Zignorował pytające spojrzenie Vory i ciągnął dalej:

- Proszę jak najczęściej oglądać wiadomości w telewizji. A następnie - patrząc do lustra - powtarzać to, co przed chwilą pan usłyszał.

- Udawać, że jestem w telewizji?

- Tak. Bo wkrótce pan będzie. Proszę zawsze pamiętać o tym, aby patrzeć prosto do kamery. Spoglądanie w bok stwarza wrażenie, że albo ma pan coś do ukrycia, albo że pan kłamie.

Wstał i zaprosił gestem Irka, aby mu towarzyszył.

- Teraz uda się pan do mojego studia. Zajmą się tam panem moi ludzie. My zostaniemy tutaj.

Kiedy Rosjanin opuścił gabinet, Digsby zapytał:

- Pani Leighton, czy jest pani zakochana w Irku? Spuściła oczy.

- Tak - przyznała po chwili.

- Proszę więc przyjąć moją bezinteresowną radę. Proszę się pozbyć tych sztucznych włosów. Ich długość nie powinna sięgać poza podbródek. Naturalne, podskakujące loki. Jeżeli musi je pani ondulować, niech przynajmniej będą miękkie, sprężyste.

Spojrzał przez okulary, mrużąc oczy nie po to, aby lepiej widzieć, lecz żeby ukryć okalające je ciemne podkowy.

- Co pani ukrywa pod całym tym makijażem?  
- Piegi. Całe mnóstwo piegów.  
- Doskonale. Proszę ich nie ukrywać. Może używać pani lekkiego różu i lekko pociągnąć rzęsy. I to wszystko. Rozumie pani? I niech się pani tak nie stroi. Moje rady to dla pani zbawienie.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Irek będzie mnie... bardziej lubił?

- Bóg raczy wiedzieć.

- Czy mogę teraz do niego wejść? - zapytała.

- Nie. Musi sam stawić czoło tym buldogom. Widząc jej grymas, wyjaśnił:

- Tak właśnie nazywam swój personel - buldogami. Będą go szturchać, pakować mu kamery i mikrofony prosto w twarz i zadawać najbardziej chamskie, najbardziej osobiste pytania, jakie tylko można sobie wyobrazić. Napęlnią strachem bożym każdego.

Vora roześmiała się aksamitnym śmiechem, po którym Digsby poznał, że musiała kształcić się w ekskluzywnej szkole, prawdopodobnie za granicą.

- Irka nie da się wystraszyć. Był w więzieniu.

- Nigdy nie miał do czynienia z brytyjską prasą.

- Spierdalaj! - rozległo się w wytworknym biurze, kiedy Irek z furią otworzył drzwi.

Vora podskoczyła na równe nogi.

- Co się stało?

Irek pomachał Digsby'emu przed nosem zaciśniętą pięścią. Digsby nie ruszył się z miejsca. Pan był z nim.

- Nazywają moją matkę piczką. Mówią, że rozstawia nogi dla każdego z Politbiura. Kłamstwo. Kłamstwo.

- Proszę usiąść, panie Makarow - powiedział Digsby. - Proszę pozwolić sobie wytłumaczyć, jak działa Pan.

Ryan stał przy roverze na przełęczy Tizi N'Tichka ponad Marrakeszem i patrzył w kierunku zachodnim, osłaniając oczy przed promieniami zachodzącego słońca ubraną w rękawicę dłonią. Daleko w dole czerwony piaskowiec otaczający równinę Marrakeszu zlewał się w delikatny rumieniec. Lasy z drzewami tui i wiecznie zielonego dębu, których korony tonęły w gąszczu różowych oleandrów, okalały wijącą się nieskończonymi serpentynami drogę. Ksoury - warowne wioski Berberów zawieszane na wyniesionych w górę cyplach - trzymały się kurczowo swoich niedostępnych dla nowoczesnego świata górskich enklaw. Pokryty zaroślami teren ustępował na szczytach gór krajobrazowi księżycowemu w postaci żółtobrunatnych głazów i sterczących wieżyczek skał, które wynurzyły się gwałtownie spod powierzchni ziemi przed wiekami.

Prostopadłe urwiska i niebezpieczne skarpy wyznaczały drogę z przełęczy na szczyt. Zbudowana przez Francuzów w czasie sprawowania przez nich władzy nad Marokiem droga umożliwiała im kontrolę nad krajem aż do najbardziej oddalonego na południe regionu. Trasa prowadząca przez góry Atlas, stanowiące od wschodu naturalny bastion dla Sahary, pozostawała od czasów biblijnych pod stałą kontrolą nieujarzmionych Berberów.

Kiedy Francuzi wycofali się, ta góraska droga straciła nieco na ważności. Będąc nadal linią życia, prowadzącą do doliny Draa i granicy z Algierią, droga była rzadko uczęszczana, nie licząc wędrujących na koniach Berberów i ciężarówek wywożących mangan, na który w czystej prawie postaci natrafili budujący drogę Francuzi. Prowadziła ona do odległego Ouarzazate - ostatniej placówki cywilizacji przed bezlitosnymi piaskami Sahary.



Ryan owinał się szczelnie burnusem, zabezpieczając się przed oczekującym go na szczycie chłodem, po czym wsiadł do rovera. Nie spoglądając już za siebie na bujną roślinność zachodniego Atlasu, skierował się na wschód wzdłuż nagich krawędzi i wąwozów smaganych od stuleci przez niesiony wiatrem piasek.

Sprawdził godzinę na swoim Concordzie. W Londynie było po południu. Co też robi Lauren? Mężczyzna, który nie potrafi przestać myśleć o kobiecie, może wpaść w niezłe tarapaty. Spędzona z nią noc wydobyła z Ryana coś, co zalegało w nim głęboko, a czego istnienia zupełnie nie podejrzewał. Lauren prowokowała go. Była tajemnicza i ulotna. Albo całkiem zdezorientowana.

Przede wszystkim potrafiła niezłe kłamać. Nie powiedziała prawdy o tym, co oznacza dla niej „Północ w Marrakeszu”. Stwierdziła, że jest to sprawa osobista. Do diabła, miała chyba rację. Nie musiała nikomu niczego wyjaśniać. Miała prawo do swoich tajemnic. Niezależnie od tego, jak bardzo Ryan chciałby je poznać. Może właśnie dlatego tak bardzo go intrygowała. Większość kobiet była łatwa do przeniknięcia. Ale nie Lauren.

Na dwóch kołach rover pokonał kolejny ostry zakręt. Ryan z całą siłą nacisnął na hamulce, aby uniknąć zderzenia z konnym patrolem Berberów przecinającym drogę. Odziani w obszerne białe suknie, zakrywające także część końskich zadów, jeźdźcy pozdrowili Ryana wzniesionymi jedną ręką poziomo ponad głowami karabinami o długich lufach. Ryan odpowiedział uśmiechem i uniesionym ku niebu ramieniem z połyskującym w słońcu należącym do niego waltherem.

Berberowie podążający do Telouetu - wioski, która znajdowała się nieco poniżej szczytu - należeli do najbardziej nieprzejednanego w całym regionie klanu Glaoui. Ryan przypomniał sobie ten dzień przed blisko piętnastu laty, kiedy

po raz pierwszy ich zobaczył. Podróżował wtedy z T.J.; nie na wschód, lecz w kierunku zachodnim - z Algierii do Marrakeszu. Za jednym z ostrych zakrętów oddział Berberów z karabinami skierowanymi prosto w nich zastąpił im drogę.

- Cholera!

T.J. nacisnął pedał hamulca i rover zatrzymał się gwałtownie z piskiem opon. Pochwycił walthera PPKS. Lata włóczęgi po Afryce nauczyły ich utrzymywać broń w ciągłym pogotowiu. Ryan w skrytości ducha odmówił pierwszą modlitwę.

Trzymając automat skierowany na dowódcę, T.J. wyskoczył z samochodu, rzucając po arabsku ostre, gardłowe przekleństwa. Wódz wyszczerzył się do T.J. w uśmiechu, odsłaniając poczerńiałe resztki zębów, po czym pochwyciwszy karabin wychłostaną wiatrem dłonią, skierował go równoległe do ziemi, a następnie uniósł ponad głowę i zaczął nim wymachiwać. Pozostali, rechocząc, dołączyli do swojego wodza, unosząc karabiny ku lazurowemu niebu. Ryan ciężko westchnął z oczami wzniesionymi do góry, przeczesując dłonią zmierzwiłone włosy.

Berberowie poprowadzili ich z głównej drogi na wąski szlak wymyty przez wiosenne deszcze i spieczony w bezlitosnym afrykańskim słońcu. W Telouet T.J. i Ryana poczęstowano miętową herbata i potrawą z mechoui - pieczonego mięsa koziego, tak twardego, że szczęka dokuczała Ryanowi przez następne dwa dni.

Później, w drodze do Marrakeszu T.J. wyjaśnił, że pokaz siły zawsze budzi respekt. Następnie wygłosił swoją zwyczajową tyradę na temat rozkładu Zachodu w obliczu zbrojących się komunistów. Jego pokolenie zwycięsko walczyło w Bitwie o Anglię; pokoleniu Ryana zagrażała Bitwa o Gówno. Ryan potakiwał, lecz tego nie słuchał.

Od czasu, kiedy zaczął pracować dla T.J., spędzili razem wiele godzin na wspólnych rozmowach. Chociaż nie chciał tego otwarcie przyznać, zgadzali się w większości poruszanych tematów. Blondynki, dobry gin, hazard. Oraz szybkie samochody. Ryan kupił sobie używanego astona - martina virage, takiego, jakim jeździł James Bond w Doktorze Noe.

Ryan zabrał kiedyś na ten film matkę - uwielbiała Seana Connery - i przyrzekł jej, że któregoś dnia będzie miał taki samochód jak Bond. Nie śmiała się z niego; zawsze zachęcała go do realizowania marzeń.

Życie w Anglii podobało się Ryanowi. Nie tylko był prawie Brytyjczykiem, lecz nie czuł się zbyt zobowiązany wobec kraju, który wysłał ludzi do Wietnamu, a następnie odwrócił się do nich plecami. Nauczył się nawet jeść breję z mielonego mięsa, ziemniaków i kapusty i przesiadywać w pubach gawędząc, pijąc ciepłe piwo i grając w strzałki. Zainteresowanie polityką przeciętnego napotkanego na ulicy Anglika, na bieżąco poinformowanego o wynikach głosowania w Parlamencie, uznał za zjawisko świadczące o przewadze, jaką w tym względzie Anglia miała nad Ameryką, której przeciętny mieszkaniec miał wszystko w głębokim poważaniu.

Nie podzielał jednak obsesji Brytyjczyków na punkcie błazeńskiego schlebiania rodzinie królewskiej. W przeciwieństwie do „Timesa”, którego subtelny, ironiczny ton odpowiadał Ryanowi, dziesiątki nędznych brukowców hałaśliwie rozgłaszały „poufne wiadomości” z życia wyższych sfer. Boże, chroń królową od krewnych. Ryan nie potrafił jednak ominąć stoiska z gazetami, nie otwarłszy uprzednio jednej z nich na trzeciej stronie, której główną atrakcją była pozbawiona górnej części garderoby piękność.

Ryan nie był już tym niedojrzałym dzieciakiem, który wtedy w Crockfords dołożył T.J. Zmieniwszy się ogromnie, zajmował się teraz diamentowymi interesami Griffitha. T.J. jeszcze w czasie drugiej wojny światowej przewidział uzależnienie się świata od ropy naftowej. Zaciekła walka o źródła tego wartościowego surowca znalazła się także w planach wojskowych zarówno Japonii, jak i Niemiec. T.J. zdawał sobie sprawę, że urządzenia wiertnicze przyniosą zysk w czasie przewidywanego po wojnie ożywienia gospodarczego. Zaoszczędziwszy trochę pieniędzy, założył przedsiębiorstwo zajmujące się wytwarzaniem wiertel z końcówkami z diamentu dla krajów wydobywających ropę naftową.

Griffithowi nie były potrzebne czyste, jednokaratowe diamenty, dorównujące jakością klejnotom, używane do przedzierania się przez zlodowaciałe warstwy tundry czy najtwardsze podłoże skalne. Diament niskiej klasy, dostępny jedynie w formie sproszkowanej, w zupełności do tego wystarczał. Jednakże Griffith potrzebował stałych dostaw. Mógł je sobie zapewnić konwencjonalnymi metodami, to znaczy kupować hurtem surowe diamenty na centralnym rynku handlowym w Londynie. Jednakże tego nie czynił.

Zakładając firmę Griffith International, T.J. miał niezwykle napięty budżet i zmuszony był do nabywania proszku diamentowego poniżej starannie kontrolowanej ceny rynkowej. Udał się więc do źródła, gdzie zaczął kupować zanieczyszczone diamenty od afrykańskich „kopaczy”, którzy przemycali je z kopalń i sprzedawali poniżej wartości rynkowej. Zanim Ryan pojawił się w Londynie, T.J. był już fantastycznie bogaty. Mimo to nadal upierał się przy omijaniu ustalonych rynków i poszukiwaniu źródeł diamentów na własną rękę.

Początkowo Ryan sądził, że Griffith jest skąpy, ale już po niedługim czasie zdał sobie sprawę z tego, że T.J. nie może oprzeć się wyzwaniu do współzawodnictwa. Zasięg rynku ciągle się zmieniał, ponieważ światowy zarząd sprawujący ścisłą kontrolę nad handlem diamentami powodował swoimi decyzjami wyłączenie z interesu tych dostawców, którzy próbowali działać poza oficjalnym systemem. Dla T.J. nie miało to znaczenia. Nowe źródło zawsze rekompensowało utratę dotychczasowego.

Ryan nie miał nic przeciw przesiewaniu miki, w której formowały się diamenty, czy też sprawdzaniu piasku diamentowego, miał też jednak własne marzenia. Nie zakładał w nich spędzenia całego życia w buszu na studiowaniu książek chemicznych przy skąpym świetle lampy naftowej. Nie było też w nich miejsca dla naprzykrzających się komarów wielkości helikoptera. T.J. dobrze mu płacił za przebywanie na afrykańskim odludziu i prowadzenie negocjacji z dostawcami. Ryan pomyślał, że któregoś dnia zaoszczędzi wystarczająco dużo pieniędzy, aby móc zacząć własny biznes. I podążyć za swoimi marzeniami.

- Nareszcie cywilizacja - T.J. wskazał ręką na majaczące w oddali miasto, wyłaniające się z czerwonej równiny jak jedno z Siedmiu Złotych Miast.

Ostatnie promienie słońca przesuwwały się po Marrakeszu, oświetlając kilometry brunatnoczerwonych murów bursztynowym światłem, podczas gdy muezzin intonował wieczorny hymn do Allacha. Była to pierwsza wizyta Ryana w tej niegdysiejszej fortecy Berberów. Spodziewał się ujrzeć jeszcze jedną zakurzoną oazę, a nie połyskujący klejnot, zacieniony tysiącem palm daktylowych pełnych kolorowych ptaków wyśpiewujących słońcu wieczorną pieśń pożegnania.

Zobaczył wszędzie ogrody tonące w kwiatach; tworzyły nieskończoną paletę barw na płótnie pełnym murów i

budynków z terakoty. Drgające fiołkowe dzakarandy długimi rzędami okalały bulwary, przywodząc na myśl Francję, a wysokie mury, typowe dla arabskich miast, pokryte były pnączami o delikatnych barwach albo otoczone dwumetrowymi żywopłotami z kwiatów. Wymieszanie się kultur w obrębie berberyjskich murów obronnych wokół medyny nadawało miastu egzotyczny czar.

- Czy Marrakesz jest położony na podziemnym źródle? - zapytał Ryan.

Płaskowyz, który właśnie pokonali, był zbyt suchy na tryskającą soczystą roślinność.

- Dawno temu jeden z paszów skierował wodę z gór Atlasu do Marrakeszu. Zbudował khettery - kanały podwodne z kamiennymi obramowaniami, które nadal zaopatrują miasto w wodę.

Zatrzymali się przed znakiem „stop” tuż za autobusem wypełnionym zawoalowanymi kobietami i mężczyznami w turbanach. Na górze antycznego pojazdu ulokowane były snopy słomy, spętane kozy i rowery. Pozostawiając za sobą tuman czerwonego kurzu i spalin, ten osobliwy wynalazek ruszył z głośnym sapaniem wzdłuż murów, nad którymi w równych odstępach wystawały wieżyczki i w których pojawiały się łukowe przejścia udekorowane płaskorzeźbami o geometrycznych kształtach. Podążali obwodnicą za autobusem, zanim T.J. znalazł wystarczająco dużo przestrzeni, aby go wyminąć.

- Największa medina w tym kraju - powiedział, zwalniając.

Ryan przytaknął.

- Czy wiesz, dokąd jedziemy, czy też mam szukać jakiejś konkretnej ulicy?

- Wiem. Mniej więcej - T.J. wskazał na kolejną bramę w kształcie łuku, prowadzącą do medyny. - Każda brama - bab -

ma nazwę. To jest Bab Ahmar. A my szukamy Bab Larissa. Armstrongowie mieszkają niedaleko tej bramy.

Odnalezienie Willi Armstrongów w pobliżu Jardin du Hartsi okazało się niezwykle łatwe. Kiedy w ubiegłym miesiącu spotkali się w Nairobi z Rupertem Armstrongiem, zostali przez niego zaproszeni do jego domu w Marrakeszu. Zatrzymując się u niego, mogli jednocześnie sfinalizować pewną transakcję.

- Cocktaile będą podane za godzinę - poinformował służący odprowadzając ich do pokoi, które mieli zajmować. Ubrany był w przewiązany szkarłatnym pasem biały uniform i dopasowany kolorystycznie do całości fez ze zwisającym chwastem, który poruszając się wydawał miarowy szeleszczący dźwięk.

Podążając za służącym marmurowym korytarzem, Ryan uważnie przyglądał się domowi. Była to willa w greckim stylu, pretensjonalnie opływająca w bogactwo. Służący wprowadził Ryana do pokoju z widokiem na lustrzany staw ozdobiony kwiatami o kolorze granatu. Po pierwszej od wyjazdu z Londynu gorącej kąpieli Ryan przyłączył się do stojącego na tarasie T.J.

- Niezłe miejsce - zauważył T.J., kiedy przechadzali się po przystrzyżonym ogrodzie obok wdzięczącej się do siebie przy marmurowej fontannie pary bażantów.

- Czyżby miało tu dziś odbyć się jakieś przyjęcie albo coś w tym rodzaju? - zapytał Ryan.

Ujrzawszy kilkunastu odświętnie ubranych gości, Ryan czuł się trochę nie na miejscu w swojej przewiewnej sportowej marynarce. A ponadto nie miał krawata. Oczywiście T.J. mógł pojawić się w sportowej marynarce, w której by spał od miesiąca, a i tak wyglądałby nadal jak żywa reklama wysokogatunkowej whisky.

- To jedynie kolacja. Nic szczególnego.

Nigdy nie przestało zdumiewać Ryana to, że bogactwo zupełnie Griffitha nie obchodziło. Do majątku doszedł sam. Był pewny siebie. Niewiele rzeczy materialnych robiło na nim wrażenie. A jeżeli chodzi o ludzi, to było takich jeszcze mniej.

Zamówiwszy jak zwykle Boodles z lodem, popijali powoli, rozkoszując się urokami cywilizacji. Spostrzegli spacerującego po tarasie i pozdrawiającego gości Ruperta Armstronga, który po chwili podszedł także ku nim.

Nienagannie obcięte ognistoczerwone włosy jeszcze bardziej uwydatniały bladość jego cery, która wyglądała jak wymyta. Cała jego twarz zdominowana była przez brązowe oczy, a znajdujące się nad nimi niezwykle jasne brwi były widoczne dopiero z bliska.

Kiedy Armstrong prowadził z T.J. pogawędkę, Ryan obserwował go w milczeniu. Nie umiałby powiedzieć dlaczego, lecz nie lubił Ruperta Armstronga. Miał po prostu takie odczucie. I wolałby, żeby T.J. nie zgodził się na eksport do Japonii tego całego fosforu, którym Armstrong handlował.

Po co komu to dodatkowe obciążenie? Nie mieli zasranego pojęcia o eksporcie nawozów fosforowych. Sami zresztą mieli mnóstwo pracy związanej z firmą Griffith International i wieloma inwestycjami, w które w ciągu tych lat T.J. włożył wiele pieniędzy. A co najważniejsze, T.J. z nie słabnącą pasją działał na rynku dzieł sztuki, a to wymagało czasu. Lecz T.J. upierał się przy tym, że potrzebuje spróbować czegoś nowego. Jasne jak słońce: wyraźnie się nudził.

- Chodźmy poznać nowych ludzi - odezwał się Armstrong, prowadząc T.J. w kierunku paplającej po francusku grupki gości.

Ryan wiedział, że Armstrong nie ma na myśli jego - traktował go jak lokaja - mimo to pociągnął za nimi. Niewiele osób zauważyło, że oczy Ryana są odwzorowaniem oczu T.J.



Być może dlatego, że T.J. był uderzająco przystojnym mężczyzną. I nie chodziło tu tylko o piękną twarz.

Otaczała go aura męskości, którą podziwiali inni mężczyźni, a która czyniła kobiety bezbronnymi.

Ryan wcale nie przejmował się swoim przeciętnym wyglądem. I tak otrzymywał swój udział. I nie obchodziło go to, że nikomu nie śniło się nawet, iż jest on synem T.J. Nie tylko nie byli do siebie podobni, lecz ponadto Ryan pojawił się na scenie jako osoba dorosła ze swoją odrębną tożsamością. Upierał się przy tym, aby T.J. zachował w tajemnicy istniejące pomiędzy nimi pokrewieństwo. On był synem Mary Bailey. Koniec. Kropka.

- Wasza Wysokość, czy mogę przedstawić pana T.J. Griffitha... - Armstrong zaczekał, aż T.J. mamrocząc słowa powitania ucałuje wyciągniętą dłoń kobiety - ... oraz jego asystenta, pana Ryana Westcotta? Panowie, Jej Królewska Wysokość księżna Zofia z Bułgarii.

Z Bułgarii? Jeszcze jeden pasożyt bez tronu. Europa była nimi przygnieciona. Wystarczy dopiąć tytuł do nazwiska i dalejże! - zaproszeń w bród. Nie potrzeba ucziwie pracować. Można próżniaczyć się przez całe życie.

- Wasza świątobliwość - zamiast złożenia pocałunku, Ryan potrząsnął jej dłonią, radując się w skrytości ducha rozbawieniem, jakie spostrzegł w oczach T.J.

Armstrong wymamrotał kilka frazesów do przysadzistej matrony, po czym przeszedł dalej, aby przedstawić T.J. i Ryana szeregowi posiadaczy tytułów bez konta bankowego. Jedyną nieco interesującą osobą wydał się być trzystufuntowy czarny mężczyzna odziany w śnieżnobiały wojskowy mundur, przyozdobiony złotymi wstęgami i epoletami. Król Tonga. Na szczęście Ryan pamiętał z lekcji geografii, że wyspy Tonga leżą na południowym Pacyfiku i naprawdę mają króla, w

przeciwnym razie mógłby powiedzieć coś zupełnie nieodpowiedniego.

- Zauważ - wyszeptał Ryan do ucha T.J. - że jedyną nie zachwycającą się postacią jest ta, która ma do dyspozycji własny - nieco inny od tego w kiblu - tron.

- Masz rację. To przyjęcie to prawdziwy paw. Zaraz po kolacji wyruszamy stąd do hotelu La Mamounia, gdzie trochę sobie pogramy.

- A tam - Armstrong znowu pojawił się przed nimi - jest bratanek sułtana Brunei. Chodźmy się przywitać.

Ryan opróżnił kieliszek i skierował się do baru po następną porcję ginu. Po chwili z nowym kieliszkiem w dłoni odwrócił się i zobaczył, że T.J. daje mu znaki, aby się do nich przyłączył. Doskonale. Właśnie tego potrzebował - Beduin, pretendent do tronu.

- Oto Jego Królewska Wysokość - rozpoczął Rupert, kiedy Ryan zbliżył się do nich, po czym nastąpiła długa na trzy zdania litania arabskich tytułów.

Ryan w myśli ochrzcił Araba imieniem Ali Baby, które znał z baśni czytanych mu przez matkę. Już miał go spisać na straty jako kolejnego królewskiego nudziarza, kiedy na małym palcu jego dłoni spostrzegł jedenastokaratowy diamentowy pierścień, a na drugiej ręce czystej próby rubinowy szafir. Ten facet miał pieniądze - czarne złoto.

- Wasza Wysokość - odezwał się Ryan.

Ali Baba uśmiechnął się szeroko i szczerze, ściskając dłoń Ryana. Nareszcie jakiś normalny facet.

Ryan miał właśnie zapytać, czy Ali Baba nie potrzebuje przypadkiem skorzystać z jedynej w życiu okazji zakupu wiertel, kiedy muzyka grana przez ukryte za kaskadą różnobarwnych pnączy kombo zamilkła w pół tonu. Oczy wszystkich zgromadzonych skupiły się na półpiętrze ponad

szerokimi schodami prowadzącymi z drugiego piętra na dziedziniec.

Stała tam bez ruchu zgrabna kobieta odziana w togę w kolorze zimnego błękitu. Promienie księżyca grały na jej jasnych włosach. Wyrzeźbiona z precyzyjną symetrią każda linia, każda płaszczyzna jej twarzy wyrażała doskonałość. Wisiorek w morskim kolorze, przyczepiony do diamentowego naszyjnika rozplywającego się jak ciekły kryształ, odbijał kolor jej oczu. Diamentowa otoczka zawieszona pomiędzy piersiami szlachetnego kamienia połyskiwała światłem dochodzącym z dziedzińca.

Do cholery! Chyba się przejaśniało. Płynęła wolno po schodach, rozkoszując się towarzyszącą jej uwagą. Zatrzymała się w połowie drogi na dół. Blask zapalonych pochodni odbijał się na jej pięknej twarzy.

Do diabła. Mogłaby być jego matką. Może niewiele młodsza. Ryan popatrzył na T.J., który przyciskał do ust kieliszek z ginem, lecz wcale z niego nie pił.

- Amore mio ... amore mio - zaświergotał wysoki kobiecy głos za ich plecami. - Bella notte. Bella. Bella.

Ryan odwrócił się w chwili, kiedy do Ruperta podbiegła kobieta, objęła go za szyję i cmoknęła głośno w oba policzki pełnymi pomalowanymi ustami, których kolor współgrał z jego rudymi włosami. Atrakcyjna brunetka ubrana w purpurową suknię z jedwabiu, obwieszoną srebrem migotającym przy każdym ruchu falujących bioder, dumnie prezentowała sięgający do pępka dekolt odsłaniający piersi wielkości gór Atlasu.

- Sypiący się piasek - zauważył Ryan. - Wolę coś oryginalnego.

T.J. mruknięciem potwierdził tę opinię, lecz wcale nie patrzył na bliźniacze półkule. Jego oczy utkwione były w kobiecie nadal nieruchomo stojącej na schodach. Gładkie

jasne włosy, uczesane na klasycznego pazia, rzucały na jej twarz cień, który nie zdołał jednak ukryć zabijającego spojrzenia lodowatych niebieskich oczu skierowanych na tę włoską wywłokę.

- To na pewno Caroline Armstrong - T.J. nie odrywał od niej oczu.

Służący wręczył kobiecie kieliszek szampana. Nie ruszając się z miejsca, z kieliszkiem trzymanym w dłoni jak berło, czekała, aż Rupert uwolni się z oplatających go macek i podejdzie do niej. Ryan nie mógł stwierdzić, co wyszeptała Rupertowi do ucha, ale każdy głupiec musiał dostrzec, że była nieźle wpięprzona. Nie znosiła, kiedy ktoś wpychał się przed nią na scenę.

Rupert krążył wśród gości z Caroline trzymającą go pod ramię z dworską gracją. Kiedy przedstawił ją T.J., Caroline spytała go, czy nie zna kilkorga z jej przyjaciół będących członkami klubu Boodles. T.J. skłamał mówiąc, że nie zna nikogo. Rzuciła kilkoma innymi nazwiskami z ekskluzywnych klubów Londynu. Rezultat był podobny. T.J. ani trochę nie obchodziły niuanse dotyczące strojów, manier i klubów, które szufladkowały członków według zajmowanej pozycji społecznej. Mimo że miał w tych klubach wielu znajomych, jedynym, do którego wstąpił, był Crockfords. Caroline trąciła Ruperta łokciem i oboje przeszli dalej w kierunku tego bułgarskiego pasożyta. Caroline pochyliła głowę w hołdzie przed surową matroną.

Szereg melodyjnych uderzeń dzwonka oznajmił, że nadszedł czas kolacji. Goście udali się do salonu z pompą odpowiednią dla Buckingham Palace. Ryana posadzono obok Ali Baby, który mówił tylko po arabsku, naprzeciw T.J. i numerantki z Włoch o imieniu Lola Ciatti. Umieszczono ich przy tej części stołu, gdzie siedziała Caroline. Pomiedzy nimi a gospodynią znajdowała się jeszcze francuska para. Dzięki

nauce w szkole średniej i spędzeniu stosunkowo długiego czasu w Algierii francuski Ryana był zadowolający. Nie przyznał się jednak do tego, kiedy przedstawiono go dalekiemu krewnemu barona de Rotschilda, który wydawał się nastawiony na całonocną konsumpcję Chateaux Margaux i Haut Brion.

Sącząc wino, Ryan usadowił się wygodnie na swoim miejscu i obserwował uczepioną ramienia T.J. Lolę. Kiedy ich sobie przedstawiono, Ryan doszedł do wniosku, że Lola nie jest w jego typie. Zarówno on, jak i T.J. woleli długonogie blondynki. Figura Loli świadczyła o tym, że najlepsze dni ma ona już za sobą. Wykazywała tendencję do obrastania w tłuszcz po każdym następnym talerzu ravioli. Mimo to mrugnął do Ali Baby i łypnął okiem na szczelinę pomiędzy jej piersiami. Tylko raz. No dobrze, dwa razy. Trzy razy. Co jest, u diabła? Po trzech miesiącach w afrykańskim buszu był chyba nieźle wygłodzony.

- Yves Saint Laurent wprowadził się tutaj w zeszłym tygodniu - odezwała się Caroline do krewnego de Rotschilda.

Kogóż to obchodzi? Ryan popatrzył na Caroline i doszedł do wniosku, że nigdy do nikogo nie uśmiechnęła się szczerze. Z wyjątkiem własnego odbicia w lustrze.

Lola przyssała się do ramienia T.J., prezentując mu częste fotograficzne zbliżenia swoich piersi. Nie mówiła zbyt wiele po angielsku i jeszcze mniej po francusku, mimo to nie ustawała w szczebiocie skierowanym do T.J.

W czasie zdawkowej wymiany uprzejmości po arabsku z Ali Babą - nie potrzebował żadnych wiertel - Ryan przysłuchiwał się temu, co mówiła Caroline.

- Musimy jutro odwiedzić hrabinę de Breteuil w jej willi Taylor. Pokaże panu wieżę, na którą Churchill kazał wnieść prezydenta Roosevelta, aby mógł obejrzeć zachodzące nad górami słońce.

- Quand est - ce que ca s'est passe?

- Wydaje mi się, że w 1942, po konferencji w Fezie - odpowiedziała Caroline.

„W czterdziestym trzecim” - Ryan skorygował w myśli. Musiało to być po konferencji w Casablance. Nie przestawał przysłuchiwać się Caroline, która rzucała nazwiskami jak z rękawa. Przypominała mu te wszystkie ptasie mózdzki przychodzące do jego matki z ubraniami do poprawki. Przepełnione dumą, zasypywały matkę nie posiadanymi pieniędzmi poprzez wymienianie wielkich nazwisk. Puste dziwki. Tak jak Caroline Armstrong.

Zdegustowany Ryan przeniósł uwagę na flirtujących Lolę i T.J. Czyniła dwuznaczne uwagi, które wraz z ilością wypitego wina zamieniały się w sprośne żarty. Ryan zrozumiał natychmiast: Lola chciała wskoczyć do łóżka T.J.

Ali Baba drzemał, kiedy kelnerzy podali trzecie z kolei danie. Lola oznajmiła wszystkim, że to potrawa mączna, której czarny kolor powstał w wyniku połączenia czarnego barwnika z grysikiem.

- Puta nesca - włosy dziwki - Lola zachichotała znacząco.

Ryan skorzystał z okazji, aby powiedzieć, że nigdy nie je niczego czarnego, po czym odłożył na bok widelec i słuchał, jak Caroline wznosi toast na cześć pieprzonych żabich udek. Przechylając się ponad stołem, wznosił kieliszek w kierunku Loli i powiedział ściszym głosem:

Acqua fresca,

Vino puro Fica stretta, Catzzo duro.

Lola zaniósła się śmiechem tak głośnym, że Ryan poczuł dzwonięcie w uszach. T.J. zarumienił się. Ali Baba podskoczył na baczność, kierując spojrzenie na piersi Loli, po czym wznosił oczy ku niebu i wymamrotał coś do Allacha.

- Błagam, proszę powiedzieć, to coś śmiesznego? - Caroline zwróciła się do T.J.

- To tylko toast - T.J. odpowiedział gładko, nie zadając sobie trudu, aby na nią spojrzeć.

- Proszę dla nas powtórzyć.

T.J. powtórzył toast po włosku z szybkością rewolwerowca, trzymając wzrok utkwiony w kieliszku.

- Czy mógłby pan powiedzieć to po angielsku? - poprosiła Caroline, najwyraźniej poirytowana.

Ryan stłumił śmiech.

- Nie da się przetłumaczyć - odpowiedział T.J. - W każdym razie nie dosłownie.

- Proszę się postarać.

Tym razem Ryan parsknął śmiechem, na co T.J. kopnął go pod stołem.

- Świeża woda - zaczął T.J. - klarowne wino, wyprostowane koguty i miłe kotki.

Patrząc na zakłopotany grymas Caroline, Ryan z trudem tłumił śmiech. T.J. poprawnie przetłumaczył fragment o wodzie i winie, ale zmienił część o twardych kutasach i zwartych cipkach.

- Kotki? - zapytała Lola. - Kotki?

- Kizia - wyszeptał T.J.

- Kii - zia? - Lola powiedziała to tak donośnym głosem, że aż król Tonga, siedzący po przeciwnej stronie, odwrócił się ku nim. - Kii - zia?

Baba Jaga uśmiechnął się, błyskając złotem zębów, które musiały kosztować fortunę. Było to jedyne słowo, jakie znał. Popatrzył na potężne półkule Loli. Lola tymczasem raczyła ich głośną opowieścią o tym, jak jej „kii - zia” zapodziała się w paryskim hotelu Ritz. Pognała za nią do klubu hotelowego, ale nie mogła jej znaleźć z powodu tych wszystkich tańczących. Kiedy ją w końcu odnalazła, kii - zia zdążyła już poczęstować się egzotyczną rybką z akwarium.

Ryan zauważył, że Caroline nie spuszcza oczu z T.J. Wiedziała, że sobie z niej zakpiono, i wcale jej się to nie podobało. Fatalnie. Zapierająca dech w piersiach uroda nie jest w stanie ukryć natury poskramiacza męskich jaj. Była typem kobiety zdolnej zamienić mężczyznę w kamień jednym słowem lub lodowatym spojrzeniem. Ryan wołał kobiety z zabawnymi iskierkami w oczach i gotowe do śmiechu. Dziwki takie jak Caroline Armstrong nie stanowiły dla niego wyzwania. W przeciwieństwie do T.J. Dla niego cały świat był wyzwaniem, ryzykowną grą.

T.J. zareagował na opowiadanie Loli serdecznym śmiechem. Zapytał ją, czy ma kizię przy sobie. Z całą pewnością - Ryan gotów byłby się o to założyć. Lola powiedziała, że zatrzymała się w hotelu La Mamounia, i gotowa była pokazać T.J. swoją „kii - zię”. Ryan, który tłumaczył Ali Babie do ucha treść tej rozmowy, dodał także ten ostatni fragment. Ali Baba zaproponował, że się do nich przyłączy, aby sprawdzić, jak też wygląda ten sławny kociak.

Caroline patrzyła teraz na całą czwórkę, ale Lola była zbyt wstawiona, aby to zauważyć, a Ryana nic to nie obchodziło. Ali Baba był zbyt zaabsorbowany piersiami Loli, aby zwracać uwagę na Caroline, a T.J. spoglądał w inną stronę. Kątem oka Ryan obserwował Caroline. Nie była przyzwyczajona do tego, aby przystojni mężczyźni bawili się jej kosztem.

- Nie cierpię kociaków - stwierdziła Caroline ze wzrokiem wycelowanym w T.J. - Moja córka miała kiedyś kotka, ale się go pozbyłam. Zapach kociego wychodka był wręcz ohydny.

- Kii - zi cooo?

Całe towarzystwo zatrzęsło się od śmiechu. Z wyjątkiem Caroline. Wstała od stołu z uśmiechem męczennika na twarzy i przemaszerowała przez salę jak królowa opuszczająca towarzystwo swoich nieokrzęsanych poddanych. Lola



ponownie zakiiizowała, ośmieszając królewskie wyjście. Ryan skrzywił się z przekąsem. Co za sztywna dupa.

Po kolacji wszyscy poza Caroline udali się do La Mamounia, aby spróbować szczęścia przy stołach do gier hazardowych. T.J. i Ryan grali razem, podczas gdy Ali Baba próbował szczęścia na górze. Z Lolą.

Następnego wieczoru, kiedy chcieli wymówić się ze wspólnej kolacji, Rupert nie chciał o tym słyszeć. Tym razem T.J. posadzono przy stole tuż obok Caroline. Po kolacji T.J. poczuł się zbyt zmęczony, aby iść ze wszystkimi do La Mamounia.

Udając się do pokoju z kieszeniami pełnymi wygranych pieniędzy, Ryan zatrzymał się przy drzwiach sypialni T.J. Kiedy już miał zapukać, usłyszał głos Caroline. Jezu! Trzeba to przyznać: nie było dla T.J. niepokonanych kobiet. Nawet takich jak Pani Sztywna Dupa.

- Lecę jutro z powrotem do Londynu - Ryan poinformował T.J.

Minęło już sześć tygodni od czasu, kiedy przybyli do Marrakeszu, aby sfinalizować fosforową transakcję z Rupertem Armstrongiem. Ryan był znudzony do ostatnich granic.

- Mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Ryan dokładnie wiedział, co powstrzymywało T.J. Wszystkie wątpliwości dotyczące eksportowego interesu z Armstrongiem zostały wyjaśnione. Pozostając tu tak długo, byli zmuszeni przenieść się do apartamentów w La Mamounia, skąd mogli kontaktować się z Londynem. Jediną przyczyną, dla której T.J. pozostawał w Marrakeszu, była Caroline Armstrong.

Nigdy nie wymienił jej imienia. Nawet jeden raz. Lecz Ryan wiedział. Każdego popołudnia T.J. wymyślał powody, aby wymknąć się do medyny i spotkać z Caroline. Wieczory T.J. spędzał w kręgach towarzyskich, gdzie mógł ją widzieć, podczas gdy Ryan grywał w La Mamounia.

Przez następnych sześć miesięcy Ryan nieustannie kursował między Londynem a Marrakeszem. T.J. był zbyt zajęty, aby wrócić do Londynu i pokierować swoimi sprawami, dał więc Ryanowi wolną rękę. W tym czasie Ryan prowadził interesy T.J. Powinien cieszyć się z ogromnej władzy, jaką posiadał, ale nie potrafił. Musiał w końcu przyznać przed samym sobą, że brakowało mu wspólnej tułaczki z T.J. Co też on zobaczył w Caroline Armstrong?

Pewnej nocy T.J. nieoczekiwanie pojawił się w Crockfords i odciągnął Ryana od ruletki, przerywając jego zwycięską passę.

- Przeprowadzamy się na stałe do Marrakeszu - T.J. poinformował Ryana, kiedy opuszczając klub przechodzili obok Mortona.

Ryan wręczył portierowi hojny napiwek.

- Przeprowadź się, jeżeli chcesz, ale ja zostaję tutaj. Poszukam sobie innej pracy.

- Chodźmy do ciebie i porozmawiajmy o tym. Ryan niechętnie przystał na tę propozycję; nie potrafił sobie wyobrazić, co takiego mógłby T.J. powiedzieć, aby skłonić go do zmiany decyzji. W trakcie tej sprawy stracił dla niego cały szacunek. Przyczyną, dla której T.J. chciał się przeprowadzić, była z pewnością Caroline Armstrong. Cóż takiego miała ona w sobie, czego brakowało jego matce?

Kiedy znaleźli się już w jego domu w Mayfair, Ryan nalał do kieliszków koniaku Hennessy Extra i podał T.J., po czym usiadł i czekał, co ten ma mu do powiedzenia.

- Kocham Caroline, i to bardzo, bardzo mocno. Wiem, że sprawia wrażenie zimnej, ale taka nie jest. Miała ciężkie życie.

T.J. przerwał, aby zaczerpnąć łyk trunku. Ryan pomyślał o swojej matce. Caroline Armstrong nie miała zasranego pojęcia, co to znaczy ciężkie życie.

- Pochodziła z bardzo ubogiej rodziny. Wyszła za Amerykanina, który pracował w tutejszej ambasadzie. Przeniesiono go do Tokio. Uwielbiała go, ale został zabity. Musiała wyjść za Armstronga, aby zapewnić utrzymanie swoim dwojgu dzieciom.

- A teraz ty się z nią ożenisz.

T.J. przytaknął. Ryan był zaskoczony. Prawie nie znał tej kobiety, ale mówiono w Marrakeszu, że każdym krokiem Caroline kieruje pasja wspinania się na kolejne szczeble drabiny społecznej. Ocierając się o śmietankę towarzyską, wyobrażała sobie, że sama jest księżną. Byłoby lepiej, gdyby przygotowała się do porzucenia tych wyobrażeń. T.J. z

pewnością nie zamierzał przesiadywać całymi dniami przy szklaneczce wina i obcałowywać szlachetnych monarszych tyłków.

- Jedź ze mną. Kupiłem willę. Możemy...

- Nie.

T.J. mocniej ścisnął kieliszek z koniakiem i popatrzył w głąb bursztynowej cieczy. Kiedy podniósł oczy, malowało się w nich zmartwienie.

- Pozostawmy otwarte biuro w Londynie. Ty będziesz nim kierował. Ja zajmę się tym, czym będę mógł, z Marrakeszu. Przyjedziesz, kiedy... kiedy uznasz, że jest coś, o czym musisz mnie powiadomić osobiście.

Stało właśnie na tym. Przez następne cztery miesiące Ryan rzadko rozmawiał z T.J. i ani razu nie pojechał do Marrakeszu. Kiedy rozmawiali przez telefon, głos T.J. nie brzmiał szczęśliwie, lecz Ryan nigdy go o nic nie pytał.

Zaszło jednak coś niespodziewanego i Ryan musiał polecieć do Marrakeszu, aby uzyskać podpis T.J. Dochodziło południe, kiedy wjechał na teren znajdującej się na obrzeżach miasta otoczonej wysokim murem posiadłości Griffitha. T.J. sam otworzył mu drzwi. Ryan wszedł do środka.

- Co się dzieje? Wyglądasz okropnie.

- Zaczyna mnie brać - wyznał. - Widuję się z Caroline jedynie wtedy, kiedy udaje jej się wymknąć z domu.

- Myślałem, że zamierza zostawić Armstronga.

- Tak, ale nie chce go zranić. Był bardzo dobry dla niej i dla jej dzieci. Czeka na właściwy moment, aby mu o wszystkim powiedzieć.

Chłopie, to było kilka miesięcy temu. Podając T.J. dokument do podpisu, Ryan uważnie mu się przypatrywał. T.J. wyraźnie się postarzał w ciągu ostatnich miesięcy. Włosy posiwiały mu jeszcze bardziej, a oczy utraciły zwykły blask.

- Chodźmy na lunch. Posiedzimy w jednej z tych bulwarowych kawiarenek i popatrzymy na dziewczęta.

Ryan już miał odmówić, lecz spojrzawszy raz jeszcze z uwagą na twarz T.J., zmienił zdanie.

Siedzieli w cieniu aromatycznych drzew pomarańczowych w kawiarence przy Alei Mohammeda V, popijali tutejsze vieux pape i obserwowali odziane w czerń zawołowane wyznawczynie islamu wśród kobiet ubranych w stylu zachodnim. Wkrótce nadszedł czas, kiedy T.J. miał spotkać się z Caroline.

- Zaczekaj tu - powiedział T.J. - Nie zabawię długo.

- Nie spotykasz się z nią u siebie?

T.J. przecząco pokręcił głową.

- Caroline nie chce ryzykować, że ją ktoś zobaczy, dopóki nie powie o tym Rupertowi. Przebiera się za tutejszą mieszkankę. Spotykamy się w naszym sekretnym miejscu w mellah.

W mellah? Sprytnie. Dzielnica żydowska chyliła się ku upadkowi. Nawet według standardu obowiązującego w medynie. Ostatnie miejsce, w jakim mogłaby pojawić się dama. Cholernie przygnębiające. Jak T.J. mógł tam chodzić każdego dnia?

Usytuowana wewnątrz mediny mellah została utworzona przez muzułmanów z prostego powodu: potrzeby odgrodenia się od Żydów. Pomimo że Koran gwarantował wolność wyznania, rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Przez wieki na Żydów nakładano surowe ograniczenia. Nie wolno im było nosić broni; wymagano, aby ubierali się w odmienny - wyróżniający ich sposób; obłożono dodatkowym podatkiem. Oczywiście nie wolno im było uczestniczyć w rządach. Często byli masakrowani albo przywiązanych do wielbłądów ciągnięto ich ulicami.

Wpływ Maurów, a później Europejczyków spowodował wzrost znaczenia żydostwa. Wykształceni własnym sumptem bardziej niż marokańscy muzułmanie, Żydzi w niedługim czasie zajęli się handlem, a później zakładaniem banków. Ich byt bardzo się poprawił po zajęciu Maroka przez Francuzów. Zaczęli zajmować ważne stanowiska w rządzie. Wykorzystując system bankowy i zamiłowania handlowe do nawiązywania kontaktów w Europie, z upływem czasu marokańscy Żydzi stali się bajecznie zamożni. Jednakże wraz z wycofaniem się Francuzów i utworzeniem Izraela większość z nich uciekła przerażona perspektywą państwa muzułmańskiego.

Jak się później okazało, Żydzi nie mieli się czego obawiać. Mohammed V, a także jego następca król Hassan bardzo cenili ich umiejętności i zachęcali do pozostania. Ci, którzy pozostali w Maroku, wycierpieli o wiele mniej niż Żydzi w innych krajach arabskich. Maroko znajdowało się najbliżej Zachodu, z dala od wzrastającego fundamentalizmu islamskiego i antyizraelskiego militarizmu na Bliskim Wschodzie. Mimo to obawy pozostały do dzisiaj. Zamożni Żydzi mieszkający w różnych częściach miasta byli posiadaczami francuskich paszportów. Na wszelki wypadek.

Dzisiejsza mellah była jedynie dzielnicą najuboższych, nie wykształconych Żydów. Kiedy Ryan - zgubiwszy się kilka razy w medinie - trafił do żydowskiej dzielnicy, przygłębił go widok panującej tam nędzy. Nie było mowy, żeby ktokolwiek miał tam szukać Caroline.

Przez następnych sześć miesięcy Ryan często odwiedzał Marrakesz, nieustannie powtarzając sobie, że T.J. go potrzebuje. Pewnego dnia, siedząc beczynnym w willi, zajął się sprawdzeniem dokumentów związanych z eksportem fosforu, którym na zlecenie Armstronga kierował z Marrakeszu na własną rękę T.J. Coś tu było nie w porządku.

Po latach afrykańskiej włóczęgi i stykania się z kanciarzami działającymi poza oficjalnym rynkiem diamentów, Ryan wykształcił w sobie szósty zmysł, jeśli chodzi o ukrywanie danych.

Od dłuższego już czasu bacznie obserwował wahania na rynku handlu minerałami, w tym także fosforem, i doszedł do wniosku, że Japończycy płacili Armstrongowi zbyt wygórowane ceny. Ryan nie powinien narzekać. Do ich kieszeni też wpływały niezłe sumy. Jednakże podejrzenia nie dawały mu spokoju, postanowił więc zbadać tę sprawę.

Kiedy T.J. wyruszył do mellah na swą tradycyjną popołudniową schadzkę, Ryan udał się do magazynu, aby obejrzeć kolejny transport rudy fosforowej. Skład znajdował się na wschód od medyny, niedaleko farbiarni, gdzie w zakopanych w ziemi miedzianych kadziach zanurzano czystą, nie uprzedzoną jeszcze wełnę. W budynku z ceglastej gliny panował półmrok, jednakże światło przeciskające się przez szczeliny w suficie wskazywało mu drogę. Sprawdził zawartość kilku skrzyń. Fosfor.

Wówczas zauważył na niektórych kontenerach znak X, którego brak było na innych. Odchyliwszy wieko, zanurzył rękę do środka. Na palcu osiadła zakrzepła krew. Dotykem wyczuł olbrzymi kieł słonia. Wyobraził sobie biedne, śmiertelnie ranne, lecz wciąż jeszcze żywe zwierzę, leżące w bezlitosnym afrykańskim słońcu - skóra słonia jest zbyt twarda, aby dopuścić do natychmiastowej śmierci - a obok odpiłowujących mu kły kłusowników. Rozwścieczony otworzył kolejną skrzynię ze znakiem X. I jeszcze jedną. Kość słoniowa. Mógłby się założyć, że pochodziła z rezerwatu Masai Mara w Kenii. W końcu przecież poznali Armstronga w Kenii, gdzie robił „interesy”.

Kraje afrykańskie miały w większości ustawy o przeciwdziałaniu kłusownictwu, lecz były zbyt biedne, aby

móc je ściśle egzekwować. Niewątpliwie Armstrong chciał wykorzystać panującą na rynku sytuację. Nie chciał jednak - gdyby coś miało wyjść niezgodnie z planem - wystawiać na szwank swojego nazwiska, zdecydował się więc zawrzeć kontrakt z T.J. na transport przemycanych towarów.

Japonia. Tak figurowało w dokumentach. Japończycy mieli niezaspokojony apetyt na kość słoniową. I płacili za nią najwyższą cenę.

Resztę popołudnia Ryan spędził na zmianie oznakowania skrzyń. Były teraz oznaczone jako przesyłka od spółki Armstrong Unlimited, a nie jak uprzednio Griffith International. Nie czekając, by poinformować T.J. o swoich zamiarach, wrócił samolotem do Londynu. Zmienił w komputerze akta dotyczące transakcji. Kiedy następnego dnia otworzono banki, Ryan przekonał kilka piękności z banku Barclays, aby pomogły mu wyjść z zaistniałej sytuacji.

Zadowolony z tego, że żaden ślad nie prowadził do Griffith International, a wszystkie znaki wskazywały na Armstronga, Ryan udał się do dra Dentona Digsby'ego.

Którejś nocy w Crockfords nieźle wstawiony członek Parlamentu zwierzył się Ryanowi, że zawdzięcza wybranie go na to stanowisko kaznodziei, który przeistoczył się w mistrza w wykorzystywaniu do swoich celów środków masowego przekazu. Najwidoczniej czarownik ten potrafił przemienić spotkanie przy kawie w wydarzenie publiczne. Kiedy Ryan wszedł do biura Digsby'ego, znajdującego się w okazałym budynku, goszczącym także pod swoim dachem królewskiego ginekologa wśród zastępu innych przepłacanych prywatnych lekarzy, ogarnęły go wątpliwości. Obawy jego wzrosły, kiedy po nazwaniu zezowatej, wychudzonej recepcjonistki seksowną dziewczynką o gorących usteczkach Digsby wpadł do recepcji jak lew wypłoszony z legowiska. Boski doktor był poważnie wpięprzony, ale uspokoił się, kiedy Ryan wytłumaczył mu, że



nie szuka zainteresowania mass - mediów, po czym przedstawił Digsby'emu nieprzyjemne fakty.

- Wielkie nieba! - odezwał się Digsby. - To się Panu nie spodoba. Nie po to nakazał Noemu, aby ten uratował Jego stworzenia umieszczając je parami w arce, aby teraz pozwolił na taką rzeź.

Ryan opuścił gabinet kanzodziei, nie bardzo wiedząc, czy ma posłać po ekipę z kaftanem bezpieczeństwa, czy też może jednak nie. Zachowując wiarę w to, że Digsby spełni jednak jego oczekiwania, postanowił jednocześnie ubezpieczyć się i zawiadomił Interpol.

Zanim zdążył zadzwonić do T.J. i poinformować go o tym, co zrobił, T.J. pojawił się w londyńskim biurze.

- Przeprowadzam się z powrotem.

- Dlaczego? - wypalił Ryan, zanim przypomniał sobie, że to nie jego sprawa.

- Dałem Caroline ultimatum - odpowiedział z żalem w głosie. - Ja albo Armstrong.

Podszedł do okna, które marznący deszcz pokrył cienką warstwą srebrzystego lodu, i wyjrzał na zewnątrz.

- Powiedziała, że kocha mnie bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek na ziemi. Ale że nie będę w stanie zapewnić jej pozycji społecznej, jakiej ona potrzebuje.

Mama poszłaby za tobą na koniec świata.

Ryan pozwolił T.J. zatopić się we własnych myślach aż do wieczornej kolacji w Crockfords. Wówczas powiedział mu o przemyśle kości słoniowej. T.J. nadal był zbyt zdruzgotany decyzją Caroline, aby powiedzieć coś więcej niż „Dobrze to rozegrałeś.”

- Czy ty nie rozumiesz, co do ciebie mówię? - zapytał Ryan, próbując dotrzeć do T.J., takiego, jakiego zawsze znał. Kochającego zwierzęta. Kogoś, kto nie daruje łatwo kłusownikom. - Armstrong polował nie tylko na dorosłe

okazy, zabijał również słoniatka. Dwie ze skrzyń zawierały kły o długości nie większej niż sześć cali. Jak sądzisz, jaka jest ich wartość?

- Takie małe? Mniej niż funt, około dwóch dolarów. Tylko większe kły są wartościowe.

- Właśnie. Powalał słoniatka pałkami, skazując je na powolną, męczeńską śmierć u boku ich zarżniętych matek - za mniej niż jednego funta.

T.J. z niedowierzaniem pokręcił głową; Ryan dobrze wiedział, o czym pomyślał. Zamiast niego Caroline wybrała takiego mężczyznę jak Rupert Armstrong. Ryan zważył w głębię charakteru T.J. Caroline była piękną, lecz płytką kobietą, niegodną miłości T.J. On sam musi to zrozumieć. Dla Ryana było to oczywiste od samego początku.

Prawda dotarła do Ryana nagle. Jak wybuchający granat. Po latach zwycięstw, niezliczonych podbojów, T.J. przegrał z kobietą. Tym, co przyciągało T.J., nie była jej uroda, lecz wyzwanie, jakie dla niego stanowiła. Czy T.J. był w stanie kochać prawdziwie, miłością trwającą przez całe życie? Taką, jaką darzyła go matka Ryana aż do chwili swojej śmierci? Taką, jakiej Ryan oczekiwał od kobiety?

Myśli Ryana przerwała uwaga T.J.:

- Mam nadzieję, że prasa porządnie dobierze mu się do skóry.

Tak też się stało. Nieodgadniony kaznodzieja spełnił oczekiwania. Relacje prasowe i telewizyjne z konfiskaty skrzyń Armstronga w Japonii przez Interpol trafiły na najważniejszy moment - nic innego nie działo się w tym czasie. Zimna wojna utknęła w martwym punkcie; Parlament nie miał na tapecie nic ciekawego; a nikogo z mieszkańców Windsoru nie przyłapano na potajemnych pieszczotach. Prasa zerowała na aferze kłusowniczo - przemytniczej przez wiele

miesiący. Armstrong wił się jak piskorz. Nie wiedział, o co chodzi. To jakaś prowokacja. To nie jego wina.

Digsby wyszukał kilka makabrycznych fotografii dla prasy brukowej, która rzuciła się na Armstronga jak sfera wściekłych psów. Atak objął nie tylko Ruperta, który od wielu już lat nie mieszkał w Zjednoczonym Królestwie, lecz rozszerzył się też na mieszkającą w pobliżu rodzinę.

Ryan musiał przyznać, że była to znakomicie zorganizowana intryga. Jedyną rzeczą przewyższającą presję społeczną jest poczucie winy wobec swoich bliskich. Ojciec Ruperta - Garrick Armstrong - wykupił w „Timesie” całą stronę po to, aby odciąć się od poczynań syna. Liczni przedstawiciele rodu Armstrongów odkryli nagle dawno zapomnianych krewnych i dodawszy drugi człon do nazwiska, stali się Armstrongami - Smythesami.

Najlepszą jednak rzeczą, jaka mogła się wydarzyć, było to, że BBC wysłała do Afryki ekipę filmową, która zrealizowała - przedstawiony następnie na całym świecie - film dokumentalny. Spowodował on, że tragiczny los słoni nie schodził z pierwszych stron gazet.

Ryan oczekiwał wielocyfrowego rachunku za ten hit informacyjny całego dziesięciolecia. Kiedy jednak żaden rachunek nie nadchodził, zatelefonował do biura Digsby'ego. Gorące usteczka recepcjonistki połączyły go ze słodkim doktorkiem.

- Dobry Pan nigdy nie żąda ofiary za obronę tych, którzy sami nie mogą się obronić.

- Amen - Ryan położył słuchawkę.

Po pewnym czasie T.J. wydawał się znowu być sobą. Nie wspominał nigdy o Armstrongach, jednakże Ryan zauważył, że T.J. nie poczynił żadnych kroków, aby sprzedać willę w Marrakeszu. Widocznie ciągle miał nadzieję na to, że Caroline zmieni swą decyzję.

Aby skierować uwagę T.J. na inne sprawy i rzucić mu wyzwanie, którego pragnął, Ryan zaangażował ich obu w poszukiwanie surowych diamentów o dokładnie określonych przez NASA cechach. Miały one znaleźć zastosowanie w amerykańskim programie kosmicznym. Dlaczego, u diabła, mieli się tym nie zająć? I tak tam siedzieli. Równie dobrze mogliby więc wyteżać oczy na potrzebne NASA diamenty.

Nie było to tak łatwe, jak oczekiwali. Konkurencja, szczególnie ze strony izraelskiej, była zaciekła. Wszyscy chcieli się załapać na tę akcję. W końcu znaleźli w Zairze trzynastokaratowy diament, który odpowiadał wymaganiom. Jedyne, co musieli teraz zrobić, to dostarczyć go do Ameryki.

Którejś późnej nocy w Zairze, na zewnątrz baraku uchodzącego za budynek dworca lotniczego Kisangani, czarny uzbrojony mężczyzna wyskoczył zza zaparkowanej ciężarówki i zażądał oddania mu diamentu.

W mgnieniu oka Ryan pochwycił napastnika.

- Uciekaj! - zdążył krzyknąć do T.J., zanim powalił atakującego na ziemię. Przycisnął go do ziemi i odebrał mu broń. Mężczyzna był zbyt ociężały, żeby stanowić jakieś zagrożenie. Co teraz z nim zrobić? Mógłby wypaplać policji o tym, że T.J. i Ryan wywożą diamenty. Byłaby to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyli. T.J. trzymał diament w aktówce. Od wielu pokoleń handlarze diamentów używali zwykłej, kilkakrotnie złożonej kartki papieru do przewożenia pojedynczych kamieni. Jako że nie miał pozwolenia na wywóz, T.J. ukrył diament w pojemniku po filmie.

Ryan postanowił, że będzie musiał przytrzymać tego człowieka do czasu, aż samolot z T.J. znajdzie się w powietrzu. W ten sposób, gdyby sprawa diamentu miała zostać poruszona, będą się liczyły jedynie zeznania jego i mężczyzny. Ruchem pistoletu nakazał napastnikowi powstać. Kiedy tamten ledwie stanął na nogach, rzucił się w kierunku

Ryana z nożem w ręku. Śmiertelne ostrze skierowane było prosto w jego serce. Ryan wystrzelił jedną serię i mężczyzna osunął się na ziemię. Krew trysnęła z niewielkiej rany na piersi i wsączyła się w spragniony afrykański piasek.

Natychmiast otoczył Ryana oddział policji w mundurach koloru khaki i charakterystycznych dla tropiku sięgających do kolan spodniach. Spojrzał w kierunku budynku dworcowego i ujrzał idącego mu na pomoc T.J. Ryan odesłał go z powrotem zdecydowanym ruchem głowy. Nie dostrzegał w swojej sytuacji żadnego problemu; był to bezsporny przypadek działania w obronie własnej.

Poważny problem jednak się pojawił. Nóż dziwnie gdzieś się zapodział i Ryan nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego zabił bezbronnego człowieka. Właśnie wtedy zrozumiał, że w młodości oglądał zdecydowanie za dużo telewizji. Nikt nie odczytał przysługujących mu praw. Nie pozwolono mu skontaktować się z adwokatem, ambasadą czy jakąkolwiek osobą. Sprawiedliwy proces - gówna prawda.

Policjanci zabrali go do betonowego budynku więziennego, którego okna stanowiły zakratowane szpary wielkości kilku cali mieszczące się pod sufitem. Ostry zapach równikowej wilgotnej gleby mieszał się z odorem śmieci, potu i ludzkich odchodów. Prowadzący go korytarzem strażnicy zatrzymali się przed znajdującą się w głębi więzienia celą o powierzchni kilku metrów kwadratowych. Przesuwający się po niewielkiej powierzchni strumień światła z latarek obudził dziewięciu mieszkańców celi. Niektórzy z nich wyglądali na zbyt chorych, aby móc się podnieść. Pozostali spoglądali drapieżnym spojrzeniem dzikich oczu, jakie Ryan zapamiętał u żołnierzy Viet - Kongu. Przyzwyczajeni do przemocy i śmierci, nie cenili sobie niczego. Wartość życia ludzkiego była dla nich pustym frazesem, ponieważ nie mieli żadnych wspomnień o szczęściu dnia wczorajszego, ani nadziei na

lepsze jutro. Śmierć nic dla nich nie znaczyła. Śmierć ich czy też jego.

Poczuł, jak ze strachu krew ścina mu się w żyłach, kiedy strażnicy otworzyli drzwi, wepchnęli go do dusznej celi i zostawili w całkowitej ciemności. W ciągu następnych kilku sekund pozostali więźniowie byli już na nim, szukając w kieszeniach jedzenia, próbując ściągnąć z niego ubranie, chwytając za jądra. Ryan walił dookoła obiema pięściami i kopał nogami jak karateka. W grobowej ciemności niektóre z ciosów dotarły do celu, inne trafiły w próżnię. Kroki wycofały się o kilka stóp, po czym nastąpił stek przekleństw w suahili. Ryan stał oparty plecami o drzwi; Wietnam nauczył go, jak ochraniać własny tyłek. Był przygotowany na kolejny atak, lecz ten nie nastąpił. Zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko kwestia czasu.

Zamglone, szare światło świtu stopniowo wypełniało celę. Przyklejony nadal do drzwi Ryan czekał. Mężczyźni zaczynali się poruszać. Ryan zrozumiał, że znajdują się w tej części więzienia, do której nie dociera normalne światło. Rozglądając się po mrocznej celi, starał się ustalić, kto jest tutaj przywódcą. Każde stado szczurów ma swojego. Doszedł do wniosku, że przywódcą musi być ten wysoki Murzyn z krzywymi zębami, z których część wystawała jak kły.

Mężczyzna ten dumnym krokiem podszedł do cuchnącego otworu w podłodze, który służył za ustęp, i wyciągnął kutasa. Ryan gwałtownie skoczył na niego. Jedną ręką chwycił za jądra mężczyzny i ścisnął je z ogromną siłą, drugą zaś zdusił go za grdykę. Wykorzystując ciężar swojego ciała, a także element zaskoczenia, przycisnął mężczyznę do ściany. Nadal ściskając mu jądra, kilkakrotnie uderzył jego głową o betonowy mur.

- Nikt nie odważy się mnie dotknąć, ty kutasie! Nikt. Rozumiesz?

Oczywiście Murzyn nie rozumiał znaczenia tego, co powiedział Ryan. Prawdopodobnie nie znał więcej niż kilka angielskich słów. Ale strach malujący się w jego oczach powiedział Ryanowi, że dotarła do niego wiadomość. Ryan uwolnił mężczyznę z uścisku i podszedł do wybranego miejsca w celi: siedząc w rogu byłby chroniony z dwu stron. Kilkoma kopniakami odsunął na bok zajmujących niewielką przestrzeń dwóch mężczyzn.

- Spierdalać z mojego miejsca.

Czmychnęli na bok i Ryan wcisnął się w róg. Wszystkie oczy w celi zwrócone były na niego. Białe gałki połyskiwały nienaturalnie w ich ciemnych twarzach. Myśleli pewnie, że jest obłąkany. Tym lepiej dla niego. Najlepszą obroną jest skuteczny atak.

Początkowo Ryan nie był zbyt mocno zaniepokojony. T.J. i on opracowali kiedyś plan działania na wypadek takich właśnie wydarzeń. Ten, komu udałoby się pozostać na zewnątrz, miał dotrzeć do właściwych ludzi. Łapownictwo dotarło już w każdy zakątek Afryki. Ludzie byli zbyt biedni, aby nie dać się skusić wizją łatwego zarobku. Lecz kiedy dni wydłużały się w tygodnie, niepokój jego narastał. Wyobraził sobie, że T.J. mógł zostać zabity, w przeciwnym razie musiałby mieć od niego jakieś wiadomości.

W końcu pojawił się przed nim przedstawiciel ambasady amerykańskiej z informacją, że oskarżono Ryana o morderstwo. Kiedy rozpocznie się proces, nie potrafił powiedzieć. Za kilka tygodni, miesięcy. Któż to może wiedzieć? Niestety, wiadomo, jak tutaj wszystko wygląda.

Ryan zdał sobie sprawę ze starań T.J., dopiero kiedy strażnicy zaczęli przynosić mu więcej jedzenia. Zdołali mu nawet podać małą kostkę mydła. Niewiele to pomogło. Jedyne dostępne prysznic był faktycznie niczym więcej jak tylko ciekącym kranem, z którego sączyła się pompowana wprost z

rzeki brunatna woda. Niewielu więźniów ryzykowało wizytę w łaźni; stanowiła ona zaproszenie do gwałtu. Nie dotyczyło to Ryana. Wykonał wystarczająco wiele numerów, aby nawet w tej grupie zdobyć opinię nie kwestionowanego świra. Nie korzystał jednak z kąpieli, wiedząc, że większość rzek afrykańskich zanieczyszczona jest larwami motylicy albo glist pasożytniczych. Powodującymi śmierć.

Dni stawały się tygodniami, a tygodnie miesiącami. Ryan bezustannie siedział oparty plecami o ścianę, z rzadka pozwalając sobie na zmrużenie oka. Był osłabiony, ale ciągle musiał mieć się na baczności. Wietnam okazał się zaledwie próbą generalną.

Czas utracił wszelkie znaczenie, zlewając się w nieskończony strumień ciemnych nocy i szarych posepnych dni. Straciłby już wszelką nadzieję, gdyby nie zwiększone racje żywnościowe. T.J. kręcił się gdzieś w pobliżu. Dlaczegoż, u diabła, trwało to tak długo?

Któregoś dnia pojawili się strażnicy. Drzwi celi otworzyły się i Ryan usłyszał swoje nazwisko. Dziewiątka mężczyzn rzuciła się do przodu, lecz strażnicy odparli atak, a Ryan poprzez bijatykę utorował sobie drogę na korytarz. Po spędzeniu tylu miesięcy w ciemnej norze musiał zakrywać dłońmi oczy, kiedy strażnicy prowadzili go w kierunku pokoju kapitana.

Przez szczeliny pomiędzy palcami Ryan ujrzał T.J. Jego zazwyczaj ożywiona twarz zamarła. W zielonych oczach być może pojawiły się łzy.

- Ryan?

- A kogóż, u diabła, spodziewałeś się zobaczyć?

Głos jego był chrapliwy. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy nie powiedział więcej niż kilkanaście słów.

T.J. podał mu swoje okulary słoneczne. Założywszy je, Ryan nadal mrużył oczy, aby lepiej widzieć.



Kapitan uściskał dłoń T.J. i uśmiechnął się odsłaniając w ciemnej twarzy rząd palików w kolorze kości słoniowej.

- Oskarżenie zostało wycofane. Pan Westcott jest wolny i może się udać, dokąd sobie życzy.

T.J. wyprowadził go do czekającego na zewnątrz jeepa, który zawiózł ich prosto na lotnisko. Kiedy wjeżdżali na pas startowy, Ryan nie odezwał się ani słowem. Znaleźli się wewnątrz jednosilnikowego samolotu pilotowanego przez typowego afrykańskiego buszmena. Wstrzymując oddech, Ryan czekał na start. Zabierajmy się stąd, do diabła.

Silnik zawarczał i samolot potoczył się po nierównej powierzchni płyty lotniska nabierając prędkości wystarczającej, aby po chwili wznieść się ku witającemu go błękitnemu niebu. Ryan opadł na fotel.

- Dokąd lecimy?

- Nairobi - odpowiedział T.J., podając mu z niewielkiego styropianowego pojemnika z lodem, mieszczącego się w przedniej części samolotu, puszkę zimnego Tusкера. - Musi obejrzeć cię lekarz.

Ryan sącył powoli piwo. Nie mógł sobie wyobrazić, jak też może teraz wyglądać. I pachnieć. Ciągle miał na sobie to samo ubranie, co tamtej nocy, kiedy padły strzały. Zakrzepła krew pokrywała przód koszuli, a pierścienie zaschniętego potu otaczały miejsca pod pachami. Stracił na wadze: dawno już zamienił z jednym ze strażników pasek na kawałek sznurka, którym można było mocniej związać opadające spodnie.

Według lekarza z Nairobi, oprócz utraty wagi Ryan miał jedynie niewielkie kłopoty z układem trawiennym. Pasożyty, które się tam dostały, pochodziły z zanieczyszczonego pokarmu, ale problem ten można było szybko usunąć przy pomocy jednego opakowania odpowiednich tabletek.

Kiedy dotarli do hotelu, w którym T.J. zarezerwował ogromny apartament, Ryan rzucił się do łazienki. Wyłonił się

stamtąd po czterdziestu minutach. Na szafce T.J. położył zestaw kosmetyczny, a na łóżku walizkę pełną ubrań z etykietkami od Harrodsa. Aby móc się ogolić, Ryan musiał przystrzyc najpierw krzaczastą brodę, którą chcąc nie chcąc zmuszony był zapuścić. Kiedy skończył, twarz, która popatrzyła na niego z pokrytego parą lustra, nie była jego własnym obliczem.

Wyglądasz jak kawałek psiego gówna po burzy.

Opadł bez ubrania na łóżko i zapadł w lekki sen. Jak przez ścianę słyszał, że T.J. kilkakrotnie wchodził do pokoju. Raz poczuł, jak przykrywa go prześcieradłem. Innym razem T.J. położył mu rękę na szyi, aby sprawdzić puls.

Kiedy się w końcu ocknął, było już ciemno. Na krześle obok łóżka wisiało kilka nowych par spodni w mniejszym rozmiarze. Ryan ubrał się i wszedł do salonu, gdzie T.J. sącząc z kieliszka Boodles przerzucał strony „Timesa”. Zobaczywszy Ryana, poderwał się z miejsca.

- Czujesz się lepiej? Ryan skinął głową.

- Spałem dłużej, niż zamierzałem. T.J. podniósł słuchawkę telefonu.

- Założę się, że umierasz z głodu. Zamówimy sobie coś do pokoju. Co chciałbyś zjeść?

Zapiekanekę z mięsa i tłuczonych ziemniaków ze śmietaną, tak jak to zwykle robiła mama.

- Cokolwiek.

Kiedy T.J. składał zamówienie, Ryan nalał sobie podwójną porcję ginu, po czym opadł na kanapę. T.J. podszedł do niego i usiadł obok.

- Możesz już rozmawiać? Jest kilka spraw, o których muszę ci powiedzieć. Ostatnio wiele rozmyślałem.

- Ja też.

Ryan przetrwał, częściowo dlatego, że pozwolił swoim myślom swobodnie wędrować poza ograniczającymi go ścianami celi. Zaplanował w myśli resztę swojego życia.

- Przykro mi, że wydostanie cię stamtąd trwało tak długo. Ale nie sądź, że nie zaprzątałeś moich myśli przez cały czas. Każdego dnia. Zorganizowanie czegoś takiego wymagało więcej czasu, niż mogliśmy się kiedykolwiek spodziewać.

- To nie twoja wina. Nigdy nie przewidywaliśmy, że mogę zostać zatrzymany za morderstwo.

T.J. uniósł do góry kieliszek z ginem i pociągnął długi łyk.

- Kiedy byłeś w więzieniu, przyjrzałem się sobie dokładnie, i nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Mało brakowało, aby cię zabito, dlatego że ja jestem wyrosniętym chłopcem, niedojrzałym do tego, aby działać odpowiedzialnie. Nie ma potrzeby, abyśmy musieli uganiać się za diamentami. Stać nas na to, aby kupować je na oficjalnym rynku. Przez lata robiłem jednak inaczej. Dlaczego? Bo to mnie po prostu podniecało.

- Ostatnim razem okazało się to jednak zbyt podniecające.

- Masz w zupełności rację. Przeze mnie omal nie zginąłeś, ponieważ nadal staram się odzyskać uczucie tego samego podniecenia, które towarzyszyło mi, kiedy latałem dla RAF - u. Nie miałem żadnego prawa, aby cię w to wciągać, ryzykować twoje życie.

- Jestem już duży. Wiedziałem, w co się wplątuje.

- Od tej chwili będziemy cieszyć się życiem. Koniec z tanimi podnietami. Wypłyniemy z Griffith International na nowe, bezpieczne wody.

- Mam pewien pomysł - powiedział Ryan. - Obiecuj, że nie będziesz się śmiał.

Kiedy T.J. skinął głową, Ryan ciągnął:

- Chcę wytwarzać diamenty z gazu metanowego.

Przez chwilę T.J. spoglądał na niego jakby z niedowierzaniem, po czym wybuchnął śmiechem tak niepohamowanym, że aż łzy poczęły ściekać mu po twarzy.

Ryan wściekły wstał, aby odpowiedzieć na pukanie do drzwi. Pojawił się w nich kelner z wózkiem pełnym jedzenia. T.J. podszedł do Ryana.

- Wybacz mi ten śmiech; lecz jest jeszcze tylko jedna osoba na ziemi, która mogłaby pomyśleć o otrzymywaniu diamentów z gówna - wskazał ręką na siebie.

Ryan nie mógł powstrzymać się od głośnego chichotu. T.J. klepnął go po ramieniu i mocno objął w niedźwiedzim uścisku.

- To wspaniale, że znowu tu jesteś.

Ryan nie wiedział, co powiedzieć. Po raz pierwszy w życiu mężczyzna okazał mu trochę uczucia. T.J. zawsze traktował go w szczerzy, bezpośredni sposób, tak jak traktuje się przyjaciela. Ryan uściśnął T.J., po czym opuścił ramiona.

- Chcę, żebyś to przyjął. - T.J. zdjął z palca swój złoty pierścień z lampartem i wsunął go na mały palec dłoni Ryana. Pasował jak ulał.

- Nie chcę...

- Posłuchaj mnie. Ten pierścień znaleziono przy mnie, kiedy matka zostawiła mnie w sierocińcu w Bolingford. Bez wątplenia jest to męski pierścień. Może należał do mojego ojca? - T.J. wzruszył bezwiednie ramionami z wyrazem melancholii w oczach. - Nie mam pojęcia. Lecz kiedy dorastałem, przypatrywałem się uważnie każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie doszukując się jakiegoś podobieństwa. Nocami, gdy leżałem w łóżku, wyobrażałem sobie, że zostawiono mnie tu przez jakąś potworną pomyłkę i że moi rodzice odkryją, gdzie jestem, i przybędą mnie wyratować.

Ryan ze zrozumieniem kiwał głową, w duchu dziękując Bogu za swoją matkę.

- Kiedy opuściłem Bolingford, próbowałem podążyć śladem pierścienia. Wszystkim, czego się dowiedziałem, było to, że jest to jedyny egzemplarz i że wykonano go w Indiach. Czyżby mój ojciec służył tam w armii? Czy to po nim odziedziczyłem odwagę? Nigdy się tego nie dowiedziałem. Lecz kiedy latałem w RAF - ie, zawsze nosiłem pierścień na palcu. Przed każdą akcją obracałem nim kilka razy. Zawsze przynosił mi szczęście.

Ryan zdobył się na wyrozumiały uśmiech. On jednak nie był przesądny. Ludzie sami przynosili sobie pecha.

- Kiedy byłeś w więzieniu, pomyślałem, że mój zapas szczęścia już się wyczerpał. A jednak nie. Teraz chcę, żebyś to przyjął, tak jak odziedziczysz w końcu wszystko, co posiadam.

- Zatrzymaj to. Ja...

- Jesteś moim synem. Nie możesz zaprzecić się swojego rodowodu. Poza tym moi prawnicy wnieśli poprawki do mojego stanu majątkowego. Jesteśmy teraz współnikami. Będiesz mógł jednak zapracować na swój udział.

Ryan popatrzył na pierścień o tajemniczej przeszłości. Podczas miesięcy spędzonych samotnie w więzieniu zrozumiał, jak szczególną osobą jest dla niego T.J. i jak bardzo dumny jest z tego, iż jest jego synem. Gdyby tylko T.J. kochał jego matkę.

- Twoja matka była wspaniałą kobietą - powiedział T.J., jakby domyślając się, iż jedynie ta sprawa powstrzymuje Ryana przed przyznaniem, że czuje się jego synem. - Bardzo dobrze uczyniła, że nie pozbyła się ciebie. Moje życie byłoby teraz puste. Jesteś najlepszym przyjacielem - takim jak ten, którego utraciłem - i jednocześnie synem.

- Mama kochała cię do ostatniego dnia. Wszystko by dla ciebie uczyniła.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak często myślałem o tym w ostatnich miesiącach. Widzisz, miałem wiele trudności ze znalezieniem właściwej osoby, aby cię uwolnić. Szastałem pieniędzmi na prawo i lewo - bez rezultatu. Równie dobrze mógłbym stać na Trafalgar Square i rozrzucać je gołębiom.

- Dzięki twoim pieniądzom dawali mi więcej jedzenia.

- Chociaż tyle dobrego - T.J. pokręcił głową. - Wiedziałem, że nie zdołam cię wyciągnąć, jeżeli nie nawiążę kontaktu z jedyną właściwą osobą. W przeciwnym razie nadal braliby pieniądze i zwodziliby mnie. Udałem się więc do Caroline. Wiedziałem, że Rupert przez wiele lat prowadził w Zairze interesy.

- Aha, w Górnym Zairze, zajmując się kłusownictwem - chwytaniem goryli, których nosy wysyłał następnie do Hongkongu, aby tam mielono je na afrodyzjak, a z łap robiono popielniczki.

- Byłem zdesperowany. Wiedziałem, że ma kontakty na najwyższych szczeblach rządowych. Błagałem Caroline, aby zdobyła dla mnie to nazwisko, ale odmówiła. Obawiała się, że Rupert mógłby się dowiedzieć. Przypomniałem jej wtedy o tych wszystkich chwilach, kiedy mówiła, że mnie kocha. Powiedziałem, że jeżeli tak jest naprawdę, to mi pomoże. Mogła wymyślić jakiś sprytny sposób pociągnięcia za język Ruperta tak, aby on nie domyślił się, że ma pomóc nam.

- Odmówiła?

Kukła, samolubna dziwka.

- Tak. Dostałem to nazwisko od chłopców z BBC, którzy zrobili program o kłusownikach.

Kiedy popatrzył na Ryana, głos mu się załamał:

- Nigdy nie kochałem Caroline, a z pewnością nie tak, jak kochała mnie twoja matka. Nie wiem dlaczego - przerwał na chwilę, wzruszając ramionami. - Być może dlatego, że wychowałem się w sierocińcu. Nikt mnie nie kochał i ja nie

nauczyłem się kochać nikogo - odwrócił oczy od pytającego wzroku Ryana. - Lecz ciebie kocham, synu. Gdybym cię utracił, to...

Żar rozgrzał Ryanowi policzki, kiedy T.J. stanął przed nim twarzą w twarz. Chciał powiedzieć ojcu, że go kocha - że kochał go zawsze, mimo iż nie wiedział o jego istnieniu - lecz pamięć o matce i jej życiu pełnym cierpień powstrzymała go.

Vora stała naga w przebieralni na wprost lustra z dwoma skrzydłami i przeczesywała dłońmi swoje bursztynowe loki. Czy rzeczywiście wyglądała lepiej z włosami obciętymi do połowy twarzy, układającymi się w naturalny sposób, tak jak jej poradził dr Digsby? Basil powiedział, że nie, namawiając ją do zachowania jej sztucznie wydłużonych włosów, aż odrosną własne, lecz Vora zawierzyła drowi Digsby'emu. Jedynie uczciwy człowiek mógł zatrudnić taką zezowatą recepcjonistkę. Vora natychmiast posłuchała jego rady. Jako że Lauren poprosiła ją o odstąpienie swojego biletu na Miss Saigon, nie mając lepszego zajęcia po wizycie u dra Digsby'ego, postanowiła udać się do Salonu Cudów i zmienić uczesanie.

Wykonała przed lustrem powolny piruet, obserwując szczuplejące biodra. Zastanawiające. Kiedy Clive zniknął z jej życia, zaczęła tracić na wadze. Widocznie miała na to wpływ jej nieustanna biegania wokół Ravissanta. Dla Irka.

Zarzuciła na siebie jedwabny szlafrok i przeszła do sypialni. Myślała o Irku. Lauren poinformowała ją, że lunch z krytykami nie udał się. Nie zobaczywszy jeszcze prac Irka, czyhali już, aby się na niego rzucić. Nie była zdziwiona; spodziewała się tego.

Śmiały plan Lauren zdumiał Vorę. W ciągu kilku następnych godzin dowie się, czy pomysł, aby przechytryć krytyków, ma szanse powodzenia. Obiecała Lauren, że zadzwoni, jak tylko wróci z teatru.

Vora wyciągnęła pudełko czekoladek Biarritz firmy Cadbury z sekretarzyka w stylu Ludwika XV i opadła na łóżko. Włączywszy telewizor, przebiegła pilotem kolejne kanały. Nic. Przegapiła Opowieści do poduszki Emmy Freud. Praprawnuczka sławnego psychoanalityka miała odwagę prowadzić pogawędkę z zaproszonymi gośćmi w łóżku.



Ubrani w piżamy zdejmowali maski, ujawniając o sobie więcej prawd, niż mogliby to uczynić w zwykłych okolicznościach. Vora wyłączyła telewizor, kiedy na ekranie pojawiła się twarz członka Parlamentu z ramienia partii konserwatystów - Terry Dicksa. Wzięła z nocnej szafki najnowsza powieść Jilly Cooper. Gdy ją otwierała, wypadła zakładka w srebrnym kolorze. Kiedy próbowała przypomnieć sobie, w którym miejscu przerwała, zadzwonił telefon. Zazwyczaj Chiswick zajmował się odbieraniem telefonów, lecz dzisiaj Vora przypuszczała, że może to być Lauren, dzwoniąca w czasie przerwy z informacją na temat rozwoju sytuacji w sprawie krytyków.

- Halo? - odezwała się, ignorując trzask w słuchawce, pochodzący zapewne z pomieszczeń kuchennych.

- Vora?

Rozpoznała głos Irka. Czy stało się coś złego? Dlaczego dzwonił? Nie miał u siebie telefonu. Nie chciał, nie potrzebował, przerywałby mu tylko malowanie.

- Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak. To już koniec.

Koniec? Czyżby się teraz wycofywał ze współpracy z nimi? Czyżby tak bardzo rozdrażniło go spotkanie u dra Digsby'ego? Po spędzeniu przez Irka dwu godzin w towarzystwie „wściekłych psów” na nauce radzenia sobie z mass - mediami i po tym, jak dr Digsby wytłumaczył mu niezwykłą moc ich oddziaływania, Vora sądziła, że wszystko dobrze się układa.

- Z obrazem. Z obrazem.

A więc ukończył portret. Nareszcie. Jeszcze go nie widziała, lecz Lauren wyrażała się z niezwykłym entuzjazmem o powstającej w bólach twórczych pracy. Zarezerwowała dla niego specjalną stronę w katalogu, a Lauren honorowe miejsce na wystawie.

- Świetnie. Bardzo ci dziękuję za to, że do mnie zadzwoniłeś. Nie mogę się doczekać, aby go zobaczyć.

- Będę tam za pięć lub cztery minuty. Jestem u Bellingtona.

- U Bellingtona? A gdzie on mieszka?

Jego znajomy mieszkał najprawdopodobniej w pobliżu nowego kompleksu miejskiego nad Tamizą, dokąd Irek niedawno się przeniósł. Oprócz Ryana nie miał w West Endzie żadnych innych znajomych.

- Na rogu Hyde Parku. Zaraz tam będę.

Vora podniosła się na kolana i ściskając mocniej słuchawkę wsłuchiwała się w dźwięk sygnału. Bellington. Chyba miał na myśli Wellingtona. Oczywiście, Apsley House. Dar wdzięczności Anglików dla Arthura Wellesleya - księcia Wellington - był obecnie budynkiem muzealnym. Jadąc samochodem Ryana, Irek zatrzymał się na rogu Hyde Parku. O niecałe pięć minut drogi stąd.

Wpadła pośpiesznie do garderoby i mechanicznie chwyciła za butelkę ze specjalnym podkładem do cery. Potrząsnęła nią i zawahała się. Nie, nie będzie ukrywała piegów. Zawahała się raz jeszcze, spoglądając na siebie w lustrze, po czym sięgnęła po pędzelek z sobolej sierści i rozprowadziła po policzkach delikatny róż.

Wciągnęła na siebie skórzane spodnie, które kupiła na wypadu za miasto, lecz których nigdy do tej pory nie miała na sobie, i nałożyła kaszmirowy sweter w kolorze przypominającym sierść wielbłąda. Odbicie w lustrze nie spodobało się jej. Zbyt oficjalne. Rzuciła się biegiem do dawnego pokoju Archera i przetrząsnęła jego szafę. Dzięki Bogu, że przez cały ten czas nie miała serca, aby pozbyć się wszystkich jego rzeczy. Odnalazła znoszoną marynarkę z tweedu, której używał do konnych przejażdżek. Archer był

wysoki, lecz wąski w ramionach. Podwinęła rękawy i włożyła ją na siebie. Doskonała.

Na dole zadźwięczał dzwonek.

- Ja otworzę! - krzyknęła do Chiswicka, kiedy znalazła się na półpiętrze.

Przebiegła po zimnej marmurowej posadzce i zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy jej dłoń dotknęła mosiężnej klamki. Otwierając drzwi, zorientowała się, że ma gołe stopy.

- Vora? - zmarszczki zryły mu czoło.

Nie podobają mi się moje włosy. Powinnam była posłuchać Basila.

- Wejdz, proszę.

Kiedy przekraczał próg, zauważyła, że ma na sobie nowe ubranie. Oczywiście staromodne, ale nowe. Gruby ciemnoczerwony sweter czynił go szerszym w ramionach, a szare spodnie z flaneli wydłużały mu nogi. Kiedy przeczesywał dłonią włosy, uśmiech powoli rozjaśnił mu twarz. Vora zauważyła następny zegarek. Tym razem był to zegarek nurka z połyskującą tarczą.

- Obcięłaś włosy - usta rozchyliły mu się w szerokim uśmiechu, kiedy kiwał głową w wyrazie aprobaty. - Piękne. Bardzo piękne.

Poprawiła dłonią włosy, czując, jak rozpiera ją radość.

- Cieszę się, że ci się podobają.

Nie myślisz chyba, że brzydko wyglądam z tymi piegami?

Uśmiechał się nadal tym samym czułym uśmiechem, jaki kochała. Oglądał ją z góry na dół. Zimny marmur mroził jej stopy.

- Czy przywiozłeś ze sobą obraz?

- Za duży. Chodź ze mną, to zobaczysz. Przebiegła przez nią fala zdumienia i radości. Przyjechał tu specjalnie po nią. Będzie pierwszą osobą, która zobaczy jego najnowszą, najlepszą pracę.

- Pozwól, że pobiegnę na górę i włożę coś na nogi. Zaraz wracam.

Znalazłszy się na górze, przebiegła wzrokiem po półkach, na których starannie ułożone przez pokojówkę stały rzędy butów, i wybrała parę brązowych mokasynów firmy Bally. Kiedy była w połowie schodów, usłyszała męskie głosy. Schodząc z półpiętra z dłonią opartą o wypolerowaną poręcz schodów, ujrzała dwóch rozmawiających z Irkiem mężczyzn. Zbiegła na dół.

- Vora, ci panowie są ze Scotland Yardu i Imperpolu - poinformował ją Irek.

- Z Interpolu - poprawił go niski, gruby mężczyzna z przerzedzającymi się siwymi włosami. - Nazywam się Brian Dunfee z Interpolu. A to Alan Coombs z New Scotland Yardu.

- Dobry wieczór panom - Vora przywitała ich uściskiem dłoni. Czyżby Irek zrobił coś złego?

- Pani Leighton, chcielibyśmy porozmawiać z panią na osobności.

Vora odetchnęła z ulgą.

- O Archerze?

Poczuła drżenie rąk i pochwyciła dłoń Irka. Uspokoił ją ciepłym uściskiem.

- To jest Irek Makarow. Jesteśmy bliskimi... bliskimi znajomymi. Chciałabym, żeby był przy naszej rozmowie.

- Przeczytajcie prawa - powiedział Irek ponurym głosem.

- Panie Makarow - odrzekł Dunfee - oglądał pan zbyt dużo amerykańskich programów telewizyjnych. Nie ma potrzeby nikogo tutaj pouczać. Pani Leighton nie jest o nic podejrzana. Po prostu chcemy z nią porozmawiać.

Irek nie wyglądał na przekonanego; przysunął się bliżej Vory.

- Chodźmy do salonu.

Poprowadziła ich do sąsiedniego pokoju. Usiadła z Irkiem na obciągniętej brokatem kanapie znajdującej się naprzeciw dwóch krzeseł z wklęsłymi oparciami. Kiedy usiedli, Irek trzymając nadal jej dłoń przysunął się do niej tak, że stykali się ramionami.

- Pani Leighton - powiedział Alan Coombs posępnym głosem. - Wydaje nam się, że pani mąż został zamordowany.

- Kto to zrobił?

- Mamy nadzieję, że pani może nam pomóc - odpowiedział Coombs otwierając energicznie notatnik, który trzymał na kolanach.

- Powiedziałam już wszystko, o czym wiedziałam, kiedy byłam w waszym biurze w zeszłym roku.

- Scotland Yard nie przeprowadził pełnego śledztwa - wyjaśnił Coombs - ponieważ śmierć nastąpiła w okręgu podlegającym Wydziałowi Policji w Scarborough. Wszystko, czym dysponujemy, to wstępny raport oficera policji, który wtedy panią przesłuchiwał. Współpracujemy w tej sprawie z Interpolem.

- Dlaczego? - Vora przysunęła się do Irka.

- A więc, proszę pani - zaczął Dunfee - podejrzewamy, że pani mąż został zamordowany przez gang doskonale zorganizowanych i doświadczonych przestępców, zajmujących się rozprowadzaniem fałszywych reprodukcji. To międzynarodowy syndykat. Właśnie dlatego zainteresował się tym także Interpol.

- Dlaczego tak dużo czasu zajęło panom ustalenie, że Archer został zamordowany? Minął już ponad rok.

- Policjanci z Beverly Hills skontaktowali się z Interpolem, kiedy zajmowali się śledztwem w sprawie fałszywych reprodukcji wypuszczanych na rynek przez jedną z galerii w tej dzielnicy. Czy zna pani tę sprawę? - zapytał Dunfee.

- Tak. Pisano o tym we wszystkich publikacjach handlowych. Oskarżono ich o sprzedaż fałszywych reprodukcji Dalego i Chagalla, jak również o podrabianie obrazów olejnych.

- Jesteśmy na tropie prowadzącym do źródła tych reprodukcji. Podejrzewamy, że zajmuje się tym szajka wykorzystująca urządzenia poligraficzne w wielu krajach. Nie przejmuje się, że jakość tych druków jest skandaliczna - często niewiele lepsza od tanich fotografii.

- To jest właśnie dokładnie to, co mówił Archer, kiedy nakrył ich, gdy korzystali z urządzeń wydawnictwa Ravissant. Reprodukcje były fatalnej jakości. Było to dziwne, ponieważ nasze reprodukcje są zawsze najwyższej klasy.

- Właśnie - powiedział Dunfee. - Jakość się dla nich nie liczy, ponieważ wykorzystują sprawę reprodukcji dla ukrycia dochodów z handlu narkotykami. Poprzez istniejące tylko na papierze firmy łatwo jest wykazać kupowanie reprodukcji i odsprzedawanie ich z zyskiem. W księgach wygląda to na czysty interes.

- Czy właściciel galerii nie potrafi odróżnić dobrej reprodukcji od złej? - zapytał Irek.

- Obawiam się, że zbyt wielu właścicieli galerii widzi w rynku reprodukcji okazję do łatwego zdobycia pieniędzy. Przy galopujących cenach oryginałów reprodukcje są jedynym rodzajem sztuki, na którego zakup większość ludzi może sobie pozwolić. Niektórzy pozbawieni skrupułów właściciele galerii kupują niewątpliwe fałszyfikaty, po cenach poniżej rynkowych, a następnie podrzucają je niczego nie podejrzewającym odbiorcom.

- Syndykat, który zajmuje się ich drukiem - dodał Coombs - nie robi na tym żadnych pieniędzy, lecz wcale o to nie dba. Jediną rzeczą, jaką ci ludzie chcą osiągnąć, jest

ukrycie dochodów pochodzących faktycznie z handlu narkotykami.

- A świadectwo autentyczności? - wtrącił Irek. - Czy nabywcy o to nie pytają?

- Można je łatwo podrobić, niestety - Dunfee wzruszył ramionami.

- Może to zrujnować reputację artysty - odezwała się Vora.

Ogarnął ją niepokój na myśl o kruchej jeszcze karierze Irka. Gdyby coś wydarzyło się z jego reprodukcjami, mogłoby to zrujnować mu karierę, zanim jeszcze zdążyłaby się rozwinąć.

- Robimy, co możemy, aby położyć temu kres - dodał Dunfee. - Może nam pani pomóc, przypominając sobie dokładnie okoliczności śmierci męża.

Vora zrelacjonowała rozmowę, jaką odbyła z Archerem w wieczór poprzedzający jego śmierć.

- To był ostatni raz, kiedy go widziałam. Coombs robił notatki w żółtym zeszycie w linie.

- Oprócz ostrzeżenia, jakiego udzielił pani poprzedzającego zgon wieczoru, czy jeszcze coś towarzyszącego jego śmierci wzbudziło pani podejrzenia?

- Jaguar należący do Archa miał mniej niż dwa miesiące. To zbyt mało, aby mogły zawieść hamulce, a to podobno było przyczyną spadnięcia ze skały. Lecz, co ważniejsze, cóż on tam robił na prowadzącej w górę prostej drodze w Scarborough? Zamierzał spotkać się po kolacji z Finleyem Tibbettsem w klubie Boodle's. Nawet nie zadzwonił, aby odwołać spotkanie. Było to do Archera zupełnie niepodobne.

- Ale próbował skontaktować się z panią telefonicznie około godziny piątej po południu.

- Tak. Zadzwonił do domu z Yorku, gdzie dokonywał wyceny kilku obrazów dla jednego z klientów. Nie

rozmawiałam z nim, lecz później Chiswick poinformował mnie, iż Archer mówił, że to bardzo pilne. Coombs spojrzął w notatnik.

- Była pani w Salonie Cudów?

- Tak. Chiswick powiedział o tym Archerowi, lecz on tam nie zadzwonił.

- Była tam pani jeszcze o piątej, wszedłszy do salonu o jedenastej? Czy to nie za dużo czasu na obcięcie i wysuszenie włosów? - zapytał Dunfee.

- Oto lista usług świadczonych tego dnia pani Leighton - Coombs wręczył Dunfee'emu rachunek na lawendowym papierze ze znakiem firmowym Salonu Cudów.

Dunfee uniósł brwi.

- Czyszczenie skóry, okłady z wulkanicznego błota, migdałowo - aloesowa maseczka na twarz, farbowanie rzęs, regulacja brwi, manicure, pedicure, okłady z rozgrzanego wosku, sauna, masaż, zabiegi z zastosowaniem eukaliptusu likwidujące cellulitis, godzinna kąpiel rozgrzewająca, farbowanie odrostów, odżywka z avocado regenerująca zniszczone włosy, modelowanie i suszenie włosów, konsultacja ze specjalistą od makijażu, pełny makijaż.

- To dziwne, że nadal tam nie jesteś - powiedział wesoło Irek i mocniej ścisnął jej dłoń.

Vora poczuła się niezwykle głupio. Co by Irek powiedział, wiedząc, że w każdym miesiącu spędzała w Salonie Cudów cały dzień?

- Później Basil - właściciel salonu - zabrał mnie na drinka do pubu The Goat in Boots na Fulham Street, a następnie na kolację do Bibendum. Policja zadzwoniła wkrótce po tym, jak wróciłam do domu. Tej samej nocy wynajęłam helikopter do Scarborough. Kiedy zobaczyłam miejsce katastrofy, wiedziałam, że go zamordowano.

- W jaki sposób? - zapytał Irek.



- Droga prowadząca do Scarborough zbacziała z głównej trasy drogą polną. Arch nigdy nie znalazłby się ze swoim jaguarem na nie pokrytej asfaltem nawierzchni.

- Mgła - zasugerował Irek.

- Nie. Tej nocy jednak padał deszcz. Niemożliwością było stwierdzić, czy na drodze znajdowały się ślady innych kół.

- Oprócz osób, które pożyczyły pani mężowi pieniądze, czy może pani przypuścić, kto mógłby życzyć sobie jego śmierci z jakiegokolwiek powodu? - Coombs popatrzył na nią trzymając długopis w ręku.

- Na krótko przed tym zerwał z Elizabeth Hartley, swoją długoletnią kochanką - powiedziała Vora po chwili wahania, nie będąc pewna, czy chce przypominać sobie o tych nieszczęśliwych godzinach, które spadły na nią za przyczyną Liz. - Ale wątpię, czy zdobyłaby się na to, aby go zabić.

- Nie zrobiła tego. Sprawdziliśmy jej alibi. W tym czasie przebywała w Zairze, tropiąc - na kolanach i łokciach - w głębokim buszu goryle w nadziei, że natknie się na albinosa.

Coombs zastukał końcem ołówka w notatnik, zażenowany, że rozmowa zeszła na tematy osobiste, i ciągnął dalej:

- Kiedy z nią rozmawialiśmy, była bardzo rozgniewana. Najwidoczniej spodziewała się, że zgodnie z wcześniejszą obietnicą mąż panią dla niej zostawi. Kiedy domagała się dotrzymania słowa, pani mąż się wycofał.

Vora nie wierzyła własnym uszom. Tak więc Arch nie chciał jej porzucić dla Liz. Niepotrzebnie zamartwiała się i próbowała wzbudzić w nim zazdrość swoimi nic nie znaczącymi romansami.

- W jaki sposób zginął? - zapytała Vora. Proszę, powiedz, że nie trwało to długo.

- Zażył dawkę brucyny. Działa niemal natychmiastowo. Ktoś musiał z nim być na tej skale. Otrzymał śmiertelną

dawkę trucizny, po czym zepchnięto jego samochód z dwudziestometrowej skały.

Piekące łzy wypełniły oczy Vory. Poczwała, jakby coś ścisnęło ją za gardło. Biedny Arch. Irek objął ją ramieniem i mocno przytulił do siebie. Na kilka minut w pokoju zapanowała cisza. Słysząc było jedynie rytmiczne tykanie wiszącego nad wejściem tajemniczego, ulubionego zegara Archa, jednego z najświetniejszych dzieł sztuki dekoratorskiej Cartiera.

- Po co spychać samochód do morza? - zapytał Irek.

- Aby ukryć morderstwo i upozorować wypadek.

- Nalegałam, żeby dwukrotnie sprawdzono przyczynę śmierci Archera - powiedziała Vora. - Dlaczego oględziny zwłok nie wykazały, że Arch został otruty?

- Brucyna jest prawie niewykrywalna przy rutynowej autopsji - wyjaśnił Coombs. - Jedynie wyspecjalizowane laboratoria mogą wykryć jej obecność. Wywołała pani sprzeczkę z oglądającym zwłoki urzędnikiem. Pobrał próbki tkanek, lecz niczego nie znalazł. Na szczęście zachował je. Laboratorium w Fort Halstead w Kent wykryło ślady brucyny.

- Proszę - powiedziała Vora zdecydowanym głosem - odnaleźć jego mordercę.

- Nadaliśmy tej sprawie priorytet - zapewnił ją Coombs.

Sądząc, że rozmowa jest skończona, Vora podniosła się.

- Jeszcze chwileczkę - powiedział Dunfee. - Co może pani powiedzieć o Lauren Winthrop?

\* \* \*

Lauren usiadła obok Finleya w barze Groucho, popijając coś, co miało nazwę „aksamit”. Szampan z mocnym ciemnym piwem. Nie był to żaden specjał, ale sączyła trunek, aby ukryć zdenerwowanie. Cały wieczór czekała na okazję, aby poprosić Finleya o listę członków Groucho. W czasie lunchu postanowiła ubezpieczyć się na dwie strony. Była przekonana,

że Irek zostanie w końcu okrzyknięty wielkim talentem, ale mogło to zabrać więcej czasu, niż można by oczekiwać, jeżeli krytycy podziurawiają go przy pierwszej potyczce. Wierzyła głęboko, że inni artyści - pisarze, pianiści, aktorzy, nawet gwiazdy rocka - rozpoznają talent. Gdyby kolekcjonerzy, tacy jak Jeffrey Archer, gromadzący dzieła sztuki od lat, kupili prace Irka, krytycy mogliby udać się do wszystkich diabłów.

- Finley, nie wiem, co bym bez pana zrobiła - zaczęła Lauren z nieśmiałym uśmiechem. - Jest pan niezwykle pomocny przy organizowaniu tej wystawy.

- Nie mam nic przeciwko temu - obdarzył ją chytrym uśmiechem sugerującym, że chciałby otrzymać coś w zamian.

- Zastanawiałam się... nie, nie sędzę, żeby to było możliwe. Mniejsza o to. Proszę zapomnieć, że cokolwiek mówiłam.

Wziął ją za rękę. Przez chwilę nie widziała jego długich, cienkich palców zakończonych nienagannie wypielęgnowanymi paznokciami. Zamiast nich ujrzała mocne, grube palce i zewnętrzną część dłoni pokrytej rudym owłosieniem. Zjawa zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

- Lauren, może mnie pani poprosić o cokolwiek. Wie pani o tym.

Nadal wahała się, przeciągając tę chwilę jak najdłużej. Finley Tibbetts był mężczyzną, który uwielbiał być o coś proszony, tym bardziej, jeżeli potwierdzało to jego mniemanie o sobie, że zna się na wszystkim.

- Po wystawie Basil Blackstoke wydaje specjalne przyjęcie w swoim mieszkaniu przy Palace Green.

- Palace Green 3 A na terenie Davida Goldstone'a. Mam tam kilku przyjaciół. Jedyne mieszkalne przy „Ulicy Milionerów”.

- Basil nie może nacieszyć się swoim mieszkaniem. Wynajął Ninę Campbell, aby zajęła się dekoracją wnętrza. To, o czym marzy; to, o czym marzę ja, to coś wystrzałowego, a nie jeszcze jedno przyjęcie po zakończeniu wystawy. Chciałabym zaprosić kilku aktorów, tancerki, pisarzy - wie pan, ludzi z talentem. Takich jak pan.

- Świetny pomysł. Jak mogę pomóc?

- No więc, gdyby podał mi pan nazwiska osób, które uważa pan za interesujące, mogłabym wysłać do nich zaproszenia na przyjęcie.

- Poproszę moją sekretarkę, aby przygotowała taką listę.

- Czy nie byłby to dobry pomysł umieścić na niej członków tego klubu? - uśmiechnęła się zachęcająco, zaciskając w myśli kciuki. - Czy mógłby pan załatwić dla mnie listę członków?

- Nie wiem. Wie pani, tego właściwie się nie robi. Opuściła rzęsy i westchnęła z rozczarowaniem.

- No, przypuszczam, że mógłbym to zrobić. Tylko ten jeden jedyny raz. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. W tej sprawie musi pani milczeć jak grób.

- To niezwykle miło z pana strony - podniosła kieliszek do ust, aby nie zobaczył jej triumfującego uśmiechu.

- Oczywiście oczekuję w zamian pewnej przysługi. Chciałbym przed otwarciem wystawy przeprowadzić wywiad z Irkiem Makarowem. Na zasadzie wyłączności.

Po wyjściu detektywów Irek zabrał Vorę do samochodu. Wreszcie mogli udać się do jego mieszkania i razem obejrzyć ukończony portret. Po drodze Irek zapytał:

- Smutno ci z powodu Archera?

- Tak. Nie zasłużył na taką śmierć.

- Nadal... go kochasz?

- Kochałam go, ale nie byłam w nim zakochana.

- Dikij zapad - Dziki Zachód. Co masz na myśli?

- Lubiłam go, ale nie chciałam z nim być przez cały czas.  
- Nie tak jak z tobą. - Wywarł niezwykle wpływ na moje życie. Nie byłam tak szczęśliwa, jak mogłabym być, ale nie czułam się tak samotna jak wtedy, gdy byłam dzieckiem.

Przerwała na chwilę, zastanawiając się, czy powinna być z nim zupełnie szczerą, teraz, kiedy wydawało się, że Irek jej wybaczył.

- Przez ostatnie lata spotykałam się z innym mężczyzną. Irek wpatrywał się w nią poważnym spojrzeniem swoich brązowych oczu.

- Kochałaś dwóch mężczyzn?

- Nie. Clive'a również nie kochałam. Byłam po prostu samotna, zagubiona.

Jakże mogła mu to wyjaśnić? Nie mogła teraz zrozumieć, co też widziała w Clivie Holcombe.

Jechali dalej w milczeniu, aż zamajaczył przed nimi Tower Bridge i połyskujące światła na Tamizie.

- Gniewasz się na Lauren?

- Nie - odrzekła Vora, chętnie przystając na zmianę tematu. - Jestem przekonana, że nie jest w to wplątana. Słyszałaś, co powiedziałam inspektorowi. Lauren zainwestowała w Ravissanta dopiero pół roku po śmierci Archera. Minęły potem jeszcze dwa miesiące, zanim przyjechała do Anglii. Żadną miarą nie może być w to zamieszana.

- Masz rację. Znam ludzi. Lauren to dobra kobieta. Po co więc oni „zbadają to”?

- Muszą sprawdzić każdą możliwość. Taką mają pracę.

Irek wykazywał wrodzoną nieufność do wszelkiej władzy. Po tym, co przeszedł, nie mogła go za to winić. Być może to śledztwo przywróci jego wiarę w sprawiedliwość. Jej również.

Irek wjechał astonem - martinem na podziemny parking.

- Tutaj mieszkam.

Pojechali windą na czwarte piętro. Drzwi od windy wychodziły na nie osłonięty od wiatru korytarz. Nawet stąd było widać Tamizę i czuć jej słony zapach. Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Irek zapalił światło i wyczekująco popatrzył na Vorę.

Dookoła wszystkie wyobrażalne odcienie czerwieni, wiele z nich nie do pogodzenia ze sobą. Jak to możliwe, żeby osoba z takim zmysłem artystycznym mogła w ten sposób „udekorować” swój pokój? Widząc, że nie uda się jej uniknąć wyrażenia swojej opinii, Vora zdobyła się na nieśmiały uśmiech; Irek wyglądał na niesamowicie dumnego.

- Nie licząc Ryana, jesteś tu pierwsza.

Pierwsza? Była więc dla niego kimś szczególnym. Jakie znaczenie miał kolor?

- Szkoda, że nie przyniosłam czegoś na rozgrzanie twojego mieszkania.

- Rozgrzać mieszkanie? - nachmurzył się Irek. - Włączyłem dla ciebie ogrzewanie.

Szybko podeszła ku niemu.

- Mam na myśli prezent, jaki przynosi się do czyjegoś nowego mieszkania, aby promieniało w nim ciepło i szczęście. Przyniosę ci następnym razem.

Wyciągnęła ku niemu rękę. Napotkała jego dłoń. Tę samą, której ciepły dotyk dodawał jej otuchy w czasie nieprzyjemnej rozmowy z inspektorami.

- Miło tu i ciepło.

- Podoba się? - wskazał na mieszkanie.

Nie spuszczać z niego wzroku, Vora odpowiedziała:

- Uwielbiam.

- Dikij zapad. Wy wszystko uwielbiacie. Miłość to najczęściej nadużywane słowo w waszym języku.

- W twoim też. Jesteś teraz Brytyjczykiem, nie zapominaj o tym.

- Nigdy nie zapomnę. Jestem dumny. Tutaj jest sprawiedliwość. Policja odnajdzie zabójcę twojego męża.

Vora chciała, żeby odnaleziono mordercę nie tylko dlatego, aby Archer otrzymał swoją pośmiertną satysfakcję. Mogłoby to również pomóc Irkowi. Dręczył ją niepokój. Co się stanie, jeżeli fałszerze znowu zaatakują? Wolała o tym nie myśleć, zapytała więc:

- Gdzie jest pracownia?

Irek poprowadził ją na górę na przestronne poddasze z widokiem na Tamizę. Włączając górne światło, powiedział:

- Farba jeszcze nie wyschła. Skończyłem, jak zachodzi słońce.

Z miejsca, w którym stała, widać było jedynie przy - ; tłumione kolory na dużym płótnie, układające się w sylwetkę spoglądającej przez ramię, odwróconej plecami nagiej kobiety. Vora podeszła bliżej. Na twarzy kobiety o kasztanowych włosach jawił się uroczy uśmiech. Niewyraźne linie charakterystyczne dla pólmpresjonistycznego stylu Irka sprawiały, że dla większości osób tożsamość przedstawionej kobiety pozostawałaby zagadką. Nie dla Vory. Te piegi zbyt wiele mówiły.

Skąd wiedział? Po chwili przypomniała sobie spędzoną z nim noc. Szczękając zębami i czując, jak pokrywa ją gęsia skórka, przeszła wtedy korytarzem do łazienki. Umyła ręce i twarz zimną - nie było ciepłej - wodą.

Ośmieliła się spojrzeć na niego. Przeszyło ją zdumienie, kiedy ich oczy się spotkały. Patrzył na nią oczekując aprobaty.

- Podoba się?

- Kocham... - przerwała, nie wiedząc, co ma powiedzieć, zdumiona tym, że lubił ją do tego stopnia, aby namalować jej portret.

- Obserwuję cię z drem Digsby. Widzę, że cię obchodzi bardzo bardzo, co się ze mną stanie. Widzę, że kiedy mówisz,

że mnie lubisz, tak właśnie myślisz. Kiedy to wiem, skończyłem bardzo bardzo szybko.

Chciała mu powiedzieć, że go kocha. Czekwała na niego całe życie. Słowo miłość wydało się jej zbyt płytkie.

- Czy masz dla tego jakiś tytuł?

- „Velma Liubow”.

Wydawał się zamyślony, nie niespokojny ani zagniewany. Przypatrywał się jej i czekał, żeby coś powiedziała. Dlaczego Velma? Nie potrafiła w tej chwili myśleć o czym innym.

- Co oznacza „liubow”? - wymamrotała.

Ujął jej podbródek w swoją szeroką dłoń, po czym delikatnie odsunął opadające na policzki włosy.

- Miłość. Pierwsza noc wiem, że cię kocham. Kocham Velmę. Prawdziwa miłość - liubow. Nie to słowo, które dikij zapad używa cały czas.

- Nie kochaj mnie, Irek. Nie. Zaslugujesz na kogoś lepszego - i z większym talentem. Wkrótce świat będzie u twych stóp. Będiesz miał...

- Nie chcę świata. Chcę ciebie. Jestem szczęśliwy, kiedy jestem z tobą. Dziś po południu twój dikij dr Digsby był zabawny. Później my śmiali się razem, nie tak?

- Tak.

Jej myśli pomknęły ku spędzonej z nim nocy; powinna już wtedy wiedzieć, że go kocha. Nikt nigdy wcześniej jej tak nie rozbudził. Nigdy wcześniej rozmowa z mężczyzną nie dała jej tyle szczęścia. Wówczas jego angielski był toporny; trudniej było go zrozumieć, ale dowcip i przenikliwy umysł...

- Wiesz, że cię kocham - liubow. Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Wszystko.

Przytrzymał jej twarz swoimi silnymi dłońmi i popatrzył jej prosto w oczy.

- Pewnej nocy ja i Anatolij jesteśmy w Kijowie. Chcemy, żeby było nam ciepło. Przez cały dzień siedzimy tyłem do



ogniska z palącymi się śmieciami. Rozmawialiśmy przez całą noc i postanawiamy, co uczyni nas szczęśliwymi.

- Co?

- Pisać i malować, to co chcemy, nie co nam każą. W Rosji milicja nam mówi: „Żyj jak wszyscy.” To znaczy, nie sprawiaj kłopotów. Tutaj mam wolność. Teraz chcę żyć jak wszyscy na Zachodzie. Mieć dom i przyjaciół. Kobieta, którą kocham. Naprawdę żyć jak wszyscy.

Przyciągnął ją do siebie. Jej delikatne kształty zlały się z jego mocną sylwetką, kiedy przycisnął jej usta do swoich. Ich delikatność i słodycz napełniły ją dreszczem. Wycofały się na chwilę, po czym powróciły ze zdwojoną siłą. Powstrzymując narastającą namiętność, Vora rozkoszowała się tą chwilą. Powtarzała w myśli to, co powiedział.

Liubow. Nigdy wcześniej nie znała znaczenia tego słowa.

Sirocco - najbardziej gwałtowna z afrykańskich burz piaskowych miotła roverem na wszystkie strony, uderzając piaskiem o porysowaną już wcześniej szybę. Na horyzoncie Ryan ujrzał podświetlane przez wschodzące słońce Ouarzazate z kępami drzew palmowych pochylających się pokornie pod smagającymi podmuchami wiatru z Sahary. W przeciwieństwie do wabiącego egzotycznością Marrakeszu czy otoczonej aurą tajemniczości Casablanki, Ouarzazate było miastem z niewielkimi pretensjami. Zbudowane w latach dwudziestych naszego stulecia przez Francuzów dążących do podporządkowania sobie południowych terytoriów, było nowsze niż większość marokańskich miast. Wzniesione przez rząd betonowe budynki wystawały jak szare grobowce pośród tradycyjnych struktur z ceglastej gliny.

Odwrotnie niż można było oczekiwać, wycofanie się Francuzów nie przyniosło upadku temu sztucznemu tworowi powstałemu na obszarze, na którym lokalizacja ośrodków populacyjnych zawsze była uzależniona od występowania oaz. Ouarzazate rozwijało się, ponieważ stanowiło doskonałą bazę dla oddziałów wojskowych toczących dwunastoletnią już wojnę z frakcją Polisario plemion Sahrawi.

Rozczarowanie, które nastąpiło w wielu afrykańskich krajach tuż po odzyskaniu przez nie niepodległości, zrodziło ruchy rebelianckie. Było ono jeszcze dotkliwiej odczuwalne na znajdujących się na południu terenach anektowanych przez Maroko. Utrzymując, że tereny te należą do nich od czasów biblijnych, rebelianci z Polisario prowadzili z Marokańczykami walkę o Saharę Zachodnią. Ruch ten zaapelował do odwiecznego rywala Maroka - Algierii - o pomoc militarną, którą zresztą otrzymał, dla prowadzenia dokuczliwej, lecz w gruncie rzeczy nieskutecznej wojny. W celu ochrony własnego terytorium król Hassan rozkazał

swoim wojskom wzniesienie przy pomocy buldożerów wałów z piasku o łącznej długości ponad dwadzieścia tysięcy kilometrów. Wyposażone w przenośne radary ściany te skutecznie zabezpieczały przeważającą część terytorium przed atakiem ze strony plemion Sahrawi, spychając je na niewielki skrawek Sahary Zachodniej, stanowiący ich ziemię ojczystą.

Przed dwoma laty, w obliczu przygniatającego kryzysu ekonomicznego, Algieria wycofała swoje wsparcie finansowe dla rebeliantów. Większość zachodnich obserwatorów sceny politycznej oczekiwała załamania się Polisario. Ci jednak nie ustąpili. Imperia kolonialne upadły, a zastąpiły je państwa narodowe. Nikt jednakże nie zadał sobie trudu, aby zapytać o zdanie nie spętanych przez granice nomadów, od wieków prowadzących wędrowny tryb życia. Jako że frakcja Polisario pozostała niezachwiana w swoich żądaniach utworzenia niezależnego państwa, król Hassan został zmuszony do utrzymywania wojsk wzdłuż południowej granicy i strzeżenia przez nie morza piaskowych wydm. Pomimo że większość plemion Sahrawi była zgrupowana na południowy zachód od Ouarzazate, wokół miasta Tindouf na granicy z Algierią, Ouarzazate nadal stanowiło bazę wojsk królewskich. Na wszelki wypadek.

Ryan objechał miasto dookoła, kierując się ku dwóm znajdującym się na obrzeżach ogromnym kazbom. O milę od miejsca, w którym powstało później wybudowane przez Francuzów Ouarzazate, znajdowała się otoczona wysokim na piętnaście metrów murem i umocniona przez masywne wały obronne stara wioska, istniejąca jeszcze przed przybyciem Francuzów. Ryan wjechał do drugiej kazby przez łukową bramę. Pomimo burzy piaskowej, zasypującej niemal wszystko dookoła, po ulicy spacerowały gdaczące kłótliwie kury, a wokół nich bawiły się nieprzeliczone gromady dzieci. Ryan zaparkował rovera w pobliżu typowego domu z ceglastej

gliny, ze szczelinami pozatykanymi lepka, przylegającą substancją ze słomy i wielbłądzich odchodów, po czym wszedł do środka.

- Gdzie jest Avi? - zapytał po arabsku. Chłopiec zamiatający betonową posadzkę miotłą z liści palmowych wskazał na sąsiedni pokój, w którym mieściło się laboratorium. W środku przy drewnianym biurku siedział - robiąc notatki w rejestrze - Izraelczyk, którego Ryan poznał kilka lat wcześniej w Botswanie. Spojrzawszy znad biurka, powitał Ryana szerokim uśmiechem okrągłej twarzy.

- Popatrz.

Ryan podszedł do biurka i ujrzał arkusze cieniutkiej folii. Avi odchylił się do tyłu, balansując na dwu tylnych nogach krzesła.

- Przeszła pomyślnie wszystkie testy na wytrzymałość.

- Do cholery!! To dlatego mnie wezwales?

- A jak myślisz, po co innego miałbym cię ściągać na ten kraj świata?

- Mówiłeś coś o przewodźce. Sądziłem, że masz na myśli to, iż Polisario zaczyna penetrować teren.

- Nie ma o tym mowy. ONZ jest w Tindouf, próbując ustalić, kto jest uprawniony do głosowania. Kiedy już to ustalą - o ile do tego dojdzie w tym życiu - zorganizują wybory, aby stwierdzić, czy Sahara Zachodnia zechce pozostać częścią Maroka czy też nie.

Ryan potakiwał, lecz prawie w ogóle nie słuchał Aviego.

- Udoskonaliłeś formułę? Urządzenia?

Avi przytaknął z jeszcze jednym szerokim uśmiechem:

- Pięć pieprzonych lat. Ale osiągnęliśmy cel.

- Ty go osiągnąłeś.

- Wytwarzanie diamentów z metanu to był twój pomysł. Ja po prostu miałem dobre przygotowanie z chemii. Bez twoich pieniędzy...

- Nie zapominaj o T.J. To był jego pomysł, aby to tutaj zlokalizować. - Ryan ponownie spojrzął na arkusze cienkiej folii. - Musimy natychmiast wystąpić o patent, zanim kartel coś zwietrzy.

Ryan wyobraził sobie szok, jakiego doznają w londyńskiej kwaterze głównej kartelu handlującego diamentami. Ceny diamentu, począwszy od najwspanialszych kamieni aż po proszek diamentowy, były ustalane właśnie tam i tak ściśle kontrolowane, że ten, kto ośmielał się je naruszyć, był szybko eliminowany.

Przed kilkoma laty Zair zdobył się na zuchwały krok i wystąpił z kartelu. Jako drugi na świecie producent diamentów mógł oczekiwać, że mu się powiedzie na własną rękę. Chociaż kartel stanowczo by temu zaprzeczył, wszyscy doskonale wiedzieli, że to właśnie on zmusił Zair do powrotu na łono rodziny. Członkowie kartelu zalali rynek diamentami o niskiej jakości, właśnie takimi, jakie zamierzał sprzedawać Zair. Nastąpiła ekonomiczna dewastacja tego afrykańskiego kraju, którego jedynym bogactwem naturalnym są diamenty. Chwiejny rząd był bliski upadku, uratował się jednak przez ponowne udostępnienie swoich rynków zbytu kartelowi.

Teraz, kiedy Ryan osiągnął zdolność wytwarzania folii diamentowej, mógł ulepszyć produkowane przez Griffith International urządzenia wiertnicze i wyeliminować zapotrzebowanie na proszek diamentowy. Już nigdy nie musiałby dostosowywać się do cen ustalanych przez kartel. Otrzymaliby niezłego kopniaka. Najwyższy na to czas.

Folia diamentowa przeszła próby wytrzymałości, udowadniając, że jest równie odporna jak diamentowa skała. Można by ją zastosować bezpośrednio nie tylko w już wytwarzanych przez nich urządzeniach wiertniczych, ale także w półprzewodnikach, narzędziach chirurgicznych i w wielu różnorodnych urządzeniach wykorzystujących rozwijającą się

technologię komputerową. Dzięki temu wynalazkowi - największemu w dziedzinie materiałów od czasu wynalezienia plastyku - Griffith International wykonałby gigantyczny skok do przodu.

Najistotniejsze było teraz wystąpienie o patent i zarejestrowanie wynalazku. Aby utrzymać badania w tajemnicy i uchronić własne życie, nie wystąpili dotychczas nawet o jeden patent. Od lat General Electric i Asaki Group z Japonii próbowały wymyślić metodę produkcji materiału z diamentów na skalę przemysłową. Jednocześnie osiemdziesiąt japońskich koncernów i wiele firm amerykańskich pracowało nad wytwarzaniem sztucznych diamentów.

- Za dwa tygodnie będę miał gotowy do zabrania prototyp urządzenia - powiedział Avi.

- Będziemy musieli zabrać stąd wszystko, nie wzbudzając niczyich podejrzeń odnośnie do tego, co robimy.

Ryan będzie musiał wyjaśnić Stirlingowi, co się dzieje. Do tej pory unikał pytań ze strony MI - 5. Nie nalegali, ponieważ Stirling rozumiał, że Ryan prowadzi interesy. Byli zadowoleni tak długo, jak długo z nimi współpracował - był lepszy niż jakikolwiek cywil. Ale mogliby się na niego wpieprzyć, dowiedziawszy się, że wyjechał z kraju w momencie, kiedy ludzie Barzana biorą na muszkę T.J.

Ryan zawsze był ostrożny aż do przesady. Poza Avim nikt nie wiedział o laboratorium w Ouarzazate. W Londynie nigdy nie można by było osiągnąć tych samych wyników. Wścibskie gryziopórki próbowałyby wepchnąć swoje nosy w każdą fazę przeprowadzanych badań. Byłoby niemożliwością, żeby kartel nie dowiedział się, nad czym pracują.

- Ostrożności nigdy za dużo - powiedział Ryan. - Przypomnij sobie Roberta Barzana.

Lauren weszła do pracowni i ujrzała na sztaludze czyste płótno. Zagruntowane już i obramowane; przygotowane do malowania.

- Tabatha - odezwała się do pochylonej z zajęciem nad parą kolczyków dziewczyny. - Zaczęłaś malować?

Jej oczy spuszczone były w dół.

- Nie - odpowiedziała nieśmiało. - To dla ciebie.

- Naprawdę?

Jak na dziewczynę tak chorobliwie oszczędną była to niezwykła ekstrawagancja. Lauren była wzruszona.

- Chciałam ci podziękować - odrzekła Tabatha, nadal nie podnosząc wzroku - za to, że mnie przyjąłeś. Że pomagasz komuś takiemu jak ja.

- Nie musiałaś dziękować mi w ten sposób - Lauren podeszła do stołu, przy którym pracowała Tabatha. - Gotujesz przecież i sprzątasz.

- Mimo to chciałam ci podziękować. Powinnaś malować, a nie tylko szkicować. Zawsze mobilizujesz mnie do tego, abym była bardziej twórcza.

Lauren w duchu przyznała Tabacie rację.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Zacznę malować jeszcze dziś wieczorem.

Zaczekała chwilę, lecz Tabatha nie podniosła oczu. Lauren nie potrafiła jej zrozumieć. Kiedy wybrały się na wystawę wyrobów ceramicznych w Portobello, spotkały dziesiątki twórców o talencie o wiele mniejszym niż Tabathy. Większość z nich sprzedawała swoje prace i nieźle na tym zarabiała. Jednakże Tabatha nie wydawała się szczególnie zainteresowana próbowaniem czegokolwiek innego poza robieniem kolczyków i dopasowywaniem do nich naszyjników. Próbowiałaś ją zachęcić; nie możesz jej mówić, jak ma żyć.

Tabatha spacerowała się przez pokój i wyciągnęła z pieca kolejną blachę z kolczykami.

- Jak idzie z wystawą?

- Świetnie.

Jako że Tabatha rzadko była rozmowna, Lauren postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję, aby poznać ją nieco lepiej. Zdała jej więc krótką relację z realizacji ich planów.

- Podajecie wódkę i ser?

- Tak chce Irek. Pracownicy restauracji mający przygotować przyjęcie wściekli się i odmówili dostosowania się do zmienionego planu, więc Vora wszystkich zwolniła. Wynajęła kogoś nowego - kobietę, Sally Clark. Wysłałam cię kiedyś po ser do jej sklepu przy Kensington Church Street.

- Pamiętam - powiedziała Tabatha bez specjalnego zainteresowania.

- Czy sądzisz, że byłabyś w stanie zrobić jeszcze jedną wazę przed otwarciem wystawy Irka? To doskonała okazja, aby ją wtedy pokazać.

- Razem z obrazami pana Makarowa? - zapytała z niedowierzaniem w głosie.

- Irek nie będzie miał nic przeciwko temu. Zaproponowałabym coś z ceramiki na ścianę, lecz prawdę mówiąc nie mamy już na ścianach zbyt dużo miejsca. Wazę natomiast z łatwością mogę umieścić na niewielkim stoliku, gdzie każdy będzie mógł ją zobaczyć.

- Aha - wymamrotała Tabatha. - Chyba mi się uda.

- Znakomicie. Będiesz potrzebowała nowej kreacji na otwarciu. Skorzystaj znowu z mojej karty kredytowej u Harrodsa.

- Nie mogę. Je... jeszcze nie zapłaciłam ci za tamtą sukienkę.

- Nie martw się. Jakoś to załatwimy.



Lauren podeszła do płótna podarowanego jej przez Tabathę. Dlaczego było już zagruntowane, a właściwie tak mocno zagruntowane? Z pewnością Tabatha kupiła je po obniżonej cenie w sklepie dla artystów - amatorów. Jak większość artystów profesjonalnych, Lauren sama gruntuwała swoje płótna. Wolała cienką warstwę na całej powierzchni, w żadnym miejscu nie zbliżającą się grubością do tej. Nic jednak nie powiedziała. Po co ranić uczucia Tabathy, kiedy widać było, że chce zrobić dla Lauren coś szczególnego?

- Czy sądzisz, że twój chłopiec - jak on ma na imię? - będzie mógł przyjść na wystawę?

- David. Nie. Nie będzie go w mieście - odpowiedziała Tabatha i pośpiesznie wyszła z pokoju, niosąc w rękach blachę z kolczykami.

Lauren właśnie wycisnęła z tubek na paletę pełny zestaw kolorów i wymieszawszy część z nich, skomponowała nowe, swoje własne odcienie, kiedy zadźwięczał dzwonek. Podeszła do drzwi i kiedy je otworzyła, ujrzała Vorę w nowej fryzurze, z radosnym uśmiechem na twarzy. W swobodnie spływających ze środka głowy pasemkach Vora było bardziej do twarzy niż w ostatnio noszonych przez nią długich włosach.

- Wejdz. Gdzie byłaś przez cały dzień? Chciałam opowiedzieć ci o tym, co się wydarzyło podczas spotkania z Finleyem wczoraj wieczorem.

Vora weszła do środka. Miała na sobie drogie spodnie ze skóry i miękki ciemnożółty kaszmirowy sweter, a na wierzchu marynarkę do jazdy konnej, która najwyraźniej brała udział w zbyt wielu polowaniach. Jak na kobietę ogarniętą obsesją na punkcie linii i kroju noszonych przez siebie ubrań był to dziwaczny zestaw.

- Byłam u Irka. Właśnie skończył portret. Jest przepiękny  
- powiedziała ze łzami w oczach. - Wybaczył mi. Przeprowadzam się do niego.

Lauren na krótko opanowało niespodziewane uczucie zazdrości. Co się z tobą dzieje?

- Tak się cieszę - przytuliła Vorę. - Nie robisz tego zbyt szybko, prawda?

- Ależ nie - powiedziała Vora z emfazą. - Oboje będziemy musieli w wielu sprawach pójść na kompromis. On będzie musiał włączyć ogrzewanie, a ja będę musiała nauczyć się żyć wśród czerwieni - zachichotała. - A poza tym któreś z nas będzie musiało nauczyć się gotować.

- Nie umiesz gotować?

- Wuj Nigel miał dwoje kucharzy, a w szkole wszystkie posiłki były podawane gotowe. Kiedy wyszłam za Archa, zatrudniał on cały personel, włączając w to francuskiego szefa kuchni. Nigdy się nie nauczyłam. Do tej pory Irek nigdy nie jadł więcej niż talerz gorącej zupy. Jediną rzeczą, jaką potrafi zrobić, jest barszcz.

- Sądzę, że sobie poradzicie.

- Oczywiście. Kocham go. Żaden mężczyzna nie jest doskonały. Lecz dla mnie Irek jest doskonały.

Lauren uśmiechnęła się słysząc nie ukrywaną miłość w jej słowach. Przed oczami przesunął się jej obraz Ryana Westcotta. Żaden mężczyzna nie jest doskonały. Czy jej oczekiwania nie były nierealne?

- Finley dał mi listę członków Groucho - powiedziała Lauren, postanawiając przestać myśleć o Ryaniu - ale uparł się, aby przeprowadzić wywiad z Irkiem jeszcze przed otwarciem. Wiem, uzgodniliśmy, że nie będzie żadnych wywiadów aż do tego wieczoru, ale...

- Irek będzie gotowy. Ludzie dra Digsby'ego pracują z nim na każdej płaszczyźnie. Zaplanowali jeszcze kilka dodatkowych sesji.

- Wiesz, nie obawiam się o to, jak Irek wypadnie w mass - mediach. To był pomysł Ryana, aby skontaktować się z Digsbym. Jedyne, co mnie martwi, to danie Finleyowi okazji do przejechania się po Irku przed pokazaniem wystawy. Zabezpieczyłam się jednak przed tym, uzyskując od Finleya obietnicę, że puści wywiad dopiero po otwarciu wystawy.

Vora zmarszczyła czoło; jej oczy stały się mniej radosne. Opowiedziała Lauren o wizycie przedstawicieli Scotland Yardu i Interpolu.

- Bardzo zaniepokoiło mnie to, że się tobą interesują.

- Nie martw się. Nie mam nic do ukrycia.

To prawda - upewniła się Lauren, odprowadzając Vorę do drzwi. Zawarła z Carlosem Barzanem jak najbardziej uczciwą umowę. Żałowała, że nie może powiedzieć o tym Vorze. Dała przecież słowo. Nie mogła jednak przestać zastanawiać się nad tym, czy Barzan wie o olbrzymim długu galerii. Myślała już o tym przed wielu tygodniami, kiedy Vora poinformowała ją po raz pierwszy o tajemniczych inwestorach, którzy pożyczili Ravissantowi pieniądze, a następnie zniknęli, nigdy nie upominając się o swoje należności.

Coś w tym wszystkim było nie tak. Jak dotychczas, Barzan dotrzymywał umowy. Nie próbował manipulować rynkiem, jak się tego początkowo obawiała. Przesłała mu zaproszenie na wystawę, ale wymówił się i poinformował ją, że w zamian wyśle Davida Marcusa. Wydawał się zachowywać nad wyraz stosownie, jednakże wątpliwości jej nie opuszczały. Gdyby doszło do przesłuchania, będzie musiała powiedzieć władzom o umowie, jaką zawarła z Barzanem. Nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko powiedzieć im prawdę.

Po wyjściu Vory Lauren wróciła do pustej pracowni i zatrzymała się przed sztalugą. Ujrzała na płótnie powstały nagle w jej wyobraźni wyraźny, czysty obraz. Ująwszy w dłoń pędzel, zanurzyła go w brązowej farbie. Dodawszy nieco czerni i złota, otrzymała kolor, jakiego pragnęła.

Pierwsze pociągnięcia pędzla przychodziły z trudem; nie była przyzwyczajona do śliskiej, zbyt mocno zagruntowanej powierzchni. Kiedy jednak po pewnym czasie odczuła pod pędzlem gładkość płótna, obraz wynurzał się z lekkością, szybciej niż cokolwiek namalowanego przez nią do tej pory.

Zanim widoczne z pracowni sklepienie nieba nabrało typowego dla zachmurzonego Londynu, perłowego koloru, Lauren wykonała większą część pracy. Pozostało do wykończenia jedynie kilka detali.

- Wspaniale - głos Tabathy wystraszył Lauren. - Mój prezent zainspirował cię, nieprawdaż?

Z aktówką firmy Hermes w dłoni David Marcus wkroczył do swojego biura na Manhattanie, gdzie ujrzał czekającą na niego swoją siostrę Babs. Nie zwracając na nią uwagi, przeszedł przez supernowoczesny sekretariat z szarym dywanem wykonanym przez Berberów i kolekcją obrazów Koonsa. Sekretarka Julia Hartley uśmiechnęła się do niego. Jasne włosy opadały jej na ramiona. Profesjonalistka, ale jakże seksowna. Niebieskie oczy nie wyrażały niczego więcej poza oficjalną uprzejmością. David odebrał zanotowane przez nią wiadomości.

Babs popatrzyła na niego sponad magazynu „Town and Country”.

- David, muszę z tobą porozmawiać.

Zamknął jej drzwi przed nosem i zostawił w poczekalni. Babs była ostatnią osobą, jaką chciał teraz widzieć. Napęniała go odrazą. Troje dzieci wystarczyło, aby piersi jej stały się obwisłe jak wahadło, a ciało nabrało kształtów nadętej dyni.

Ciągłym utyskiwaniem zniechęcała do siebie swojego męża - księgowego, a także każdego, kto choć przez chwilę jej posłuchał.

David natychmiast odpowiedział na przekazane mu wiadomości. Jedną z tajemnic jego sukcesów było zdobycie sobie poparcia ze strony zagranicznych banków. Jako że rząd z dnia na dzień stawał się coraz bardziej agresywny, David zmuszony był śledzić na bieżąco wszystkie wiadomości dotyczące jakichkolwiek dochodzeń lub możliwych przecieków. W końcu doszedł do wniosku, że oczekując go Babs pogotowała się w środku wystarczająco długo. W ten sposób nigdy się jej nie pozbędzie, sprawi jedynie, że będzie jęczeć dłużej i głośniej.

Podniósł słuchawkę znajdującego się na biurku telefonu i usłyszał ochryply głos Julii. Wyobraził sobie jej wygolone krocze, ciepłe i miękkie. Mając trzydzieści lat, była dla niego o wiele za stara, ale korzystał z jej usług w przerwach pomiędzy młodymi dziewczętami.

- Przyślij panią Horowitz.

Babs wpadła do środka z wyrzutem:

- Wiecznie każesz mi czekać.

- Czego chcesz? Jestem zajęty.

Ulokowała swoje cielsko w fotelu naprzeciw biurka. Cóż on w niej kiedyś widział? Nawet kostium Chanel, który miała na sobie, nie był w stanie ukryć jej kluskowatego ciała. Godziny spędzone w salonie Georgette Klinger na zabiegach kosmetycznych nie usunęły z jej twarzy rozszerzających się podków pod oczami ani grubych linii, którymi poorane było jej czoło.

- Mama czuje się gorzej.

David chrząknął znacząco. Nie wierzył w to. Za każdym razem, gdy Babs zamierzała naciągnąć go na kolejną sumę pieniędzy, zaczynała od tego, że ich matka mieszkająca w

domu dla ludzi starych w Scarsdale ma się gorzej. Zawsze była taka sama. Zgrzybiała, ale ciągle żywa.

- Dr Gross chce przeprowadzić kilka dodatkowych testów.

- Cóż go więc powstrzymuje? Wie, dokąd ma wysłać rachunki.

- Uważa, że mogłoby pomóc, gdybyś przyszedł się z nią zobaczyć.

- Po co? Ona nie wie już, kim dla niej jesteśmy. Kiedy cię ostatnio rozpoznała? - w myśli przeklął swojego ojca za to, że umarł na polu golfowym na zawał serca, pozostawiając matkę i siostrę na jego opiece. - Czego naprawdę chcesz, Barbaro?

Udając płacz, pociągnęła nosem. Wyciągnął książeczkę czekową i sięgnął po złote pióro firmy Dupont.

- Ile?

- Tiffany potrzebuje aparat na zęby, a wkrótce ma przyjść rachunek za obóz Johna. Wiesz, że Brian nie zarabia na przyzwoite utrzymanie.

Brian Horowitz zarabiał krocie - w większości krajów wystarczyłoby na utrzymanie tuzina żon. W Scarsdale ledwie na jedną. Zwłaszcza jeżeli była nią jego siostra. Wyssałaby wszystko.

- Ile, Babs? Ile?

Czy ona naprawdę myśli, że on jest zrobiony z pieniędzy? Na szczęście przesz muglował wystarczającą ilość funduszy kartelu na własne konto, aby móc pokrywać nie kończące się wydatki Babs.

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - trajkotała nadal, wymieniając punkt po punkcie konieczne reparacje domu, a także rzeczy potrzebne dla dzieci.

David wypisał czek, ale nie dał się oszukać. Babs użyje tych pieniędzy dla zapłacenia rachunku u Barneya, Marthy lub w innym drogim sklepie. Za jedno lato seksu - zawsze z

inicjatywy Babs - płacił rachunek przez pozostałą część życia. Nie żeby Babs otwarcie wspominała o tamtych nocach. Lecz poczucie winy ciągle w nim tkwiło.

Babs pochwyciła czek i wepchnęła go do pikowanej torebki z salonu Chanel, pasującej do jej czerwonego kostiumu. Z rozdrażnioną miną wyszła z gabinetu, zostawiając za sobą powiew duszących, lecz niewątpliwie drogich perfum.

David przyciskiem przywołał Julię:

- Podyktuję ci list.

Weszła i cicho zamknęła za sobą drzwi. Następnie przekręciła klucz w zamku i pochyliła się lekko, prowokacyjnie odsłaniając górną część długich kształtnych nóg i prezentując przepięknie zaokrąglony tyłeczek. Jaka szkoda, że nie jest młodsza. Ze swoim brytyjskim akcentem Julia stanowiła klasę. Doznał szoku, kiedy go sprowokowała po raz pierwszy. Obecnie traktował jej usługi jako rzecz oczywistą. Profesjonalistka w każdym calu, z równą wprawą radziła sobie w pracach biurowych, jak i we francuskiej miłości.

- Podejź tu, laleczko.

Jego członek stawał się obolały. I gorący. Większą część poprzedniej nocy marzył o Tabacie Foley.

Nie spiesząc się, Julia przeszła przez pokój, potrząsając opadającymi jej na ramiona włosami. Przekręcił krzesło na bok i kiedy do niego podeszła, znalazł się dokładnie naprzeciw niej. Wzrok jej opadł na jego krocze, gdzie pośród rozpostartych ud przeżył się światowej klasy członek. Kiedy podniosła oczy, ich spojrzenia zetknęły się.

Powoli opadła na kolana i zajęła pozycję między jego nogami. Jej dłoń dotykała go przez materiał. Podniecająco przesuwiała palcami po nabrzmiałym instrumencie. Oparł się mocno o krzesło, odrzucając na bok głowę.

- Julia zaraz się tobą zajmie - powiedziała wysokim śpiewnym głosem. Jej podniecający brytyjski akcent przypomniawszy mu Tabathę.

Centymetr po centymetrze, powoli rozsunęła mu zamek u spodni i uwolniła stamtąd napęczniałego członka. Przeciągnęła po nim językiem, po czym pochwyciła go w usta. David wstrzymał oddech i z zamkniętymi oczami pomyślał o Tabacie.

Jak zwykle zajęło mu to tylko krótką chwilę. Julia była szybka, lecz nie miała tyle fantazji, co Tabatha. Kiedy sięgała po nawilżone chusteczki, które trzymał w górnej szufladzie biurka, zadzwonił telefon. To zapewne Carlos dzwoniący po codzienne sprawozdanie. Kiedy je otrzyma, uda się na zebranie na wysokim szczeblu rady nadzorczej, w jakimś muzeum albo instytucji charytatywnej. Carlos to niewątpliwy mistrz w podtrzymywaniu korzystnych układów.

- Halo? - odezwał się, ciągle odchylony na krześle do tyłu.

- David? - zaskoczył go gorący głos Tabathy. Co prawda miała jego prywatny numer, ale była poinformowana, aby telefonować tylko w nagłych wypadkach.

- Tak? - wyprostował się gwałtownie na krześle.

- Wczoraj odebrałam płótno od twojego człowieka.

- Dobra robota, aniołku.

Dźwięk jej głosu w połączeniu z oczyszczającymi ruchami Julii spowodował wzrastający niepokój w kroczu.

- Ostatniej nocy Lauren zaczęła na nim malować.

- Wspaniale.

Na twarzy Julii pojawiło się zdziwienie. David naprężył się znowu. Ruchem ręki nakazał jej pozostać.

- Już prawie ukończyła portret Ryana Westcotta. Cholernie podniecająco.



- Znaczy to, że zasłużyłaś na coś specjalnego, aniołku - powiedział, zaciskając zęby.

Jego członek znowu się wyprostował. Brzmienie głosu Tabathy i ta wiadomość sprawiły to, co wydawało się niemożliwe.

- W piątek będę w Londynie. Wtedy to otrzymasz.

- W piątek? W porządku. Sądzę, że się wtedy zobaczymy - w jej głosie nie było najmniejszego nawet zainteresowania. Zresztą, nigdy go nie było. To było częścią jej natury.

- Zrobię tak - jej głos nagle stał się apodyktyczny - abyś mi dał dokładnie to, czego chcę.

Nie mógł się tego doczekać.

David położył słuchawkę i spostrzegł, że Julia patrzy na niego z zaciekawieniem. Dobrze wiedział, czego ona pragnie. Odpiął spodnie, aby z radością spełnić jej oczekiwania. Podciągnął jej spódniczkę w górę wąskich bioder i wsunął kciuk pod sięgające talii rajstopy. Zwijając je ku dołowi, czekał na pojawienie się kuszącego wzgórza ogolonego ciała.

Popatrzywszy w górę, złapał ją na tym, jak wpatruje się w ostry nóż do otwierania listów leżący na adresowanej do niego poczcie. Przez chwilę opanowało go szalone wrażenie, że Julia zamierza pochwycić nóż i zatopić go w jego sercu.

Zamiast tego, uśmiechnęła się i rozchyliła nogi.

Peter Stirling przechadzał się po ptaszarni ogrodu zoologicznego w Snowden i pośród tłumu odwiedzających szukał wzrokiem Ryana Westcotta. Bezskutecznie. Mimo że w ten wiosenny dzień na zewnątrz panował chłód, tutaj w środku było ciepło i wilgotno. Peter nigdy nie lubił tego budynku, pełnego bujnej tropikalnej roślinności i świergotu egzotycznych ptaków, które zajmowały ogromną przestrzeń. Przypominał mu antenę telewizyjną w środku huraganu. Peter był już za stary na nowoczesną architekturę. I na takich nieobliczalnych facetów jak Ryan Westcott.

- Słuchaj, chłopie, masz może zapalki?

Stirling odwrócił się, natychmiast rozpoznając dokuczliwy głos Ryana. Westcott nie pytał, po co Peter chciał się z nim zobaczyć. Zeszłej nocy, kiedy Ryan wrócił do domu, zadzwonił Peter. Nie zadał sobie jednak trudu, aby go złączyć przez telefon.

- Gdzie byłeś? - zapytał Peter tak cicho, że ledwie można go było usłyszeć w nieprzerwanym ptasim świergotcie.

Ryan wzruszył ramionami.

- Wyjechałem w interesach.

- Zostałeś zobowiązany do tego, aby nas powiadamiać, gdzie jesteś. Zawsze. A gdyby Barzan wykonał ruch w czasie twojej nieobecności?

- Adi otrzymał instrukcje. Nikogo by nie wpuścił, a gdyby coś się stało, zadzwoniłby do ciebie. Czego ty oczekujesz ode mnie? Żeby siedział na dupie, kiedy moje interesy diabli biorą? Czekamy od lat i nic się nie dzieje.

- Barzan nie spiesz się. Zachęca nas do tego, abyśmy opuścili gardę. A ty idziesz mu na rękę - Peter usłyszał irytację w swoim własnym głosie.

Po tej sprawie chciał się wycofać w pełni chwały. Od czasów wojny była to zakrojona na największą skalę tajna

operacja. Jednakże szansa zwabienia Carlosa Barzana w pułapkę zależała od jednego człowieka - Ryana Westcotta. Gdyby Ryan był agentem MI - 5, Peter byłby spokojny, ale Westcott był cynikiem o mentalności samotnego wilka, co oznaczało, że nigdy w pełni się z nimi nie identyfikował.

- Udoskonalileś coś w procesie z diamentami, tak? Jedyne najkrótszy z możliwych błysk w zielonych oczach Ryana powiedział Peterowi, że trafił w dziesiątkę.

- Być może.

- Żadne być może. Nie wyjeżdżałbyś z kraju teraz - w kluczowym momencie - gdyby tak nie było.

- Będę musiał znów wyjechać za jakieś dwa tygodnie. Peter zanotował w pamięci, aby ludzie chodzący za

Westcottem zwiększyli czujność w tym okresie. Tym razem Ryan nie wyśliźnie się im i nie wyjedzie z kraju bez jednego z obserwujących go agentów.

- Daj mi znać, zanim wyjedziesz.

- W porządku - Westcott odwrócił się w stronę wielokolorowego tukana, który właśnie wylądował na pobliskiej żerdzi. - Co tu się dzieje?

- Zanim wyjechałeś, mówiłem ci, że przejrzałem taśmę z odwiedzin u Griffitha Lauren Winthrop, i miałem wrażenie, że ona mówi prawdę. Poprosiliśmy jednak ekspertów od skanera optycznego o przeprowadzenie badania.

- Dlaczego?

- Wiesz o tym, że skaner optyczny jest jeszcze bardziej precyzyjny niż wykrywacz kłamstw. Jest w stanie zmierzyć najdrobniejsze zmiany w tęczówce. Rzeczywiście źrenice się jej rozszerzyły i pozostały tak przez dłuższą chwilę. Zestawiając te wyniki z informacją uzyskaną dzięki modulatorowi głosu, doszliśmy do wniosku, że Lauren Winthrop mówi prawdę. Jest tu po to, aby przywrócić świetność galerii Ravissant. Bez wątplenia obraz ma dla niej

wysoce osobiste znaczenie. Napięcie w jej głosie i reakcja tęczyówki świadczą o tym, że mówiła prawdę, twierdząc, że to sprawa osobista.

- Mówiłem ci, że to nie Mata Hari.

- Mieszkanie Lauren Winthrop jest na podsłuchu. Nie mamy pewności, kto podsłuchuje jej rozmowy, ale jesteśmy na tropie. Co powiedziała jej wtedy, gdy ją zabierałeś do Griffitha?

- Żadna pluskwa nie złapała naszej rozmowy. Pamiętałem o wszystkim, czego nauczyli mnie twoi chłopcy. Odkręciłem wszystkie cholerne kurki w łazience, a dopiero później wyszeptałem jej do ucha, że T.J. chce się z nią widzieć.

- Pluskwy w jej mieszkaniu to najdoskonalsze urządzenia, jakie są dostępne na rynku. Ktokolwiek was podsłuchiwał, usłyszał to, co powiedziałaś, i wie, że Lauren Winthrop złożyła wizytę Griffithowi. - Peter rzucił ukradkowe spojrzenie do tyłu. - Nie będzie to miało znaczenia, chyba że to Carlos Barzan.

- Dowiedźcie się więc, czy to on. Urządzenia podsłuchowe przesyłają informacje do odbiornika. Wystarczy go zlokalizować i będziecie znali odpowiedź.

- Badamy to. Jednakże odbiorniki przystosowane do odbioru sygnału z tych nowych pluskiew są wielkości portfela. Można je umieścić w budynku Winthrop, po drugiej stronie placu, albo w pojeździe krążącym po okolicy. Możliwości są niewyczerpane. A co gorsza, Grosvenor Square pełen jest budynków zamieszkałych przez bogatych ludzi, którzy nie życzą sobie, aby naruszać ich prywatność.

Peter szturchnął Ryana łokciem, dając mu do zrozumienia, że powinni poruszać się po ptaszarni i udawać zainteresowanie papugami, po czym dodał:

- Jediną rzeczą, jakiej jesteśmy pewni, jest to, że odbiornik nie znajduje się w jej mieszkaniu. Sprawdziliśmy to.

Ryan uważnie popatrzył na Petera.

- Nie powiedziałaś jej chyba o podsłuchu?
- Nie. Gdyby wiedziała, mogłaby w nie zamierzony sposób zrobić lub powiedzieć coś takiego, co dałoby im cynk.
- Masz pojęcie, kto to może być?
- CIA poinformowała nas, że jakiś kartel narkotykowy może próbować wplątać wydawnictwo Ravissant w druk fałszywych reprodukcji.
- To może być Barzan. Próbuje ukryć dochody z handlu narkotykami w fałszywych drukach, tak jak jego syn zamierzał wyprać pieniądze, wykorzystując do tego produkcję diamentów. - Ryan pokręcił głową z niesmakiem. - W ten sposób mogli ukryć kolosalne dochody. Podobnie z fałszywymi reprodukcjami.

Peter przystanął przy bambusowych zaroślach, nie zwracając uwagi na gruchanie dwóch zakochanych papug.

- Chciałbym, żeby to było takie proste. Wiesz, że chciałbym dostać Barzana w swoje ręce, jednakże dowody CIA wskazują na kartel z Medellin. Obawiam się, że mamy tu do czynienia z dwiema ciągle zmieniającymi się sytuacjami. Zostaw to fałszerstwo Interpolowi. Skoncentruj się na Barzanie, który poluje na Griffitha. Melduj o wszystkim, niezależnie od tego, jak bardzo wyda ci się to bez związku ze sprawą.

- W porządku - zgodził się Ryan. - Sprawdziłeś wszystkie nazwiska, które ci podałem?

Kiedy Peter skinął głową, Ryan dodał:

- Nic nowego o człowieku, którego Barzan tu przysłał?
- Nic. Ale nasz człowiek ciągle jest na miejscu i przesyła coraz dokładniejsze informacje. Wkrótce powinniśmy wiedzieć o wiele więcej - dodał Peter przekonany o tym, że któregoś dnia wydział MI - 5 rozgryzie komputerowy system Barzana.

- Kupili sobie tytuł na aukcji? - Irek pokiwał głową z niedowierzaniem. - Są teraz lordami czego?

- Kitty i Tex Halford nazywają się teraz: Lord i Lady Avon Bishop - odpowiedziała Vora z oczami zwróconymi na Lauren, zapatrzoną na zapadający zmierzch za oknem jaguara, którym Irek wiozł ją do domu. Wiedziała, że Lauren myśli o Rynie Westcotcie. Wrócił kilka dni temu, ale ani razu nie przyszedł do galerii, ani też nie zadzwonił. Oczywiście Irek rozmawiał z nim codziennie.

Lauren odwróciła się do Vory i zapytała:

- Ci Teksaszczyki, którzy wynajęli twój dom, kupili sobie szlachectwo?

- Tak. W tej samej minucie, kiedy syn Maggie Thatcher, Mark, poślubił dziewczynę z Teksasu, tabuny Teksaszczyków zwały się na Londyn, wciskając nosy wszędzie, gdzie się tylko dało. W każde wydarzenie towarzyskie. Co roku Robert Smith urządza wyprzedaż tytułów na aukcji w Painters Hall. To właśnie tam Kitty i Tex nabyli dla siebie tytuł.

- Dikij zapad - wymamrotał Irek, okrążając Berkeley Square.

- W jakim celu ktoś miałby sprzedawać swój tytuł? - zapytała Lauren z tylnego siedzenia. W jej głosie nie było wielkiego zainteresowania.

- Niektórzy ludzie potrzebują pieniędzy. Szeregu tytułów już się nie używa, jak na przykład Lord i Lady of Stratford St. Andrew. Posiadłość tę otrzymała od Henryka VIII jego czwarta żona - Anne of Cleves.

- Nie miała żadnych... jak to się mówi?

- Potomków? Nie. Obcięto jej głowę. Pamiętasz, że Henryk miał tyle tych żon? - uśmiechnęła się, kiedy Irek wzruszył ramionami. Historia sięgająca poza rok 1917 nie bardzo go interesowała. - Tak więc Kitty i Tex mają teraz

tytuł, oprócz posiadłości w Belgravii. Wprowadzają się w tydzień po wystawie.

- Co otrzymuje się razem z tytułem? Posiadłości? Zamek?  
- Nic. Oczywiście mogą go używać w kręgach towarzyskich. I na papierze listowym albo - nie jestem pewna - w charakterze monogramów na ręcznikach - powiedziała Vora.

- Monogram?  
- Wzory wyszywane przez maszynę.  
- Na ręcznikach? Dikij zapad. Ludzie na Zachodzie są obłąkani.

Zapanowała cisza. Jechali teraz w dół Mountu, a następnie skręcili w prawo na South Audley. Zarówno Irek, jak i Lauren nie byli specjalnie przejęci tym, że Vora wynajęła jedyny dom, jaki kiedykolwiek miała, najbardziej nieprzyjemnej parze na ziemi. Musiała zebrać w sobie cały hart ducha, aby zrezygnować z domu Archera Leightona.

Lecz od teraz musiała żyć własnym życiem. Targały nią wątpliwości i obawa.

Przeprowadzała się do mieszkania, gdzie czerwień odbijała się od czerwieni. O lata świetlne od Harrodsa. Bez służby. Będzie musiała nauczyć się gotować. A jakby tego było mało, egzemplarz Laronsse Gastronomique, który sprzedano jej u Hatchardsa, równie dobrze mógł być napisany po grecku. Były to jednak mniej poważne niedogodności. Największy kłopot to Irek. Czy miłość wystarczy?

Irek uniósł rękę ponad tablicę rozdzielczą i położył na jej dłoni. Popatrzyła w jego brązowe, śmiejące się oczy. Jakżeby to mogło być pomyłką? Musi ją kochać, nie dlatego, że jest tym, kim jest, ale na przekór temu.

Jaguar przedzierał się w górę Grosvenor, kiedy Lauren zapytała:

- Irek, czy masz numer telefonu Ryana?

- Tak. Ale mówi mi, żebym nie dawał go nikomu. Tylko ja mam korzystać w nagłych wypadkach.

- Rozumiem - Lauren była niepokojona.

- Nie sądzę, żeby Ryan miał coś przeciw temu, jeżeli... - zaczęła Vora.

- Nie. Powiedział, że to ważne, abym wbił sobie numer do głowy i nigdzie więcej. Mówił mi kilka razy.

Irek był niesłychanie uparty i nie dało się z tym skutecznie walczyć. Jaguar zatrzymał się na wprost wejścia do budynku, w którym mieszkała Lauren.

- Irek, a może byś wszedł z Lauren i wykręcił dla niej numer? Ona nie będzie patrzeć. W ten sposób jej pomożesz, a sam nie złamiesz obietnicy.

- Czy nie sądzisz, że Ryan miałby coś przeciw temu? - spytał Irek.

- Nie - skłamała Vora.

Nie miała najbardziej nawet mglistego pojęcia, co też można widzieć w Ryaniu, lecz Lauren zwierzyła się jej, że się nim interesuje. Vora nie mogła zrozumieć, dlaczego Ryan tak źle traktuje jej przyjaciółkę.

- Zaczekam na ciebie w samochodzie - dodała.

- Dzięki - mrugnęła do niej Lauren. - Zobaczymy się jutro.

Lauren patrzyła w bok, kiedy Irek wykręcał numer Ryana. Wręczył jej słuchawkę i szybko się pożegnał. Zanim zdążyła zareagować, Irek był już za drzwiami.

- Tak? - odezwał się szorstki głos sikha.

- Czy mogę mówić z Ryanem... Westcotten?

- Kto mówi?

Ton jego głosu zmroził ją.

- Lauren Winthrop. Czy on tam jest?

- Czekać.



Odgłos położonej na stół słuchawki zadźwięczał jej w uszach. Nie pozwól, żeby się na ciebie gniewał. Spraw, żeby zrozumiał.

Powtórzyła w pamięci to, co mówiła sobie w ciągu dziesięciu dni nieobecności Ryana. Po tym wszystkim, co przeszła, próbowała żyć z daleka od mężczyzn. Nie rozumiała, dlaczego coś pchało ją w kierunku Ryana Westcotta. Czyż nie szukała mężczyzny innego pokroju? Tak, ale jakiego? Nie był to z pewnością Grant Fraser. Nie będzie nim też jeszcze jeden mężczyzna w typie jej pierwszego męża. Jej małżeństwo z Ozzie'em było związkiem wygodnym dla obojga. Następnym razem wyjdzie za mąż z miłości, ale teraz, w tej chwili, musi jeszcze raz zobaczyć się z Ryanem.

- Jak, u diabła, zdobyłaś ten numer?

Słuchawka zadrżała jej w dłoni.

- I... Irek wystukał numer, ale nie gniewaj się na niego. Nie pozwolił, żebym patrzyła.

Westchnął z rozdrażnieniem.

- Czego chcesz?

- Chcia... Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Miałaś już okazję.

- Ryan, przepraszam cię za to, co powiedziałam. Chciałabym się z tobą zobaczyć.

Cisza.

- Proszę. Czy mogę zaprosić cię na drinka? Moglibyśmy spotkać się w barze u Harry'ego.

- Nie.

- Proszę. Muszę z tobą porozmawiać.

- Czekaj na dole w korytarzu.

Ledwie mogła opanować spazmatyczne drżenie w dołku, kiedy wbiegła do łazienki. Nie miała czasu na nic więcej, jak tylko umycie zębów i pociągnięcie szminką ust. Przeszła obok chrapiącego w korytarzu Jeevesa. Gdyby nie był to taki miły

staruszek, złożyłaby na niego skargę do zarządcy budynku. Przynosił pocztę i drzemał - to wszystko, co robił.

Wyszła na zewnątrz budynku. Księżyc oświetlał niebo, przesuając się ponad masywnym orłem, który przysiadł na krawędzi dachu amerykańskiej ambasady. Obserwując światła samochodów mknących wokół Grosvenor Square, wypatrywała astona - martina. Co mu powiesz?

Nagle Ryan wyłonił się zza rogu Carlos Place. Podążał w górę Grosvenor. Miał na sobie nie zapiętą kurtkę lotniczą, a ręce wsunięte do kieszeni. Kiedy się zbliżył, zauważyła, że lekki wiatr zdmuchnął mu na czoło ciemne włosy, przez co jego wrogie zielone oczy stały się jeszcze bardziej wyraziste. Podeszła do niego z wahaniem.

- Dziękuję ci, że przyszedłeś - odezwała się, zaskoczona normalnym brzmieniem swojego głosu.

Lauren miała na sobie zwykłą brązową sukienkę, którą widać było spod rozpiętego płaszcza, i wygodne buty firmy Ferragano. Obrzucił ją wzrokiem, lecz nic nie powiedział.

- Pójdziemy na drinka? - zdobyła się na zachęcający uśmiech.

- Nie. Przejdźmy się.

Odwrócił się i ruszył w kierunku Brook Street. Lauren podążyła za nim. Szedł tak szybko, że musiała podbiegać, aby dotrzymać mu kroku. Szedł z wysuniętą do przodu głową, z włosami zmierzwionymi przez wiatr, który teraz smagał im twarze.

- Jak się masz?

Zatrzymał się i odwrócił, aby na nią popatrzeć.

- Wyciągasz mój tyłek aż tutaj, aby pieprzyć o niczym?

- Po... powiedziałam, że przepraszam - jej słowa zamieniły się w urywany szept.

- To nie wystarczy. Chcę wiedzieć, dlaczego przypominam ci Ruperta Armstronga.

- Nie przypominasz. Nie... nie wiem, co mnie napadło, żeby to powiedzieć. Wymknęło mi się.

- Gówno prawda.

- Słowo honoru. Nie miałam tego na myśli. Czy nie moglibyśmy zacząć jeszcze raz; udać, że nigdy tego nie powiedziałam?

Jej pokojowe słowa nie zmniejszyły jego gniewu. Ruszył znowu przed siebie, tym razem nieco wolniej, lecz z równą determinacją co poprzednio. Pociągnęła za nim z głową przekrzywioną na bok, wpatrując się w jego surowy profil.

- Jesteś dokładnie taka, jak twoja matka. Dokładnie.

- Co?

Skąd to oburzające stwierdzenie?

- Jak to możliwe? Nie widziałam jej od lat.

- Nie uda ci się mnie wykorzystać, Lauren.

- C... co... masz na myśli? Pochwycił jej podbródek dłonią ciepłą jeszcze od trzymania w kieszeni.

- Nie świadczę usług jak jakiś pieprzony ogier. Usługi? Ogier? Czy myślał, że o to jej chodziło - spać z nim? Czy nie dostrzegał, że było to o wiele głębsze? Wyrwała się z uścisku jego ręki.

- Ten telefon do ciebie to pomyłka. W niczym nie przypominam matki i nie szukam jedynie możliwości seksualnego wyżycia się.

- Mało brakowało, a dałbym się nabrać. Chcesz, żeby cię przelecieć. Przyznaj to. Chcesz, ale się tego boisz.

Popatrzyła na czubki butów. Miał rację. Bała się, ale kiedyś. Teraz już nie. Lecz nie szukała jedynie seksu.

Popychał ją wycelowanym w jej ramię wskazującym palcem.

- Zamierzasz przeciągnąć mnie przez wyżymaczkę, a później zostawić, podobnie jak twoja matka zrobiła z T.J., nie tak?

- Nie. Ja... - zawahała się. Rzeczywiście miała na myśli coś przelotnego, kiedy do niego dzwoniła. Cóż innego mogło być? Ryan Westcott nie miał predyspozycji do utrzymywania długotrwałych związków z jakąkolwiek kobietą. A z pewnością nie z nią.

- Jesteś manipulanką, dokładnie tak samo, jak twoja matka. Nadal nosisz ślubną obrączkę. Dlaczego? Aby odstraszyć niepożądanych mężczyzn; mówiąc, że jesteś wdową, tylko tym, którzy ci się podobają.

- Nie, ja...

- Wyszłaś za starego człowieka, aby móc nim obracać w każdą stronę. A teraz złapałaś następnego starego zasrańca, Frasera Granta...

- Granta Fras...

- A kogóż, u diabła, to obchodzi? Chodzi o to, że gonisz za starymi alfonsami, których później możesz owinać sobie wokół palca. Czy byłaś kiedyś z kimś w twoim wieku - przede mną?

Przytaknęła, choć było to nieprawdą. Chciała teraz stąd uciec, ale nie mogła dać mu do zrozumienia, że on ma rację. Starsi mężczyźni przypominali jej ojca i zapewniali poczucie bezpieczeństwa.

Przysunawszy się bliżej, stanął z nią twarzą w twarz. Zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

- A do tego cnotka. Znów cała matka. Cofnęła się o krok.

- Mylisz się. - Jeszcze jeden krok do tyłu. - Nie jestem tym przerażona.

Postąpił krok naprzód, prawie się z nią zrównując. Ich twarze dzieliło kilka centymetrów.

- Nosisz ten ściśnięty kok, jakbyś miała pięćdziesiąt...

- Ten kok jest bardzo modny.

- Boisz się rozpuścić włosy. Nosisz ubrania bez gustu, które zakrywają każdy cal twojego ciała. Jesteś pruderyjna.

Odwróciła się. Nie było sensu pozwalać mu na dalsze obrażanie. Nienawidził jej matki i przeniósł tę nienawiść na nią. Oceniała go niewłaściwie, kiedy myślała, że jest wrażliwy. Oczywiście, Irek Makarow to szczególny przypadek i dlatego Ryan był dla niego taki miły.

Ryan pochwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

- Nie wiem, u diabła, co ja w tobie widzę. Nie kontaktuj się ze mną, chyba że zechcesz się zdeklarować.

- Zdeklarować? - słowa wydobywały się z niej, jakby ktoś ją dusił.

- Na rany boskie, Lauren. Zdeklarować. Wiesz przecież, na co wy, kobiety, narzekacie od wieków. Kobiety zawsze chcą, żeby mężczyzna się zdeklarował. A teraz ja ci powtarzam. Nie zbliżaj się do mnie, jeżeli nie zamierzasz złożyć takiej deklaracji. Nie będę tolerował, jak Fraser Grant obwąchuje moją kobietę. Albo ten kutas Tibbetts.

Zwolnił z uścisku jej ramiona i odszedł, rzucając przez ramię na pożegnanie:

- Deklaracja albo nic.

Udając się do Brown's Hotel, Vora zastanawiała się, co też może oznaczać tajemnicza wiadomość od Lauren. Coś ważnego musiało wydarzyć się poprzedniego wieczoru podczas rozmowy z Ryanem Westcottem. Dzisiaj Lauren zapraszała Vorę na śniadanie.

- Dzień dobry, pani Leighton.

Portier otworzył szeroko potężne dębowe drzwi. Vora odpowiedziała na powitanie niewyraźnym pomrukiem.

Utrzymany w całkowicie angielskim stylu Brown's był bardziej instytucją aniżeli zwykłym hotelem. Delikatną boazerią, witrażowymi drzwiami i nieco staroświeckimi dekoracjami czarował gości od Napoleona, poprzez Roosevelta, aż do kadry dzisiejszych japońskich biznesmenów. Kiedy jeszcze żył Archer, dwa razy w tygodniu Vora towarzyszyła mu w Brown's Hotel podczas herbatki przy kominku serwowanej w pokoju Albemarle.

Wchodząc do L'Aperitif, Vora ujrzała Lauren siedzącą przy stoliku w rogu i stojącego obok w uprzejmym ukłonie kelnera. Usadowiła się na krześle i bez zastanawiania się zamówiła czarny pudding i kawę. Jednocześnie przypatrywała się uważnie Lauren. Najwyraźniej coś ją gnębiło.

- Co się stało? - zapytała, kiedy kelner się oddalił.

- Muszę zmienić fryzurę i kupić sobie nowe ubranie. Vora nie wierzyła własnym uszom. Do tej pory spędziła z Lauren wiele dni na oprowadzaniu jej po sklepach i kupowaniu okropnych sukieneczek, odpowiednich dla matki królowej. Nieskończenie wiele razy błagała Lauren, aby pozwoliła Basilowi spróbować zrobić coś z jej włosami. Lauren zawsze odmawiała.

- Chcę wyglądać inaczej. Trochę... seksownie. Jestem pewna, że Ryan będzie dzisiaj na wystawie kolekcji

Courtrigha w Barbican Centre. Chcę mu sprawić niespodziankę.

- Tak więc rozmawiałaś z nim? - zapytała Vora, a wtedy Lauren ze szczegółami opowiedziała jej o spotkaniu z Ryanem. - Co on ma na myśli mówiąc o zdeklarowaniu się?

- Nie powiedział... dokładnie.

- Zmienianie się dla mężczyzny to nie jest dobry pomysł. Wierz mi, wiem coś o tym. Próbowałam diety, wydłużania włosów i dziesiątek innych rzeczy. Dopiero bycie sobą okazało się skuteczne. A nawet wtedy budowanie związku nie jest wcale łatwe. Irek nie zgodził się na zamieszkanie w moim „muzeum”. Nie podoba mi się mieszkanie nad Tamizą. Droga na Wyspę Psów zeszła na psy, ale Irek jest zakochany w całej okolicy. Mimo to jestem szczęśliwa, bo go kocham i odkryłam, że podobam się sobie taka, jaka jestem.

Kelner przyniósł śniadanie. Podawał je z gracją, która miała przypominać klientom o tym, że najlepsze śniadanie w Londynie można zjeść w Brown's Hotel. Vora dodała:

- Nie zmieniaj się po to, aby zadowolić Ryana Westcotta.

- To nie dla niego. Ryan sprowokował mnie do tego, abym dokładnie się sobie przyjrzała. To, co zobaczyłam, wcale mi się nie spodobało. Zmusił mnie do przeanalizowania mojej przeszłości. Nigdy nie mogłam dojść z matką do porozumienia. Wyglądałam dokładnie jak ona. Zawsze obawiałam się, że stanę się taką samą osobą. Skoncentrowaną na sobie.

Jedząc pudding jakby od niechcienia, Vora pomyślała o swojej matce, której nigdy nie знаła.

- Moja matka nigdy nie powinna była mieć dzieci - powiedziała Lauren. - Ani trochę nie obchodziłam jej ani ja, ani mój brat. Widzisz, była wiejską dziewczyną, która przyjechała do Londynu. Ponieważ była uderzająco piękna, zdołała zdobyć pracę jako szatniarka w Ritzu. Moja babcia

zawsze uważała, że obserwując tych wszystkich zamożnych ludzi, matka postanowiła poślubić bogatego mężczyznę.

Vora ze zrozumieniem pokiwała głową. Londyn zawsze był magnesem dla wiejskich dziewcząt owładniętych podobnymi marzeniami.

- Poznała mojego ojca, kiedy przyszedł na przyjęcie zorganizowane w Ritzu przez jednego z ambasadorów. Matka pomyślała, że skoro jest on Amerykaninem w zagranicznej służbie dyplomatycznej, to musi być bogaty. Dwa tygodnie później pobrali się, po czym wysłano go na placówkę do Japonii.

- Nie kochała go?

- Nie. Zupełnie do siebie nie pasowali. Tato władał pięcioma językami i miał niezaspokojoną ciekawość świata, ale nie interesowało go robienie pieniędzy. Natomiast matka rozkoszowała się posiadaniem dóbr materialnych i ciągle udzielała się towarzysko. Mieli możliwość ciągłego wychodzenia z domu, lecz ojciec się na to nie zgadzał. Urządzali okropne awantury. Wtedy matka zarzucała ojcu, że jest nudnym nieudacznikiem.

Vora nie potrafiła ocenić, co było gorsze: awantury czy ściana milczenia jej wuja.

- Matka miała pretensje również do mnie o to, że tato nie zrobił więcej pieniędzy. Zaproponowano mu posadę w Jemenie, co oznaczałoby lepszą pozycję i wyższe wynagrodzenie, ale wtedy ona odkryła, że jest w ciąży. Ojciec nie zgodził się na opuszczenie Japonii i wyjazd do kraju, gdzie opieka medyczna jest wątpliwej jakości.

Vora nie potrafiła wyobrazić sobie matki, która byłaby tak okrutna, aby mówić swojemu małemu dziecku, że jest ono winne kłopotów małżeńskich rodziców.



- Ojciec zginął w wyniku tajfunu, który zaatakował Japonię. Biurowiec, w którym pracował, zawalił się. Przez wiele dni nie znaleziono jego ciała.

- To okropne. Czy matka była załamana?

Lauren przecząco pokręciła głową, bawiac się nie napoczętym jeszcze jajkiem.

- Sądzę, że odczuła wielką ulgę. Błyskawicznie przenieśliśmy się z powrotem do Anglii. Nas podrzuciła swojej matce w Boxon - Stroud, a sama pojechała do Londynu.

- Często się z nią widywałaś?

- Nie. Nie widziałam jej przez następne dwa lata; do czasu, kiedy ukończyłam piętnaście lat. Wyszła powtórnie za mąż, ale nas nie zaproszono na wesele. - Lauren odsunęła talerz na bok i spuściła oczy. - Kiedy umarła Nana, matka nie przyjechała nawet na pogrzeb.

Vora chciała pocieszyć swoją przyjaciółkę, lecz nie miała pojęcia, co powiedzieć. Było oczywiste, że Lauren bardzo kochała swoją babcię, a postępowanie matki wyryło w niej głęboką ranę.

- Kiedy umarła Nana, matka nie miała innego wyjścia, jak tylko posłać po Paula i mnie. Zanim przyjechałam do Marrakeszu, nigdy nawet nie śniłam, że ludzie naprawdę mogą mieszkać w tak wielkich domach i mieć tylu służących. Do tamtej pory zawsze dzieliłam pokój z Paulem. W Marrakeszu miałam własny pokój, ale brakowało mi Nany. I oczywiście papy.

Vora była zaskoczona wzruszeniem w głosie Lauren. Zasluchana, oczami wyobraźni ujrzała Lauren przybywającą do Marrakeszu przed blisko dwudziestoma laty.

W dniu przybycia Lauren nie widziała się z matką aż do kolacji, kiedy to służący odprowadził ją do sali bankietowej, w której czekała Caroline ubrana w niebieską sukienkę, jakby

wyjętą prosto z magazynu mody „Majesty”. Lauren nie mogła powstrzymać okrzyku podziwu. Ledwie dostrzegała znajdujących się w głębi olbrzymiego pokoju brata i stojącego obok ojczyma. Jej nabożny wzrok utkwiony był w matce. Powinieneś ją teraz zobaczyć, tatusiu. Jest piękniejsza niż kiedykolwiek. Lauren poczuła, że ogromnie pragnie matkę uściskać i pocałować. Dwa lata to jak całe życie. Jak bardzo się stęskniła!

Kiedy wyciągnęła ku niej ramiona, Caroline zapytała:

- Co się stało z twoimi włosami? Dlaczego nie nosisz warkocza?

Surowy wyraz twarzy matki i niezadowolenie w jej głosie powstrzymały Lauren. Opuściła ręce. Caroline rzuciła długie spojrzenie na rudowłosego mężczyznę po przeciwległej stronie pokoju, lecz nie uczyniła najmniejszego ruchu, aby pocałować, czy chociażby przytulić córkę na powitanie.

- Mam już piętnaście lat; zbyt dużo, aby nosić warkocze - powiedziała cicho Lauren.

- To nonsens - stwierdziła Caroline, bacznie przypatrując się Lauren swoimi niebieskimi oczami ozdobionymi długimi rzęsami. - Od dziś masz nosić warkocze. Dzięki nim będziesz wyglądać... słodko.

- Dobrze - niechętnie zgodziła się Lauren.

Matka poprowadziła ją przez pokój i ciepłym głosem powiedziała:

- Rupert, kochanie, to jest Lauren.

Lauren poczuła na sobie wzrok Ruperta Armstronga. Patrzył na nią tak krytycznie, że musiała spojrzeć na marmurową posadzkę pod stopami. Nigdy wcześniej nie spotkała kogoś takiego. Jego włosy były tak czerwone jak słońce zachodzące nad Kornwalią, lecz twarz miał bladą jak księżyc. Bóg prawie zapomniał obdarzyć go brwiami. Przypomniawszy sobie o nich dopiero w ostatniej chwili i umieścił

kilka rudych nitek nad czarnymi oczami, które połyskiwały jak węgle w czarnej izbie.

Proszę cię, tatusiu, spraw, żeby Rupert mnie polubił. Wiem, że na pewno jest wspaniały. W przeciwnym razie mama nie kochałaby go. Po śmierci ojca Lauren nadal rozmawiała z nim tak jak wtedy, kiedy żył. Była między nimi szczególna więź, szczególny rodzaj miłości. Lauren czuła, że jeśli nadal będzie z nim rozmawiać, to nigdy go nie straci.

Siedząc przy stole, Lauren przysłuchiwała się rozmowie Caroline z Rupertem na temat przyjęcia, które odbyło się poprzedniego wieczoru. Rupert uśmiechał się słuchając szczebiotu Caroline. Bez wątpienia był nią oczarowany - tak jak wszyscy mężczyźni.

- Rupert, kochanie, jeżeli chodzi o dzieci - powiedziała matka tonem, który sugerował, że Lauren i Paul są w dalszym ciągu oseskami, a nie nastolatkami, i żadną miarą nie mogą brać udziału w dyskusji - to zapisałam je do szkoły we Francji. Wyjadą w przyszłym tygodniu. W sam raz na rozpoczęcie jesienno semestru.

Rupert nie podniósł wzroku znad talerza z zupą.

- Lauren jest zbyt młoda, aby być z dala od domu. Pojedzie tylko Paul.

Nieskazitelna cera Caroline poczerwieniała. Rzuciła gniewne spojrzenie w stronę Lauren.

- Oczywiście, kochanie.

Lauren była przygnębiona. Nigdy wcześniej nie rozstawała się z Paulem. Poczwała się nieco lepiej, kiedy uświadomiła sobie, że będzie przecież u boku matki. Nigdy nie było między nimi silnej więzi. W każdym razie takiej, jak między nią a tatusiem. Ale teraz wszystko będzie inaczej.

- Czy zauważyłaś, jak bardzo matka jest posłuszna Rupertowi? - zapytał Paul. - Kiedy tylko powiedział „nie”, zgodziła się natychmiast. To niewiarygodne.

Lauren też wydało się to dziwne. Matka zawsze spierała się z tatusiem. O wszystko. O najdrobniejsze szczegóły. Paul objął ją ramieniem i przytulił.

- Nie martw się. Będę często pisywał, obiecuję. Wszystko będzie dobrze.

Tak jednak nie było. Ponieważ nie mówiła po francusku - jednym z dwóch języków używanych w Marrakeszu - czuła się zagubiona w Ecole Francaise, gdzie wszystkie zajęcia prowadzone były właśnie w tym języku. Płynna znajomość japońskiego nie była tu żadną pomocą, tak więc Lauren nigdy nie zgłaszała się do odpowiedzi.

Na lekcjach algebry siedziała obok Angelique Dubassy, najpiękniejszej dziewczyny w szkole. Angelique miała gęste, czekoladowe włosy i oczy o nieco jaśniejszym odcieniu. Pierwszego dnia Lauren powitała ją po francusku najlepiej, jak tylko umiała. Trzepocząc pogrubionymi tuszem rzęsami, Angelique popatrzyła na nią jak przez ścianę. Lauren nie rozmawiała z nią więcej aż do końca pierwszego tygodnia, kiedy nie była w stanie zrozumieć pracy domowej. Angelique zapisała jej w zeszycie.

Lauren położyła się spać dopiero o trzeciej w nocy, kiedy skończyła zadanie. Gdy pokazała je na lekcji, okazało się, że pomyliła strony. Nauczycielka wymachiwała rękami i piszczała coś po francusku. Czerwoną ze wstydu Lauren wysłano do dyrektora. Powiedział, że nie spełnia ona wymogów z żadnego przedmiotu, że zostanie przesunięta o jedną klasę niżej i będzie uczęszczać z uczniami młodszymi o rok.

Matka wpadła do jej pokoju, wymachując otrzymanym od dyrektora listem.

- Jak mogłaś mnie tak poniżyć? Co ja teraz powiem Rupertowi?

- Nie rozumiem po francusku. Potrzebuję korepetytora.

- Nonsens. Po prostu nie uważasz na lekcjach. Caroline podeszła do biurka, na którym leżała otwarta książka do algebry, a obok słownik francusko - angielski. Pochwyciła pudełko z farbami, które Paul podarował Lauren na piętnaste urodziny. Otworzyła je i zapytała:

- Co to jest?

Z trzaskiem przełamała pędzel na pół i cisnęła nim do kosza na śmieci.

- Zapomnij o malowaniu. Skoncentruj się na francuskim.

Kłujący ból przeszył Lauren, jeszcze bardziej ją pogrążając. Jednak nie płakała. Dyskusja z matką była daremna. Błagała matkę, aby nie musiała nosić warkoczy, które upodobiały ją do Heidi, lecz bez skutku. A co gorsza, bez Paula Lauren czuła się dotkliwie samotna. Nikt nie zatrzymywał się przy niej w szatni, aby pogawędzić. Nikt nie czekał na nią po lekcjach. Nikt nie zajmował dla niej miejsca w klasie. Nikt jej nie lubił. Nikt.

Codziennie przychodziła do szkoły z uczuciem strachu. Jej ciągle spuszczone oczy unikały wzroku innych uczniów. Któregoś dnia, kiedy Lauren samotnie siedziała przy lunchu, Angelique wdzięcznie podeszła do sąsiedniego stołu i zajęła miejsce zarezerwowane dla niej przez kolegów.

Tatuś powtarzał Lauren tysiące razy, aby nigdy nie dała się zwieść pięknej twarzy - to zawsze początek kłopotów. Jak bardzo miał rację - pomyślała, przypominając sobie lekcję algebry, z której musiała wyjść przy akompaniamencie szyderczych docinków. Spod opuszczonych rzęs Lauren obserwowała Angelique flirtującą z siedzącym obok niej chłopcem.

Todd Haile. Rok starszy od Lauren, wyniosły Amerykanin, mówił płynnie zarówno po angielsku, jak i po francusku. Paradował korytarzem, dokuczając innym i śmiejąc się jak clown, ale wszyscy go uwielbiali. Któż mógłby oprzeć

się tym roześmianym niebieskim oczom i włosom w kolorze wytopionego przed chwilą złota? Oczywiście Lauren nigdy nie patrzyła wprost na chłopaka Angelique. Codziennie przechodziła obok niego na korytarzu, lecz spuszczała wzrok, zawstydzona swoimi warkoczami i nie istniejącym francuskim.

Kiedy wybuch śmiechu wstrząsnął sąsiednim stołem, Lauren pomyślała, że Todd opowiedział kolejny dowcip. Lecz po chwili usłyszała swoje imię. Dławiąc się, przełknęła ostatni kawałek kanapki. Wszyscy w pomieszczeniu pokładali się ze śmiechu - oprócz niej.

- Lauren - zawołał Todd.

Powiedział coś po francusku, ale zrozumiała tylko jedno słowo: cheveux - włosy. Wszyscy roześmiali się, a niektórzy chłopcy z niepohamowanej radości uderzali pięściami w stół. Łzy ściekały po rozradowanej twarzy Angelique.

Lauren poczuła ogień na policzkach. Coś stanęło jej w gardle. Warkocze. Żartowali sobie z jej warkoczy. Z największą godnością, na jaką było ją stać, skierowała się ku drzwiom, lecz Todd dogonił ją, zanim zdążyła uciec. Pochwycił ją za ramię i powiedział coś po francusku. Kompletna cisza zastąpiła ochryply śmiech. Lauren wpatrywała się w trzymane przez siebie książki; nie musiała podnosić wzroku, żeby wiedzieć, że każda para oczu jest skierowana na nią.

- Po angielsku - wyszeptała. - Powiedz to po angielsku.

Po francusku z amerykańskim akcentem Todd powtórzył to, co powiedziała Lauren, ku radości swoich przyjaciół.

- Skoro odesłali cię do dzieciuchów, myśleliśmy wszyscy, że jesteś po prostu niemową. Ale ty móóówisz po aangiellskuu!

Poczuła, jak piekące łzy gromadzą się pod powiekami, ale postanowiła je powstrzymać, aby nie dać mu powodu do satysfakcji.

- Wszyscy są ciekawi, czy twoje włosy są naprawdę takie jasne, czy też może stosujesz wybielacz?

Uniósł do góry jeden z jej warkoczy i dokonał jego inspekcji z przesadą, co wywołało kolejną salwę śmiechu. Wyszarpnęła włosy z jego ręki.

- Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać, i oni wybrali właśnie mnie.

Kiedy powtórzył to samo po francusku, przy akompaniamencie potęgujących się pohukiwań, Lauren zdała sobie sprawę z tego, co Todd ma na myśli. Przez zamglone od łez oczy zobaczyła, jak jej otwarta dłoń łąduje na policzku Todda z głośnym klaśnięciem, które odbija się echem od ściany. Śmiechy umilkły. Lauren wybiegła z pomieszczenia i pobiegła w dół korytarzem. Wpadła do toalety i schowała się w kabinie.

Podczas gdy dziewczęta wchodziły i wychodziły, Lauren nie ruszała się ze swojej kryjówki. Pomóż mi, tatusiu. Powiedz, co mam zrobić.

Kiedy zadźwięczał dzwonek, nie wróciła do klasy. Wyjrzała ukradkiem z toalety, aby upewnić się, czy korytarz jest pusty, i zobaczyła stojącego na zewnątrz Todda Haile'a.

Wtargnął do środka ze słowami:

- Wiedziałem, że tu jesteś.

Ruszyła pędem do kabiny w przekonaniu, że Todd zamierza ściągnąć jej majtki i sprawdzić tam kolor jej włosów. Zanim zdążyła zamknąć drzwi na klucz, Todd zdołał wcisnąć się do kabiny. Odwróciła się do niego plecami i powiedziała:

- Tylko mnie dotknij, a zacznę krzyczeć. Narobisz sobie kłopotów.

Nie odpowiadał, lecz Lauren słyszała jego oddech. Z pewnością rozważał kolejny krok. Wyobraziła sobie, jak ściąga z niej majtki i pokazuje wszystkim dokoła. Pomóż mi, tatusiu.

- Chciałem cię przeprosić. Zachowałem się jak kompletny kretyn - powiedział z akcentem typowym dla bohaterów amerykańskich westernów, które Nana oglądała w telewizji.

Lekkie drzenie w jego głosie nie uspokoiło Lauren. Poczula się zdezorientowana; świeży potok łez wypłynął z jej oczu i stoczył się po policzkach. Todd tylko się z nią drażnił. Przysunął się i położył ciepłą dłoń na jej szyi. Krew zastygła jej w żyłach. Zesztywniała, gotowa do walki.

Todd zataczał kciukiem powolne koła po nagiej skórze w miejscu, gdzie rozdzielały się jej warkocze.

- Przepraszam. To podłe, co zrobiłem. - Odwrócił ją twarzą do siebie i popatrzył z wyrazem niedowierzania. - Ty płaczesz. Obchodzi cię, co ludzie myślą?

- Oczywiście, że mnie obchodzi.

- Chcę być twoim przyjacielem. Proszę, wybacz mi.

- Jeśli ci wybaczę, czy wypuścisz mnie stąd? Chcę iść do domu.

- Pod warunkiem, że pozwolisz mi się odprowadzić. Po drodze Todd przystanął i położywszy dłoń na ramieniu Lauren, zatrzymał ją i powiedział:

- Naprawdę bardzo mi przykro. Myślałem, że jesteś tak samo nadęta jak twoja matka. Ona nigdy nie rozmawia z nikim, chyba że są to ludzie bogaci. Przynajmniej tak wszyscy mówią. Próbowałem powiedzieć ci „cześć”, ale zawsze odwracałaś wzrok, jak gdybym nie był wart tego, żeby mnie zauważyć. Chciałem zwrócić na siebie twoją uwagę. To był głupi sposób.

Gniew zdominował łzy, nadal drżące na jej powiekach.



- Jak śmiesz mówić cokolwiek złego o mojej matce? Jest piękna. Doskonała. Chciałabym tylko...

- Przepraszam. Widocznie nie potrafię powiedzieć niczego dobrego.

Prawdziwość tych słów potwierdzał skruszony wyraz jego twarzy.

- Nie jestem nadęta - usiłowała się bronić, chociaż to właśnie on się mylił. - Nie przypuszczałam, że ktokolwiek mnie lubi, a zwłaszcza ty.

- Dlaczego miałbym cię nie lubić? Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem - nawet z tymi kucykami jak u ośmiolatki.

Ona? Ładna? Niemożliwe. Nie mogąc zdobyć się na to, aby na niego popatrzeć, ruszyła przed siebie, przeklinając w duchu te głupie warkocze. Właściwie dlaczego musiała je nosić? Matka uparła się pewnie dlatego, że chce, aby Lauren wyglądała młodziej, lecz równocześnie wymaga, by zachowywała się jak osoba dorosła. Przez większą część czasu nie zauważała Lauren, jak gdyby oczekując, że ona sama zatroszczy się o siebie. Lauren sądziła, że po wyjeździe Paula nastąpi między nią a matką zbliżenie, lecz nic takiego się nie stało. Miała wątpliwości, czy to kiedykolwiek nastąpi.

Todd zatrzymał Lauren przy Jardin du Harin. Przystanęli pod parasolem z liści mirtu. Zniżywszy głowę, musnął jej usta swoimi ustami, po czym delikatnie przycisnął ją do siebie. Przyciskając do piersi podręczniki szkolne, ukryła się w obejmujących ją ramionach. Wstrząsnął nią ciepły dreszcz i rozszedł się po całym ciele. Zaskoczona, poczuła nieodparte pragnienie, aby pozostać w jego ramionach. Wyrwała się jednak, przypomniawszy sobie, jak bardzo ją poniżył.

- Muszę już iść - miała nadzieję, że nie usłyszał drżenia w jej głosie. - Praca domowa zajmie mi całe wieki.

- Nic nie mówisz po francusku?

Zapewne codziennie całuje się z dziewczętami - pomyślała Lauren, kręcąc przecząco głową i starając się nakazać sercu, aby przestało bić jak szalone.

- Poproś rodziców, aby zapewnili ci prywatnego nauczyciela. Madame Murard jest dobra.

- Nie wierzą w prywatnych nauczycieli.

Przez chwilę rozważał jej słowa, po czym powiedział:

- Mam pomysł. Mój tato pracuje dla Coca - Coli. Od kiedy poszedłem do szkoły, mieszkaliśmy już w sześciu krajach. Mama zawsze kupuje taśmy, żeby nauczyć się nowego języka. Mogłabyś skorzystać z jej taśm do francuskiego - obdarzył ją tym swoim jakby niefrasobliwym uśmiechem, któremu nie można było nie ulec. - Jaki przedmiot sprawia ci najwięcej trudności?

Chciała powiedzieć, że wszystkie, ale pomyślała, że wyjdzie na idiotkę.

- Algebra.

- Jestem genialny z matmy. Pomogę ci.

W ciągu następnych tygodni oceny Lauren poprawiały się stopniowo, nie tylko dlatego, że miała do swojej dyspozycji taśmy oraz że Todd był jej nauczycielem, lecz głównie dlatego, że większość czasu poświęcała nauce. Nie chciała zawieść Todda. Którejś soboty zaprosił ją na popołudniowy seans filmowy w szkole, ale najpierw musiała uzyskać zgodę rodziców.

Rupert dokładnie zlustrował ją wzrokiem.

- Z Toddem Haile? Absolutnie nie. Żadnych spotkań, dopóki nie ukończysz siedemnastu lat.

- Siedemnaście lat? Paul umawiał się z dziewczętami, kiedy miał piętnaście.

- Zamknij się - krzyknęła matka, po czym rzuciła okiem na Ruperta i zniżając nieco ton, z przesadną afektacją dodała:

- Jak śmiesz kwestionować jego decyzje? Idź do swojego pokoju.

Żadnych spotkań przed ukończeniem siedemnastu lat. Półtora roku od tej chwili. Todd odstawi ją na bok i znowu zajmie się Angelique. Dobry Bóg wie przecież, że Angelique kręci się w pobliżu i obrzuca Lauren nieprzyjemnymi spojrzeniami. Następnego ranka Todd czekał na nią przy szkolnej bramie.

Kiedy mu powiedziała, odrzekł:

- Wymyślimy coś. Możesz iść do kina z koleżanką, a ja się z tobą tam spotkam.

Przed przerwą z okazji świąt Bożego Narodzenia dwukrotnie udało im się spotkać w kinie. Ale nawet tych godzin, spędzonych w ciemności sali na trzymaniu się za ręce i skradzionych pocałunkach, nie dało się porównać z tym, jak bardzo Lauren czuła się szczęśliwa każdego dnia. Przebywanie z Toddem, posiadanie przyjaciół, nawet jeżeli byli to w pierwszej kolejności przyjaciele Todda, dawało jej poczucie nie znanej do tej pory pewności siebie.

Ogłoszenie wyników półrocznej pracy uczniów zbiegło się z wizytą Paula w czasie ferii świątecznych. Lauren znalazła się w czołówce klasy, dlatego też Paul nalegał, aby poprosiła dyrektora o umieszczenie jej z powrotem w klasie, do której uczęszczali jej rówieśnicy. Kiedy dyrektor wyraził zgodę, Lauren z dumą powiedziała o tym matce, która jednakże nie wydawała się tym szczególnie uszczęśliwiona. Todd był wniebowzięty. To wystarczyło Lauren.

Tuż przed letnimi wakacjami cała szkoła rozbrzmiewała wiadomościami na temat balu kostiumowego urządzanego przez hrabinę de Breteuil w należącej do niej Willi Taylor.

Kilkoro wybranych uczniów, wśród nich Todd i Angelique, zostało zaproszonych do udziału w balu razem z rodzicami. Angelique miała wystąpić jako Kleopatra. Lauren

bez trudu potrafiła wyobrazić sobie Angelique w przylegającej do ciała sukni opinającej jej pełne piersi. Przy jej ciemnych oczach i włosach będzie z niej zapierająca dech Kleopatra. Oczyma wyobraźni Lauren widziała, jak Angelique rozgrywa z Toddem zaplanowaną przez siebie partię.

Kiedy w przeddzień balu Lauren przyszła do domu, zobaczyła adresowaną do niej przesyłkę z Paryża. Jej szesnaste urodziny. Zupełnie o nich zapomniała. Paul przysłał jej zestaw farb olejnych, wybranej wielkości pędzle, drewnianą paletę i tubę ze zwojem płótna w środku. Pobiegła na górę, z niecierpliwością pragnąc wypróbować nowe farby.

W jej pokoju stał kryształowy wazon wypełniony olbrzymim bukietem jasnofioletowych orchidei o nieco ciemniejszych na obrzeżu płatkach. Kto jeszcze wiedział o jej urodzinach? Podeszła na palcach do wazonu i wzięła do ręki mały bilecik.

Jeszcze jeden rok - to już niedługo

Kochający Todd

Dotknęła delikatnych płatków, zaskoczona, że ktoś tak wspaniały jak Todd Haile mógł ją polubić. Ale pokochać? To niemożliwe.

Do pokoju weszła matka w zarzuconej na ramiona białej todze z szyfonu. Wzrok jej padł na orchidee.

- A to skąd?

Lauren pośpiesznie schowała bilecik do kieszeni.

- To na moje urodziny. Kolega ze szkoły je przysłał.

- Czy masz pojęcie, ile to kosztuje? Jesteś stanowczo za młoda, aby otrzymywać tak drogie podarunki.

Zawołała pokojówkę i powiedziała:

- Zanieś te kwiaty do mojego pokoju.

Łzy napłynęły Lauren do oczu, ale starała się je powstrzymać. Przypomniała sobie słowa ojca: Liczą się intencje. Wsunęła dłoń do kieszeni i mocno ścisnęła bilecik.

Matka zmierzyła ją zimnym spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

- Jutro wieczorem odbędzie się przyjęcie w Willi Taylor. Rupert mówi, że możesz z nami pójść.

Lauren milczała; Ruperta nie było przez jakiś czas w mieście - powrócił dopiero poprzedniego wieczoru. Zaproszenia na przyjęcie wysłano ponad miesiąc temu. A więc to Rupert zdecydował, a nie matka, że Lauren powinna uczestniczyć w balu. Dlaczego? - zastanawiała się. Ależ tak, zaproszenie hrabiny to nakaz. Była właścicielką najpiękniejszego zabytku w Marrakeszu - Willi Taylor. Jej wieżę można było dostrzec z każdego punktu w mieście.

- Nie mam stroju.

- Mam tu starego Valentino. Nie zamierzam go już nigdy nakładać - wręczyła Lauren suknię i długą złotą przepaskę. - Zrób z tego togę. Przebierzesz się za Kleopatę.

Lauren podeszła do stołu, na którym jeszcze przed chwilą stały orchidee. Przesunęła dłonią po drewnianej powierzchni. Czy dziewczyna nie jest wystarczająco dorosła, aby otrzymywać kwiaty, jeżeli chłopiec jest wystarczająco zainteresowany, aby je do niej wysłać? Nawet smutek z powodu utraty kwiatów nie był w stanie zepsuć jej radości z tego, że pójdzie na swój pierwszy prawdziwy bal. Nie mogła się już doczekać. Ale nie zamierzała wystąpić jako Kleopatra.

Kiedy nastał balowy wieczór, Lauren zajęła tylne miejsce w limuzynie razem z matką i Rupertem, którzy byli przebrani za Marię Antoninę i Ludwika XVI. Lauren poprawiła wykonaną przez siebie tiarę, umocowując motyw słońca pomiędzy dwoma rogami, po czym wygładziła dolną część sukni w stylu Kleopatry. Znowu poczuła na sobie natarczywy wzrok Ruperta i ogarnęło ją zdenerwowanie. Od chwili, kiedy zeszła na dół, wpatrywał się w jej włosy. Żadnych warkoczy. Obcięła włosy tak, że dotykały ramion. Krótka prosta grzywka

opadała jej na czoło. Rozjuszyło to matkę, lecz Lauren wcale się tym nie przejęła. Nie zamierzała już dłużej nosić warkoczy.

Kiedy stali w kolejce do wejścia, służący wyjaśnił, że dorośli będą tańczyli w sali balowej, podczas gdy młodzież będzie miała osobne przyjęcie na tarasie. O północy podana zostanie kolacja, a po niej odbędzie się parada kostiumowa z nagrodami za najlepszy pomysł. Lauren spojrzała na matkę, wyglądającą w każdym calu jak królowa. Pewna zwyciężczyni.

Lauren zaczęła szeptem rozmawiać z ojcem w niebie; pomyślała, że byłby bardzo dumny, ale - czy rzeczywiście? Matka miała teraz wszystko to, czego on nie mógł jej nigdy dać. Czy byłby szczęśliwy widząc ją z Rupertem? Lauren popatrzyła przez ramię na swojego ojczyma. Wpatrywał się w nią znowu, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Och, tatusiu, dałabym wszystko, żebyś tu tylko był ze mną dziś wieczorem, na moim pierwszym balu.

Kiedy już weszli do środka tej mauretańskiej willi, Lauren odszukała taras i przystanąwszy w cieniu, przypatrywała się grupie dziewcząt i chłopców tańczących w rytm muzyki granej przez zespół rockowy. Z łatwością spostrzegła Todda, który był o pół głowy wyższy od pozostałych. Przebrany za pirata, tańczył z Angelique, która miała na sobie białą togę podobną do sukni Lauren, z jednym wyjątkiem. Głębokie wycięcie odsłaniało nieco jej piersi, czyniąc je jeszcze bardziej atrakcyjnymi.

Lauren popatrzyła w dół na delikatne zaokrąglenia swoich piersi.

- No, wy dwie. Rośnijcie - wyszeptała, wstrzymując oddech.

- Lauren? - zawołał ktoś po skończonym tańcu. - Czy to ty?

Todd odwrócił się. Angelique zaborczo trzymała go pod rękę. Lauren poczuła skurcze w żołądku.

- O rany! - Todd zostawił Angelique i podążył w kierunku Lauren. - Wyglądasz wspaniale.

- Nie wiedziałam, że jesteś zaproszona - Angelique dołączyła do Todda. Popatrzyła na Lauren podejrzliwie, podczas gdy Todd oglądał ją z nieukrywanym zachwytem w oczach.

- Kogo właściwie masz przedstawiać? Lauren dotknęła tiary.

- Jestem Izis, egipska bogini urodzaju.

Zespół zaczął grać walca i Todd pochwycił ją w ramiona. Lauren przywarła do niego.

- Cieszę się, że tu jesteś - przypatrywał się uważnie jej twarzy. - Nie mogę napatrzeć się na twoje włosy. Wyglądasz... fantastycznie.

Na długą chwilę podniosła na niego wzrok.

- Dziękuję za kwiaty. Są piękne.

- Oszczędzałem przez wiele miesięcy. Ponieważ jesteś kimś szczególnym - dla mnie.

Popatrzyła na niego bez słów. Serce biło jej jak dzwon. Ktoś szczególny. On naprawdę uważał, że ona jest kimś szczególnym. Zdumiewające.

- Chodźmy na szczyt wieży - zaproponował. Poprowadził ją stromymi schodami na sławną wieżę obserwacyjną Willi Taylor.

Todd wskazał na księżyc w pełni, który zawisł nad Djebel Toubkal, najwyższym szczytem pokrytych na wierzchołkach śniegiem gór Atlasu.

- To dlatego Churchill przyprowadził tutaj, na szczyt wieży, Roosevelta. Czy widziałaś kiedykolwiek coś bardziej spektakularnego?

- Nigdy.

- Churchill namalował wiele akwareli z widokami Marrakeszu, wiesz o tym?

- Naprawdę?

Tatuś kupował każdą książkę Churchilla.

- Uhm. Kiedy Churchill przegrał wybory, przyjechał tutaj i został przez dłuższy czas.

- Rozumiem teraz, dlaczego chciał malować to miasto - powiedziała Lauren, po raz pierwszy w pełni doceniając uroki Marrakeszu.

W ramach przygotowań do ramadanu, trwającego miesiąc najważniejszego muzułmańskiego święta, niezliczone meczety obwieszono czarodziejskimi światełkami migoczącymi jak przesyłające sobie pocałunki gwiazdy. W samym sercu miasta znajdowała się perła meczetów - Koutoubia - z oświetloną przez reflektory złotą kopułą. Kilometry okalających medinę umocnień pod wpływem opalizującego jasnego światła księżyca zamieniły się w płynne srebro. W oddali dało się słyszeć przeraźliwe nawoływanie kota, jakby błaganie o samiec.

Kiedy Todd wziął ją w ramiona, wydało jej się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Całowali się już wcześniej, lecz dzisiejszej nocy instynkt nakazał jej rozchylić usta. Podekscytowana nowymi dziwnymi doznaniem, które nią owładnęły, poczuła, jak język Todda bawi się jej ustami, po czym przez niewielką szczelinę wkrada się do środka w poszukiwaniu jej języka. Wypełnił ją słodki, roztopiający wszystko żar. Jej język rzucił się do przodu na powitanie.

Serce Lauren trzepotało jak oszalałe, gwałtowne uderzenia serca Todda ledwie docierały do jej świadomości. Nie przestawał jej całować. Podświadomie przyłgnęła do jego silnego ciała, jednak odsunęła się natychmiast wyczuwszy narastające zgrubienie.



- Szaleję za tobą - wyszeptał Todd. Jego niebieskie oczy świeciły blaskiem księżyca.

Złapała długi, choć przerywany oddech. Paul mówił jej o seksie. Ale niewystarczająco. Nigdy nie powiedział jej, że będzie czuła taką... taką wielką ochotę.

Z czułością Todd ponownie dotknął jej ustami. Przesuwając nieustannie po jej wargach, doprowadził w końcu do tego, że zezwoliła mu na wdarcie się do jej ust. Położył dłoń na delikatnej wypukłości jej piersi, po czym obrysowawszy jedną z nich, schował ją w swojej dłoni, drażniąc wyprostowaną brodawkę przez cienki materiał. Poczwała, że opuszczają ją siły. Przywarła do jego ust w drugim pocałunku. Drzenie wypełniło ją całą i poczuła się dziwnie lekko, beztrosko.

Todd odgarnął jej włosy z czoła i powoli przesuwiał po nich dłonią.

- Lepiej chodźmy stąd.

Nie chciała teraz wychodzić, lecz bała się sprzeciwić. W końcu Paul ostrzegał ją przed tym, aby nie była „łatwą” dziewczyną. Nie mieściło jej się w głowie, że mogłaby narazić się na utratę szacunku Todda.

Poprowadził ją z powrotem na taras, gdzie zespół muzyczny grał właśnie walca. Przytuliła się mocno do Todda, obejmując go ramionami za szyję, a on oplótł jej talię. Kątem oka zobaczyła Angelique wpatrującą się w Todda. Lauren podniosła wzrok, aby zobaczyć jego reakcję. Zamiast tego ujrzała stojącego na brzegu tarasu, obserwującego ją Ruperta.

Właśnie w tym momencie pojawił się służący ze srebrnym dzwonkiem, oznajmiając, że nadszedł czas, aby wejść do środka na paradę kostiumów. Młodzież zgromadziła się wokół wazy z ponczem z owoców granatu na ostatnią szklaneczkę tego napoju, wyrażając głośne niezadowolenie z konieczności wzięcia udziału w paradzie razem z rodzicami. Martwiąc się

tym, co Rupert może powiedzieć matce, Lauren odebrała od Todda szklaneczkę z ponczem. Kiedy się odwracała, wpadła na nią z impetem Angelique, rozlewając poncz na przód jej sukienki.

Lauren przebiegła przez taras, wpadła do toalety, gdzie próbowała zmyć plamę.

- Ach, tutaj jesteś - w drzwiach ukazała się głowa matki. - Pośpiesz się, bo inaczej spóźnimy się na paradę.

Lauren odwróciła się do niej twarzą.

- Mamo...

- Ach, ty niezdarna idiotko! Jak mogłaś? Poczekaj na mnie w samochodzie.

Zanim matka i Rupert wyszli z przyjęcia, minęły trzy przygnębiające godziny. W drodze do domu Caroline poddała bal drobiazgowej analizie - wydatki na kwiaty, wydatki na jedzenie i napoje, koszt wynajęcia dwóch zespołów muzycznych. Następnie przeszła do gości. Koszty biżuterii, wydatki na stroje, cena przeróżnych antyków w Willi Taylor.

Kiedy znaleźli się w domu, Rupert odezwał się do Lauren:

- Idź do swojego pokoju i zaczekaj tam na mnie. Porozmawiamy o twoim zachowaniu.

Caroline popatrzyła zaskoczona.

- Jeżeli chodzi o sukienkę...

- Ja się tym zajmę.

- Oczywiście, kochanie - Caroline wyszła bez żadnego dodatkowego słowa.

Pełna obaw Lauren udała się do swojego pokoju. Zdjęła poplamioną suknię i położyła ją na łóżku. Ubrana w koszulę nocną i szlafrok, czekała na Ruperta, mając nadzieję, że nie widział, jak schodziła z wieży z Toddem. Rupert powiedział wyraźnie, że nie wolno jej spotykać się z chłopcami przed ukończeniem siedemnastu lat. Czy uziemi ją na całe lato? Rodzina Pilar Colbert zaprosiła Lauren do swojego domu w

Agadirze. Wszyscy jeździli w lecie do tej wypoczynkowej miejscowości. Lauren liczyła na to, że będzie spędzać każdy dzień na plaży z Toddem.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Rupert ubrany w szlafrok z brokatu z atłasowymi klapami, przypominający długą bonzurkę. Sięgał mu do kolan, odsłaniając resztę kościstych nóg, z wyjątkiem stóp wsuniętych w domowe pantofle. Pociągając z kieliszka brandy, patrzył na rozłożoną na łóżku sukienkę.

- To... to był przypadek. Wpadła na mnie dziewczyna. Wykrzywił dziwnie kilka włosów uchodzących za brew, po czym postawił kieliszek na nocnej szafce. Patrzyła na niego z rosnącym niepokojem, kiedy zaczął się do niej zbliżać. Postąpiła kilka kroków do tyłu.

- Co robiłaś z tym Haile'em? - jego głos zabrzmiał złowrogo, jak nigdy dotychczas.

- Tańczyliśmy, to wszystko - serce Lauren zatrzepotało w piersi, kiedy zauważyła dziwny błysk w oczach Ruperta. A jeżeli ją zbije? Nikt jej nigdy nie uderzył.

- Czy Todd cię całował?

- Nie - cofnęła się o następny krok. Zbliżył się do niej i zapytał:

- W takim razie co robiliście na wieży?

- Pocałował mnie raz - wyznała, rozumiejąc, że kłamstwo może go tylko rozjuszyc.

Stał teraz tak blisko, że czuła koniak w jego oddechu i nieświeży zapach potu zmieszanego z wodą po goleniu. Złowieszczy uśmiech wykrzywił mu twarz. Niebezpieczeństwo. Czuła je w ten sam sposób, w jaki odczuwa to osaczone zwierzę. Rzuciła się w bok, lecz zastąpił jej drogę, uniemożliwiając ucieczkę.

- Postaraj się być dla mnie miła.

Błada, pokryta rudymi włosami ręka wyciągnęła się po nią, podczas gdy druga rozluźniła pasek związujący mu szlafrok, odsłaniając gołe ciało.

- Tatusiu, pomóż mi!

Po bezsennej nocy nastał szary, grożący deszczem świt. Błyskawice rozrywały się nad górami Atlasu. Lauren leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. Co powinna uczynić? Zdrowy rozsądek nakazywał jej powiedzieć matce o wizycie Ruperta, lecz instynkt podpowiadał jej, że matka nie chciałaby o tym wiedzieć. Rozważała to godzinami, na próżno starając się znaleźć słowa, którymi mogłaby opisać to, co zrobił Rupert.

Kiedy w końcu zdobyła się na odwagę, aby zejść na dół, zastała matkę na wydawaniu służbie ostatnich poleceń. Tego dnia miała wyjechać z Rupertem na południe Francji, aby tam spędzić lato.

- Mamo, czy mogę z tobą porozmawiać?

- Jestem zajęta. Nasz samolot odlatuje za dwie godziny.

Caroline zmierzyła Lauren lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu, najwidoczniej nie zauważając jej spuchniętych od płaczu powiek.

- Rupert powiedział mi, że go nie posłuchałaś. Jesteś uziemiona na całe lato.

- Mamo - Lauren zniżyła głos - ostatniej nocy Rupert...

- Twój ojciec cię zepsuł. Rupert wierzy w dyscyplinę, i ja też. Nie zrujnuj tego - pokazała dłonią na wilę.

Caroline odwróciła się i pośpiesznie wyszła z pokoju. Dni ciągnęły się jeden za drugim, długie i samotne. Lauren nie mogła przyjmować telefonów ani sama dzwonić do kogokolwiek. Nie wolno też jej było widywać się z przyjaciółmi. W końcu Paul wrócił do domu. Lauren rzuciła mu się w ramiona, przytulając się do niego z całej siły. Nie mogła już dłużej powstrzymać potoku łez. Powstrzymywała je od czasu przejścia z Rupertem.

- Hej, dlaczego płaczesz? Jestem przecież w domu.

Kiedy wytarła oczy, poprowadził ją do kanapy i dodał:

- Opowiem ci o Paryżu.

Paul przeskakiwał z tematu na temat, opowiadając o szkole, przyjaciółach, dziewczynie i o godzinach spędzanych na Lewym Brzegu. Za każdym razem kiedy przyjeżdżał z Paryża, wyglądał na coraz bardziej szczęśliwego.

- Szkoda, że cię tam ze mną nie ma.

- Ja też żałuję - wymamrotała, całkowicie zawstydzona, szukając właściwego sposobu, aby powiedzieć mu o Rupercie. Ale jak mogła powiedzieć Paulowi coś, co zburzyłoby jego życie, które niewątpliwie tak kochał? Gdyby Lauren o tym powiedziała, matka zostawiłaby Ruperta. A wtedy - dokąd udaliby się całą trójką? Z powrotem do Londynu, gdzie znowu byłiby biedni. Matka nienawidziłaby tego i z pewnością winiłaby za to Lauren. Nigdy nie byłaby w stanie zarobić wystarczającej ilości pieniędzy, aby wysłać Paula do prywatnej szkoły w Paryżu. On też mógłby winić za to Lauren.

Popatrzyła w dół na wplecione w dłoń palce Paula i pomyślała z nadzieją, że nigdy nie będzie musiała mu o tym mówić. Może Rupert nigdy więcej tego nie zrobi.

Pod koniec lata matka i ojczym powrócili z wakacji. W czasie kolacji Rupert zachowywał się tak, jak przed przyjęciem. Nie zauważał obecności Lauren. Matka gawędziła nieustannie, podniecona pobytem we Francji - zakupami, restauracjami, przyjęciami. Dołączył do tego Paul, racząc matkę anegdotami z życia w Paryżu. Lauren doszła do wniosku, że podjęła właściwą decyzję. Dwie najbardziej kochane przez nią osoby wyglądały na szczęśliwe. Wydając Ruperta, zniszczyłaby im życie.

Zegar w korytarzu wybił północ. Lauren siedziała przy sztaludze malując, kiedy usłyszała hałas w korytarzu.

Początkowo myślała, że to Paul. Od kiedy sięgała pamięcią, zawsze miał kłopoty ze spaniem. Może wybierał się na przechadzkę. Szur, szur. Klap, klap. Nie. To znajomy odgłos pantofli domowych szurających korytarzem po marmurowej posadzce.

Szuranie i kłapanie przybliżyło się. Lauren schowała się do szafy. Ciche łkanie wstrząsało jej ciałem. Rupert otworzył drzwi szafy i wyciągnął po nią rudowłosą rękę. Odwróciła twarz, przerażona ogniem pożądania żarzącym się w jego oczach. Myśli jej walczyły ze sobą. Krzyczeć i przywołać Paula z sąsiedniego pokoju? Czy ulec?

Wybrała ciszę.

Kiedy Rupert wyszedł, Lauren z trudem stanęła na nogach i potykając się dotarła do łazienki. Sięgając po myjkę, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Zastygła w bezruchu. Jej włosy były teraz krótsze niż w pamiętną noc po przyjęciu i obcięte równo z linią podbródka. W ciemnej łazience wyglądała dokładnie tak, jak matka. Kobieta, którą Rupert kochał.

Biegiem wróciła do sztalugi i pochwyciła stamtąd nożyce do płótna. Kiedy ponownie znalazła się w łazience, zapaliła światło. Tatusiu, dlaczego nie mogę wyglądać tak jak ty?

Ostrymi, zdecydowanymi ruchami obcięła włosy jak kosą. Mogło to wyglądać na dzieło pięcioletniego dziecka. Być może teraz, kiedy uczyniła z siebie szkaradę, Rupert jej już nie dotknie.

Następnego dnia, pierwszego dnia nowego roku szkolnego, Lauren wmaszerowała do szkoły, ignorując spojrzenia i chichoty wywołane przez jej włosy. Nie byli w stanie jej zranić. Nigdy więcej.

Lauren nie widziała Todda od trzech miesięcy, lecz nie szukała go. Wszyscy mężczyźni są podobni do Ruperta - oczywiście z wyjątkiem Paula.

Nie interesowały jej żadne lekcje poprzedzające zajęcia ze sztuki. Wzrok jej ani razu nie zabłądził w przeciwną stronę pracowni, gdzie siedział Todd Haile. Kiedy zadzwieczał dzwonek na lunch, nie podniosła wzroku znad szkicownika.

- Cześć. Jak się masz? - zapytał Todd, podchodząc do niej.

Nie odpowiedziała, mając nadzieję, że milczenie spowoduje jego odejście.

- Dlaczego obcięłaś włosy? Były długie i piękne - czekał na odpowiedź, ale Lauren nie odezwała się. - Lauren, proszę, popatrz na mnie.

Oczy ich spotkały się. Z niechęcią przypomniała sobie, jak bardzo była podekscytowana, kiedy była jego dziewczyną.

- Dlaczego nie odpowiadałaś na moje listy?

Listy? Rupert z pewnością czytał przeznaczoną dla niej pocztę - pomyślała z wściekłością. Ponownie poczuła ochotę aby zabić ojczyma.

- Rozmawiałem o tobie z moją matką. Powiedziała, że powinniśmy być ze sobą szczerzy.

Rozmawiał o tym, co ich łączyło, z matką? Ależ to dziwne. Lauren nie mogła sobie wyobrazić zwierzania się matce.

Po chwili wahania Todd dodał:

- Kocham cię.

- Jesteś odrażający. Nienawidzę cię.

Jego szybki oddech i gwałtowne wyjście świadczyły o tym, że trafiła w dziesiątkę. Z uczuciem ulgi, że pozbyła się Todda na zawsze, wróciła do szkicownika. Co by na to powiedział tatuś? - zastanowiła się nagle. Stałaś się tak samo złą osobą jak Rupert Armstrong. Nie pozwól, żeby cię zniszczył. To, co musisz zrobić, to starać się przez to przejść. Którego dnia to minie.

Wybiegła z klasy i odnalazła Todda w jadalni. Siedział odwrócony do niej tyłem, dotknęła więc jego ramienia i powiedziała:

- To nie ty budzisz we mnie odrazę. To ja sama. Nienawidzę samej siebie.

Wyszła, zanim zdążył zareagować.

Dogonił ją w połowie korytarza. Otworzył ramiona, a ona wpadła w nie, nie zdając sobie sprawy - aż do tej chwili - jak bardzo go potrzebuje. Czułość jego dotyku była prawie nie do zniesienia. Jakże inne były dłonie Ruperta.

- Czy nadal jesteś moją dziewczyną?

- Jeżeli zrozumiesz, że nie mogę iść z tobą na całość.

- To nie ma znaczenia - zmierzył ją spojrzeniem swoich inteligentnych, uczciwych oczu. - To, co mówię, to prawda. Kocham cię.

Nie zareagowała. Nie mogła pojąć, że ją kocha, mimo że nie była w stanie oddać mu się fizycznie. Co Todd powiedziałby, gdyby wiedział o Rupercie? Gdyby dowiedział się, straciłaby jego szacunek. Jego miłość. Modliła się, żeby nie zająć w ciążę. Jak zdołałaby się wytłumaczyć?

Lauren przetrwała kolejny rok, ponieważ był przy niej Todd, a Rupert był nieobecny przez większą część czasu. Modliła się, żeby Rupert nigdy już nie przyjechał. Żeby zniknął. Zginął w katastrofie lotniczej. W pożarze po wypadku samochodowym. Albo w jakikolwiek inny sposób.

Wiosną, tuż przed siedemnastymi urodzinami Lauren, Todd oznajmił jej:

- Złe wiadomości. Tata dostał przeniesienie. Wyjeżdżamy w poniedziałek.

- Dlaczego wyjeżdżacie tak nagle? Dlaczego nie możesz tutaj skończyć szkoły i wtedy dołączyć do ojca? - zapytała, opierając drżącą dłoń na jego ramieniu.



- Nie znasz moich rodziców. Rodzina, rodzina, rodzina. Bycie razem aż do... - uśmiechnął się i Lauren wiedziała, że niezależnie od tego, co mówi, bardzo ich kocha. - To wielki awans dla taty. Będzie stał na czele francuskiej filii Coca - Coli.

Mimo że Lauren była wewnętrznie przygotowana na rozstanie się z Toddem w następnym roku, kiedy miała iść do college'u, nie spodziewała się, iż będzie ono tak nagłe.

- Całą noc myślałem o nas - powiedział. - Nigdy naprawdę nie odkryłaś się przede mną. Muszę to teraz wiedzieć. Czy rodzice cię biją? Czy to właśnie to?

Zbyt zawstydzona, aby powiedzieć mu prawdę, odparła:

- Tak. Ojczym mnie bije.

- Dlaczego? Jesteś bez wad. Każdy ojciec byłby szczęśliwy mając taką córkę jak ty.

- Nie jestem tego pewna.

Poczuła się jak tchórz: ulega już tak długo. Co by Todd powiedział, gdyby znał prawdę?

- Mam pewien plan. W czerwcu skończę osiemnaście lat, będę więc mógł robić to, co mi się podoba. Obejmę kontrolę nad majątkiem zostawionym mi przez dziadka. Chcę, żebyś przyjechała do Paryża i wyszła za mnie.

- Och, Todd. - Był to szalony pomysł, jednak myśl, że kocha ją na tyle, aby pragnąć ją poślubić, sprawiła, że chciało się jej płakać ze szczęścia. - Jestem niepełnoletnia. Nie mogłabym wyjechać z Maroka.

- Siedemnastolatki mogą podróżować samolotem bez zgody rodziców. Jak tylko będę mógł, wyślę ci pieniądze na bilet.

Lauren rozważyła sytuację. Była to odpowiedź na jej modlitwy. Nie wierzyła, żeby mogła przetrwać następny rok napastliwości Ruperta bez Todda. Gdyby za niego wyszła, Rupert nic już by nie mógł zrobić, aby zmusić ją do powrotu.

Kiedy zbliżał się koniec czerwca i osiemnaste urodziny Todda, podtrzymujące Lauren na duchu jego listy z Francji sprawiły, że naprawdę uwierzyła, iż wkrótce uwolni się od Ruperta. Kiedy zeszła na kolację któregoś wieczoru po powrocie ojczyma z dalekiej podróży, popatrzyła mu prosto w oczy i uśmiechnęła się w przekonaniu, że wkrótce pozbędzie się go na zawsze.

Szelmowski uśmiezek wykrzywił usta Ruperta.

- To naprawdę bardzo źle, jeśli chodzi o Haile'ów.

- Tak - zgodziła się Lauren, sądząc, że ma na myśli ich przeprowadzkę.

- Ten przedstawiciel Coca - Coli? - zapytała matka tonem, który oznaczał: „A kogóż to obchodzi?”

- W ubiegłym tygodniu cała rodzina zginęła w wypadku drogowym.

- Nie! To niemożliwe! Właśnie dostałam list...

Poczuła na piersi ogromny ciężar, który przygniatał jej płuca. Odskoczyła od stołu i pobiegła na górę. Znalazszy się w swoim pokoju, pośpiesznie otworzyła pudełko z farbami i odnalazła ostatni list Todda. Został wysłany dziesięć dni temu.

Kiedy czytała jeszcze raz jego ostatnie słowa oczami pełnymi łez, wydało jej się niemożliwe, że Todd nie żyje. Już nigdy nie zobaczy jego wesołych niebieskich oczu ani nie usłyszy radującego serce śmiechu, głębokiego chichotu, który rozśmieszał ją niezależnie od tego, co przydarzyło się poprzedniej nocy. Jak mogło go już nie być?

Czy go bolało, kiedy umierał? Oczywiście, że tak. Boże, proszę, powiedz, że nie cierpiał. Doznała częściowej pociechy wiedząc, że Todd jest teraz w niebie razem ze swoją rodziną. Z Naną. Z tatusiem. Tatusiu, uważaj na niego. Tak bardzo go kocham.

Słuchając Lauren, Vora zalała się łzami. Nie dający się wyrazić słowami koszmar, przez jaki przeszła jej przyjaciółka, na zawsze wyrył się w jej pamięci. Jak mogła skarżyć się do Lauren na swojego zdziwaczałego wuja? W porównaniu z Rupertem Armstrongiem wuj Nigel był aniołem.

- Kiedy wydostałam się z Marrakeszu, moje kontakty z mężczyznami nie układały się zbyt dobrze - powiedziała Lauren. - Bałam się ich. Kiedy wczorajszej nocy rozstałam się z Ryanem, nie położyłam się spać, lecz godzinami rozmyślałam o swojej przeszłości. Zrozumiałam, że ubieram się tradycyjnie, aby nie przyciągać mężczyzn. Jedyną rzeczą, której naprawdę się obawiam, jest to, że nie będę w stanie powiedzieć „nie”, tak jak nie potrafiłam powiedzieć „nie” swojemu ojczymowi.

- Czy masz pewność, że Ryan to właściwy dla ciebie mężczyzna?

Vora sądziła, że Lauren potrzebuje kogoś bardziej wyrozumiałego niż Ryan.

- Tak. Czuję się z nim związana od pierwszego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, ale nie mogłam poradzić sobie z własnymi uczuciami, dopóki nie uporządkowałam przeszłości. Patrząc wstecz, doceniam to, co uczynił dla mnie Todd Haile. Nie wiedząc, gdzie leży problem, bez cienia egoizmu ofiarował mi swoją miłość. Przez wszystkie te lata dziękowałam Bogu za to, że mi go zesłał. Tysiące razy zadawałam sobie pytanie, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Todd żył.

Kelner zabrał nie dokończone dania i zapytał, czy coś było nie w porządku z jedzeniem. Vora wykrztusiła uprzejmą odpowiedź.

- Czuję, że coś trapi Ryana - powiedziała Lauren. - Jest w ciężkich tarapatach, tak jak ja, kiedy poznałam Todda. Ryan

potrzebuje kogoś, kto by go kochał. Cóż może się wydarzyć? Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić. Jestem teraz silna. Nie odejdę, nie spróbowałam. Nie chcę później zadawać sobie pytania, „co mogłoby się wydarzyć”, tak jak to było z Toddem.

- Dziękuję za przyjęcie mnie bez wcześniejszej rezerwacji - odezwała się Lauren do Basila Blackstoke'a. Spędziwszy na zakupach w towarzystwie Vory całe popołudnie, Lauren udała się do salonu Basila, aby zmienić sobie fryzurę.

- Nie myśl o tym, kaczuszk - poprowadził je obie w kierunku foteli.

- Dogłębna robota. Dogłębna robota - zaintonowała kołysząca się na żerdzi za stanowiskiem Basila papuga ze szkarłatnym upierzeniem poniżej dzioba.

- Uciszyć się teraz - Basil posłał ptakowi całusa, po czym posadził Lauren na fotelu. Przycisnąwszy do ust grzebień z cienkim końcem, studiował ją uważnie. - Klasyczne rysy, klasyczne.

Wyciągnął trzy spinki z jej koka i rozpuścił jasnopopielate włosy.

- Są piękne bez jakichkolwiek naturalnych loków. Vora usiadła z boku i przypatrywała się, jak Basil rozdziela włosy Lauren i rozczesuje je wzdłuż bocznej linii twarzy.

- Obetnę je równo do tego miejsca. Będziesz je mogła nosić w klasyczny...

- Czy nie byłby dla mnie dobry jeden z tych rozczochranych stylów?

- Z pewnością nie - Basil tupnął nogą z udanym poirytowaniem. - Te ondulacje Ubangi wyszły już z mody...

- Nie mam na myśli mocnej trwałej ondulacji. Może być coś naturalnego, ale nie klasyczny paż. - Popatrzyła wyczekująco na Vorę. - Nie chcę wyglądać tak jak matka.

- W porządku, kaczuszko - przesłał Vora pełne oburzenia spojrzenie.

Sprawdziwszy na swoim Piagecie, która godzina, Vora doszła do wniosku, że Irek skończył już na dziś malować i że będzie mogła z nim porozmawiać. Zdołała go przekonać, że powinien założyć sobie telefon i automatyczną sekretarkę. Dzięki temu nie będzie musiał przerywać pracy, a mimo to Vora będzie mogła zostawić mu wiadomość. Dziś wieczorem nie zobaczy się z nim. Ona i Lauren postanowiły, że będą trzymać Irka z dala od zainteresowania publicznego aż do chwili otwarcia wystawy. Vora i Lauren wybierały się na wystawę Courtrighta.

- Zadzwoń do Irka.

Basil uśmiechnął się; wiedział, jak bardzo Vora kocha Irka. Często o nim rozmawiali, kiedy Basil modelował jej włosy.

- Skorzystaj z telefonu w moim gabinecie.

Vora wykręciła numer i czekając na głos Irka, przypatrywała się znakomitościom na fotografiach zdobiących ściany. Nanette Newman, Theresa Russell, Judy Richardson, Glenda Jackson. A pod nimi szereg osobistości z tytułami: Lady Jane Churchill, Lady Chichester. Wicehrabina Weir.

A także podobizna Vory sprzed dobrych piętnastu lat. Przeczytała podpis: „Najdroższemu Basilowi - kochająca Vora Leighton.”

Irek miał rację - pomyślała w chwili, kiedy odezwał się głos z odtwarzacza, a nie on sam. Używała słowa „kochać” zbyt pochopnie.

- To ja - odezwała się do magnetofonu. - Ja...

- Vora? - Irek pojawił się na linii. - Nie podoba mi się ta maszyna. Dzisiaj mam telefony od trzech agentów giełdowych i z firmy ubezpieczeniowej Lloyds. Czego ty chcesz?

Nie zrażona jego charakterystycznym burkliwym tonem, Vora odpowiedziała:

- Zadzwoiłam, aby ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Z kieliszkiem Boodles w ręku Ryan przedzierał się przez tłum oglądający kolekcję Courtrighta. Julian Agnew dyskutował z dwoma mężczyznami o obrazie Roberta Rymana.

T.J. posiadał kilka prac tego minimalisty. Ryan przechodząc obok sławnego właściciela galerii krótko skinął głową w jego stronę. Dalej znajdowała się seria prac Seana Scully'ego. Ryan obejrzał je dokładnie. Gdyby rodzina Courtrightów zdecydowała się na ich sprzedaż, Ryan byłby nimi zainteresowany. Bardziej podobały mu się wcześniejsze prace Scully'ego od tych, które powstały ostatnio.

Przeszedł powoli przez salę wystawową Barbicanu i dotarł do miejsca, gdzie wystawione były rzeźby w metalu. Przystanął, aby uniknąć spotkania z Lady Fioną Farnsworth. Seniorka wśród arystokratycznych kolekcjonerów, od kilku lat przykuta była do wózka.

- Zwolnij, mówię ci. Nie mogę zobaczyć żadnej z tych cholernych rzeczy - przeszła powietrze stale noszoną przy sobie laską z uchwytem z kości słoniowej.

Pchający wózek muchomor z polakierowanymi włosami przysunął ją bliżej do eksponatu. Ryan wykonał manewr, omijając ją z drugiej strony rzeźby. Po przeciwległej stronie sali zauważył Vorę Leighton, rozmawiającą z blondynką odwróconą do Ryana nagimi plecami. Szaleństwo jasnych loków i nogi tancerki kabaretowej pod szalową czarną sukienką. Wyglądała obiecująco. Szybko dopił resztę ginu i skierował się ku Vorze z uśmiechem na ustach. Po ostatniej nocy potrzebował odmiany. Musiał przestać myśleć o Lauren.

Kiedy się zbliżał, blondynka odwróciła się i Ryan znieruchomiał w pół kroku. Lauren? Do cholery! Z promieniejącym uśmiechem i podnieceniem w oczach ruszyła w jego stronę.

Przez chwilę jego czujność osłabła, jednakże szybko ją odzyskał. Pełen ostrożności zauważył, że czarna sukienka Lauren pasuje do jej ciała jak cień w samo południe. Kołysząc się wokół jej szczupłych ud, harmonizowała z jej ruchami, co krok prowokacyjnie odsłaniając fragment jej nogi. Najbardziej zdumiał go jednak wydekoltowany aż do pępka przód sukienki. Boże! Gdyby zdecydowała się na głęboki oddech, mogłaby dołączyć do tych kociaków widniejących w stroju topless na trzeciej stronie „The Sun”.

Wszystkie pary męskich oczu zrezygnowały z oglądania kolekcji Courtrighta i podążyły za Lauren. Z ukrycia wyskoczyła przyczajona zazdrość i pochwyciła Ryana w swoje rozżarzone szpony. Powodowany nagłym impulsem, miał ochotę wymierzyć cios temu kretynowi, który właśnie zastąpił Lauren drogę, żeby się z nią przywitać. Zareagowała niskim ochrypłym śmiechem, który niósł się po sali, aż doszedł do jego uszu. Dzielila ich niewielka odległość, jednakże nie potrafił zrozumieć jej słów. Wmawiając sobie, że Lauren nic a nic go nie obchodzi, odwrócił się i ruszył szybko przez salę ku wyjściu.

- Ryan, zaczekaj.

Odwrócił się ponownie. Lauren płynęła ku niemu. Musiał przyznać, że jej widok zapiera oddech. Świetna fryzura - rozczochraniec. Wyglądała, jakby przed chwilą wyszła z łóżka. Opanowała go nieodparta chęć, aby pochwycić ją w ramiona i długo całować. Ta kobieta to pewny kłopot. Pamiętaj o tym, chłopie.

- Czego chcesz?

- Ciebie - odrzekła intymnym szeptem.

Do cholery! Czy to wszystko zrobiła dla niego? Zlustrował ją chłodnym spojrzeniem, podczas gdy Lauren wsunęła w jego rękę delikatną dłoń. Ryan celowo nie zareagował na jej otwarcie.

- Jestem gotowa złożyć tę deklarację.

Deklarację? Do diabła. Sprawdzała, czy nie blefuje.

Nigdy nie sądził, że to zrobi. Chciał się ustabilizować. Pewnego dnia. Ale nie teraz; nie w trakcie tej utrzymywanej w tajemnicy operacji. Gdyby teraz zmiękł i stracił motywację, nie wiadomo, jak mogłoby się to skończyć.

Uniosła do góry lewą dłoń, ukazując nienagannie wypielęgnowane, pomalowane na koralowy kolor paznokcie.

- Zdjęłam obrączkę, obcięłam włosy i całkowicie zmieniłam garderobę. - Zakręciła się powoli, dręcząc go jeszcze raz budzącym pożądanie ciałem. - Jak ci się podoba?

Ukrywając prawdziwe odczucia, wzruszył obojętnie ramionami. Nie ulegaj jej, chłopie.

- Zrobiłam to dla ciebie - powiedziała niepewnym, przechodzącym w szept głosem. - Większość z tego, co wczoraj powiedziałeś, to prawda, chociaż powody, dla których wybierałam starszych mężczyzn i nie zdejmowałam obrączki, były inne, niż sądzisz. Jestem gotowa dokonać zmian w swoim życiu.

Czy ona nie zdawała sobie sprawy z tego, co z nim wyczynia? Aż do wczorajszego wieczoru nie mogła mieć o tym pojęcia. Starannie ukrywał swoje uczucia nawet przed samym sobą, powtarzając sobie, że to niemożliwe, aby został zauroczony przez córkę Caroline Armstrong. Lecz jednak był nią zauroczony. W czasie wczorajszej tyrady zaatakował ją gwałtownie, używając najbardziej nawet nieprzemyślanych argumentów, chcąc ją ukarać. Co, u diabła, podkusiło go, aby dołączyć do tego zdanie o deklaracji? Nie mógł sobie tego



wytłumaczyć. W jego życiu nie było miejsca dla kobiety - przynajmniej nie teraz.

- Jestem teraz twoja.

Wypowiedziane łagodnym tonem, miękkie jak jedwab słowa odpowiadały na jego własne tęsknoty. Tęsknotę za tym, aby usiąść, porozmawiać i pośmiać się jak zwykły człowiek. Na przekór temu, co myślał, była mu potrzebna. Kiedy tak walczył ze swoimi myślami, Lady Fiona stuknęła go swoją laską.

- Niech pan posłucha, panie Westcott - powiedziała, podnosząc na niego z wózka swoje zaropiałe oczy. - Nie wie pan, czy Courtrightowie będą sprzedawali tę kolekcję?

- Być może, Fifi - odpowiedział, obserwując Lauren kątem oka. Gdyby rzeczywiście „była jego”, nigdy nie zgodziłby się, żeby wyszła z domu w takiej ponętnej sukience. - Mówią, że jesienią Sotheby wystawi ją na aukcję.

- Sotheby - pokręciła nosem i uderzyła laską o posadzkę. - Od czasu tej nikczemnej afery z Australijczykiem nie chcę z nimi wchodzić w żadne układy.

Vora Leighton przyłączyła się do nich w momencie, kiedy Ryan skinieniem głowy wyrażał swoją aprobatę dla decyzji Lady Fiony. Od czasu, kiedy odkryto, że część z pięćdziesięciu czterech milionów dolarów, jakie australijski potentat Alan Bond przeznaczył na zakup „Irysów” van Gogha, była pożyczką od Sotheby'ego, wielu kolekcjonerów sceptycznie traktowało zapewnienia domu aukcyjnego o gwarancjach dotyczących cen sprzedawanych dzieł sztuki. Wielu z nich sądziło, że obiecując sprzedawcy określoną cenę i pożyczając nabywcy część funduszy, Sotheby sztucznie wywoływał inflację na rynku.

- A teraz Christie's wziął z nich przykład - kontynuowała z irytacją w głosie Lady Fiona, patrząc na Lauren i Vorę. -

Niczego już nie zamierzam kupić w żadnym domu aukcyjnym.

- Lepiej jest zdecydować się na prywatnych handlarzy dziełami sztuki - powiedziała Vora.

- A pani skąd to może wiedzieć? - Lady Fiona ukuła laską stojącego za wózkiem służącego, dając mu znak, że chce, aby ruszyli dalej. - Wystawia pani tego komunistę?

- Jest teraz obywatelem brytyjskim - odpowiedziała Vora.

Lady Fiona pomachała laską w kierunku Vory i odjechała, pchana przez służącego.

- Ona jest typem kolekcjonera, który będzie źle mówił o Irku, przekazując innym swoje wrażenia nie obejrzawszy nawet jego prac - powiedziała Vora.

- To nie jest wózek inwalidzki - odezwał się Ryan. - To tron na kółkach. Ona z pewnością przybędzie na wystawę. Poczekajcie, to się przekonacie.

Ryan spostrzegł strapienie malujące się na twarzy Vory. Podążył za jej wzrokiem i po przeciwnej stronie sali ujrzał Mootzie McCallister i Clive'a Holcombe'a. Mootzie miała na sobie szkarłatną sukienkę firmy Spande sięgającą do pól uda i opinającą jej ciało.

- Wygląda jak dziesięć funtów mięsa wpakowanych do pięcioletniego worka.

Komentarz Ryana nie wywołał nawet cienia uśmiechu na twarzy Vory Leighton. Chyba nie czuła już nic do Holcombe'a, a może jednak?

- Słyszałam - powiedziała cicho Lauren - że Mootzie pchnęła go w kierunku projektowania futer. Projektuje futra w najlepszym stylu, podobnie jak siostry Fendi, i sprzedaje je w Knightsbridge w sklepie pod nazwą Beyond Mink.

- Świetnie. Popychacz baranich skór. Następnym razem umieści go w podziemnych stacjach metra. Już to widzę. „Stópki Mootzie”. „Kłus Skarpetek”. „Handlarz Norek”.

- Chyba się już napatrzyłam - rzuciła Vora, zbierając się do wyjścia.

- Ja jeszcze chwilę zostanę - powiedziała Lauren. - Ryan odwiezie mnie do domu, tak?

- Oczywiście - Ryan usłyszał swój własny głos. Lauren odpowiedziała uroczym uśmiechem małej dziewczynki.

Czyżby zupełnie oszalał? Lauren była przecież zwariowana, tak jak jej matka. Już raz go zostawiła. A teraz zmieniła twarz. Nie miało to sensu. Domagał się wyjaśnień.

- Dlaczego nie widzisz się z matką?

- Czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności?

Na dole w lokalu u Birouma znaleźli w rogu wolny stół. Ryan zamówił dla siebie gin, a dla Lauren Malvern Water z podwójną cytryną. Mieszając napój słomką, wpatrywała się w plasterki cytryny.

- Wiesz, mój ojciec nie żyje od blisko dwudziestu pięciu lat, ale ciągle za nim tęsknię.

Sącząc gin, Ryan zrozumiał, że Lauren kochała swojego ojca tak samo głęboko, jak on swoją matkę.

- Kiedy matka ponownie wyszła za mąż, podążyła za tym, czego brakowało jej za pierwszym razem. Pieniądze. Byłam zbyt młoda, żeby to zrozumieć. Wydawało mi się, że poślubiła dobrego człowieka, takiego jak tatuś - głos jej naprężył się do granic ostateczności. - Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, że są tacy ludzie jak Rupert Armstrong.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła daleko przed siebie, jak gdyby jeszcze raz przeżywała całą tę historię. Słowa samorzutnie cisnęły się jej na usta. W miarę rozwoju przerażającej historii Lauren gniew Ryana topniał, a w jego miejsce pojawiło się zdumienie. Nie pomógł nawet złocisty gin. Ryan postawił na stole prawie pełny kieliszek, w oczekiwaniu na dalsze szczegóły. Kiedy Lauren doszła w

swoim opowiadaniu do śmierci Todda Haile'a, Ryan już od dłuższej chwili pragnął zabić Ruperta Armstronga.

Jak dobrze Ryan pamiętał tego sukinsyna z założonymi na nos binoklami. Powiększały jego eliptyczne tęczówki - takie jak u węża - kiedy sprawdzał poprawność kontraktu dotyczącego eksportu fosforu. Podpisywał dokumenty zamasztyłym ruchem pióra. Wyroki śmierci na tysiące przedstawicieli zagrożonego gatunku zwierząt. Zabicie Ruperta byłoby zbyt łagodne. Ryan miał lepszy pomysł. Powróci do Marrakeszu - wkrótce.

- Co zrobiłaś, po śmierci Todda? - zapytał Ryan. Kiedy Lauren ciągnęła swoją opowieść, przypatrywał się jej dokładnie.

Kilka dni po tym, jak Lauren dowiedziała się o śmierci Todda, Paul powrócił do domu ze szkoły w Paryżu. Była jednak zbyt przygnębiona, aby cieszyć się z olbrzymiej ilości przyborów do malowania, jakie jej przywiózł. Ledwie zauważyła, że Rupert wyjechał do Kenii i że nie musi już dłużej odczuwać strachu o północy, kiedy to zazwyczaj słyszała jego szuranie na korytarzu, a po chwili wyciągały się po nią jego złowrogie ręce, aby pochwycić ją w odrażającym uścisku.

Przez następny tydzień Paul próbował pocieszać ją, zabierając ze sobą do medyny. Stara część miasta, założona przed wiekami przez hodowców wielbłądów - fanatycznych neofitów islamu - otoczona była aurą tajemniczości, której pozbawiona była nowa dzielnica francuska z bulwarami w paryskim stylu.

Lauren obserwowała przejawy pobożności wiernych zwoływanych przez muezzina na modlitwę. Mężczyźni upadali na ziemię, klękali na matach z twarzami skierowanymi na wschód do Mekki. Kobiety islamskie posłusznie pozostawały nieruchome w cieniu, podczas gdy ich mężowie

oddawali się modłom. Najwidoczniej Allah słuchał jedynie modlitw mężczyzn. Lauren zastanawiała się, czy Bóg usłyszał jej modlitwy. Jeśli tak, to z pewnością wskaże jej drogę, którą będzie mogła uciec od Ruperta.

Pewnego dnia Paul i Lauren znaleźli się w Jemaa - el - Fna, samym sercu medyny. Plac, nazwany od częstych egzekucji odbywających się tu w następstwie kaprysów paszy „Miejscem Zgromadzenia Umarłych”, wabił teraz spekulantów, kuglarzy i drobnych złodziejasków wszelkiego pokroju, w równym stopniu, co tłumy legalnych handlarzy. Lauren i Paul byli oczarowani grupami wędrownych akrobatów, z których część spacerowała na szrudłach; jeszcze bardziej fascynowali ich gwinejscy tancerze. Wyginając ciała i tupiąc w rytm kastanietów, falowali białymi tunikami wykonując niezliczoną ilość obrotów. Czarne tasiemki na fezach obracały się jak śmigła helikopterów, a złote zęby tancerzy połyskiwały w letnim słońcu.

- Wypędzają demony - wyjaśnił ktoś z boku.

Lauren zastanawiała się, czy mogliby sprawić, żeby oddalić od niej Ruperta Armstronga. Właśnie wtedy jeden z tancerzy dał ręką znak, aby Lauren i Paul podążyli za nim. Zapuscili się głębiej w medinę, gdzie przy straganach z dachami z trzciny tłoczyli się sprzedawcy głośno zachwalający przeróżne towary. Tancerz powiedział coś łamaną francuszczyzną i wskazał na kobietę okutaną w materiał koloru indygo. Cętki w niebieskim kolorze na jej skórze pochodziły od barwnika do farbowania ubrań. Należała do plemienia beduińskich nomadów, którzy co jakiś czas przybywali tutaj z Sahary. Można było ich poznać po niebieskim suknie, które ręcznie farbowali. Byli znani także z talentów złotniczych.

Kiedy kobieta zaprosiła ich do środka, Paul powiedział do Lauren:

- Kupię ci coś specjalnego.

Mrużąc oczy, Lauren ujrzała siedzącą na stołku starą, zgarbioną, pochyloną do przodu kobietę. Pokazując im tacę ze srebrnymi bransoletami, nie przerywała swojej monotonnej pieśni arabskiej. W fałdach jej otłuszczonego ciała widać było niebieski piasek pustyni. Zamknięte pomieszczenie przesycone było zapachem palonego jaśminu, który stawał się jeszcze bardziej intensywny z powodu letniego żaru. Lauren czuła się tym wszystkim oszołomiona, lecz Paulowi to nie dokuczało. Obejrząwszy dokładnie bransolety, wybrał jedną z nich z wyrzeźbionym wklęsłym wzorem. Na wewnętrznej powierzchni gładkiego srebra wyciśnięty był zawity znak.

Paul zapłacił staruszce i wyprowadził Lauren ponownie na zewnątrz. Wsunął bransoletę na przegub jej dłoni.

- Mam nadzieję, że cię to pocieszy. Przykro mi z powodu Todda. Wiem, ile znaczył dla ciebie.

Lauren chciała powiedzieć mu o planach, jakie mieli ona i Todd, oraz o konieczności ucieczki od Ruperta, słowa jednak nie przychodziły.

- Dzięki za bransoletę.

Paul zabrał ją do kawiarenki pod gołym niebem, gdzie podawano zimne napoje. Siedzieli w cieniu, powoli sączyli napoje i obserwowali ruch na placu.

- Todd to nie cały problem, prawda? - zapytał Paul, wpatrując się w nią badawczo. - Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do domu, wydajesz się... inna.

- Dorastam - powiedziała cicho.

Słowa te przyniosły błysk refleksji. Miała siedemnaście lat - była dorosła. Prawie. Gdyby udało jej się uciec od Ruperta, musiałaby ukrywać się, zanim ukończy osiemnaście lat. Wtedy byłaby prawie niezależna.

Lauren podniosła wzrok i odkryła, że Paul przygląda się jej ze zmartwionym wyrazem twarzy.

- Wiesz, że cię kocham... niezależnie od wszystkiego. - Jego delikatne dłonie trzymały jej dłoń. Przesunął kciukiem po srebrnej bransoletce. - Nie ma takiej rzeczy, o której nie mogłabyś mi powiedzieć. Kiedyś zawsze rozmawialiśmy ze sobą szczerze. Jednak od chwili, kiedy przeprowadziliśmy się do Marrakeszu, stałaś się... zamknięta w sobie.

Poczuła się winna, że nie dopuszczała brata do swoich tajemnic, powiedziała mu więc część prawdy.

- Zamierzałam uciec i wyjść za Todda. Gdyby żył, byłabym teraz we Francji.

- Bardzo mi przykro, że Todd zginął. Siedemnaście lat to jednak zdecydowanie za mało na małżeństwo - Paul uśmiechnął się pobłaźliwie. - Tak czy inaczej, jak - według ciebie - wydostałabyś się z Maroka?

- Osoby mające siedemnaście lat mogą otrzymać zezwolenie na wyjazd - wyjaśniła krótko, wyobrażając sobie siebie z zezwoleniem w ręce, wkraczającą na pokład samolotu, który zabiera ją daleko od Ruperta Armstronga. Na zawsze.

Paul zniżył głos i nachylił się ku niej.

- To nie Anglia. W krajach muzułmańskich kobiety nie mają tych samych praw. Co więcej, nie mogą otrzymać zezwolenia, nawet gdyby ukończyły siedemnaście lat, jeżeli nie posiadają zgody męskiego członka rodziny. Czy sądzisz, że Rupert dałby ci zezwolenie na wyjazd? No, bądź poważna.

Promień nadziei, który się pojawił, teraz zniknął, jeszcze bardziej pograżając gasnącego w niej ducha. Przetrvanie jeszcze jednego roku, aż będzie miała osiemnaście lat, wydawało się niemożliwe. Chwyciła się ostatniej szansy.

- Paul, przecież ty jesteś mężczyzną. Czy ty nie mógłbyś udzielić mi zezwolenia, teraz?

- Teraz? A po co ten pośpiech? Masz jeszcze jeden rok nauki.

Musiała zaryzykować i powiedzieć mu prawdę. Nikt inny nie mógł jej pomóc.

- Powiedziałeś, że mnie kochasz. Chcę wyjechać stąd jeszcze w tym tygodniu, przed powrotem Ruperta.

Niebieskie oczy Paula, lustrzane odbicie jej własnych, zwęziły się.

- Lepiej powiedz mi, co się tu dzieje.

Kiedy zawahała się, ujął jej dłonie w swoje ręce i powiedział:

- Nie ma takiej rzeczy, o której nie mogłabyś mi powiedzieć.

Odetchnęła głęboko. Pomóż mi, tatusiu. Spraw, żeby Paul zrozumiał.

- Czasami... w nocy... po północy... Rupert przychodzi do mojego pokoju.

Była przygotowana na reakcję Paula, lecz on jedynie uśmiechnął się zachęcająco, aby kontynuowała:

- I?

Spoglądając na delikatne dłonie Paula, lecz widząc ręce Ruperta, Lauren opowiedziała wszystko dokładnie, nie opuszczając żadnego szczegółu. Kiedy skończyła, Paul patrzył na nią tępym wzrokiem, jak gdyby jej nie dowierzał.

- Mój Boże - odezwał się po długiej chwili - Dlaczego powiedziałaś mi o tym dopiero teraz?

- Nikomu nie powiedziałam. Nawet Toddowi. Gdzie byśmy poszli, gdyby mama porzuciła Ruperta? Nie mogłaby nas utrzymać. Nie mogłabyś kontynuować nauki w Paryżu. Zrujnowałabym ci życie.

- To nie ma znaczenia. Kocham cię. Nie pozwolę temu łajdakowi więcej cię dotknąć - głos jego zabrzmiał ostro i zdecydowanie jak nigdy przedtem.

Łzy napłynęły jej do oczu. Świat mógłby przewrócić się do góry nogami, ale zawsze mogła liczyć na Paula. Przez kilka



minut wpatrywała się w puste szklanki na stoliku, zanim zaświtało jej w głowie rozwiązanie.

- Mam pomysł. Być może jest sposób na to, abym wy dostała się z Marrakeszu, a także - żebyś ty nie przerywał nauki. Czy słyszałeś o kimś w Paryżu, kto wyrabia fałszywe dowody tożsamości? Gdybym taki miała, mogłabym uchodzić za francuską obywatelkę i ukrywać się do chwili ukończenia osiemnastu lat, kiedy to zgodnie z prawem będę niezależna.

- Poczekaj - odpowiedział Paul, a po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Mój przyjaciel Marcel zdobył taki dowód dla swojej dziewczyny, która jest Niemką. Najważniejsze, co musimy zrobić, to przetransportować cię do Paryża. Najtrudniejsza sprawa to pieniądze na bilet lotniczy.

- Nie, wcale nie - powiedziała niezbyt przekonana. Kiedy skończyła mu objaśniać swój plan, Paul niedowierzająco pokręcił głową.

- To zwariowany pomysł. Matka nie uwierzy...

- Oczywiście, że uwierzy, jeżeli powiesz dokładnie to, co ci powiedziałam.

- Czy nie powinniśmy powiedzieć mamie? Być może ona...

- Od kiedy to mama martwi się o nas? - zapytała Lauren.

Przypomniała sobie chwilę, kiedy rzucała różę na trumnę Nany, na którą opadały grudki wilgotnej ziemi. Matka była „zbyt zajęta”, aby wrócić na pogrzeb.

- Nie kochała nawet swojej matki. Sami musimy zaopiekować się sobą.

- Masz rację. Mamy tylko siebie.

- Kiedy przyjadę do Francji - ciągnęła Lauren - powiesz matce, że uciekłam z nieznanym artystą. W ten sposób nie będzie na ciebie zła i nadal będziesz otrzymywać pieniądze na naukę. Jeżeli będziemy rozważni, będziemy mogli utrzymywać się z nich oboje i nikt się o tym nie dowie.

Paul wyprowadził ją z medyny.

- Nie potrafisz dobrze kłamać. Czy jesteś na to gotowa? Pomyślała o ojcu i o Toddzie. Obaj byli niezachwianie uczciwi, lecz była przekonana, że zaaprobowaliby ten plan.

- Potrafię kłamać, jeżeli muszę.

Kiedy wrócili do domu, zastali matkę w jej pokoju na czytaniu magazynu „Elle”. Miała na sobie pikowany atłasowy szlafrok.

- Mamo, chcielibyśmy z tobą porozmawiać - zaczął Paul.

Założyła miejsce w książce zakładką ze strusiego pióra.

- O czym?

- Lauren jest... - Paul pokręcił głową, wydając się głęboko zmartwiony. - Lauren jest w ciąży.

- Co?

Matka skoczyła na równe nogi i ruszyła w kierunku Lauren.

- Ty mała dziwko...

- Chwileczkę, mamo - Paul stanął pomiędzy nimi. - Jaką korzyść może teraz przynieść gniew? Lauren wie, że popełniła błąd, lecz...

- Kto jest ojcem? Równie dobrze może się z tobą ożenić.

Lauren zawahała się, przypomniawszy sobie ostrzeżenia ojca przed mówieniem nieprawdy. Wykrztusiła:

- Todd Haile.

Paul posadził matkę z powrotem na kanapie.

- Jak więc widzisz, mamy kłopot. Musimy teraz zająć się tym bez wiedzy Ruperta.

- Tak - przytaknęła matka; zrobiła się blada na twarzy. - Gdyby Rupert to odkrył...

- Nie odkryje - zapewnił ją Paul. - Jediną rzeczą, jaką musisz zrobić, to dać nam pieniądze. Zawiozę ją szybko do Paryża i tam już zajmę się tą sprawą. Lauren może być z

powrotem, zanim wróci Rupert. Nie musi wiedzieć, że gdziekolwiek wyjeżdżała.

- Rupert nie pojechał za tobą do Paryża? - zapytał Ryan.

- Pojechał. Ale zajęło mu wiele miesięcy, aby mnie znaleźć. Brat zorganizował mi kryjówkę w Calais. Rupert przewrócił Paryż do góry nogami zakładając, że jestem blisko Paula. Jego detektywi w końcu mnie wytropili.

Ryan patrzył na Lauren, w duchu podziwiając jej odwagę. Aby zdobyć się na samodzielne życie w wieku siedemnastu lat, musiała być w niej głębia i siła, których istnienia nawet nie podejrzewał.

- Wiedziałam, że Rupert się pojawi - powiedziała głosem ciągle jakby z oddali. - Pracowałam w dzień przy stoisku z kwiatami. Nocami leżałam z otwartymi oczami w wynajmowanym przeze mnie pokoju na poddaszu w oczekiwaniu na jego kroki. Kiedy na kilka dni przed moimi osiemnastymi urodzinami usłyszałam je któreś nocy, byłam gotowa. Planowałam to od miesięcy. Otworzyłam drzwi z naładowanym rewolwerem w dłoni. Niestety, trzęsły mi się ręce i pistolet wystrzelił przedwcześnie. Kula trafiła go w stopę.

- Co zrobił? - zapytał Ryan, zaskoczony, że było ją stać na coś takiego. Nie dlatego, żeby ten sukinsyn na to nie zasługiwał, lecz trudno mu było wyobrazić sobie Lauren strzelającą po to, żeby zabić.

- Kiedy wypuszczono go ze szpitala, było już kilka dni po moich urodzinach. Nie mógł mnie zmusić, żebym wróciła do Maroka. Zagroził, że mnie jeszcze dosięgnie. Powiedział mi, żebym nigdy nie przestała się oglądać. Nie przejęłam się jego groźbami. Zapewniłam go, że następnym razem będę mierzyć w serce.

- A matka? - zapytał Ryan, ciekaw, jak Caroline poradziła sobie w tej sytuacji.

- Nie wiem, co Rupert jej powiedział. Poinformowała Paula, że nie chce mnie już więcej widzieć.

Ryan gwałtownie przesunął się na skórzanym siedzeniu w kierunku Lauren i objął ją ramieniem. To wszystko było o wiele gorsze, niż gotowa była przyznać. Niezależnie od tego, co wyczyniał Buck Westcott, Ryan zawsze miał jeszcze matkę. W jaki sposób zdołałby przejść przez swoje piekło, gdyby nie mógł zwrócić się do matki?

- Po tym, jak doszło do konfrontacji z Rupertem i gdy pokonałam tę przeszkodę, przeprowadziłam się do Paryża, gdzie zaczęłam studiować sztukę. Zarabiałam pieniądze na tłumaczeniach dla japońskich biznesmenów. Zapisalam się na zajęcia terapeutyczne i poukładałam sobie życie na nowo. Wtedy spotkałam Osgooda Winthrop'a. Czułam się z nim bezpieczna, ponieważ przypominał mi mojego ojca. Kiedy Ozzie zmarł, przenieśliśmy się do Nowego Jorku, aby być bliżej brata.

Ryan poczuł się zawstydzony swoim postępowaniem. Od chwili, kiedy poznał Lauren, nie dawał jej spokoju. Założył, że sobie na niego nie zasłużyła. Pomylił się i teraz nienawidził siebie za to. Czuł się winny. Lauren zasługiwała na kogoś wspaniałego, nie na takiego kretyna jak on. Ale nie mógł jej teraz o tym powiedzieć; nie teraz; nie po tym, jak mu zaufała. Do diabła - pomyślał, podejmując decyzję, której, miał nadzieję, nie będzie później żałować.

- Nic nie obiecuję - powiedział. - Zobaczymy po tym, jak spędzimy ze sobą trochę czasu. Będziesz musiała zrozumieć, że są w moim życiu pewne sprawy, którymi nie mogę się z tobą podzielić - nie teraz. Będziesz musiała mi zaufać.

Oplatając ramieniem szyję Ryana, zbliżyła swoje delikatne wargi do jego ust w oczekiwaniu na pocałunek. Kiedy ich usta spotkały się, wyszeptała:

- Ufam ci.

Pozwolił się jej całować, jednocześnie przebiegając koniuszkami palców po jej odsłoniętych plecach. Kiedy przesuwała ręką po jego udzie, była w tym trochę niezdarna. Przyznał jej jednak wysoką ocenę za usiłowanie; osiągnęła zamierzony efekt.

- Chodź do mnie na... szklaneczkę... przed pójściem spać - powiedziała.

Uśmiechnął się, usilnie szukając wymówki. Za żadne skarby nie pozwoli, aby urządzenia podsłuchowe zarejestrowały, kiedy się będzie z nią kochać. Jedynym wyjściem byłoby zabranie jej do Greyburne Manor. Stirling będzie wpięprzony. Trudno.

- U mnie - powiedział, wstając i podnosząc jej sobolowe futro.

- Ryan, jestem tam podenerwowana. Nie...

- T.J. nie będzie cię niepokoił. Nie będzie mógł zasnąć, dopóki nie zobaczy, że jestem bezpieczny w Greyburne Manor.

- W porządku - zgodziła się i Ryan pomógł jej założyć futro.

Kiedy jechali przez miasto do Greyburne Manor, Ryan opowiedział jej o więzieniu w Zairze i o tym, jak jej matka odmówiła T.J. pomocy, aby ten mógł go stamtąd wyciągnąć.

- Biedny człowiek. Nic dziwnego, że T.J. mnie nie lubi. Muszę mu przypominać kogoś, kogo kochał, a kto...

- Nie żywi do ciebie urazy, wierz mi. Twój obraz trzyma u siebie w pokoju.

- Naprawdę? - zawahała się przez moment. Ryan przekrzywił głowę, aby móc lepiej zobaczyć jej twarz. - Czy mógłbyś na chwilę zatrzymać się przed moim domem? Chciałabym ci coś pokazać.

- Oczywiście - odrzekł, chociaż ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, była wizyta w jej mieszkaniu. W czasie drogi zadał

jej kilka pytań o wydawnictwo Ravissant, mając nadzieję uzyskać dla Stirlinga jakieś informacje w sprawie fałszerstwa reprodukcji. Lauren nie wiedziała zbyt wiele. Ravissant nie wypuszczał żadnych reprodukcji aż do wystawy obrazów Irka. Sprawa fałszowanych reprodukcji wydała mu się całkowicie bezsensowna, jednakże nie przychodziło mu do głowy żadne inne wytłumaczenie, dlaczego ktoś miałby zakładać podsłuch w jej mieszkaniu.

Kiedy mosiężna kabina windy podjechała na ostatnie piętro, Ryanowi zaświtał pewien pomysł.

- Weź na zmianę jakieś ubranie. Coś wygodnego. Muszę jutro pojechać do Bourton - on - the - Water.

- Świetny pomysł. Czy Iggy też może z nami pojechać?

- Oczywiście.

Począł, aż Lauren wysiadzie, po czym podążył za nią korytarzem. Portier przywitał ich wiadomością, że Tabatha spędza wieczór poza domem.

- Chodź ze mną - Lauren uśmiechnęła się przez ramię i wprowadziwszy go do pracowni, zapaliła światło.

Obraz na sztaludze natychmiast przykuł jego uwagę. Do cholery! To przecież jego portret. Cholerne podobieństwo. Patrzył na niego uważnie przez chwilę, udając, że nie jest poruszony wysiłkiem, jaki niewątpliwie włożyła w jego namalowanie. Czy naprawdę wyglądał na tak nieprzystępnego? Spojrzał na Lauren i wzruszył go wyraz jej twarzy. Tak bardzo chciała mu sprawić przyjemność. Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć, że jest podobna do Caroline Armstrong?

- Nie wiem, co powiedzieć. To wspaniałe.

- A więc, podoba ci się?

Objął ją w talii i kołysał w ramionach. Jego pożądlive usta napotkały gotowe do pocałunku wargi Lauren. Musiał ciągle

pamiętać o tym, że w tym przeklętym miejscu założony jest podsłuch.

- Przygotuj ubranie - powiedział i niechętnie wypuścił ją z objęć.

Kiedy Lauren zbierała swoje rzeczy, Ryan dokładnie przyjrzał się swojemu portretowi. Dziwne, podkład był zbyt gruby. Pomyślał, że Lauren chyba wie lepiej; zajmuje się sztuką od lat.

- Jestem gotowa - zawołała Lauren i Ryan wyszedł z pracowni.

W drodze do Greyburne Manor opowiedziała mu o Tabacie Foley. Ryan doszedł do wniosku, że Lauren jest opiekuńcza. Przypominała mu jego matkę.

Wjechali na teren posiadłości obok czuwających kamer i rottweilerów, które szalały ze szczęścia, że będą mogły kogoś zaatakować. Ryan wjechał astonem - martinem do garażu i pomógł Lauren wysiąść. Kiedy znalazł się w zasięgu wizjera, zatrzymał się. Lauren zbliżyła się do wejścia pod łukowym sklepieniem, w którym ukryty był wykrywacz metalu. Trzymając w ręku torbę firmy Vuitton, w której znajdowało się jej ubranie na zmianę, przekroczyła próg.

Odezwał się niski ton brzęczka i zamigotały światelka. Ryan odwrócił się do Lauren i powiedział:

- To twoje klucze. Rzuć je na stół, wycofaj się i przejdź pod łukiem jeszcze raz.

- Mam tylko jeden klucz - wyjęła kółko z kluczem z torby. - Klucze od Ravissanta trzymam na innym kółku.

Zaskoczony Ryan czekał, aż Lauren ponownie przejdzie przez wykrywacz metalu. Aby uruchomić alarm, potrzebny był niemały pęk kluczy. Kiedy ponowiła próbę, alarm odezwał się znowu. Avi - bezszelestnie jak cień - pojawił się z towarzyszącą mu Iggy.

- Co się stało? - zapytała Lauren.

- Nic. Najprawdopodobniej kilka monet w torebce. Daj mi ją, i płaszcz też.

Skinął na sikha, aby ten je sprawdził.

Adi rozkazał Iggy: „Zostań”. Siedząc na swym zaokrąglonym zadzie, Iggy podniosła ryjek i węszyła nieustannie, machając równocześnie ogonem.

- Nic - powiedział Adi ze wzrokiem skierowanym na Iggy.

- Spróbuj jeszcze raz, Lauren.

Alarm zabrzmiał ponownie i Ryan spojrział na monitor. Boże! Urządzenie zanotowało na skali tak wysoki poziom metalu, że wystarczyłoby na pistolet albo jakąś inną śmiertelną broń.

- Czy wyregulowałeś go dzisiaj? - zapytał Ryan, na co Adi skinął głową.

- O co chodzi? - spytała Lauren. - Nie mam żadnego metalu.

- Nie jestem tego pewien - Ryan walczył z opanowującym go uczuciem niepewności.

Zabytkowy żyrandol w foyer rzucał głęboki cień na antyczne belki z drzewa dębowego skrzyżowane pod sufitem. W przyćmionym świetle Ryan zlustrował Lauren od góry do dołu, poczynając od luźno zwisających loków, a skończywszy na jej ponętnej sylwetce. Każdy głupiec mógł się zorientować, że nie ma przy sobie broni. Było to prawie zupełnie niemożliwe, aby cokolwiek ukryć pod sukienką. Chyba że miała jakąś dziwną broń schowaną w bieliźnie osobistej. Przypomniał sobie ten zabójczy nóż, przez który wylądował w więzieniu. Niewykrywalny. Nóż można było złożyć do wielkości nie przekraczającej czterech cali.

- Nie wolno mi naruszać rygorów bezpieczeństwa Griffitha. Nie możesz wejść, dopóki nie zobaczę, że jesteś w porządku. Zdejmij sukienkę.



- Mam zdjąć sukienkę? Tutaj? - Lauren nie mogła uwierzyć, że kazał jej to zrobić.

- Adi - powiedział Ryan - ja się tym zajmę.

Kiedy sikh bezszelestnie zniknął w głębi zaciemionego korytarza, Lauren zaczęła przeklinać siebie, zorientowawszy się, co mogło uruchomić alarm. Jak mogłaś być tak głupia? Dlaczego nie zauważyła wykrywacza, kiedy była tu po raz pierwszy?

- Ryan, mogę to wyjaśnić.

- Sądzę, że tak będzie lepiej - powiedział w taki sam surowy sposób, jak surowa była jego twarz.

- Mam na sobie „wesołą wdowę”.

- Co to takiego, u diabła?

- To nowoczesna odmiana starodawnego gorsetu. Posiada fiszbiny, które biegną... - wskazała na obszar poniżej piersi aż do górnej części bioder - ... odtąd... dotąd.

Zarumieniła się, czuła się niewiarygodnie głupio.

- Wydaje mi się, że fiszbiny są z metalu.

Ryan popatrzył na nią z niedowierzaniem, jak gdyby sądził, że Lauren wymyśliła to wszystko na poczekaniu. Położył rękę na jej talii i ścisnął.

- Jezu! To przecież imadło!

Czas spędzony w sklepie Janet Reger na wybieraniu czegoś kuszącego okazał się nagle stracony. Był to najgorszy pomysł, na jaki Lauren i Vora mogły kiedykolwiek wpaść. „Wesoła wdowa” była tak ciasna, że przez cały wieczór Lauren z trudem mogła oddychać, a teraz na dodatek została pozbawiona możliwości sprawienia Ryanowi niespodzianki.

- W każdej minucie rodzi się przygłup - uśmiechnął się szeroko, a w jego zielonych oczach pojawiły się błyski. - Większość z nich to kobiety.

- To miało być seksy.

Popatrzył na nią uważnie przez chwilę, po czym pokręcił głową. Śmiejąc się, przyciągnął ją do siebie i objął.

- Jesteś świrem, wiesz o tym?

Nie zostawiając jej ani chwili na odpowiedź, pocałował ją, rozchylając jej usta mocnym uderzeniem języka. Jej ciało opanowała tak gwałtowna namiętność, że aż przestraszyła się ogromu swojego pożądania. Jej instynkt mówił prawdę. To był mężczyzna dla niej.

Kiedy ich języki połączyły się, coś zimnego i wilgotnego dotknęło jej łydki. Skoczyła jak oparzona.

- Co... - popatrzyła przez ramię i ujrzała obwążującą ją Iggy. - Dlaczego Iggy wsadza nos w moją sukienkę?

- Nigdy nie widziała „wesolej wdowy”. Pocałował ją znowu, dotykając ręką jej pośladków.

Alarm wykrywacza metalu zabrzmiał ponownie i zapaliło się czerwone, migocące światełko - widocznie wychylili się w niewłaściwą stronę. Ryan wyłączył monitor.

- Chodźmy na górę uwolnić cię od tego wynalazku.

Lauren wzięła świnkę na ręce i zbliżyła ją do swojej szyi, aby dać Iggy okazję do zachłyśnięcia się jej perfumami.

- Stęskniła się za tobą - powiedział Ryan, prowadząc Lauren długim korytarzem.

- Stęskniłam się za wami obojgiem.

Dostrzegła błysk wahania w oczach Ryana. Miała rację. Potrzebował kogoś, o kim by wiedział, że o niego dba. Że go naprawdę obchodzi.

Kiedy wchodzili po schodach, Lauren rozglądała się dookoła. Z wyjątkiem ścian obwieszonych obrazami, które większości domów nadawałyby nastrój ciepła i intymności, Greyburne Manor wydawał się dziwnie pusty. Być może sprawiała to złowieszczą cisza. Jedynym dźwiękiem, jaki docierał do Lauren, było skrzypienie drewnianej podłogi pod ich stopami.

Przeszli obok wizjera umieszczonego przed wejściem do pokojów Ryana. Poprowadził ją przez ciemną komnatę wiodącą do sypialni. Gdy zapalił lampkę na nocnym stoliku, oczom Lauren ukazało się nie pościelone łóżko. Poduszka Iggy nadal leżała w jego nogach. Lauren położyła Iggy na łóżku. Świnka potknęła się i zaczepiła kończyną o splątane prześcieradła, po czym wsunęła ryjek pod poduszkę i coś stamtąd wyciągnęła.

- Mój biustonosz! - Lauren wyszarpnęła koronkowy kawałek atlasowej tkaniny z ryjka Iggy. Kiedyś był on koloru jasnej brzoskwini, lecz teraz nabrał szarego odcienia, prawdopodobnie od ciągnięcia go po podłodze. - Jak mogłeś jej pozwolić, aby go zniszczyła? Był makabrycznie drogi. Teraz nie będę miała niczego, co by pasowało do majtek.

- Do majtek? - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Iggy bardzo pragnęłaby otrzymać parę majtek.

Ryan powoli przesunął dłoń po plecach Lauren w kierunku błyskawicznego zamka i dodał:

- Zresztą może nawet bardziej odpowiadałaby jej „wesoła wdowa”.

Zręcznie ściągnął dramatyczną kreację Anouski Hemple i rzucił ją na fotel, na którym w czasie ostatniej wizyty Lauren schowała się Iggy. Kiedy Ryan z półuśmiechem na ustach przesunął oczami po jej ciele, Lauren czuła się zupełnie zakłopotana.

- Czy nie powinniśmy zarezerwować fotela dla Iggy? - zapytała, aby przerwać niezręczną ciszę.

- Nieee. Dzisiaj domaga się miejsca w pierwszym rzędzie.

Lauren rzuciła okiem na Iggy, która siedziała na swojej poduszce i obserwowała ich łagodnym spojrzeniem brązowych ślepi. Mężczyzna śpiący ze świnią. W porządku, z niewyobrażalnie drogą miniaturową wietnamską świnią, nie z pierwszym lepszym stworzeniem z wiejskiego podwórka. Tak

czy inaczej, Ryan to ekscentryk. Nie powinna czuć się zażenowana w tym otoczeniu.

„Wesoła wdowa” - szykowna wersja staromodnego gorsetu, wykonana była z czarnego francuskiego jedwabiu z kłopotliwymi fiszbinami ukrytymi w delikatnej koronce. Czarne atlasowe podwiązki podtrzymywały czarne nylonowe pończochy ze szwem.

- „Wesoła wdowa”, co? - przesunął palcem po jedwabnych prążkach przedniej części gorsetu, a oczami błędził po wiotkim biustonoszu, który ledwie zakrywał brodawki jej piersi. Pociągnął za tasiemkę i odwiązał ją. - Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego jakakolwiek wdowa mająca na sobie ten wynalazek miałyby być wesoła.

Lauren też nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Zaczepnęła pierwszy głęboki oddech tego wieczoru. Przez cały czas aż do tej pory czuła się jakby zduszona w talii.

- Tak czy inaczej, wdowa jest diabelnie seksowna.

Odpiął podwiązki i powoli przesunął poduszkami palców po jej udach, dłużej niż było to konieczne. Ściągnąwszy z niej ten jednoczęściowy ubiór, rzucił nim przez ramię. Kiedy pochylił twarz ku jej piersiom, Lauren pocałowała go w czubek głowy. Dyszała z namiętności. Jej ciało momentalnie odpowiedziało na jego dotyk. Po kolei okrążył językiem obie brodawki jej piersi. Wyprostowały się na baczność. Kiedy uniósł głowę, ujęła w dłonie jego twarz i wybiegła na spotkanie jego ustom.

Niepewnymi palcami zdjęła z niego marynarkę, po czym - pomiędzy gorącymi pocałunkami - niezręcznie odpinała guziki jego koszuli, żałując, że nie ma więcej wprawy w sztuce uwodzenia. Zmagła się ze sprzączką u paska od spodni, lecz w końcu udało jej się ją odczepić i przesunąć w dół zamek błyskawiczny. Z alarmującą prędkością odkryła pełnię jego gotowości. Centymetr po centymetrze przesunęła

po nim ręką, delikatnie go ściskając. Wsunął się głębiej w jej dłoń, prowokując, aby użyła więcej siły. Kiedy tak uczyniła, pochwycił ją w ramiona i zaniósł do łóżka.

Kiedy położył się obok niej, Lauren wyczuła u niego lekkie zawahanie; rezerwę, której nie było, kiedy kochali się po raz pierwszy.

- Powstrzymujesz się nie dlatego, że powiedziałam ci o Rupercie, prawda?

- Nie chcę, żebyś myślała o tym, co ten łajdak zrobił. Nie chcę być dla ciebie niedelikatny.

- Kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy, nie wiedziałeś nic o mojej przeszłości i było to wspaniałe. Bądź sobą.

Ryan odgarnął włosy z jej szyi. Kiedy ją całował, poczuł lekki zapach Bluebells, który przywarł do jej skóry. Serce zabiło mu gwałtowniej, jak gdyby sobie uprzytomnił, że bardzo jej pragnie. Złapała go - przyznał w duchu.

Kiedy całował ją z namiętnością, którą poprzednio zapamiętała; kiedy ich języki spotkały się w tańcu; kiedy uda stopiły się w jedną całość, zdała sobie sprawę z tego, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie odczuwała. Do tej pory kochała się jakby na próbę, obawiając się pełnego oddania. Nie chcąc utracić kontroli. Teraz rosnąca namiętność kierowana miłością nakazywała jej zapomnieć o wszystkim. Oddać całą siebie. Zapomnieć o przeszłości.

- Do cholery! - Peter Stirling przeklinał rzadko, ale okoliczności same się o to prosiły. Jego agent Adi właśnie zaalarmował go, że Ryan Westcott przywiózł tę Winthrop do Greyburne Manor. Cóż, u diabła, Westcott sobie myśli? Za każdym razem, kiedy ktoś tam wchodzi, narusza to ich sztywne zasady bezpieczeństwa.

Dlaczego Lauren Winthrop? Nie znaleźli nic, co by ją obciążało, ale szósty zmysł Petera mówił mu, że coś tu nie jest w porządku. Zbyt wiele zbiegów okoliczności. Ktoś, kogo

nadal nie byli w stanie zidentyfikować, założył podsłuch w jej mieszkaniu. A teraz ona składa wizytę w Greyburne Manor. Jeszcze raz.

Nalał sobie kieliszek koniaku i opadł na wysłużony skórzany fotel. Opierając stopy o równie wysłużony podnózek, dokładnie analizował sytuację. Czuł się jak wsysany przez ruchome piaski, uwięziony na wydmach człowiek. Za każdym razem kiedy patrzył na tę sprawę, przybierała ona inny obrót. Mógł poradzić sobie z komplikacjami, ale nie z kobietami. Nie dało się przewidzieć ich zachowania. Działy pod wpływem serca, a nie rozumu.

Wypiwszy łyk koniaku, przywołał z pamięci sprawę, która przyniosła mu największy sukces. Niechętnie pohamował dumę. Kobieta. Uderzająco piękna kobieta była kluczem w tej sprawie. W okresie nalotów na Londyn Peter został oddelegowany do ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie, gdzie dyplomaci usiłowali wywrzeć presję na Roosevelta, aby przyłączył się do wojny przeciw Hitlerowi. Pod kierownictwem Sir Williama Stephensona Peter dowodził brygadą brytyjskich tajnych agentów, których zadaniem było szpiegowanie Niemców kręcących się po stolicy.

Cudowną Amy Thorpe dostrzegł podczas jednego z niezliczonych pikników urządzanych dla personelu ambasady w Rock Creek Park. Faworytka wszystkich mężczyzn, Amy nie wydawała mu się kandydatką na szpiega, dopóki jej świeżo upieczony mąż, brytyjski attache Arthur Park, nie został oddelegowany do Polski. Tam właśnie, zmęczona towarzystwem nudnego męża, rozpoczęła szereg flirtów z mężczyznami z najwyższych kręgów politycznych.

Peter wierzył, że rząd warszawski był w posiadaniu planów urządzenia, które mogłyby pomóc Brytyjczykom wygrać wojnę. Polscy naukowcy pracowali nad Enigmą - maszyną kodującą. Dzięki niej Niemcy zorganizowali system

utrzymywania łączności, którego nie można było złamać, mimo że zatrudniono do tego zastępy specjalistów od kryptografii. Poczucie patriotyzmu spowodowało nawrócenie u Amy. W niezwykle łatwy sposób uzyskała dostęp do planów, które umożliwiły Brytyjczykom otrzymywanie każdej wiadomości wysyłanej przez Hitlera. Szybciej niż ktokolwiek inny. Najbardziej widowiskowy przewrót w dziedzinie wywiadu wojennego został dokonany przez kobietę.

Mając w pamięci tę niezwykle udaną operację, Peter zaangażował do sprawy Barzana Julię Hartley. Blondynka o dużych oczach, z tymi przesadnie dystyngowanymi manierami angielskich arystokratów, których fundusze zastępowały walory umysłowe, była ostatnią osobą, jaką można by posądzić o to, że jest absolwentką Akademii Ekonomicznej w Londynie. Jej specjalnością były komputery, lecz nawet przy jej budzącym podziw przygotowaniu nie udało jej się dotychczas rozsypać pogmatwanej sieci finansowych powiązań i udziałów Carlosa Barzana.

Peter nigdy nie sugerował, aby Julia korzystała ze swoich walorów seksualnych w celu gromadzenia informacji, jednakże raporty, które przesyłała, wskazywały na to, że obiektem jej pieczyoty nie był raczej przetwarzacz danych komputerowych. Kiełkująca Amy Thorpe.

Najnowsze informacje nadesłane przez Julię zaalarmowały go o kolejnej wizycie Davida Marcusa w Londynie. Ostatnim razem ludzie Petera zauważyli okrągłą, lecz atrakcyjną blondynkę wchodzącą do apartamentu, który zajmował asystent Barzana. Teraz Julia zarezerwowała dla Marcusa apartament w Hyde Park Hotel, a dla ludzi Petera sąsiadujący z nim pokój. Concorde wylądował przed godziną, tak więc Marcus powinien już być w hotelu. Może nie będzie to miało znaczenia, jednakże Peter czułby się o wiele lepiej, gdyby znał tożsamość blondynki.

Kobiety. Było ich zbyt wiele w tej sprawie. Jego myśli jeszcze raz powróciły do Lauren Winthrop. Przydzielił dodatkowych ludzi, aby zbadali jej przypadek. Rozmawiali praktycznie ze wszystkimi osobami, które kiedykolwiek miały z nią jakąkolwiek styczność. I nic. Wszyscy ją lubili. Wyrażali się o niej jako o osobie energicznej i niezwykle pracowitej. Z wyjątkiem Armstrongów. Caroline i Rupert w wywiadzie udzielonym najprawdopodobniej „Harpers and Queen” powiedzieli, że Lauren była krnąbrnym dzieckiem, które uciekło z domu w pogoni za karierą w sztuce.

Coś jednak ukrywali. Wyczuł to od razu, kiedy tylko rozpoczął przesłuchanie taśmy. Instynkt podpowiedział mu, że powinien przydzielić kogoś dla dokładniejszego przyjrzenia się Armstrongom. Peter doszedł do wniosku, że przy takim obrocie spraw będzie musiał przesłuchać pół świata, zanim zakończy śledztwo. Nie miał jednak innego wyjścia. Gdzieś musiał w tym wszystkim tkwić jakiś wspólny mianownik. Ale gdzie?

Najprostszym wyjaśnieniem byłoby to, że Barzan wynajął Lauren Winthrop, aby jako córka Caroline Armstrong wkradła się w łaski Griffitha. Jako że technicy obsługujący wizjer i modulator głosu oczyścili Lauren z podejrzeń, trzeba było spojrzeć na sprawę pod innym kątem. Lecz Peter nie ufał tym wszystkim nowatorskim przyrządom. Instynkt mówił mu, że Lauren Winthrop jest agentem Barzana.

Dziś wieczorem jego ludzie poinformowali go, że zbliżyła się do Westcotta, mając na sobie seksowną sukienkę. Oczywiście Ryan połknął przynętę i zaprosił ją do domu. Myśleniem mężczyzny kieruje rozporek.

Peter jeszcze raz przeanalizował sytuację. Nie. Westcott byłby ostrożny. Niezależnie od tego, do jakiego stopnia jest playboyem, jego główny cel to dostanie Barzana w swoje ręce.



Znużony David Marcus wspiął się po schodach z foyer na półpiętro Hyde Park Hotel, gdzie po lewej stronie mieściła się poczekalnia i recepcja. Wręczając przy ladzie kwitek z rezerwacją, popatrzył na zegarek. Jak tylko otrzyma numer pokoju, zadzwoni do Tabathy, która miała na niego czekać przy publicznym telefonie na stacji metra w Knightsbridge.

- Czy pokój jest z widokiem na Hyde Park? - zapytał David, kiedy wręczono mu klucz.

- Nie, proszę pana. Nie sprecyzował pan...

- Oczywiście, że sprecyzowałem. Chcę pokój z widokiem na park, bo w innym razie po co miałbym się tu zatrzymywać? - oburzył się David.

Julia wszystko popieprzyła. Za każdym razem, kiedy odwiedzał Londyn, zatrzymywał się w innym hotelu, nie tylko dlatego, aby uniemożliwić komukolwiek zauważenie jego młodego gościa, lecz także, aby sprawić Tabacie radość. Nie mógł ryzykować pokazywania się publicznie z tak młodą osobą, dlatego też uczynił z tego tradycję, aby dostarczać Tabacie emocji poprzez wynajmowanie pokoi w najlepszych hotelach, mimo że jemu samemu specjalnie na tym nie zależało. St. James Club - zbyt wiele gwiazd muzyki rockowej. Ritz - zbyt połączany i zapchany. Blakes Hotel - zbyt ponury.

Zdecydował się na Hyde Park, który szczycił się jedynym bliskim widokiem na Rotten Row i Serpentine, czego nie posiadał żaden inny hotel. Rano Tabatha dostanie wręcz bzika, kiedy zobaczy wioślarzy na wodzie Serpentine i ćwiczenia żołnierzy przemierzających na koniach Rotten Row. Jeśli będą mieli odrobinę szczęścia, być może sam książę Karol przejedzie kłusem po ścieżce.

- Panie Marcus, możemy panu dać pokój z oknami wychodzącymi na park, lecz nie apartament.

- Wezmę go. Jaki jest numer pokoju?

Po otrzymaniu klucza wyszedł za róg hotelu do budki telefonicznej i zadzwonił do Tabathy. Odpowiedziała natychmiast. Następnie pośpieszył na górę i zamówił spóźnioną kolację do pokoju. Zanim jeszcze pojawiło się jedzenie, krótkie pukanie do drzwi oznajmiło o przybyciu Tabathy. Stacja Knightsbridge znajdowała się zaledwie o jedną ulicę od hotelu.

- Cześć - powiedziała, kiedy otworzył jej drzwi.

- Jak się masz? - odpowiedział przesuwając wzrokiem po jej ciele. Miała na sobie jasnożółtą, sięgającą do talii koszulę, która sprawiała, że wyglądała młodo. Niezwykle młodo. I podkreślała jej piersi... Jego członek uniósł się na tę cześć. - Wejdz. Właśnie zamówiłem kolację.

Tabatha niespiesznie weszła do środka i rzuciła na łóżko torbę z zakupami od Harrodsa. Odwróciwszy się do niego tyłem, podeszła do okna i rzuciła okiem na park. Uśmiechnął się w duchu. Trzeba dać dzieciakowi trochę podniety. Dlaczego by nie?

Odezwało się pukanie do drzwi. David skierował kelnera z wózkiem do stojącego w rogu niewielkiego stołu. Wręczył mu napiwek i pośpiesznie wyprowadził z pokoju, po czym zaprosił Tabathę na kolację z homara. Myśl o zjedzeniu jeszcze jednego kęsa sprawiła, że musiał rozluźnić pasek o kilka kolejnych centymetrów. Podróż Concordem o ponaddzwiękowej prędkości była kulinarnym szaleństwem.

Z hukiem wyciągnął korek od butelki z Cristalem i napełnił dwa kieliszki.

- Za twój sklep.

Kiedy kieliszki wydały charakterystyczny dźwięk przy dotknięciu, Tabatha uśmiechnęła się. Zdarzało się to rzadko, jednak David wiedział, że wzmianka o sklepie wywoła taką reakcję.

- Wymyśliłaś już dla niego nazwę?

Pomyślała przez chwilę i przełknawszy kawałek homara, odpowiedziała:

- Bangles.

- Podoba mi się - skłamał. Głupia nazwa. - A to prezent, który ci obiecałem.

Rzucił na stół pięć tysięcy funtów obok creme brulee i zapytał:

- Czy Lauren skończyła już obraz?

- Nie. Jest zajęta organizowaniem wystawy.

- Postaraj się ją zachęcić.

Jako że urządzenia podsłuchowe wychwyciły rozmowę telefoniczną Lauren z Westcottom, David był już teraz w posiadaniu numeru Griffitha. Jediną rzeczą, której teraz potrzebował, był ukończony obraz, a wtedy pułapka będzie gotowa.

- Postaram się, ale w związku z wystawą ma bardzo napięty plan zajęć.

Cierpliwości - pomyślał David, obserwując, jak Tabatha atakuje kleszcze homara. Wydarzenia wyprzedzały plan. Barzan byłby zadowolony. Próbując znaleźć sposób na spenetrowanie środków ostrożności zastosowanych przez Griffitha, Barzan odkrył związek T.J. z Caroline Armstrong. Rupert był siny z wściekłości, kiedy Barzan powiedział mu o zdradzie Caroline. Barzan oświadczył, że jest gotów na przemykanie narkotyków za pośrednictwem firmy eksportowej Armstronga, przez co uczyni go jeszcze bogatszym, jeżeli ten zezwoli Caroline na przybycie do Londynu i wywabienie Griffitha z jego fortecy przy Palace Green. Rupert odmówił, ale zasugerował posłużenie się w zamian swoją pasierbicą, która była wiernym odbiciem Caroline. Postępowanie Lauren Winthrop wykazało, że był to mądrzejszy wybór.

- W przyszłym tygodniu będę z powrotem. Jadę do Szwajcarii, ale wrócę na wystawę Rosjanina - powiedział David, planując w myśli odwołanie rezerwacji w hotelu Brown, której dokonała jego sekretarka Julia Hartley, i zamówienie w zamian pokoju w jego ulubionym Savoyu.

- Rozbierz się - rozkazała Tabatha typowym dla siebie, nie znoszącym sprzeciwu tonem.

David podszedł do łóżka i zdjął z siebie ubranie, po czym rzucił je na fotel obciążony czerwonym adamaszkiem. Położył się i czekał na przyjście Tabathy. Zdążył już poznać mający nastąpić rytuał. Będzie go drażnić aż do szaleństwa. Wówczas zniknie na chwilę w łazience, gdzie bez pośpiechu będzie się rozbierał.

Tabatha spałaszowała creme brulee i popatrzyła na talerz, jak gdyby rozważała wylizanie go do czysta. Rzuciła serwetkę na stół, wstała i przeszła przez pokój. Gorący i naprężony David obserwował ją w oczekiwaniu, że za chwilę zacznie rozpinąć koszulę. Pochyliła się, dając mu okazję do przyjrzenia się jej kształtnym, uwodzicielskim nogom, po czym podniosła z podłogi aksamitne pantofle z wyszytym na nich monogramem Hyde Park Hotel w tonacji królewskiego błękitu. Włożyła je do torby od Harrodsa.

Usiadła przy nim jakby od niechcienia i koniuszkami palców przebiegła po jego odsłoniętych nogach w kierunku jąder i wyprostowanego członka.

- Jesteś w złym nastroju, nieprawdaż?

Skinął głową, wpatrzony w jej wspaniałe piersi. I takie młode.

Tabatha wstała i udała się do łazienki, zabierając ze sobą torbę. Zapewne zniknie całe mydło i dodatkowe przybory toaletowe. Nic go to nie obchodziło. Nie miał też nic przeciw temu, że spędzi tam pół godziny, albo nawet więcej, podczas gdy on będzie czekał i czekał.

Po dwudziestu trzech minutach wyłoniła się naga, lecz z zaczesanymi na piersi, zasłaniającymi je włosami. O Boże! Zamierzała potraktować go po królewsku. Czuł, że się to zbliża. Nikt nie robił tego lepiej. Naprawdę nikt.

- Odwróć się - zażądała.

Wykonał polecenie. Leżał w oczekiwaniu na klepnięcie lub mocniejsze uderzenie jednym z pantofli. Zamiast tego poczuł na plecach strumień zimnej cieczy, a po chwili jej zwinne palce, rozprowadzające olejek po jego napiętych mięśniach. Wielkie nieba! Gdzie się tego wszystkiego nauczyła?

Ręce jej przesuwwały się coraz niżej. Po pośladkach przyszła kolej na uda. Masując je, jakby przypadkiem muskała jego jądra. David wydał z siebie jęk rozkoszy. Tabatha odsunęła dłoń - odprężył się, oddychając głęboko. Wróciła znowu - przelotny, drażniący dotyk. Wstrzymał oddech i czekał, zastanawiając się, co też zrobi za chwilę.

Znienacka usiadła na nim i pochyliła się, łaskocząc go w plecy opadającymi włosami. Dwie stwardniałe brodawki jej piersi przenikały przez włosy i przesuwwały się po plecach. W górę i w dół. Tam i z powrotem. Poruszała się powoli, jakby tańcząc włosami walca po jego plecach. Zadając mu torturę wielkimi brodawkami swoich piersi. Taka młoda. Przepadał za tym.

Kiedy Ryan zjechał z autostrady M5 w pobliżu Cheltenham, Lauren spojrzała przez okno astona - martina na wirujący na wietrze puch ostu, unoszący się ku wiosennemu błękitowi nieba. Wszędzie, gdzie popatrzyła, otaczała ją świeża zieleń młodych liści i źdźbeł traw, które nie zdażyły jeszcze osiągnąć koloru głębokiej dojrzałej zieleni. Zastępy kołyszących się dzwonek i innego kwiecica w pełnym rozkwicie malowały łagodnie falujące łąki pełną paletą kolorów wybuchającej wiosny. Jasnożółte motyle leniwie

unosily się w powietrzu, z szeroko rozpostartymi skrzydłami na powitanie ciepłych promieni słonecznych.

- Nigdy nie przypuszczałam, że Cotswolds są takie piękne.

Lauren uśmiechnęła się do Ryana, na co ten odpowiedział uśmiechem pełnym prawdziwego ciepła. Pomimo fiaska z wesołą wdową ostatnia noc przyniosła nie dający się z niczym porównać sukces.

- Nie wyjeżdżałaś zbyt często poza Londyn?

- Nie. Raz wybrałam się pociągiem do Box - on - Stroud w zachodniej części, gdzie mieszkałam kiedyś przez krótki czas z babcią. Zawsze chciałam podróżować, ale jestem zbyt zajęta.

- Któregoś dnia zabiorę cię do Rye. Wygląda zupełnie inaczej niż to, co tu widzisz, czy też zachodnia część Anglii.

Lauren z zadowoleniem skinęła głową. Zaczynali wspólnie planować. Większą część ostatniej nocy spędzili na rozmowie, próbując lepiej poznać siebie nawzajem. Oschły powierzchownie, Ryan zdecydowanie miał w sobie coś ciepłego. Dzisiaj wstał wcześniej rano i zapełnił astona - martina prezentami ze wszystkich ekskluzywnych sklepów, począwszy od Aspreya, gdzie kupił antyczną kameę, poprzez Swaina i Adeneya, do Brigga, w którym dokonał zakupu ręcznie wykonanego parasola. Musi ogromnie kochać ciotkę Tillie, skoro zadał sobie tyle trudu, aby uczcić jej urodziny.

- Czy ciotka Tillie jest siostrą twojej matki albo ojca?

- Żadnego z nich. Była najlepszą przyjaciółką mojej matki.

- Ach, tak - powiedziała cicho Lauren.

Śpiąca na jej kolanach Iggy zaczęła się wiercić, otworzyła jedno zaspane oko, po czym ponownie zapadła w drzemkę. Ostatniej nocy Ryan opowiedział Lauren o utracie swojej matki. Zdumiało ją, że Ryan tak dotkliwie odczuwa jej brak aż

do tej pory. A dlaczego by nie? Po tylu latach ona sama nadal tęskniła za ojcem.

- Ciotka Tillie to cała moja rodzina. Matka nigdy nie otrzymała przyzwoitego prezentu. Za każdym razem, kiedy chciała coś dla siebie kupić, musiała zbierać kupony. Robię teraz, co mogę, dla ciotki Tillie. Przez wiele lat mieszkała w Stow - on - the - Wold, ale pragnęła przeprowadzić się do Bourton - on - the - Water, tak więc kupiłem jej dom.

Lauren dobrze go rozumiała. Obdarowywał ciotkę Tillie, jako że wcześniej nie był w stanie kupować rzeczy dla swojej matki. Paul ciągle psuł Lauren przywożeniem jej prezentów z Paryża, wiedząc, że matka ją zaniedbuje. Ryan i Paul byli bardzo do siebie podobni. Byli ludźmi, którym mogła zaufać. I których mogła kochać.

Ryan zatrzymał samochód przed znakiem, na którym widniała narysowana czarna żaba. Tysiące ropuch wielkości jednego pensa przeskakiwało przez drogę.

- Nie pozwól się ciotce Tillie onieśmielić - ostrzegł Ryan.  
- Kiedy zadzwoniłem do niej dzisiaj rano i powiedziałem, że zabieram cię ze sobą, miałem wrażenie, że dosłownie podskoczyła do góry z radości. Nie może doczekać się wnuków. Już wyobraża sobie nas jako małżeństwo.

A ty? Zastanawiała się, czy on pragnął małżeństwa oraz dzieci, ale postanowiła o to nie pytać. Niech sprawy same nabiorą własnego biegu. W końcu, przecież dopiero się poznawali. Dlaczego więc wydawało się to takie... oczywiste?

Kiedy ostatnia ropucha zeskoczyła z drogi, Ryan ruszył jak armatni pocisk. Na południe od Cheltenham skręcił w drogę oznaczoną Leckhampton Hill i zatrzymał samochód.

- Rozprostujemy sobie nogi - powiedział, pomagając jej wyjść z samochodu. - Spodoba ci się tutejszy krajobraz.

Lauren postawiła na wpół zaspaną Iggy na ziemi. Świnka podążyła za nimi, powoli wdrapując się na wzgórze. Kiedy

znaleźli się za zakrętem, oczom ich ukazał się wapienny posąg.

- To Diabli Komin - wskazał na wysoką skalną kolumnę, której czas i wiatr nadały formę rzeczywiście przypominającą komin.

- To piękne - powiedziała Lauren. - Widok jest niewiarygodny.

U stóp skały rozciągała się zielona dolina pocętkowana budynkami gospodarczymi z kamienia i podzielona na części nie okalającymi je drewnianymi barierami, lecz żywopłotem. Pokryta zielenią okolica rozbrzmiewała echem krowich porykiwań. Również dźwięk dzwonek zawieszonych u szyj zwierząt wypełniał dolinę, w której samym środku położone było miasteczko Cheltenham ze skupiskami pokrytych strzechą domów, wiejskimi błoniami i wieżą kościoła.

Ryan objął ją ramieniem i pokazał palcem na dolinę.

- To są Malvern Hills. To właśnie stąd pochodzi Malvern Water, którą pijesz tak łapczywie.

Szmer dochodzący z krzaków odwrócił ich uwagę od panoramy. Przedzierając się niezdarnie przez gąszcz w pogoni za świstunką zielonawą, Iggy zakłóciła spokój gromadzie cętkowanych leśnych motyli i parze budujących gniazdo ptaków.

- Chodź tutaj, Iggy - zawołał Ryan. - Nigdy nie złapiesz ptaka. Jesteś zbyt niezdarna.

Potyając się o leżące na ziemi gałęzie, świnka wydostała się z krzaków, węsząc dookoła i machając ogonem. Ryan zwrócił się do Lauren:

- To dobre dla Iggy. Rzadko wychodzi z domu.

Kiedy z powrotem znaleźli się na drodze, przejechali przez wiejską okolicę, aż dotarli do Bourton - on - the - Water.

- Nazywają to miejsce „Wenecją Cotswolds” - odezwał się Ryan.



Przez krótką chwilę porównywał ją z nędzą i brudem Venice w Kalifornii, gdzie się wychował. Nie było żadnego podobieństwa. Rzeka Windrush dzieliła wioskę na dwie części. Leniwie omijała chaty z kamiennymi dachówkami i domy w stylu elżbietańskim z drewnianymi obramowaniami drzwi i okien. W równych odstępach zawieszono nad wąską rzeką mosty z poręczami po obu stronach. Wokół nich znajdowały się dogodne miejsca do urządzania pikników, a dzieci miały możliwość taplania się w wodzie. Dobrze utrzymane ogrody chełpiły się purpurą i innymi mniej intensywnymi kolorami różnorodnych, często egzotycznych, wczesnych odmian orchidei.

Ryan zaparkował astona - martina przed kamiennym budynkiem z niebieskimi drzwiami. Zanim zdążył wysiąść, ze środka wybiegła pulchna kobieta, wycierając ręce w fartuch. Ryan serdecznie ją uściskał. Lauren tymczasem wydostała się z samochodu i postawiła Iggy na wybrukowanej ziemi.

- Ciociu Tillie - odezwał się Ryan - to jest Lauren Winthrop.

Uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła dłoń do powitania. Lauren natychmiast zrozumiała, że jej obawy, iż ciotka Tillie może jej nie polubić, okazały się nieuzasadnione. Kiedy zalała ją potokiem słów na powitanie, Lauren wiedziała już, że ciotka Tillie polubi każdego, kogo lubi Ryan.

Iggy biegała po podwórku, obwąchując wszystko dookoła, podczas gdy Ryan i Lauren wnosili do środka prezenty. Przyozdobiony antykami z angielskiej sosny i wystawną porcelaną z Coalport, dom miał w sobie ciepło nie spotykane gdzie indziej, jak tylko w Anglii.

- Co powiedział lekarz? - zapytał Ryan, sadzając ciotkę Tillie i wręczając jej portret.

- To wrzód. Nic więcej. Nie ma się czym martwić. Uśmiechając się do Lauren, odpakowała pierwszy prezent i dodała:

- Miałam trochę kłopotów z brzuchem i Ryan zmusił mnie do pójścia do lekarza.

Wzorzysty parasol, który ujrzała w pudełku, sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu. A później kamea, papier listowy firmy Smythsons, zestaw konfiturowy ze sklepu Fortnum Mason, mieszanka korzenno - ziołowa z Colefax Fowler, obrus z General Trading Company, pokryta lakierem szkatułka z Eximiousa oraz kapelusz z pofałdowanym rondem ze sklepu Philipa Somerville. Jednakże gwoździem programu były perfumy o zapachu gardenii ze sklepu Penhaligon. Iggy powąchała je tylko raz, po czym przewróciła się, udając nieżywą.

- Myślę, że woli Penhaligon's Bluebells - żartowała Lauren. - Skoro już tam poszedłeś, mogłeś dla niej coś kupić.

Ryan mrugnął do ciotki Tillie.

- Nie ma mowy. To ty jej obiecałaś.

- W porządku - Lauren połaskotała świnkę po jej miękkim brzuchu. Iggy natychmiast ożyła.

- Przyniosę ci Bluebells. Będą pasowały do... - przerwała, aby nie powiedzieć „wesolej wdowy”.

Kiedy obudzili się dzisiaj rano, Iggy spała głębokim snem, leżąc na tym przeklętym gorsecie, z czarną atlasową podwiązką w zębach.

- Uwielbiam Iggy - powiedziała ciotka Tillie. - Zapisalam się u hodowcy na listę oczekujących na takie świnki. Kiedy Ryan przywiózł ją tu po raz pierwszy, myślałam, że będzie brzydko pachnieć albo że będzie miała pchły, ale Iggy jest czystsza niż kot.

- Takie świnki nie mają pcheł? - zapytała Lauren.

- Nie. Jest w ich skórze coś takiego, czego psy nie lubią  
- Ryan pogładził miękką sierść Iggy. - Są idealnymi zwierzętami domowymi. Bardziej inteligentne od psów i łatwiejsze do utrzymania. Mają węch dużo bardziej wrażliwy od psów gończych.

- Jesteście gotowi, aby coś przekąsić? - zapytała ciotka Tillie.

Okazało się, że przekąska składała się z ogromnej zapiekanki w głębokim naczyniu, mięsa z młodego jagnięcia z przyprawami ziołowymi, gorącego chleba posypanego koperkiem i młodych warzyw w majeranku.

- Czy lubisz gotować? - ciotka Tillie spytała Lauren.

- Bardzo. Teraz nie mam czasu, ale mam nadzieję, że wkrótce będę miała. Chciałabym dostać przepis na tę cudowną zapiekankę. Nigdy lepszej nie jadłam.

Ryan uśmiechnął się, kiedy ciotka Tillie powiedziała:

- Dostałam ten przepis przed wielu laty od matki Ryana. Można jeszcze dodać filiżankę kwaśnej śmietany na puree z ziemniaków.

Wszystko było tak smaczne, że Lauren zjadła zbyt dużo i nie miała już miejsca na kompot ze świeżych owoców i biszkopty w winie, które ciotka Tillie upiekła rano. Kiedy Ryan zaproponował, aby wybrali się na spacer wzdłuż rzeki, Lauren chętnie na to przystała, pragnąc w pełni wykorzystać ten jeden dzień poza miastem.

Utrzymywała się piękna pogoda. Powietrze było niezwykle przejrzyste i dzień oślepił swoją jasnością. Wiosną, kiedy deszcz mógł zastąpić słońce w ciągu kilku minut, było to zjawisko wyjątkowe. Z niezdarnie wlokącą się z tyłu Iggy, ciotka Tillie, Lauren i Ryan spacerowali przylegającą do rzeki dróżką. Woda w płytkiej rzece była pomarszczona od chmary owadów uderzających o jej

powierzchnię. Po chwili otoczyła ich duża grupa dzieci. Zasypały ich tysiącem pytań na temat Iggy.

Kiedy okrążyli wioskę, ciotka Tillie poprowadziła ich do domu na skróty. Zostawiwszy za sobą malowniczą rzeczkę, podążyli w dół wąskiej bocznej uliczki. Zbliżyli się do walącego się domu z gołębnikiem w zachwaszczonym frontowym ogrodzie. Setki gołębi gnieździły się w drewnianej budzie, wokół której ziemia upstrzona była ich odchodami. Iggy wciągnęła powietrze, po chwili zakwicziała i podbiegła do Lauren, aby się schować za jej spódnicą.

- Jak ci się podoba? - zapytała ciotka Ryana.

- To gów... Myślę, że to największa kupa nawozu, jaką kiedykolwiek widziałem w granicach miasta.

Lauren stłumiła śmiech. Iggy tymczasem z zadowoleniem obwąchiwała jej kostkę. Lauren mogłaby się założyć o cokolwiek, że ciotka Tillie nigdy nie słyszała, jak jej „chłopiec” przeklina.

- Rada miejska próbuje się tym zająć - ciotka Tillie pokręciła głową.

Resztę popołudnia spędzili na luźnej rozmowie, podczas której kosztowali niezliczoną ilość łakoci, które ciotka Tillie przyniosła z kuchni. Mimo że była pełna entuzjazmu i ciągle uśmiechnięta - szczególnie dla Ryana - Lauren zauważyła, że ciotka Tillie wygląda na zmęczoną. Po skończonym podwieczorku Lauren uparła się, aby pozmywać naczynia. Kiedy skończyła, wróciła do salonu. Ryan siedział na kanapie obok ciotki.

- Będziemy musieli wracać - powiedział, kiedy zobaczył Lauren.

Ciotka Tillie zerwała się.

- Poczekajcie. Mam coś dla was.

Po kilku minutach wróciła z koszykiem z Fortnum Mason.

- Upiekłam dla was kilka dobrych rzeczy. Ryan objął ją i pocałował w oba policzki.

- To było wspaniałe. Zadzwoń do ciebie pod koniec tygodnia.

- Dziękuję za przyjęcie i mnie - powiedziała Lauren - i za przepisy.

- Bądź dobra dla mojego chłopca, słyszysz?

Kiedy wyszli na zewnątrz, słońce na horyzoncie wyglądało jak złota aureola. Zapadał zmierzch, rzucający na ziemię purpurowe cienie. Zapowiadało się jednak na ciepłą i bezchmurną noc, wypełnioną nieustannym zapachem kwiatów. Pierwszy chór żab radosnym rechotem wyśpiewywał wiosenną kołysankę. Na murze nie opodal domu, na tle szarego kamienia, niewielkie punkciki połyskiwały jak struny miniaturowych świateł.

- Połyskujące robaki. Żywią się ślimakami - wyjaśnił Ryan. - O tej porze są tu wszędzie.

Lauren zajęła miejsce w astone - martinie. Bardzo nie chciała opuszczać piękna i spokoju Cotswolds. Ryan wsiadł do samochodu i postawił koszyk na tylnym siedzeniu, podczas gdy Iggy wskoczyła Lauren na kolana. Ryan pochylił się w stronę Lauren i delikatnie ją pocałował.

- Dzięki, że byłeś tak miła dla ciotki Tillie. Dzięki tobie to był jej dzień.

- Ty to sprawiłeś. „Bądź dobra dla mojego chłopca”.

Daję słowo, nieźle ją kiwasz. Gdyby słyszała, jak ty mówisz naprawdę, to...

- Nie miałyby to znaczenia. Była zakochana w bracie mojej matki - Garcie. Wyglądam dokładnie tak jak on. Kochałaby mnie niezależnie od wszystkiego.

- Dlaczego się nie pobrali?

- Zginął na wojnie. Nigdy tego nie przeboleła.

Lauren zamknęła na chwilę oczy. Próbowała wyobrazić sobie ból ciotki Tillie i lata samotności. Przeznaczeniem niektórych mężczyzn jest bycie kochanym na zawsze.

- Gdyby coś stało się z tobą, też bym tego nie przeboleła. Nie ukrywając już dłużej uczuć - tak jak kiedyś - powiedziała mu to, co pragnęła powiedzieć od dawna:

- Kocham cię.

Dziura Truposza miała reputację najzimniejszego miejsca w Anglii. Z tego lodowatego punktu na Tower Bridge wrzucano do Tamizy ludzkie zwłoki po odbyciu kary w krwawej wieży. Nawet tego wiosennego dnia było tu zimniej niż gdziekolwiek indziej w Londynie.

- Co się dzieje z Lauren Winthrop? - Peter Stirling zażądał wyjaśnień.

Przygotowany na takie pytanie, Ryan wzruszył ramionami. Spotykanie się z Lauren właśnie teraz nie leżało w jego interesie. Utrzymywanie instynktów na wodzy było nakazem chwili. Można się było spodziewać, że Barzan wkrótce zaatakuje.

- Pochowałem już wystarczająco dużo lekkomyślnych osób. Czy chcesz do nich dołączyć? Pozbądź się jej, zanim wszystko popsujesz.

- W porządku - Ryan zgodził się niechętnie.

W jaki sposób miałyby to zrobić? Co jej powiedzieć? Skłamać? Mógłby poprosić ją, żeby czekała, ale to może potrwać kolejne trzy lata. Nie byłoby to uczciwe. Jeżeli wszystko ułoży się pomyślnie, mógłby do niej wrócić, a ona by zrozumiała. Lecz czy na pewno?

- Czy odkryliście, kto założył u niej podsłuch?

- Nie - Stirling zapalił fajkę. - Przeczesałiśmy galerię i wydawnictwo Ravissant, a także mieszkanie Makarowa. W żadnym z tych miejsc nie ma pluskiew. Można by przypuszczać, że ktoś, kto planował wydrukowanie fałszywych reprodukcji, założyłby podsłuch przynajmniej w budynku wydawnictwa.

- A co z tym prawnikiem, z którym się kiedyś spotykała - Grantem Fraserem?

- Nic. Jest tu w towarzystwie ubezpieczeniowym Lloyda. Przygotowuje oskarżenie przeciw Pan Amowi w związku z

katastrofą w Lockerbie. Odszkodowaniom nie będzie końca. Wróci wkrótce do Stanów, aby wytoczyć sprawę.

Stirling zaciągnął się dymem z fajki, po czym dodał:

- Sprawdziliśmy nawet Paula - brata Lauren. I nic.

- Rupert Armstrong - Ryan rzucił instynktownie, a następnie opowiedział Stirlingowi o przemyśle kości słoniowej.

- Wiemy o tym i od kilku lat mamy go na oku. Tak czy inaczej, co wspólnego mogłoby to mieć z Lauren Winthrop?

Ryan zawahał się. Lauren odkryła przed nim najbardziej osobiste przeżycia, zakładając, że nikomu ich nie zdradzi. Czy miał prawo informować o tym brytyjski wywiad, narażając się na utratę jej zaufania? Doszedł do wniosku, że ma takie prawo. Jej życie może być w niebezpieczeństwie.

Streściwszy pełne udręki przeżycia, o których Lauren mu opowiedziała, Ryan dodał:

- Sądzę, że Armstrong jest wystarczająco podłym łajdakiem, aby chcieć jej zaszkodzić.

Stirling gwałtownie pociągnął z fajki. Jego twarz wyrażała sceptycyzm.

- Dlaczego teraz? Miał na to całe lata.

- Ponieważ teraz Lauren ma pieniądze. Znajduje się na progu, za którym jest tylko sukces. Rupert chce zemsty.

- Nie brzmi to szczególnie wiarygodnie, ale skoro i tak przyglądamy się Armstrongom, powiem chłopcom, żeby kopali nieco głębiej - Stirling wytrzepał popiół z fajki, stukając nią o barierkę na moście.

Pożegnawszy Stirlinga, Ryan wrócił do samochodu. Usiadł za kierownicą i zastanawiał się, dokąd ma się udać. Zwarte kłęby ciężkich, ołowianych chmur zapowiadały wkrótce deszcz, w przeciwnym razie poszedłby pobiegać po Hyde Parku, aby wszystko przemyśleć. Nie chciał spędzać popołudnia w Greyburne Manor, gdzie nie miałby się do kogo



odezwać. Miejsce to przypominało grobowiec. Piekielnie przygnębiające z tymi wszystkimi zwisającymi ze ścian obrazami, makabrycznym świadectwem przeszłości. Włączył silnik i postanowił udać się z wizytą do mieszkającego w pobliżu Irka Makarowa. Kiedy wchodził do budynku, wyłonił się stamtąd Finley Tibbetts.

- Dzień dobry - powiedział Tibbetts swoim uprzejmym, towarzyskim tonem, w którym zawsze można było wyczytać fałsz.

Ryan skinął głową i wszedł do środka. Przeszedł obok windy i skierował się na schody. Kiedy zapukał do drzwi, Irek otworzył natychmiast.

- Ryan - Irek klepnął go po plecach. - Miło cię widzieć.

- Czy był tu Finley Tibbetts? - zapytał, wchodząc do środka.

- Udzielam mu wywiadu.

- Naprawdę?

Zdumiało to Ryana. Wydawało mu się, że zgodnie z planem mieli trzymać Irka w ukryciu aż do czasu wystawy.

- Lauren to zorganizowała. Mówiłem dokładnie, jak mówi dr Digsby. Finely i ja jesteśmy teraz przyjaciółmi.

- Rozumiem - odrzekł Ryan, lecz nie potrafił sobie wyobrazić, żeby „Finely”, na którym robiły wrażenie jedynie przepych i funty, mógł lubić Irka.

- Czy przyszedłeś z jakiegoś szczególnego powodu?

- Byłem ciekaw, czy chcesz może wybrać się na lunch.

Irek wyjrzał przez wysokie na całą ścianę okna z widokiem na Tamizę. Deszcz uderzał o cynowołowianą powierzchnię wody, a grzywiaste fale unoszące pianę ku niebu świadczyły o tym, że zerwał się wiatr. Wstrętny dzień. Odpowiedni do nastroju Ryana.

- Przygotuję dla nas lunch - uśmiechnął się szeroko Irek. - Mam jedzenie, które zostało po wczorajszej kolacji. Robimy dużo dużo więcej, niż jemy.

Ryan podążył za Irkiem do niewielkiej kuchni. Kiedy Irek opowiadał o tym, jak on i Vora uczą się gotować, Ryan rozejrzał się wokół. Leighton z pewnością wywarła wpływ na wygląd mieszkania. Zniknęło kilka zupełnie pozbawionych smaku przedmiotów, które przykuły uwagę Irka, kiedy Ryan zabrał go kiedyś na zakupy. Miał jednak na ręku kolejny zegarek. Tym razem był to podrabiany Rolex. Makarow nadal myślał po swojemu.

Irek podał resztki potrawki z zająca oraz okazałej wielkości półmisek z aniołem morskim, a także pół butelki Wiltshire Stitchcombe - rocznik 84. Jedzenie było wyśmienite, lecz Ryan spostrzegł, że rozmowa z Irkiem wywołuje u niego przygnębienie. Rosjaninowi ze szczęścia nie zamykały się usta, kiedy opowiadał o Vorze. O nauce gotowania. O wypadach za miasto. O przedzieraniu się przez małe malownicze jeziora w krainie jezior. O tych wszystkich sprawach, za które Ryan oddałby wszystko, byle tylko móc ich doświadczać z Lauren.

Ryan popatrzył na zegarek. Lauren powinna być teraz na lotnisku. Jej brat przyjeżdżał na tydzień przed otwarciem wystawy, aby zobaczyć kilka miejsc w Londynie. Jakżeby mógł odrzucić kobietę, która powierzyła mu najbardziej osobiste tajemnice? Kobietę, która go kocha.

Ból samotności, który w nim tkwił w ciągu kilku ostatnich lat, odezwał się z całą siłą. Gdyby mógł teraz zawrócić, oddałby wszystko, co posiadał, żeby tylko udało mu się z Lauren. Tylko jedna osoba mogłaby zmusić go do tego, aby ją zranił.

Jego własny ojciec.

Uśmiechając się do Lauren, Paul kroczył korytarzem prowadzącym z samolotu. Na rękach niósł małego chłopca. Obok niego szła niska kobieta ze śpiącą w jej ramionach dziewczynką. Z zastygłym uśmiechem na ustach Lauren przyglądała się kobiecie. Pożar nieujarzmionych włosów okalał jej twarz w kształcie serca, kłócąc się z pomarańczowym mumu okalającym jej pulchną sylwetkę. Nie mogła to być Geeta Hespeth. Żona Paula, Marcy - posągowa brunetka - była niegdyś pierwszą modelką Claude'a Montany, kiedy mieszkali w Paryżu. Każda kobieta, z którą Paul się dotychczas stykał, była szczupłą, uderzającą pięknnością.

Kiedy zbliżyli się do Lauren, Paul postawił chłopca na ziemi i serdecznie uściskał siostrę.

- Boże, jakże się cieszę, że cię widzę. Stęskniłem się za tobą.

Zwrócił się do kobiety:

- Kochanie, to jest Lauren.

- Cześć. Jestem Geeta - uśmiechnęła się ciepło i serdecznie.

Wskazała na chłopca i dodała:

- A to Demi - zdrobniale od Demitri. I Monique.

- Ba... bardzo podobają mi się twoje prace. Kiedy twoje szklane rzeźby wystawiono w Met, poszłam je obejrzeć trzy razy.

Lauren zdawała sobie sprawę, że papie, ale nie wiedziała, jak ma się zachować wobec kobiety, która zdobyła serce jej brata. Geeta zarumieniła się i popatrzyła na Paula. Sprawiała wrażenie nieśmiałej. Czyżby nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest sławna?

Monique pociągnęła Paula za nogawkę od spodni.

- Muszę się iść wysikać.

Zanim zaprowadzili dzieci do toalety, odebrali bagaż i umieścili go w limuzynie, którą Lauren wynajęła na czas ich

pobytu, było już ciemno. Intensywny deszcz ustąpił miejsca łagodnej wiosennej mżawce.

Tabatha przywitała ich w drzwiach wejściowych do mieszkania, po czym wysłała Jeevesa i kierowcę, aby zanieśli bagaże do pokoi gościnnych. Jak dwa ludki, bawiące się w „niszczonego”, dzieci puściły się pędem po mieszkaniu, zaglądając do każdej szuflady i otwierając wszystkie szafy. W ciągu mniej niż dziesięciu minut na każdym z luster widniały odciski palców.

- Zaraz się uspokoją - Paul zapewnił Lauren. W tym czasie Geeta powędrowała do łazienki, aby wziąć kąpiel, a później zdrzemnąć się nieco przed kolacją. - Gdzie jest telewizor?

- W gabinecie - odpowiedziała Lauren, niezwykle zdziwiona tym, jak bardzo Paul jest opanowany w stosunku do tych małych potworów.

- Włącz go, posadź je tam i módl się, żeby wszystko było w porządku.

Lauren zaprowadziła dzieci do gabinetu. Przeskakując pilotem z kanału na kanał, Demi sprzeczał się z siostrą o to, co będą oglądać. Lauren i Paul niepostrzeżenie wymknęli się z pokoju.

- Wyglądasz na szczęśliwą - stwierdził Paul - ale czy jesteś?

- Pojawił się ten wspaniały człowiek. Ja...

- Grant? Kiedy zadzwonił po twój adres, przypuszczałem, że wrócicie do siebie.

- Nie, nie Grant - odparła Lauren prowadząc go korytarzem do pracowni. Zatrzymała się dopiero na wprost portretu. - Ryan Westcott.

Paul przez chwilę przyglądał mu się uważnie.

- Wygląda na nieco srogiego.

- Ale taki nie jest. Jest bardzo łagodny. Dokładnie przyjrzał się jej pracy.

- Trafiłaś na swój styl, Lauren. Bardzo poprawiłaś technikę. Czy to wszystko, co zrobiłaś?

- Tak. Ostatnio jestem okropnie zajęta. Namaluję coś jeszcze, jak tylko będę miała trochę więcej wolnego czasu.

Paul obejrzał płótno.

- Nie chciałbym krytykować, ale grunt jest chyba nieco zbyt gruby. Błyszczący się.

Lauren położyła palec na ustach.

- Tabatha ofiarowała mi płótno. Pochodzi najprawdopodobniej ze sklepu z przecenionymi artykułami. Nie chciałam zranić jej uczuć, nie korzystając z niego.

Paul skinął głową, patrząc na portret w zamyśleniu.

- Kochasz go, prawda?

- Bardzo. Jest zupełnie inny od tych mężczyzn, z którymi mnie widywałeś.

- Tak jak Geeta - Paul objął Lauren ramieniem. - W niczym nie przypomina Marcy, a jednak bardzo ją kocham. Niczym się nie zraża. Co ma się stać, to stanie się i tak.

Lauren uściskała go ze zrozumieniem. Mimo że niezwykle kochał Marcy, ambicja, która nią kierowała, wcale mu nie pomogła. Porzucił uwielbianą przez siebie pracę fotografa i zatrudnił się w charakterze dyrektora artystycznego towarzystwa reklamowego w Nowym Jorku. Wyjechał z Paryża, żeby zadowolić Marcy, ale tak jak jego ojcu, towarzystwo na wysokim szczeblu nigdy mu nie odpowiadało.

- Lauren - zawołała Tabatha przez drzwi do pracowni. - Pan Westcott jest w hallu.

- Powiedz mu, żeby wszedł na górę.

Lauren uściskała Paula. - Umieram z niecierpliwości, żebyś go poznał. Powiedziałam mu o wszystkim. Także o tym, co dotyczy nas.

- Powiedziała mu, że jesteś w domu. Mówi, żebyś do niego zeszła - odkrzyknęła Tabatha..

- Zaraz wracam - oznajmiła Lauren Paulowi. - Przyprawdzą Ryana na górę, abyś go poznał.

Gdy mijala gabinet, zastanowiła ją panująca w nim niezwykła cisza. Zajrzała ukradkiem do środka. Dzieci oglądały transmitowany z Paryża jeden z programów telewizji satelitarnej. Aktorzy byli nadzy. Dała Tabacie znak, aby poszła po Paula, po czym sama zbiegła do hallu schodami dla służby. Odwrócony do niej tyłem Ryan czekał ze wzrokiem utkwionym w plac.

- Dlaczego czekasz tu na dole? Chcę, żebyś wszedł na górę i poznał mojego brata - powiedziała, lecz kiedy się odwrócił, uśmiech zastygł jej na ustach. Stało się coś okropnego.

- Chcę porozmawiać z tobą na osobności. Chodźmy się przejść.

Szła obok niego pełna nie nazwanych lęków. Zbliżali się do ambasady amerykańskiej.

- Co się stało?

Zatrzymał się i utkwiał w niej zimne zielone oczy.

- Chodzi o nas. Nie pasujemy do siebie. To się nie układa.

- A... ale... - Nie mógł przecież tak myśleć. Mieli za sobą wspaniałą weekend. Czyż nie tak?

- Znajdź sobie miłego faceta, który będzie cię kochał. Ale nie mnie. Muszę mieć swoją wolność.

- Daj mi szansę - opuściła szybko rzęsy, aby ukryć to, że czuje się niezwykle dotknięta. Czy to wszystko było jedynie wytworem jej wyobraźni? Ich zespolenie? Zgodność ze sobą? Czyżby stała się ofiarą własnego ukrywanego długo uczucia? Najwidoczniej tak właśnie było.

Wyraz jego twarzy złagodniał na chwilę, lecz za moment stał się znowu zimny i nieprzystępny. Odwrócił się do niej plecami i odszedł w ciemną noc.

Chrupiąc kawałek zbyt mocno przypieczonego kurczaka z restauracji Drumsti, specjalizującej się w potrawach na wynos, Peter Stirling dokonał w pamięci oceny wstępnych doniesień na temat Ruperta Armstronga. Niejasna postać. Niski, monotony dźwięk dochodzący z przeciwległej strony pokoju zwrócił jego uwagę. Fax właśnie wypluwał z siebie wiadomość. To z pewnością Julia Hartley; nikt inny nie znał tego numeru. Na wysuniętej z urządzenia kartce papieru widniał tylko jeden wyraz: Intrepid.

Peter upuścił kostkę na podłogę i klasnął w dłonie. Julia odkryła hasło do systemu komputerowego Barzana. Miała teraz wgląd w jego księgi finansowe. Teraz to jedynie kwestia czasu, zanim władze amerykańskie oskarżą go o unikanie płacenia podatków. Tani numer, lecz Petera to nie wzruszało. W ten sposób wpadł przecież Al Capone, czyż nie? Kiedy Barzan zniknie z horyzontu, zatrzyma to napływ do Anglii znacznej części kokainy.

Peter wolałby wytoczyć mu proces tutaj w Anglii za usiłowanie morderstwa, co pociągnęłoby za sobą bardziej surowy wyrok. Wyglądało jednak na to, że w obecnej chwili to się nie powiedzie. Szkoda. Nie wspominając już o kilku latach poświęconych tej sprawie, MI - 5 wydał mnóstwo pieniędzy, aby skonstruować wymyślną pułapkę na Barzana.

Peter starannie złożył kartkę papieru. Intrepid. Pseudonim zmarłego Sir Williama Stephensona, sławnego asa lotnictwa z czasów pierwszej wojny światowej, który położył podwaliny pod działalność brytyjskiego wywiadu i uczynił go bardziej skutecznym od wywiadu wrogów Anglii. Stary poczciwy Intrepid byłby teraz dumny. Amerykanie, Francuzi, Niemcy, a

nawet Izraelczycy od lat polowali na Carlosa Barzana. Ale to im - Brytyjczykom - udało się rozgryźć tę sprawę.

Nie tak szybko. Peter przypomniał sobie, że prawdę mówiąc, było w tej sprawie zbyt wiele pomyłek. Kiedy ostatnim razem David Marcus odwiedził Londyn, w ostatniej chwili zmienił pokoje i ludzie Stirlinga nie byli w stanie zareagować wystarczająco szybko, aby znaleźć się w pokoju sąsiednim. Widzieli wchodzącą na górę blondynkę, która nie zeszła jednak na dół, co było oczywiście niedorzeczne. Kiedy Marcus wróci do Londynu w przyszłym tygodniu, hotel Brown będzie obstawiony. Tym razem blondynce nie uda się wymknąć w sposób nie zauważony.

Peter walczył z pokusą, aby zadzwonić do Westcotta i przekazać mu pomyslną wiadomość - jednak zdecydował się tego nie czynić. Być może będzie go jeszcze potrzebował w odwodzie. Lata pracy w wywiadzie nauczyły go ostrożności. Przygotowywana pułapka była pomysłem Westcotta, który był przekonany, że Barzan jeszcze raz zaatakuje T.J. Ryan był cierpliwy przez pełne trzy lata. A teraz już kolejny, czwarty rok. Kilka dodatkowych dni nie powinno stanowić dla niego większej różnicy.

Lauren leżała w łóżku, powtarzając sobie, że musi zasnąć. Nie potrafiła. Przeżywała w myślach chwile, które spędziła z Ryanem. Zależało mu na niej; była tego pewna. Skąd więc ta nagła zmiana?

Delikatne pukanie do drzwi przerwało tok jej myśli. Wstała, aby otworzyć.

Do pokoju wszedł Paul.

- Nie spałaś - powiedział. Kiedy pokręciła głową, ciągnął:
- Chcesz o tym porozmawiać?

Ponownie pokręciła przecząco głową. Cóż było do powiedzenia?

- Miałaś sprzeczkę z Ryanem?



- Tak - przyznała niechętnie. - Właściwie nie była to sprzeczka. On nie chce mnie więcej widzieć.

Jak dobrze było mieć Paula z powrotem przy sobie i móc z nim porozmawiać. Dopiero po chwili zorientowała się, że wylewa przed nim serce, opowiadając mu o wszystkim, co dotyczyło Ryana, począwszy od pierwszego spotkania w galerii aż do finału, który miał miejsce dzisiaj wieczorem.

- Jakoś go zawiodłam - powiedziała na zakończenie relacji.

- Przestań. Nikogo nie zawiodłaś. Nie obwiniaj siebie. Pamiętaj o tym, co powiedział dr Renault.

Minęły lata od chwili, kiedy ostatnio widziała się z psychiatrą, lecz jego słowa nadal dźwięczały jej w uszach. To nie twoja wina. Wtedy przed laty obwiniała samą siebie za zachowanie Ruperta. Nie miała dla siebie żadnego szacunku. „Typowy przypadek wykorzystywanego seksualnie dziecka” - zapewnił ją lekarz.

- To nie moja wina - powiedziała Lauren, a Paul uśmiechnął się zachęcająco. - Zrobiłam, co mogłam.

- Jeśli chcesz wiedzieć, co o tym sędzę, Ryan wygląda jak prawdziwy szaleniec. Bez niego będzie ci lepiej, dziecinko.

Lauren powątpiewała w to, lecz nic nie powiedziała.

- Mam dla ciebie wiadomość, która cię pocieszy - uśmiechnął się szeroko. - Na początku przyszłego miesiąca otwieram galerię.

- Naprawdę? Czy Geeta pożycza ci pieniądze?

- Nie. Kiedy wystawiano jej prace w galerii Nedry Matteuchi w Santa Fe, spotkałem tam pewnego człowieka. Przedyskutowałem z nim możliwość otwarcia galerii fotograficznej. Zaproponował, że zostanie moim współnikiem.

Poczuła, jak zamiera jej serce.

- Kto to?

- Carlos Barzan.

Vora przeszła do łazienki na palcach i cicho zamknęła za sobą drzwi. Wyglądało na to, że musi siusiać co godzinę. Jej wrażliwy żołądek zachowywał się tak, jak na karuzeli. Litości. Skąd jej to kiedykolwiek przyszło do głowy, że chciałaby być w ciąży? Założyła na siebie jedwabny szlafrok i weszła do kuchni. Żaluzje były odsunięte i fiołkoworóżowe światło kolejnego jasnego wiosennego świtu oświetlało kuchnię na tyle, że bez kłopotów mogła zobaczyć czajnik. Nalała do niego wody i sięgnęła po pudełko z Lapsang Souchong.

Kiedy dr Osgood powiedział jej, że jest w ciąży, wydawało się to niemożliwe. Ona i Archer tak bardzo starali się, aby mieć dziecko. Nic się nie udawało. Teraz, kiedy wcale tego nie pragnęła, zaszła w ciążę. Oczywiście, Irek się z nią ożeni. Ale jak będzie czuł się później? Czy nadal będzie się nią interesował, kiedy będzie mógł wybierać z tłumu otaczających go kobiet? Czy porzuci ją jak Clive?

Nękana wątpliwościami, otworzyła drzwi, żeby zabrać spod nich „Timesa”. Kiedy przebiegała po nagłówkach na pierwszej stronie, czajnik gwizdem zwrócił na siebie uwagę. Vora pośpieszyła, aby zdążyć go uciszyć, zanim Irek się obudzi. Nalała wrzątek do filiżanki, którą przyniosła z domu. Po chwili wróciła do „Timesa” i zajęła się kolumną Finleya. Przeczytała ją dwukrotnie, za drugim razem przez łyżę zamazując jej obraz. Pochwyciła prywatny notatnik z numerami telefonicznymi.

Dr Digsby podniósł słuchawkę już po pierwszym sygnale.

- Vora Leighton, doktorze. Widział pan „Timesa”?

- Oczywiście. Proszę się nie martwić. Bóg zaopiekuje się panem Tibbettsem.

Vora z trzaskiem położyła słuchawkę. Ten człowiek był prawdziwym świrem. W jaki sposób, jego zdaniem, Irek miał przejść do porządku dziennego nad jadowitą recenzją, w której

został nazwany „służalczym bolszewikiem z artystycznymi pretensjami”?

- Vora, wracaj do łóżka.

Schowała gazetę pod zbierane przez Irka broszury o sprzedaży samochodów porsche.

- Powiem temu łajdakowi, żeby poszedł do diabła.

- Lauren, proszę, nie rób tego. To jedynie pogorszy sprawę - Vora popatrzyła za siebie na Irka, który w przeciwległej części sali wystawowej rozmawiał właśnie z Tabathą Foley.

- Nie pozwolę, żeby Finleyowi uszło to na sucho. Dał mi swoje słowo, że nie opublikuje o Irku żadnej informacji przed otwarciem.

Lauren popatrzyła na zegarek; oficjalne otwarcie wystawy miało nastąpić za dwadzieścia minut.

- Postaraj się, żeby Irek był odprężony. Poprawię nieco oświetlenie.

Po raz piąty tego wieczoru Lauren sprawdzała ustawienie świateł. Przespacerowała się po głównej sali, a następnie po przylegającym do niej nieco mniejszym pomieszczeniu. Zostanie sławnym artystą, to przeznaczenie Irka - zapewniła sobie jeszcze raz. Na przekór Finleyowi Tibbettsowi.

Zatrzymała się pośrodku mniejszej sali, gdzie wystawiono wykonaną przez Tabathę figurkę z przezroczystej porcelany. Dwa umieszczone ponad nią reflektory podkreślały delikatność jej linii i subtelne połączenie kolorów.

- Bardzo lubię pana Makarowa - powiedziała Tabathą, stając za plecami Lauren.

Lauren uśmiechnęła się, widząc, że Tabatha jest zadowolona. Tuż przed wystawą Lauren zabrała ją do Basila, który zmienił jej uczesanie. Opadające luźno pasemka okalały jej twarz i łagodziły linię nosa. Basil zastosował płukanek, która nadała jej rdzawym lokom ognisty połysk.

Na otwarciu wystawy Miss Marple od Harrodsa wybrała dla niej szyfonową suknię w kolorze brzoskwińowym. Pozbawiona ramiączek górna jej część nie starała się ukryć olbrzymich piersi. Wprost przeciwnie - stały wyprostowane

jak dwa bliźniacze pistolety automatyczne Uzi. Osobiście Lauren wydawało się, że sukienka jest nieco zbyt poważna dla Tabathy. Niezależnie jednak od tego Tabatha wyglądała w niej ślicznie.

- Nigdy nie widziałam obrazu tak pięknego jak „Velma Liubov”. Dlaczego nie chce go sprzedać?

- Jestem pewna, że Velma przedstawia dla niego szczególną wartość.

Z miejsca, w którym stała, Lauren bez trudu mogła obserwować Irka. Jego oczy wyśpiewywały arie miłosne do stojącej obok Vory. Miała na sobie oryginalną kreację Anthony'ego Price'a, ze sztywnego jedwabiu w kolorze mchu, a drobne perły w tonacji ciemnej zieleni, dopasowane kolorystycznie do jej kasztanowych włosów, wydobywały z jej oczu złote błyski. Lauren zdała sobie sprawę, że nawet spostrzegawcza Tabatha nie rozpoznała w Velmie Vory. Tajemnicę powinny zdradzić piegi, jednakże styl Irka był na tyle impresjonistyczny, że dokładna identyfikacja postaci była prawie niemożliwa.

- Stań obok „Perfekcji” i przedstawiaj się gościom. Pamiętaj, o czym ci mówiłam. Miej oko na dziennikarzy z „Apolla”, „Connoisseur”, „Art and Antiques” i z gazet lokalnych. Będę tu zaglądać tak często, jak to tylko możliwe, aby zobaczyć, jak sobie radzisz.

Zostawiwszy Tabathę, Lauren weszła do głównej sali. Wśród pierwszych przybyłych gości znajdował się David Marcus. Zeszła schodami na dół, aby nie być zmuszoną do rozmowy z asystentem Barzana. Po tym, jak udało jej się zwieść Davida w sprawie kontraktu, chciała dziś wieczorem uniknąć z nim konfrontacji.

Na dole kucharze przyozdabiali półmiski z serem, kroili mięso na kawałki i układali je w wymyślnych foremkach z lodem, podczas gdy przygotowane wcześniej porcje

podgrzewano w przenośnych piekarnikach. Sally Clark zasługiwała na medal. Udało jej się dokonać transformacji ograniczonego do sera menu w dzieło sztuki. Jakim powodzeniem będzie się cieszył Tanqueray Silver, tego Lauren nie była pewna. Bar dysponował wszystkimi dodatkami do wódki, jakie tylko można było sobie wyobrazić, począwszy od oliwek, a skończywszy na soku z guavy.

Zbyt późno, aby się teraz o to martwić - pomyślała. Przeszła przez pomieszczenia biurowe na wychodzące na parter schody. W połowie drogi na górę zauważyła wchodzącego do galerii Ryana Westcotta. Zaczekała, aż wejdzie. Serce забиło jej mocniej i powróciło uczucie żalu, jaki jej często towarzyszył przez ostatni tydzień. Nie dziś wieczorem. Nie masz na to czasu.

Nie mogła nie zauważyć, że Ryan ma na sobie sportową marynarkę i koszulę bez kołnierzyka. Prawdopodobnie nie chciał, aby Irek czuł się skępowany. Zgodnie z naleganiami dra Digsby'ego, Irek sam wybrał dla siebie strój na dzisiejszy wieczór. Zamiast tradycyjnego smokingu, zakładanego przez większość artystów na otwarcie wystawy swoich prac, Irek miał na sobie popielate spodnie we włoskim stylu, z fałdami poniżej talii i nogawkami zwązającymi się przy kostkach. Podwinięte mankiety srebrnoszarej koszuli odsłaniały zegarek z Batmanem ze świecącą tarczą. Kupiony w Hermesie pas ze złotą sprzączką był niewątpliwie wkładem Vory. Irek wyglądał przystojnie, najważniejsze jednak było to, że sprawiał wrażenie odprężonego. I szczęśliwego.

Proszę - modliła się Lauren - niech dzisiejszy wieczór przyniesie sukces. Irek już wystarczająco się nacierpiął.

- Do cholery! - Peter Stirling rzucił egzemplarz „Puncha” na kanapę. Jeśli sprawy będą się tak układać, to przed nastaniem świtu będzie mówił językiem Ryana Westcotta. Co jeszcze mogłoby spieprzyć się w tej sprawie?

W ubiegłym tygodniu Julia Hartley była gotowa, aby włamać się do systemu komputerowego Marcusa. Właśnie wtedy zaatakował ją półpasiec. Od kiedy David Marcus wyjechał za granicę, Barzan wydawał Julii rozkazy. Musiała dreptać za nim po całym Manhattanie. I tracić czas.

A teraz właśnie zadzwonił człowiek Petera. David Marcus spędził w Szwajcarii więcej czasu, niż przewidywał pierwotny plan jego podróży. Dziś wieczorem samolot z Zurychu przyleciał z opóźnieniem. Czy Marcus zameldował się w hotelu Brown, tak jak było zaplanowane? Do diabła, nie. Limuzyna odstawiła go do Savoya. Wspaniale. Ludzie Petera biegali teraz jak szaleni, aby zająć odpowiednie pozycje, podczas gdy Marcus udał się na otwarcie wystawy w Ravissancie.

Sytuacja rozwijała się pomyślnie jedynie jeśli chodzi o Ruperta Armstronga. Jego interes przynosił większe zyski niż wartość eksportowanych towarów. Ile z wykonanych przez Berberów dywanów mógł sprzedać w Anglii? Celnicy byli już przygotowani na sprawdzenie jego następnej przesyłki.

Ryan skończył wódkę z lodem - wołał jednak gin - i rozejrzał się po galerii. Gdzież, u diabła, podziela się Lauren? Opromienione sławą osobistości przybywały dziesiątkami. Lord i Lady Brocket, Rocco Forte z Trusthouse Forte, Roger Moore, Kenneth Branagh. Stadko Guinnessów. Jane

Seymour. Handlarz dziełami sztuki David Kerr z kolegą - również handlarzem - Julianem Agnew.

I kontyngent z Ameryki. Ann Getty z ciągnącym się za nią Gordonem. Barbara Guggenheim - jeszcze jedna osobistość z kręgu handlarzy dziełami sztuki. Linda de Roulet - dziedziczka fortuny Paytonów. Sprzedała „Au Lapin Agile” za blisko czterdzieści siedem milionów dolarów. Powinno wystarczyć na jeden lub dwa obrazy Makarowa i jeszcze zostałyby jej kilka funtów.

Frekwencja dopisała. Ale czy będą kupować?

Pomimo dobijającej recenzji Finleya przedstawiciele prasy podpełzli pod góry sera, żłowiąc wódkę. Czasopisma poświęcone sztuce. Zagraniczne gazety. Jonathan Meades - krytyk kulinarny z londyńskiego „Timesa” degustujący jedną z wyszukanych potraw. Facet z „Time Out” - arbiter w sprawie nowoczesnych trendów. Szmirowate brukowce. Za nimi wszystkimi ciągnęły się stada fotografów. Ekipy reporterów telewizyjnych z gotowymi do filmowania mini - kamerami. Scena była gotowa. A teraz niech ktoś coś kupi.

U wejścia do galerii Ryan ujrzał Lauren eskortującą Lady Fionę Farnsworth. Asystent wpychał jej tron na kółkach do Ravissanta. Jezu! Ryan zastanawiał się, jak określić kolor sukienki, którą Lauren miała na sobie. Najbliższy odcień lawendy, jaki tylko można sobie wyobrazić. Oplatająca jej szyję cieniutkim paskiem i zawiązywana na plecach sukienka przylegała zmysłowo do jej pełnych kształtów, podkreślając wąską talię i długie nogi. Kiedy odgarnęła do tyłu niesfornie opadający lok i roześmiała się, światło odbiło się w krystalicznym błękitcie jej oczu. Na ułamek sekundy pochwycił jej spojrzenie. Zmusił się do tego, aby momentalnie odwrócić wzrok.

Vora podbiegła do Ryana.

- Nikt jeszcze niczego nie kupił.

- Na miłość boską, jest dopiero piętnaście po dziewiątej. Prawie nikogo jeszcze tu nie ma. Odpręż się. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

Zachowanie zimnej krwi było nakazem chwili od momentu, kiedy wybuchła afera z recenzją tego kutasa Finleya. Zespolili wszystkie siły i podążyli tropem wydrukowanych i rozesłanych zaproszeń, aby jeszcze telefonicznie dotrzeć do potencjalnych gości.



- Jak Irek potrafi to wszystko tak lekko znosić? Czy wiesz, co powiedział?

Kiedy Ryan pokręcił przecząco głową, Vora ciągnęła:

- „Zek nie ma nic do stracenia”. Nic go to nie obchodzi.

Kątem oka Ryan ponownie zauważył Lauren. Rozmawiała z Jeffreyem Archerem. A raczej flirtowała.

- Co to jest zek?

- Więzień - odpowiedziała Vora, patrząc w przeciwną stronę sali. W jej wzroku można było nieomylnie wyczytać wielką miłość do Irka.

- Irek przeszedł przez piekło. Cokolwiek się dziś wydarzy, nic nie rzuci go na kolana.

- Jednak tak bardzo chciałabym, żeby odniósł sukces, na który zasługuje - Vora pomachała do kolejnego przybyłego gościa. - Jest tu też Basil.

Niski mężczyzna w białych kowbojskich butach i w wetkniętych w nie dżinsach z białego zamszu zbliżył się do nich powoli. Kowbojska koszula z białego fularu ozdobiona była muszką w kształcie maczety z widniejącym na niej turkusem wielkości pięści. Chryste Panie! Włosy stały mu dęba, jakby przed chwilą został porażony prądem. Mówił też zresztą tak, jakby nadal przepływał przez niego prąd. Każde zdanie kończył słowem „kaczuszek”.

Ryan skinął głową, kiedy Vora przedstawiła go Basilowi Blackstoke'owi, lecz patrzył na Lauren. Stała nadal przy drzwiach wejściowych, witając właśnie Lady Antonię Fraser i Harolda Pintera. Ryan nie przepadał za sztukami Pintera. Nie przeczytał także żadnej z jego rozprawek historycznych. Ale co go obchodzi, jeżeli kupią obraz.

- To Lord i Lady Glenconner - wyjaśniła Vora, kiedy Colin Tennant z żoną pojawili się w drzwiach. - Mieszkają na St. Lucia na Karaibach. On wybudował tam hotel, wiesz?

Ryan nie wiedział. I ani trochę go to nie obchodziło. Vora odpłynęła na drugą stronę, aby powitać te osobistości, a Ryan zauważył, że u boku Lauren stoi teraz Andrew Lloyd Webber. Lauren przyciągnęła prawie całą śmietankę klubu Groucho.

Gdyby teraz tylko przestali udawać ważniaków i coś kupili. Popatrzył na Irka. Stara nudziara Lady Fiona osaczyła go w rogu.

- Jak podobają ci się moje buty? - zapytał Basil. Ryan spojrzał na nogi Basila. Prawie całkowicie zapomniał już o jego obecności.

- Są z białego aligatora. Bardzo rzadkie, kaczuszko. Można je znaleźć jedynie nad brzegami Limpopo.

- Będą w porządku, jeżeli zrezygnujesz z zabijania wymierających gatunków zwierząt.

Co za nadęty gnojek. Skąd ma na to wszystko pieniądze? Czy można mieć takie dochody z szamponów i machania suszarką? Basil jeździł najlepszym rocznikiem bugatti, a ostatnio kupił mieszkanie przy Palace Green 3a, w niezwykle drogim budynku, znajdującym się w górę ulicy od Greyburne Manor. Handlujący marmurem David Goldstone dokonywał wielu spekulacji na rynku, aby go wybudować. Mieszkania szły tam za cztery miliony funtów - ponad siedem milionów dolarów.

Sporo pieniędzy jak na króla suszarek. Po chwili jednak Ryan przypomniał sobie, że Basil zajmuje się także sprzedażą produktów do pielęgnacji włosów pod nazwą „Cuda”. Obraz Lauren w „wesołej wdowie” pojawił mu się przed oczami. Kobiety płacą absurdalnie wysokie ceny za gówniane rzeczy, które wcale nie są im potrzebne. Wpływy Basila jedynie ze sprzedaży szamponu były prawdopodobnie wyższe od dochodów właścicieli większości galerii.

Spławiwszy Lorda i Lady Glenconner, Vora czekała, aż Lady Fiona przestanie rozmawiać z Irkiem. Tymczasem

rozejrzała się po wypełnionej prawie galerii. Rozpoznała wielu z byłych klientów Archera. Mieli dla niej wystarczająco dużo szacunku, aby pojawić się tutaj dziś wieczorem, skoro zostali zaproszeni. Była tym mile zaskoczona. Teraz, proszę, niechże ktoś wreszcie coś kupi.

- Proszę przedstawić nam artystę - zażądał Colin Tennant i Vora została zmuszona przyłączyć się do Irka, mimo że Lady Fiona nadal dotrzymywała mu towarzystwa.

- Czy podajecie tylko wódkę? - zapytała zrzędzącym tonem Lady Fiona, jeszcze zanim Vora zdążyła przedstawić Tennantów. - Ja gardzę wódką. Piję jedynie sherry.

- Proszę spróbować Morze Powiewu - zaproponował Irek.

Powiew Morza - Vora poprawiła go w myśli. Irek był chyba jednak zdenerwowany. Już od tygodni nie zdarzyło mu się, żeby opuszczał rodzajniki albo przestawiał słowa. Ale nie chciała wprawiać go w zakłopotanie, poprawiając go właśnie teraz.

- Orze Wiewu? Nigdy o tym nie słyszałam - orzekła zdecydowanie Lady Fiona.

Skoro ona o czymś nie słyszała, oznaczało, że to nie istnieje. Uśmiechała się jednak do Irka. I trzepotała swoimi tysiącletnimi rzęsami.

- Będzie smakowało - powiedział Irek z przemiłym uśmiechem.

Vora przedstawiła go Tennantom i dała znak kelnerowi, aby przyjął ich zamówienie.

- Dwa razy martini - odezwał się Colin Tennant - i proszę zamieszać, lecz nie wstrząsać.

- Dla mnie Orze Wiewu - Lady Fiona mrugnęła do Irka.

- Słucham? - zapytał kelner.

Vora odciągnęła go na bok. Lady Fiona rozwodziła się nad tym, o ile byłoby w Rosji lepiej, gdyby Trocki nie został zamordowany.

- Ona ma na myśli Powiew Morza.

Kelner dalej nie wiedział, o co chodzi. Ach, ta Lauren i jej amerykańskie drinki.

- Sok z grapefruita, sok z brusznicy i dwie miarki wódki.

Tennantowie wyglądali na znudzonych. Wielu innych gości krążyło wokół w oczekiwaniu na to, że zostaną w końcu przedstawieni Irkowi. Vora rozmyślała, jak pozbyć się tej starej kwoki, kiedy Ryan przyszedł jej z pomocą.

- Fifi - proszę pozwolić, że pokażę pani prace Irka - odsunawszy na bok asystenta z włosami pokrytymi brylantyną, pochwycił wózek i odjechał mimo protestów Lady Fiony.

Vora szybko przedstawiła Irka pozostałym gościom, po czym oddaliła się. Irek nie potrzebował tego, żeby go trzymać za rękę. Galeria zapełniała się gwałtownie. Vora krążyła wokół, witając przybywających gości, z których wielu było klientami Archera. Starła się unikać Lady Fiony, która jednak pozostawała w zasięgu jej wzroku. Po skończeniu pierwszego Orza Wiewu Lady Fiona zamówiła następny kieliszek.

Lauren nadal czuwała przy drzwiach, podbudowana znakomitą frekwencją, lecz nieco rozczarowana brakiem nabywców. Towarzystwo przechadzało się po sali, oglądając obrazy i połykając Krwawe Mary, Korkociągi, wódki z tonikiem i martini, lecz nikt niczego nie kupował. Ser i biszkopty Carrsa znikwały szybko w ciągle nienasyconych żołądkach, podobnie jak grzanki, wielkie jak spodek krakersy Fortta, a także warzywa. Lecz nikt nie kupował obrazów.

Lauren poczuła, jak ogarnia ją coraz większy niepokój. Rzuciła okiem na Irka. Śmiał się i żartował, nie zdając sobie sprawy z braku nabywców. Sądząc po wyrazie uniesienia na kobiecych twarzach, Lauren doszła do wniosku, że Irek ma w sobie wiele powabu. Biła z niego siła i ukrywany dziki magnetyzm, i to pociągało ku niemu kobiety.

Lokaj dotknął ramienia Lauren. Wcześniej wydała mu polecenie, aby zawiadomił ją o przyjeździe Silver Shadow Rolls - Royce'a, którego właścicielem był Finley. Rozpoznała Pimertona, szofera Finleya, kiedy wychodził z samochodu, aby otworzyć drzwi krytykowi sztuki. Lauren przemierzyła odległość od drzwi do krawężnika z gwałtowną szybkością.

- Proszę się nie trudzić wysiadaniem. Nie ma pan wstępu do mojej galerii.

- Nie rozumiem pani nastawienia, Lauren - w ogóle. Nie może przecież mieć mi pani za złe tego, że powiedziałem, co mam na myśli? W końcu prasa musi być wolna, aby relacjonować bez...

- To, co pan zrobił, przeczy zasadom etyki dziennikarskiej. I pan o tym wie. Nie zachował pan dla siebie swoich prywatnych sądów. Nie sprawdził pan faktów. Irek nie jest pospolitym przestępcą. Został uwięziony za swoje poglądy polityczne, tak jak Sołżenicyn czy Sacharow - przerwała, aby zaczerpnąć głęboki oddech. Walczyła ze sobą, aby go nie uderzyć w jego zarozumiałą gębę. - A poza tym, okłamał mnie pan. Obiecał pan, że opublikuje tę historię dopiero po dzisiejszym wieczorze.

- To nieporozumienie. Nic takiego, w ogóle...

- Proszę odjechać.

Szofer uśmiechnął się i, odjeżdżając, mrugnął do Lauren porozumiewawczo. Kiedy się odwróciła, zobaczyła zbliżających się ku niej Geetę i Paula. Jak zwykle byli spóźnieni. Geeta Hespeth nigdy nie przychodziła na czas. Mimo to Lauren nie mogła jej nie lubić. Potrafiła śmiać się sama z siebie, a także ze wszystkiego dookoła. Cieszyło ją życie, którego spraw nie brała zbyt poważnie. Była dla Paula doskonałą towarzyszką.

Przynajmniej on był szczęśliwy. Od kiedy Ryan oznajmił jej że nie chce utracić swojej wolności, Lauren czuła się podle

i samotnie, pomimo ciągłego rwetesu robionego przez dzieci i wymagań, jakie stwarzało urządzenie wystawy. Nigdy dotychczas nie oddała się mężczyźnie z taką pełnią. Nigdy do tej pory nie pragnęła tego. Odtrącenie jej przez Ryana nasunęło wątpliwości, czy aby dobrze oceniła sytuację, jego, siebie samą i swoje uczucia.

- Cześć - powitał ją Paul. - Dobra frekwencja?

- Znakomita. Lepsza, niż oczekiwaliśmy.

Lauren wprowadziła ich do środka i odnalazłszy Vore, wyszeptała jej do ucha:

- Oprowadź Geetę. Przedstaw ją prasie, ale zostań przy niej. Jest nieśmiała.

Lauren popatrzyła na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Gdzie jest Tak? Obiecał, że przyjedzie. Już wcześniej dzwonił do Claridge. Zrobił sobie rezerwację, ale jeszcze się nie zameldował. Przekręcając swoją srebrną bransoletę, Lauren westchnęła głęboko. Nic nie zostało sprzedane.

Po przeciwległej stronie głównej sali wystawowej David Marcus rozmawiał z kilkoma mężczyznami, których Lauren nie rozpoznawała. Na jego widok przed oczami Lauren pojawił się obraz Carlosa Barzana. Uderzyło ją jako coś niezwykle dziwnego to, że Barzan odszukał Paula. Jeszcze dziwniejsze wydało jej się to, że Barzan zobowiązał ją do zachowania w tajemnicy faktu, iż to on jest współwłaścicielem Ravissanta, podczas gdy nie miał żadnych zastrzeżeń, aby otwarcie mówić o swoim układzie z Paulem. Wkrótce po tym, jak Paul ją o tym poinformował, Lauren zamierzała już sama mu się zwierzyć, lecz właśnie wtedy pojawił się Demi. Był przestraszony, bo w lustrze na ścianie gościnnego pokoju ukryły się potwory. Paul wyszedł, aby go pocieszyć, i od tego czasu Lauren nie miała okazji porozmawiać z bratem na osobności.

Przypuszczała, że pojawienie się Barzana na pokazie prac Geety było tylko zbiegiem okoliczności. W końcu Geeta to jedna z największych rzeźbiarek na świecie. Mimo to nie podobała się jej umowa, jaką Barzan zawarł z Paulem. Oznaczało to, że Barzan nie przestanie być jej współnikiem nawet po zakończeniu jej działalności w Ravissancie.

Czy to ważne? Dał jej przecież wolną rękę, jeśli chodzi o Ravissanta, i nie próbował manipulować rynkiem. Niepokoił ją jednak fakt, że Barzan z pewnością musiał wiedzieć o olbrzymim zadłużeniu galerii. Zamierzała go o to zapytać przy najbliższej okazji. Zobaczyła zbliżającego się w jej kierunku Davida Marcusa i nastawiła się na ostrą wymianę zdań, w której nie zamierzała ustąpić.

- Gdzie jest kontrakt z Makarowem? - zapytał bez wstępnych uprzejmości.

- Zawarliśmy ustną umowę - spojrzała mu prosto w oczy, zuchwale czekając na sprzeciw. Pomimo bladości, oczy jego miały zjadliwy wyraz.

- Prawdopodobnie nie będzie pani potrzebny. Nic nie idzie. Następnym razem chcę widzieć kontrakt, zanim zezwolę na wystawę.

- Jeżeli pan Barzan nie ufa mi całkowicie, gotowa jestem polecieć do domu następnym samolotem.

- Chwileczkę - uśmiechnął się z jeszcze większą groźbą w albinosowatych oczach. - Proszę się nie unosić. Do tej pory działa pani jak należy, ale zasady dobrego prowadzenia interesów nakazują...

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała i odeszła, odpowiadając dłonią na powitanie Takgamy Nakamury.

A to suka. Gdyby nie była mu potrzebna, aby się dostać do Griffitha, kazałby jej iść do diabła - pomyślał, kończąc swojego drinka. Rozejrzał się po sali w nadziei, że dojrzy jakiegoś znaczącego finansistę. Rozmowy z takimi ludźmi

sprawiły mu perwersyjną przyjemność, kiedy orientował się, że pod jego kontrolą znajdują się większe zasoby finansowe niż te, które są ich udziałem. Właśnie przed chwilą zakończył dyskusję z Robinem Leigh - Pembertonem - prezesem Banku Anglii. Jako że wśród zgromadzonych nie dojrzał żadnego innego finansisty, powolnym krokiem udał się do mniejszej sali wystawowej.

Wypatrując w sali kogoś znajomego, spostrzegł zdumiewająco rudowłosą kobietę z największymi piersiami, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się zobaczyć. Stojące wysoko i pełne upiększały jej kształtne ciało. Poczuł, jak pręży mu się członek. Nie mógł zobaczyć jej twarzy, ponieważ głowę miała zwróconą ku stojącej obok osobie. Kiedy przecisnął się do grupy osób, wśród których stała, kobieta odwróciła się. Tabatha? Co, u diabła, ona tu robi?

- Dobry wieczór - powiedziała, wyciągając dłoń z manierą dystyngowanej lady. - Jestem Tabatha Lynn Foley.

- David Marcus - uściśnął jej dłoń, patrząc na nią w zupełnym zdumieniu, kiedy przedstawiała mu zastępy dziennikarzy z różnorodnych czasopism artystycznych.

Nowa fryzura i nowy strój czyniły z niej osobę w pełni dojrzałą. Prawie piękną - nawet jej nos stał się mniej zauważalny. David był już podniecony aż do bólu, mając w pamięci to, co z nim zrobiła, kiedy ostatnio byli razem. Nagle wyobraził sobie siebie z Tabathą. Teraz. Za rok. Za dziesięć lat. Tabatha Foley mogła stać się dojrzałą, a i tak by jej nie porzucił. Dlaczegoż miałby to uczynić? Jej numery były nie do pobicia.

- W jakim kierunku, pani zdaniem, będzie rozwijała się pani kariera? - zapytał okularnik z notatnikiem i przygotowanym długopisem w dłoni.

- Oczywiście, chcę udoskonalić swoją technikę. Będę uczęszczać na zajęcia w St. Martin's...



Co tu właściwie się działo? Czy ci faceci sądzili, że ona jest artystką?

- Wydawało mi się, że zajmuje się pani wytwarzaniem biżuterii - wtrącił David.

- Biżuterii? - zapytał jeden z dziennikarzy tonem, jakby to był jeden z wyrazów na cztery litery.

- Pan Marcus się nie myli - odpowiedziała bez zająknięcia Tabatha. - Wyrabianie biżuterii jest moim ubocznym zajęciem. Życie artysty nie jest łatwe. Muszę się z czegoś utrzymywać.

- To zrozumiałe - powiedzieli ze współczuciem.

Krew wzburzyła się w Davidzie. Słowa z trudem docierały do jego uszu. Chciałby ich wszystkich zabić. Ją też. To on odkrył Tabathę; pokazał jej, jak miło spędzać czas. Nie pozwoli jej teraz od siebie odejść.

Lauren podeszła ku nim szybkim krokiem.

- Tabatha, zgadnij, co się stało? „Perfekcja” została zakupiona przez Metropolitan Museum z Nowego Jorku.

- Czy to pani pierwsza sprzedana praca? - zapytał jeden z reporterów.

- Oczywiście, że nie - Lauren odpowiedziała w imieniu Tabathy. - Pierwszą pracę Tabathy sprzedałam w ciągu jednego dnia. Będzie ich o wiele więcej.

Wysoki mężczyzna przedarł się ku nim.

- Geeta Hespeth jest w drugiej sali.

Reporterzy rzucili się do głównej sali. Lauren podążyła za nimi, zostawiając Davida i Tabathę obok „Perfekcji”. Błagam - modliła się Lauren - niech ktoś kupi teraz którąś z prac Irka. Spozrzegła u wejścia dra Dentona Digsby'ego, postanowiła jednakże przyłączyć się do Taka, który nadal rozmawiał z Irkiem. Przeciskała się przez tłum, kiedy usłyszała za sobą brzęk i chóralne „Och, nie!”

- Co się stało? - zapytała Lauren Tabathę po tym, jak biegiem wróciła do mniejszej sali. Skorupy z „Perfekcji” leżały rozrzucone na posadzce.

Z pobladłą jak popiół twarzą Tabatha kręciła z niedowierzaniem głową. David Marcus wyjaśnił:

- Ktoś przypadkowo potracił piedestał.

- Nie martw się - Lauren próbowała pocieszyć Tabathę, dając jednocześnie znak jednemu z kelnerów, aby usunął z posadzki porcelanowe skorupy. - Porozmawiam z tym panem z Metropolitan Museum. Jestem przekonana, że będzie zadowolony, jeżeli uzyska pierwszeństwo przy zakupie twojej następnej pracy.

Lauren wyszła, zastanawiając się, w jaki sposób figurka mogła upaść. To prawda, że sala była zatłoczona, lecz piedestał był ciężki i trudno byłoby go poruszyć. Cóż jeszcze gorszego mogło się wydarzyć? Żadna z prac Irka nie poszła, a jedyna rzecz, którą sprzedali, została zniszczona.

- Zrobił to ten stojący obok niej facet. Jedyne on znajdował się w bliskiej odległości i jest wystarczająco silny, aby rozkołysać piedestał.

Lauren odwróciła się i napotkała uporczywe spojrzenie oczu Ryana Westcotta, który właśnie stanął obok niej. Przełykając ślinę, poczuła, że jest dzisiaj o wiele silniejsza niż w ubiegłym tygodniu.

- Na pewno się mylisz. Po co David Marcus miałby to zrobić?

Przez chwilę zdawało się jej, że Ryan cały się napreżył. Jednakże mógł to być jedynie wpływ jego niezwykłego oddziaływania. Trudnego do opanowania magnetyzmu, który często odczuwała, kiedy była blisko niego. Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, chciała się oddalić.

Ryan pochwycił ją za ramię i wyszeptał:

- Postaraj się nie być na mnie zła. Nie chciałem cię urazić.

Nie chciał jej urazić?

- Nie przychodź tutaj nigdy więcej. Po dzisiejszym wieczorze nie jesteś mile widziany ani w Ravissancie, ani tym bardziej w moim życiu.

Lauren odeszła z dumą, najszybciej, jak tylko potrafiła. Zawsze będzie kochała Ryana, lecz on wcale nie musi o tym wiedzieć. A już z pewnością nie pozwoli dać się zwariować. Ma już za sobą zbyt wiele lat, kiedy to dążyła do tego, aby uporządkować sobie życie.

- Witaj, bogini - przyłapał ją Grant Fraser.

- Cześć - odpowiedziała, szukając wzrokiem Taka, który gdzieś zapodział się w tłumie. Czyżby już wyszedł niczego nie kupiwszy?

Grant objął ją ramieniem.

- Wszyscy świetnie się bawią. Rozmawiałem właśnie z Terrence Holbrookiem, przewodniczącym Sądu Apelacyjnego.

- Czy coś kupił?

- Nie - odpowiedział Grant. Widać było, że pozostaje pod wrażeniem człowieka, którego stanowisko dorównywało pozycji sędziego Sądu Najwyższego.

- Stać go na zakup dwu prac Irka Makarowa, a nie jednej.

Grant ponownie objął ją ramieniem.

- Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. Wyjdź za mnie i o nic nie będziesz się musiała martwić - nigdy.

Obserwując, jak Fraser obłapia Lauren, Ryan stał się jeszcze bardziej poirytowany. Lauren byk na niego zła; nie winił jej za to. Załatwił to iście po królewsku, mówiąc jej, że nie chce utracić swojej wolności. Powinien był wymyślić coś innego. Cokolwiek innego. Tak ją to zabolalo, że była na niego obrażona. Za pewien czas jej gniew zamieni się w nienawiść. Nie mógł ryzykować - nie teraz, kiedy spotkał kobietę, na którą tak długo czekał.

Ryan ramieniem utorował sobie drogę przez gąszcz ludzi. Minał Lady Fionę zamawiającą kolejne Orze Wiewu i wyszedł z galerii. Na zewnątrz zobaczył Takgamę Nakamurę rozmawiającego po japońsku z Yasumichi Morishitą. Krążyły pogłoski, że Morishitą planował przejęcie salonu Christie. Ryan miał nadzieję, że komisja do spraw spółek i monopoli do tego nie dopuści. Czy przejęcie Sotheby'ego nie było wystarczającą lekcją?

Przeszedłszy przez ulicę, wkroczył do pubu Coach Horses, skąd zadzwonił do Stirlinga.

- Dlaczego nie otrzymałem fotografii Davida Marcusa? Ocieram się o niego na otwarciu w Ravissancie i nawet nie potrafię go rozpoznać.

- Myślałem, że go znasz. Czy nie spotkałeś się kilkakrotnie z Barzanami?

- Owszem, lecz nigdy nie spotkałem Marcusa. Ryan usłyszał, jak Stirling nerwowo zaciąga się dymem z fajki.

- Przeoczenie. Okropnie mi przykro. Nie sądzę jednak, żeby miało to znaczenie. U Barzana zajmuje się jedynie liczeniem drobnych - niczym więcej. I cały czas mamy go na oku...

- Ten łysy facet. Spostrzegłem go, jak tylko dowiedziałem się, który to Marcus - powiedział Ryan, po czym zrelacjonował Stirlingowi wydarzenie z figurką. - Jestem przekonany, że Marcus celowo ją zniszczył. Jeżeli twój człowiek dobrze wykonuje swoją pracę, będzie mógł to potwierdzić.

- Po co Marcus miałby to zrobić?

- A skąd, u diabła, ja mam o tym wiedzieć? Przypatrzcie mu się nieco uważniej. Być może zajmuje się liczeniem czegoś więcej niż tylko drobnych.

- Robimy to - w głosie Stirlinga bez wątpienia pojawiło się znużenie.

- Coś nowego w sprawie Lauren Winthrop? - zapytał Ryan, nie dbając o to, czy Peter się domyśla, że właśnie dlatego zadzwonił. Nie obawiał się Marcusa. Barzan przybędzie osobiście, aby zastrzelić T.J. Tak jak wtedy.

- Nie. Wygląda na to, że jest czysta. Nie odkryliśmy jednak, kto założył u niej podsłuch.

Ryan odłożył słuchawkę z uczuciem ulgi, że Lauren nie jest podejrzana. Od dawna wiedział, że nie jest w to wplątana, lecz czuł się zobowiązany wobec T.J., aby upewnić się całkowicie. Teraz, kiedy był już w pełni przekonany, nie musiał jej utracić. Spędził zbyt wiele samotnych nocy, aby nie docenić tego, że oto pojawiła się właściwa dla niego kobieta.

Wracając do Ravissanta, Ryan ujrzał Lauren w towarzystwie Davida Marcusa, wychodzącą na ulicę po schodach prowadzących z pomieszczeń biurowych. Toczyli ożywioną dyskusję, lecz Ryan był zbyt daleko, aby usłyszeć, o czym mówią.

- Nakamura i Morishita złożyli ofertę kupna wszystkich prac Irka i pani odmówiła ich sprzedaży? - zapytał David.

- Tak - Lauren nie starała się ukryć wrogości, jaką czuła do Davida Marcusa. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego to zrobił, ale przypuszczała, że Ryan miał rację. David celowo stracił figurkę Tabathy. A jeszcze na dodatek pojawił się nieproszony na dole wkrótce po tym, jak odrzuciła ofertę Taka. Zamierzała przedyskutować z Paulem układ, jaki zawarła z Barzanem, jak tylko nadarzy się okazja. Nie miała ochoty na wchodzenie z Barzanem w następny układ, w którym będzie miejsce dla jego natarczywego asystenta. Sama będzie mogła finansować galerię Paula, zamiast Barzana. Wówczas będą mogli zachować niezależność.

- Dlaczego postąpiła pani aż tak absurdalnie głupio?

- Nie mam zamiaru pozwolić na to, aby jedna osoba - nawet jeżeli jest to mój przyjaciel Tak - kupiła więcej niż dwie

z prac Irka. Rodzi to spekulację - przyszłą konkurencję. Wiele nauczyła mnie sprawa Saatchiego. Często kupował całe kolekcje. Teraz, kiedy ma trudności finansowe, upływnia je. W ten sposób agenci artyści nie są w stanie zarobić żadnych pieniędzy. Nie mówiąc już o artyście, który ma zysk jedynie z pierwszej sprzedaży. Jeżeli Tak i jego kohorta sprzedadzą prace Irka w Japonii, straci na tym Irek, i Ravissant też.

- Jest pani lepsza w interesach, niż sądziłem.

David powrócił do środka, lecz Lauren pozostała przez chwilę na zewnątrz. Zastanawiała się, czy słusznie postąpiła odrzucając ofertę Taka. Nie powiedziała Davidowi, że Tak dał jej do zrozumienia, iż rozpowszechni opinię, że prace Irka są słabe. Jak zwykle Nakamura nie dbał o to, czy uderza poniżej pasa. Grał tak, aby wygrać. Pamiętała o tym z rozmów, jakie prowadził, kiedy usługiwała mu w Sake Sistahs.

Ja też potrafię mocno uderzyć. Jak większość japońskich mężczyzn, Tak niewątpliwie czuł się urażony jej stanowczą odmową, lecz Lauren się tym nie przejęła. Dość już kłaniania się w pas. Jako przedstawiciel Irka, była zobowiązana myśleć o jego interesach, a nie o Taku. Skoro Japończycy wyrazili chęć kupienia całej kolekcji, znaczyło to, że Irek będzie zwycięzcą. Być może nie dzisiaj, lecz któregoś dnia. Można mieć nadzieję, że w ciągu roku Lauren byłaby w stanie osiągnąć przyzwoity zysk i pozbyć się Barzana i jego giermka Marcusa.

Odwróciła głowę, kiedy Bentley turbo pojawił się w zasięgu jej wzroku. Rozległ się piskliwy śmiech, który zwiastował przybycie Mootzie McCallister z eskortą w osobie Clive'a Holcombe'a. Lauren stłumiła w sobie jęk. A co się stanie, jeżeli Mootzie coś kupi? Mogłoby to być gorsze dla reputacji Ravissanta niż cokolwiek, co wypisał Finley lub mógłby powiedzieć Tak.

- Lauren - Ryan Westcott pojawił się przy niej. -  
Chciałbym zamienić z tobą słowo.

Mimo jej protestów poprowadził ją w dół ulicy i zatrzymał się przed sklepem zielarskim Culpeppera. Wciągnął ją do zaciemnionej wnęki przy wejściu, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć.

- Streszczaj się - powiedziała Lauren.

Ryan zawahał się. W jaki sposób zdoła wyjaśnić swoje dziwne zachowanie?

- Szaleję na twoim punkcie. Ja...

Lauren z trudem opanowała skrajne zdumienie. Paul miał rację. Ryan Westcott to szaleniec, któremu nikt nie zdoła dorównać.

- Wystrzeliłem wtedy, tamtego wieczoru. Nie miałem na myśli tego, co powiedziałem.

- Nie rób mi tego - powiedziała Lauren, zdumiona szczerością w głosie Ryana. - Nie teraz, nie w środku tego...

- Powinienem był powiedzieć ci prawdę w ubiegłym tygodniu. Do tej pory żadna kobieta nie obchodziła mnie tyle, co ty. Nie chcę zachować wolności, ale teraz nie mogę się z tobą widywać.

Patrzyła na niego bez słów, a jej serce trzepotało się na wszystkie strony. W ciągu ostatniego tygodnia pojawiał się w jej snach dziesiątki razy, powtarzając, że ich znajomość się nie układa. Mimo to nie mogła uwierzyć, że naprawdę tak myśli.

- Dlaczego wówczas po prostu nie powiedziałeś mi o tym? Dlaczego dręczyłeś mnie myślą, że tracę cię na zawsze?

Ujął jej podbródek w swoją dłoń i twarda skorupa, którą usiłowała się otoczyć, pękła w mgnieniu oka. Nie wiadomo kiedy ich uda docisnęły się do siebie i poczuła emanujące z jego ciała uwodzicielskie ciepło. Modliła się o jakieś logiczne wytłumaczenie. Dobre czy złe. Każdy jej nerw był gotów mu wybaczyć.

- Jestem zaangażowany w coś, co trwa już ponad trzy lata. Kto wie, jak długo jeszcze będzie się to ciągnąć. Nie chciałem, żebyś czekała, nie wiedząc...

- Ta decyzja należy chyba do mnie, nie do ciebie? Delikatnie przycisnął jej usta do swoich warg. Raczej muśnięcie aniżeli pocałunek.

- Czy będziesz czekać, chociaż nie mogę z tobą mówić o swoich problemach? Mimo że będziemy musieli spotykać się w ukryciu, o ile w ogóle będzie to możliwe?

- Będę czekać wieczność, jeżeli to konieczne - stanęła na palcach i pocałowała go tak gorąco, iż wierzył każdemu jej słowu. Z niechęcią wysunęła się z jego ramion. - Wracajmy już. Irek nas potrzebuje.

- Idź pierwsza. Ja przyjdę później. To ważne, żeby zbyt często nie widywano nas razem.

To nieobliczalny człowiek - pomyślała, śpiesząc w górę ulicy do galerii. Jednak kochała go. Od czasu, kiedy była z Toddem Haile'em, nigdy nie czuła się tak zakochana. Była przygotowana na to, aby czekać. Dlaczego by nie? Czekala na niego długo; potrzebowała mężczyzny takiego jak on, nie wiedząc nawet, co traci.

- Ach, tu pani jest - powitał ją dr Digsby. - Niezłe wydarzenie publiczne, prawda?

Kiedy skinęła głową, Digsby zauważył na jej twarzy wyraz zatroskania. Sprawiało mu przyjemność, że jest prawdziwie zaangażowana w sprawy Irka. Odwrócił się i wszedł za nią do środka, mówiąc:

- Jest tu księżniczka Anna, a także księżniczka Kentu.

- Naprawdę? Gdzie?

Digsby przypatrywał się jej z uwagą. Miała najbardziej niezwykle oczy spośród tych, które kiedykolwiek widział - czystego niebieskiego koloru, jak niebieska szalwia, która rosła obok jego rodzinnego domu w Sussex.



- Tam z Irkiem. Proszę pozwolić. Przedstawię panią.
- Proszę nie robić sobie kłopotu.

Doszedł do wniosku, że zrezygnowała nie dlatego, iż jest onieśmielona, tak jak wiele osób, kiedy stykają się z członkami rodziny królewskiej, lecz dlatego, że tytuły nie robią na niej wrażenia. Żałował, że nie może powiedzieć jej prawdy. Wywarł na obu księżniczkach presję, aby się dziś pojawiły. Księżnej Kentu dostało się od krytyków, którym nie spodobała się jej książka. Digsby poradził jej, żeby nie oglądała się na nikogo i napisała następną. Kogo obchodzi to, co mówią o tobie krytycy, tak długo, jak wskaźnik sprzedaży idzie do góry?

Księżniczka Anna to przypadek bardziej skomplikowany. Zagrożający jej rozwód i opublikowanie listów miłosnych przysyłanych jej przez jakiegoś dyplomatę były przedmiotem zainteresowania prasy rodziną królewską od kuchni. Skrzekliwość dziennikarzy piszących o wykorzystywaniu przez nią doradców wojskowych do niewojskowych zadań przywiodła ją do Digsby'ego. Poradził jej, aby nie rezygnując z ustalonego rozkładu zajęć, pojawiała się publicznie - tak jak dziś wieczorem - i pokazywała, że nie ma nic do ukrycia.

- Dla fotografów to gratka, jaka zdarza się raz na dziesięć lat - Digsby spoglądał refleksyjnie na błyskające flesze, wybuchające jak ognie sztuczne. - W jakim innym miejscu prasa ma możliwość sfotografowania Mootzie McCallister z Lordem Widenerem czy księżniczki Anny z Erikiem Claptonem?

- Nie biorąc pod uwagę Finleya, czy sądzi pan, że prasa lubi Irka?

- Z pewnością tak. Koledzy Finleya mówią o nim, że to bufon.

- To dlaczego nikt nie kupił żadnego obrazu?
- Kilka zostało sprzedanych.

Lauren ruszyła ku recepcji.

- Czy coś poszło?

- Tak. Arianna Stassinopoulos Huffington kupiła dwa.

- Naprawdę?

To dodało Lauren otuchy. Arianna była poprzednią przewodniczącą elitarnego towarzystwa dyskusyjnego, znanego pod nazwą Cambridge Union - pierwszą osobą spoza Anglii wybraną na to stanowisko. Napisała kiedyś zjadliwą książkę o Pablu Picassie, w której twierdziła, że jego późniejsze prace odzwierciedlały zarówno jego gasnące możliwości artystyczne, jak i moralny rozkład. Arianna była kobietą rozsądną, której nie dało się łatwo oszukać.

- Sybille Bedford kupiła zimowy pejzaż Kijowa.

- Wspaniale.

Sybille zawsze była ulubioną powieściopisarką Lauren. Przed laty przeczytała jej Dziedzictwo, a teraz na nocnej szafce znajdowała się Łamigłówka. Zaproszenie członków klubu Groucho opłaciło się.

- Jeffrey Archer kupuje dwa, lecz on i żona zastanawiają się jeszcze, które wybrać.

Lauren złożyła milczącą przysięgę, że kupi wszystkie jego książki. W twardej oprawie.

- Czy ktoś odnotowuje, które zostały sprzedane? - zapytała, z trudem ukrywając radość.

- Pani Leighton się tym zajmuje.

Przeciskając się przez tłum w poszukiwaniu Vory, Lauren zauważyła, że pojawiły się ekipy filmowe BBC i Thames Television.

- Czy możesz w to uwierzyć? - wyszeptała Lauren, kiedy odnalazła Vorę, która właśnie umieszczała naklejkę ze złotej folii z napisem „sprzedane” na pejzażu zatytułowanym „Niet”, widzianym przez kraty więzienia w Krystopolu. Zakupiła go Lady Fiona.

- Poszło więcej niż połowa - Vora uściskała Lauren. - Nie mogę się doczekać, aby mu o tym powiedzieć.

- On jeszcze nie wie?

- A któż zdoła się do niego precyzyjnie przycisnąć? Tak czy inaczej, nie chcę tam teraz iść.

- Z powodu Clive'a? - zapytała Lauren, dostrzegając Clive'a i Mootzie w tłumie otaczającym Irka.

- Clive już mnie nie obchodzi. Ale popatrz na Mootzie. Mootzie flirtowała z Irkiem w całkowicie otwarty sposób, reagując głośnym chichotem na każdą jego wypowiedź.

- Irek jest zbyt bystry, aby wpaść w szpony takiej słodkiej idiotki.

- Obawiam się, że Clive jest zazdrosny o Irka. Irek jest tym wszystkim, czym nie jest Clive, a teraz Mootzie chce coś przez to osiągnąć. Clive może powiedzieć albo uczynić coś, aby wprawić Irka w zakłopotanie.

Lauren obserwowała Clive'a, który stał u boku Mootzie i patrzył na Irka spod oka. Popatrzyła po głowach zgromadzonych, szukając wśród nich Ryana. Dostrzegła go w rogu, jak wręczał Lady Fionie kolejny Powiew Morza.

- Idź i powiedz Ryanowi, że jest tu potrzebny.

Kiedy Vora poszła po Ryana, recepcjonistka dała znak Lauren. Pięciokrotnie uniosła do góry cztery palce. Sprzedano dwadzieścia obrazów. Nagle okazało się, że może dojść do czegoś, co pozostawało tylko w sferze marzeń - sprzedaży wszystkich obrazów. Finley Tibbetts mógł się teraz udławić.

- Lauren, czy mogę z panią porozmawiać? - odezwał się po japońsku Tak, który pojawił się u jej boku.

- Owszem - odpowiedziała po angielsku. Jego wcześniejsza groźba nakazywała jej zachowanie ostrożności.

Mimo że mówiła płynnie po japońsku, nie zamierzała pozwolić sobą manipulować. Tutaj jest na swoim terenie. I będzie się posługiwać swoim językiem.

- Chcę kupić „Velnę Liubov.”

- Nie jest na sprzedaż. Pokazujemy ten obraz tylko po to, żeby wskazać kierunek, w jakim idzie rozwój talentu Irka.

Mówiąc to, doszła do wniosku, że groźba zdyskredytowania Irka była jedynie zabiegiem taktycznym Taka. Próbował ją zastraszyć. Dobrze wiedział, że Irek musi zostać artystą pierwszej klasy, bo tak chce przeznaczenie. Nawet on, z miliardami jenów na koncie, nie mógłby go powstrzymać.

. - Pół miliona funtów.

Chyba nie miał na myśli blisko miliona dolarów. Największą sumą, jakiej zażądali za którąkolwiek z prac w całej kolekcji, było nieco poniżej dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów za „Wołgę” - pejzaż zimowy nad rzeką, który czekał jeszcze na swojego kupca.

- Czy nie uważa pani, że pan Makarow ma prawo usłyszeć moją propozycję?

- Nie przyjmie jej. Ten portret znaczy dla niego zbyt wiele.

Na nieodgadzionym obliczu Taka pojawił się uśmiech, świadczący o pewności siebie.

- Każdy człowiek ma swoją cenę.

- Powiadomię go, chociaż nie jest to najlepszy moment - powiedziała.

Ekipy filmowe ustawiały właśnie światła, przygotowując się do przeprowadzenia wywiadu. Kątem oka dostrzegła dra Digsby'ego. Uśmiechał się znacząco. Być może właśnie teraz nadszedł odpowiedni moment.

- Proszę za mną - wzięła Taka pod rękę i zaprowadziła go do skupionego wokół Irka tłumu. Kamery pracowały, wywiad się już zaczął. W samym środku intensywnego światła stał Irek, podczas gdy Mootzie, Clive i zastępy innych gości znajdowali się tuż obok.

- Irek - Lauren przerwała dziennikarzowi. - Pan Nakamura zaoferował pół miliona funtów za „Velmę Liubov”.

- Wszystkie inne prace zostały sprzedane - dodał Ryan, stając u boku Lauren. Podążała za nim grupka gości, wśród nich księżniczka Anna.

Towarzystwo otworzyło usta ze zdumienia. Pierwsza wystawa i całkowita wyprzedaż. A na dodatek jeszcze zdumiewająca oferta od jednego z najbogatszych kolekcjonerów na świecie. Bez precedensu.

- Nie jest na sprzedaż - odpowiedział Irek bez wahania.

- Boski. Po prostu boski - powiedział dr Digsby, stając za plecami Lauren.

- Milion funtów - Tak podwyższył stawkę.

Zdumiony szept wypełnił salę. Lauren poszukała wzrokiem Geety i Paula. Tak jak wszyscy, stali w ciasnym kręgu wokół Irka. Będąc pewna, że nikt jej nie obserwuje, Lauren opuściła rękę na dół i ścisnęła dłoń Ryana.

- Nie na sprzedaż - odrzekł natychmiast Irek.

- Panie Makarow, który to obraz „Velma Liubov”? - zapytał reporter telewizyjny.

Irek stanął z boku, odsłaniając znajdujący się z tyłu portret. Przysunąwszy się bliżej, zdumiony tłum eksplodował, rozbłysły dziesiątki fleszów, a kamery wideo wykonały najazd na obraz.

- Półtora miliona funtów - głos Taka przebił się przez jazgot zgromadzonych.

Irek zamilkł na chwilę i uważnie przypatrywał się Takowi. Lauren sądziła, że upór jego osłabł. Pamiętaj, każdy człowiek ma swoją cenę.

- To portret kobiety, którą kocham. Należy do mnie. Na zawsze. Nie ma na niego ceny.

- Dwa miliony funtów.

Cisza odbijała się echem o ściany galerii. Każda para oczu była utkwiona w Irka. Oczekująca. Zdumiona.

- Chwalmy Pana. Chwalmy Pana.

Lauren nie odwróciła się, słysząc magiczne zaklęcia dra Digsby'ego. Ścisnęła tylko mocniej dłoń Ryana. Zaproponowana suma znacznie przewyższała rekord dla debiutującego artysty.

Lauren spojrzała na Vorę. Stała niedaleko od niej, na zewnątrz otaczającego Irka kręgu, i gniewnie marszczyła brwi. Jej wzrok padł na Clive'a Holcombe'a. Przysunął się na niewielką odległość do portretu i studiował go z uwagą. Po chwili popatrzył na Irka z grymasem, który wyrażał nienawiść.

- Dikij zapad - roześmiał się Irek. - Wy ludzie szaleni. Żaden obraz niewart takich pieniędzy. Szaleni. Posłuchajcie Irka. „Velma Liubov” nie jest na sprzedaż.

- Powiedz mu, mój chłopcze - do wszystkich dotarł pijany głos Lady Fiony, która ściskając w dłoni Powiew Morza, wymachiwała znajdującą się w drugiej ręce laską. Jej tron na kółkach przytoczył się w stronę Mootzie, która patrzyła na Irka jak zahipnotyzowana.

- Alleluja! - wykrzyknął dr Digsby. Wrzask dookoła przypominał piekło.

Kiedy dziennikarze na żywo streszczali wydarzenia wieczoru dla swoich stacji telewizyjnych, a kamery przemierzały tłum w poszukiwaniu księżniczki Anny, Lauren zaryzykowała spojrzenie na Ryana. Wpatrywał się w Irka. Nie. W znajdującego się tuż za nim Clive'a Holcombe'a, który stał o wiele za blisko portretu. Lauren nagle pożałowała, że nie ubezpieczyła portretu w firmie Halford Shead na większą sumę.

Z przekąsem Clive wyszeptał coś Irkowi do ucha.

- Zabiję cię, jeśli to powiesz jeszcze raz - powiedział głośno Irek, zadając jednocześnie dwa potężne ciosy.

Pierwszy z nich trafił Clive'a w żebra. Drugi wylądował precyzyjnie na jego szczęce, waląc go z nóg. Clive przewrócił się prosto w ramiona Mootzie, przygniatając ją do ziemi u stóp Lady Fiony.

Reporterzy rzucili się jak dzikie bestie. Flesze rozbłyskiwały szybciej niż salwy z pistoletu maszynowego. Kamery telewizyjne skupiły się na nieprzytomnym Clivie, gdy tymczasem Lady Fiona próbowała go ocucić, wylewając na niego resztki Orza Wiewu.

- Wydarzenie publiczne. Bóg to uwielbia.

Jak tylko Clive runął na podłogę, David wyciągnął Tabathę z galerii w przekonaniu, że nikt nie zauważy ich wspólnego zniknięcia. Miał słuszność. Z wyjątkiem księżniczki Anny i jej goryli, którzy pośpiesznie wyprowadzili ją z galerii, kiedy tylko Irek uniósł pięść do góry, nikt inny nie wyszedł.

- Do Savoya - powiedział David do taksówkarza, usadawiając się obok Tabathy na tylnym siedzeniu stylowej limuzyny.

- Myślałam, że zatrzymałeś się w Brownie - powiedziała.

Było to pierwsze pełne zdanie wypowiedziane przez Tabathę od chwili, kiedy David potłukł jej wazę. Wybierając twardą linię postępowania, wytłumaczył Tabacie, że nie zamierza dawać jej pieniędzy, jeżeli nie będzie mógł kierować jej karierą. Ta taktyka nie zaprowadziła go zbyt daleko. Tabatha była od tamtej chwili bardzo markotna.

- Savoy bardziej mi odpowiada. Spodobają ci się ogrody z widokiem na Tamizę.

Siedziała w milczeniu z utkwionym przed siebie wzrokiem. Przy każdym oddechu pierś jej unosiła się łagodnie.

- Chcę, żebyś przyjechała do Nowego Jorku - wypowiedział głośno swój od dawna przemyślany plan. - Wynajmę ci mieszkanie na poddaszu, takie jak Lauren, tylko o wiele ładniejsze. Będiesz miała swoją własną służącą, która będzie ci usługiwać.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Dlaczego?

- Bo cię lubię. Lubię być z tobą.

- Czy dlatego jedyną rzeczą, jaką mi pokazujesz, jest łóżko?

Oparł dłoń na oparciu siedzenia, lecz jej nie dotykał.



- Kiedy będziesz w Nowym Jorku, zabiorę cię, dokąd tylko zechcesz.

Jej twarz rozchmurzyła się.

- Zacznijmy od dzisiejszego wieczoru. Zjemy kolację w restauracji w Savoyu.

Wynagrodziła go półuśmiechem. Pogładził ją palcami po obnażonych ramionach.

- Najlepszy creme brulee w całym Londynie.

To stwierdzenie wywołało już pełny uśmiech. Warto było zaryzykować publiczne pokazanie się z nią. Dziś wieczorem wyglądała na dwadzieścia pięć lat - wystarczająco dużo, aby z nim być.

- Czy naprawdę miałeś na myśli to, co powiedziałeś o sprowadzeniu mnie do Nowego Jorku?

Opuścił dłoń na jej odkryte ramiona i pieścił jej jedwabistą skórę koniuszkami palców.

- Mówię zupełnie poważnie. Możesz tam studiować sztukę, jeżeli tylko będziesz chciała.

- Zapomniałam ci powiedzieć. Lauren ukończyła portret Ryana Westcotta.

David uśmiechnął się. Poczekajmy, aż Barzan się o tym dowie.

- Kupię ci coś specjalnego.

- Nie, nie. Nie zmuszaj mnie tylko nigdy więcej do tego, żebym ubierała się jak mała dziewczynka - wzięła jego rękę i położyła ją na swojej piersi. - Jestem kobietą.

Przez cienką tkaninę wyczuł gorącą, sterczącą brodawkę.

- Wiem, mój aniele. Jesteś dokładnie taką kobietą, jakiej potrzebuję.

- Okaż mi to. - W jej głosie pojawiła się agresywność, za którą przepadał. Lecz dziś wieczorem wszystko będzie inaczej. Musiał jej pokazać, kto jest szefem. Wyczuł dłonią, jak bardzo jej piersi domagają się uwagi, lecz celowo odmówił

jej pieśczoćy. Zamiast tego całował ją długo i namięćnie, natarczywie wsuwając swój język głęboko w jej usta.

Tabacie z rozkoszy zapało dech w piersiach, kiedy pocałował ją w czułe miejsce za uchem, a następnie okrążył małżowinę końcem języka. Kiedy całował jej szyję, jej oddech stał się urywany. Narastający w nim żar mógł złamać mocne postanowienie nieulegania pokusie; pokonał jednak pragnienie dotknięcia jej piersi.

Gładząc jej kolano, jakby od niechcienia ponownie odszukał jej usta. Języki ich zwały się w uścisku. Przesuwając centymetr po centymetrze ręką ku górze, wędrował palcami po delikatnej nylonowej tkaninie aż do miejsca zakończonego podwiązką, a stamtąd po nagiej, gorącej, zachwycającej, coraz bardziej wilgotnej skórze. Majtek, oczywiście, nie miała. Czuł, że Tabatha bardzo go pragnie. Krew w nim dochodziła do stanu wrzenia.

- Kto jest szefem? - zapytał, wysuwając dłoń spomiędzy jej ud.

Z wypiekami na twarzy, z kilkoma zabląkanymi kosmykami pokręconych włosów na wilgotnych policzkach, z oczami przysłoniętymi ciężko powiekami, Tabatha była w pasji.

- Ty - odpowiedziała.

Gwałtownym ruchem zsunął górną część jej okrycia, odsłaniając nagie piersi.

Ryan czekał w cieniu schodów prowadzących z galerii, aż Lauren wyjdzie na zewnątrz. Kilku ostatnich zataczających się gości wyszło na ulicę. Z odrazą pomyślał o tym, jak będzie wyglądać przyjęcie u Basila Blackstoke'a. Ryan nigdy nie widział tylu ludzi w jednym worku. Z pewnością był to wernisaż, którego nikt nie zapomni. Irek nie tylko sprzedał wszystko, co było do sprzedania, i odrzucił ofertę Nakamury, ale jeszcze znokautował Clive'a i nie chciał powiedzieć

dlaczego. Wspaniały numer. A jeszcze lepszy do oglądania w telewizji.

Lauren w końcu pojawiła się. Ryan zagwizdał, a kiedy się odwróciła, zbliżył się do niej. Zbiegła po schodach.

- Czy chciałabyś wyjechać ze mną na tydzień albo nieco dłużej?

- Bardzo, ale co z galerią?

- Leighton sobie z tym poradzi. Drukowaniem reprodukcji obrazów Irka nie będziecie się zajmować jeszcze przez najbliższe dwa tygodnie. Cóż zostało do zrobienia oprócz wysłania tego wszystkiego, co zostało dzisiaj sprzedane?

- Ale jest tu mój brat.

Zmartwienie, jakie usłyszał w jej głosie, wcale go nie zdziwiło. Jej brat będzie zrzędził. Ryan dobrze o tym wiedział. Tak czy inaczej, był to szalony pomysł. Nigdy by mu nie przyszedł do głowy, gdyby perspektywa spędzenia bez niej następnego tygodnia nie przygnębiała go tak bardzo.

- Paul zrozumie - zdumiała go odpowiedzią. - Dokąd jedziemy? Co mam z sobą wziąć?

Przesunął po wysokim kołnierzu z kryzą, stanowiącym zakończenie peleryny z tafty, którą miała na sobie, i ujął w dłonie kosmyk jej jasnych włosów.

- Jeszcze nie mogę ci powiedzieć. Ale musimy wyjechać za godzinę. Zabierz ze sobą jedną torbę z letnimi ubraniami. Zostaw wszystkie te szmaty, które wy, kobiety, zazwyczaj wszędzie ze sobą ciągniecie. Czekać na mnie przed swoim domem.

Skinęła głową. To właśnie mu się podobało: kobieta, która wie, kiedy nie należy zadawać pytań.

- Lauren, jeszcze dwie rzeczy. Zabierz ze sobą paszport. I nie mów nikomu, że jedziesz ze mną.

Vora wysunęła się z łóżka, starając się nie zbudzić Irka. Zakradła się do łazienki i zanim włączyła światło, zamknęła

za sobą drzwi. Uważnie zbadła w lustrze swoją sylwetkę. Jej talia była zagrożona, brodawki jej piersi miały odcień fioletu. Nie będzie w stanie już dłużej ukrywać swojej ciąży.

Vora nie wiedziała, co ma czynić. Zupełnie szczerze, nie wiedziała. Gdyby Lauren była w pobliżu, z pewnością by jej pomogła. Ale Lauren nie było. Zniknęła przed trzema dniami, zostawiwszy zwięzłą wiadomość, że została zmuszona do nagłego wyjazdu w interesach. Podobną informację zostawiła dla swojego brata, i Vora wytłumaczyła jej nieobecność stwierdzeniem, że Lauren załatwia interesy w Paryżu. Wiedziała jednak dobrze, że jest z Ryanem Westcottom.

Vora wykluczyła aborcję. Pragnęła tego dziecka, nawet gdyby Irek już nie chciał się z nią ożenić. Od czasu wystawy nie wspominał o tym ani razu. A teraz, gdy znajdował się w centrum uwagi Londynu, każda kobieta go pragnęła.

- Vora? - zawołał Irek.

Zablokowała drzwi i pośpiesznie narzuciła na siebie aksamitny szlafrok Irka.

- Otwórz! - uderzył mocno pięścią w drzwi.

Vora otworzyła szeroko drzwi i Irek - bez ubrania - wtargnął do środka. Popatrzył na nią, stojącą nieruchomo w zbyt obszernym stroju, wiszącym na niej jak toga na śpiewaczce w chórze, i zapytał:

- Co się dzieje? Ty tutaj każdej nocy.

- To chyba ta grypa. Ja...

- Kiedy powiesz mi o dziecku?

Skąd o tym wiedział? Przez chwilę zastanawiała się, lecz doszła do wniosku, że jest to bez znaczenia. Ważne było to, że żadne z nich nie było całkowicie szczerze.

- Kiedy powiesz mi o tym, co powiedział Clive?

Irek zaprowadził ją z powrotem do ciemnego pokoju i zaświecił nocną lampkę. Opadł na łóżko i poklepał miejsce

obok siebie. Vora powoli osunęła się na łóżko, przestraszona powagą w wyrazie jego twarzy.

- Liubow - powiedział, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Nie wiedziałem, co to znaczy, dopóki cię nie poznałem. Chcę, żebyś za mnie wyszła. Chcę nasze dziecko.

- Naprawdę? Mówisz szczerze?

Pochylił się ku niej i odgarnął opadające jej na policzek włosy.

- Kocham cię, Voro.

Nie chciała dopuścić, aby przeszłość rzuciła się cieniem na jej przyszłość.

- Co powiedział Clive?

- Duszeńka, nie będziesz chciała wiedzieć.

- Chcę. W miłości nie ma tajemnic.

- Chciał wiedzieć, czy... nadal upierasz się przy tym, aby być na wierzchu.

Vora zamknęła oczy, zadając sobie pytanie, cóż, na Boga, widziała kiedyś w Clive Holcombe. W przeciwieństwie do Irka, chętnie przyjmował wszystko, czym go obdarowywała: ubrania, samochód, wycieczki.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - wyszeptała. - Przed poznaniem ciebie byłam zupełnie inną osobą. Ja...

- Jeżeli mnie kochasz, to nic innego się nie liczy, duszeńka. Żadna rzecz. Powiedz, że za mnie wyjdiesz.

- Tak, oczywiście - wyszeptała raz jeszcze, walcząc ze łzami.

Rozchylił jej szlafrok i wciągnął ją pod przykrycie. Obdarzył ją powolnym, pełnym miłości pocałunkiem. Vora pomyślała, że podoba się jej to pełne czerwieni mieszkanie, o mile oddalone od Harrodsa. Tak długo, dopóki Irek był przy niej, czuła się szczęśliwa.

Jego pocałunki przesuwwały się coraz niżej, od szyi ku brodawkom jej piersi, gdzie zatrzymały się na dłuższą chwilę,

aby ponownie ruszyć w kierunku żeber i brzucha. Dotyk jego owłosionego torsu i deszcz opadających ciągle w dół pocałunków przeszył ją zmysłowym dreszczem.

- Irek, co ty robisz?

- Niech dziecko śpi - powiedział i wsunął głowę pomiędzy jej uda.

Po chwili leżała z głową złożoną na masywnej piersi śpiącego Irka. Opalizujące światło wczesnego świtu przesyłało rozsiane promienie słońca poprzez żaluzje. Nie mogąc zasnąć, Vora podniosła się z łóżka i poszła do kuchni, aby zrobić herbatę.

Wy tłumaczyła sobie, że niebiańskie dni, którymi cieszyli się przed wystawą, odeszły na zawsze. Nie tylko trzeba było wziąć pod uwagę dziecko, lecz także to, że będzie musiała pomóc Irkowi, w przeciwnym razie może zaprzestać malowania. W ciągu jednego wieczoru stał się bohaterem narodowym. Jaguar ofiarował mu nowy model XJS z otwieranym dachem. Firma Carrs dała nazwę „Liubov” swoim nowym herbatnikom. Pizzę pepperoni z olbrzymią ilością sardynek restauracja Pomodoro ochrzciła „Specjał Makarowa”.

Wilber McCallister zapewnił dożywotnią dostawę kaszmirowych skarpetek w dowód wdzięczności za otworzenie oczu Mootzie, zanim zdecydowała się poślubić Clive'a. Irek otrzymywał zaproszenia na kolacje dosłownie od wszystkich osobistości, poczynając od Lady Diany, która była świadkiem jego ciosu, a skończywszy na Cocteau Twins, którzy zaprosili Irka do swojego mieszkania na poddaszu w dzielnicy Soho na małe przyjęcie, gdzie potrawy w bufecie składały się wyłącznie z jarzyn. Lady Fiona pojawiła się w telewizyjnej pogadance w godzinach największej oglądalności i przez satelitę oznajmiła światu, jak należy przygotowywać ulubiony napój Irka - Orze Wiewu. Następnego dnia Ritz,

Connaught i Claridge rozpoczęły serwowanie tej mieszanki, a wiele prywatnych klubów podażyło ich śladem.

Oczywiście firma Tanqueray była dozgonnie wdzięczna, co potwierdziła nadesłaniem siedemnastu skrzynek Tanqueray Silver, a także zaproszeniem do wzięcia udziału w kilku reklamach. Irek był nieustannie nakłaniany do tego, aby przygotować książkę o sposobach przyrządzania swoich ulubionych napojów alkoholowych.

Większość z takich propozycji Irek traktował ze śmiechem i słowami „Dikij zapad”, lecz presji mass - mediów nie dało się łatwo zignorować. „Times” zamieścił artykuł wstępny na całą stronę, wysławiający zalety Irka i wyrażający żal z powodu nieoczekiwanego odejścia krytyka sztuki - Finleya Tibbettsa. „The Sun” i „Daily Star”, obsługujące tych, którzy wolą nie czytać, zamieściły serię fotografii. Oczywiście nokautujący cios znalazł się na pierwszej stronie. Oba brukowce wysławiały rycerskość Irka, który powalił Clive'a za to, iż ten uczynił nieprzyzwoitą uwagę na temat księżniczki Anny. Jej popularność gwałtownie wzrosła i dr Digsby policzył sobie za usługę podwójnie.

Również oddźwięk międzynarodowy był nie mniej głośny. Człowiek, na którego nie ma ceny. Świat był oszołomiony. Irek utrzymywał, że ma swoją cenę. Gdyby Nakamura zagroził, że odeśle go z powrotem do Rosji lub skrzywdzi kogoś z tych, których on kocha, oddałby mu obraz. Nikt tego nie słuchał - z wyjątkiem Vory. Dr Digsby wyjaśnił, że mass - media wykreowały własny obraz. Gdy cała historia znalazła się w prasie, wówczas przemówił Bóg.

Kiedy Vora nalewała herbatę, uwagę jej przykuło migotanie w urządzeniu do rejestrowania rozmów telefonicznych. Nacisnęła przycisk „Wiadomość”, spodziewając się usłyszeć głos Lauren. Zamiast niej odezwał się Egon Laurent, który prosił o natychmiastowe

skontaktowanie się z nim. Skasowała wiadomość, sądząc, że ten hurtowy sprzedawca reprodukcji, mający swoją siedzibę w Paryżu, chce złożyć zamówienie na reprodukcje prac Irka. Ale dlaczego dzwonił tutaj, a nie do galerii? Spojrzała na zegarek, po czym zadzwoniła do Paryża.

- Egon? - odezwała się, kiedy podniósł słuchawkę. - Mówi Vora Leighton. Dostałam twoją wiadomość.

- Czy wiesz o tym, że pojawili się na rynku jacyś ludzie, którzy oferują reprodukcje Irka po obniżonych cenach?

- Wydawnictwo Ravissant ma wyłączne prawa do ich druku. Nie zaczęliśmy jeszcze niczego drukować. To niemożliwe, żeby ktoś wiedział, które z jego prac zamierzamy wypuścić na rynek.

- Wydawnictwo Artists International oferuje „Velmę Liubov”, „Wołgę”, „Niet”, „Zeki” i „Kijów” - powiedział zatroskany Egon. - Można je kupić od razu.

Zbyt zaskoczona, aby cokolwiek powiedzieć, Vora nie mogła zrozumieć, w jaki sposób ktokolwiek mógł się dowiedzieć dokładnie, które z prac Ravissant zamierza wypuścić na rynek w formie reprodukcji. Nietrudno było się domyślić, że będzie to „Velma Liubov”, z powodu reklamy, jaką ten obraz otrzymał. Z wyjątkiem Lauren i Vory nikt - nawet Ryan - nie wiedział, które z pozostałych prac będą drukowane. Wiedział oczywiście Irek. Ktoś musiał puścić farbę przed kilkoma tygodniami. W przeciwnym razie reprodukcje nie mogłyby być gotowe zaledwie w kilka dni po wystawie.

- Te reprodukcje nie są autoryzowane - powiedziała Vora drżącym głosem. - Muszę skontaktować się z...

- Byłem przekonany, że tak właśnie jest. Jako że wystawa prac Makarowa okazała się niebywałym sukcesem, ceny nie pójdą zbyt w dół. Zdajesz sobie sprawę, że niektórzy



hurtownicy skorzystają z okazji i nie będą zadawać żadnych pytań.

- Tak, wiem - zgodziła się Vora.

Większość galerii kupowała reprodukcje u hurtowników. Przed laty, kiedy w każdym kraju była zaledwie garstka hurtowników, galerie promujące wybranego artystę - tak jak Ravissant - miały z nimi bezpośredni kontakt. Jednakże w wyniku zastosowania nowych technologii druku i wzrastającego popytu na plakat artystyczny setki hurtowników pojawiły się dosłownie z dnia na dzień.

- Dziękuję za wiadomość.

Vora odłożyła słuchawkę i patrząc przed siebie, usiłowała odgadnąć, kto dostarczył fałszerzom informacji. Cała ta afera mogła zaszkodzić karierze Irka. Wszystkie będące w obiegu reprodukcje niewiadomego pochodzenia są zapewne niskiej jakości, ze sfalszowaną sygnaturą i numerem. Lecz ludzie będą je kupować i według nich oceniać jakość prac Irka.

Rozważając potencjalnych podejrzanych, Vora wracała myślami ku Lauren. Któż inny mógłby to być? Irek nie miałby żadnego interesu w tym, aby sabotować własną karierę. Nie pozostawał więc nikt inny, jak tylko Lauren. Jednakże dlaczego miałyby to zrobić, skoro tak niestrudzenie pracowała nad przygotowaniem wystawy? Kiedy ukazał się artykuł Finleya, to właśnie Lauren za wszelką cenę usiłowała się skontaktować z członkami klubu Groucho. I to właśnie oni pojawili się na wystawie i zakupili większość prac Irka. Przypuszczenie, że za tym wszystkim stoi Lauren, wydawało się bez sensu.

Vora jeszcze raz rozważyła sytuację. Wzięła pod uwagę wszystkie możliwości. Kto jeszcze mógł wiedzieć o tym, jakie reprodukcje mają być przez Irka autoryzowane? Z ciężkim sercem podniosła słuchawkę i wykręciła numer Interpolu.

- Widzisz teraz, dlaczego nazwali to miejsce Czerwonym Miastem? - zapytał Ryan, kiedy dwusilnikowy samolot zniżał swój lot nad Marrakeszem.

- Wszystko jest tu czerwone - płaskowyż, kilometry murów, domy - odpowiedziała mechanicznie.

Gdyby wiedziała, że celem ich podróży jest Marrakesz, nigdy by nie pojechała. Kiedy przed laty opuściła to miejsce w towarzystwie Paula, przyrzekła sobie, że nigdy więcej już tu nie powróci.

Ale jednak znowu tu była - z miłości do mężczyzny. Popatrzyła na Ryana, zastanawiając się, czy postąpiła słusznie. A może był on wplątany w jakąś nielegalną działalność? Opuścili Londyn przed trzema dniami ukryci na pokładzie płynącego do Hiszpanii trawlera rybackiego. Znalazłszy się tam w środku nocy, ruszyli w dalszą drogę na Gibraltar. Uniknęli kontroli paszportowej i wyruszyli znowu pod osłoną nocy na pokładzie płynącej do Sebty barki ze śmieciami.

Dopiero kiedy weszli na pokład prywatnego samolotu, aby pokonać ostatni odcinek podróży, Ryan odkrył przed nią, że zabiera ją do Marrakeszu. Gdy samolot wylądował, Lauren zamknęła oczy. Nie bądź głupia - powiedziała do siebie, kiedy samolot zahamował i zatrzymał się. - Rupert Armstrong nie może już wyrzucić ci krzywdy.

Kiedy wychodzili z samolotu, powitało ich suche, ciepłe powietrze. Bezchmurne niebo koloru szafirowego stanowiło doskonałe tło dla cienkich smug śniegu, który ciągle tkwił na dostojnych szczytach Atlasu.

- Zapomniałam już, jakie to piękne miejsce - Lauren popatrzyła wokół na niezliczoną ilość palm daktylowych, których liście szeptały, poruszane łagodnym, wiejącym od strony gór wiatrem.

Ryan poprowadził ją w kierunku rozlatującego się rovera i wrzucił na tylne siedzenie bagaż składający się z dwu toreb.

Przy pomocy wycieraczek usunął z przedniej szyby warstwę czerwonego pyłu. Ruszyli wyboistą drogą w kierunku miasta.

- Ochra - odezwała się Lauren, spoglądając na miasto. - To jest kolor Marrakeszu. Nie czerwień. Nie róż, lecz ochra. Kiedy będę malować, będę musiała połączyć kolory, żeby ją osiągnąć.

Ryan zatrzymał się przed bramą otoczonej murem posiadłości i dwukrotnie zatrąbił. Gdzie, do diabła, są strażnicy? Ktoś powinien czuwać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zaspany strażnik wyszedł z willi potykając się, a za nim pojawiła się sfora rodezyjskich psów myśliwskich. Ryan uśmiechem uspokoił Lauren. Drzwi fortecy rozsunęły się.

Biedactwo. Była zdumiewająco wyrozumiała. Wiedział, że się o niego martwi. Myślała pewnie, że jest przestępcą.

- Czy długo zostaniemy w Marrakeszu? Niedługo - chciał powiedzieć, lecz się powstrzymał.

Musiał się przekonać, że Lauren ufa mu w pełni.

- Będziemy tu przez jakiś czas. Dlaczego?

Nie odpowiedziała od razu. W drodze z lotniska była cicha, zamyślona.

- Muszę zobaczyć się z matką. Ale nie chcę znaleźć się w pobliżu Ruperta Armstronga.

- Jesteś pewna? - zapytał Ryan. Nie chciał, aby Lauren zbliżała się do tej żmii.

- Tak - Lauren odwróciła się do niego. Jej niebieskie oczy błyszczały determinacją. - Jest coś, o czym muszę jej powiedzieć.

Ryan zastanawiał się, co to takiego, lecz nie nalegał, aby mu powiedziała.

- Mogłabyś spotkać się z nią w La Mamounia, w kafejce albo...

- W jakimś zupełnie odosobnionym miejscu. Matka nie jest sobą, kiedy znajduje się w otoczeniu innych osób. Zawsze zachowuje się na pokaz.

- Mam! W mellah.

- W żydowskiej części medyny? Nie, matka nigdy tam nie pójdzie.

- Pójdzie, jeżeli będzie sądziła, że to T.J. chce się z nią zobaczyć. Znam stary dom, w którym się zazwyczaj spotykali.

Ryan zatrzymał rovera, kiedy wjechali do garażu w tylnej części posiadłości, i dodał:

- Poślę jednego ze służących z wiadomością „Amour ne change”. Przyjdzie.

- Jesteś pewien? Być może po tylu latach...

- Caroline przyjdzie. Przysyłała do T.J. dziesiątki listów. Odsyłał je nie otwierając. - Ryan sięgnął do tyłu po torby. - Nie mogę z tobą pójść, ale wyślę Hassana.

- Nie chcę nikogo zabierać ze sobą. To coś, co muszę załatwić sama.

- Rozumiem, ale upieram się przy tym, aby Hassan ci towarzyszył. Medina nie jest bezpiecznym miejscem dla samotnej kobiety.

Medina nie zmieniła się od chwili, kiedy Lauren i Paul przemierzali labirynt jej ulic. Była przecież taka sama od wieków. Utkane z trzciny maty rozwieszone między domami dostarczały cienia wąskim korytarzom ulic. Na rogach gromadzili się mężczyźni. Niektórzy z nich zgodnie z wschodnim obyczajem siedzieli na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Obok przemykały kobiety o zawoalowanych twarzach i ze spuszczonej oczami.

Za namową Ryana, Lauren miała na sobie burnus i woalkę. Było jej gorąco pod przygniatającym kapturem, czuła się też zdenerwowana. Zmusiła się do tego, aby skupić się na tym, co widzi i słyszy dookoła, a nie na nieuchronnie zbliżającej się konfrontacji.

Kiedy przecinali Jemaa - el - Fna, Lauren szukała wzrokiem Rijel Zuraq - legendarnych „błękitnych mężów” pustyni. Miała nadzieję spostrzec starą kobietę, która sprzedawała jej bransoletę. Oczywiście nie było jej tu. Widzieli ją tylko ten jeden raz. Od tamtego czasu jest już tylko zamierzchną przeszłością.

Tradycyjne pokazy psów i kucyków były w pełnym toku. Było jeszcze zbyt wczesne popołudnie na tancerzy z Gwinei, lecz zaklinacze węży zaczęli już demonstrować swój kunszt grupkom turystów z poliestrowej Ameryki. Wokół jak zwykle skakali rozradowani turyści z obiektywami aparatów fotograficznych wycelowanymi w zaklinaczy, z których szyi zwisały śmiertelnie niebezpieczne bestie. Z trzaskiem aparatów wykonywali zdjęcie za zdjęciem. Zaklinacze kręcili się wkoło, a zęby gadów ścisnęły końce ich nosów. Za swój wysiłek otrzymywali kilka drobnych monet. Nie opodal jakaś kobieta robiła zdjęcie swojemu obwieszonemu aparatami fotograficznymi mężowi, stojącemu w towarzystwie pozującego nosiciela wody. Najważniejszą częścią jego

szkarłatnego stroju był kapelusz o szerokim rondzie z setkami zwisających z niego frędzli. Dziesiątki pieczołowicie wypolerowanych srebrnych kubków kołysały się na jego piersi, a na plecach umocowany był skórzany worek z wodą. Woda ta, przeznaczona dla turystów, miała być „bezpieczna”. Lauren wiedziała lepiej. Jeden łyk takiej wody i „Zemsta Allacha” była pewna.

Zostawiwszy z tyłu zatłoczony rynek, Hassan prowadził Lauren węższymi uliczkami. Przechodzili przez handlową część medyny, opanowaną nie przez fałszywych artystów, lecz przez w pocie czoła pracujących rzemieślników. Zatrzymała się przed jednym z domów i natychmiast zauważyła tkaczy. Berberowie. Arabowie pochodzili ze wschodu, Berberowie natomiast wywodzili się z Europy. Wyglądem niezwykle przypominali Francuzów. Lauren podziwiała kulturę berberyjską, kobiety mogły tu w pewnym stopniu decydować o swoim losie. W przeciwieństwie do kobiet islamu, wolno im było nawet posiadać ziemię.

Prawdziwi artyści - pomyślała Lauren, obserwując, jak radzą sobie z ręcznie farbowaną przędzą z wełny kozic górskich. Dwóch tkaczy stało po przeciwległych stronach gigantycznego krosna, a małe, pięcioletnie lub sześcioletnie dziewczynki biegały w obie strony, wiążąc nitki w supełki. Za rok lub dwa ich palce będą zbyt duże na to, aby móc asystować mistrzowi tkackiemu, kierującemu całą operacją. Zastąpią je wtedy młodsze dzieci. Poruszając się z gracją tancerzy baletowych, tkacze przyciskali pedały z potężnym hukiem i przesuając czółenka tam i z powrotem, snuli wątek.

- Musimy iść - Hassan pociągnął ją za ramię.

Podążając za nim, rozmyślała o podobieństwie wzornictwa wyrobów tkackich amerykańskich Indian i Berberów, którzy również wykorzystywali szewrony i motywy rombu. Ostatnimi laty modne stały się od dawna faworyzowane przez

Berberów lekko pikowane tkaniny. Ludzie z Zachodu domagali się od niewielkiej populacji Berberów coraz większej ilości dywanów. Nawet Paul chciał jeden dla siebie.

- To tutaj - Hassan wskazał na drzwi na końcu ponurego korytarza, tak wąskiego, że nie mogli iść obok siebie.

Lauren podniosła antyczną zasuwę i niebieskie drzwi otworzyły się, skrzypiąc tak, jakby zadawano im torturę. Jedyna paląca się w środku lampa naftowa z biedą wystarczała na skąpe oświetlenie wnętrza. W przeciwieństwie do pozostałej części medyny, w mellah nigdy nie założono elektryczności.

W pomieszczeniu było gorąco, Lauren zdjęła więc burnus i woalkę i rozejrzała się po pełnym cieni pokoju. W ciemnym rogu znajdowało się łóżko z trzciniowym materacem. Lauren trudno było sobie wyobrazić swoją matkę kochającą się na nim z T.J. Lecz, kto wie? Nigdy nie potrafiła jej zrozumieć.

Podłoga pokoju była ubitą glebą, a ściany zbudowano z ceglastej gliny. Na jednej ze ścian widniała przybita gwoździem fotografia mężczyzny na wielbłądzie, z roku około 1880. Dziwne. W tamtych latach Żydom nie wolno było posiadać wielbłądów. Ani koni czy osłów. Gdziekolwiek się wybierali, musieli polegać na swoich dwu nogach.

Powoli podeszła do fotografii, aby z bliska przyjrzeć się wielbłądowi. Jak większość tych zwierząt, także i to wyglądało wyniośle. Według legendy jedynie wielbłąd zna wszystkie imiona Allaha.

Matka jak zwykle była spóźniona. Caroline zawsze celebrowała wejście. Zawsze. Lauren krążyła po pokoju niecierpliwie, aż wreszcie usłyszała dźwięk podnoszonej zasuw. Wycofała się w zacienione miejsce koło łóżka.

Do pokoju weszła posuwicie jej matka, starając się przeniknąć ciemność szeroko otwartymi oczami. Lauren zobaczyła siebie z dwudziestoletnim wyprzedzeniem. Cera

bez skazy, prawie bez zmarszczek, okalająca wystające kości policzkowe. Włosy już nie blond, lecz przysrebrzone; mimo to twarzowe, łagodzące ledwie dostrzegalne linie wokół oczu i ust.

Matka przystanęła i teatralnym gestem rozpięła burnus, pod którym widniała zdumiewająco gustowna biała sukienka, podkreślająca jej młodą wciąż sylwetkę.

- T.J.?

Lauren postąpiła kilka kroków do przodu.

- Nie. On nie przyjdzie.

Matka ze zdumienia otworzyła usta.

- C... co ty tu robisz? Gdzie jest T.J.?

Lauren była przerażona tym, że słowa uwięzły jej w gardle, mimo iż wiele razy przećwiczyła to, co ma powiedzieć. - Żądam wyjaśnień. Co się tu dzieje?

- Czy nie cieszysz się, że mnie widzisz... mammo? Nerwowo przygładziła doskonale ułożone włosy.

- No cóż, oczekiwałam...

- T.J. nie chce cię widzieć. Wykorzystałam jego bilecik, aby cię tu zwabić. Mam ci coś do powiedzenia.

Twarz Caroline stała się zacięta, a po chwili pojawił się na niej wyraz irytacji, który Lauren tak dobrze pamiętała.

- Co?

- Czy znasz prawdziwy powód, dla którego uciekłam?

Powiodła po pokoju swoimi zimnymi niebieskimi oczami, jakby w poszukiwaniu drogi ucieczki.

- To było dawno temu. Nie ma to teraz znaczenia.

- Dla mnie ma - Lauren poczuła duszenie w gardle, jakby ręka Ruperta oplotła jej szyję. - Uciekłam, ponieważ Rupert zmuszał mnie...

- Nie wiem, o czym mówisz. Bez pieniędzy Ruperta...

- Wiesz dokładnie, co mam na myśli. Zmuszał mnie do odbywania z nim stosunków seksualnych - powstrzymując



gniew, Lauren mocno akcentowała każde słowo. - Przez cały czas wiedziałaś, co ze mną robi. Nie uczyniłaś jednak nic, aby mi pomóc. Prawda?

Kiedy piekące marokańskie słońce znikало za zachodnim horyzontem, jego promienie nabierały odcienia łagodnego koralu. Ryan przechadzał się po werandzie. Wrzeszczący muezzin oddzielał swoim nawołującym do wieczornej modlitwy tremolo wiernych od odszczepieńców. Gdzie, do diabła, jest Lauren?

W znajdującym się poniżej ogrodzie strażnicy z czcią klęczeli na rozłożonych do modlitwy dywanach, z przyciśniętymi do ziemi głowami skierowanymi w stronę Mekki.

Byłoby lepiej, gdyby Hassan nie zostawił Lauren samej sobie udając się na modły do jakiegoś przekłętego meczetu. W medynie mogło wydarzyć się wszystko.

Usłyszawszy dzwonek telefonu, pośpieszył w jego kierunku: wiedział, że w czasie modłów nikt inny na niego nie zareaguje.

- Mese el khair.
- Ryan Westcott? - odezwał się głos Stirlinga.
- Słucham - powiedział Ryan. Miał nadzieję, że ten telefon będzie od Lauren.
- Przyjeżdża do Londynu. Jak szybko możesz tu być z powrotem?

Barzan. A więc w końcu decyduje się na ruch.

- Wyjeżdżam z Tindouf w piątek w południe.
- Nie. Nie przekraczaj granicy z Algierią. Oddziały Polisario zaatakowały kilka obiektów znajdujących się w pobliżu granicy. Skorzystaj z pasa startowego w Zagorze - Stirling odłożył słuchawkę bez żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Ryana wypełniło nieodparte przeczucie kończącego się oczekiwania. Jeżeli szczęście będzie po jego stronie, to w przyszłym tygodniu o tej porze stanie się wolnym człowiekiem. A Carlos Barzan znajdzie się tam, gdzie jest jego miejsce - za kratkami.

Spacerując po wyłożonej płytkami posadzce, Ryan przypomniał sobie raz jeszcze, że musi być w najlepszej formie, jeżeli ma zamiar pochwycić Barzana w pułapkę. Walka z wrogiem, o którego miejscu pobytu i sposobie przygotowywanego ataku nie ma się żadnego pojęcia, jest sprawą niezwykle trudną. Być może Stirling wie więcej, niż powiedział. Ostrożny facet. Rzadko kiedy jest wylewny przez telefon.

Oznaczało to, oczywiście, że Ryan nie będzie mógł ponownie spotkać się z Lauren, kiedy pojawią się w Londynie. Gdzie ona jest? Właśnie w tym momencie usłyszał zatrzymujący się przed domem samochód. Wybiegł na zewnątrz i odetchnął z ulgą, kiedy ujrzał jasne włosy Lauren.

- Przepraszam za spóźnienie. Po rozmowie z matką poprosiłam Hassana, żeby mnie zabrał do miejsc, gdzie można obejrzeć berberyjskie dywany. Paul...

- Poszłaś na zakupy?

On zamartwiał się jak kretyn, a ona była na zakupach! Lauren przytuliła się do niego.

- Typowa kobieca cecha. Będzie lepiej, jak się do niej przyzwyczaisz. Jeżeli ja toleruję twoje przekleństwa, ty możesz od czasu do czasu wytrzymać, kiedy trochę zaszaleję w sklepach.

Trudno było gniewać się na nią, kiedy patrzyła na niego tymi swoimi niebieskimi oczami. Wprowadził ją do gabinetu i nalał sobie porcję ginu, a dla niej przygotował kieliszek białego marokańskiego wina boulaouane. Wziąwszy kieliszek w dłoń, Lauren usiadła na otomanie. Ryan chciał się

dowiedzieć, jak jej poszło z matką, lecz postanowił nie pytać. Skoro ona nie naruszała jego prywatności, on powinien postąpić tak samo.

- Przepraszam, że musiałeś się martwić - powiedziała, kiedy usiadł obok niej. - Paul chciałby mieć dywan berberyjski w korytarzu.

Postawiła kieliszek na obitym cienką skórą stole.

- Myślałam o nim cały czas, kiedy rozmawiałam z matką, tak więc później udałam się na poszukiwanie dywanu.

- Jak się ma twoja matka?

Lauren nie wiedziała, jak ma wyrazić uczucie niezwyklej ulgi, jakiego doznała spotkawszy się z matką po tych wszystkich latach.

- Matka wszystkiemu zaprzeczała, lecz kiedy przycisnęłam ją do muru, wyznała w końcu, że przez cały czas była świadoma, że Rupert mnie molestuje.

Jej słowa wywarły na nim ogromne wrażenie. Przed oczami wyłonił się obraz jego własnej matki, wyraźnie uśmiechającej się z czułością. Wspomnienia z dzieciństwa - jedne przyjemne, inne nie. Jednak przez cały ten czas czuł potęgę jej miłości.

- Dzięki Bogu, miałaś jeszcze brata.

Milczała. Zamiast odpowiedzi, popatrzyła na przeciwległą stronę pokoju, gdzie na ścianie wisiał utkany gobelin.

- W pierwszej chwili byłam niezadowolona, że mnie tu przywiozłeś. Teraz jestem ci wdzięczna. Po rozmowie z nią czuję się o wiele lepiej.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy?

- Przez wiele lat trzymałam te okropne wspomnienia za szczelnie zamkniętymi drzwiami. To ty zmusiłeś mnie do tego, abym przeanalizowała swoją przeszłość i spojrzała na siebie inaczej. Ostatnio doszłam do wniosku, że psychoterapeuta, który zajmował się mną w Paryżu, miał

rację. Utrzymywał, że bardziej winne jest to z rodziców, które dopuszcza do przedłużania zaistniałej sytuacji. Powiedział, że w wielu przypadkach matka wie - świadomie lub podświadomie.

Ryan znów pomyślał o swojej matce. Pozwalała, aby Buck go bił, do chwili, kiedy sam mógł siebie obronić. Dlaczego nie położyła temu kresu?

- Czasami kobiety obawiają się być same i zostają z mężczyznami, których powinny porzucić. Tak jak moja matka.

Lauren nie mogła wyobrazić sobie ojca, który nie byłby dumny z Ryana. Ryan opowiedział jej o swoich młodych latach i o wszystkich sportowych i naukowych nagrodach. Dlaczego ojciec go nie kochał?

- Moja matka nie obawiała się. Była chciwą egoistką. Zwierzyła się, że nigdy nie kochała ani mojego ojca, ani Ruperta. Wyszła za męża dla pieniędzy i dla pozycji. Poświęcenie mojej osoby nigdy nie było dla niej problemem. Nawet teraz, kiedy zdaje sobie sprawę z tego, że ja wiem, wcale jej to nie niepokoi. Bardziej obeszło ją to, że nie spotkała się z T.J.

- Mam nadzieję, że powiedziałaś tej dziwce, żeby smażyła się w piekle.

- Nie. Kiedy wychodziłam, powiedziałam, że jej przebaczam.

- Chyba żartujesz - odparł Ryan, mimo iż szczerść malująca się na jej twarzy świadczyła o tym, że traktuje poważnie każde słowo.

- Utkwiło mi w pamięci coś, co powiedział kiedyś Irek. Wybaczył Rosji i nie tracił czasu na rozpamiętywanie czegoś, czego nie mógł zmienić. Nie żywię do matki nienawiści. Gdyby tak było, gryzłoby mnie to nieustannie. Zamknęłam drzwi przeszłości na zawsze.

- Czy to oznacza, że przebaczasz także Rupertowi?

- Żal mi go. To chory człowiek.

- Tak, masz rację, jest chory - głos Ryana przeszedł od gniewu do niedowierzania. Miał dowód na to, o czym zawsze myślał. Kobiety są cholernie miękkie, zbyt miękkie. - Armstrong leży w łóżku i cierpi. Czujna ręka sprawiedliwości. Muzułmanie wymyślają karę stosowną do popełnionej zbrodni. Obcinają dłoń za kradzież, a ucho za podsłuchiwanie. I tym podobnie. Wymyślili interesującą garotę, którą stosują na „klejnotach rodzinnych”.

- Nie mówisz chyba poważnie.

Brzmiało to tak barbarzyńsko, że Lauren nie bardzo rozumiała, co Ryan ma na myśli.

- Nie sądzisz chyba, że puściłem płazem to, co ten łajdak zrobił? Powiedziałem Hassanowi, aby się tym zajął. Wolałbym osobiście zająć się Rupertem, ale miejscowi chłopcy dotarli do niego wcześniej - Ryan dostrzegł wyraz przerażenia na jej twarzy. Kiedy było trzeba, potrafiła być odważna, często jednak była zbyt łagodna. - Kiedy byłaś z matką, wpadłem odwiedzić Ruperta. Chciałem, żeby dokładnie wiedział, kto za tym stoi. Powiedziałem, że przesyłasz mu gorące pozdrowienia.

Setki ubranych w powiewające na wietrze białe suknie jeźdźców na koniach arabskich ruszyło prosto na nich pełnym galopem. Lauren siedziała na ziemi obok Ryana. Czuła, że ma serce w gardle. Berberowie gnali ku nim jak burza, wymachując wzniesionymi w niebo karabinami. Nagle gwałtownie stanęli w miejscu. Wymierzyli do nich z karabinów i wystrzelili. Strzały przeszły powietrze i odbiły się echem pośród stromych wąwozów i wysokich szczytów Atlasu z pobliskim wierzchołkiem Tizi N'Tichka. Konie zakręciły się w miejscu, jeźdźcy wydali okrzyki wojenne i wycofali się.

- Przestraszyłaś się? - zapytał Ryan.

- Trochę - przyznała Lauren. - Wiedziałam, że to pokaz siły, jednakże kiedy się do nas zbliżali, zaczęłam się obawiać.

- Ćwiczą od najmłodszych lat, aby jeździć z taką precyzją. Równiny zawsze należały do Arabów, góry do Berberów. Są przygotowani do ich obrony. Pokaz, który widzieliśmy, ma demonstrować ich umiejętności, gotowość do walki w obronie ziemi.

- Ale, Ryan - powiedziała Lauren, rozglądając się po zgromadzonych na festiwalu Berberach - cóż oni mogą obronić tymi karabinami?

Ryan podniósł się i pomógł Lauren wstać.

- Nie zapominaj o Afganistanie. Berberowie są ulepieni z tej samej gliny - to nieokiełznani ludzie gór. Od wieków żyją w ten sam sposób. Jeżeli zostaną do tego zmuszeni, będą bronić własnej ziemi, ale wątpię, żeby musieli się o cokolwiek martwić. Król Hassan zostawia ich w spokoju.

- Nie sądzisz, że mógłby poszukać bogactw mineralnych albo czegoś w tym rodzaju w górach Atlasu, zamiast bić się o Saharę z frontem Polisario?

- Może któregoś dnia tak uczyni. Kto wie? - uśmiechnął się do niej. - Czy chcesz zostać i zobaczyć guedrę, czy wolisz raczej rozejrzeć się za dywanem? Nie mamy czasu na jedno i drugie. Muszę być w Ouarzazate przed nadejściem zmroku.

- Chodźmy poszukać dywanu dla Paula. Guedrę widziałam już wcześniej - odpowiedziała, przypominając sobie taniec siedmiu woalek, wykonywany w pozycji siedzącej przez zespół berberyjskich dziewcząt. Był to niezły pokaz, jednak chciała sprawić Paulowi niespodziankę dywanem.

Lauren i Ryan przechadzali się po leżącej na uboczu wiosce i uważnie przyglądali się dywanom zwisającym z krosien zbudowanych z pali, służących zazwyczaj do

podtrzymywania chat. Tkacze opuścili swoje stanowiska, aby wziąć udział w festiwalu, zostawiając na krosnach nie dokończone dywany. Obok każdego krosna znajdowały się jednak stosy gotowych już dywanów przeznaczonych na sprzedaż hurtownikom, którzy następnie wysyłali je do Europy i Ameryki.

Kiedy Lauren zdecydowała się już na dywan dla Paula, udali się na poszukiwanie tkacza, który właśnie doglądał mechoui. Nad paleniskiem z węglem drzewnym, na poruszonym ręcznie rożnie, smażył się barani tułów. Kiedy Ryan wyjaśnił, czego chcą, mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową na żonę, dając do zrozumienia, że to ona powinna prowadzić negocjacje. Jak większość berberyjskich kobiet, miała na sobie ciężką biżuterię ze srebra, wysadzaną kamieniami o przedziwnych kształtach. Miała ona przynosić szczęście.

- Dla ciebie? - zapytała kobieta po arabsku, kiedy przyszli do jej chaty.

- Dla mojego brata - wytłumaczyła Lauren.

Kobieta uśmiechnęła się, marszcząc policzek, na którym wytatuowany był znak plemienia, do którego należała. Targowały się przez dziesięć minut, zanim w końcu ustaliły cenę.

- Hej, to właśnie to, co uwielbia każda kobieta - przekomarzał się Ryan, rzucając dywan na tylne siedzenie rovera. - Ubicie interesu. Prosto z fabryki i poniżej ceny hurtowej.

- To prezent dla Paula na Boże Narodzenie - Lauren wdrapała się do samochodu.

- Czy mam być zazdrosny? - zapytał Ryan, włączając silnik. - Bardzo go kochasz, prawda? Był na miejscu, kiedy go potrzebowałam.

- Kocham was obu - każdego inaczej. Wyjechawszy z Telouet, ruszył w stronę Ouarzazate.

Utkwił wzrok w drogę pełną pułapek, lecz nie przestawał myśleć o Lauren. Była to kobieta silna, która wiedziała, czego chce. Dzięki odwadze i determinacji uratowała wernisaż prac Irka, zapraszając na nią członków Groucho. Zaproszenie grupy intelektualistów było przejawem geniuszu. Właśnie oni wskazali inną drogę, kupując prace Irka bez zwracania najmniejszej uwagi na to, co mogą pomyśleć krytycy.

Ryanowi wydawało się, że właściwie jest zadowolony z tego, że Lauren nie czuje nienawiści ani do matki, ani do tego niegodnego noszenia miana człowieka nieszczęśnika Ruperta. Gorycz mogłaby ją zmienić. A on kochał ją taką, jaka była. Wyłoniwszy się z piekła, przez które przeszła, stała się silną kobietą.

Kiedy zjeżdżali z góry, Lauren patrzyła przez okno. Nigdy nie widziała gór Atlasu po tej stronie. W przeciwieństwie do ich pokrytej zielenią zachodniej twarzy, wschodnia część była wypalona promieniami afrykańskiego słońca, które pozostawiło jałowe pustkowia. Lecz kiedy znaleźli się w dolinie Draa, jej oczom ukazały się wioski, ciągnące się wzdłuż tarasów porośniętych kukurydzą i jęczmieniem.

W końcu na horyzoncie pojawiło się Ouarzazate. Betonowe bunkry zamiast typowych budowli arabskich. Niewątpliwie ten sam architekt, odpowiedzialny za zaprojektowanie ambasady amerykańskiej w Londynie, zaprojektował tę placówkę na progu pustyni. Poczuli ulgę, kiedy zostawili za sobą drażniący oczy widok i wjechali do kazby.

Zatrzymali się przy glinianym budynku z zachwaszczonymi kwietnymi grządkami, otoczonymi rzędami stojących do góry dnem porozbijanych butelek po piwie. Ryan zostawił Lauren we wnętrzu chaty, a sam wyszedł, aby



załatwić jakiś interes. Lauren zapaliła lampę naftową. W oddali słyhać było muezzina, płaczliwie nawołującego wiernych do modlitwy wieczornej. Lauren przeszła do przyległego pokoju, w którym odkryła jedno łóżko z materacem z trzciny, takie samo jak to, które widziała w mellah.

Nadal dziwiło ją to, że matka widywała się tam z T.J. Chyba musiała go kochać. Ale nie na tyle, żeby okazać mu pomoc, kiedy jej potrzebował. Czy pokonałaby całą tę drogę nie wiedząc, o co chodzi? Na wiarę? Z miłości? Oczywiście, że nie. Była płytką kobietą. Niezwykle odpowiednią dla Ruperta.

A T.J. Griffith? Za każdym razem, kiedy Ryan o nim mówił, w jego głosie dało się wyczuć wyraźny szacunek. To musi być wspaniały człowiek. Ryan nie darzył szacunkiem zbyt wielu osób. Jak to się jednak stało, że T.J. nie przejrzał jej matki? Nie potępiaj go. Przypomniała sobie o własnym ojcu. Teraz, kiedy była w pełni dojrzała, przywoływała z pamięci wiele z jego powiedzeń. Odkrył prawdę o matce, kiedy było już za późno. Równie dobrze mógł ją zostawić, gdyby nie Paul i Lauren.

Griffith pomylił się w ocenie jej matki. Lauren miała nadzieję, że nie pomylił się w ocenie „Północy w Marrakeszu”. Postanowiła, że kiedy wróci do Londynu, więcej czasu poświęci malowaniu. Była teraz o wiele bardziej dojrzała, silniejsza. Nie da się zniechęcić krytykom.

Leżąc na trzciniowym materacu, postanowiła, że uwolni siebie i Paula od Barzana. Starła się nie zastanawiać nad postępowaniem Ryana. Jej ostatnią myślą przed zaśnięciem było to, że sprawy jakoś się ułożą. Sny Lauren, ściganej przez przeszłe wydarzenia i niepewną przyszłość, momentalnie stały się torturującymi koszmarami. Pozbawione ciała dłonie podążały za nią nieustannie; przebiegały po jej ciele.

Nagle obudziła się z lękiem. Otaczała ją zupełna ciemność. Jakaś ręka ścisnęła jej usta; druga była we włosach. Rupert. Wypełniła ją narastająca groza. Zabije ją po tym, co z nim zrobili. Zatopiła w niego paznokcie, gryząc go w rękę i kopiąc.

- Lauren, przestań - Ryan przycisnął ją do materaca swoim wielkim ciałem.

- Ryan?

- Czy znasz w Ouarzazate kogoś innego?

- Miałam zły sen. Nie słyszałam, kiedy wszedłeś.

- Chciałem być romantyczny.

- Wiesz, że mam te lęki związane z rękami we włosach.

- Po prostu odgarniałem je z twojej twarzy - położył się obok niej. - Krzyczałaś, dlatego położyłem ci rękę na ustach, zanim obudzisz całą kabbę.

- Czy załatwiłeś swoje interesy? - zapytała dotykając jego obnażonej piersi i pieszcząc nagrzaną słońcem skórę.

- Uhm - pocałował ją powoli, po czym położył się na plecach. - Chodź tutaj.

Podniosła się błyskawicznie i zrzuciła z siebie ubranie. Kiedy kładła się na nim, poczuła wyprostowany członek pomiędzy jego udami. Miarowo poruszając biodrami, wtuliła się w niego. Pochwycił ją za pośladki i przycisnął do siebie. Zwarte w pocałunku języki naśladowały ruch bioder. Wbiła paznokcie w jego ramiona, zostawiając na jego skórze półksiężycy.

- Kiedyś myślałam, że kochając się z tobą, wykreślę cię ze swojego życia, ale myliłam się.

Wsunąwszy w usta brodawkę jej piersi, rzeźbił ją tak długo, aż stanęła wyprostowana. Żar zalał jej ciało, kiedy wskazywała mu drogę. Wydali z siebie w tej samej chwili jęk rozkoszy.

Ryan nieruchomo trzymał w dłoniach jej biodra.

- Czy ty masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?

Chociaż był to czerwiec, typowo zimowa mgła zasnuła angielski krajobraz, kiedy ich samolot podchodził do lądowania na odległym pasie. Obniżając łagodnie wysokość, zetknął się z chropowatą powierzchnią lądowiska. Izraelczyk, którego zabrali na pokład w Ouarzazate, mamrotał coś pod nosem po hebrajsku. Uczucie żalu zastąpiło nastrój szczęśliwości Lauren. Kiedy znowu ujrzy Ryana? Nagle poczuła, że chce wracać na pokrytą kurzem drogę starożytnych karawan, prowadzącą z Ouarzazate do Zagory. Dzieląc odwieczną pustynną linię życia łączącą oazy z osiodłanymi wielbłędami i osłami, Lauren wystarczała do szczęścia sama obecność Ryana. Nie martwiły jej już więcej jego tajemnicze sprawy. Ufała mu.

- Wydam Adiemu polecenie, aby dostarczył do ciebie dywan dla Paula - odezwał się Ryan, kiedy samolot kołował do hangaru. - Ktoś na mnie czeka. Musimy się tutaj pożegnać.

Wziął ją w ramiona i przycisnął usta do jej warg. Pochwyciła go, drżąc pod wpływem słodkiej czułości jego pocałunku. Zbyt szybko oderwał od niej usta i uniósł się do wyjścia. Poprowadził ją metalowymi schodami do miejsca, gdzie paląc fajkę czekał na niego starszy mężczyzna. Popatrzył na Lauren z niechęcią.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - wykrzyknął Peter, kiedy zostali sami.

- Powiedziałeś, że nie jest podejrzana - odparł Westcott swoim zwykłym zuchwałym tonem.

- To było w ubiegłym tygodniu. Nie miałem pojęcia, że ona jest z tobą.

Peter przeklął w duchu swoich ludzi za to, że stracili Westcotta z oczu tego wieczoru, kiedy organizowano wystawę. Zbyt wiele samochodów, zbyt wiele pijanych osób,

zbyt wiele usprawiedliwień. Zbyt późno - teraz. Zapalił fajkę i zaciągnął się głęboko, starając się uporządkować myśli.

- To właśnie ona.

- Co masz na myśli - silnie zmarszczone brwi Ryana spotkały się.

- To ona jest agentem Carlosa Barzana. Wkrótce zaatakuje.

- Pieprzysz, to niemożliwe! Lauren nie mogłaby...

- Jaki dowód chciałbyś zobaczyć? - Peter był zaskoczony, że taki twardziel jak Westcott dał się Lauren Winthrop tak omotać. Praca z amatorami to tortura. Czas się wycofać. - Nasza wtyczka odszyfrowała dane z komputera Barzana. Lauren Winthrop kupiła Ravissanta z funduszy Carlosa Barzana. Obecnie wspiera on finansowo także jej brata.

- Użył podstępu, aby ją w to wmieszać. Ona nie mogłaby...

- Obawiam się, że jest inaczej. Lauren jest niezwykle sprytna. Wykorzystała Tabathę Foley do przekazywania Barzanowi wiadomości poprzez Marcusa.

Ryan odwrócił się od oskarżycielskiego wzroku Stirlinga. To niemożliwe, żeby Lauren była w to wplątana. Lecz Peter Stirling to niezwykle ostrożny, metodyczny facet, który nie wysuwałby oskarżeń, nie mogąc ich udowodnić. Przeszył go nagły ostry ból, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Czyżby dał się nabrać córce Caroline Armstrong?

- A co z podsłuchem w jej mieszkaniu?

- Potrzebny im był numer telefoniczny Greyburne Manor. Najwidoczniej Barzan zamierza zadzwonić do T.J.

Peter dał Ryanowi czas na przetrwanie tej informacji, podczas gdy sam myślał o tym, jak mistrzowskie było to posunięcie. Dzięki Julii Hartley Amerykanie mieli teraz trzynaście sposobów na to, żeby posłać Carlosa Barzana do piekła, oskarżając go o unikanie płacenia podatków i

falszerstwo. Od czasu, kiedy Vora Leighton pokrzyżowała plany Barzana, aby zalać rynek podrobionymi reprodukcjami i w ten sposób ukryć nielegalne dochody z handlu narkotykami, Brytyjczycy mieli go na widelcu i mogli go oskarżyć o falszerstwo. Peter przekonał Amerykanów, że powinni wstrzymać się z aresztowaniem Barzana. Wierzył, że MI - 5 będzie w stanie przyłapać go na usiłowaniu morderstwa i przygwoździć o wiele wyższym wyrokiem sądowym. Ale teraz Winthrop mogła pokrzyżować plan MI - 5.

- Co jej powiedziałaś? - zapytał Peter. - Nic.

Chyba nie podejrzewa niczego?

Peter opanował pokusę dalszego maglowania Ryana. Ból, który pojawił się w jego głosie, wystarczył dla przejrzystości obrazu. Ryan zakochał się w tej pięknej kobiecie. Nie był to pierwszy tego typu przypadek. W końcu Peter też był kiedyś zakochany do szaleństwa w Amy Thorpe.

- Wiesz, kobiety mają o wiele większe predyspozycje do oszukiwania niż mężczyźni. Moje doświadczenie mówi, że najlepszymi szpiegami zawsze są kobiety - amatorki. Weźmy taką Amy Thorpe - powiedział Peter, próbując zmniejszyć poczucie winy u Ryana. - Dostarczyła nam plany niemieckiego supertajnego urzędu kodującego. Wywiad niemiecki nigdy nie dowiedział się o tym, że mamy dostęp do wszystkich jego komunikatów. Następnie przerwaliśmy Amy do Waszyngtonu, gdzie weszła w posiadanie księgi kodów włoskiej marynarki wojennej dzięki kontaktom z jej poprzednim szefem wywiadu. Zdołała nawet uzyskać dostęp do ksiąg kodowych francuskiej marynarki wojennej, znajdujących się w kwaterze głównej w Vichy.

W przeciwieństwie do tego, co sugerował Stirling, Ryanowi nie wydało się trafne porównanie Lauren z Matą Hari albo Aliną, księżną Romanones, która pracowała dla OSS w czasie drugiej wojny światowej. Mimo to zrozumiał

nareszcie fatalne zauroczenie swojego ojca osobą Caroline Armstrong. Czarownice. Dziwki. Powinien dobrze o tym wiedzieć, podobnie jak T.J.

Dlaczego zawsze był mądry po szkodzie? Po Wietnamie obiecywał sobie, że nigdy więcej nie będzie świadkiem przemocy i zabijania. Doświadczenie z Zairu wyryło w nim trwałe ślad. Wtedy trzeba było ponieść konsekwencje niepotrzebnej śmierci. Jednakże nic nie dorównywało zdarzeniom związanym z osobą Roberta Barzana. Absolutnie nic.

Ten szaleniec dostał cynk, że Ryan i T.J. prowadzą badania nad diamentami. Robert nalegał, aby przedyskutowali sprawy finansowe z ojcem, Carlosem Barzanem. Sądząc, że Barzan może zapewnić kapitał, dzięki któremu udałoby się sfinalizować mogące trwać lata kosztowne eksperymenty, Ryan i T.J. kilka razy spotkali się z Carlosem. Postanowili zaryzykować i zainwestować własne pieniądze, nie dopuszczając innych do interesu. Postawili wszystko na jedną kartę: albo uda im się opracować nową technologię, zanim wyczerpią się fundusze, albo... ktoś inny wyprzedzi ich w wyścigu po patent. Nigdy nie przypuszczali, że Robert Barzan wykręci idiotyczny kaskaderski numer i pojawi się w laboratorium z zamiarem wykradzenia wyników testów i prototypu urządzenia. Kiedy wyciągnął broń, Ryan i T.J. sądzą, że Robert blefuje. Było jednak inaczej. Gdy doszło do szamotaniny Roberta z T.J., padł strzał, który śmiertelnie ranił Roberta. Bezskutecznie usiłowali przywrócić go do życia, kiedy pojawili się agenci MI - 5. Okazało się, że mieli Roberta na oku w związku z toczącym się śledztwem w sprawie przemytu narkotyków. Nakłonili T.J. i Ryana do współpracy z nimi po to, aby pochwycić Barzana w pułapkę i położyć kres prowadzonym przez niego interesom z narkotykami. Według informacji MI - 5 jedyną słabością Barzana był jego syn.

Aby zadowolić prasę, brytyjski wywiad wymyślił historię o pewnej postaci z podziemnego świata, która zabiła Roberta w następstwie afery diamentowej, ale jednocześnie zadbał o to, aby Barzan mógł odkryć prawdę. Wówczas mogli już czekać na jego ruch. Barzan sam zbudował swoje imperium. Mówiono o nim, że również sam zajmuje się niewygodnymi ludźmi. Z pewnością spróbuje osiągnąć T.J. osobiście. Wtedy można by go przyłapać na gorącym uczynku i oskarżyć o usiłowanie morderstwa.

Ryan starał się, aby T.J. nie angażował się zbyt w całą sprawę, lecz ten nie słuchał jego rad. Ojczyzna go potrzebowała, był więc gotów spełnić swój obowiązek. Ryan podejrzewał, że T.J. pociągało samo wyzwanie. Kiedy mijały miesiące, a Barzan nie reagował, Ryan i T.J. stali się mniej ostrożni i nie dostrzegli podłożonej pewnego dnia w samochodzie bomby. Fatalne przeoczenie. Jeszcze jedna zbyt późno przyswojona lekcja.

- W jaki sposób Lauren spróbuje to zrobić? - zapytał Ryan.

- Nie wiemy - ponuro przyznał Stirling - Tak jak powiedziałem, według posiadanych przez nas informacji Barzan będzie chciał zająć się tym osobiście. Gdyby nie to, zamknąłbym sprawę już teraz i pozwolił, aby zajęli się nim Amerykanie. Lecz Carlos Barzan ma przylecieć dzisiaj wieczorem. Wygląda na to, że uderzy - wykorzystując Lauren jako przynętę - w ciągu najbliższych trzech dni. W sobotę ma pojawić się jako gość honorowy na imprezie charytatywnej w Centrum Kennedy'ego. Z pewnością będzie chciał być tam obecny.

Stirling czuł do Ryana sympatię. Jak wiele może wytrzymać jeden człowiek?

- Nie martw się - dodał. - Mamy Winthrop na oku. Jej portier Jeeves to jeden z naszych ludzi. Ma do pomocy cały



zastęp dodatkowych agentów. Cały czas mamy jej mieszkanie na podsłuchu. Będziemy dokładnie wiedzieli, jak zamierza to zrobić - z odpowiednim wyprzedzeniem.

Było już po południu, kiedy Lauren przybyła na stację Paddington. Podczas długiego oczekiwania na pociąg, a także później, w czasie jazdy, nie przestawała martwić się o Ryana. Czy miał jakieś kłopoty? Może powinna zadzwonić na policję? Nie. Ryan z pewnością spodziewał się spotkać przy samolocie tego starszego mężczyznę. Na pewno potrafi radzić sobie sam ze swoimi problemami.

Pojechała do domu taksówką. Wbiegła na górę i rzuciwszy portierowi słowa powitania, zapytała:

- Czy Tabatha jest w domu?

- Panna Foley nie wróciła ostatniej nocy - odpowiedział Jeeves.

Nie zdziwiło to Lauren. Za każdym razem, kiedy chłopak Tabathy był w mieście, spędzała z nim noc. Lauren tego nie pochwaliała, ale nie miała prawa udzielać jej pouczeń.

Kiedy znalazła się w mieszkaniu, spróbowała połączyć się z Paulem w Santa Fe. Czuła się w obowiązku wytłumaczyć swoje nagłe zniknięcie. Nikt nie podnosił słuchawki. Wystukała numer Geety, lecz i tam nie było nikogo w domu.

Szybko wzięła prysznic i zmieniła ubranie. Gdyby się teraz pośpieszyła, mogłaby jeszcze zdążyć popracować w galerii kilka godzin przed jej zamknięciem. Ubierając się do wyjścia, zatrzymała się na chwilę w kuchni. Sądząc, że Tabatha wkrótce wróci, zostawiła dla niej wiadomość. Położyła pieniądze na stole, aby Tabatha mogła pójść do sklepu Penhaligon i kupić butelkę wody kolońskiej Bluebells. Kiedy Adi przyniesie dywan, który kupiła dla Paula, poda przez niego wodę dla Iggy. Portret chciała dostarczyć Ryanowi osobiście.

Wchodząc do Ravissanta, Lauren spotkała Vorę.

- Przepraszam, że zrobiłam taki unik, ale...

- Nigdy nie uwierzysz w to, co się stało - Vora pociągnęła Lauren za sobą do biura. - W zeszłym tygodniu wszędzie pojawiły się fałszywe reprodukcje prac Irka. Na szczęście hurtownik z Paryża ostrzegł mnie, zanim zbyt wiele z nich znalazło się na rynku.

- Jak to się stało? - zapytała kompletnie zaskoczona Lauren.

- Bardzo mi przykro. To moja wina. Otworzyłam swoją wielką gębę i przestępcy dokładnie dowiedzieli się, które reprodukcje zamierzamy wypuścić na rynek - orzechowe oczy Vory zasnuły się smutkiem. - Jednakże udało mi się to opanować. Zadzwoiłam do Interpolu, a oni przechwycili większość reprodukcji.

- Dlaczego wspomniałaś o tym komukolwiek? Uzgodniłyśmy...

- Nie pograżaj mnie dodatkowo - Vora ciężko opadła na fotel. - Jak sądzisz, jak się czułam, kiedy musiałam spojrzeć Irkowi prosto w oczy?

Lauren usiadła na brzegu biurka Vory i zapytała:

- Jak to się stało?

- Wiesz, jak blisko Basil i ja jesteśmy ze sobą. Byliśmy. Kiedy robił mi fryzurę, zapytał, które z reprodukcji podobają mi się najbardziej. Powiedziałam mu, a on doszedł do wniosku, że właśnie te zamierzamy wypuścić na rynek, po czym wydrukował je, wykorzystując do tego odbitki z katalogu. Możesz sobie wyobrazić, jak były tanie i jak tandetnie wykonane.

- Dlaczego Basil miałby to zrobić?

- Dla pieniędzy. Od pewnego czasu żyje ponad stan. Jego kosmetyki do pielęgnacji włosów nie sprzedają się tak dobrze, jakby się wydawało - głos Vory nieco się załamał. -

Powiedziałam władzom, że podejrzewam, iż był zamieszany w śmierć Archera.

- Nie!

- Jestem głęboko przekonana, że Archer zadzwonił do Miracles tego popołudnia, kiedy zginął. Basil musiał rozmawiać z nim ze swojego prywatnego telefonu. Nigdy nie przekazał mi wiadomości.

- Fałszerstwo to jedno, ale morderstwo?

- Tego dnia, kiedy Archer został zabity - głos Vory podniósł się o jedną oktawę - byłam umówiona w Miracles. Zwierzyłam się Basilowi z tego, że Archer bał się i rozważał zwrócenie się do policji o zapewnienie mu ochrony. W tamtym czasie nawet w najczarniejszych snach nie sądziłam, że Basil może być w to wplątany, nie mówiłam więc osobom prowadzącym śledztwo o tym, że wiedział coś o moich sprawach.

- Co skierowało twoje podejrzenia na Basila? Byliście przecież ze sobą w bliskich stosunkach i to właśnie on nalegał, aby urządzić u niego przyjęcie dla Irka.

- Kiedy otrzymałam telefon od hurtownika, zaczęłam się głowić nad tym, kto to zrobił. Z początku myślałam, że to ty jesteś zamieszana.

- Ja? Nigdy bym...

- Wiem, ale właśnie zniknęłaś. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Byłaś z Ryanem, prawda?

Nie zauważywszy, że Lauren nie odpowiedziała, Vora pośpiesznie ciągnęła swoją relację:

- Kiedy Basil obcinał ci włosy, skorzystałam z telefonu w jego prywatnym gabinecie. Na ścianie zobaczyłam swoje zdjęcie i zdałam sobie sprawę z tego, jak długo się już znamy i jak wiele tajemnic dotyczących moich spraw zawodowych powierzyłam właśnie jemu. Niezwykle łatwo mógł się domyślić, kiedy wypuścimy reprodukcje na rynek.

- Co na to wszystko powiedział Irek?

- Zrozumiał. Znasz Irka i wiesz, że niewiele rzeczy jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.

Vora oblała się rumieńcem, przez co jej piegi stały się bardziej wyraziste. Nie zadawała już sobie trudu, aby je ukrywać. Promieniejąc, dodała:

- Wśród tych wszystkich złych wiadomości zapomniałam ci powiedzieć o radosnej. Noszę w sobie dziecko Irka. Wiesz, ten kryzys z reprodukcjami bardzo nas zbliżył. Czuję się teraz bezpieczna. Wiem, że Irek naprawdę mnie kocha. Zdołałam w końcu pokonać ducha Archera. Zawładnął mną całą. Nie zamierzam powtórzyć tego błędu z Irkiem. Odbyliśmy długą rozmowę. Powiedziałam mu, jak bardzo nienawidzę mieszkać nad Tamizą. Osiągnęliśmy kompromis. Ponieważ oboje lubimy wieś, przenosimy się do Pildowne Crossing.

- Dziecko? - wymamrotała z niedowierzaniem Lauren - Wychodzisz za mąż?

Tak wiele wydarzyło się w ciągu jej krótkiej nieobecności.

- Mam termin na początek grudnia, lecz na długo przedtem pobierzemy się i osiadzimy w domu na wsi. Jest tam stajnia, którą przekształcimy w pracownię. Irek będzie mógł spokojnie pracować. Uwierz mi, od czasu wystawy nie zamykają się drzwi za odwiedzającymi nas dziennikarzami i innymi osobami. Przeprowadzka da nam obojgu wiele szczęścia.

- Brzmi to niezwykle obiecująco. Wyobrażam sobie, jak duże było to dla ciebie napięcie. Każda gazeta, którą miałam w ręce, rozpisywała się o Ravissancie, który - moim zdaniem - jest teraz najlepszą galerią na świecie. I to właśnie my tego dokonaliśmy. Dwie kobiety.

- Chcę ci podziękować, Lauren. Dodałaś mi odwagi...

- Zrobiłyśmy to razem.

Lauren chciała zapytać, co wyszeptał Irkowi do ucha Clive, lecz powstrzymała się. Vora powiedziała jej, gdyby uznała, że Lauren powinna o tym wiedzieć.

- Co jest tutaj do zrobienia? - zapytała.

- Nic. Irek podjął decyzję w sprawie swoich prac - Vora zawahała się. - Nie wyraża zgody na to, abyśmy powieliły je w formie reprodukcji. Ani teraz, ani w przyszłości.

- Oznacza to jednak odcięcie dostępu do bardzo dochodowego rynku. Jestem przekonana, że zmieni zdanie, jak tylko siatka fałszerzy zostanie zaaresztowana.

- Nie zmieni i ja się z nim zgadzam. Przed dwoma dniami wysłałam zawiadomienia do wszystkich hurtowników i ważniejszych pośredników w handlu dziełami sztuki, że prace Irka Makarowa nie będą dostępne w formie reprodukcji. Jeżeli jakiegokolwiek reprodukcje pojawią się na rynku, będzie to oznaczało, że są one fałszywe.

- To niezwykle krańcowa reakcja - powiedziała Lauren.

Targały nią mieszane uczucia. Z jednej strony przyklasnęła w duchu decyzji Irka, jednocześnie jednak gorąco pragnęła uzyskać dochody ze sprzedaży reprodukcji. Wypełniła warunki umowy z Barzanem w momencie, kiedy wystawa przyniosła sukces. Wszystko, co zarobiłaby od tej chwili, stanowiłoby jej zysk, a nie jego.

- Irek ma jeszcze bardziej rewolucyjny pomysł. Sprzedawszy jeden obraz, kolejny zamierza oddać do muzeum, pod warunkiem, że nie będzie on odsprzedany. Irek uważa, że muzea dotkliwie odczuwają skutki galopujących cen dzieł sztuki. Nie mają funduszy, aby konkurować z prywatnym sektorem. Skoro nie będzie reprodukcji prac Irka, publiczność będzie mogła zobaczyć oryginały w liczących się muzeach. To właśnie Irek chciałby zapewnić.

Lauren pokiwała głową. Altruizm Irka sprawił, że poczuła się zawstydzona swoją chciwością.

- Rozumiem go. Z wyjątkiem Getty'ego niewiele muzeów w Stanach Zjednoczonych jest w stanie wytrzymać konkurencję z powodu niebotycznych cen dzieł sztuki. A poza tym zmiany w przepisach podatkowych spowodowały, że przekazywanie muzeom zbiorów przez osoby prywatne stało się wyjątkowo nieatrakcyjne finansowo.

- Przeciętny odbiorca nigdy nie zobaczy wielkiej sztuki, jeżeli będzie ona całkowicie skupiona w rękach prywatnych kolekcjonerów. Irek nie chce tego. W głębi serca identyfikuje się z przeciętnym człowiekiem - Vora uśmiechnęła się wstydliwie. - Ja chyba też należę do przeciętniaków. Nie zostało mi zbyt wiele pieniędzy. Kiedy podrobione reprodukcje zalały rynek, sprzedałam wszystko, aby je wykupić, zanim Interpol wstrzymał ich rozprowadzanie. Mogłam po prostu wydać oświadczenie, w którym zaprzeczyłabym autentyczności reprodukcji, nie chciałam jednak, aby ktokolwiek ujrzał którąś z tych tandetnych kopii.

- Irek wyraził na to zgodę?

- Nie powiedziałam mu. Kiedy się dowiedział, przedyskutowaliśmy hierarchię ważności naszych potrzeb. Właśnie wtedy zdecydowaliśmy się na kupno domu na wsi, wykorzystując do tego fundusze uzyskane ze sprzedaży posiadłości mojego wuja, a pieniądze Irka przeznaczyliśmy na wykonanie remontu i niezbędnych udogodnień. Jesteśmy teraz prawdziwymi współnikami, ale nie mamy dużo gotówki.

- Czy to, co kupiliście w Pildowne Crossing, to wiejski dom czy cała wioska? A co z pieniędzmi z Belgrave Square i wszystkimi obrazami impresjonistów, które zostawił Archer? A co z dochodami z wystawy Irka?

- Archer nie zostawił mi swojej kolekcji. Mogę się nią posługiwać, ale stanowi ona część jednej z trwałych inwestycji, która ma zapewnić utrzymanie rodu Leightonów w XXI wieku. Po tym, jak Irek kupił Porsche 959, pozostała

część pieniędzy przekazał towarzystwu pomocy dla sowieckich artystów, pragnących osiedlić się na Zachodzie.

Vora popatrzyła na zwykły zegarek, który kupiła sobie po tym, jak sprzedała Piageta, i dodała:

- Muszę natychmiast iść. Irek codziennie przygotowuje dla mnie herbatę - oczywiście bez kofeiny. Ciągłe martwi się o dziecko... i o mnie.

Lauren pocałowała Vorę w policzek.

- Powiedz, że dziękuję mu za to, iż uczynił cię szczęśliwą.

Kiedy Vora wyszła, Lauren udała się do gabinetu. Ponownie zadzwoniła do Paula, ale żaden numer nie odpowiadał. Gdy położyła słuchawkę, nadal jednak trzymając na niej dłoń, telefon zadzwijał dwukrotnie.

- Halo?

- Lauren Winthrop? Tu Carlos Barzan.

- Słucham? - Lauren spodziewała się gratulacji z powodu sukcesu wystawy Irka.

- Muszę z panią pilnie porozmawiać. Przyjeżdżam dziś wieczorem. Czy możemy się spotkać w barze u Harry'ego o dziesiątej?

\* \* \*

Kiedy zegar na kominku wybijał godzinę ósmą, David Marcus przechadzał się nerwowym krokiem po luksusowym apartamencie hotelowym. Skąd Tabacie przyszedł do głowy pomysł z Eleven Cadogan Gardens? Jedno z tych niewielkich ekskluzywnych miejsc nie opodal Sloane Square - nie miało wywieszzonego szyldu hotelowego, szczyciło się jednak wspaniałą obsługą. David musiał przyznać, że nigdy nie był w hotelu bardziej serdecznie nastawionym do gości. Tabatha wiedziała, co mu się może spodobać. I jak sprawić mu przyjemność.

Teraz już nie potrwa długo, zanim będzie mógł sprowadzić ją do Nowego Jorku. Kiedy Lauren zniknęła, byli

bardzo zaniepokojeni i sądzili, że być może będzie konieczne znalezienie innego sposobu na dostarczenie portretu. Na szczęście dziś rano Lauren wróciła do domu. Barzan wylądował przed dwiema godzinami. Jeżeli wszystko ułoży się szczęśliwie, za dzień lub dwa David zastąpi Barzana. Jak tylko T.J. Griffith zginie.

Poczucie winy zakradło się na chwilę do najskrytszego zakątka umysłu Davida, ale szybko odsunął je od siebie. Mili faceci nie osiagają celu. Zbyt długo i zbyt ciężko pracował, aby teraz zawrócić.

Pukanie do drzwi anonsowało przybycie Tabathy Foley. Nie przypuszczał nawet, jak bardzo jej pragnie, aż do tamtego wieczoru, kiedy w czasie wystawy poczuł obawę, że może ją stracić. Zdołał jednak odwrócić sytuację i sprawić, że znowu jadła mu z ręki. Kolacja w Savoyu i zastępy usługujących im kelnerów rozchyliły uda Tabathy szybciej niż pieniądze. Przepadała za przepychem. Dałby jej wszystko, czego by zapragnęła. Tak długo, jak długo będzie zaspokajała jego potrzeby.

- Wejdz, aniele - odezwał się otworzywszy drzwi.

Pomimo późnej pory Tabatha miała na sobie olbrzymie okulary słoneczne i czarną perukę. Podobało mu się to, że stosowała się do jego wskazówek. Teraz, kiedy było już widać koniec sprawy, nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek niedopatrzenie.

- Lepiej się pośpieszmy - powiedział. - Zamówiłem na dziewiątą kolację w Overtons.

Tabatha przysunęła się do Davida z figlarnym błyskiem w oczach. Jego członek zamarł w oczekiwaniu, kiedy rozpiąwszy rząd guzików ukrytych pod krawatem, przesunęła koniuszkami paznokci po siwiejących włosach na jego torsie. Podciągnęła do góry cienki bawełniany sweter i położyła dłonie Davida na odsłoniętych brodawkach swoich piersi.



Uniosły się momentalnie, aby go przywitać. Serce Davida zatrzymało się na chwilę. Co teraz uczyni Tabatha? Nigdy nie potrafił tego przewidzieć.

Zdumiało go pukanie do drzwi. Przecież pokojówka przygotowała już łóżko. Zaskoczony, spojrzał na Tabathę. Podszedł do drzwi i spojrzał przez wizjer. Jezu Chryste! Carlos Barzan. Skąd miał numer pokoju w hotelu, którego znakiem firmowym była dyskrecja, a w księdze hotelowej przy nazwiskach klientów widniały nazwy zamków i innych posiadłości, a nie zwykłe adresy z numerem budynku i nazwą ulicy? Dlaczego Barzan nie zatelefonował do domu, jak to miał w zwyczaju?

- Tabatha, zaczekaj w łazience, aż cię zawołam - wyszeptał David, zapinając koszulę. Błogosławił ją w duchu za to, że wykonała polecenie bez zadawania jakichkolwiek pytań.

- Carlos! - David szeroko otworzył drzwi. - Myślałem, że zatrzymałeś się w Ritzu.

Zgodnie z przyzwyczajeniem Carlos Barzan zawsze brał ten sam pokój w Ritzu z widokiem na Queen's Walk w Green Park.

- Tak, zatrzymałem się tam - odrzekł Barzan wchodząc do środka.

David nerwowo rozejrzał się wokół. Nigdzie nie było widać śladów obecności Tabathy. Pomimo iż zajmował się handlem narkotykami, Carlos Barzan był człowiekiem pruderyjnym. Nigdy by nie zaaprobował związku Davida z dziewczyną, która mogłaby być jego córką. Zrujnowałoby to w jego oczach opinię mężczyzny godnego szacunku, jaką Barzan się cieszył i jaką starannie kultywował.

- Czy wszystko ustalone? - zapytał Barzan.

- Obraz jest gotowy. Masz numer telefonu Griffitha. Podszuch w mieszkaniu Winthrop potwierdził, że wróciła dzisiaj.

- Gdzie była?

- Kto to wie? Zresztą, czy to ma znaczenie? Z pewnością niczego nie podejrzewa. - David nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia z samego siebie. - Teraz już tylko od ciebie zależy, w jaki sposób wprowadzisz Lauren Winthrop do Greyburne Manor. Chyba, że chcesz, żebym ja to zrobił.

- Nie. Chcę zemsty. Nie pozwalam nikomu na wykonywanie mojej brudnej roboty. Właśnie dzięki temu cały czas jestem górą. Nie okazuj wrogom żadnej litości.

Barzan przeszedł przez apartament i podszedł do okien wychodzących na ogród. David podążył za nim, nadal nie potrafiąc odgadnąć, dlaczego Barzan tu przyszedł.

Barzan spojrział na Davida swoimi przenikliwymi czarnymi oczami. David instynktownie wykonał krok do tyłu.

- Kiedy T.J. będzie umierał, chcę, żeby wiedział, że to ja go zabiłem. Wiesz, to ja umieściłem bombę w samochodzie. Cieszę się, że T.J. wtedy nie zginął. Przez trzy lata żył oglądając się za siebie i zastanawiając, kiedy uderzę ponownie. Tym razem zamierzam go poinformować na krótko przed tym, zanim go zabiję.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy? - David zastanawiał się głośno. Do tej pory Barzan nigdy się nie przyznał, że to on osobiście podłożył ładunek wybuchowy, który prawie zgładził Griffitha. Czego jeszcze David nie wiedział?

- Dlaczego nie powiedziałeś, ile pieniędzy ukradłeś mi przez te wszystkie lata?

- Ja... ja... - plątał się David.

Barzan stał odwrócony do niego plecami. Jezu Chryste! W jaki sposób to odkrył?

- Nie sądziłeś chyba, że puszczę ci to płazem, prawda?

- Posłuchaj, mogę to wytłumaczyć...

Barzan obrócił się na pięcie i wycelował w Davida 38 - milimetrowy pistolet z połyskującym, pokrytym chromem tłumikiem.

Lauren spojrzała na zegarek. Dziesiąta dwadzieścia. Coś musiało zatrzymać Carlosa Barzana. Zastanawiała się, czy ma zamówić kolejną Malvern Water z podwójną cytryną, kiedy wszedł do baru.

Zobaczywszy ją, podszedł i usiadł przy niej.

- Przyszedłem, aby porozmawiać o pani bracie - powiedział, studiując ją uważnie spojrzeniem swoich czarnych oczu. - Z pewnością powiedział pani, że zwrócił się do mnie z prośbą, abym sfinansował założenie przez niego galerii. Zrobiłem to ze względu na panią. Pani inicjatywa w sprawie z reprodukcjami Cassatt, a teraz sukces z tym Rosjaninem mówią mi, że znalazłem najlepszego dostępnego w tej chwili doradcę. Dlatego też przychodzę do pani, a nie do odpowiednich władz.

- O czym pan mówi? - zapytała, czując, jak coś ją ścisną w dole żołądka.

- Pani brat należy do światowej siatki fałszerzy reprodukcji.

- Niemożliwe. Paul nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Niewiele było rzeczy, za które oddałaby głowę. Uczciwość Paula była jedną z nich.

- Mam dowody.

Barzan sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął kopertę. Kiedy ją wręczał Lauren, zauważyła plamkę krwi na kołnierzyku jego koszuli. Prawdopodobnie zaciął się podczas golenia. Kiedy przeczytała dokument, oblał ją zimny pot. Niezaprzeczalnie widniał na nim podpis Paula,

potwierdzający przyjęcie pieniędzy za reprodukcje od Irka Makarowa.

- To jakaś pomyłka. Muszę porozmawiać z Paulem. Przez cały dzień próbuję się z nim skontaktować, ale nie ma go w domu.

Wyteżyła umysł, aby poskładać to wszystko w jakąś sensowną całość. Niepokoiła ją powaga całej sprawy, kiedy przypomniła sobie to, co powiedziała Vora. Toczyło się przecież w tej sprawie międzynarodowe dochodzenie. Gdyby przez przypadek wplątano Paula w całą sprawę, mógłby zostać aresztowany. A nawet uwięziony. Mógłby się ponownie znaleźć w mrocznej sferze psychiatrii.

- Nie mogę pozwolić sobie na to, aby moja reputacja została nadszarpnięta. Jak pani wie, w najbliższy piątek w Centrum Kennedy'ego zostanę uhonorowany przez Towarzystwo Wybitnych Amerykanów.

Zdobyła się na półuśmiech, lecz jej myśli krążyły wokół Paula.

- Zamykam rozdział naszej współpracy - głos Barzana przybrał ton kaznodziejski. - Jeżeli chodzi o pieniądze, mam tu dla pani zaległy czek na pół miliona. Jesteśmy kwita; zapracowała pani na to. Ravissant stał się jedną z najlepszych galerii na świecie. Nie pozwolę, aby przestępcza działalność pani brata zrujnowała to, czego budowanie wymagało ode mnie tyle ciężkiej pracy.

- Od pana?

Lauren miała ochotę chlusnąć swoją Malvern Water prosto w jego opaloną gębę i odesłać go do wszystkich diabłów. Jednakże szybki bilans tego wszystkiego, co uczynił dla niej Paul, nakazał jej rozwagę. Musiała mu pomóc.

- Daję pani szansę odejścia z godnością. Zajmę się tą drobną sprawą - pomachał jej przed oczami dokumentem - jeżeli jutro w południe polecą pani ze mną do domu. Mogę

sprawić, że imię Paula nigdy nie zostanie wymienione w tej skandalicznej sprawie, a pani reputacja doradcy do spraw sztuki na tym nie ucierpi.

- Jutro? - Postanowiła targować się o termin. Była przekonana, że Paul nie uczynił niczego niezgodnego z prawem. Gdyby miała wystarczającą ilość czasu, mogłaby udowodnić Barzanowi, że to pomyłka. - Nie mogę tak nagle wyjechać. Muszę...

- Jutro - przerwał tonem, w którym słychać było groźbę - albo udam się do odpowiednich władz.

Ponura rzeczywistość ukazała się w całej okazałości. Jeżeli nie uczyni tak, jak żąda Barzan, Paul może zostać aresztowany. W jaki sposób dał się wplątać w ten cały rozgardiasz? Coś jej podpowiadało, że powinna być wdzięczna Carlosowi Barzanowi za to, iż dał jej możliwość uchronienia Paula przed przykrymi konsekwencjami, a także zachowania własnej reputacji.

- Proszę spakować tylko niezbędne rzeczy i polecić pokojówce, aby wysłała resztę. Biuro mojego adwokata zajmie się szczegółami dotyczącymi pani mieszkania, a także galerii.

Skinęła głową. Myślała o swoich przyjaciółach. O Rynie. W jaki sposób zdoła mu wytłumaczyć swoje nagłe zniknięcie? Miała nadzieję, że uda się jej wyprostować sprawy w Ameryce i wówczas powróci, aby wszystko wyjaśnić.

- Czy jest jeszcze coś, co musi pani zrobić w sprawie Ravissanta przed wyjazdem? - zapytał Barzan tym razem serdecznym tonem.

- Nie. Vora Leighton jest w stanie doskonale...

- A co z Finleyem Tibbettsem?

- Co z nim? Stracił pracę w „Timesie”. Barzan uśmiechnął się wszechwiedząco.

- Z tego, co wiem, został członkiem zespołu redakcyjnego „Apolla”. Czy nie powinna pani przesłać mu jakiegoś niewielkiego podarunku wraz z przeprosinami?

- Skąd pan wie, że doszło między nami do wymiany zdań?

- Było o tym w kolumnie Rossa Bensona. Osobiście pochwalam pani decyzję nie zezwalającą Tibbettsowi na postawienie stopy w galerii. Muszę jednak mieć na względzie przyszłe interesy Ravissanta. Proszę go przeprosić.

Skinęła głową. Nie miała innego wyjścia. Oburzał ją jednak jego dyktatorski ton. Kiedy tylko ta sprawa się wyjaśni, będzie unikać Carlosa Barzana.

- Wydam polecenie, aby firma Smythson wysłała mu w moim imieniu notatnik na adresy w twardej oprawie i dołączę do tego karteczkę.

- Świetnie. To powinno załatwić sprawę. - Skinął na kelnera. - A co z Ryanem Westcottenem?

Odwróciła głowę z niepokojem. Skąd Carlos Barzan mógł wiedzieć o Ryanie?

- Proszę pamiętać, że jego szef, T.J. Griffith, jest jedną z głównych postaci w świecie kolekcjonerów. Nie chcielibyśmy go zirytować, prawda?

Uśmiechnął się do niej. Właśnie pojawił się kelner i Barzan zamówił koniak, po czym kontynuował:

- Czy nie namalowała pani portretu Westcotta? Czy nie powinna pani wręczyć mu go przed wyjazdem?

- Skąd dowiedział się pan o portrecie?

Jej niepokój wzrastał. Coś tu nie było w porządku.

- Tabatha Foley powiedziała mojemu asystentowi, Davidowi Marcusowi. Przechwalała się, jak bardzo jest pani utalentowana. Być może któregoś dnia będę mógł zorganizować wystawę pani prac w Ravissancie.

Lauren zignorowała podetkniętą jej pod nos marchewkę. Przypomniała sobie o tym, że Tabatha rozmawiała z Davidem Marcusem na otwarciu wystawy. Dziwne, jak małe sprawy mogą wrócić do człowieka, aby go prześladować. Lauren chciała zaczekać z wręczeniem obrazu Ryanowi. W obecnej chwili był zajęty czymś niezmiernie ważnym. Dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce, aby kręciła się w pobliżu.

- Obraz nie jest całkowicie gotowy.

- Proszę go skończyć dzisiaj - ton głosu Barzana graniczył z gniewem. - Chcę, żeby Griffith objął patronat nad Ravissantem. Proszę wyjechać z Londynu. Teraz każdy będzie wyśpiewywał hymny pochwalne na pani cześć. W ten sposób nie ucierpi na tym kariera pani... i pani brata. Proszę dostarczyć ten portret.

- Dobrze - niechętnie wyraziła zgodę.

- Wyślę jutro po panią samochód. Kierowca zabierze panią do Smythsons po prezent dla Finleya, a następnie do Griffitha. Spotkamy się na lotnisku.

Vora przytuliła się do silnej piersi Irka, chrupiąc ciastko pokryte cytrynową pianką.

- Kruche ciastko z pianką cytrynową - Irek kręcił głową z udawanym obrzydzeniem.

- Kobiety w ciąży mają dziwne zachcianki - zlizwała pianę z palca zakończonego nie pomalowanym paznokciem. - Czy wiesz, skąd chciałabym zlizywać piankę cytrynową?

- Dikij zapad. Trzymaj to ode mnie z daleka.

- Kochanie się to nic złego - zapewniła go Vora. - Łaknę tego tak samo jak ciastka z pianą.

Ofiarowała mu swoje usta. Kiedy wsunęła dłoń pomiędzy jego uda, zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - powiedział Irek, pieszcząc jej powiększoną pierś.

Vora podniosła już słuchawkę.

- Halo?

- Przepraszam, że dzwonię tak późno - odezwała się Lauren przygnębionym tonem. - Mój brat nie czuje się dobrze. Lecę jutro do Santa Fe i nie wiem, kiedy wrócę.

- Och, nie. Co mu się stało?

- N... nie jestem pewna. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Tak czy inaczej, jestem mu potrzebna. Będziesz musiała prowadzić galerię sama.

- Nie martw się - odpowiedziała Vora pewnym głosem. Praca przy zorganizowaniu wystawy przekonała ją o tym, że nawet bez Archera potrafi sobie dać radę ze wszystkim.

- Wkrótce do ciebie zadzwonię - głos Lauren brzmiał niezwykle niepewnie. - Muszę porozmawiać z Irkiem.

- To Lauren - Vora oznajmiła Irkowi. - Chce z tobą porozmawiać.

- Lauren - powiedział Irek wesołym głosem - nie miałem okazji podziękować ci za wystawę. Dzięk...

- Irek, czy mógłbyś wyświadczyć mi olbrzymią przysługę? Nie mam numeru telefonu Ryana. Czy mógłbyś do niego zadzwonić w moim imieniu i powiedzieć mu, że muszę się z nim zobaczyć jutro o dziesiątej?

- Oczywiście. Zadzwonię do niego. Z przyjemnością.

\* \* \*

Wesoła wdowa, a wraz z nią biustonosz z trzaskiem znikwały w płomieniach. Iggy stała przy kominku i głośnym piskiem wyrażała swój protest.

- Przykro mi - powiedział Ryan, klepiąc świnę po łbie. Nie mógł znieść widoku czegokolwiek, co przypominałoby mu Lauren. Od chwili powrotu do Greyburne Manor cały dzień spędził na zabezpieczeniu bezcennej kolekcji Griffitha poprzez umieszczenie jej w hermetycznie zamykanej krypcie znajdującej się pod parterem. Jej ściany były wyłożone ołowianą blachą. Wiedział, że atak nastąpi wkrótce. Kiedy



działa sztuki były już bezpieczne, polecił Adiemu, aby powtórnie sprawdził działanie urządzeń zabezpieczających, które sam już wcześniej obejrzał. Opadł ciężko na kanapę i zamknął oczy. Iggy wskoczyła na kanapę obok niego i wsunęła mu się pod ramię.

- Popelniliśmy wielki błąd, moja słodziutka. Lauren oszukała nas oboje, nieprawdaż?

Iggy zakwiczała zgodnie. Zadzwoił telefon.

- Westcott? - zapytał Stirling, kiedy Ryan podniósł słuchawkę.

- Tak.

Ryan wyprostował się. Iggy tymczasem usiadła mu na kolanach.

- Przechwyciliśmy przesyłkę dywanów berberyjskich nadaną przez Ruperta Armstronga. W środku każdego z nich znajdowały się zawinięte woreczki z kokainą.

- Świetnie - powiedział Ryan. Było to jednak zwycięstwo bez znaczenia. - Czy został aresztowany?

- Jeszcze nie. Czekamy, aby skoordynować całą operację. Nie chcemy zbyt wcześnie odkryć kart, aresztując kogoś, kto mógłby uruchomić alarm. Nasz główny cel to Barzan. Tak czy inaczej trochę to potrwa, zanim uda się nakłonić króla Hassana do ekstradycji takiej ważnej osobistości.

- Rozumiem - głos Ryana odbił się echem, w którym brzmiało rozczarowanie.

- Ucieszy cię to, kiedy ci powiem, że znamy już sposób, jakiego użyje Lauren. Zamówiła dużą butelkę wody kolońskiej Bluebells firmy Penhaligon. Nie wiem dlaczego, ale...

- Ja wiem - przeklinając swoją głupotę, Ryan opowiedział Stirlingowi o Iggy i wodzie kolońskiej.

- Możesz być pewien, że woda kolońska zostanie zastąpiona wybuchową cieczą. Wysyłam do ciebie ekspertów

od ładunków wybuchowych, aby przedsięwzięli wszystkie możliwe środki ostrożności. Pozostaje jedynie pytanie: kiedy?

Ryan odłożył słuchawkę. W całym swoim życiu nigdy dotąd nie czuł się takim nieudacznikiem. Jedynie wtedy, kiedy nie zdołał rozbroić Roberta Barzana. Ta broń nigdy nie powinna była wystrzelić. Gdyby Ryan zareagował w porę, T.J. nigdy by nie zabił przypadkowo Roberta. Gdyby... „Co by było, gdyby”. Wyrażało to żal, ale nie zmieniało nawet jednej przeklętej rzeczy.

- Telefon zadzwonił jeszcze raz i Ryan natychmiast podniósł słuchawkę. Tym razem był to Irek.

- Lauren chce cię odwiedzić jutro o dziesiątej - powiedział. - Jej brat zachorował. Chce się pożegnać.

Świt

Był to czas, kiedy uśmiechali się tylko umarli.  
"Prolog", Anna Achmatowa

Był jasny, ciepły poranek, wypełniony świergotem rudzików przelatujących pomiędzy konarami drzew, które osłaniały Greyburne Manor jak tarcza. Jasne promienie słoneczne przenikały pomiędzy obsypanymi liśćmi gałęziami. Wszystko to tworzyło na ziemi nieregularne cętkowane plamy złotego światła i przytłumionych cieni. Rosa nadal przywierała do źdźbeł trawy, kiedy Peter Stirling wspinał się po stopniach prowadzących do drzwi frontowych. Mimo że wizjer został tymczasowo wyłączony, aby umożliwić ekipie specjalistów od materiałów wybuchowych wejście do budynku poprzedniego wieczoru, Peter przystanął przed rzeźbionymi dębowymi drzwiami. Spojrzał przez ramię, podświadomie obawiając się, że za chwilę poczuje na sobie pazury rottweilerów, chociaż wiedział, że zostały zamknięte na wybiegu dla psów, znajdującym się z tyłu budynku.

Sikh, agent MI - 5, którego Peter przydzielił do tej sprawy ze względu na jego cierpliwość, odpowiedział na pukanie. Wchodząc, Peter znalazł się w zasięgu oddziaływania wykrywacza metalu, który włączył się z głośnym brzękiem.

- Moje klucze - powiedział Peter i rzucił je w kierunku Adiego, po czym ponowił próbę. - Gdzie Westcott?

Skinieniem głowy sikh skierował Petera w dół korytarza do specjalnie wyposażonego pomieszczenia z wyścielanymi ścianami. Podobnie jak piwnice, zostało ono wzmocnione przez zastosowanie ołowiu, najskuteczniej chroniącego przed skutkami wybuchu bomby. Mogło to jednak nie wystarczyć. Podczas gdy specjaliści od materiałów wybuchowych pracowali przez całą noc, Peter debatował z ich szefami o tym, jaki rodzaj ładunku może zawierać butelka po wodzie kolońskiej.

Peter upewnił się, że mocno trzyma wszystkie nitki w garści. Chociaż raz jego ludzie nie stracili nikogo z oczu.

Ostatniego wieczoru Barzan odwiedził Tabathę Foley i Davida Marcusa w Cadogan Gardens. Następnie spotkał się z Winthrop na drinku. To, o czym rozmawiali, pozostawało tajemnicą. Najprawdopodobniej omawiali ostatnie szczegóły. Tak czy inaczej, wyglądało na to, że Winthrop i Barzan zamierzają to zrobić bez niczyjej pomocy. Wczoraj późnym wieczorem Tabatha wyszła do apteki Bootsa, po czym powróciła do hotelu. Ona i David Marcus w dalszym ciągu przebywali w apartamencie hotelowym. Nie zadzwonili nawet do obsługi po poranną kawę. Według wszelkich znaków, nie opuścili jeszcze miłosnego gniazdka.

Peter wszedł do pomieszczenia z wyścielanymi ścianami, w których można było dostrzec monitory z obrazem z kamer przeczesujących teren wokół budynku. Przy stole obok telefonu siedział Ryan. Twarz miał wymizerowaną, a oczy straciły swój wyzywający wyraz. Biedaczysko! Peter wręczył mu najnowsze dowody - na wypadek, gdyby jeszcze w ostatniej chwili Ryan miał jakieś wątpliwości.

Ryan popatrzył na czek. Pół miliona dolarów z prywatnego konta Barzana wypisane na imię i nazwisko Lauren Winthrop, z wczorajszą datą.

- Jeeves odkrył to dzisiaj rano. Leżał na samym wierzchu jej biurka. - Peter zabrał czek z powrotem. - Zatrzymam to jako dowód.

Zadzwonił telefon. Ryan podniósł słuchawkę i przekazał ją Stirlingowi, który - wysłuchawszy wiadomości - położył słuchawkę z powrotem i uśmiechnął się.

- Jest już w drodze. Barzan podąży za nią w dyskretnej odległości.

- W takim razie, po jakiego diabła potrzebował numeru telefonu? - zapytał Ryan.

- Jego własne ego każe mu osobiście powiadomić T.J., że to on za tym stoi.

Ryan doszedł do wniosku, że rozumowanie Stirlinga jest słuszne. Trzy lata spędzone na przygotowaniu zemsty to kawał czasu. Tylko dwie rzeczy mogły wpłynąć na takie oddanie się sprawie: zwichrowany umysł albo miłość.

- Kiedy Lauren będzie przechodziła przez drzwi - ciągnął Peter - znajdzie się w zasięgu działania wykrywacza metalu. Po tym numerze z gorsetem jest dokładnie zorientowana, ile metalu potrzeba na włączenie systemu. Właśnie dlatego powiedziałem ci, aby nastawiono go na mniejszą czułość.

- Jeżeli alarm się włączy, mam obrócić to w żart.

- Tak. Szybko przekaż butelkę z wodą kolońską Adiemu. Adi czym prędzej zanieś ją specjalistom. Chcemy, żeby Barzan pomyślał, że pułapka jest gotowa. Chcemy, żeby wykonał ten telefon. W ten sposób otrzymamy dowód potrzebny nam do skazania go.

Stirling odetchnął głęboko i dodał:

- Istnieje jedna szansa na milion, że ładunek wybuchowy nie znajduje się w butelce. Lauren przynosi ze sobą twój portret i rzeczy, które ma w swojej torebce firmy Vuitton. Kiedy wychodziła dziś rano z domu, pokazała obraz Jeevesowi. Wyrażając swój podziw, przyjrzał mu się dokładnie. Nic. Po prostu płótno w drewnianych ramach. Tak czy inaczej, sam rzuć na nie okiem.

- Widziałem je.

- Popatrz jeszcze raz. Następnie pocałuj ją namiętnie. W ten sposób będziesz mógł sprawdzić, czy nie ukryła jakiejś broni, takiej jak pistoletu z plastyku. Jeżeli nic nie znajdziesz, zrzuć jej torebkę na podłogę. Podnosząc ją postaraj się, żeby się otworzyła, i zajrzyj do środka.

Ryan na myśl o tym, że będzie musiał pocałować Lauren, poczuł, jak wybucha w nim niebezpieczny płomień nienawiści. Tęsknił za tym, aby jej dotknąć, to prawda. Położyć dłonie na jej szyi i skrócić jej kark.

Peter wyszedł z pokoju i pomaszerował w dół korytarza, aby upewnić się, czy ludzie z ekipy od materiałów wybuchowych są na swoich miejscach i czy Adi jest w pogotowiu. Wszyscy byli gotowi. Peter wymamrotał niedosłyszalną modlitwę. Za mniej niż godzinę będzie już po wszystkim. W jedną lub w drugą stronę.

- Jej limuzyna właśnie minęła ambasadę izraelską - poinformował go jeden z agentów.

- Niech ktoś zabierze stąd to proszę - powiedział Stirling, kiedy świnka podążyła za nim węsząc.

- Wywęszyła już nasze cztery tabliczki czekolady - odpowiedział jego człowiek.

- To wielka pomoc, jestem o tym przekonany.

Peter i kilku jego ludzi szukali schronienia w pomieszczeniu ze ścianami wzmocnionymi ołowianą blachą i specjalnej konstrukcji sufitem. Ryan czekał z wyćwiczonym wyrazem obojętności na twarzy. Człowiek, który za chwilę miał znaleźć się na linii pomiędzy życiem a śmiercią. Nie wyglądał na zdenerwowanego. Ani na przestraszonego. Nagle Petera ogarnął żal, że nigdy się nie ożenił; że nie miał syna. W porządku, Ryan był uparty i zawzięty, ale inteligentny. Odważny. Typowy przywódca.

Oczy wszystkich wbiły się w obraz z kamery umieszczonej przy bramie wejściowej, kiedy lśniący rolls zatrzymał się przy krawężniku. Kierowca otworzył drzwi i zgrabne nogi Lauren zsunęły się na chodnik.

Ryan próbował uspokoić swój nieregularny puls. Pomimo tego, co sobie obiecał, nie był przygotowany na opanowujący go niezrozumiały błysk nienawiści, kiedy zobaczył twarz Lauren na ekranie. Lekki wiatr poruszał jej włosami, zakrywając, to znów odsłaniając jej piękny profil. W jednej ręce niosła niewielką torbę firmową z Penhaligona. Kierowca wydobył z bagażnika obraz i wręczył go Lauren.

- Nie bierze ze sobą torebki - Stirling skomentował oczywisty fakt. Wszyscy zauważyli, jak Lauren podaje torebkę kierowcy, a po chwili naciska dzwonek przy wejściu.

Czekając przed bramą, Lauren z obawą myślała o nieuchronnie czekającej ją kontroli. Umierała z niecierpliwości, aby porozmawiać z Ryanem. Pragnęła opowiedzieć mu o wszystkim - nienawidziła kłamać. Ale teraz nie był to właściwy moment. Ryan miał własne kłopoty. Proszę, niech Ryan załatwi swoje sprawy jak najszybciej, a ja niech wyjaśnię tę aferę z Paulem.

Całą noc spędziła na pakowaniu swoich rzeczy i załatwianiu tego wszystkiego, co mogła w tak krótkim czasie uczynić. Co dziesięć minut dzwoniła do Paula. Nie pojawił się w domu. Także u Geety nikt nie odpowiadał. Lauren miała nadzieję, że uda się jej złapać Paula i szybko wyjaśnić całą sprawę.

Brama rozsunęła się. Lauren ostrożnie precyzyjnie się do środka z portretem, starając się go nie uszkodzić. Obcasy jej butów stuknęły po bruku. Rozglądając się wokół w obawie przed atakującymi psami, weszła na górę po frontowych schodach. Nigdy wcześniej nie korzystała z tego wejścia, wiedziała jednak, że należy zatrzymać się przed rybim okiem skanera, podczas gdy umieszczona nad drzwiami kamera przypatrywała się jej bacznie. W końcu drzwi rozsunęły się i Lauren wkroczyła do Greyburne Manor.

Za łukiem, gdzie ukryty był wykrywacz metalu, zobaczyła oczekującego Ryana, u którego boku stał Adi. Przeszła obok urządzenia, pewna, że alarm nie włączy się.

- Zostawiłam torebkę w samochodzie - powiedziała, starając się lekko potraktować całą sytuację. Każdy dureń mógł się zorientować, że Ryan nie był zadowolony z jej odwiedzin właśnie teraz. - Nie chcę ryzykować.



Wyciągnęła rękę z torbą firmową i podała ją Ryanowi, mówiąc:

- To dla Iggy.

Ryan bez słowa wręczył ją Adiemu. Sikh natychmiast zniknął w mroku korytarza.

- Jedna kropla za każdym uchem - próbowała zażartować, nieco zmieszana oschłym powitaniem.

Oparła portret o ścianę i rozglądając się za świnką, zapytała:

- Gdzie jest Iggy?

- Drzemie - głos Ryana był zimny, beznamiętny.

- Przepraszam, że musiałam przyjść - powiedziała, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo drażni Ryana jej obecność w tym miejscu. - Wiem, że jesteś w trakcie jakiejś bardzo ważnej sprawy, ale wyjeżdżam dziś po południu do Santa Fe i nie wiem, kiedy wrócę.

Wyciągnął do niej ramiona, ale w jego oczach nie było żadnego powitalnego blasku. Objęła go mocno, chcąc mu o wszystkim powiedzieć, ale uświadomiła sobie natychmiast, że Ryan dźwiga na swoich barkach ciężar nie z tej ziemi. Po co jeszcze miałyby dźwigać dodatkowo? Bycie w jego ramionach dodawało jej otuchy, starała się więc nie zwracać uwagi na jakby wymierzający karę ucisk jego ust. Jego dłonie przejechały po jej ciele, przyciskając ją zbyt mocno, boleśnie. Żadnej ukrytej broni. Żadnej torebki. A więc odpowiedź jest ukryta w butelce z Penhaligona - przekonał się Ryan i odsunął ją od siebie.

- Co się stało twojemu bratu?

Lauren nie mogła kłamać wobec Ryana i oczekiwać, że będzie ją później darzył szacunkiem, kiedy dowie się prawdy. Postanowiła powiedzieć mu jak najwięcej, lecz tak, żeby go w to nie wciągać.

- Jeden z interesów Paula plajtuje. Paul mnie potrzebuje.

- Naprawdę? - głos Ryana stał się jadowity. - Myślałem, że jest chory. Tak powiedziałaś Irkowi.

Twarz jej spochmurniała. Odpowiadając, patrzyła mu jednak prosto w oczy.

- To sprawa zbyt osobista dla mnie, aby omawiać ją z Irkiem.

- Ach, tak? Myślałem, że Vora jest twoją najlepszą przyjaciółką.

- Tak. Jest, ale... - nagle zorientowała się, że nie powinna była przychodzić. W Ryaniu Westcotcie było coś takiego, czego nigdy nie zrozumie. W jednej chwili mógł być wrażliwy, a w następnej nieczuły. Będą to musieli sobie wyjaśnić, zanim rozpocznie się nowy etap ich znajomości. Ryan musi nauczyć się rozumienia wielu rzeczy. To nie może być droga jednokierunkowa.

Kłamie - pomyślał Ryan - ale bez wprawy. Każdy tuman potrafi dostrzec, że historia z bratem jest częścią pułapki.

- Brat mnie potrzebuje. Chciałam ci dać znać, gdzie będę, gdybyś chciał mnie odnaleźć. Skończyłam twój portret. Chciałabym, żebyś go przyjął - powiedziała, wręczając mu płótno.

Najpierw zbadał odwrotną stronę. Drewniane ramy z umocowanym po bokach kawałkiem cienkiego drutu, po to, aby móc powiesić ten przekłety przedmiot.

- Powinieneś popatrzeć na drugą stronę.

Lauren nie potrafiła ukryć tego, że czuje się urażona. Czy to ten mężczyzna, który ją kocha?

- Ładny - powiedział z wymuszonym uśmiechem, opierając portret o ścianę namalowaną stroną. - Spodoba się T.J.

- Tak sądzisz? Naprawdę?

Szczerłość w wyrazie jej twarzy zbiła go nieco z tropu.

- Lauren, czy jest coś - cokolwiek - o czym chciałabyś mi powiedzieć?

Słowa same wyszły z jego ust, zanim zdał sobie sprawę z tego, co mówi. A niech ją...

Zawahała się przez chwilę, zastanawiając się, czy powinna mu powiedzieć o tarapatach, w jakich znalazł się Paul. Co mógłby zrobić Ryan? Z pewnością powiedziała by jej, aby zebrała od Paula wszystkie fakty, zanim cokolwiek uczyni. Dokładnie tak właśnie zamierzała zrobić. W obecnej chwili ważniejsze było to, aby Ryan wiedział, co ona do niego czuje.

- Nigdy nie wiedziałam, co to znaczy kochać, dopóki nie spotkałam ciebie. Nigdy nie zapominaj, że kocham cię całym sercem.

Jej pożegnalne słowa pozbawiły Ryana uczucia zwycięstwa. Prawie jej uwierzył. Występ na miarę Oskara. Gówno prawda.

Kiedy drzwi zamknęły się za Lauren, kilku ludzi Stirlinga wyskoczyło z ukrycia. Iggy weszła w powietrze.

- Kto cię wypuścił? - zapytał Ryan, idąc z powrotem do bunkra, aby naradzić się ze Stirlingiem.

Usłyszawszy dzwonek telefonu, Ryan rzucił się biegiem do pokoju, w którym znajdował się Stirling.

- Stawiam dziesięć do jednego, że to Barzan. Dzwoni, żeby się chełpić - powiedział Stirling i skinął na Ryana, aby ten podniósł słuchawkę.

- Słucham? - Ryan rzucił niedbale, jak gdyby nie czekał na tę chwilę od trzech lat.

- T.J. Griffith? - w głosie Barzana dał się słyszeć uśmiech triumfu.

Ryan potrzymał go chwilę w niepewności.

- Kto mówi? - zapytał w końcu.

- Carlos Barzan - teraz był to już bez wątpienia głos zwycięzcy.

- Chwileczkę.

Ryan częściowo przykrył słuchawkę dłonią, po czym wrzasnął:

- Adi, sprowadź tu T.J. Powiedz mu, że Barzan chce z nim rozmawiać.

- Czy to ty, Westcott?

- Tak.

- Jakiś czas temu uciałem sobie pogawędkę z naszym wspólnym znajomym.

Stirling ocierał czoło lnianą chusteczką. Przeszyło go uczucie pełne grozy, spotęgowane hałasem w korytarzu. Co, u diabła, jego ludzie wyprawiają z tą przeklętą świnią?

- Jakim znajomym? - zapytał Ryan, nie mogąc się skupić z powodu bieganiny na zewnątrz pokoju. Niezdarna Iggy znowu się w coś zaplątała.

- Z Rupertem Armstrongiem.

- Wydaje mi się, że Armstrong jest teraz raczej cieniem człowieka.

Ryan zignorował milczące pytanie Stirlinga. Nie wspomniał mu o wypadku z garotą. Powinien był ścisnąć nią szyję Lauren.

Niski, cyniczny rechot przepłynął przez druty:

- Rupert mówi, że zakochałeś się w jego pasierbicy.

- Ma chorą wyobraźnię. Zastępuje mu brak jaj. Ryan położył dłoń na słuchawce i wyszeptał do Stirlinga:

- Niech ktoś złapie Iggy albo zamknie drzwi. Nie mogę się skoncentrować.

- Co zajmuje Griffithowi tak wiele czasu? - zapytał Barzan.

- Już idzie. Dzięki tobie nie chodzi już tak szybko.

- Jak ci się podoba twój portret?

- Wspaniały - odparł Ryan z fałszywą obojętnością.

Czuł jednak, jakby został wrzucony z powrotem do dżungli Wietnamu. Wróg trzymał go na muszce.

- Czy Griffith go widział?

- Właśnie go ogląda - skłamał Ryan.

Obraz stał w korytarzu przy drzwiach frontowych, w miejscu, gdzie pożegnał się z tą dziwką. Ryan włożył palec w nie zakryte słuchawką ucho, gdy tymczasem Stirling przeszedł na przeciwległą stronę pomieszczenia i zamknął drzwi, za którymi agenci zmagali się ze świnką. Iggy w coś się zaplątała i kwiczała o pomoc.

Barzan roześmiał się.

- Wspaniale. Ja...

Prawda uderzyła Ryana jak kula pomiędzy oczy. Upuścił słuchawkę i ruszył biegiem obok ludzi z MI - 5 w kierunku Stirlinga, krzycząc przeraźliwie:

- Iggy! Iggy!

Stirling stanął mu na drodze, zastawiając drzwi własnym ciałem.

- Nie, Ryan. Nie możesz...

Ryan odepchnął go na bok, wiedząc, że ma zaledwie kilka sekund czasu, zanim Barzan zorientuje się, że nie jest już dłużej na linii, i uruchomi zdalnie sterowany detonator. Odsunął ciężkie, ołowiane drzwi.

Semtex - H. Plastikowy materiał wybuchowy. Ulubiona broń terrorystów. Iggy próbowała ich ostrzec. Farba. Musiał to być plastikowy materiał wybuchowy starannie rozproszony przez Lauren.

Nie myśl teraz o tej dziwce. Ratuj Iggy.

Kiedy wybiegał z pokoju, a może o ułamek sekundy wcześniej, ogłuszający wybuch wstrząsnął budynkiem. Instynkt rzucił go na posadzkę. Kawałki kamienia i odłamki szkła spadały z powietrza jak zabójcze włócznie. Ryan usłyszał pełen bólesci jęk. Kiedy ruszył na brzuchu po

posadzce, poczuł przeszywający ból, tak jak wtedy w Wietnamie, kiedy podczołgiwał się w górę Diabelskiego Wzgórza. W końcu dotarł do Iggy.

- W porządku, maleńka - wyszeptał do skłębionego, zakrwawionego futerka i rozprysniętych kości.

Nic nie było jednak w porządku. I nigdy już dla Iggy nie będzie. Wybuch urwał jej przednie kończyny, a także lewą część jej łebka. Krew tryskała z jej ryjka tak szybko, że nie mogła przeżyć więcej niż kilka minut.

- Dzięki za towarzystwo - powiedział, przypominając sobie długie, samotne noce. - Nigdy cię nie zapomnę.

Iggy zakwiliła boleśnie i znieruchomiła.

- Dzięki Bogu - Ryan nie chciał, aby cierpiała nawet krótką chwilę dłużej.

Rozległ się kolejny trzask i kilkuwiekowe drewniane stropy podtrzymujące katedralny sufit runęły w dół. Ostatnią rzeczą, jaką Ryan widział, były ufne ślepia Iggy patrzące na niego bez życia.

Kiedy limuzyna ruszyła w górę ulicy, Lauren zastanawiała się, czy kiedykolwiek potrafi zrozumieć Ryana. Nagle powietrze rozdarł ogłuszający huk. Limuzyna zatrzymała się gwałtownie, a Lauren uderzyła głową o drzwi. Kiedy się odwróciła, ujrzała otwartą ranę, która stanowiła kiedyś wejście do Greyburne Manor. Otworzyła gwałtownie drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Potknęła się o krawężnik i zgubiła obcas. Wbiegła na chodnik obok kasztanowego drzewa, które stało jej na drodze. Zrzuciła z nogi drugi but na okalający chodnik niski żywopłot. Z opuszczoną głową, wymachując rękami i podnosząc wysoko nogi biegła na oślep w stronę budynku, gnana strachem. Z trudem łapiąc powietrze, z sercem bijącym jak młot, zatrzymała się na zasypanym odłamkami szkła chodniku. Jakimś cudem mur okalający Greyburne Manor nadal stał na swoim miejscu.

- Ryan!!!

Przeszywający ból wstrząsnął całym jej ciałem. Bezskutecznie uderzała o żelazną bramę. Można ją było otworzyć tylko od wewnątrz. Kamera wideo kołysała się na kawałku drutu, z którego sypały się iskry. Pochłaniająca wszystko, dusząca ściana płomieni z sykiem wydostawała się z budynku. Wzmagający się dym wciskał się do jej płuc. Lauren obsunęła się na kolana. Próbowwała krzyknąć jeszcze raz. I jeszcze raz. Lecz z jej torturowanego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk.

Zamarła z przerażenia; jak przez mgłę widziała biegnących ku niej ludzi i słyszała wycie syren samochodów pędzących w górę ulicy. Zawiesisty dym gryzł ją w oczy. Nie mogła niczego dostrzec dokładnie, mimo że wzrok miała utkwiony w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą były drzwi frontowe.

Cóż się stało? Boże, proszę, zachowaj Ryana. Proszę, pośpiesz się, zanim ten dom zamieni się w krematorium.

Poczuła czyjeś dłonie ciężko opadające na jej ramiona. Instynktownie próbowała się wyszarpnąć, kiedy podnoszono ją z klęczek. Nie zauważyła, że jej pocięte szkłem stopy krwawią.

- Jest pani aresztowana.

\* \* \*

Drżącą dłonią Vora położyła słuchawkę telefonu. Zastanawiała się, w jaki sposób ma Irkowi przekazać tę wiadomość. Powoli weszła do kuchni. Irek parzył ziołową herbatę i układał na półmisku herbatniki.

- Co powiedział dr Osgood? Czy dziecko ma się dobrze? Vora zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Dzieci mają się dobrze. Irek wypuścił herbatniki z rąk.

- Dzieci?

- Bliźniaki. Zdrowe bliźniaki.

- Usiądź, matiuszka, mateczko - nakazał jej Irek, i Vora opadła na krzesło. - Nogi do góry.

- Czuję się świetnie, naprawdę. Nie musisz mi usługiwać.

- Jedz - rozkazał, promieniejąc ze szczęścia. Postawił obok niej na stole talerz z herbatnikami. - Jedz, jedz za troje.

- Och! - jęknęła.

Wkrótce będzie wielka jak krążownik - pomyślała, kiedy ponownie zadzwonił telefon. Nie podnosili słuchawki. Selekcjonowanie rozmów telefonicznych stało się - dzięki zastosowaniu automatycznej sekretarki - ich normalną praktyką. Zbyt wielu dziennikarzy, zbyt wielu wielbicieli, zbyt wiele zaproszeń.

- Panie Makarow, mówi Lawrence Martin z „Timesa” - skrzeczący głos wydobywał się z głośnika. - Ciekaw jestem, jak może pan skomentować aresztowanie Lauren Winthrop.

Irek skoczył susem przez kuchnię i pochwycił słuchawkę telefonu.

- Aresztowana? Aresztowana? Co pan mówi?

- Aresztowano ją tuż przed południem. Nie została jeszcze formalnie oskarżona, ale ze znanych mi źródeł wiem, że jest odpowiedzialna za podłożenie bomby w rezydencji T.J. Griffitha.

- To niemożliwe - stwierdził Irek dobitnie.

Vora położyła dłoń poniżej piersi, aby stłumić uderzenie. W pierwszej chwili pomyślała, że to kopią dzieci, lecz po chwili zdała sobie sprawę, że to kołacze jej serce. Lauren? Bomba? Nigdy!

- Czy wie pan, w jaki sposób Lauren Winthrop weszła w posiadanie Semtexu - H?

- Kto to jest Sam Tex H?

- Plastikowy materiał wybuchowy. Wie pan, ta sama substancja, która spowodowała katastrofę samolotu Pan Amu nad Lockerbie. Z tego, co wiem, połączyła ją z płótnem, tak że



wydawało się, iż jest to warstwa gruntowa. Czy nie domyśla się pan, gdzie to dostała, a może, skąd wiedziała, że można to wziąć za farbę?

- Nie. I powiem to panu. Ona jest niewinna. Znam się na ludziach. Lauren Winthrop jest najlepsza. Ona tego nie robi. Nigdy.

- Scotland Yard ma przeciw niej wiele dowodów - powiedział dziennikarz, którego głos wciąż grzmiał z głośnika magnetofonu. - Czy może pan to skomentować?

- Pieprz pan Scotland Yard!

- Czy mogę pana zacytować? Irek trzasnął słuchawką o aparat.

- Co robimy?

- Adwokat - powiedziała Vora bez wahania. - Będzie potrzebować pierwszorzędnego obrońcy. Peregrine Tutwiler. On jest najlepszy.

Peregrine Tutwiler zazwyczaj aż ślinił się na myśl o dochodowej sprawie sądowej. „Będę was bronił do waszego ostatniego funta” - zawsze było jego mottem. Lecz kiedy Vora wymieniła nazwisko Lauren, odmówił zajęcia się tą sprawą, tłumacząc, że przyjmuje tylko takie propozycje, które mają chociaż niewielką szansę powodzenia.

Irek właśnie oglądał BBC 1, kiedy Vora weszła z informacją o odmowie.

- Czy ktoś zginął? - zapytała.

Dopiero teraz dotarła do jej świadomości powaga sytuacji, kiedy ujrzała zdjęcia szkieletu budynku, który nazywał się kiedyś Greyburne Manor.

- Nie wiedzą więcej niż reporter „Timesa”.

- Czy przypuszczasz, że Ryan był w środku?

Irek pokręcił głową. Na jego twarzy pojawiło się wyraźne z troskanie.

- Co powiedział adwokat?

- Odmówił zajęcia się tą sprawą. Zamierzam zadzwonić do dra Digsby'ego. Wiesz, że ściśle współpracuje z Peregrine Tutwilerem. Wielu z oskarżonych rozpętuje kampanię w mass - mediach, aby wzmocnić swoją pozycję.

- Nie, na Boga - odezwał się Digsby, kiedy usłyszał prośbę Vory. - Pan przemówił.

Ściskając słuchawkę w dłoni, Vora opadła na krzesło, odpowiadając pytającym oczom Irka przeczącym ruchem głowy. W jaki sposób mogłaby przemówić do tej głupkowatej głowy ewangelisty, który obraz kreowany przez media porównywał z wolą boską? Zdecydowała się wykorzystać boską dawkę pochlebstwa.

- Jestem pewna, że Pan raduje się pańską dobrą służbą. Gdyby porozmawiał pan z Tutwilerem, jestem przekonana, że Pan wskazałby adwokatowi właściwą drogę, a wtedy przyjąłby on tę sprawę za przyzwoleniem Pana.

- No cóż - głądził dr Digsby. - Wierzę, że to prawda. Ale skoro już wydarzenie takiej rangi zostało tak szczegółowo zrelacjonowane, jest to przejawem woli Boga. Niemożliwej do zmienienia.

Ty głupcze.

- Bóg chce, aby okazał pan swoją pomoc. Czuję to.

- Gdyby tak było, pochłonęłoby to niewyobrażalnie wielką sumę pieniędzy. Pan Tutwiler jest drogi. Moi ludzie musieliby zostać wsparci przez armię prywatnych detektywów, aby móc dogrzebać się do samego dna. Aby zmienić postanowienie boskie, musielibyśmy porozmawiać w przybliżeniu o pół miliona funtów. Potrzebna byłaby gotówka, i to natychmiast.

Prawie milion dolarów. Vora odetchnęła głęboko. Nie mieli nawet niewielkiej części tej sumy - teraz, po skandalu z fałszywymi reprodukcjami oraz po zakupie posiadłości wiejskiej, a także samochodu porsche. Mogliby zebrać tyle

pieniędzy, lecz zabrałoby to trochę czasu. Po co zadaje sobie tyle trudu rozmawiając z tym szaleńcem? Ponieważ tylko on mógł przekonać Peregrine Tutwilera i rozpętać kampanię propagandową, mającą na celu uchronienie Lauren przed wydaniem na nią wyroku przez prasę.

- W czym leży problem? - zapytał Irek.

\*

W jaki sposób, u diabła, Barzan zdołał się wymknąć? Peter Stirling zadawał sobie to pytanie tego wieczoru. W chaosie, jaki nastąpił po wybuchu, Barzan wyskoczył z limuzyny i zniknął w tłumie, zanim śledzący go agenci byli w stanie aresztować go. Zdołano przynajmniej zatrzymać Lauren Winthrop. Peter wyjrzał z okna pokoju New Scotland Yardu na pogłębiające się cienie zmierzchu obejmującego Londyn mocnym uściskiem. Poczł pulsowanie w skroniach i ostrożnie dotknął ręką bandaży. Czas, aby się wycofać. Kiedy prosię okazało się mądrzejsze od niego i jego ludzi, był to niewątpliwy znak, że nadszedł czas odejścia.

- Kto mógłby pomyśleć, że Semtex - H może być zastosowany jako farba? - zapytał jeden z ludzi z Interpolu.

- Nikt nawet nie przypuszczał - przyznał Stirling. Dotychczas występował w formie słodczy, wafli, dziecięcych zabawek, a nawet jako arkusz papieru. Komu jednak mogłoby się przyśnić, że Semtex - H mógł symulować farbę? Nikt o tym nie pomyślał. Żaden z ekspertów od materiałów wybuchowych nigdy nawet o tym nie wspomniał. Miniaturowy detonator z cienkim jak włos przewodem był zaiste diabelskim pomysłem. Nikt z nich go nie dostrzegł; był także zbyt mały na to, aby go zlokalizował wykrywacz metalu.

Ta Winthrop to prawdziwa aktorka. Pomimo jej łez i błagalnych próśb, aby poinformować ją o stanie Westcotta i Griffitha, Peter nie dał się oszukać. Była tak samo winna jak Barzan. Poskładanie całej sprawy w jedną całość leżało teraz

w gestii rządu Jej Królewskiej Mości. Powiązanie ze sprawą wielu krajowych i międzynarodowych towarzystw czyniło z niej prawny koszmar. Mniejsza o to, niech rozwikła to ktoś inny. Dla wygody może korzystać z pomieszczeń i urządzeń New Scotland Yardu.

- Zadzwoń do szpitala - polecił Peter jednemu ze swoich ludzi.

- Dzwoniłem pięć minut temu.

- Zadzwoń jeszcze raz.

Peter modlił się o to, żeby Ryan przeżył. Właściwie powinien być wdzięczny za nieoczekiwany boski dar. Wszyscy jego ludzie przeżyli. Niektórzy z nich doznali jedynie niegroźnych złamań i poparzeń. Całe szczęście, że ekipa ekspertów od materiałów wybuchowych była na miejscu, a samochody straży pożarnej i karetki pogotowia krążyły w pobliżu po Wright's Lane. Gdyby było inaczej, Ryan umarłby w Greyburne Manor.

Iggy nie miała tyle szczęścia. Chrząkając kilkakrotnie, próbowała zwrócić ich uwagę na uchwytny tylko dla niej zapach azotu, zawsze wydzielanego przez plastikowe ładunki wybuchowe. Jednakże w przeciwieństwie do psów obronnych, których każdy się obawiał, Iggy traktowano jedynie jako zabawną maskotkę. Trąbiła głośno na alarm, bo tak była wytresowana, lecz nikt nie słuchał jej ostrzeżenia. Aż do chwili, kiedy było już za późno.

Peter jeszcze raz przeklinał materiały wybuchowe z plastyku. Powinien był się domyślić. Barzan zdawał sobie sprawę z tego, że Greyburne Manor jest wyposażony w najnowsze urządzenia zabezpieczające, włączając w to skaner optyczny. Żadne z nich nie było jednak w stanie wykryć śmiertelniegroźnego ładunku. Jedynym śladem jego obecności był zapach oparów azotu, tak lekki, że mógł go wyczuć jedynie ktoś o niezwykle wyczulonym węchu. Peter chciał załatwić

dla sprawy wykrywacz ładunków wybuchowych, a zwłaszcza Semtexu - H, wykorzystujący ciepłą analizę elektronów, a przeznaczony dla linii lotniczych do kontroli bagażu. Jednakże na przeszkodzie stanęły olbrzymie koszty. Nawet linie lotnicze rezygnowały z instalowania tych urządzeń. Jedynym lotniskiem w Anglii, gdzie je umieszczono, było Gatwick Airport.

Zadzwoił telefon. Jeden z ludzi Petera podniósł słuchawkę. Kiedy natychmiast położył ją z powrotem, Peter poczuł ołów na sercu, sądząc, że dzwoniło ze szpitala z wiadomością, iż Westcott nie żyje. Biedaczysko. Do pewnego stopnia ostatnie trzy lata - mimo że były ciężką próbą - przyniosły także sporo radości. Ryan był jego protegowanym, a także kimś w rodzaju syna. Peter czuł wielką ochotę, aby osobiście zgładzić tę kobietę i Barzana. Zniszczyli jednego z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał. Życie nie jest sprawiedliwe.

- To nasi ludzie, którzy mieli Marcusa pod obserwacją - powiedział agent, który odebrał telefon. - Próbowali się z nami skontaktować. Tabatha Foley zamordowała Davida Marcusa. Kiedy pokojówka weszła dziś po południu do jego pokoju, została zaatakowana przez młodą kobietę odpowiadającą z opisu Tabacie. Związała pokojówkę i zabrała jej ubranie. Prześliznęła się obok naszych ludzi w przebraniu pokojówki.

Peter odetchnął z ulgą. Ryan żył nadal.

- Po co Foley miałyby zabijać Marcusa?

Przeanalizował sytuację. Agent MI - 5, chodzący za Marcusem krok w krok tego wieczoru, kiedy otwarto wystawę prac Makarowa, potwierdził podejrzenia Ryana. Marcus zniszczył figurkę Tabathy Foley. Jednakże później pogodzili się. Czyżby Marcus znowu zrobił dziewczynie coś złego, tak że go zamordowała? Jego szósty zmysł zwietrzył, że coś tu nie jest w porządku.

Kobiety. Peter zejdzie z tego świata, nie zrozumiawszy ich. Postanowił udać się na dół i zobaczyć, jak przebiega przesłuchanie Winthrop.

Przesłuchania nie było. Winthrop nadal siedziała w celi, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Miała zabandażowaną stopę, lecz krew przeniknęła przez opatrunek, zostawiając na nim plamę.

- Czy z Ryanem Westcottom wszystko jest w porządku? A z panem Griffithem? Czy żyją?

Płaczliwy ton jej głosu ścisnął go za serce, ale szybko się opanował. Dziwne, do tej pory nie poprosiła jeszcze o kontakt z adwokatem.

- Proszę mi powiedzieć - odezwała się błagalnie za wychodzącym z celi Peterem.

Lauren tępy wzrokiem wpatrywała się w Peregrine Tutwilera, kiedy ten poinformował ją o zarzutach, jakie według jego oczekiwań wysunie przeciw niej rząd Jej Królewskiej Mości.

- Ryan i pan Griffith. Czy wszystko z nimi w porządku?

Peregrine uważnie studiował Lauren niebieskimi oczami, jak gdyby pochodziła ona z innej planety.

- Spróbuję się dowiedzieć.

- Nie mam pieniędzy - powiedziała słabym głosem.

Wydawała się zdezorientowana, jak okręt rzucony na nieznane wody. Nie wiedziała, skąd przybywa ani dokąd zmierza.

- Irek Makarow już mi zapłacił. On i Vora Leighton uważają, że panią wrobiono.

Lauren z trudnością powstrzymała się od łez. Przyjaciele w nią nie zwątpili. Świadomość, że nadal jej ufają, dodała jej odwagi i chęci do walki. Winowajcą jest z pewnością Barzan. To on podłożył ładunek wybuchowy w ramie obrazu albo w butelce Penhaligona. Wykorzystał jej znajomość z Ryanem do

tego, aby wniosła do Greyburne Manor śmiertelny ładunek. To właśnie po to Barzan ją zatrudnił, płacąc o wiele wyższą stawkę, niż zasługiwała na to jej posada. Powinna była być bardziej podejrzliwa co do motywów, które nim kierowały. Postanowiła, że nie pozwoli mu wykręcić się od odpowiedzialności. Jeśli Ryan albo T.J. zginęli... Czuła, że ma wobec nich dług: musi dostać Barzana.

- Proszę pozwolić mi zapewnić pana o jednym. Jestem niewinna. Nigdy nie wyrządziłam krzywdy ani Ryanowi Westcottowi, ani T.J. Griffithowi. Pociągnięcie Carlosa Barzana do odpowiedzialności jest tym, czego pragnę najbardziej.

- Cholera! - Peter Stirling rzucił o podłogę egzemplarzem „Timesa”.

Nastał poranek, dzień po wybuchu. Wojna mass - mediów rozpoczęła się. Stał za tym ten stuknięty dr Digsby. Wszyscy krytykowali Petera za sposób przeprowadzenia operacji. Na czele zamętu, który ogarnął Embassy Row, stali Izraelczycy i Rosjanie, popierani przez swoich królewskich sąsiadów w Kensington Palace. Jak to się stało, że nie wykryto ładunku wybuchowego? Mieli przecież do dyspozycji psy, które potrafią wywęszyć wspomniany azot. Co agenci MI - 5 wyprawiali ze świnią - na miłość boską?

Nikt nie zadał sobie trudu, aby sprawdzić, że świnka ma o wiele bardziej wrażliwy węch niż pies. Nikt nie pomyślał o tym, aby dowiedzieć się, ile kosztowało kupienie i szkolenie Iggy. Przewyższała psa wieloma umiejętnościami, jednakże mass - media nie wspominały o tym ani słowa. Miniaturowe świnki wydawały się zbyt egzotyczne. Niewielu ludzi wiedziało o ich istnieniu. Ci, którzy je widzieli lub słyszeli o nich, mówili o nich jak o maskotkach, a nie jak o zwierzętach pracujących podobnie jak psy obronne.

W następnych dniach kampania w mass - mediach przybrała na sile. Związek hotelarzy wyraził swoje niezadowolenie, że ludzie Stirlinga faktycznie przygotowali teren zbrodni, jednakże pozwolili mordercy Davidowi Marcusa - Tabacie Foley na wymknięcie się. Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt domagało się wyjaśnienia metod wykorzystanych przy szkoleniu Iggy. Muzea na całym świecie krytykowały Petera za to, że nie usunął z posiadłości Griffitha jego zbiorów w bezpieczne miejsce, chociaż nic nie uległo uszkodzeniu. Król Hassan wydalil z kraju Armstronga, jednocześnie kierując do królowej Anglii ostry protest, że nie został wcześniej powiadomiony o jego działalności.

Wydział MI - 5 ukrył przed mass - mediami niektóre fakty. Nikt nie wiedział o tym, że w sprawę wplątani byli Ryan Westcott i Julia Hartley. Nie poinformowano o jakimkolwiek związku pomiędzy fałszerstwem reprodukcji przy udziale Basila Blackstoke'a a osobą Carlosa Barzana. A co najważniejsze, nikt nie domyślał się, że Barzan jest w ogóle poszukiwany. Peter uważał, że szanse na pochwycenie Barzana wzrosną, jeżeli nie będzie on wiedział o urządzonym na niego polowaniu.

Pod koniec tygodnia Stirling zarzucony był stosami telegramów. Mogło się wydawać, że każdy, kto kiedykolwiek znał Lauren, nadesłał wiadomość, aby prowadzący śledztwo uwierzyli w jej niewinność. Peter widział się z nią kilka razy. Jej jedyne pytanie dotyczyło samopoczucia Griffitha i Westcotta.

Stirling musiał przyznać, że wersji podanej przez Lauren nie można odrzucić. Nie brzmiała prawdopodobnie, ale nie dało się jej wykluczyć. Przyszło mu na myśl, że być może nie był w tej sprawie całkiem obiektywny. Czy jego miłość do Amy Thorpe nie zniekształciła nieco obrazu rzeczywistości?



Amy mówiła mu, że go kocha, jednakże tym, co kochała, była intryga, przygoda i podniecenie, jakim napełniało ją szpiegowanie. On był mistrzem wywiadu, a ona jego protegowaną. Nigdy nie powinien był się w niej zakochać. Nie żywiłby potem przez tyle lat urazy o to, że poślubiła innego. Nie każda kobieta była do niej podobna. Być może Lauren była tylko - jak utrzymywała - niewinnym pionkiem.

Kluczem do sprawy musi być Tabatha Foley. Nikt inny nie mógłby potwierdzić wersji Lauren. Ale gdzie jest Tabatha? Siły Jej Królewskiej Mości, zastęp wynajętych przez Tutwilera detektywów, a także wszyscy dziennikarze z Londynu usiłowali ją odnaleźć. Bezskutecznie. A dokąd on by się udał, gdyby był młodocianym uciekinierem?

- Sir - jeden z jego ludzi wetknął głowę w drzwi. - Właśnie telefonowano ze szpitala. Westcott wyszedł ze stanu krytycznego.

Mimo że Peter nie oddawał się zbyt często modlitwie, krótką chwilą refleksji wyraził swoją wdzięczność. Następnie zjechał windą na niższe piętro i udał się tam, gdzie była przetrzymywana Lauren Winthrop. Popatrzyła na niego wyczekująco.

- Ryan będzie żył.

- Dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

Łzy zasnuły jej oczy, lecz nie spadły na policzki.

- Niech Bóg pana błogosławi za tę wiadomość. Nie ma pan pojęcia, ile Ryan dla mnie znaczy - powiedziała drżącym głosem. - Teraz mogę stawić czoło wszystkiemu, co mnie czeka. Wszystkiemu.

Peter wyszedł z pomieszczenia wstrząśnięty, w przekonaniu, że Lauren faktycznie kocha Ryana. Nikt nie byłby w stanie udawać takiego wzruszenia. Był teraz zdecydowany odnaleźć Tabathę Foley. Jeszcze raz przejrzał dane Tabathy, zwracając uwagę na informacje, jakie uzyskał

od Lauren. Tabatha była młodocianą uciekinierką z domu. Właśnie, dom! Mogła przecież pojechać do domu, jeżeli jej rodzinna wioska znajduje się na uboczu wielkich spraw. Przeróżne gazety londyńskie docierały nawet do najbardziej zabitych dechami dziur, ale gdyby Tabatha trzymała się z dala od publicznego zainteresowania i ukazywała się jedynie w przebraniu, mogłaby pozostać w ukryciu, aż cała sprawa ucichnie.

Uważni obserwatorzy różnic klasowych, tacy jak Vora Leighton, zauważyli, że Tabatha mówi z lekkim akcentem. Nie był to miękki akcent osoby z północy. W jej głosie dało się wyczuć śpiewność wskazującą na to, że wychowała się gdzieś na południu. Peter przydzielił dodatkowych ludzi do przesłuchania wszystkich kierowców ciężarówek, których firmy wysłały na południe w dniach bezpośrednio po popełnieniu morderstwa. Może pojechała autostopem?

Kierowca ciężarówki z przedsiębiorstwa Rhodda's Dairy zgłosił fakt podrzucenia pewnej dziewczyny do Weymouth na początku tygodnia. Miała wprawdzie krótkie blond włosy, nie brązowe, kierowca zapamiętał jednak jej wielkie piersi.

Peter osobiście przesłuchał kierowcę.

- Czy dziewczyna powiedziała, dokąd zamierza jechać po tym, jak wysiadła z pańskiej ciężarówki?

Kierowca przecząco pokręcił głową.

- Niewiele mówiła. Spała jak... jak gdyby nie spała od wielu dni.

- Musimy ją odszukać. Czy jest jeszcze coś, o czym mógłby nam pan powiedzieć? Cokolwiek?

- Upuściła kawałek kartki papieru. Był na niej numer telefonu. Wyrzuciłem ją, ale wydaje mi się, że numer należał do okręgu w Portland.

Peter ssał koniec fajki, nie wierząc swojemu szczęściu. Wyspa Portland to niewielki obszar. Jeżeli Tabatha tam

właśnie się udała, nie powinno być kłopotu z odnalezieniem jej. Peter podziękował kierowcy i podniósł się do wyjścia.

- Pomaga pan jej ojcu, nie? - zapytał kierowca, gdy Peter był już jedną nogą za drzwiami.

- Jej ojcu? - Peter poczuł się, jakby przepłynął przez niego prąd. - Jak wyglądał?

- Starszy facet. Czarne włosy - kierowca wzruszył ramionami. - Drogie ubranie. Był tu wczoraj.

Barzan. Serce Petera biło jak szalone. Był już pewien, że Barzan jest na tropie Tabathy. Dlaczego? Czy najważniejszą dla niego rzeczą nie powinno być wydostanie się z Anglii? Aż do chwili obecnej nie natrafiono na jego ślad. Peter przypuszczał, że Barzan wyśliznął się z kraju. Po co w takim razie puścił się w pogoń za morderczynią? Chwileczkę! Być może zbyt pochopnie założyli, że to Tabatha zamordowała Davida Marcusa. To, że zaatakowała pokojówkę, nie znaczyło jeszcze, że zabiła swojego kochanka. Mogła być jedynie świadkiem morderstwa. Biegli sądowi określili czas zgonu na godzinę pomiędzy siódmą wieczorem a północą w przeddzień znalezienia ciała.

Peter nie potrafił zrozumieć, dlaczego Tabatha zwlekała z ucieczką aż do następnego dnia. Przypomniawszy sobie jednak szczegóły z raportu dotyczącego zbrodni. Tabatha kupiła w Bootsie wodę utlenioną i nożyczki. Jaka dziewczyna mogłaby spędzić noc w tym samym pomieszczeniu, co jej martwy kochanek, na obcinaniu i farbowaniu sobie włosów?

Taka, którą można było przepłacić, aby zdradziła zaprzyjaźnioną ze sobą kobietę.

Jeżeli Barzan czytał gazety, zauważył, że brak o nim jakiegokolwiek wzmianki. Mógł nie zdawać sobie sprawy z tego, że wydział MI - 5 zaciska pętlę na jego szyi. Niewątpliwie jednak zauważył artykuły o Tabacie i doszedł do wniosku, że musiała ukrywać się w apartamencie w chwili,

kiedy on zastrzelił Davida Marcusa. Niewątpliwie Barzan obawiał się, że Tabatha mogłaby go wydać.

- Kiedy jej „ojciec” przyszedł zobaczyć się z panem?
- Wczoraj, wcześniej rano.

Barzan miał na starcie przewagę blisko jednego dnia. Jeśli Peter nie znajdzie Tabathy pierwszy, równie dobrze może uważać ją za martwą.

A wtedy Lauren Winthrop z pewnością zostanie skazana.

Peter bezzwłocznie poleciał służbowym helikopterem do Easton, jedynej wioski na wyspie Portland, na tyle dużej, aby szczyścić się posterunkiem policji. Powitał go posterunkowy Whitworth. Peter pokazał mu jedyną fotografię Tabathy, jaką dysponowali. Wykonano ją w czasie wystawy obrazów Irka Makarowa.

Posterunkowy Whitworth pokręcił głową i powiedział:

- Nie znam jej.

- Jest pan pewien? - zapytał Peter. Wiedział, że Whitworth całe swoje życie spędził na tej niewielkiej wyspie. Jeżeli Tabatha kiedykolwiek tutaj mieszkała, Whitworth musi ją znać. - Proszę się jeszcze raz dokładnie przypatrzeć.

Zmrużywszy oczy, Whitworth przekrzywił głowę na jedną stronę i spojrzał jeszcze raz.

- Czy ja wiem... Mogłaby to być nasza Sally Hemstreet, cała w strąkach.

- Czy jej rodzina mieszka tutaj? Musimy ją odnaleźć - powiedział Peter, stuprocentowo przekonany, że Tabatha Foley i Sally Hemstreet to ta sama osoba.

- Zaprowadzę pana prosto do niej - odrzekł posterunkowy Whitworth z ponurym wyrazem twarzy. - Ciało Sally jest w kostnicy.

- Chryste! Barzan ją zabił - powiedział Peter.

- Nikt jej nie zabił - zaprzeczył Whitworth. - Zmarła śmiercią naturalną. Przynajmniej tak twierdzi dr Robinson.

- Czy nikt nie wiedział, że była poszukiwana? Whitworth pokazał palcem na fotografię.

- Nasza Sally nigdy tak nie wyglądała. Jej rodzina miała kiedyś farmę na wschód od Southwell, ale nie mogli związać końca z końcem. Przenieśli się do Australii dwa lata temu, kiedy Sally miała - poszukał informacji na bezchmurnym niebie - około czternastu lat. Kilka dni temu Sally

zatelefonowała do agenta do spraw nieruchomości opiekującego się farmą, na której kiedyś mieszkała. Kiedy dowiedziała się, że farma nie została jeszcze sprzedana, postanowiła, że ją przejmie. Przyjechała we wtorek rano i wyłożyła gotówkę na wydzierżawienie farmy na sześć miesięcy. Cały wczorajszy dzień spędziła na gromadzeniu zapasów, jak gdyby zamierzała zostać tu na zawsze. Po drodze zatrzymała się w herbaciarni Tuttle's, przewróciła się i umarła. Atak serca. Proszę sobie wyobrazić, w tak młodym wieku.

Peter przeklinał swojego pecha. Barzan zawsze wyprzedzał go o jeden krok.

- Czy w tym czasie w herbaciarni znajdował się jakiś nieznajomy, starszy mężczyzna?

- Tak. Skąd pan wie?

Peter zwrócił się do towarzyszących mu dwóch agentów.

- Natychmiast zabierzcie jej ciało do helikoptera i zawieźcie do Fort Halstead. Powiedzcie chłopcom, żeby szukali brucyny.

- Tak jak w przypadku Leightona? - zapytał jeden z agentów.

- Być może.

Musieli jeszcze udowodnić, kto dał Archerowi Leightonowi śmiertelną dawkę. Jediną rzeczą, jakiej dowiedzieli się od Basila Blackstoke'a, było nazwisko pośrednika. Być może Archer Leighton nie był dla organizacji Barzana wystarczająco ważną osobą, aby Barzan wykonał to osobiście. Jednakże Peter nie mógł być tego pewien. Barzan czerpał diaboliczną wręcz przyjemność z zabijania tych, którzy weszli mu w drogę.

Kiedy ludzie Petera wyszli pośpiesznie, aby wykonać polecenie, Peter stanął na wzgórzu. Wiosenny wiatr znad kanału La Manche szargał jego płaszczem, okręcając go wokół nóg jak korkociąg. Peter zbierał w myśli fakty.

Niewątpliwie Tabatha usłyszała mordercę, lecz nie widziała jego twarzy, w przeciwnym razie rozpoznałaby Barzana. Ile szczęścia może jeszcze mieć Barzan? Dokąd może się teraz udać?

Najbardziej prawdopodobnym sposobem ucieczki byłoby wynajęcie łodzi rybackiej, która zabrałaby go przez kanał do Francji. Lecz nie wolno było zapominać, że Barzan nigdy nie robił tego, czego się można było spodziewać. Jakie rozwiązanie byłoby najmniej prawdopodobne? Zostanie na miejscu.

Peter, jego dwaj agenci oraz posterunkowy Whitworth udali się na opuszczoną farmę, gdzie mieszkała kiedyś Tabatha. Peter zakładał, że Barzan pozostanie w ukryciu do czasu, aż jeden z jego oddanych przyjaciół przedstawi się przez kanał i zabierze go stąd. Korzystanie z pomocy własnych ludzi ograniczało ryzyko i nie budziło podejrzeń, jakie mogłyby wywołać jakiś miejscowy rybak, gdyby Barzan zaproponował mu kurs do Francji.

Do farmy prowadziła porośnięta wiosennymi chwastami polna droga, niewiele szersza od ścieżki do prowadzenia krów na pastwisko. W oddali ujrzeli podniszczony szary budynek. Wydawał się opuszczony, jednak Peter polecił swoim ludziom, aby zostawili samochód za zagajnikiem i resztę drogi pokonali pieszo. Okrążyli rozpadającą się szopę, z której dochodził zapach stęchłego siana. W środku znajdował się nowy ford escort z nalepką firmy wypożyczającej samochody. Znaleziona w środku karta ubezpieczeniowa wskazywała na to, że samochód wypożyczono w Londynie na nazwisko George'a Marshalla.

- Czy zna pan na wyspie jakiegoś George'a Marshalla?

Whitworth przecząco pokręcił głową.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, Peter rozmieścił ludzi po bokach i z tyłu domu, po czym podszedł do drzwi

frontowych i ostrożnie je otworzył. W środku ujrzał niewielki salon z kilkoma meblami przykrytymi chroniącymi je od kurzu pokrowcami. Przez szparę pomiędzy okiennicą i parapetem wciskały się wijące się gałęzie dzikiej jeżyny. Z rogu rzucał na Petera ukradkowe spojrzenia przeżuwający czerwony owoc szczur. W przytłumionym świetle z trudem przeciskającym się przez zaciągnięte zasłony można było dostrzec ślady butów na zakurzonej podłodze. Peter ostrożnie ruszył korytarzem prowadzącym do jedynej sypialni domu.

Na łóżku leżał Carlos Barzan, przykryty prześcieradłem, zastępującym mu koc. Peter dokładnie zlustrował pokój. Na zakurzonej nocnej szafce tuż obok kluczy od samochodu zauważył niewielką fiolkę. Włożył ją cicho do torby z dowodami rzeczowymi. Mógł się założyć, że była to brucyna, należąca do grupy trucizn, do której dostęp był niezwykle ściśle kontrolowany. Obarczony takim dowodem Barzan nie mógłby wykręcić się od zarzutu dokonania morderstwa.

Peter wyobrażał już sobie, z jakim zadowoleniem będzie się przyglądał, jak Barzan i zastęp adwokatów gimnastykują się w gąszczu niuansów prawnych, które z pewnością będą chcieli wykorzystać w zapowiadającym się na długi czas procesie. Peter wyobraził sobie Barzana, który jak mucha złapana w pajęczynę bezskutecznie próbuje wyplątać się z pułapki, którą z takim trudem zbudował dla niego wydział MI - 5. Jednakże teraz Peter potrzebował od Barzana jednoznacznego oświadczenia. Peter nie mógł ryzykować zmagania się z zastępem prawników, którzy z pewnością doradzą Barzanowi, aby przeciągał sprawę w nieskończoność, podczas gdy Lauren Winthrop będzie gnić w więzieniu. Kto wie? Barzan mógłby z jakiegoś niejasnego powodu nigdy nie oczyścić jej z zarzutów.

- Jest pan aresztowany - odezwał się głośno do śpiącego Barzana.



Barzan nie poruszył się. W panującym w pokoju mroku Peter nie był nawet pewien, czy Barzan oddycha. Czyżby zażył śmiertelną dawkę brucyny? Peter potrząsnął go za ramię. Gdy ten nadal się nie poruszył, Peter pochylił się nad nim. Modlił się w duchu, aby Barzan żył. Gdyby był martwy, udowodnienie niewinności Lauren byłoby praktycznie niemożliwe.

Jednym gwałtownym ruchem Barzan skoczył na równe nogi. Przycisnął Petera do ściany i wymierzył do niego z 38 - milimetrowego pistoletu z nałożonym na lufę tłumikiem. Peter wpatrywał się w lufę pistoletu, z którego z pewnością wyszła kula, która zabiła Davida Marcusa.

- Jestem Peter Stirling z wydziału MI - 5. Dom jest otoczony - powiedział Peter ze spokojem, którego z pewnością nie odczuwał. Jego dwaj ludzie i posterunkowy Whitworth mogą nie zdążyć pochwycić Barzana.

Barzan bez słowa wpatrywał się w Petera najbardziej bezlitosnymi oczami, jakie Peter kiedykolwiek widział podczas ponad pięćdziesięcioletniej służby w brytyjskim wywiadzie.

- Nie ma sensu zabijać kolejnych osób. Mamy brucynę, którą otrułeś Tabathę Foley. Mamy również taśmę z nagraniem twojej rozmowy z Ryanem Westcottom, na krótko przed tym, jak zdetonowałeś plastikowy ładunek wybuchowy. Powiedziałeś: „Griffith, jesteś już martwy. Zabiłeś mojego syna. Teraz umrzesz ty.” Mamy wystarczającą ilość dowodów na to, aby wsadzić cię za kratki za morderstwo.

Barzan nic nie odpowiadał. Peter domyślał się, że potentat narkotykowy liczy zapewne na swoje pieniądze i układy, rzucił więc na stół swojego asa.

- Julia Hartley to jeden z naszych agentów. Rozgryzła system komputerowy Davida Marcusa. Wiemy, gdzie są ukryte wszystkie twoje fundusze.

Lekko zwięzione oczy Barzana świadczyły o tym, że czuje się zagrożony, ale nadal nic nie mówił i trzymał rewolwer wycelowany w serce Petera.

- Zamroziliśmy wszystkie twoje aktywa - skłamał Peter, dobrze wiedząc, że takie sprawy zajmują sporo czasu. W ostatnich latach Szwajcarzy stali się nieco bardziej skłonni do współpracy, zwłaszcza jeśli chodzi o fundusze pochodzące z handlu narkotykami. - Nie będziesz nawet w stanie opłacić adwokata, nie myśl więc, że uda ci się z tego wymigać.

Peter krzyknął przez ramię:

- Chodźcie tu, chłopcy.

Skoro tylko Peter usłyszał, jak jego ludzie wchodzą przez drzwi, ponownie rzucił kości na stół.

- Oddaj broń - powiedział, kładąc dłoń na lufie zakończonej tłumikiem.

Barzan bez słowa oddał pistolet. Dopiero kiedy założono mu kajdanki i znalazł się w jadącym na posterunek samochodzie, przemówił:

- W gazetach nie było mowy o tym, kto zginął w wybuchu. Czy dosięgnąłem Griffitha?

- Wydział MI - 5 deptał ci po piętach od lat - Peter nie potrafił ukryć nutki triumfu w swoim głosie. - To my zatuszowaliśmy śmierć twojego syna i namówiliśmy Westcotta i Griffitha do współpracy z nami. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później wpadniesz nam w ręce.

Barzan wydawał się być zdumiony. Sądził niewątpliwie, że była to rozgrywka osobista, a nie walka, w którą zaangażowany był wywiad brytyjski.

- Zabiłeś Griffitha trzy lata temu przy pomocy tamtej bomby w samochodzie. Od tej pory uosabiał go Westcott. Wiedzieliśmy, że spróbujesz jeszcze raz. Tym razem czekaliśmy na ciebie.

Następnego dnia rano, dziesięć dni po aresztowaniu, Lauren została zwolniona. Czekali na nią Vora z Irkiem, a także Geeta i Paul. Kiedy Lauren ich ujrzała, z trudem przełknęła ślinę, starając się opanować strumień gorących łez napływających jej do oczu.

- Jakże ja się wam kiedykolwiek odwdzięczę? - powiedziała, serdecznie ściskając Vorę.

- Nic takiego nie zrobiliśmy - powiedział Irek.

- Są bardzo skromni - powiedział Paul. - Irek zaproponował sprzedaż „Velmy Liubov” Takgamie Nakamura, aby zdobyć pieniądze na pomoc dla ciebie.

- Nie, naprawdę?

Ostatnie dni były męczarnią, ale wiara przyjaciół w jej niewinność podnosiła ją na duchu. Nigdy jednak nie śniła o tym, że Irek mógłby zdecydować się na sprzedaż swojego umiłowanego obrazu.

- Pan Nakamura odmówił - powiedziała Geeta - lecz dał Irkowi pieniądze na wynajęcie Tutwilera. Tak uważa cię za kogoś szczególnego.

Lauren była tak zdumiona, że nie wiedziała, co powiedzieć. Tak wiele osób zaoferowało jej swoją pomoc, że było to aż niewiarygodne.

- Przykro mi, że dałem się Barzanowi oszukać - odezwał się Paul. - Kiedy przysłał mi darmowe wejściówki do Epcot Center w Disneyworld, Geeta i ja doszliśmy do wniosku, że to znakomita okazja dla dzieci.

- Nie mogłeś przecież wiedzieć, jak podły jest Barzan - wtrąciła Vora. - Nikt nie wiedział.

- Ale gdyby Lauren udało się skontaktować z Paulem - odrzekła Geeta - nie dałaby się nabrać na to, że Paul rzeczywiście podpisał ten sfałszowany świstek, który Barzan jej pokazał. Nie zgodziłaby się tak nagle wyjechać z Londynu.

- To nieistotne - powiedział Irek. - Barzan znalazłby inny sposób. Przyznał, że próbował zabić Paula przy pomocy silnej dawki halcionu. Nie cofnąłby się przed niczym.

- Irek ma rację - przyznała Vora. - Gdyby Tabatha Foley nie zgodziła się szpiegować Lauren, Barzan znalazłby kogoś innego.

Lauren pokręciła głową.

- Ona miała taki talent - wszystko na nic.

- Nie żałuj jej - powiedział Paul, obejmując Lauren ramieniem. - Wracajmy do domu. Samolot do Santa Fe odlatuje dziś po południu.

Dom? Lauren nie była pewna, gdzie to jest. Tam, gdzie twoje serce. Jej dom był właśnie tutaj, w Londynie.

- Muszę zobaczyć się z Ryanem.

- On nie życzy sobie widzieć się z tobą... już więcej - powiedział łagodnie Irek. - Tłumaczę, że to nie była twoja wina. Ryan wie wszystko o wyznaniu Barzana. Ale mówi, że jesteś jak twoja matka. Gdybyś go kochała, powiedziałałabyś mu o wszystkim.

- Muszę się z nim zobaczyć, nawet jeżeli ma to być ostatni raz.

Gdy przybyli do Portland Hospital, Lauren weszła do środka sama. Po raz tysięczny przeklinała siebie za to, że nie była bardziej podejrzliwa, kiedy Barzan złożył jej propozycję pracy. Z powodu własnej naiwności mało brakowało, aby zabiła człowieka, którego kochała.

Kiedy z oporami przekroczyła próg jego prywatnego pokoju, zastała go śpiącego. Myślała, że jest przygotowana na jego widok. Mimo iż próbowała wcześniej to w sobie wyrobić, niewiele pomogło. Na widok owiniętej białą gazą niczym turbanem głowy Ryana stłumiła w sobie bolesny szloch. Co też najlepszego uczyniłam?

Na palcach zbliżyła się do łóżka. Ręce - tak samo blade i pozbawione życia jak twarz - spoczywały wzdłuż jego boków. Z zawieszanej nad głową kroplówki sączyła się ciecz do nakłutej żyły jednej z rąk. Nie było na niej pierścienia z lampartem.

Czekała przy łóżku w nadziei, że Ryan znajdzie w sobie tyle serca, aby jej przebaczyć. Poruszył się, otworzył najpierw jedno oko, a po chwili drugie. Nie mówiąc nic, spojrzał na nią rozmytym wzrokiem, jak ktoś będący pod wpływem środków odurzających.

- Jak się czujesz? - zapytała łagodnie.

Zmrużył oczy, jakby upewniając się, że Lauren nie jest złudzeniem.

- Czego chcesz? - jego głos był szorstki, napięty. Końcami palców dotknęła jego dłoni, lecz wyrwał ją gwałtownie.

- Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo mi przykro. Nigdy nie zamierzałam wyrządzić krzywdy tobie albo Iggy. Tak długo, jak będę żyła, nigdy sobie nie wybaczę.

Odwrócił od niej głowę. W jego oczach mogły pojawić się łzy, lecz Lauren nie była pewna.

- Wiem, że jesteś zmartwiony tym, co stało się z Iggy - powiedziała.

- Nie jestem. Iggy była specjalnie szkolona po to, żeby wykrywać plastikowe ładunki wybuchowe. Wykonywała po prostu swoją pracę. To wszystko.

Lauren dobrze wiedziała, że Ryan myśli zupełnie co innego, niż mówi. Peter Stirling dokładnie poinformował ją o tym, co się stało. Nie próbowała jednak argumentować.

- Przykro mi z powodu Iggy - starała się, aby jej głos nie załamał się. - Była wspaniała.

- Dzięki tobie nie zostało z niej nawet tyle, żeby można to było zamieść szczotką.

Lauren złapała głęboki oddech z obawy, że za chwilę jej pozornie twarda skorupa pęknie. Była przygotowana na jego wrogość - zasługiwała na nią. A nawet na więcej. Szczęśliwe, ukochane stworzenie zostało rozerwane na strzępy tylko dlatego, że ona była zbyt głupia, aby cokolwiek podejrzewać. Na szczęście nikt poza tym nie zginął.

- Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, aby odwrócić to, co się stało. Wszystko. Proszę, uwierz mi.

- Przestań opowiadać. Nikt nie może zmienić przeszłości.

Z widocznym bólem dodał:

- Miałaś swoją szansę. Gdybyś chociaż raz wspomniała o tym, że Barzan finansuje...

- Ty sam nigdy nie powiedziałeś mi o T.J., czy...

- To inna sprawa. Brałem udział w ściśle tajnej rządowej operacji.

- Masz rację - przyznała. - Powiedziałabym ci o Barzanie, gdybym miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak bardzo to jest ważne.

- Dałem ci jeszcze ostatnią szansę, pytając, czy nie masz nic do powiedzenia. Mogłaś wówczas powiedzieć mi prawdę.

- Nie chciałam zaprzętać ci głowy swoimi problemami. Paul...

- Paul. Zawsze Paul. Wyciągnął cię od Armstronga, tak więc oddałaś mu swoje życie.

- To nieprawda. Pomagam mu, kiedy mnie potrzebuje.

- To idź teraz do niego. Wynoś się. Ja cię nie potrzebuję.

Kilka godzin później, kiedy Ryan powoli budził się, przenikając przez kolejne pokłady snu, ujrzał przy swoim łóżku Paula. Przedstawiono ich nawzajem na wystawie Irka, jednak do tej pory zamienili ze sobą zaledwie kilka słów. Ryan czuł wielką ochotę, aby rozwalić Paulowi szczękę. Przestań. On nie jest za to odpowiedzialny. To nie jego wina, że jest wiernym odbiciem swojej siostry.

- Jeżeli czujesz się na siłach, chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział Paul.

- O czym?

- O Rupercie Armstrongu.

- A kogo to obchodzi? - powiedział oschle Ryan.

- Armstrong znajduje się tam, gdzie było jego miejsce: za kratkami. No i co z tego? Nie przywróci to T.J. do życia.

- Kiedy matka wyszła za niego, byłem młody i podatny na wpływy - Paul zaczął opowiadanie, nie zważając na wrogi błysk w zielonych oczach Ryana. - Matka uwielbiała bogactwo, tak więc myślałem, że pieniądze to wszystko.

Ryan poruszył się niespokojnie; środek uśmierzający przestał działać i rwący ból powrócił z ogromną siłą.

- Po kilku latach spędzonych we Francji i po nieszczęśliwie zakończonej miłości poznałem hierarchię wartości. Zdałem sobie sprawę, że za pieniądze nie można kupić szczęścia.

- Streszczaj się - powiedział Ryan, zastanawiając się, dlaczego musi słuchać historii życia Paula. Zanosilo się na potężne ziewanie.

- Dość wcześnie wykluczyłem ze swoich rozważań matkę. Wiedziałem, że nie kocha nikogo oprócz siebie. Lauren nie potrafiła tego dostrzec. Jest zbyt dobra. Urodziła się z tym.

- Na Boga, nie chcę słyszeć o Lauren.

Myśl o niej przypominała mu jedynie, że nie można jej wierzyć.

- Lauren wyszła za Ozzie'ego, starego mężczyznę z trzeciorzędną galerią. Uczyniła z niej najlepszą galerię akwareli w całym Paryżu. Będąc w Nowym Jorku pomogła mi pokonać kryzys, w jaki wpadłem po śmierci mojej pierwszej żony.

- Do czego zmierzasz? Miałeś mówić o Armstrongu.

- Chodzi o to, że Lauren nigdy nie otrzymała od życia szansy. Rupert Armstrong, stary schorowany mąż, trzeciorzędna galeria, brat o słabej osobowości... a potem Carlos Barzan.

- Nie próbuj mnie przekonać, abym dał jej jeszcze jedną szansę...

- Barzan zwabił ją do Ravissanta. Ty natomiast ułatwiłeś mu zadanie, zakochując się w niej. On...

- Nie jestem w niej zakochany.

- To dobrze - Paul wpatrywał się w Ryana z nie ukrywanym niesmakiem. - Ponieważ nie chcę, żeby musiała mieć z tobą cokolwiek wspólnego.

Stwierdzenie to zaskoczyło Ryana. Próbował zorientować się, o co Paulowi chodzi.

- Moja siostra jest zbyt dobra dla kogoś takiego jak ty. Posiada siłę wewnętrzną, tak jak Irek Makarow. Tym, których kocha, oddaje wszystko. Nienawidziła swojej pracy w Sake Sistahs; tego podlizywania się japońskim biznesmenom, jak jakaś gejsza. Robiła to jednak, aby mi pomóc.

Paul popatrzył na kroplówkę kołyszącą się ponad głową Ryana i dodał:

- A ja jestem ostatnią osobą na tym świecie, która zasługiwałaby na takie oddanie.

Poruszony wyraźnym wzruszeniem brzmiącym w głosie Paula, Ryan obserwował go z uwagą.

- Zawsze miałem kłopoty ze spaniem. Często błąkałem się po willi do późna w nocy. Widziałem i słyszałem różne rzeczy. Tak jak matka, dobrze wiedziałem, co Rupert wyczytniał z Lauren. Byłem jednak młody, zdezorientowany. Obawiałem się Ruperta.

Wyglądając teraz przez okno na czerwcowy zmierzch, Paul zawahał się, by po chwili kontynuować:



- Przez ponad rok zwlekałem z jakimkolwiek działaniem. W końcu nie mogłem tego już dłużej wytrzymać. Zamiast konfrontacji z tym łajdakiem, wybrałem drogę tchórza. Kiedy Rupert wyjechał, cichaczem zabrałem Lauren z Marrakeszu.

Coś ścisnęło Ryana w żołądku. Przypomniawszy sobie jednak natychmiast, że Lauren gównem go obchodzi. W przeciwnym razie zniekształciłby nieco twarz jej brata.

- Wybaczyła mi - powiedział Paul. - Jak tylko wydostaliśmy się z Marrakeszu, powiedziałem jej prawdę, a ona mi przebaczyła. Taką właśnie jest osobą.

- Wybaczyła ci? Jeeezu! Ona jest głupsza, niż myślałem.

Płatki śniegu ogromne jak osety tańczyły w powietrzu i opadały na głęboki do kolan śnieg, który spowijał ziemię już wcześniej. Delikatny szum wzmagającego się wiatru, poruszającego wierzchołkami sosen, zapowiadał dalszą zamieć na całą noc i dzień Bożego Narodzenia. Głęboki śnieg tłumiał odgłos zamykanych przez Lauren drzwi od należącej do niej galerii w Santa Fe.

Nieco powyżej galerii „Poza Tęczą”, którą Lauren i Paul otworzyli przed sześcioma miesiącami, wkrótce po jej wyjeździe z Londynu, znajdował się koniec deptaku o nazwie „Aleja Piratów”. Przed przybyciem Hiszpanów do Nowego Meksyku na początku siedemnastego wieku Canyon Road była niczym więcej, jak tylko zakurzonym traktem wiodącym do Pecos Pueblo. Jeszcze do tej pory był to tylko wąski zaułek, z tą różnicą, że wzdłuż niego znajdowały się galerie o światowej sławie. „Poza Tęczą” mieściła się w nieco mniej prestiżowej części sławnej uliczki, jednakże Lauren była dumna ze swojej galerii, tak czy inaczej.

Była dumna również z siebie. Odnalazła kilka swoich wcześniejszych prac, które kiedyś sprzedała dekoratorowi wewnątrz z Nowego Jorku, i teraz je odkupiła. Wystawiała je w „Poza Tęczą”, ignorując uwagi w stylu „Jeżeli to kupię, czy

nie wybuchnie?", czynione przez wszytkowiedzących dowcipnisiów. Nie obawiając się już dłużej braku akceptacji dla swojej twórczości, Lauren nie przestawała malować, ciągle wzbogacając swoją kolekcję. Uznani kolekcjonerzy kupowali jej obrazy rzadko, lecz systematycznie.

Lauren podjechała pod dom i zaparkowała samochód w pobliżu wysokiej osiki, której gałęzie ugiwały się pod świeżo spadłym śniegiem. Przedzierając się przez wysokie do kolan zasy, podeszła do drzwi domu, którego nie dzieliła już z Paulem, odkąd ożenił się z Geetą. Usłyszawszy dzwonek telefonu, pośpieszyła, aby podnieść słuchawkę.

- Wesółych świąt, Voro.

- Skąd wiedziałaś, że to ja? - zapytała Vora.

- To tylko trafny domysł - odpowiedziała ze śmiechem. - Wstałaś w nocy do dzieci i nie mogłaś ponownie zasnąć, prawda?

Od czasu narodzin Larisy i Anatolija Vora miała w zwyczaju dzwonić po ich ostatnim nocnym karmieniu. Lauren, jako matka chrzestna, z podnieceniem słuchała bieżących doniesień o postępach, jakie czyniły dzieci.

- Prawda - przyznała Vora. - Zadzwoiłam, żeby ci życzyć wesółych świąt, a także, żeby przekazać ci interesującą wiadomość. Twoja matka wyszła za tego Francuza, z którym mieszkała od czasu uwięzienia Ruperta.

- Matka zawsze ląduje na cztery łapy - powiedziała Lauren bez entuzjazmu.

Już dawno przestała próbować zrozumieć matkę. Spotkanie w Marrakeszu zamknęło za nią drzwi na zawsze.

- Po prostu pomyślałam, że będziesz chciała o tym wiedzieć - odrzekła Vora. - Wydaje mi się, że Caroline nie przyjedzie na proces Ruperta w przyszłym miesiącu.

- Mogę się o to założyć - odpowiedziała Lauren. Była ciekawa, czy Vora i Irek mieli jakieś wiadomości od

Ryana. Pytanie o to tylko rozjątrzyłoby ranę. Od czasu rejestracji jego patentu, Griffith International stała się jedną z najważniejszych światowych firm.

- Jak ci leci? - zapytała Vora. - Boże Narodzenie to niełatwy czas, jeśli jest się samą.

- Nie martw się - Lauren starała się zachować pogodny ton. - Nie jestem sama. Paul, Geeta i potwory mieszkają po drugiej stronie ulicy. Przygotowuję dla nich kolację wigilijną.

Prawdę mówiąc, Lauren nigdy nie czuła się bardziej samotna. Ostrzegając samą siebie, że nie wolno jej myśleć o Ryaniu, lecz nic nie mogła na to poradzić. Nadal miała przed oczami jego zielone oczy - płonące gniewem. Nie żyj tym, czego się nie da zmienić. Życie jest zbyt krótkie.

Starając się zachować pogodę ducha, odłożyła słuchawkę. Przyciągnęła do kominka drzewo sosnowe i rozpałała ogień. Pukanie do drzwi przypomniało jej o tym, że Demi miał przyjść nieco wcześniej, aby zapalić świece okalające werandę jej domu. Wzięła do ręki kilka długich zapalek, jakich używa się do rozpalania ognia w kominku. Zapalanie świec wotywnych, znajdujących się w małych pojemnikach wypełnionych piaskiem, od dawna było jedną z tradycji świątecznych południowego zachodu.

Otworzyła szeroko ciężkie dębowe drzwi i oczom jej ukazał się Ryan. Miał na sobie kurtkę lotniczą T.J., z postawionym do góry kołnierzem. Śnieg osiadł mu na ramionach i ciemnych włosach. Jej serce biło jak szalone.

- Zimno tu - potrząsnął głową, aby zrzucić śnieg. Wykonała krok do tyłu i wpuściła go do środka. Modliła się w duchu, żeby jej przebaczył, ale nie zamierzała go o to błagać. Oprócz wizyty, jaką złożyła mu w szpitalu, napisała do niego nieskończenie wiele listów. Dobrze wiedział, jak bardzo było jej przykro.

Wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Puls skakał jej jak zwariowany. Serce nie chciało uwierzyć w to, o czym mówił jej rozum. On naprawdę tu był. Myślała, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Dotyk jego ust wymazał wszystkie wątpliwości i obawy. Pomiedzy pocałunkami powiedział:

- Przepraszam, że byłem takim łajdakiem.

- Przepraszam, że... - zaledwie zaczęła, kiedy kolejny delikatny pocałunek powstrzymał jej słowa.

- Zacznijmy jeszcze raz, tutaj i teraz. Żadnych więcej „przepraszam”.

- Co zmieniło twoje postanowienie?

- Twoi przyjaciele w końcu mnie przekonali. Twój brat rozmawiał ze mną. Nawet Peter Stirling był po twojej stronie.

Lauren dokładnie wiedziała, co Paul mu powiedział.

- Kocham brata zbyt mocno i nie pozwolę, żeby ten jeden błąd stanął pomiędzy nami. Poza tym, mogłam powiedzieć nauczycielce - wzruszyła ramionami - albo komuś innemu. Lecz byłam zażenowana. Bałam się. Od tamtej pory Paul i ja przeżyliśmy wspólnie wiele szczęśliwych lat.

- To, co się stało, to również moja wina - przyznał Ryan. - Nie mogłem powiedzieć ci prawdy. Znaleźliśmy się w samym środku czegoś, co przerastało i ciebie, i mnie.

Patrzył na nią poważnymi zielonymi oczami.

- Chciałem cię ukarać, ponieważ sądziłem, że nie można ci ufać, podobnie jak twojej matce. Myślałem, że gdybyś mnie kochała, powiedziałaś mi całą prawdę.

- Pomimo obietnicy, jaką złożyłam Barzanowi, powiedziałabym ci, gdybym przypuszczała, że jest to takie ważne. Nigdy nie podejrzewałam... - westchnęła. - Mój ojciec zawsze powtarzał, aby wystrzegać się rzeczy, które wyglądają zbyt pięknie na to, aby były prawdziwe. Powinnam była o tym wiedzieć.

Koniuszkiem palca przesunął po linii jej podbródka. Nie było na ziemi kobiety, która miałaby tyle powabu, co Lauren. Zaprzeczając, że ją kocha, stał się przez to bardziej zgorzkniały. Nie można było jej karać i samemu przy tym nie cierpieć.

- A może dla odmiany spróbowałibyśmy szczęścia we dwoje? Wyjdiesz za mnie?

Łzy zabłyśły w jej oczach, kiedy wsunął jej na palec pierścion z lampartem.

- Tak - wyszeptała.

- Przyjechałbym wcześniej, ale ciotka Tillie zmarła w zeszłym tygodniu. Od pewnego czasu chorowała na raka, ale ukrywała to przede mną. Dowiedziałem się, dopiero kiedy wyszedłem ze szpitala. Od tej pory byłem przy niej.

- To okropne - powiedziała Lauren. - To była wspaniała, prawdziwa dama.

Ból malował się w oczach Ryana.

- Również ona pomogła mi spojrzeć na sprawy z właściwej perspektywy. Ciotka Tillie powiedziała, że wybaczyłaby wujowi Garthowi wszystko, gdyby tylko żył, ale kiedy odszedł na zawsze, było już za późno. Pomyślałem o swoim ojcu. Wiesz, nigdy nie powiedziałem T.J., że go kocham. Nie pozwoliłaby mi na to moja duma.

- Kocham cię - powiedziała jedynie odrobinę głośniejszym szeptem. - Zawsze bym cię kochała, nawet gdybyś do mnie nie wrócił.

- Kocham cię, Lauren. Nigdy w to nie zwątp.

Jego język poszukiwał jej w miękkim, wilgotnym pocałunku, odbierając jej oddech. Nagle - odskoczył jak oparzony.

- Poczekaj. Prawie zapomniałem. Mam dla ciebie niespodziankę w samochodzie. Chodź ze mną.

Pociągnął ją do nowego range rovera. Na tylnym siedzeniu Lauren zobaczyła zwinięty berberyjski dywan, który kupiła dla Paula. Ryan otworzył drzwi i pokazał palcem, lecz nie na dywan, tylko na przednie siedzenie.

W pierwszej chwili nie miała pojęcia, co też może znajdować się w tym niewielkim koszyku. Po chwili dostrzegła coś, co wyglądało jak szczenię z krótką sierścią. Wówczas ta niewielka istota uniosła do góry łebek i ziewając szeroko, ukazała swój zwinięty w rulon różowy język. Iggy! Ostry ból przeszył Lauren na myśl o tym, co zrobiła.

- Podnieś ją - domagał się Ryan. - No, prędzej. Lauren zawahała się, na co świnka wydała z siebie ledwie dosłyszalny pisk. Lauren ostrożnie pogłaskała ją, a prosiątko polizało jej dłoń. Zupełnie jak Iggy.

- Jak ma na imię?

- Czekałem, aż ty coś wymyślisz, chociaż mam pomysł.

- Jaki? - zapytała Lauren, podnosząc jednocześnie świnkę do góry i przytulając ją do piersi. Czy tak wyglądała Iggy, kiedy była niemowlęciem?

- Jak ci się podoba „Mootzie”? Lauren roześmiała się.

- Mootzie. Wspaniale.

Ryan objął ją ramieniem, gdy tymczasem świnka pochwyciła palec Lauren i ssała.

- Lauren, ona cię potrzebuje.

Otoczył je obie swoim płaszczem, osłaniając przed niesionym przez wiatr śniegiem, i powiedział:

- A ja potrzebuję ciebie.